

STEPHEN
KING



INSTYTUT

ALBATROS

MOCNY JAK *TO*, PRZERAŻAJĄCY JAK *PODPALACZKA!* STEPHEN KING
POWRACA DO MOTYWÓW ZNANYCH Z JEGO NAJLEPSZYCH KSIĄŻEK.

Zjawiają się w nocy.

W dwie minuty eliminują wszystkie przeszkody.

I uprowadzają obiekt. Interesują ich dzieci. Wyjątkowe dzieci...

Luke Ellis budzi się w pokoju do złudzenia przypominającym jego własny, tyle że bez okien. Wkrótce orientuje się, że trafił do tajemniczego Instytutu i nie jest jedynym dzieciakiem, którego tu uwięziono. To miejsce odosobnienia dla nastolatków obdarzonych umiejętnościami telepatii lub telekinezy. W Instytucie zostaną poddani testom, które wzmocnią ich parapsychiczne moce. Opiekunowie nie mają skrupułów: grzeczne dzieci są nagradzane, nieposłuszne – surowo karane. Wszyscy jednak, prędzej czy później, trafią do drugiej części Instytutu, a stamtąd nikt już nie wraca. Gdy kolejne dzieci znikają w Tylnej Połowie, Luke jest coraz bardziej zdesperowany. Musi uciec i wezwać pomoc. Bo jeśli komuś miałoby się udać, to właśnie jemu. Tylko że nikt dotąd nie uciekł z Instytutu.

DRAMATYCZNY POJEDYNEK DOBRA ZE ZŁEM W MIEJSCU, W KTÓRYM
CI DOBRZY NIE ZAWSZE WYGRYWAJĄ.

STEPHEN
KING

INSTYTUT

Z angielskiego przełożył
RAFAŁ LISOWSKI

ALBATROS
Wydanie elektroniczne

STEPHEN KING

Wybitny amerykański pisarz, nazywany Królem Horroru, został w 2003 r. uhonorowany prestiżową nagrodą literacką National Book, a w 2015 r. odebrał z rąk prezydenta USA National Medal of Arts. Światową sławę przyniosła mu powieść **Carrie**. Kolejne utwory – powieści, opowiadania i komiksy – opublikowano w setkach milionów egzemplarzy i przetłóżono na kilkadziesiąt języków. Są wśród nich tak znane książki, jak: **Lśnienie**, **Sklepik z marzeniami**, **Bastion**, **Zielona Miła**, **Dolores Claiborne**, **Komórka**, **Uciekinier**, **Czarna bezgwiezdna noc**, **Cujo** i ośmiotomowy cykl fantasy **Mroczna Wieża**, na podstawie którego powstał film z Matthew McConaugheyem i Idrisem Elbą w rolach głównych. W 2017 r. miała swoją premierę ekranizacja jednej z kultowych książek Kinga, **To**. Druga część tego świetnie ocenianego filmu wejdzie na ekrany kin już we wrześniu 2019 r.

Pod pseudonimem Richard Bachman, King opublikował siedem powieści.

Stephen King wciąż szuka nowych wyzwań – w ostatnich latach napisał trylogię kryminalną z detektywem Billem Hodgesem, do której należą książki: **Pan Mercedes**, **Znalezione nie kradzione** i **Koniec warty**.

stephenking.com
stephenking.pl

Tego autora w Wydawnictwie Albatros

ROSE MADDER
DOLORES CLAIBORNE
GRA GERALDA
DESPERACJA
REGULATORZY
SKLEPIK Z MARZENIAMI
BEZSENNOŚĆ
ZIELONA MIŁA
MARZENIA I KOSZMARY
KOMÓRKA
CZTERY PO PÓŁNOCY
CHUDSZY
TO
BASTION
OCZY SMOKA
PO ZACHODZIE SŁOŃCA
CZTERY PORY ROKU
UCIEKINIERS
CZARNA BEZGWIEZDNA NOC
CUJO
PODPALACZKA
ROK WILKOŁAKA
MROCZNA POŁOWA
WOREK KOŚCI
DZIEWCZYNA, KTÓRA KOCHAŁA
TOMA GORDONA
NOCNA ZMIANA
ŁOWCA SNÓW
OSTATNI BASTION BARTA DAWESA
UNIESIENIE
INSTYTUT

Stephen King, Richard Chizmar

PUDEŁKO Z GUZIKAMI GWENDY

Trylogia PAN MERCEDES

PAN MERCEDES
ZNALEZIONE NIE KRADZIONE
KONIEC WARTY

MROCNNA WIEŻA

ROLAND
(oraz SIOSTRZYCZKI Z ELURII)
POWOŁANIE TRÓJKI
ZIEMIE JAŁOWE
CZARNOKSIĘŻNIK I KRYSZTAŁ
WIATR PRZEZ DZIURKĘ OD KLUCZA
WILKI Z CALLA
PIEŚŃ SUSANNAH
MROCNNA WIEŻA

Powieści graficzne MROCNNA WIEŻA

NARODZINY REWOLWEROWCA
DŁUGA DROGA DO DOMU
ZDRADA
UPADEK GILEAD
BITWA O JERICHO HILL
POCZĄTEK PODRÓŻY
SIOSTRZYCZKI Z ELURII
BITWA O TULL
PRZYDROŻNY ZAJAZD
CZŁOWIEK W CZERNI

Wyłącznie jako audiobook i e-book

Stephen King, Joe Hill
W WYSOKIEJ TRAWIE

Stephen King, Stewart O'Nan
TWARZ W TŁUMIE

Tytuł oryginału:
THE INSTITUTE

Copyright © Stephen King 2019
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2019

Polish translation copyright © Rafał Lisowski 2019

Redakcja: Katarzyna Kumaszewska

Ilustracje na okładce: TBC, Shutterstock

Opracowanie graficzne okładki polskiej: Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

ISBN 978-83-8125-772-5

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, hachi.media

SPIS TREŚCI

NOCNY STRAŻNIK
BYSTRY CHŁOPAK
ZASTRZYKI NA KROPKI
MAUREEN I AVERY
UCIECZKA
PIEKŁO CZEKA
PIEKŁO JEST TU
DUŻY TELEFON
SEPLENIĄCY MĘŻCZYŻNA
OD AUTORA
PRZYPISY

Moim wnukom: Ethanowi, Aidanowi i Ryanowi

Wzywał tedy Samson Pana, i rzekł: Panie Boże, wspomnij na mnie, proszę, a zmocnij mię proszę tylko ten raz; Boże, abym się raz pomścił obu oczu moich nad Filistynami.

A ująwszy Samson oba słupy pośrednie, na których dom stał, wsparł się o nie, o jeden prawą ręką swoją a o drugi lewą ręką swoją.

Zatem rzekł Samson: Niech umrze dusza moja z Filistynami; a gdy się o nie mocno oparł, upadł dom na książęta, i na wszystek lud, który w nim był, i było umarłych, które on pobił umierając, więcej niż onych, które pobił za żywota swego.

Księga Sędziów 16,28-30, Biblia Gdańska

Kto by zaś zgorszył jednego z tych małych, (...) pożyteczniej by mu było, aby zawieszony był kamień młyński na szyi jego, a utopiony był w głębokości morskiej.

Ewangelia wg św. Mateusza 18,6, Biblia Gdańska

NOCNY STRAŽNIK

Pół godziny po planowanym odlocie Tima Jamiesona z Tamy ku jasnym światłom i wysokim budynkom Nowego Jorku samolot linii Delta nadal stał przy rękawie. Kiedy do kabiny weszli agent Delty oraz blondynka z identyfikatorem ochrony na szyi, rozległy się ostrzegawcze pomruki niezadowolonych pasażerów ściśniętych w klasie ekonomicznej.

– Czy mogę prosić o uwagę? – odezwał się głośno gość z Delty.

– Ile będzie tego opóźnienia? – zapytał ktoś. – Bez owijania w bawełnę.

– Opóźnienie nie powinno być duże, a kapitan zapewnia, że dotrą państwo na miejsce o czasie. Na pokład chce jednak wejść agent federalny, więc ktoś z państwa będzie musiał oddać mu miejsce.

Podniósł się jęk i Tim zauważył, że parę osób sięga po komórki, na wypadek gdyby zaczęły się kłopoty. W takich sytuacjach już się zdarzały.

– Tej osobie linie lotnicze Delta zapewnią darmowy bilet do Nowego Jorku na następny lot, czyli jutro o szóstej czterdzieści pięć.

Kolejny jęk.

– Zastrzelcie mnie – rzucił ktoś.

Pracownik firmy niezrażony mówił dalej:

– Dodatkowo zapewnimy voucher hotelowy na dzisiejszy nocleg plus czterysta dolarów. To dobra oferta, proszę państwa. Kto jest chętny?

Nikt się nie zgłosił. Blondynka z ochrony milczała, wodziła jedynie po zatłoczonej kabinie wszytkowidzącym, ale jakimś cudem jednocześnie martwym wzrokiem.

– Osiemset – powiedział facet z Delty. – Plus voucher hotelowy i darmowy bilet.

– Gość gada jak gospodarz teleturnieju – mruknął jakiś mężczyzna w rzędzie przed Timem.

Chętnych nadal nie było.

– Tysiąc czterysta?

Ciągle nic. Timowi wydało się to ciekawe, ale niezbyt zaskakujące. I to nie tylko dlatego, że lot o szóstej czterdzieści pięć oznaczałby pobudkę o nieludzkiej godzinie. Jego współpasażerami z klasy ekonomicznej w większości były rodziny wracające z wycieczki po atrakcjach turystycznych Florydy, pary spalone od wylegiwania się na plaży oraz

napakowani, czerwoni na twarzy wkurzeni kolesie, którzy w Nowym Jorku robili zapewne interesy warte znacznie więcej niż tysiąc czterysta dolarów.

Ktoś z tyłu zawołał:

– Dorzućcie mustanga cabrio i wycieczkę dla dwóch osób na Arubę, to oddamy oba nasze miejsca!

Ten tekst wywołał wybuch śmiechu, który nie brzmiał szczególnie przyjaźnie.

Agent spojrział na blondynkę z identyfikatorem, ale jeśli liczył na pomoc z jej strony, to się rozczarował. Kobieta kontynuowała obserwację kabiny, zupełnie nieruchoma z wyjątkiem oczu. Westchnął ciężko i rzucił:

– Tysiąc sześćset.

Nagle Tim Jamieson miał ochotę spierdalać z tego samolotu i jechać na północ autostopem. Choć taka myśl dotąd w ogóle nie przyszła mu do głowy, teraz wyobraził sobie, i to bardzo wyraźnie, że tak robi. Oto stoi z wyciągniętym kciukiem przy szosie numer 301 gdzieś w samym środku hrabstwa Hernando. Jest gorąco, w powietrzu roi się od owadów, billboard reklamuje usługi jakiegoś prawnika od nieszczęśliwych wypadków, z boomboxa stojącego na betonowym stopniu pobliskiej przyczepy, przy której jakiś mężczyzna z nagim torsem myje samochód, dochodzą dźwięki *Take It on the Run* REO Speedwagon. W końcu pick-upem z dorobionymi drewnianymi ściankami, melonami na pace i magnetycznym Jezusem na desce rozdzielczej musi nadjechać jakiś farmer skłonny podwieźć autostopowicza. Najlepsze, że Tim będzie mógł tam stać sam, z dala od tej puszki sardynek, w której bój toczyły zapachy perfum, potu i lakieru do włosów.

Równie dobra była jednak perspektywa wycyckania państwa z dodatkowych paru dolarów.

Tim wstał, w pełni się wyprostował (do prawie metra osiemdziesięciu wzrostu), poprawił okulary na nosie i podniósł rękę.

– Dwa tysiące plus zwrot ceny biletu w gotówce i miejsce jest wasze.

2

Okazało się, że voucher jest na nocleg w podłym hotelu na końcu najruchliwszego pasa startowego lotniska w Tampie. Tim zasnął przy dźwiękach samolotów i one go obudziły, a wtedy zszedł na dół, gdzie wchłonął jajko na twardo i dwa gumowate naleśniki z wliczonego w cenę bufetu śniadaniowego. Choć trudno to było nazwać ucztą dla

smakoszy, najadł się do syta, po czym wrócił do pokoju i odczekał do otwarcia banków o dziewiątej rano.

Bez trudu odebrał nieprzewidzianą forszę, ponieważ bank spodziewał się tej wizyty i już wcześniej zaakceptował czek. Tim wziął swoje dwa tysiące w dwudziestkach i pięćdziesiątkach, złożył i schował do lewej przedniej kieszeni spodni, odebrał torbę podróżną od ochroniarza, zamówił ubera i kazał się zawieźć do Ellenton. Tam zapłacił kierowcy, podszedł do najbliższej tabliczki z napisem 301-N i wyciągnął kciuk. Kwadrans później zabrał go starszy facet w baseballówce z logo firmy Case. Pick-up co prawda nie miał paki obudowanej drewnem i nie przewoził melonów, ale poza tym właściwie nie odbiegał od wczorajszej wizji Tima.

– Dokąd jedziesz, kolego? – zapytał stary.

– No cóż – odparł Tim. – Docelowo chyba do Nowego Jorku.

Facet splunął tytoniem przez okno.

– A po co człowiek przy zdrowych zmysłach miałby tam jechać? – Kierowca mówił z mocnym południowym akcentem.

– Nie wiem – powiedział Tim, mimo że wiedział. Jak opowiadał mu kumpel z policji, w Nowym Jorku jest masa roboty w prywatnych firmach ochroniarskich, które więcej wagi przywiązują do doświadczenia niż do takiej piętrowej kaszany, w jaką wpieprzył się Tim i musiał przez nią rozstać się ze służbą na Florydzie. – Na razie przed wieczorem chcę dojechać do Georgii. Może tam mi się bardziej spodoba.

– Teraz to rozumiem. Georgia nie jest zła, zwłaszcza jak się lubi brzoskwinie. Ja mam po nich sraczkę. Nie będzie ci przeszkadzała muzyka?

– Nie, skądże.

– Ale ostrzegam, że puszczam ją głośno. Troszku jestem przygłuchy.

– Ja po prostu cieszę się podróżą.

Zamiast REO Speedwagon był Waylon Jennings, ale Tim nie miał nic przeciwko temu. Potem polecili Shooter Jennings i Marty Stuart. Dwaj mężczyźni w ubłoconym dodge’u ramie słuchali muzyki i patrzyli na przesuwającą się pod kołami szosę. Po stu piętnastu kilometrach stary zjechał na pobocze, trącił daszek czapki na pożegnanie i życzył Timowi zacnego dnia.

Tego wieczoru Tim nie dotarł do Georgii – noc spędził w kolejnym podłym motelu obok przydrożnego stoiska z sokiem pomarańczowym – ale udało mu się to nazajutrz. W mieście Brunswick (gdzie wymyślono pewną smaczną potrawkę) na dwa tygodnie zatrudnił się w przetwórni

odpadów. Zrobił to bez wcześniejszego namysłu, zupełnie jak wtedy, kiedy w Tampie oddał miejsce w samolocie. Nie potrzebował pieniędzy, ale chyba potrzebował czasu. Był w fazie przejściowej, a ta nie mija z dnia na dzień. Poza tym po sąsiedzku znajdowały się kręgielnia i restauracja Denny's. Trudno przebić takie połączenie.

3

Dołożywszy wypłatę z przetwórnicy odpadów do kasy od linii lotniczych, Tim stał za Brunswickiem przy północnym wjeździe na autostradę I-95 i jak na tułacza czuł się całkiem nieźle sytuowany. Tkwił tak na słońcu przez ponad godzinę i już zaczął rozważać kapitulację i powrót do Denny's na szklanekę zimnej, słodkiej herbaty, gdy zatrzymało się przy nim volvo kombi. Cały tył auta był pełen kartonów. Starsza kobieta za kierownicą opuściła sterowaną elektrycznie szybę od strony pasażera i spojrzała na Tima przez grube szkła okularów.

– Nie jest pan zbyt wysoki, ale za to umięśniony – stwierdziła. – Nie trafiłam na gwałciciela ani psychopatę, co?

– Nie, proszę pani – odparł Tim, myśląc sobie: A jakiej odpowiedzi się spodziewała?

– Nie mógł pan odpowiedzieć inaczej, prawda? Wybiera się pan aż do Karoliny Południowej? Po tej torbie poznaję, że chyba tak.

Ominął ich jakiś samochód, zatrąbił i szybko pojechał dalej na autostradę. Kobieta nie zareagowała i dalej wpatrywała się w Tima.

– Aż do Nowego Jorku, proszę pani.

– Zawiozę pana do Karoliny Południowej, niezbyt daleko w głąb tego nieoświeconego stanu, ale przynajmniej kawałek, jeżeli w zamian za to trochę mi pan pomoże. Rączka rączkę myje, jeśli wie pan, co mam na myśli.

– Możemy sobie nawzajem zrobić dobrze – odrzekł Tim z szerokim uśmiechem.

– Nikt tu nie będzie nikomu robił dobrze, ale może pan wsiadać.

Tim wsiadł. Kobieta nazywała się Marjorie Kellerman i prowadziła w Brunswicku bibliotekę. Należała do organizacji o nazwie Południowo-Wschodnie Stowarzyszenie Bibliotek. Które, jak wyjaśniła, nie ma pieniędzy, bo „Trump i jego kolesie wszystko zabrali. Tyle rozumieją z kultury, co osioł z algebry”.

Sto pięć kilometrów dalej na północ, wciąż w Georgii, zaparkowała przed małą biblioteką w mieście Pooler. Tim wyjął z samochodu

kartony książek i zawiózł je na wózku do środka. Stamtąd z kolei wywiózł do volva kilkanaście innych pudeł. Jak mu powiedziała Marjorie, były przeznaczone dla biblioteki publicznej w Yemassee, mieście położonym jakieś sześćdziesiąt kilometrów dalej na północ, już za granicą z Karoliną Południową.

Wkrótce po minięciu Hardeeville natrafili na przeszkodę. Oba pasy były zakorkowane przez samochody osobowe i ciężarówki, a za nimi szybko przybywały kolejne.

– Nie cierpię, kiedy tak się dzieje – powiedziała Marjorie. – I to zawsze w Karolinie Południowej, gdzie ludzie są zbyt skąpi, by poszerzyć autostradę. Gdzieś przed nami była kraksa, a że są tylko dwa pasy, nikt nie może przejechać. Będę tu tkwiła przez pół dnia. Panie Jamieson, zwalnię pana z dalszych obowiązków. Na pana miejscu wysiadłabym z mojego samochodu, wróciła piechotą do zjazdu na Hardeeville i spróbowała szczęścia na szosie numer siedemnaście.

– A te kartony z książkami?

– Och, znajdę do pomocy inną parę krzepkich rąk – odparła i uśmiechnęła się do Tima. – Szczerze mówiąc, zobaczyłam, że pan tak stoi na słońcu, i postanowiłam pozwolić sobie na ryzykanctwo.

– Jeśli jest pani pewna... – Korek na autostradzie przyprawiał go o klaustrofobię. Tim znowu czuł się tak, jak w połowie długości kabiny w klasie ekonomicznej samolotu. – Bo jak nie, to zostanę. Nie goni mnie żaden termin ani nic takiego.

– Jestem pewna. Miło było pana poznać, panie Jamieson.

– I panią również, pani Kellerman.

– Potrzebuje pan wsparcia finansowego? Jeśli tak, znajdzie się u mnie z dziesięć dolarów.

Był wzruszony i zaskoczony – nie po raz pierwszy – życzliwością i szczodrością zwykłych ludzi, zwłaszcza tych, którzy sami nie mają zbyt wiele. Ameryka wciąż była dobrym miejscem, nawet jeśli niektórzy (w tym czasem on sam) bardzo się z tym nie zgadzali.

– Nie trzeba. Dziękuję za propozycję.

Uścisnął jej dłoń, wysiadł i ruszył piechotą po pasie awaryjnym autostrady w kierunku zjazdu do Hardeeville. Nie doczekał się podwózki na drodze krajowej numer 17, przeszedł więc parę kilometrów do miejsca, w którym łączyła się ona z drogą stanową numer 92. Tam drogowskaz kierował do miasteczka DuPray. Było już późne popołudnie, więc Tim uznał, że lepiej poszukać motelu na nocleg. Na pewno znowu będzie podły, ale inne rozwiązania – spanie na dworze, gdzie komary pożrą go

żywcem, albo w czyjejsz stodole – wydawały się jeszcze mniej pociągające. Wyruszył zatem do DuPray.

Wielkie wydarzenia poruszają się na małych zawiasach.

4

Godzinę później Tim siedział na kamieniu na skraju dwupasmowej szosy i czekał, aż skończy przez nią przejeżdżać niekończący się, jak się wydawało, pociąg towarowy. Pociąg zmierzał w stronę DuPray w dostojnym tempie pięćdziesięciu kilometrów na godzinę: wagony towarowe, lawety (w większości załadowane wrakami, a nie nowymi samochodami), platformy, węglarki i cysterny pełne Bóg wie jakich szatańskich substancji, od których, jeśli pociąg by się wykoleił, pobliski las sosnowy stanąłby w ogniu albo DuPray spowiłyby szkodliwe czy wręcz zabójcze opary. W końcu nadjechał pomarańczowy wagon służbowy, w którym na krześle ogrodowym siedział mężczyzna w ogrodniczkach, czytał książkę i palił papierosa. Podniósł wzrok znad lektury i pozdrowił Tima ruchem dłoni. Tim odpowiedział tym samym.

Miasteczko leżało trzy kilometry dalej. Zbudowano je wokół skrzyżowania szosy stanowej numer 92 (noszącej tutaj nazwę Main Street) i dwóch innych ulic. DuPray najwyraźniej uchroniło się przed zalewem sklepów sieciowych, które opanowały większe miasta. Był tu co prawda Western Auto, ale zamknięty, z zamalowanymi szybami. Tim odnotował sklep spożywczy, drogerię, sklep wielobranżowy, gdzie handlowano chyba wszystkim, oraz dwa salony piękności. Były również kino z napisem SPRZEDAM LUB WYNAJME na kasetonie nad wejściem, sklep z częściami samochodowymi o szumnej nazwie DuPray Speed Shop oraz restauracja Bev's Eatery. Miasteczko miało trzy kościoły: jeden metodystów i dwa niemarkowe, wszystkie z gatunku „Przyjdźcie do Jezusa”. Na ukośnych miejscach parkingowych wzdłuż ciągu handlowo-usługowego stało najwyżej dwadzieścia parę samochodów. Chodniki były niemal wyludnione.

Trzy przecznice dalej, za kolejnym kościołem, Tim dostrzegł motel DuPray. Jeszcze dalej, tam gdzie Main Street zapewne znowu stawała się szosą stanową numer 92, widział następny przejazd kolejowy, stację i rząd połyskujących w słońcu metalowych dachów. Dalej wyrastała kolejna ściana lasu sosnowego. Całość robiła na Timie wrażenie miasteczka żywcem wyjętego z jakiejś ballady country, któregoś z nostalgicznych kawałków z repertuaru Alana Jacksona czy

George'a Straita. Motel miał stary i pordzewiały szyld, co sugerowało, że tak samo jak kino może być zamknięty, ale ponieważ popołudnie chyliło się ku końcowi, a w całej miejscowości raczej nie było innego noclegu, Tim ruszył w tamtą stronę.

W połowie drogi, minąwszy urząd miasta, dotarł do ceglanego budynku obrosniętego po bokach bluszczem pnącym się po drabinkach. Na starannie przystrzyżonym trawniku stała tablica oznajmiająca, że znajduje się tu Biuro Szeryfa Hrabstwa Fairlee. Tim pomyślał, że to musi być naprawdę nędzne hrabstwo, skoro jego siedzibą jest ta miejscina.

Przed budynkiem parkowały dwa radiowozy: w miarę nowy sedan oraz ubłocona wiekowa toyota 4runner z kulistym kogutem na dachu. Tim rzucił okiem w kierunku wejścia – to było niemal podświadome spojrzenie włączył ze sporą ilością gotówki w kieszeni – przeszedł kilka kroków, a potem zawrócił, żeby przyjrzeć się uważniej tablicom ogłoszeń umieszczonym po obu stronach podwójnych drzwi. A zwłaszcza jednemu z tych ogłoszeń. Chyba coś źle przeczytał, wolał się jednak upewnić.

Niemożliwe, pomyślał. Nie w dzisiejszych czasach.

Ale owszem. Obok plakatu z napisem JEŚLI MYŚLICIE, ŻE W KAROLINIE POŁUDNIOWEJ MARIHUANA JEST LEGALNA, TO SIĘ MYLICIE wisiała kartka z krótką informacją: NOCNY STRAŻNIK POSZUKIWANY. PYTAĆ W ŚRODKU.

O rany, pomyślał Tim. To dopiero wspomnienie z przeszłości.

Ruszył w kierunku zardzewiałego szyldu motelu, a po chwili się zatrzymał, rozmyślając o ogłoszeniu. W tym właśnie momencie otworzyły się drzwi posterunku i wyszedł chudy rudowłosy policjant, wkładając czapkę. Niskie słońce połyskiwało na jego odznace. Zmierzył wzrokiem robocze buty Tima, zakurzone džinsy i niebieską koszulę z cienkiej dzinsowej tkaniny. Na chwilę zawiesił wzrok na torbie podróżnej na jego ramieniu, a potem przyjrzał się twarzy.

– Mogę panu w czymś pomóc?

Tim poczuł ten sam impuls, który w samolocie kazał mu wstać.

– Raczej nie, ale nigdy nie wiadomo.

5

Rudowłosym policjantem był zastępca szeryfa Taggart Faraday. Zaprowadził Tima do środka, gdzie ze składającego się z czterech cel aresztu na tyłach budynku wpadała do części biurowej znajoma woń wybielacza i odświeżaczy do toalet. Faraday przedstawił Timowi Ronnie

Gibson, zastępczynią szeryfa, kobietę w średnim wieku, obsługującą tego popołudnia dyspozytornię, a później poprosił go o prawo jazdy i jakiś inny dowód tożsamości. Tim sięgnął po swój identyfikator z komendy policji w Sarasocie i nie próbował ukryć faktu, że od dziewięciu miesięcy jest nieważny. Mimo to na jego widok nastawienie obojga nieco się zmieniło.

– Nie jest pan mieszkańcem hrabstwa Fairlee – stwierdziła Gibson.

– Nie – przyznał Tim. – Ale mógłbym nim być, gdybym dostał tę posadę nocnego strażnika.

– Nie ma z tego kokosów – rzucił Faraday. – A zresztą nie ja decyduję. Od zatrudniania i zwalniania jest szeryf Ashworth.

– Nasz poprzedni nocny strażnik przeszedł na emeryturę i wyjechał do Georgii – wyjaśniła jego koleżanka. – Ma SLA. Chorobę Lou Gehriga. Miły człowiek. Straszny pech. Ale dobrze się tam nim opiekują.

– Że też takie gówno zawsze przypałała się do dobrych ludzi – dodał Tag Faraday. – Daj mu formularz, Ronnie. – Następnie zwrócił się do Tima: – Pracujemy tu w niewielkim składzie. Jest nas siedem osób, z tego dwie na niepełny etat. Podatników nie stać na więcej. Szeryf John jest teraz na patrolu. Jeżeli nie wróci do piątej, góra wpół do szóstej, to znaczy, że pojechał do domu na kolację i będzie dopiero rano.

– Tak czy siak, będę tu dziś nocował. To znaczy pod warunkiem, że motel jest czynny.

– Och, Norbert powinien mieć parę wolnych pokoi. – Ronnie Gibson wymieniła spojrzenia z rudzielcem i oboje się roześmiali.

– Domyślam się, że nie jest to czterogwiazdkowy przybytek – powiedział Tim.

– Nie skomentuję. Ale na pana miejscu przed położeniem się poszukałabym w pościeli takich małych czerwonych insektów. Dlaczego odszedł pan z policji w Sarasocie? Jest pan jeszcze za młody na emeryturę.

– O tym porozmawiam z waszym szefem, jeżeli mnie przyjmie na rozmowę.

Dwoje zastępców szeryfa wymieniło kolejne, dłuższe, spojrzenie, a potem Tag Faraday zwrócił się do koleżanki:

– No, daj mu ten wniosek, Ronnie. Miło pana poznać. Witamy w DuPray. Tutaj wystarczy postępować właściwie, a świetnie się dogadamy.

Po tych słowach wyszedł, pozostawiając w sferze domysłów to, co mogłoby być zachowaniem niewłaściwym. Przez zakratowane okno Tim widział, jak zaparkowana przed budynkiem toyota 4runner opuszcza swoje miejsce i rusza tutejszą krótką główną ulicą.

Formularz był na desce z klipsem. Tim usiadł na jednym z trzech krzeseł pod ścianą po lewej stronie, położył torbę podróżną między nogami i zaczął go wypełniać.

Nocny strażnik, pomyślał. Niech mnie.

6

Szeryf Ashworth – szeryf John, jak zwykle mówili o nim mieszkańcy miasteczka oraz jego zastępcy – miał duży brzuch i wolno się poruszał. Miał też obwisłe policzki jak u basseta i dużo siwych włosów. A także plamę po keczupie na koszuli munduru. Przy pasie nosił glocka, a na małym palcu sygnet z rubinem. Mówił z mocnym akcentem, zachowywał się jak przyjazny, swojski chłop, ale spojrzenie jego oczu, osadzonych głęboko w mięsistych oczodołach, było mądre i dociekliwe. Mógłby grać rolę w jakimś opartym na południowych stereotypach filmie w stylu *Z podniesionym czołem*, gdyby nie to, że był czarny. I jeszcze coś: na ścianie, obok urzędowego portretu prezydenta Trumpa, wisiał oprawiony w ramkę dyplom ukończenia akademii FBI w Quantico. Czegoś takiego nie wygrywa się wycinaniem kuponów z płatków śniadaniowych.

– No dobra – rzucił szeryf John, odchylając się na biurowym fotelu. – Nie mam dużo czasu. Marcella nie cierpi, jak się spóźniam na kolację. Chyba że jest jakiś kryzys, ma się rozumieć.

– Zrozumiano.

– Więc przejdźmy od razu do konkretów. Dlaczego odszedł pan z policji w Sarasocie i co pan tu robi? W Karolinie Południowej niewiele jest utartych szlaków, a DuPray nie leży przy żadnym z nich.

Tego wieczoru Ashworth raczej nie zamierzał dzwonić do Sarasoty, ale nazajutrz na pewno, więc nie było sensu owijać w bawełnę. Zresztą Tim wcale nie chciał tego robić. Jeżeli nie dostanie posady nocnego strażnika, przenocuje w DuPray, a rano ruszy dalej, w następny etap podróży do Nowego Jorku, o której już wiedział, że to niezbędna przerwa między tym, co pewnego dnia pod koniec zeszłego roku wydarzyło się w centrum handlowym Westfield Mall w Sarasocie, a tym, co czeka go dalej. A tak w ogóle szczerowość zawsze popłaca, choćby dlatego, że kłamstwo – zwłaszcza w epoce, kiedy każdy z klawiaturą pod ręką i dostępem do Wi-Fi może znaleźć niemal dowolną informację – zwykle mści się na kłamcy.

– Miałem do wyboru zrezygnować albo zostać zwolnionym. Wybrałem rezygnację. Nikt nie był z tego zadowolony, a zwłaszcza ja, bo lubiłem swoją pracę i życie nad Zatoką Meksykańską, ale tak było najlepiej. Dzięki

temu dostaję trochę pieniędzy, mniej niż na zwykłej emeryturze, ale lepsze to niż nic. Dzielę je z byłą żoną.

– Przyczyna? Tylko proszę prosto, cobym zdążył na kolację, póki jeszcze ciepła.

– To nie będzie długa historia. W zeszłym roku pewnego dnia pod koniec listopada pojechałem do Westfield Mall, żeby kupić sobie buty. Wybierałem się na ślub. Ciągle byłem w mundurze, no nie?

– Aha.

– Właśnie wychodziłem z obuwniczego, kiedy podbiegła do mnie jakaś kobieta i powiedziała, że na górze, koło kina, nastolatek wymachuje bronią. Więc tam pobiegłem, raz-dwa.

– Wyciągnął pan broń?

– Nie, nie od razu. Chłopak mógł mieć ze czternaście lat. Ocenilem, że jest pijany albo naćpany. Na ziemi leżał drugi, a tamten go kopał. I celował do niego z broni.

– Brzmi jak ta sprawa z Cleveland. Policjant zastrzelił czarnego chłopaka wymachującego pistoletem na plastikowe kulki.

– Właśnie o tym myślałem, podchodząc, ale policjant, który zastrzelił Tamira Rice'a, zarzekał się, że myślał, że dzieciak ma prawdziwą broń. Ja z kolei byłem przekonany, że ta nie jest prawdziwa, ale nie mogłem mieć pewności. Pewnie rozumie pan dlaczego.

Szeryf John Ashworth chyba całkiem zapomniał o kolacji.

– Bo podejrzany celował z niej do chłopca na podłodze – powiedział. – Nie ma sensu celować do kogoś z atrapy. No, chyba że ten na podłodze o tym nie wiedział.

– Później sprawca twierdził, że tylko potrząsał bronią, że z niej nie celował, mówiąc „To moje, skurwysynu, nie zabiera się tego, co moje!”. Ja tego nie widziałem. Na mój gust celował. Krzyknąłem, żeby rzucił broń i podniósł ręce do góry. Albo mnie nie usłyszał, albo zignorował. Dalej kopał i celował z pistoletu. Lub nim potrząsał, jeśli rzeczywiście tak było. W każdym razie sięgnąłem po broń. – Tim zamilkł na chwilę. – Jeśli to ma znaczenie, chłopcy byli biali.

– Dla mnie nie ma. Dwóch chłopaków się biło. Jeden leżał i był bity. Drugi być może miał prawdziwą broń, a być może nie. Strzelił pan do niego? Proszę powiedzieć, że nie.

– Nikt nie został postrzelony. Ale... wie pan, jak to jest, ludzie garną się, żeby obejrzeć bójkę, ale się rozbiegają, gdy pojawia się broń palna.

– Jasne. Jeśli mają trochę oleju w głowie, zwiewają, gdzie pieprz rośnie.

– Właśnie tak było, chociaż kilka osób i tak zostało.

– Te filmujące wszystko komórką.

Tim kiwnął głową.

– Czterech czy pięciu domorosłych Spielbergów. W każdym razie wycelowałem w sufit i oddałem, w zamierzeniu, strzał ostrzegawczy. Może to była zła decyzja, ale w tamtej chwili wydawała mi się właściwa. Jedyna możliwa. W tej części centrum handlowego są podwieszane lampy. Jedna z nich, trafiona kulą, spadła gapiowi prosto na głowę. Chłopak upuścił pistolet i już wiedziałem, że to atrapa, bo odbił się od podłogi. Okazało się, że to plastikowa psikawka na wodę w kształcie czterdziestki i pięćdziesiątki. Leżący dzieciak miał trochę siniaków i skaleczeń, nic, co trzeba by zszywać, ale świadek stracił przytomność i nie odzyskał jej przez trzy godziny. Wstrząśnienie mózgu. Jego adwokat mówi o zaniku pamięci i ostrych bólach głowy.

– Pozwał komendę?

– Tak. Będzie się to trochę ciągnąć, ale w końcu coś dostanie.

Szeryf John się zamyślił.

– Skoro został, żeby filmować zdarzenie, może nie dostać zbyt wiele, nawet jeśli bardzo boli go głowa. Domyślam się, że komenda zarzuciła panu lekkomyślne użycie broni?

Owszem, i byłoby miło, pomyślał Tim, gdyby na tym poprzestali. Ale nie mogli. Może i szeryf John wyglądał jak afroamerykańska wersja Bossa Hogga z *Diuków Hazzardu*, ale nie był głupi. Widać, że współczuł Timowi – współczułby mu prawie każdy gliniarz – ale na pewno i tak to sprawdzi. Dlatego lepiej, żeby całą historię usłyszał już teraz.

– Zanim poszedłem po buty, wpadłem do Beachcombers na dwa drinki. Funkcjonariusze, którzy aresztowali chłopaka, wyczuli ode mnie alkohol i kazali mi dmuchać. Wyszło zero sześć promila, poniżej dozwolonej granicy, ale i tak kiepsko, skoro właśnie oddałem strzał ze służbowej broni i przeze mnie człowiek trafił do szpitala.

– Czy z reguły dużo pan pije, panie Jamieson?

– Przez jakieś pół roku po rozwodzie piłem sporo, ale to było dwa lata temu. Teraz już nie. – Ale wiadomo, że nie mógłbym odpowiedzieć inaczej, pomyślał Tim.

– Mhm, mhm, no to podsumujmy. – Szeryf uniósł tłusty palec wskazujący. – Był pan po służbie, czyli gdyby nie mundur, tamta kobieta w ogóle by do pana nie podbiegła.

– Pewnie nie, ale usłyszałbym zamieszanie i udał się na miejsce tak czy inaczej. Tak naprawdę policjant zawsze jest na służbie. Jak z pewnością sam pan wie.

– Mhm, mhm, ale czy miałyby pan ze sobą broń?

– Nie. Byłaby zamknięta w samochodzie.

Na potwierdzenie tego faktu Ashworth wyprostował drugi palec, a potem dodał do niego trzeci.

– Chłopak najprawdopodobniej miał atrapę broni, ale mogła być też autentyczna. Nie potrafił pan tego stwierdzić.

– Tak.

Pojawił się palec numer cztery.

– Pański pocisk, wystrzelony ostrzegawczo, trafił w lampę i nie tylko ją zwalił, ale też na dodatek prosto na głowę niewinnego świadka. To znaczy pod warunkiem, że gnoja filmującego komórką można nazwać niewinnym świadkiem.

Tim kiwnął głową. Szeryf wyprostował kciuk.

– A tuż zanim doszło do zajścia, wypił pan dwa napoje alkoholowe.

– Tak. W mundurze.

– Kiepska decyzja, kiepska... jak to mówią... optyka, ale i tak powiedziałbym, że miał pan obłądnego pecha. – Szeryf John zabębnił palcami w krawędź biurka. Do każdej serii uderzeń sygnet z rubinem dodawał swoje ciche stuknięcie. – Myślę, że pańska historia jest zbyt szalona, żeby była nieprawdziwa, ale chyba i tak zadzwonię do pana poprzedniego miejsca zatrudnienia i zapytam. Choćby tylko po to, żeby usłyszeć ją ponownie i jeszcze raz się zadziwić.

Tim się uśmiechnął.

– Podlegałem Bernadette DiPino. Jest komendantką policji w Sarasocie. A pan powinien jechać na tę kolację, bo żona się wścieknie.

– Mhm, mhm, już ja sam będę się martwił o Marcy. – Szeryf zgiął się nad swoim brzuchem. Oczy świeciły mu jaśniej niż dotąd. – Gdybym teraz zrobił panu test alkomatem, to co by wykazał?

– Niech pan sprawdzi.

– Raczej tego nie zrobię. Chyba nie ma potrzeby. – Odchylił się na oparcie; udręczony fotel znowu jęknął. – Po co panu robota nocnego strażnika w takiej zafajdanej mieścinie? Płacimy tylko sto dolarów tygodniowo i chociaż od niedzieli do czwartku niewiele jest kłopotów, to w piątki i soboty bywa gorzej. Co prawda klub ze striptizem w Penley zamknęli rok temu, ale w okolicy jest parę spelunek i tancbud.

– Mój dziadek był nocnym strażnikiem w Hibbing w Minnesocie. Wie pan, w mieście, w którym wychowywał się Bob Dylan. Dziadek pracował tam, kiedy odszedł na emeryturę z policji stanowej. To właśnie on sprawił,

że dorastając, chciałem być gliniarzem. Teraz zobaczyłem ogłoszenie i pomyślałem...

Tim wzruszył ramionami. Co takiego pomyślał? Właściwie to samo co wtedy, gdy zatrudnił się w przetwórnicy odpadów. Czyli właściwie nic. Przyszło mu do głowy, że przynajmniej mentalnie może to być wyzwanie.

– Idzie pan w ślady dziadka, mhm... – Szeryf John splótł dłonie na okazałym brzuchu i wbił wzrok w Tima. Patrzył na niego tymi swoimi bystrymi, dociekliwymi oczami głęboko osadzonymi w mięsistych kieszonkach. – Uznał pan, że przeszedł na emeryturę, o to chodzi? Nie za młody pan na to?

– Z pracą w policji już na pewno koniec. Znajomy mówił, że w Nowym Jorku może mi załatwić robotę w ochronie, a mnie była potrzebna odmiana scenerii. Ale może w tym celu wcale nie muszę jechać do Nowego Jorku.

W rzeczywistości Timowi chyba była potrzebna odmiana wewnętrzna. Praca nocnego strażnika może jej nie zapewnić, ale nie wiadomo.

– Rozwiedziony, powiada pan?

– Tak.

– Dzieci?

– Nie. Ona chciała, ja nie. Czuję, że nie jestem gotowy.

Szeryf John spojrzał na podanie Tima.

– Tu jest napisane, że ma pan czterdzieści dwa lata. Może nie zawsze, ale zazwyczaj, jeśli ktoś do tego czasu nie jest gotowy... – Urwał i jako wytrawny policjant liczył na to, że Tim sam zapełni ciszę. Ten jednak tego nie zrobił. – Może docelowo wybiera się pan do Nowego Jorku, ale na razie nosi pana bez celu. Czy to trafna ocena?

Tim zastanowił się i uznał, że trafna.

– Jeśli dam panu tę pracę, to skąd mam wiedzieć, że za dwa tygodnie albo miesiąc pana stąd po prostu nie wyniesie? DuPray nie jest najciekawszym miejscem pod słońcem, ani nawet w naszym stanie. Chodzi o to, proszę pana, że nie wiem, czy można na panu polegać.

– Zostanę tutaj. Oczywiście zakładając, że sprawdzę się w tej robocie. Jeśli pan uzna, że nie, może mi pan powiedzieć. A jeśli ja postanowię, że chcę jechać dalej, poinformuję o tym z dużym wyprzedzeniem. Obiecuję.

– Z tej roboty nie da się wyżyć.

Tim wzruszył ramionami.

– Jak będzie trzeba, znajdę sobie coś jeszcze. Chce mi pan powiedzieć, że będę tu jedynym, który pracuje na dwa etaty, żeby związać koniec z końcem? Zresztą mam trochę oszczędności na początek.

Szeryf John siedział chwilę w bezruchu, rozmyślając, a potem wstał. Zrobił to zaskakująco zwinnie jak na tak ciężkiego mężczyznę.

– Niech pan przyjdzie jutro rano i pomyślimy, co z tym zrobić. Koło dziesiątej będzie w sam raz.

Dość czasu, żeby pogadać z komendą policji w Sarasocie i przekonać się, czy mówię prawdę, pomyślał Tim. I sprawdzić, czy w mojej przeszłości nie ma jakichś innych plam.

Podniósł się i wyciągnął rękę. Szeryf John miał porządny, silny uścisk.

– Gdzie pan dzisiaj nocuje, panie Jamieson?

– Tu, w motelu przy drodze, jeśli mają wolny pokój.

– O, Norbert na pewno ma dużo wolnych pokoi – powiedział szeryf. – I raczej nie będzie próbował sprzedać panu zioła. Na mój gust ciągle ma pan w sobie coś z policjanta. Jeżeli trawi pan smażone potrawy, Bev's jest otwarte do siódmej. Mnie najbardziej smakuje tam wątróbka z cebulą.

– Dziękuję. Za rozmowę też.

– Nie ma za co. Była bardzo ciekawa. A kiedy będzie się pan meldował w motelu, niech pan powie Norbertowi, że szeryf John kazał dać panu któryś z dobrych pokoi.

– Tak zrobię.

– Ale i tak przed wejściem do łóżka sprawdziłbym, czy nie ma pluskiew.

Tim się uśmiechnął.

– Już mi to poradzono.

7

W Bev's Eatery na kolację była smażona pierś z kurczaka z fasolką szparagową, a na deser placek z brzoskwiniami. Całkiem niezłe. Pokój przydzielony Timowi w motelu DuPray to już inna sprawa. Te, w których zatrzymywał się podczas podróży na północ, były przy nim jak pałace. Klimatyzator w oknie głośno terkotał, ale mało chłodził. Z zardzewiałego natrysku kapąło i nie dało się na to nic poradzić. (W końcu Tim położył ręcznik w brodziku, żeby wytłumić ten rytmiczny dźwięk). Abażur na lampce przy łóżku był przypalony w paru miejscach. Jedyne obrazy w pokoju – niepokojąca kompozycja przedstawiająca żaglowiec z załogą złożoną w całości z szeroko uśmiechniętych czarnoskórych mężczyzn wyglądających jak mordercy – wisiał nierówno. Tim go poprawił, ale obrazek zaraz znowu się przekrzywił.

Na zewnątrz stało krzesło ogrodowe. Miało zapadnięte siedzenie, a nogi równie zardzewiałe jak ten felerny natrysk, utrzymało jednak ciężar Tima. Siedział z wyprostowanymi nogami, zabijał przysiadające na nim owady i patrzył na pomarańczowe słońce, które płonęło między drzewami niczym ogień w wielkim piecu. Ten widok przepelniał go zarazem szczęściem i melancholią. Mniej więcej kwadrans po ósmej nadjechał kolejny niekończący się pociąg towarowy. Przetaczał się przez drogę stanową i obok magazynów na obrzeżach miasteczka.

– Ten cholerny Georgia Southern zawsze się spóźnia.

Tim obejrzał się i zobaczył właściciela, a zarazem jedyną osobę, która pracowała wieczorem w tym zacnym przybytku. Facet był chudy jak szczapa. Kamizelka w tureckie wzory na nim wisiała. Nosił spodnie khaki ze zbyt krótkimi nogawkami, demonstrując w ten sposób białe skarpetki i stare trampki Converse'a. Jego lekko szczerzą twarz wieńczyła staromodna fryzura na bitelsa.

– Mowa – rzucił Tim.

– To bez znaczenia. – Norbert wzruszył ramionami. – Wieczorny pociąg przejeżdża bez zatrzymywania. Ten o północy zwykle też, chyba że ma do wyładowania olej napędowy albo owoce i warzywa do spożywczaka. Węzeł jest ciupkę dalej. – Skrzyżował palce wskazujące, żeby to zademonstrować. – Jedne tory idą do Atlanty, Birminghamu, Huntsville i takich tam miejsc. A drugie biegną z Jacksonville do Charlestonu, Wilmingtonu, Newport News i tak dalej. Najczęściej zatrzymują się tu w ciągu dnia. Myślisz pan może o robocie w magazynie? Tam zawsze brakuje rąk do pracy. Tylko że trzeba mieć mocny kręgosłup. To nie dla mnie.

Tim spojrział na Norberta. Ten zaszurał trampkami i rzucił mu uśmiech odsłaniający, jak to nazwał Tim, zęby na wylocie. Wciąż jeszcze były na swoim miejscu, ale sprawiały wrażenie, jakby wkrótce miały się wynieść.

– Gdzie pana samochód? – spytał właściciel motelu.

Tim po prostu patrzył dalej.

– Jesteś pan gliną?

– W tej chwili jestem tylko facetem oglądającym zachód słońca za drzewami. I chętnie oglądałbym go sam.

– Się rozumie, się rozumie... – Norbert zaczął się wycofywać. Przystanął tylko po to, żeby szybko obejrzeć się przez ramię i zmierzyć Tima wzrokiem.

Pociąg wreszcie przejechał. Czerwone światła zgasły. Podniósł się szlaban. Uruchomiły się silniki kilku samochodów czekających na

przejeździe i pojazdy ruszyły przed siebie. Tim patrzył, jak słońce, opadając, zmienia kolor z pomarańczowego na czerwony. „Gdy czerwień o zachodzie, wie marynarz o pogodzie”, jak powiedziałyby jego dziadunio nocny strażnik. Tim był przekonany, że nie dostanie tej posady, i może to lepiej. DuPray leżało na końcu świata. To nie boczna ścieżka w jego podróży, ale kompletne bezdroże. Gdyby nie te cztery magazyny, miasteczka pewnie w ogóle by nie było. A jaki był sens istnienia tych magazynów? Przechowywanie telewizorów z jakiegoś północnego portu – Wilmingtonu albo Norfolku – żeby w końcu przewieźć je do Atlanty czy Marietty? Pudeł ze sprzętem komputerowym z Atlanty, żeby w końcu wywieźć je do Wilmingtonu, Norfolku czy Jacksonville? Nawozów lub niebezpiecznych chemikaliów, bo w tej części Stanów Zjednoczonych nie jest to zabronione? Wszystko kręciło się w kółko, a co kręci się w kółko, nie zmierza donikąd, każdy głupi to wie.

Tim wszedł do pokoju, zamknął drzwi na klucz (głupota – były tak liche, że można by je sforsować jednym kopniakiem), rozebrał się do bielizny i położył na łóżku, które ugięło się, ale było wolne od pluskiew – przynajmniej na ile zdołał to sprawdzić. Założywszy ręce za głowę, wpatrywał się w obrazek z uśmiechniętą czarnoskórą załogą fregaty czy też jak się, u diabła, mówi na taki statek. Dokąd płynęli? Czy byli piratami? Jego zdaniem wyglądali na piratów. Kimkolwiek byli, w końcu i tak czekałby ich załadunek i rozładunek w kolejnym porcie. Możliwe, że wcześniej czy później wszystko do tego prowadzi. On sam niedawno wyładował się z samolotu linii Delta zmierzającego do Nowego Jorku. Potem ładował puszki i butelki do maszyny sortującej. Dziś pomógł miłej bibliotekarce załadować książki w jednym miejscu i wyładować je w innym. Tutaj trafił tylko dlatego, że autostrada I-95 była załadowana samochodami i ciężarówkami oczekującymi, aż pomoc drogowa załaduje na lawetę rozbite auto jakiegoś nieszczęśnika. Wcześniej zapewne załadowano kierowcę do karetki i wyładowano go w najbliższym szpitalu.

Ale nocny strażnik niczego nie załadowuje ani nie wyładowuje, pomyślał Tim. On po prostu chodzi i puka. To właśnie, rzekłby jego dziadek, jest cała uroda tego zajęcia.

Tim zasnął i zbudził się tylko o północy, kiedy przez miasteczko przetoczył się następny pociąg towarowy. Wstał do łazienki, a zanim położył się z powrotem do łóżka, zdjął ze ściany krzywo powieszony obrazek z uśmiechniętą czarnoskórą załogą i oparł go o ścianę.

To cholerstwo przyprawiało go o gęsią skórę.

Kiedy nazajutrz rano w jego pokoju zabrzmiał telefon, Tim zdążył już wziąć prysznic i znowu siedział na krześle ogrodowym, patrząc, jak cienie, które o zmroku przykrywały drogę, rozplývają się w przeciwnym kierunku. Dzwonił szeryf John. Nie marnował czasu.

– Pomyślałem, że pana komendantki o tej godzinie jeszcze nie ma w biurze, więc wyszukałem sobie pana w internecie. Wygląda na to, że w swoim wniosku pominął pan parę spraw, panie Jamieson. W rozmowie też pan o nich nie wspomniał. W dwa tysiące siedemnastym dostał pan pochwałę za ratowanie życia, a w dwa tysiące osiemnastym zgarnął nagrodę dla Policjanta Roku. Po prostu się panu zapomniało?

– Nie – odparł Tim. – Wniosek o pracę złożyłem pod wpływem chwili. Gdybym miał więcej czasu na zastanowienie, wpisałbym te rzeczy.

– Niech mi pan opowie o tym aligatorze. Wychowałem się na skraju bagna Little Pee Dee i uwielbiam dobre historie o aligatorach.

– Ta nie jest zbyt dobra, bo to nie był duży aligator, a ja wcale nie uratowałem chłopakowi życia. Ale cała historia ma pewien humorystyczny aspekt.

– Słucham.

– Wezwanie było z Highlands, prywatnego pola golfowego. Byłem funkcjonariuszem najbliższym miejsca zdarzenia. Chłopak wszedł na drzewo obok jednej z sadzawek. Miał jedenaście, dwanaście lat, coś takiego, i darł się wniebogłose. Pod nim był aligator.

– Brzmi jak w historyjce o małym czarnym Sambo – stwierdził szeryf John. – Tylko że z tego, co pamiętam, tam zamiast aligatora były tygrysy, a skoro ten chłopiec na drzewie był na prywatnym polu golfowym, to idę o zakład, że nie był czarny.

– Nie był, a aligator w zasadzie przysypiał. Miał tylko półtora metra. Może metr osiemdziesiąt. Pożyczyłem kij golfowy, piątkę iron, od ojca chłopaka, bo to on później zgłosił mnie do wyróżnienia, i parę razy walnąłem go w łeb.

– Mam nadzieję, że aligatora, a nie ojca.

Tim się roześmiał.

– Zgadza się. Aligator wrócił do sadzawki, dzieciak zszedł z drzewa i tyle tego było. – Zamilkł na chwilę. – Tylko że trafiłem do wieczornych wiadomości. Jak wywijam kijem golfowym. Prezenterka żartowała, że mam dobry zamach. Wie pan, humor golfowy.

– Mhm, mhm, a ta nagroda Policjanta Roku?

– No cóż. Komuś musieli ją przyznać, a ja zawsze punktualnie pojawiałem się w pracy i nigdy nie zadzwoniłem, że nie przyjdę, bo jestem chory.

W słuchawce na dłuższą chwilę zapadła cisza.

– Nie wiem – odezwał się w końcu szeryf John – czy to się nazywa taktowna skromność, czy niska samoocena, tak czy owak, nie podoba mi się. Wiem, że to z mojej strony duża szczerłość po tak krótkiej znajomości, ale ja jestem z tych, którzy mówią, co myślą. Walę prosto z mostu, jak to niektórzy określają. Na przykład moja żona.

Tim spojrział na drogę, spojrział na tory kolejowe, spojrział na cofające się cienie. Zerknął na tutejszą wieżę ciśnień, górującą nad miasteczkiem niczym mechaniczny najeźdźca w filmie science fiction. Stwierdził, że to będzie kolejny upalny dzień. Stwierdził też coś jeszcze. Mógł w tej chwili albo dostać, albo stracić tę pracę. Wszystko zależało od tego, co teraz powie. Pozostawało pytanie, czy rzeczywiście mu na niej zależy, czy też to tylko kaprys zainspirowany rodzinną historią o dziadku Tomie.

– Panie Jamieson? Jest pan tam jeszcze?

– Zapracowałem na tę nagrodę. Byli inni gliniarze, którzy mogli ją dostać, pracowałem z paroma świetnymi policjantami, ale zasłużyłem na nią. Wyjeżdżając z Sarasoty, niedużo ze sobą zabrałem, bo reszta ma przyjść pocztą, kiedy znajdę sobie coś w Nowym Jorku, ale to wyróżnienie wziąłem. Jest w mojej torbie. Jeśli pan chce, mogę pokazać.

– Chcę, ale nie dlatego, że panu nie wierzę – powiedział szeryf John. – Po prostu chciałbym je zobaczyć. Ma pan nedorzecznie wysokie kwalifikacje jak na posadę nocnego strażnika, ale skoro panu na niej zależy, zaczyna pan dzisiaj o dwudziestej trzeciej. Robota od dwudziestej trzeciej do szóstej, taki jest układ.

– Zależy mi.

– W porządku.

– Tak po prostu?

– Jestem również z tych, co ufają instynktowi, a zatrudniam przecież nocnego strażnika, nie strażnika transportera z pieniędzmi, więc owszem, tak po prostu. Nie musi pan przychodzić o dziesiątej. Niech się pan jeszcze trochę zdrzemnie i wpadnie koło południa. Zastępczyni Gullickson wszystko panu opowie. To nie zajmie dużo czasu. Nie ma w tym wielkiej filozofii, jak to mówią, ale w sobotnie noce na Main Street po zamknięciu barów spotka pan pewnie paru mądrali w podkręconych furach.

– Dobrze. Dziękuję.

– Zobaczymy, czy równie wdzięczny będzie pan po pierwszym weekendzie. Jeszcze jedno. Nie jest pan zastępcą szeryfa i nie ma pan uprawnień do noszenia broni palnej. Jeśli trafi pan na sytuację, z którą może sobie nie poradzić i która wyda się panu niebezpieczna, kontaktuje się pan z bazą. Rozumiemy się?

– Tak.

– Mam nadzieję. Jeśli się dowiem, że zabiera pan ze sobą gnata, to zabierze się pan z tego miasta.

– Zrozumiano.

– W takim razie proszę się trochę zdrzemnąć. Od dziś będzie pan istotą nocy.

Jak hrabia Dracula, pomyślał Tim. Rozłączył się, wywiesił na drzwiach tabliczkę NIE PRZESZKADZAĆ, zaciągnął cienką, smutną zasłonę w oknie, ustawił budzik w telefonie i z powrotem położył się spać.

9

Zastępczyni szeryfa Wendy Gullickson, jedna z osób pracujących na posterunku na niepełny etat, o dziesięć lat młodsza od Ronnie Gibson, była niezłą szprychą, nawet mimo tego, że blond włosy ściągnęła w kok tak mocno, że prawie jęczały. Tim nie próbował jej czarować; widział wyraźnie, że włączyła osłonę i nastawiła ją na pełną moc. Być może liczyła, że posadę nocnego strażnika dostanie ktoś inny, na przykład jej brat albo chłopak, przemknęło Timowi przez głowę.

Dała mu mapę niezbyt okazałej dzielnicy biznesowej DuPray, krótkofalówkę przypinaną do paska oraz zegar czasu pracy, który również nosiło się przy pasku. Jak wyjaśniła, zegar nie miał baterii. Nakręcało się go na początku każdej zmiany.

– W czterdziestym szóstym to musiał być ostatni krzyk techniki – powiedział Tim. – W sumie nawet fajne. Takie retro.

Nie uśmiechnęła się.

– Zegar odbija się przy firmie Fromie's, a potem drugi raz przy stacji kolejowej na zachodnim końcu Main Street. To dwa tysiące sześćset metrów w każdą stronę. Ed Whitlock robił cztery rundy podczas każdej zmiany.

Czyli łącznie prawie dwadzieścia jeden kilometrów.

– Nie będę musiał się odchudzać, to na pewno.

Wciąż zero uśmiechu.

– Opracujemy z Ronnie Gibson grafik. Będzie pan miał dwie wolne noce w tygodniu, pewnie w poniedziałki i wtorki. Po weekendzie w miasteczku jest dosyć spokojnie, ale czasem trzeba będzie coś przesunąć... oczywiście pod warunkiem, że zostanie pan tu dłużej.

Tim splótł dłonie na kolanach i spojrzał na kobietę z półuśmiechem.

– Funkcjonariuszko Gullickson, czy ma pani ze mną jakiś problem? Jeśli tak, niech pani przemówi teraz albo zamilknie na wieki.

Miała nordycko bladą cerę, więc nie zdołała ukryć rumieńca. Była dzięki temu jeszcze ładniejsza, ale Tim domyślał się, że i tak tego nie cierpi.

– Jeszcze nie wiem, czy mam. Czas pokaże. Jesteśmy zgraną ekipą. Małą, ale zgraną. Trzymamy się razem. A pan jest po prostu obcym facetem, który przyszedł z ulicy i dostał robotę. Tutejsi żartują z nocnego strażnika, a Ed dobrze znosił te docinki, bo to ważna praca, zwłaszcza w mieście, w którym jest tak mało policjantów.

– Lepiej zapobiegać niż leczyć – rzucił Tim. – Tak mawiał mój dziadek. On też był nocnym strażnikiem. To dlatego zgłosiłem się do tej pracy.

Może te słowa trochę ociepliły jej nastawienie.

– Jeśli chodzi o zegar czasu pracy, zgadzam się, że jest archaiczny. Powiem tyle: niech się pan przyzwyczai. Nocny strażnik to analogowa praca w epoce cyfrowej. Przynajmniej tutaj, w DuPray.

10

Tim wkrótce przekonał się, co miała na myśli. W zasadzie był policjantem patrolu pieszego rodem mniej więcej z 1954 roku, tyle że bez pistoletu, nawet bez pałki. Nie miał prawa nikogo aresztować. Kilka większych firm w mieście zamontowało u siebie jakieś zabezpieczenia, ale w większości innych brakowało tego typu urządzeń. W sklepie wielobranżowym czy drogerii Oberg's Tim sprawdzał, czy pali się zielona lampka alarmu i czy nie ma śladu włamywaczy. W mniejszych lokalach pociągał za klamki i gałki w drzwiach, zaglądał przez szyby i zgodnie z tradycją stukał trzy razy. Czasami ktoś reagował – machał albo coś mówił – ale zwykle nie, co Timowi nie przeszkadzało. Robił znaczek kredą i szedł dalej. W drodze powrotnej powtarzał procedurę, tym razem kolejno wymazując znaczki. Cały proces kojarzył mu się ze starym irlandzkim dowcipem: „Paddy, jeśli przyjdiesz pierwszy, zrób kredą znaczek na drzwiach. Jeśli ja przyjdę pierwszy, to go zmażę”. Stawianie tych znaczków wydawało się pozbawione wszelkiego praktycznego celu.

Było po prostu tradycją, być może sięgającą dawnych czasów i powtarzaną przez całe zastępy nocnych strażników od czasów zakończenia wojny secesyjnej.

Dzięki innemu zastępcy szeryfa pracującemu na część etatu Tim znalazł przyzwoite miejsce, w którym mógł się zatrzymać. George Burkett powiedział, że jego matka ma nad garażem małe umeblowane mieszkanie i wynajmie je tanio, jeśli Tim jest zainteresowany.

– Tylko dwa pokoje, ale całkiem ładne. Brat mieszkał tam przez parę lat, zanim przeprowadził się na Florydę. Załapał się na robotę w parku rozrywki Universal w Orlando. Przyzwoicie zarabia.

– Farciarz.

– Prawda, ale ile oni tam sobie za wszystko liczą na tej Florydzie... uuu, głowa mała. Z tym że ostrzegam cię, Tim, jeżeli zdecydujesz się wynająć, nie możesz późno puszczać głośnej muzyki. Mama nie lubi muzyki. Nie lubiła nawet, jak Floyd grał na bandžo, chociaż gra diablo dobrze. Strasznie się o to kłócili.

– George, przecież mnie nocą prawie nigdy nie ma w domu.

Zastępca szeryfa Burkett – dobroduszny i pogodny dwudziestoparolatek, którego natura nie obarczyła inteligencją – ucieszył się na te słowa.

– Rzeczywiście, zapomniałem. W każdym razie jest tam mały klimatyzator, nic szczególnego, ale dzięki niemu jest na tyle chłodno, że daje się spać. Przynajmniej Floydowi to wystarczało. To co, piszesz się?

Tim się pisał i choć turkoczący klimatyzator w oknie na niewiele się zdał, łóżko było wygodne, pokój dzienny przytulny, a z prysznicą nie kapało. Kuchnia ograniczała się do mikrofalówki i płyty grzejnej, ale on i tak jadał głównie w Bev's Eatery, więc mu to nie przeszkadzało. Czynsz był natomiast bezkonkurencyjny: siedemdziesiąt dolarów tygodniowo. George opisywał matkę jako bez mała smoczycę, ale pani Burkett okazała się poczciwiną z tak silnym akcentem, że człowiek nie rozumiał połowy z tego, co mówiła. Czasem zostawiała Timowi pod drzwiami trochę chleba kukurydzianego albo kawałek ciasta zawiniętego w pergamin. Czuł się tak, jakby wynajmował mieszkanie u chochlika z Południa.

Norbert Hollister, szczerowaty właściciel motelu, miał rację. Firma Składy i Magazyny DuPray wiecznie cierpiała na niedobór pracowników i stale szukała ludzi. Tim domyślał się, że tam, gdzie trzeba wykonywać pracę fizyczną za najniższą dopuszczoną prawem stawkę godzinową (w Karolinie Południowej wynosiła ona siedem dolarów i dwadzieścia pięć centów), częste zmiany kadrowe są normą. Poszedł porozmawiać

z brygadziwą, Valem Jarrettem, i ten zgodził się go zatrudnić na trzy godziny dziennie, od ósmej rano. Dzięki temu Tim miał dość czasu, żeby się umyć i coś zjeść po zakończeniu służby strażnika. Tak oto, oprócz wypełniania nocnych obowiązków, znów coś załadowywał i wyładowywał.

Tak to już jest na świecie, powiedział sobie. Tak to już jest. Zresztą to tylko chwilowe.

11

W miarę jak jego pobyt w tym południowym miasteczku się przedłużał, Tim Jamieson wpadał w kojącą rutynę. Nie zamierzał mieszkać w DuPray do końca życia, ale był sobie w stanie wyobrazić, że zostanie tu do Bożego Narodzenia (może nawet w malutkim mieszkaniu nad garażem postawi malutką sztuczną choinkę) albo wręcz do przyszłego lata. Nie była to bynajmniej oaza kultury i rozumiał, dlaczego większość tutejszej młodzieży pragnie uciec przed monochromatyczną nudą, on jednak się nią rozkoszował. Wiedział, że z czasem się to zmieni, ale na razie było w porządku.

Pobudka o osiemnastej, kolacja w Bev's, czasami samotna, czasami z jednym z zastępców szeryfa, służba nocnego strażnika przez następne siedem godzin, śniadanie w Bev's, jazda wózkiem widłowym w Składowach i Magazynach DuPray do jedenastej, kanapka i cola albo słodka herbata na lunch w cieniu stacji kolejowej, powrót do domu pani Burkett, sen do osiemnastej. W wolne dni Tim czasami spał bez przerwy przez dwanaście godzin. Czytał thrillery prawnicze Johna Grishama i cykl *Pieśń lodu i ognia*. Był wielkim fanem Tyriona Lannistera. Wiedział, że jest serial na podstawie książek Martina, ale nie czuł potrzeby, żeby go oglądać. Wszystkie smoki, jakich potrzebował, zapewniała mu wyobraźnia.

Jako policjant zaznajomił się z nocnym obliczem Sarasoty, tak bardzo różniącym się od dziennej strony tego wakacyjnego rajy surferów i plażowiczów, jak pan Hyde od doktora Jekylla. Nocne oblicze często było odrażające, czasem niebezpieczne, i chociaż Tim nigdy się nie zniżył do stosowania tego obrzydliwego policyjnego skrótu na określenie martwych narkomanów i zadręczonych prostytutek – ULB, udziału ludzi brak – to dziesięć lat służby zmieniło go w cynika. Czasami przynosił te uczucia do domu (a nawet często, przyznawał, kiedy chciał być szczery) i stały się one składnikiem kwasu, który zaczął zżerać jego małżeństwo. Tim przypuszczał również, że właśnie te uczucia były jedną z przyczyn, dla

których tak bardzo opierał się myśli o dziecku. Na świecie było za dużo zła. Za dużo rzeczy, które mogły pójść nie tak. Aligator na polu golfowym to najmniejszy z problemów.

Kiedy przyjmował posadę nocnego strażnika, nie przypuszczał, że miejscowość licząca pięć tysięcy czterystu mieszkańców (w znacznej mierze skupionych na ościennych terenach wiejskich) może mieć nocne oblicze, ale DuPray je miało i odkrył, że to oblicze mu się podoba. Ludzie, których spotykał nocą, okazali się w tej pracy najlepsi.

Była na przykład pani Goolsby; rozpoczynając pierwszą rundę patrolu, Tim prawie każdej nocy wymieniał z nią ciche przywitanie i pozdrawiał ją ruchem ręki. Siedziała na huśtawce na werandzie i bujała się delikatnie, sącząc coś z kubka, w którym mogła być whisky, oranżada albo herbatka rumiankowa. Czasem kobieta siedziała tam jeszcze wtedy, kiedy zawracał. Frank Potter, jeden z zastępców szeryfa, z którymi Tim czasem jadał kolację w Bev's, powiedział, że pani G. rok wcześniej straciła męża. Ciężarówka Wendella Goolsby'ego w czasie śnieżycy w Wisconsin zsunęła się z autostrady.

– Addie jeszcze nie ma pięćdziesiątki, ale ona i Wen byli małżeństwem od bardzo, bardzo dawna – powiedział Frank. – Ochajtali się, kiedy żadne jeszcze nie miało prawa głosować ani kupić alkoholu. Zupełnie jak w piosence Chucka Berry'ego, tej o ślubie nastolatków. Takie małżeństwa zwykle się rozpadają, ale ich trwało.

Tim poznał również Sierotkę Annie, bezdomną, która często nocowała na dmuchanym materacu między biurem szeryfa a sklepem wielobranżowym. Miała też mały namiot na polu za stacją kolejową, gdzie spała, kiedy padał deszcz.

– Naprawdę nazywa się Annie Ledoux – powiedział Bill Wicklow, gdy Tim go o nią zapytał. Bill był najstarszym zastępcą szeryfa w DuPray, pracującym na niepełny etat, i sprawiał wrażenie, że zna tutaj każdego. – Sypia w tym zaułku od lat. Woli tam niż w namiocie.

– Co się z nią dzieje, kiedy robi się zimno?

– Jedzie do Yemassee. Zwykle wozi ją Ronnie Gibson. Są jakoś spokrewnione, to kuzynki trzeciego stopnia albo coś takiego. W Yemassee jest schronisko dla bezdomnych. Annie powiada, że z niego nie korzysta, chyba że musi, bo pełno tam wariatów. A ja jej na to: „Spójrz na siebie, koleżanko”.

Tim co noc raz zaglądał do zaułka Annie, a po pracy w magazynie odwiedzał jej namiot, głównie ze zwykłej ciekawości. Przed namiotem,

zatknięte w ziemię, tkwiły trzy flagi: amerykańska, pierwsza flaga konfederacji oraz jakaś, której nie rozpoznawał.

– To flaga Gujany – powiedziała Annie, kiedy zapytał. – Znalazłam ją w śmietniku za Zoney's. Ładna, co nie?

Annie siedziała na dużym fotelu przykrytym tanim plastikiem i robiła na drutach szalik tak długi, że starczyłby chyba dla któregoś z olbrzymów George'a R.R. Martina. Była całkiem przyjazna, nie wykazywała objawów tego, co koledzy Tima z policji w Sarasocie nazywali „syndromem bezdomnego paranoika”, lubiła jednak nocne programy w radiu WMDK, dlatego czasami rozmowa z nią prowadziła w dziwne rewiry, pełne latających spodków, przejęć ciał i opętań przez demony.

Pewnej nocy, kiedy Annie słuchała tego swojego radyjka, rozciągnięta na dmuchanym materacu w zaułku, Tim zapytał, dlaczego sypia tutaj, skoro ma namiot, i to zdaje się, że w doskonałym stanie. Sierotka Annie – która miała może sześćdziesiąt lat, a może osiemdziesiąt – popatrzyła na niego jak na wariata.

– Bo tu jestem blisko policji. Pan wiesz, co jest za tamtą stacją i magazynami, panie J.?

– Chyba las.

– Las i bagno. Kilometry moczarów, błocka i powalonych drzew aż po Georgię. Tam jest kupa różnego zwierza, i źli ludzie też. Jak leje i muszę siedzieć w namiocie, to mówię sobie, że w deszczu i tak raczej nic stamtąd nie wylezie, a mimo to źle śpię. Mam nóż i trzymam go w zanadrzu, ale raczej mi się nie przyda na jakiegoś narąbanego metą szczura z bagien.

Annie była strasznie chuda, niemal wysuszona, więc Tim w drodze do kompleksu magazynów na swoją krótką zmianę przy ładowaniu i rozładowywaniu zaczął jej przynosić drobne smakołyki z Bev's. Czasem była to torebka gotowanych orzeszków ziemnych albo chrupek Mac's Cracklin, kiedy indziej ciastka Moon Pie albo tarta wiśniowa. Raz przyniósł jej słoik pikli Wickles; natychmiast go złapała i ścisnęła między wątlymi piersiami, śmiejąc się radośnie.

– Wicklesy! Nie jadłam wicklesów, odkąd Hector był szkrabem! Dlaczego jesteś dla mnie taki dobry, panie J.?

– Nie wiem – powiedział Tim. – Chyba po prostu cię lubię, Annie. Mogę spróbować?

Podawała mu słoik.

– Jasne. I tak go musisz otworzyć, bo ja mam straszny artretyzm. – Wyciągnęła ręce i rozczapierzyła palce tak powykręcane, że

przypominały kawałki drewna wyrzucone na brzeg. – Ciągłe jeszcze szyję i robię na drutach, ale Bóg jeden raczy wiedzieć, jak długo dam radę.

Tim otworzył słoik, trochę się skrzywił, gdy poczuł mocny zapach octu, i wyłowił jednego pikla, który ociekał czymś, co równie dobrze mogło być formaldehydem.

– Oddawaj, oddawaj!

Podał słoik kobiecie, a pikla zjadł.

– Chryste, Annie, teraz chyba do końca życia będę miał wykrzywione usta.

Roześmiała się, pokazując nieliczne zęby, które jej jeszcze zostały.

– Najlepsze są z chlebem z masłem i zimną RC colą. Albo z piwem, ale tego to ja już nie piję.

– Co dziergasz? Czy to jest szalik?

– Nasz Pan nie przyjdzie we własnym stroju – odpowiedziała Annie. – Idź już, panie J., i rób swoje. Uważaj na ludzi w czarnych samochodach. George Allman w radiu ciągle o nich mówi. Wiesz, skąd oni są, no nie? – Rzuciła mu porozumiewawcze spojrzenie. Może żartowała. Albo i nie. Z Sierotką Annie nigdy nie było wiadomo.

Kolejnym mieszkańcem nocnej strony DuPray był Corbett Denton. Pracował w miasteczku jako fryzjer i znano go w okolicy jako Dobosza, z powodu jakiegoś nastoletniego wysoku, którego szczegółów nikt właściwie nie pamiętał, oprócz tego, że efektem było miesięczne zawieszenie w prawach ucznia szkoły średniej. Może za młodu był dzikus, ale te czasy dawno minęły. Dobosz dobiegał sześćdziesiątki albo już ją przekroczył, miał nadwagę, łysiał i cierpiał na bezsenność. Kiedy nie mógł spać, siadał na schodkach swojego zakładu i przyglądał się pustej głównej ulicy. Pustej, ma się rozumieć, nie licząc Tima. Stosowali zagrywki typowe w zdawkowych rozmowach ludzi, którzy ledwo się znają – coś o pogodzie, baseballu, letnim jarmarku ulicznym odbywającym się co roku w miasteczku – ale pewnej nocy Denton powiedział coś, co uruchomiło u Tima żółty alarm.

– Wiesz, Jamieson, wydaje nam się, że żyjemy, ale to nasze życie wcale nie jest prawdziwe. To tylko gra cieni i bardzo się ucieszę, jak wreszcie zgaśnie światło. W ciemności wszystkie cienie znikają.

Tim usiadł na schodkach zakładu fryzjerskiego pod trójkolorowym słupkiem, którego niekończąca się spirala na noc znieruchomiła. Zdjął okulary, wytarł je w koszulę i z powrotem włożył.

– Mogę powiedzieć coś szczerze? – spytał.

Dobosz Denton pstryknął papierosem do rynsztoka i błysnęło kilka iskier.

– Dawaj. Między północą a czwartą każdy powinien mieć prawo mówić, co myśli. Tak przynajmniej uważam.

– Mówisz jak człowiek cierpiący na depresję.

Dobosz parsknął śmiechem.

– Sherlock Holmes się znalazł!

– Powinieneś pójść do doktora Ropera. Są takie proszki, po których człowiek nabiera pogodniejszego nastawienia. Bierze je moja była. Chociaż pewnie dużo bardziej rozpogodziła się dzięki temu, że się mnie pozbyła. – Tim uśmiechnął się, by pokazać, że to żart, ale Dobosz Denton nie odpowiedział uśmiechem, tylko się podniósł.

– Wiem o tych proszkach, Jamieson. Są jak gorzała i trawa. I pewnie jak ecstasy, które dzisiaj biorą dzieciaki, gdy chodzą na te swoje rave'y, czy jak na to mówią. Te rzeczy sprawiają, że przez chwilę wierzysz, że to wszystko jest prawdziwe. Że ma znaczenie. Ale nie jest i nie ma.

– Daj spokój – rzucił cicho Tim. – Tak nie można.

– Moim zdaniem wręcz trzeba – odparł fryzjer i ruszył w stronę schodów do swego mieszkania nad zakładem. Szedł wolno i ociężale.

Tim patrzył za nim zaniepokojony. Pomyślał, że Dobosz Denton to jeden z takich ludzi, którzy w pewną deszczową noc postanawiają się zabić. Może razem z psem, jeśli Dobosz go ma. Jak egipski faraon. Tim rozważał, czy nie pomówić o tym z szeryfem Johnem, ale potem przypomniał sobie Wendy Gullickson, która wciąż była przy nim dość spięta. Ostatnie, na czym mu zależało, to żeby ona albo któryś z pozostałych zastępców szeryfa uznał, że Tim się wywyższa. Nie był już policjantem, tylko miejscowym nocnym strażnikiem. Lepiej odpuścić.

Ale nigdy tak do końca nie przestał myśleć o Doboszu Dentonie.

12

Pewnej nocy pod koniec czerwca Tim podczas obchodu zauważył dwóch chłopców, którzy z plecakami na plecach i pojemnikami na drugie śniadanie w dłoniach szli Main Street w kierunku zachodnim. Mogliby tak iść do szkoły, gdyby nie to, że była druga nad ranem. Nocnymi spacerowiczami okazali się bliźniacy Bilsonowie. Wkurzyli się na rodziców, którzy z powodu kiepskich stopni synów nie chcieli ich zabrać na kiermasz rolniczy Dunning.

– Głównie mieliśmy tróje, żadnej pały – powiedział Robert Bilson. – I zdaliśmy do następnej klasy. Co w tym złego?

– To nie w porządku – włączył się Roland Bilson. – Będziemy na kiermaszu z samego rana i dostaniemy robotę. Słyszeliśmy, że ciągle potrzebują robotników niewykolegowanych.

Timowi przeszło przez głowę, by go uświadomić, że chodzi o robotników niewykwalifikowanych, ale stwierdził, że to bez znaczenia.

– Chłopcy, nie chcę was rozczarowywać, ale macie... ile? Z jedenaście lat?

– Dwanaście! – odparli chórem.

– Dobra, dwanaście. Nie tak głośno, ludzie śpią. Nikt was na tym marnym kiermaszu nie zatrudni. Zamiast tego wsadzą was do festynowego aresztu i potrzymają tam do przyjazdu rodziców. A do tego czasu ludzie będą przychodzić i gapić się na was. Może nawet rzucać orzeszkami albo chrupkami.

Bracia Bilsonowie spojrzeli na niego z konsternacją (i być może odrobiną ulgi).

– Powiem wam, co teraz zrobicie – ciągnął Tim. – Natychmiast wróćcie do domu, a ja będę szedł za wami, żeby się upewnić, że kolektywnie nie zmieniliście zdania.

– Co to znaczy kolektywnie?

– To taki sposób myślenia, który podobno wykazują bliźniacy, a przynajmniej tak mówią ludzie. Wyszliście drzwiami czy oknem?

– Oknem – powiedział Roland.

– Dobrze, wróćcie tak samo. Jak wam się poszczęści, rodzice nawet się nie zorientują, że was nie było.

– Nie powie im pan? – To Robert.

– Nie, chyba że wytniecie ten numer drugi raz. Wtedy powiem im nie tylko o tym, co zrobiliście, ale też że mi pyskowaliście, jak was złapałem.

– Ale przecież wcale nie pyskowaliśmy! – zaprotestował zszokowany Roland.

– Skłamię – powiedział Tim. – Jestem w tym dobry.

Ruszył za chłopcami. Patrzył, jak Robert Bilson podsadza brata do otwartego okna. Potem Tim sam w ten sposób pomógł Robertowi. Zaczekał, czy gdzieś w domu zapali się światło sygnalizujące, że niedoszli uciekinierzy za moment zostaną nakryci, a kiedy się tak nie stało, kontynuował obchód.

W piątkowe i sobotnie wieczory na ulicach było więcej ludzi, przynajmniej do dwunastej albo pierwszej w nocy. Głównie par na randkach. Później czasem zdarzała się inwazja – jak to określił szeryf John – mądrali w podkręconych furach, czyli młodych ludzi w podrasowanych samochodach osobowych i pick-upach, którzy pędzili pustą główną ulicą DuPray sto albo sto dziesięć kilometrów na godzinę, jeden obok drugiego, budząc mieszkańców dokuczliwym rykiem tłumików. Nieraz któregoś z nich zatrzymywał zastępca szeryfa albo funkcjonariusz policji stanowej, żeby go spisać (albo przymknąć, gdy alkomat pokazał więcej niż 0,9 promila), ale chociaż w weekendy nocą było na służbie czterech miejscowych policjantów, takie zatrzymania zdarzały się rzadko. Zwykle podobne numery uchodziły na sucho.

Tim poszedł odwiedzić Sierotkę Annie. Siedziała przed swoim namiotem i robiła na drutach bambosze. Mimo artretyzmu jej palce poruszały się w tempie błyskawicy. Tim zapytał, czy nie chciałaby zarobić dwudziestu dolarów. Annie odparła, że parę groszy zawsze się przyda, ale to będzie zależało od roboty. Gdy wyjaśnił, o co chodzi, zarechotała.

– Bardzo chętnie, panie J. Pod warunkiem że dorzucisz parę słoików wicklesów.

Annie, która najwyraźniej wyznawała maksymę, że jak już coś robić, to na dużą skalę, wykonała dla niego transparent szeroki na dziewięć metrów i wysoki na dwa. Tim przymocował go do stalowego wałka, który sam wykonał, zespawawszy kilka kawałków rury w warsztacie firmy Fromie's: Sprzedaż i Naprawa Małych Silników. Kiedy wyjaśnił szeryfowi Johnowi, co zamierza, a ten się zgodził, Tim i Tag Faraday zawiesili wałek nad skrzyżowaniem trzech ulic – w tym Main Street – na linie, którą z jednej strony przymocowali do frontowej ściany drogerii Oberg's, a z drugiej do nieczynnego kina.

W piątkowe i sobotnie wieczory w porze zamknięcia barów Tim ciągnął za sznurek i rozwijał transparent niczym roletę w oknie. Po obu stronach Annie narysowała staromodny aparat fotograficzny z fleszem. Napis pod spodem brzmiał: **ZWOLNIJ, IDIOTO! FOTOGRAFUJEMY TWOJĄ TABLICĘ REJESTRACYJNĄ!**

Oczywiście niczego nie fotografowali (choć Tim zapisywał numery, jeśli tylko zdążył), lecz transparent Annie naprawdę podziałał. Nie był idealny, ale co w życiu takie jest?

Na początku lipca szeryf John wezwał Tima do swojego biura. Tim zapytał, czy będzie miał kłopoty.

– Wręcz przeciwnie – powiedział szeryf John. – Robisz świetną robotę. Myślałem, że ten transparent to idiotyzm, muszę jednak przyznać, że się myliłem, a ty miałaś rację. Mnie zresztą nigdy nie przeszkadzały te nocne wyścigi ani narzekania mieszkańców, że jesteśmy zbyt leniwi, żeby je ukrócić. Tych samych mieszkańców, zauważ, którzy rok w rok głosują przeciwko zwiększeniu wydatków na policję. Problem mam z syfem, który trzeba sprzątać, kiedy któryś z tych ścigantów walnie w drzewo albo słup telefoniczny. Trupy są okropne, ale tacy, co po jednej nocy głupich wyskoków już nigdy nie będą tacy sami... Czasami mam wrażenie, że to jeszcze gorsze. Na szczęście w tym roku czerwiec był w porządku. A nawet jeszcze lepszy. Może to tylko wyjątek od reguły, myślę jednak, że nie. Myślę, że to ten transparent. Powiedz Annie, że tą robotą pewnie uratowała paru ludziom życie i że kiedy tylko chce, może przy kiepskiej pogodzie nocować w którejś z naszych cel.

– Tak zrobię – obiecał Tim. – I będzie przychodziła często, pod warunkiem że zapewnisz jej tam zapas wicklesów.

Szeryf John odchylił się na oparcie. Krzesło jęknęło rozpaczliwiej niż zwykle.

– Kiedy mówiłem, że masz za wysokie kwalifikacje na posadę nocnego strażnika, nie miałem pojęcia, jak bardzo. Będzie nam ciebie brakować, kiedy w końcu wyjedziesz do Nowego Jorku.

– Wcale się nie śpieszę – odparł Tim.

14

Jedynym sklepem czynnym przez całą dobę był Zoney's GoMart w pobliżu kompleksu magazynów. Oprócz piwa, napojów gazowanych i chipsów można tam było kupić niemarkową benzynę o nazwie Go Juice. Na nocnej zmianie, od dwunastej do ósmej rano, pracowali na przemian dwaj przystojni bracia Somalijczycy, Absimil i Gutaale Dobirowie. Pewnej skwarnej nocy w połowie lipca, kiedy Tim, pukając i robiąc znaczki kredą, podążał w kierunku zachodniego końca Main Street, usłyszał huk dobiegający od strony Zoney's. Niezbyt głośny, ale potrafił rozpoznać strzał. Zaraz potem rozległ się okrzyk bólu albo gniewu i brzęk tłuczonego szkła.

Tim ruszył biegiem; zegar czasu pracy bębnił mu o udo, ręka automatycznie sięgnęła po broń, której już tam nie było. Zobaczył samochód zaparkowany przy dystrybutorach. Gdy zbliżał się do sklepu, wypadło z niego dwóch młodych ludzi i jeden niósł coś w garści, zapewne

gotówkę. Przyklęknąwszy na jedno kolano, Tim patrzył, jak wsiadają do auta i odjeżdżają z rykiem. Spod kół obracających się na asfalcie umazanym olejem i smarem buchnął obłok sinego dymu.

Odczepił krótkofalówkę od paska.

– Baza, mówi Tim. Kto tam jest? Odbiór.

Odezwała się Wendy Gullickson, senna i obruszona.

– Czego chcesz, Tim?

– Dwieście jedenaście w Zoney's. Padł strzał.

To ją rozbudziło.

– Jezu, napad? Zaraz tam b...

– Nie, posłuchaj. Dwaj sprawcy, mężczyźni, biali, lat kilkanaście albo dwadzieścia parę. Mały samochód. Być może chevrolet cruze, pod światłówkami na stacji benzynowej nie dało się stwierdzić koloru, ale nowy model, tablica rejestracyjna z Karoliny Północnej, zaczyna się od WTB-dziewięć, ostatnich trzech cyfr nie odczytałem. Przekaż tym, którzy mają patrol, i policji stanowej, zanim zrobisz cokolwiek innego.

– Co...

Rozłączył się, z powrotem przypiął krótkofalówkę i pognął biegiem do sklepu. Szyba naprzeciwko lady była rozbita, a kasa otwarta. Jeden z braci Dobirów leżał na boku w rosnącej kałuży krwi. Oddychał z trudem, a każdy wdech kończył się świstem. Tim przyklęknął obok niego.

– Panie Dobira, muszę pana obrócić na plecy.

– Proszę, nie... boli...

Nie wątpił, że boli, ale musiał obejrzeć obrażenia. Kula weszła wysoko po prawej stronie niebieskiej firmowej bluzy Zoney's, która teraz była błotniście fioletowa od krwi. Krew ciekła też Dobirze z ust i wsiąkała w bródkę. Kiedy zakaszła, drobne kropelki ochlapały twarz i okulary Tima.

Tim znowu sięgnął po krótkofalówkę i odetchnął z ulgą, że Gullickson została na posterunku.

– Wendy, potrzebna karetka z Dunning. Jak najszybciej. Jeden z Dobirów jest ranny, kula chyba trafiła w płuco.

Policjantka przyjęła meldunek i chciała o coś zapytać, lecz Tim znów się rozłączył, upuścił krótkofalówkę na podłogę i ściągnął swój T-shirt. Przycisnął go do dziury w piersi mężczyzny.

– Panie Dobira, może pan to chwilę przytrzymać?

– Trudno... oddychać.

– Na pewno. Niech pan to przytrzyma. Będzie lepiej.

Somalijczyk przycisnął zwiniętą koszulkę do piersi. Tim przypuszczał, że nie utrzyma jej zbyt długo, a karetki można się było spodziewać najwcześniej za dwadzieścia minut. Zresztą nawet takie tempo byłoby cudem.

W sklepach przy stacjach benzynowych z reguły jest dużo przekąsek, ale mało środków opatrunkowych. Była jednak wazelina. Tim złapał słoiczek, a z sąsiedniej alejki wziął paczkę pieluch. Rozerwał ją, biegnąc do leżącego. Zabrał mu koszulkę, już przesiąkniętą krwią, łagodnie uniósł równie nasiąkniętą niebieską bluzę i zaczął rozpinąć koszulę Dobiry.

– Nie, nie, nie – wyjęczał mężczyzna. – Boli, nie dotykaj, proszę.

– Muszę. – Tim usłyszał silnik nadjeżdżającego samochodu. Na potłuczonym szkłe tańczyło i migotało niebieskie światło. Nie obejrzał się. – Niech pan się trzyma.

Nabrał pecynę wazeliny ze słoika i wsadził ją w ranę. Dobira zawył z bólu, a potem spojrzał na Tima szeroko otwartymi oczami.

– Oddycham... trochę lepiej.

– To tylko chwilowe rozwiązanie, ale skoro lepiej pan oddycha, to znaczy, że pewnie nie zapadło się płuco. – A przynajmniej nie do końca, pomyślał Tim.

Wszedł szeryf John i uklęknął obok niego. Miał na sobie spodnie od munduru i górę od piżamy wielką niczym grotzagiel. Włosy sterczały mu we wszystkie strony.

– Szybko przyjechałeś – rzucił Tim.

– Nie spałem. Nie mogłem zasnąć, więc właśnie robiłem sobie kanapkę, kiedy zadzwoniła Wendy. Proszę pana, ma pan na imię Gutaale czy Absimil?

– Absimil. – Mężczyzna wciąż miał świszczący oddech, ale mówił nieco mocniejszym głosem. Tim wyjął z opakowania pieluchę i wciąż złożoną przycisnął do rany. – O, jak boli!

– Przeszła na wylot czy jeszcze siedzi? – zapytał szeryf John.

– Nie wiem i nie chcę go znowu obracać, żeby sprawdzić. Jest w dość stabilnym stanie, więc trzeba po prostu poczekać na karetkę.

Krótkofalówka Tima zatrzeszczała. Szeryf John wyciągnął ją ostrożnie z potłuczonego szkła. To była Wendy.

– Tim? Bill Wicklow zauważył tych gości na Deep Meadow Road i ruszył za nimi.

– Wendy, tu John. Powiedz Billowi, żeby uważał. Są uzbrojeni.

– Wcale nie, są załatwieni. – Może wcześniej Wendy była senna, ale teraz całkiem się rozbudziła, a w jej głosie brzmiała satysfakcja. –

Porzucili samochód, próbowali uciekać pieszo. Jeden ma złamaną rękę, a drugi jest przykuty kajdankami do zderzaka wozu Billa. Policja stanowa już jedzie. Powiedz Timowi, że miał rację, to był chevrolet cruze. Co z Dobirą?

– Wylize się – odparł szeryf John.

Tim wcale nie był o tym przekonany, ale rozumiał, że szeryf mówi nie tylko do zastępczyni Gullickson, ale także do rannego.

– Dałem im pieniądze z kasy – powiedział Dobira. – Tak nas uczą. – Mimo to sprawiał wrażenie zawstydzonego. Bardzo zawstydzonego.

– Postąpił pan właściwie – rzucił Tim.

– Ten z pistoletem i tak do mnie strzelił. A drugi włamał się do kantorka. Żeby zabrać... – Znowu zaczął kasłać.

– Już dobrze – uspokoił go szeryf John.

– Żeby zabrać losy na loterię – dokończył Absimil Dobira. – Te zdraпки. Musimy je trzymać na zapleczu. Dopóki ktoś ich nie kupi, są własnością... – zakasłał słabo – własnością stanu Karolina Południowa.

– Niech pan już nic nie mówi, panie Dobira – poprosił szeryf John. – Niech się pan nie martwi cholernymi zdrapkami i oszczędza siły.

Somalijczyk zamknął oczy.

15

Nazajutrz, kiedy Tim jadł lunch na werandzie stacji kolejowej, podjechał szeryf John prywatnym samochodem. Wszedł po schodkach i spojrzał na zapadnięte siedzisko jedyne wolnego krzesła.

– Sądysz, że się pode mną nie zarwie?

– Musisz się przekonać – powiedział Tim.

Szeryf John usiadł ostrożnie.

– W szpitalu mówią, że Dobira z tego wyjdzie. Jest z nim brat, Gutaale. Mówi, że już wcześniej widział tych dwóch sukinsynów. Parę razy.

– Obczajali miejscówę – stwierdził Tim.

– Z pewnością. Wysłałem do szpitala Taga Faradaya, żeby spisał zeznania obu braci. Tag to najlepszy człowiek, jakiego mamy, ale pewnie nie muszę ci tego mówić.

– Gibson i Burkett też nie są źli.

Szeryf John westchnął.

– Nie są, ale żaden nie zadziałałby tak szybko ani tak stanowczo jak ty wczoraj. A biedna Wendy pewnie tylko by stała i się gapiała... pod warunkiem że od razu by nie zemdląca.

– Sprawdza się jako dyspozytorka – powiedział Tim. – Jest do tego stworzona. To tylko moja opinia.

– Mhm, mhm, i świetnie zarządza biurem, w zeszłym roku uporządkowała nam całą dokumentację i pozgrywała wszystko na pendrive’y, jednak w terenie jest do niczego. Ale uwielbia być w zespole. A ty, Tim? Chciałbyś być w naszym zespole?

– Myślałem, że nie stać was na jeszcze jednego gliniarza. Dostaliście w końcu więcej kasy na pensje?

– Chciałbym. Ale Bill Wicklow z końcem roku składa odznakę. Pomyślałem, że moglibyście się zamienić robotą. On by chodził i stukał, a ty znowu włożyłbyś mundur i nosił broń. Pytałem Billa. Mówi, że praca nocnego strażnika by mu pasowała, przynajmniej na jakiś czas.

– Mogę się zastanowić?

– Nie widzę przeciwwskazań. – Szeryf John wstał. – Do końca roku jeszcze pięć miesięcy. Ale chętnie byśmy cię przyjęli.

– Zastępczyni Gullickson również?

Szeryf John uśmiechnął się szeroko.

– Wendy trudno do siebie przekonać, ale wczoraj dużo w tym celu zrobiłeś.

– Naprawdę? A gdybym zaprosił ją na kolację? Jak myślisz, co by powiedziała?

– Myślę, że by się zgodziła, pod warunkiem że nie chcesz jej zabrać do Bev’s. Taka ładna dziewczyna oczekiwałaby, że pójdziecie co najmniej do Roundup w Dunning. Albo do tej meksykańskiej knajpy w Hardeeville.

– Dzięki za radę.

– Nie ma za co. I pomyśl nad tą robotą.

– Tak zrobię.

I zrobił. Wciąż jeszcze o niej myślał, kiedy nieco później tego lata w pewną upalną noc rozpętało się piekło.

BYSTRY CHŁOPAK

Pewnego pięknego ranka w kwietniu tego samego roku – parę miesięcy przed przybyciem Tima Jamiesona do DuPray – Herberta i Eileen Ellisów wprowadzono do gabinetu Jima Greera, jednego z trzech szkolnych psychologów w Szkole dla Wyjątkowych Dzieci imienia Brodericka w Minneapolis.

– Luke nie wpakował się w jakieś kłopoty, prawda? – zapytała Eileen, gdy usiedli. – Bo jeśli tak, to nic nam nie mówił.

– Bynajmniej – powiedział Greer. Miał trzydzieści parę lat, przerzedzone ciemne włosy i poważną twarz. Był w sportowej koszuli rozpiętej pod szyją i wyprasowanych dżinsach. – Proszę posłuchać, wiedzą państwo, jak w naszej szkole wszystko działa, prawda? Jak musi działać, biorąc pod uwagę możliwości umysłowe naszych uczniów. Są oceniani, ale nie za pomocą stopni. To niemożliwe. Mamy tu dziesięciolatków z lekkim autyzmem, którzy rozwiązują zadania matematyczne dla szkół średnich, ale czytają na poziomie trzeciej klasy. Mamy dzieci biegle mówiące w czterech językach, ale nieradzące sobie z mnożeniem ułamków. Uczymy ich wszystkich przedmiotów, a dziewięćdziesiąt procent dzieci u nas mieszka... to konieczne, bo pochodzą z całych Stanów Zjednoczonych, a kilkanaście osób jest z zagranicy. Ale skupiamy uwagę na ich szczególnych talentach, wszelkiego rodzaju. Z tego powodu tradycyjny system, w którym dzieci, począwszy od przedszkola, zdają do kolejnych klas, aż do dwunastej, jest dla nas właściwie bezużyteczny.

– Rozumiemy – przyznał Herb. – I wiemy, że Luke to bystry chłopak. Dlatego tu jest.

Nie dodał (a Greer z pewnością to wiedział), że w życiu nie byłoby ich stać na tutejsze astronomiczne chesne. Herb pracował jako brygadzysta w fabryce pudełek, Eileen – jako nauczycielka w podstawówce. Luke był jednym z niewielu uczniów dochodzących i jednym z bardzo nielicznych stypendystów.

– Bystry? Niezupełnie – rzucił Greer.

Spuścił wzrok na otwartą teczkę leżącą na jego nieskazitelnie czystym biurku, a Eileen nagle miała przeczucie: albo poproszą ich o wypisanie

syna ze szkoły, albo odbiorą mu stypendium, co i tak zmusiłoby ich do wypisania syna ze szkoły. Rok nauki w Brodericku kosztował plus minus czterdzieści tysięcy dolarów, mniej więcej tyle samo co na Harvardzie. Greer powie, że to jedna wielka pomyłka, że Luke wcale nie jest taki bystry, jak wszyscy myśleli. Jest normalnym dzieckiem, które czyta wyjątkowo dobrze jak na swój wiek i jakimś cudem wszystko zapamiętuje. Eileen wiedziała z własnych lektur, że u małych dzieci pamięć ejdetyczna nie jest bynajmniej taka rzadka. Zdolność zapamiętywania niemal wszystkiego wykazuje od dziesięciu do piętnastu procent zwyczajnych dzieci. Haczyk polegał na tym, że ten talent zazwyczaj znika w wieku dojrzewania, a Luke właśnie się do niego zbliżał.

Psycholog się uśmiechnął.

– Powiem wprost. Szczycimy się tym, że mamy pod opieką wyjątkowe dzieci, ale nigdy dotąd nie było w tej szkole ucznia takiego jak Luke. Jeden z naszych emerytowanych nauczycieli, pan Flint, dziś już po osiemdziesiątce, zorganizował dla Luke’a kurs historii Bałkanów. To skomplikowany temat, który rzuca dużo światła na aktualną sytuację geopolityczną. Tak przynajmniej twierdzi pan Flint. Po tygodniu przyszedł do mnie i powiedział, że czuje się przy państwa synu tak, jak musieli się czuć żydowscy uczeni, kiedy Jezus nie tylko ich nauczał, ale też upominał, że nie to ich czyni nieczystymi, co wkładają do ust, lecz co z nich wychodzi.

– Nie rozumiem – powiedział Herb.

– Czyli zupełnie jak Billy Flint. I właśnie to mam na myśli. – Greer pochylił się nad biurkiem. – Proszę mnie posłuchać. Luke w ciągu tygodnia przyswoił dwa semestry trudnego materiału na poziomie studiów doktoranckich i wyciągnął wiele takich samych wniosków jak te, które pan Flint zamierzał przedstawić Luke’owi po wcześniejszym zapoznaniu go z solidnym tłem historycznym. W odniesieniu do części z nich chłopiec argumentował, i to przekonująco, że odzwierciedlają „raczej powszechnie panującą opinię niż oryginalną myśl”. Chociaż, jak zaznaczył pan Flint, Luke zrobił to niezwykle uprzejmie. Niemal ze skruchą.

– Nie bardzo wiem, co powiedzieć – odparł Herb. – Syn mało opowiada o szkole. Mówi, że byśmy nie zrozumieli.

– I właściwie ma rację – przyznała Eileen. – Kiedyś wiedziałam coś o dwumianie Newtona, ale to było dawno temu.

– Kiedy Luke wraca do domu, jest taki sam jak inne dzieci. Po odrobieniu lekcji i wykonaniu domowych obowiązków włącza xboxa albo gra w kosza na podjeździe ze swoim kolegą Rolfem. Nadal ogląda *SpongeBoba*. – Herb zastanowił się, po czym dodał: – Chociaż zwykle z książką na kolanach.

Tak, pomyślała Eileen. Ostatnio były to *Zasady socjologii*. Wcześniej William James. Jeszcze wcześniej Wielka Księga AA, a przedtem dzieła wszystkie Cormaca McCarthy’ego. Czytał w taki sposób, w jaki pasą się krowy na pastwisku, które swobodnie chodzą tam, gdzie trawa jest najzieleniejsza. Tę kwestię mąż Eileen postanowił ignorować, bo przerażała go jej dziwność. Eileen również była tym przerażona i pewnie dlatego nie wiedziała o kursie z historii Bałkanów. Luke o tym nie wspominał, bo nie zapytała.

– Mamy tu geniuszy – powiedział Greer. – Określiłbym tak dobrze ponad połowę wszystkich uczniów Brodericka. Ale oni mają swoje ograniczenia. Luke jest inny, bo u niego to jest globalne. Nie chodzi o jedną rzecz, ale o wszystko. Wątpię, żeby kiedykolwiek zawodowo grał w baseball albo koszykówkę...

– Jeżeli odziedziczy wzrost po mojej rodzinie, będzie za niski na zawodowego koszykarza. – Herb się uśmiechał. – No, chyba że zostanie drugim Spudem Webbem.

– Cicho – skarciła męża Eileen.

– Mimo to gra z entuzjazmem – ciągnął Greer. – Lubi sport, nie uważa go za stratę czasu. Na boisku nie jest ofermą. Dogaduje się z kolegami. Nie jest introwertykiem i nie ma żadnych zaburzeń emocjonalnych. Luke to zwyczajny, stosunkowo wyluzowany amerykański dzieciak, który nosi koszulki zespołów rockowych i czapkę daszkiem do tyłu. Może w normalnej szkole nie byłby tak wyluzowany, bo doprowadzałoby go do szału powolne tempo, ale myślę, że tam również by sobie poradził, po prostu uczyłby się na własną rękę. Oczywiście nie powinni państwo tego sprawdzać – dodał pośpiesznie.

– Nie, cieszymy się, że jest tutaj – powiedziała Eileen. – Bardzo. I wiemy, że to dobry chłopak. Kochamy go do szaleństwa.

– A on państwa. Kilka razy z nim rozmawiałem i nie pozostawia co do tego wątpliwości. Tak genialne dziecko trafia się niezwykle rzadko. A takie, które zarazem jest dobrze przystosowane do życia i twardo stąpa po ziemi, takie, które świat zewnętrzny postrzega równie wyraźnie co ten wewnątrz własnej głowy, jeszcze rzadziej.

– Skoro wszystko w porządku, to dlaczego tu jesteśmy? – zapytał Herb.
– Nie żebym nie lubił słuchać, jak wychwala pan naszego syna, nic z tych rzeczy. A tak na marginesie, dalej ogrywam go w króla, chociaż ma niezły rzut hakiem.

Greer odchylił się na oparcie fotela. Jego uśmiech zniknął.

– Są państwo tutaj, ponieważ zbliżamy się do granicy tego, co możemy zrobić dla Luke’a, i on o tym wie. Wyraził zainteresowanie dość niezwykłymi studiami. Chciałby iść na inżynierię w Massachusetts Institute of Technology w Cambridge i jednocześnie na anglistykę w Emerson College w Bostonie po drugiej stronie rzeki.

– Co takiego? – zapytała Eileen. – Jednocześnie?!

– Tak.

– A egzaminy SAT? – Nic innego nie przyszło jej do głowy.

– Podejdzie do nich za miesiąc, w maju. W szkole średniej North Community. I pozamiata.

Będę musiała spakować mu lunch, pomyślała Eileen. Słyszała, że w stołówce w North Comm dają okropne jedzenie.

Po chwili milczenia odezwał się oszołomiony Herb:

– Proszę pana, nasz syn ma dopiero dwanaście lat! I to zaledwie od miesiąca. Może rozkminił, o co chodzi w Serbii, ale miną jeszcze trzy lata, zanim puści mu się wąs. Pan... to...

– Rozumiem, co państwo czują, ale nie prowadzilibyśmy tej rozmowy, gdyby nie to, że reszta psychologów szkolnych i ciała pedagogicznego również uważa, że Luke jest do tego gotowy pod względem osiągnięć w nauce, społecznym i emocjonalnym. Owszem, na obu uczelniach.

– Nie wyślę dwunastolatka na drugi koniec kraju, żeby mieszkał wśród studentów, którym wolno legalnie pić i chodzić do klubów – oświadczyła Eileen. – Może gdyby miał tam jakichś krewnych, u których mógłby się zatrzymać, byłoby inaczej, ale...

Greer z aprobatą kiwał głową.

– Rozumiem, w pełni się z panią zgadzam. I Luke sam wie, że nie jest gotowy żyć samodzielnie, nawet pod opieką. Podchodzi do tego bardzo trzeźwo. Ale z powodu obecnej sytuacji zaczyna być sfrustrowany i nieszczęśliwy, ponieważ jest głodny wiedzy. Wręcz jej złakniony. Nie wiem, jakie cudowne gadzety tkwią w jego głowie... nikt z nas tego nie wie, a najbliższym był pewnie stary Flint, gdy mówił o Jezusie nauczającym żydowską starszysznę... ale kiedy próbuję to sobie wyobrazić, widzę wielką, lśniącą maszynę, która pracuje na zaledwie dwa procent

możliwości. Góra pięć. Ponieważ jest to jednak ludzka maszyna, Luke czuje się... głodny.

– Sfrustrowany i nieszczęśliwy? – powtórzył Herb. – Hm... My nie widzimy go od tej strony.

Ja widzę, pomyślała Eileen. Nie zawsze, ale czasami. Tak. Właśnie wtedy szczękają talerze albo drzwi same się zatrząskują.

Pomyślała o wielkiej, lśniącej maszynie Greera, takiej, która wypełniłaby trzy albo i cztery budynki wielkości magazynu i zajmowała się... czym właściwie? Niczym ambitniejszym niż produkcja papierowych kubków albo wytłaczanie aluminiowych tac do fast foodu. Rodzice byli Luke'owi winni coś więcej, ale czy to?

– A może Uniwersytet Minnesoty? – zapytała. – Albo Concordia w Saint Paul? Gdyby tam studiował, mógłby mieszkać w domu.

Greer westchnął.

– Równie dobrze mogliby go państwo wypisać z Brodericka i przenieść do zwykłej szkoły średniej. Mówimy o chłopcu, wobec którego skala ilorazu inteligencji jest bezużyteczna. On wie, gdzie chce się uczyć. Wie, czego mu potrzeba.

– Nie mam pojęcia, co możemy na to poradzić – powiedziała Eileen. – Nawet jeśli dostałby stypendium, żeby tam studiować, to my pracujemy tutaj. I nie jesteśmy bogaci.

– No dobrze, porozmawiajmy o tym – rzekł Greer.

2

Kiedy tego popołudnia Herb i Eileen wrócili pod szkołę, Luke gadał przy krawężniku z czwórką innych dzieci – dwoma chłopcami i dwiema dziewczynkami. Śmiali się i rozmawiali o czymś z ożywieniem. W oczach Eileen wyglądali jak zwyczajne amerykańskie dzieciaki: dziewczęta, którym dopiero zaczynały rosnąć piersi, w spódniczkach i legginsach, Luke i jego kolega Rolf w workowatych sztruksach – to tegoroczny krzyk mody u młodych mężczyzn – oraz T-shirtach. Na koszulce Rolfa był napis PIWO JEST DLA POCZĄTKUJĄCYCH. Chłopiec miał wiolonczelę w pikowanym futerale i tańczył wokół niej jak na rurze, nawijając być może o balu wiosennym, a być może o twierdzeniu Pitagorasa.

Luke zobaczył rodziców, zdążył jeszcze zbić piątkę z Rolfem, a potem złapał plecak i zanurkował na tylne siedzenie 4runnera matki.

– Duet rodzicielski – powiedział. – Doskonale. Czemu zawdzięczam ten nadzwyczajny zaszczyt?

– Naprawdę chcesz jechać na studia do Bostonu? – zapytał Herb.

Luke wcale nie był zbity z tropu; zaśmiał się i podniósł obie pięści.

– Tak! Mogę?

Zupełnie jakby pytał, czy może spędzić u Rolfa piątkowy wieczór, pomyślała z zachwytem Eileen. Przypomniała sobie, co Greer powiedział o talencie jej syna. Nazwał go globalnym i to było idealne słowo. Luke to geniusz, którego osobowości jakimś cudem nie wypaczył olbrzymi intelekt; chłopak, który bez namysłu stawał na deskorolce i zjeżdżał jak szalony stromą ulicą z tym swoim niepowtarzalnym mózgiem na karku.

– Chodźmy na wczesną kolację i obgadajmy to – zaproponowała.

– Rocket Pizza! – wykrzyknął Luke. – Co wy na to? Pod warunkiem że wzięłeś omeprazol, tato. Wzięłeś?

– O, uwierz mi, po dzisiejszym spotkaniu jestem na bieżąco.

3

Zamówili dużą pepperoni i Luke połowę pochłonął sam z trzema szklankami coli z dzbanka XXL, tak że rodzice zaczęli się zachwycać nie tylko jego umysłem, ale także możliwościami przewodu pokarmowego oraz pęcherza. Wyjaśnił, że już wcześniej gadał z psychologiem.

– Nie chciałem was stresować. Pan Greer miał wam najpierw wszystko wyjaśnić.

– Wystawiłeś kasek na próbę, żeby zobaczyć, czy kot się skusi – powiedział Herb.

– Właśnie. Wciągnąłem flagę na maszt, żeby sprawdzić, kto zasalutuje. Wsadziłem pasażera w pociąg o piątej piętnaście, żeby się przekonać, czy wysiądzie w Edinie. Rzuciłem całą garścią o ścianę, żeby zobaczyć, ile...

– Dość. Pan Greer wyjaśnił nam, na jakiej zasadzie moglibyśmy pojechać z tobą.

– Musicie pojechać – oświadczył Luke z przekonaniem. – Jestem za młody, żeby nie towarzyszyli mi szanowni mater i pater. Poza tym... – Spojrzał na rodziców sponad cmentarzyska pizzy. – Nie mógłbym pracować. Bardzo bym za wami tęsknił.

Eileen nakazała oczom, żeby nie wypełniały się łzami, ale oczywiście jej nie posłuchały. Herb podał jej serwetkę.

– Pan Greer... no... przedstawił scenariusz – powiedziała. – Taki, w którym chyba... można by... no...

– Rodzino – wszedł jej w słowo Luke – kto chce ostatni kawałek?

– Cały twój – odparł Herb. – Obyś dożył tej szalonej immatrykulacji.

– *Ménage à college* – rzucił chłopiec i parsknął śmiechem. – Rozmawiał z wami o bogatych absolwentach, prawda?

Eileen odłożyła serwetkę.

– Chryste, Lukey, rozmawiałeś ze szkolnym psychologiem o perspektywach finansowych swoich rodziców? Kto z nas jest dorosły w tej dyskusji? Zaczynam mieć wątpliwości.

– Wyluzuj, *mamacita*, to logiczne. Chociaż pierwotnie pomyślałem o kapitale żelaznym. Szkoła ma olbrzymi. Mogłaby sfinansować z niego waszą przeprowadzkę i w ogóle by tego nie odczuła, ale członkowie zarządu nigdy by tego nie zatwierdzili, mimo że to ma sens.

– Naprawdę? – zdziwił się Herb.

– O tak. – Luke z entuzjazmem pogryzł pizzę, przełknął i popił colą. – Jestem inwestycją. Akcją o dużym potencjale wzrostu. Inwestujesz centy, kosisz dolary, co nie? Tak działa Ameryka. Członkowie zarządu bez problemu mogliby rozumować w takiej perspektywie, ale nie potrafią się wyrwać ze schematów kognitywnych, w których tkwią.

– Schematów kognitywnych – powtórzył jego ojciec.

– Tak, no wiesz. Schematów powstałych wskutek dialektyki odziedziczonej po przodkach. Być może to wręcz plemienne, chociaż myśl o plemienu członków zarządu jest dość komiczna. Oni myślą tak: „Jeśli zrobimy to dla niego, może trzeba będzie to zrobić także dla innego dziecka”. To jest właśnie ten schemat. Przekazywany z pokolenia na pokolenie.

– Powszechnie panująca opinia – dodała Eileen.

– Dokładnie, mamó. Członkowie zarządu przerzucą odpowiedzialność na bogatych absolwentów, ludzi, którzy zarobili kupę siana, myśląc poza stereotypami, ale nadal kochają niebiesko-biały sztandar Brodericka. Pan Greer to zorganizuje. Przynajmniej na to liczę. Układ wygląda tak: oni pomogą mnie, a potem ja pomogę szkole, kiedy będę już bogaty i sławny. Tak naprawdę nie zależy mi ani na jednym, ani na drugim, jestem do szpiku kości synem klasy średniej, ale może mimo wszystko się wzbogacę na zasadzie skutku ubocznego. Oczywiście przy założeniu, że nie zachoruję na jakąś okropną chorobę, nie zginę w ataku terrorystycznym ani nic w tym stylu.

– Nie mów takich rzeczy, które mogą ściągnąć nieszczęście – upomniała go Eileen i zrobiła nad zaśmieconym stolikiem znak krzyża.

– Przesady, mamó – odparł Luke pobłażliwie.

– Zrób mi tę przyjemność. No i wytrzymaj usta. Masz na nich sos do pizzy. Wygląda, jakby dziąsła ci krwawiły.

Chłopiec otarł usta.

– Według pana Greera – odezwał się Herb – pewne zainteresowane osoby rzeczywiście są skłonne opłacić przeprowadzkę i finansować nas przez szesnaście miesięcy.

– Czy mówił, że ci sami ludzie, którzy za was zapłacą, pomogą wam znaleźć nową pracę? – Luke’owi świeciły się oczy. – I to lepszą? Bo jeden z absolwentów szkoły to Douglas Finkel. Tak się składa, że jest właścicielem American Paper Products, a to twoje klimaty. Twoja strefa komfortu. Gdzie opona styka się z as...

– Nazwisko Finkela rzeczywiście padło – potwierdził Herb. – Czysto hipotetycznie.

– Poza tym... – Luke z błyskiem w oku odwrócił się do matki. – Obecnie w Bostonie nauczyciele są w cenie. Dla kogoś z twoim doświadczeniem średnia roczna pensja na starcie to sześćdziesiąt pięć tysiące.

– Synu, skąd ty to wszystko wiesz? – zapytał Herb.

Luke wzruszył ramionami.

– Głównie z Wikipedii. Sprawdzam też główne źródła cytowane w tamtejszych artykułach. Chodzi przede wszystkim o to, żeby być na bieżąco ze swoim środowiskiem. Moim środowiskiem jest szkoła Brodericka. Wszystkich członków zarządu już znałem, najbogatszych absolwentów musiałem sobie wyszukać.

Eileen sięgnęła przez stół, wyjęła synowi z ręki resztkę ostatniego kawałka pizzy i położyła ją na blaszanej tacce z pozostawionymi brzegami.

– Lukey, nawet gdyby to było możliwe, nie tęskniłbyś za kolegami?

Chłopcu zamgłyły się oczy.

– Tak. Zwłaszcza za Rolfem. I za Mayą też. Co prawda oficjalnie nie możemy zapraszać dziewczyn na bal wiosenny, ale nieoficjalnie jestem z nią umówiony. Więc tak. Tylko że...

Czekali. Ich synowi, zawsze elokwentnemu, często wręcz gadatliwemu, teraz jakby trudno było się wysłowić. Zaczął coś mówić, przerwał, znów zaczął i znów przerwał.

– Nie wiem, jak to powiedzieć. Nie wiem, czy w ogóle mogę.

– Spróbuj – zachęcił go ojciec. – W przyszłości przed nami jeszcze wiele ważnych rozmów, ale w tej chwili ta jest najważniejsza. Więc spróbuj.

Tak jak co godzinę, na przodzie restauracji pojawił się Richie Rocket i zaczął tańczyć *Mambo Number 5*. Eileen patrzyła, jak mężczyzna odziany w srebrny kombinezon kosmiczny gestami rąk w rękawiczkach zaprasza do tańca ludzi przy pobliskich stolikach. Dołączyło do niego kilkoro małych

dzieci, śmiały się i podrygiwały do taktu, a ich rodzice przyglądali się, robili zdjęcia i bili brawo. Nie tak dawno – zaledwie pięć krótkich lat temu – jednym z takich dzieci był Luke. A teraz rozmawiali o niewyobrażalnych zmianach. Eileen nie miała pojęcia, jak to się stało, że dziecko takie jak on urodziło się komuś takiemu jak oni, zwyczajnym ludziom ze zwyczajnymi aspiracjami i oczekiwaniami. Czasami tęskniła za czymś innym, czasami dosłownie nienawidziła roli, w jakiej zostali obsadzeni, ale nigdy nie nienawidziła Luke’a i nie mogłaby go znienawidzić. Był jej syneczkiem, jednym jedynym.

– Luke? – odezwał się Herb. Mówił bardzo cicho. – Synu?

– Chodzi o to, co będzie potem – powiedział chłopiec. Podniósł głowę i spojrzał wprost na rodziców, a w jego oczach lśnił geniusz, który rzadko oglądali. Ukrywał go przed rodzicami, bo wiedział, że to ich przeraża, znacznie bardziej niż kilka szczękających talerzy. – Nie rozumiecie? Chodzi o to, co będzie potem. Chcę tam jechać... i uczyć się... a potem iść dalej. Tamte uczelnie są takie jak Broderick. To nie cel, ale droga do celu.

– Jakiego celu, kochanie? – zapytała Eileen.

– Nie wiem! Jest tyle rzeczy, których chciałbym się nauczyć i które chciałbym zrozumieć. Mam w głowie takie coś... co sięga... i czasem to coś jest usatysfakcjonowane, ale zwykle nie. Czasem czuję się taki mały... taki cholernie głupi...

– Skarbie, nie! Głupi to ostatnie słowo, jakie do ciebie pasuje.

Eileen chciała go wziąć za rękę, ale ją cofnął i pokręcił głową. Blaszana tacka zadrżała na stoliku. Zatrzęsły się resztki pizzy.

– Jest otchłań, rozumiecie? Czasami mi się śni. Biegnie bez końca w głąb i jest pełna rzeczy, których nie wiem. Nie mam pojęcia, jak otchłań może być pełna, przecież to oksymoron, ale ona taka jest. Sprawia, że czuję się mały i głupi. Ale nad nią biegnie most i chcę po nim przejść. Chcę stanąć pośrodku i podnieść wysoko rękę...

Patrzyli, zafascynowani i trochę wystraszeni, jak Luke podnosi dłonie do wąskiej, napiętej twarzy. Tacka po pizzy teraz już nie drżała, ale wręcz się trzęsła. Tak jak czasem talerze w szafkach.

– ...a wtedy te wszystkie rzeczy w ciemności wypłyną do góry. Ja to wiem!

Tacka po pizzy pomknęła po stole i z brzękiem spadła na podłogę. Herb i Eileen prawie nie zwrócili na to uwagi. Takie rzeczy działy się wokół Luke’a, kiedy był zdenerwowany. Niezbyt często, ale czasami. Już przywykli.

– Rozumiem – powiedział Herb.

– Gówno prawda, tata wcale nie rozumie – rzuciła Eileen. – Ani on, ani ja. Ale powinieneś zacząć wypełniać papiery. Podejść do egzaminów. Możesz zrobić to wszystko, a potem zmienić zdanie. Ale jeśli nie zmienisz, jeśli będziesz zdecydowany... – Spojrzała na męża i Herb skinął głową. – Postaramy się, żeby wypaliło.

Luke uśmiechnął się, a potem podniósł tackę. Spojrzał na Richiego Rocketa.

– Kiedyś z nim tańczyłem, jak byłem mały.

– To prawda – powiedziała Eileen. Znów musiała użyć serwetki. – Rzeczywiście tańczyłeś.

– Wiesz, co mówią o otchłani, prawda? – zapytał Herb.

Chłopiec pokręcił głową, albo dlatego, że była to jedna z nielicznych rzeczy, których nie wiedział, albo nie chciał zepsuć ojcu puenty.

– Kiedy w nią spoglądasz, ona również patrzy na ciebie.

– Święta prawda – przyznał Luke. – Słuchajcie, zamawiamy deser?

4

Razem z wypracowaniem egzamin SAT trwał cztery godziny, ale na szczęście w połowie przewidziano przerwę. Luke siedział na ławce na korytarzu szkoły średniej, zjadał kanapki, które spakowała mu matka, i tęsknił za książką. Wziął ze sobą *Nagi lunch*, ale skonfiskował mu go jeden z pilnujących (razem z telefonami, Luke'a i wszystkich pozostałych), mówiąc, że odda później. Przekartkował książkę, szukając albo nieprzyzwoitych obrazków, albo ściągawek.

Luke chrupał właśnie ciasteczka w kształcie zwierząt, kiedy zorientował się, że wokół niego stoją inni uczestnicy egzaminu, duże chłopaki i dziewczyny, uczniowie trzeciej i czwartej klasy szkoły średniej.

– Młody – odezwał się jeden z nich – co ty tutaj robisz?

– Zdaję egzamin – powiedział Luke. – Tak samo jak wy.

Zastanowili się.

– Jesteś geniuszem? – zapytała któraś z dziewczyn. – Jak na filmach?

– Nie – odparł Luke z uśmiechem. – Ale ogarniam.

Roześmiali się, co było dobre. Jeden z chłopaków podniósł rękę i Luke przybił mu piątkę.

– Dokąd idziesz? Do jakiej szkoły?

– Do MIT, jeśli się dostanę.

Mówił szczerze, bo obie uczelnie wstępnie już go przyjęły pod warunkiem dobrego rezultatu na tym egzaminie. Który nie stanowił

szczególnego problemu. Jak dotąd test był banalnie prosty. Luke'a onieśmielała natomiast otaczająca go młodzież. Jesienią miał trafić do sal wykładowych pełnych takich właśnie ludzi, dużo starszych od niego i ze dwa razy wyższych, gdzie oczywiście wszyscy będą się na niego gapić. Rozmawiał już o tym z panem Greerem. Powiedział, że na pewno uznają go za dziwadło.

– Ważne jest to, jak sam się czujesz – odparł pan Greer. – Postaraj się o tym nie zapominać. A jeśli będziesz potrzebował psychologa, po prostu kogoś, z kim mógłbyś pogadać o swoich uczuciach, to na litość boską, idź do niego. No i zawsze możesz mi wysłać esemesa.

Jedna z dziewczyn – ładna, rudowłosa – zapytała Luke'a, czy dobrze zrobił to zadanie o hotelu w teście z matematyki.

– To o Aaronie? Tak, myślę, że tak.

– I która odpowiedź była dobra? Pamiętasz?

W zadaniu pytano, ile jakiś koleś o imieniu Aaron musiałby zapłacić za pokój w motelu za x nocy, jeśli cena za jedną noc to 99,95 dolara plus 8 procent podatku plus pięć dolców jednorazowej opłaty dodatkowej. Luke oczywiście pamiętał odpowiedź. To było trochę wredne zadanie, bo pytano „ile”, a rozwiązaniem nie była liczba, ale równanie.

– Odpowiedź B. Zobacz.

Wyjął długopis i na torebce po lunchu napisał:

$1,08(99,95x) + 5$.

– Jesteś pewien? – zapytała. – Ja wybrałam A.

Nachyliła się, wzięła torebkę Luke'a – poczuł powiew jej perfum, liliowych, cudownych – i napisała:

$(99,95 + 0,08x) + 5$.

– Doskonałe równanie – powiedział Luke. – Tylko że autorzy testów właśnie w ten sposób próbują nas orznać. – Postukał w papier. – To twoje działa tylko w przypadku jednego noclegu.

Dziewczyna jęknęła.

– Nie przejmuj się – rzekł Luke. – Pewnie pozostałe odpowiedzi zakreśliłaś dobrze.

– A może to ty nie masz racji, a ona tak? – odezwał się któryś z chłopaków. Ten, który przybił z nim piątkę.

Dziewczyna pokręciła głową.

– Młody dobrze mówi. To ja popieprzyłam. Jestem do dupy.

Luke patrzył, jak dziewczyna odchodzi ze spuszczoną głową. Jeden z chłopaków ruszył za nią i objął ją w pasie. Luke mu zazdrościł.

Obok niego usiadł wysoki przystojniak w designerskich okularach.

– Czy to jest dziwne? – zapytał. – To znaczy być tobą?

Luke się zastanowił.

– Czasami – odparł. – Ale zwykle to po prostu... no wiesz, życie.

Z sali wychylił się jeden z pilnujących i zadzwonił ręcznym dzwonkiem.

– Zapraszam, wchodzimy.

Luke wstał z pewną ulgą i wyrzucił torebkę do kosza na śmieci, który stał przy drzwiach sali gimnastycznej. Po raz ostatni zerknął na ładną rudowłosą dziewczynę, a kiedy wchodził do środka, kosz przesunął się parę centymetrów w lewo.

5

Druga połowa egzaminu była równie łatwa jak pierwsza, a wypracowanie, jak sądził Luke, poszło znośnie. W każdym razie się nie rozpisywał. Wychodząc ze szkoły, zauważył tę ładną rudą. Siedziała sama na ławce i płakała. Zastanawiał się, czy zaważyła test, a jeśli tak, to jak bardzo – tak, że nie dostanie się na wymarzoną uczelnię, czy tak, że wyląduje w college’u miejskim. Zastanawiał się, jak to jest mieć mózg, który nie zna wszystkich odpowiedzi. I czy powinien podejść i ją pocieszyć. I czy przyjąłaby pocieszenie od niego, w zasadzie ciągle małego pętaka. Pewnie kazałaby mu się poddać działaniu grawitacji i spadać. Zastanawiał się nawet nad tym, w jaki sposób przesunął się kosz na śmieci – to była upiorna sprawa. Przyszło mu do głowy (z mocą olśnienia), że życie to w zasadzie jeden długi egzamin SAT, tyle że zamiast czterech czy pięciu możliwych odpowiedzi jest kilkadziesiąt. Włącznie z porąbanymi typu „czasami” i „może tak, może nie”.

Machała do niego mama. Odmachał i podbiegł do samochodu. Kiedy wsiadł i zapiął pasy, zapytała, jak mu poszło.

– Pozamiatałem – powiedział.

Rzucił jej promienny uśmiech, ale nie potrafił przestać myśleć o rudowłosej dziewczynie. Jej płacz był przykry, ale to, jak spuściła głowę, kiedy zwrócił jej uwagę na błąd w równaniu – niczym kwiat podczas suszy – było z jakiegoś powodu jeszcze gorsze.

Nakazał sobie, żeby o tym nie myśleć, ale oczywiście tak się nie da. „Spróbuj nie myśleć o białym niedźwiedziu – powiedział kiedyś Fiodor Dostojewski – a będziesz widzieć to przeklęte zwierzę co chwilę”.

– Mamo...

– Co?

– Myślisz, że pamięć to dar czy przekleństwo?

Nie musiała się zastanawiać. Bóg raczy wiedzieć, co sobie właśnie przypomniała.

– Jedno i drugie, kochanie.

6

W czerwcu o drugiej nad ranem, kiedy Tim Jamieson patrolował główną ulicę w DuPray, na jednym z północnych przedmieść Minneapolis czarny SUV skręcił w Wildersmoot Drive. To była obłędna nazwa ulicy; Luke i jego kolega Rolf mówili zamiast tego „Wildercmok”, częściowo dlatego, że brzmiało jeszcze bardziej absurdalnie, a częściowo – bo obaj mieli ochotę cmoknąć dziewczynę, i to obłędnie.

W SUV-ie siedzieli mężczyzna i dwie kobiety. On miał na imię Denny, one – Michelle i Robin. Denny prowadził. W połowie zakręcającej cichej ulicy zgasił światła, podjechał powoli do krawężnika i zgasił silnik.

– Jesteście pewne, że ten nie jest TP, no nie? Bo nie wziąłem czapki z alufolii.

– Ha, ha – odparła Robin całkiem beznamiętnie. Siedziała z tyłu.

– To przeciętny TK – powiedziała Michelle. – Nie masz się czym gorączkować. Do roboty.

Denny otworzył schowek między przednimi siedzeniami i wyjął telefon komórkowy wyglądający tak, jakby uciekł z lat dziewięćdziesiątych: kanciasty prostokątny korpus i krótka, gruba antenka. Podał go Michelle. Kiedy wybierała numer, Denny podniósł fałszywe dno schowka i wyciągnął spod niego cienkie lateksowe rękawiczki, dwa glocki 37 oraz puszkę aerozolu, która według etykiety zawierała odświeżacz powietrza Glade. Jeden z pistoletów podał w tył do Robin, drugi zachował dla siebie, a Michelle wręczył aerosol.

– Naprzód, drużyna, naprzód – zaczął skandować, wkładając rękawiczki. – Rubin, Rubin, czas zaślubin.

– Skończ to licealne pieprzenie – prychnęła Michelle. Potem odezwała się do telefonu, który przytrzymała ramieniem, tak by sama mogła wciągnąć rękawiczki: – Symonds, odbiór?

– Odbiór – potwierdził Symonds.

– Tu Rubin. Jesteśmy na miejscu. Wyłącz system.

Czekała, słuchając Jerry’ego Symondsa na drugim końcu linii. W domu Ellisów, gdzie Luke i jego rodzice spali, konsoly alarmowe DeWalt

w przedpokoju i kuchni zgasły. Michelle dostała sygnał do działania i pokazała towarzyszom wyciągnięty kciuk.

– Dobra. Gotowe.

Robin przerzuciła przez ramię średniej wielkości damską torebkę z zestawem podręcznym. Kiedy wysiadali z SUV-a z tablicą rejestracyjną Patrołu Stanowego Minnesoty, w kabinie nie zapaliło się światło. Przeszli gęsiego między domami Ellisów i Destinów (gdzie Rolf również spał, być może śniąc o obłądnym cmokaniu) i przez kuchnię dostali się do środka. Robin szła pierwsza, ponieważ miała klucz.

Przystanęli przy kuchence. Z torby wyjęła dwa kompaktowe tłumiki i trzy pary lekkich gogli na elastycznych paskach. Wyglądali w tych goglach jak insekty, ale dzięki nim spowita cieniem kuchnia stała się jasna. Denny i Robin przykręcili tłumiki do luf. Michelle przeprowadziła ich przez salon do przedpokoju, a potem po schodach na górę.

Korytarzem na piętrze poruszali się powoli, lecz ze sporą pewnością siebie. Ich kroki tłumił chodnik. Denny i Robin stanęli przed pierwszymi zamkniętymi drzwiami. Michelle poszła dalej do drugich. Obejrzała się na towarzyszy, a potem wetknęła puszkę aerozolu pod pachę, żeby unieść obie dłonie z rozczapierzonymi palcami: „Dajcie mi dziesięć sekund”. Robin skinęła głową i odpowiedziała wyciągniętym kciukiem.

Michelle otworzyła drzwi i weszła do pokoju Luke’a. Zawiasy cicho zapiszczały. Kształt w łóżku (widać było tylko kępkę włosów) lekko się poruszył, a potem znieruchomiał. O drugiej nad ranem chłopak powinien być martwy dla świata, pogrążony w najgłębszym śnie, ale najwidoczniej nie był. Może mali geniusze śpiąją inaczej niż zwykle dzieci, kto wie? Na pewno nie Michelle Robertson. Na ścianach wisiały dwa plakaty, w goglach oba widoczne jak w dzień. Jeden przedstawiał deskorolkarza w locie, ze zgiętymi kolanami, rozpostartymi ramionami i obróconymi nadgarstkami. Na drugim byli Ramones, zespół punkowy, którego Michelle słuchała w gimnazjum. Chyba wszyscy członkowie już nie żyli, odeszli na wielką Rockaway Beach w niebie.

Przeszła przez pokój, licząc w myślach: cztery... pięć...

Przy „sześć” trąciła biodrem biurko chłopaka. Stojący na nim puchar przewrócił się. Hałas nie był głośny, ale dzieciak obrócił się na plecy i otworzył oczy.

– Mamo?

– Jasne – powiedziała Michelle. – Co tylko chcesz.

Widziała, jak w oczach chłopca rodzi się niepokój. Mały otworzył usta, żeby powiedzieć coś jeszcze. Wstrzymała oddech i prysnęła aerozolem

pięć centymetrów od jego twarzy. Padł jak zabity. Efekt zawsze był taki, a potem budzili się jakieś sześć, osiem godzin później bez śladu kaca. Lepsze życie dzięki chemii, pomyślała Michelle i liczyła dalej: siedem... osiem... dziewięć...

Na „dziesięć” Denny i Robin weszli do pokoju Herba i Eileen. Natychmiast zauważyli problem: kobieta nie leżała w łóżku. Drzwi do łazienki były otwarte i na podłogę padał przez nie trapez światła. Za jasno na gogle. Zdjęli je i upuścili. Sypialnia miała posadzkę z lakierowanego twardego drewna, więc w cichym pokoju podwójne stuknięcie było wyraźnie słyszalne.

– Herb? – dobiegł cichy głos z łazienki. – Przewróciłeś szklanekę z wodą?

Robin podeszła do łóżka, wyjęła glocka z za paska spodni na plecach, tymczasem Denny ruszył w kierunku drzwi do łazienki, nie starając się tłumić kroków. Na to było już za późno. Stał przy drzwiach z pistoletem uniesionym do twarzy.

Na poduszce po stronie kobiety wciąż odgniatą się ślad jej głowy. Robin podniosła tę poduszkę, przyłożyła do twarzy mężczyzny i przez nią strzeliła. Glock cicho zakaszał, nic ponadto, i wypluł na wierzch małą chmurkę brązowego pyłu.

Eileen wyszła z łazienki ze zmartwioną miną.

– Herb? Wszystko w p...

Zobaczyła Denny’ego.

Złapał ją za gardło, przyłożył glocka do jej skroni i pociągnął za spust. Broń znowu cicho zakasłała. Kobieta osunęła się na podłogę.

Tymczasem Herb Ellis wierzgał nogami, nadymając kołdrę, pod którą sypiał ze swoją nieżyjącą żoną. Robin strzeliła w poduszkę jeszcze dwa razy: drugi strzał był już jak szczeknięcie, a nie kaszel, trzeci zaś – jeszcze głośniejszy.

Denny podniósł poduszkę.

– Za dużo się naoglądałaś *Ojca chrzestnego*? Chryste, Robin, odstrzeliłaś facetowi pół głowy. Co z tym teraz zrobią w zakładzie pogrzebowym?

– Wykonałam robotę i to się liczy.

Prawda była taka, że nie lubiła na nich patrzeć, kiedy strzelała, na to, jak światło gaśnie w ich oczach.

– Musisz się ogarnąć, dziewczyno. Ten trzeci strzał był głośny. Chodź.

Podnieśli gogle i przeszli do pokoju chłopca. Denny dźwignął Luke’a na rękę – żadnych problemów, mały ważył nie więcej niż czterdzieści kilo – i dał znak ruchem głowy, żeby kobiety ruszyły przodem. Wyszli tą samą

drogą, przez kuchnię. W sąsiednim domu nie paliło się żadne światło (nawet trzeci strzał nie był aż tak głośny), nie było też żadnej ścieżki dźwiękowej oprócz świerszczy oraz syreny gdzieś w oddali, może aż w Saint Paul.

Michelle szła pierwsza między dwoma domami, zerknęła na ulicę, a potem dała znak, żeby pozostali wyszli przed nią. To był ten fragment akcji, który Denny'emu Williamsowi bardzo się nie podobał. Jeśli jakiś gość cierpiący na bezsenność wyjrzy przez okno i zobaczy troje ludzi na trawniku sąsiadów o drugiej nad ranem, będzie to podejrzane. A jeśli na dodatek jedno z nich będzie niosło coś, co wygląda jak ciało, będzie bardzo podejrzane.

Ale Wildersmoot Drive – nazwane na cześć jakiejś dawno nieżyjącej grubej ryby z konglomeracji Minneapolis-Saint Paul – smacznie spało. Robin otworzyła tylne drzwi SUV-a od strony chodnika, wsiadła i wyciągnęła ręce. Denny podał jej chłopca. Przyciągnęła go do siebie, tak że głowa luźno spoczęła na jej ramieniu, i po omacku zaczęła szukać pasa.

– Faj, ślini się – rzuciła.

– Rzeczywiście, nieprzytomni ludzie tak robią – powiedziała Michelle i zamknęła tylne drzwi.

Usiadła na miejscu pasażera, a Denny wsunął się za kierownicę. Ona schowała pistolety i aerozol, podczas gdy on powoli ruszył spod domu Ellisów. Kiedy zbliżali się do pierwszego skrzyżowania, włączył reflektory.

– Dzwon – polecił jej.

Michelle wybrała ten sam numer.

– Tu Rubin. Mamy przesyłkę, Jerry. Czas do lotniska: dwadzieścia pięć minut. Obudź system.

W domu Ellisów ponownie włączyły się alarmy. Kiedy na miejsce wreszcie dotarła policja, znalazła dwie osoby martwe, a jedna – dzieciak – zniknęła, i to właśnie on był najbardziej logicznym podejrzanym. W końcu podobno był geniuszem, a ci bywają trochę rozchwiani, prawda? Niestabilni. Przepytają chłopaka, jak go znajdą, a znalezienie go pozostawało kwestią czasu. Dzieci mogą uciec, ale nawet te genialne nie są w stanie się ukrywać.

W każdym razie niezbyt długo.

7

Luke obudził się ze wspomnieniem snu – nie całkiem koszmaru, ale z całą pewnością nie z gatunku tych przyjemnych. W jego pokoju była

obca kobieta, pochylała się nad łóżkiem, a jej blond włosy zwisały wokół twarzy. „Jasne, co tylko chcesz” – powiedziała. Jak laska z filmików porno, które czasami oglądali z Rolfem.

Usiadł, rozejrzył się i w pierwszej chwili myślał, że to kolejny sen. Był w swoim pokoju – ta sama niebieska tapeta, te same plakaty, to samo biurko z pucharem Małej Ligi Baseballowej na blacie... Ale gdzie się podziało okno? Okno wychodzące na dom Rolfa zniknęło.

Mocno zacisnął oczy, a potem gwałtownie je otworzył. Bez zmian: pozbawiony okien pokój takim pozostał. Luke’owi przeszło przez myśl, że powinien się uszczypnąć, ale to taki banał. Zamiast tego pstryknął się palcami w policzek. Wszystko wciąż było takie samo.

Wstał z łóżka. Jego ubranie leżało na krześle, tam gdzie wczoraj wieczorem położyła je mama – bielizna, skarpetki i T-shirt na siedzeniu, dzinsy przewieszane przez oparcie. Włożył je powoli, patrząc w miejsce, w którym powinno być okno, a potem usiadł, żeby wsunąć sneakersy. Z boku widniały jego inicjały, LE, to się zgadzało, ale litera E miała za długą środkową kreskę, był tego pewien.

Obrócił buty, szukając ulicznego brudu, ale go nie znalazł. Teraz nie miał już żadnych wątpliwości. To nie jego sneakersy. Sznurówki także były za długie. A jednak obuwie pasowało idealnie.

Luke podszedł do ściany, przyłożył do niej dłoń i nacisnął, próbując wyczuć okno pod tapetą. Nie wyczuł.

Zadał sobie pytanie, czy może nie oszalał tak nagle, jak jakiś dzieciak w strasznym filmie M. Nighta Shyamalana. Dzieci o wysokofunkcjonujących umysłach są podatne na załamania, prawda? Ale nie oszalał. Był równie poczytalny jak wczoraj wieczorem, kiedy kładł się spać. W filmie szalony dzieciak myślałby, że jest zdrowy – to taki Shyamalanowski twist – jednak według książek o psychologii, które czytał Luke, w rzeczywistości większość szaleńców rozumie, że jest szalona. On taki nie był.

Jako małe dziecko (pięcio-, a nie dwunastoletnie) przeszedł przez fazę szału na punkcie zbierania przypinek politycznych. Tata bardzo chętnie pomagał mu w budowie kolekcji, ponieważ większość z nich można było bardzo tanio kupić na eBayu. Luke’a (z powodów, których nie potrafił wyjaśnić, nawet samemu sobie) szczególnie fascynowali kandydaci, którzy przegrali. Pasja w końcu minęła, większość przypinek wylądowała na strychu albo w piwnicy, ale jedną zatrzymał sobie na szczęście. Widniał na niej niebieski samolot okolony słowami SKRZYDŁA DLA WILLKIEGO. Wendell Willkie rywalizował w wyborach prezydenckich

w 1940 roku z Franklinem Rooseveltem, ale srogo przegrał, wygrywając jedynie w dziesięciu stanach i zdobywając osiemdziesiąt dwa głosy elektorskie.

Luke trzymał ten znaczek w pucharze Małej Ligi. Sięgnął teraz do środka, ale go nie znalazł.

Następnie podszedł do plakatu Tony'ego Hawka z deską Birdhouse'a. Wyglądał w porządku, ale tylko na pierwszy rzut oka. Brakowało lekkiego naddarcia po lewej stronie.

Nie jego buty, nie jego plakat, brak przypinki Willkiego.

Nie jego pokój.

Poczuł trzepotanie w piersi i kilka razy głęboko odetchnął, żeby je uspokoić. Podszedł do drzwi i chwycił za gałkę, przekonany, że będą zamknięte.

Okazały się otwarte, ale korytarz po drugiej stronie w niczym nie przypominał tego na piętrze domu, w którym Luke spędził ponad dwanaście lat życia. Zamiast drewnianej boazerii był tam mur z pustaków pomalowanych na bładozielono. Naprzeciwko drzwi wisiał plakat przedstawiający troje dzieci w wieku Luke'a, które biegły po łące przez wysoką trawę. Jedno z nich zastygło w wyskoku. Były albo obłąkane, albo szaleńczo szczęśliwe. Hasło na dole plakatu sugerowało tę drugą opcję. Brzmiało: KOLEJNY DZIEŃ W RAJU.

Luke wyszedł z pokoju. Na prawo korytarz kończył się surowymi podwójnymi drzwiami, takimi z dźwignią paniczną. Na prawo, ze trzy metry przed drugimi takimi drzwiami, na podłodze siedziała dziewczyna. Miała na sobie dzwony i bluzkę z bufiastymi rękawami. Była czarnoskóra. Choć wyglądało na to, że jest mniej więcej w wieku Luke'a, chyba paliła papierosa.

8

Pani Sigsby siedziała za biurkiem i patrzyła w komputer. Była ubrana w dopasowany kostium od Diane van Furstenberg, który nie ukrywał jej nadzwyczaj szczupłej sylwetki. Siwe włosy miała idealnie uczesane. Obok stał doktor Hendricks. Dzień dobry, Strachu na Wróble, pomyślała, ale nigdy nie powiedziałaaby tego na głos.

– No proszę – odezwała się. – Oto on. Nasz nowo przybyły. Lucas Ellis. Pierwszy i ostatni raz przeleciał się gulfstreamem i nawet o tym nie wie. Wszystko wskazuje na to, że prawdziwy z niego geniusz.

– Już niedługo – powiedział doktor Hendricks i zaśmiał się swoim firmowym śmiechem: najpierw wydech, potem wdech, trochę jakby rżał.

Ten jego śmiech, wystające przednie zęby oraz niezwykle wzrost – męczyzna miał ponad dwa metry – złożyły się na przydomek, który nadali mu technicy: Donkey Kong.

Pani Sigsby obróciła się i surowo zmierzyła go wzrokiem.

– To nasi podopieczni. Nie czas na kiepskie żarty, Dan.

– Przepraszam. – Miał jednak ochotę dodać: Ale kogo ty oszukujesz, Sigersowa?

Powiedzenie tego na głos byłoby nierozsądne, a poza tym to czysto retoryczne pytanie. Hendricks wiedział, że ona nie oszukuje nikogo, a zwłaszcza siebie samej. Sigersowa przypominała nieznanego hitlerowskiego błazna, który umieszczenie nad bramą Auschwitz napisu *Arbeit macht frei*, praca czyni wolnym, uznał za świetny pomysł.

Pani Sigsby uniosła formularz przyjęcia nowego chłopca. W prawym górnym rogu Hendricks przykleił różowy znaczek.

– Dowiadujecie się czegoś od tych waszych różowych, Dan? Czegokolwiek?

– Sama pani wie, że tak. Widziała pani wyniki.

– Tak, ale czy dowiadujecie się czegookolwiek o potwierdzonej wartości?

Zanim pan doktor zdążył odpowiedzieć, do pomieszczenia wetknęła głowę Rosalind.

– Mam dla pani papiery. Przyjedzie jeszcze piątka. Wiem, że byli w arkuszu kalkulacyjnym, ale przywiozą ich przed czasem.

Pani Sigsby wydawała się zadowolona.

– Cała piątka dzisiaj! Ja to mam prawidłowe życie.

Hendricks (*alias* Donkey Kong) pomyślał: Nie przeszłoby ci przez usta „dobre życie”, prawda? Żyłka by ci pękła.

– Dzisiaj tylko dwoje – powiedziała Rosalind. – Wieczorem. Od zespołu szmaragdowego. Jutro troje od opalowego. Czworo TK. Jeden TP, niezła zdobycz. Dziewięćdziesiąt trzy nanogramy BDNF.

– Avery Dixon, tak? – zapytała pani Sigsby. – Z Salt Lake City.

– Z Orem – sprostowała Rosalind.

– Mormon z Orem – odezwał się doktor Hendricks i zarżał ze śmiechu.

Ale to faktycznie niezła zdobycz, pomyślała pani Sigsby. Na formularzu Dixona nie będzie różowego znaczka. Chłopiec jest na to zbyt cenny. Minimum zastrzyków, żadnych zagrożeń napadami padaczkowymi, żadnego podtapiania. Nie przy BDNF powyżej dziewięćdziesięciu.

– Doskonała wiadomość. Naprawdę doskonała. Przynieś dokumenty i połóż mi je na biurku. Przesłałaś je też e-mailem?

– Oczywiście. – Rosalind się uśmiechnęła. E-mail rządził światem, ale obie wiedziały, że pani Sigsby woli papier od pikseli. Pod tym względem była staroświecka. – Przyniosę jak najszybciej.

– I kawę, poproszę, też jak najszybciej.

Pani Sigsby odwróciła się do doktora Hendricksa. Taki brzuch przy takim wzroście, pomyślała. Jako lekarz powinien wiedzieć, że to niebezpieczne, zwłaszcza u tak wysokiego człowieka, u którego układ naczyniowy i tak musi ciężiej pracować. Ale nikt nie ma większej wprawy w lekceważeniu medycznych uwarunkowań niż ludzie związani zawodowo z medycyną.

Ani ona, ani Hendricks nie byli TP, ale w tej chwili mieli wspólną myśl: o ile prostsze byłoby to wszystko, gdyby się lubili, gdyby łączyła ich sympatia zamiast wzajemnego wstrętu.

Kiedy znowu zostali sami w pomieszczeniu, odchyliła się do tyłu, żeby spojrzeć na stojącego nad nią doktora.

– Zgadzam się, że inteligencja młodego panicza Ellisa nie ma znaczenia dla naszej pracy w Instytucie. Równie dobrze mógłby mieć iloraz inteligencji siedemdziesiąt pięć. Jednak to właśnie z jej powodu zabraliśmy go nieco wcześniej. Przyjęły go aż dwie czołowe uczelnie: MIT i Emerson.

– W wieku dwunastu lat?!

– Owszem. Zabójstwo rodziców i zniknięcie chłopca trafią do gazet, ale poza Minneapolis-Saint Paul nie będzie to ważną wiadomością. Co najwyżej internet może o tym grzmieć przez tydzień. Zrobiłoby się na ten temat znacznie głośniej, gdyby chłopak najpierw zdążył zabłysnąć na uczelniach w Bostonie, a dopiero potem się zdematerializował. Dzieci jego pokroju często trafiają do wiadomości telewizyjnych, zwłaszcza w chwytających za serce komunikatach. A co ja zawsze mówię, panie doktorze?

– Że w naszej branży brak wiadomości to dobra wiadomość.

– Właśnie. W idealnym świecie dalibyśmy mu spokój. Wciąż pozyskujemy wystarczająco dużo TK. – Postukała różowe kółko na formularzu przyjęcia. – Jak wskazuje to oznaczenie, poziom BDNF nie jest u niego taki znowu wysoki. Tylko że...

Nie musiała kończyć. Pewne dobra stają się coraz rzadsze. Kły słoni. Skóry tygrysów. Rogi nosorożców. Rzadkie metale. Nawet ropa. Teraz do tej listy można było dodać te wyjątkowe dzieci, których niezwykle

właściwości nie miały żadnego związku z ilorazem inteligencji. W tym tygodniu miało ich przyjechać jeszcze pięcioro, włącznie z tym Dixonem. Całkiem przyzwoita zdobycz, ale jeszcze dwa lata temu mogłoby ich być sześć razy tyle.

– O, popatrz – powiedziała pani Sigsby. Na ekranie jej komputera nowo przybyły chłopiec zbliżał się do najstarszej mieszkanki Przedniej Połowy.
– Zaraz pozna przemądrzałą Benson. Ona mu powie co i jak, a przynajmniej przedstawi jakąś tego wersję.

– Ciągle w Przedniej Połowie – skomentował Hendricks. – Cholera jasna, powinna tu oficjalnie robić za komitet powitalny.

Pani Sigsby rzuciła mu swój najbardziej lodowaty uśmiech.

– Lepsza już ona niż ty, doktorze.

Spojrzał w dół i miał ochotę powiedzieć: „Z tej perspektywy widzę, jak szybko przerzedzają ci się włosy, Sigersowa. To wszystko efekt łagodnej, ale długotrwałej anoreksji. Skórę głowy masz różową jak oczy królika albinosa”.

Wiele rzeczy miał ochotę jej powiedzieć, tej wysławiającej się perfekcyjnie, pozbawionej cycków głównej administratorce Instytutu, ale nigdy tego nie robił. To byłoby nierozsądne.

9

W korytarzu z pustaków ciągnęły się drzwi i kolejne plakaty. Siedziała pod takim, na którym czarny chłopak i biała dziewczyna stykali się czołami, uśmiechnięci jak idioci. Napis pod spodem brzmiał: WYBIERAM RADOŚĆ!

– Podoba ci się? – zapytała. Z bliska okazało się, że papieros zwisający z jej ust to cukierek. – Chyba SRADOŚĆ. Przerobiłabym, ale mogliby mi zabrać długopis. Czasami pozwalają odstawiać różne numery, a czasami nie. Kłopot w tym, że nigdy nie wiadomo, czego się spodziewać.

– Gdzie ja jestem? – zapytał Luke. – Co to za miejsce? – Chciało mu się płakać. Domyślał się, że głównie z powodu dezorientacji.

– Witaj w Instytucie – powiedziała dziewczyna.

– Jesteśmy wciąż w Minneapolis?

Zaśmiała się.

– Nic z tych rzeczy. I nie jesteśmy już w Kansas, Toto. Jesteśmy w Maine. Na dalekim wygwizdowie. Przynajmniej tak mówi Maureen.

– W Maine?! – Luke otrząsnął się, jakby dostał cios w skroń. – Jesteś pewna?

– Tak. Strasznie jesteś biały, białasku. Lepiej usiądź, zanim się przewrócisz.

Usiadł, przytrzymując się jedną ręką ściany, bo jego nogi nie całkiem się zginały. Raczej się osunął.

– Byłem w domu – powiedział. – Byłem w domu, a potem obudziłem się tutaj. W pokoju, który wygląda jak mój pokój, ale nim nie jest.

– Wiem. Szok, co nie? – Dziewczyna włożyła rękę do kieszeni spodni i wyciągnęła pudełko. Na obrazku był kowboj kręcący lassem. Napis brzmiał: CUKIERKOWE PAPIEROSY ROUND-UP. PAL ZUPEŁNIE JAK TATUŚ! – Chcesz jednego? Może cukier trochę ukoji twój umysł. Mnie zawsze pomaga.

Luke wziął pudełko i otworzył wieczko. W środku było sześć papierosów, każdy z czerwoną końcówką, która chyba miała udawać węgielek. Wyjął jednego, włożył między wargi, a potem przegryzł na pół. Zalała go słodycz.

– Nigdy tego nie rób z prawdziwymi papierosami – poradziła mu dziewczyna. – Ich smak już by ci się tak nie spodobał.

– Nie wiedziałem, że ciągle jeszcze sprzedają takie rzeczy.

– Takich na pewno nie sprzedają. Pal zupełnie jak tatuś? Chyba żartujesz. To jakieś antyki. Ale w kantynie mają masę dziwnego gówna. W tym prawdziwe papierosy, uwierzysz? Chesterfieldy, camele i lucky striki, zupełnie jak w starych filmach na TCM. Kusi mnie, żeby spróbować, ale kurde, kosztują masę żetonów.

– Prawdziwe papierosy? Nie takie dziecięce?

– Tutaj są tylko dzieci. Z tym że w tej chwili w Przedniej Połowie jest ich mało. Maureen mówi, że niedługo będzie więcej. Nie wiem, skąd ona bierze informacje, ale zwykle się sprawdzają.

– Papierosy dla dzieci? Co to jest, Wyspa Radości? – spytał Luke, choć w tej chwili bynajmniej nie czuł szczególnej radości.

To ją rozbawiło.

– Jak w *Pinokiu*! Dobrze!

Podniosła rękę, a on przybił jej piątkę i poczuł się trochę lepiej. Trudno powiedzieć dlaczego.

– Jak się nazywasz? Przecież nie mogę mówić do ciebie „białasku”. To rasistowskie.

– Luke Ellis. A ty?

– Kalisha Benson. – Dziewczyna uniosła palec. – A teraz uważaj, Luke. Możesz do mnie mówić Kalisha albo Sha. Bylebyś nie mówił „smyku”.

– Dlaczego? – Wciąż próbował zorientować się w przestrzeni i wciąż mu się to nie udawało. W ogóle. Zjadł drugą połówkę papierosa, tę ze sztucznym węgielkiem na końcu.

– Bo tak mówią Hendricks i cała reszta kołków, kiedy robią ci zastrzyk albo te swoje badania. „Wbiję ci igłę w ramię i to zaboli, ale bądź dzielnym smykiem. Wezmę ci wymaz z gardła i zaczniesz się, kurwa, dławić, ale bądź dzielnym smykiem. Zanurzymy cię w zbiorniku, ale po prostu wstrzymaj oddech i bądź dzielnym smykiem”. Właśnie dlatego tobie nie wolno mówić do mnie „smyku”.

Luke ledwie zwracał uwagę na to wszystko, co Kalisha powiedziała o badaniach, chociaż miał się nad tym zastanawiać później. Zawiesił się na słowie „kurwa”. Słyszał je od wielu chłopców (on i Rolf często go używali, gdy byli poza domem), a także od tamtej ładnej rudowłosej dziewczyny, która chyba zawałiła egzamin, ale nigdy od takiej w swoim wieku. To chyba oznaczało, że żył pod kloszem.

Kalisha położyła rękę na jego kolanie, co sprawiło, że poczuł lekkie mrowienie, i spojrzała na niego poważnie.

– Ale moja rada jest taka, żebyś był dzielnym smykiem bez względu na to, jak bardzo będzie do kitu, bez względu na to, co ci wsadzą w gardło albo w tyłek. Z tym zbiornikiem to nie wiem, bo nigdy w nim nie byłam, tylko o nim słyszałam, ale dopóki cię badają, to znaczy, że zostajesz w Przedniej Połowie. Nie mam pojęcia, co się dzieje w Tylnej, i nie chcę się tego dowiedzieć. Wiem tylko tyle, że Tylna Połowa jest jak tani motel, w którym dzieci się meldują, ale już stamtąd nie wracają. Przynajmniej nie tutaj.

Luke obejrzał się tam, skąd przyszedł. W korytarzu było dużo drzwi i dużo plakatów motywacyjnych, mniej więcej po osiem z każdej strony.

– Ile dzieci jest w tych pokojach?

– Pięcioro, licząc z tobą i ze mną. Przednia Połowa nigdy nie bywa zatłoczona, ale teraz jest jak wymarłe miasto. Dzieciaków przewija się tutaj wiele.

– Rozmowa o Michale Aniele – mruknął Luke.

– Hej?

– Nic. Co...

Otworzyły się jedne z podwójnych drzwi na końcu korytarza i pojawiła się w nich kobieta w brązowej sukience, odwrócona do nich plecami. Przytrzymała drzwi pupą, z czymś się siłując. Kalisha błyskawicznie się zerwała.

– Hej, Maureen, hej, dziewczyno! Czekaj, pomożemy!

Ponieważ powiedziała „pomożemy”, a nie „pomogę”, Luke wstał i ruszył za nią. Kiedy podszedł bliżej, zobaczył, że brązowa sukienka to w rzeczywistości rodzaj uniformu, trochę w stylu stroju pokojówki z bajeranckiego hotelu – no, średnio bajeranckiego, bo ubranie nie było odpicowane koronkami ani niczym w tym rodzaju. Kobieta usiłowała przeciągnąć kosz z bielizną przez metalowy próg między korytarzem a dużym pomieszczeniem po drugiej stronie, przypominającym świetlicę – znajdowały się tam stoły, krzesła i okna, przez które wpadały jasne promienie słońca. Był również telewizor wielkości ekranu kinowego. Kalisha otworzyła drugie skrzydło drzwi, żeby zrobić więcej miejsca. Luke chwycił kosz z bielizną (z boku widniał napis DANDUX) i pomógł wyciągnąć go na – jak zaczynało mu się wydawać – korytarz części mieszkalnej. W koszu leżały ręczniki i pościel.

– Dziękuję, synu – powiedziała kobieta. Była dość stara, we włosach miała sporo siwizny i wydawała się zmęczona. Na identyfikatorze nad jej obwisłą lewą piersią widniało imię MAUREEN. Zmierzyła chłopca wzrokiem. – Jesteś tu nowy. Luke, prawda?

– Luke Ellis. Skąd pani wiedziała?

– Mam cię w grafiku. – Wysunęła nieco z kieszeni złożoną kartkę, po czym z powrotem ją schowała.

Luke wyciągnął do kobiety rękę, tak jak go nauczono.

– Miło mi panią poznać.

Maureen ją uścisnęła. Wydawała się sympatyczna, więc chyba naprawdę było mu miło, że ją poznał. Nie było mu natomiast miło tu być; bał się i martwił nie tylko o siebie, ale też o rodziców. Na pewno zdążyli zauważyć jego nieobecność. Chyba trudno im będzie uwierzyć, że uciekł, ale czy mogliby dojść do innego wniosku, widząc jego pusty pokój? Wkrótce zacznie go szukać policja, o ile już nie zaczęła, ale jeśli Kalisha ma rację, będzie szukać bardzo daleko stąd.

Dłoń Maureen była ciepła i sucha.

– Jestem Maureen Alvorson. Pokojówka i ogólnie dziewczyna do wszystkiego. Będę się opiekować twoim pokojem, żebyś miał ładnie.

– Nie dodawaj jej pracy – wtrąciła się Kalisha, rzucając mu groźne spojrzenie.

Maureen się uśmiechnęła.

– Kochana jesteś, Kalisho. Ten tutaj nie wygląda mi na bałaganiarza, nie to co Nicky. Ten to jak Pig-Pen z *Fistaszków*. Jest teraz w swoim pokoju? Nie widzę go na placu zabaw z George'em i Iris.

– Znasz Nicky’ego – odparła Kalisha. – Jak wstanie przed trzynastą, to mówi, że miał wczesną pobudkę.

– Wobec tego sprzątnę u innych, ale lekarze chcą go u siebie o pierwszej. Jeżeli sam nie wstanie, to go obudzą. Miło cię poznać, Luke. – Po tych słowach kobieta ruszyła dalej, tym razem pchając wózek, zamiast go ciągnąc.

– Chodź – powiedziała Kalisha, łapiąc Luke’a za rękę.

Chociaż martwił się o rodziców, znów poczuł to mrowienie.

Pociągnęła go w kierunku świetlicy. Chciał się tu rozejrzeć, a zwłaszcza sprawdzić automaty (prawdziwe papierosy, czy to możliwe?), ale gdy tylko drzwi się za nimi zamknęły, Kalisha spojrzała mu z bliska prosto w oczy. Minę miała poważną, niemal groźną.

– Nie wiem, jak długo tu będziesz, nie wiem nawet, jak długo ja tu będę, ale dopóki tutaj jesteś, bądź miły dla Maureen, dobra? Pracuje tu masa wrednych gnojów, ale ona nie jest jednym z nich. Ona jest miła. I ma problemy.

– Jakie problemy? – Zadał to pytanie głównie przez grzeczność. Wyglądał przez okno na plac zabaw. Widział tam dwoje dzieci, chłopaka i dziewczynę, może w takim wieku jak on, a może nieco starszych.

– Po pierwsze, myśli, że jest chora, ale nie chce iść do lekarza, bo nie stać jej na chorowanie. Zarabia tylko jakieś czterdzieści tysięcy rocznie, a rachunków ma ze dwa razy tyle. Albo więcej. Mąż narobił długów i zmył się. A długi cały czas narastają, co nie? Przez odsetki.

– Działka – odparł Luke. – Tak to nazywa mój tata. Jak przy podziale łupu przez bandytów, a tata mówi, że operatorzy kart kredytowych to w zasadzie bandziory. Biorąc pod uwagę, jakie naliczają odsetki złożone, ma...

– Co ma? Rację?

– Tak. – Luke przestał obserwować dzieci na dworze, zapewne George’a i Iris, i odwrócił się do Kalishy. – Ona ci to wszystko powiedziała? Dziecku? Musisz być świetna w kontaktach interpersonalnych.

Dziewczyna wydawała się zaskoczona, a potem się roześmiała – głośno, biorąc się pod boki i odchylając głowę. Wyglądała teraz jak kobieta, nie jak dziecko.

– Kontakty intrapersonalne! Niezłe masz słownictwo, Lukey!

– Nie „intra”, tylko „inter” – sprostował. – Chyba że spotykasz się z całą grupą. Żeby jej doradzać w sprawie kredytów albo coś w tym stylu. – Przerwał. – To był... no, żart. – Do tego kiepski. Dowcip nerda.

Kalisha zmierzyła go wzrokiem od góry do dołu, a potem jeszcze raz do góry, czym ponownie wywołała u Luke'a nie takie znowu nieprzyjemne mrowienie.

– Mądry z ciebie gość, co?

Wzruszył ramionami. Zwykle się nie popisывał – nie ma gorszego sposobu zawierania znajomości i wpływania na ludzi – raczej był zdenerwowany, zagubiony, zmartwiony i (dlaczego tego nie przyznać?) bał się jak cholera. Coraz trudniej było nie nazywać tego doświadczenia porwaniem. Bądź co bądź, zabrano go z domu, kiedy spał, a jeśli Kalisha mówiła prawdę, obudził się tysiące kilometrów dalej. Czy rodzice puściliby go bez awantury albo walki? Mało prawdopodobne. Cokolwiek go spotkało, miał nadzieję, że mama i tata przez cały czas spali.

– Obstawiam, że cholernie mądry. Jesteś TP czy TK? Myślę, że TK.

– Nie wiem, o czym mówisz.

Tylko że być może wiedział. Przypomnił sobie, jak czasem w szafkach szczykały talerze, drzwi jego pokoju same się otwierały lub zamykały, a w Rocket Pizza tacka spadła na ziemię. Oraz jak w dniu egzaminów SAT sam z siebie przesunął się kosz na śmieci.

– TP to telepatia. TK to...

– Telekineza.

Kalisha uśmiechnęła się i wymierzyła w niego palec.

– Naprawdę mądry z ciebie chłopak. Telekineza, zgadza się. Jesteś albo jednym, albo drugim, podobno nikt nie ma obu talentów jednocześnie, tak przynajmniej mówią technicy. Ja jestem TP. – Te ostatnie słowa wypowiedziała z pewną dumą.

– Czytasz w myślach – odparł Luke. – Jasne. Codziennie, a w niedzielę dwa razy.

– A myślisz, że skąd tyle wiem o Maureen? Nie opowiedziałaby nikomu o swoich problemach, nie ona. Zresztą nie znam żadnych szczegółów, tylko ogólny zarys. – Zastanowiła się. – Jest też coś o małym dziecku. I to dziwna sprawa. Kiedyś pytałam Maureen, czy ma dzieci, i powiedziała, że nie. – Kalisha wzruszyła ramionami. – Zawsze to potrafiłam, to znaczy raz na jakiś czas, nie ciągle. Ale to nie jest coś w stylu zdolności superbohatera. Inaczej już bym się stąd wyrwała.

– Mówisz poważnie?

– Tak, a oto twój pierwszy test. Pierwszy z wielu. Myślę o jakiejś liczbie między jeden a pięćdziesiąt. Co to za liczba?

– Nie mam pojęcia – rzucił Luke.

– Naprawdę? Nie udajesz?

– Absolutnie nie udaję.

Podszedł do drzwi po drugiej stronie pokoju. Na dworze chłopak rzucał piłką do kosza, a dziewczyna odbijała się na trampolinie – nic wyszukanego, tylko siady proste i od czasu do czasu obrót. Żadne z nich nie sprawiało wrażenia, że dobrze się bawi; raczej po prostu zabijali czas.

– To George i Iris? – zapytał Luke.

– Tak. – Kalisha stanęła obok niego. – George Iles i Iris Stanhope. Oboje TK. TK są częstszy niż TP. Ej, mądralo, jest słowo „częstszy”? Czy mówi się „bardziej częściej”?

– Jest. Jak powiesz „bardziej częściej”, to ktoś zapyta, o jakie części ci chodzi.

Zastanawiała się przez chwilę, a potem się roześmiała i wycelowała w niego palec.

– Dobrze.

– Możemy wyjść?

– Jasne. Drzwi na plac zabaw nigdy nie są zamknięte. Ale raczej nie będziesz chciał tam spędzać za dużo czasu, bo na tym wygwizdowie owady tną jak diabli. W szafce z lekami w łazience znajdziesz DEET. Spryskaj się nim, i to porządnie. Najlepiej cały się nim oblej. Maureen mówi, że sytuacja z owadami później trochę się uspokoi, kiedy wyklują się ważki, ale na razie żadnych nie widziałam.

– Czy to miłe dzieciaki?

– George i Iris? Jasne, chyba tak. To znaczy nie kumplujemy się jakoś strasznie. George’a znam dopiero tydzień. Iris przyjechała tu... hm... chyba dziesięć dni temu. Coś w tym stylu. Oprócz mnie najdłużej jest tu Nick. Nick Wilholm. Nie spodziewaj się, że w Przedniej Połowie nawiądziesz jakieś głębsze znajomości, mądralo. Jak już mówiłam, dzieci przewijają się tu wiele. I nikt nie gada o Michale Aniele.

– Od jak dawna tu jesteś?

– Prawie od miesiąca. Jestem tu stara.

– Więc powiesz mi, co tu się dzieje? – Luke ruchem głowy wskazał dzieci na dworze. – Czy oni mi powiedzą?

– Powiemy ci, co wiemy, co mówią nam salowe i technicy, ale mam wrażenie, że to głównie kłamstwa. George myśli tak samo. Za to Iris... – Kalisha się zaśmiała. – Ona jest jak agent Mulder w tym serialu *Z Archiwum X*. Chce uwierzyć.

– W co?

Dziewczyna rzuciła mu takie spojrzenie – jednocześnie mądre i smutne – że znów bardziej wyglądała jak dorosła niż jak dziecko.

– Że to tylko drobny objazd na wielkiej autostradzie życia, a ostatecznie wszystko dobrze się skończy, jak w *Scooby Doo*.

– Gdzie twoi rodzice? Jak tu trafiłaś?

Dorośle spojrzenie zniknęło.

– Nie chcę o tym teraz rozmawiać.

– Dobrze. – Może on też nie chciał. Przynajmniej na razie.

– A kiedy poznasz Nicky’ego, nie przejmuj się, jak zacznie się nakręcać. To jego sposób, żeby się wyładowywać, a niektóre jego nawijki są... – zastanowiła się – interesujące.

– Skoro tak mówisz. Zrobisz coś dla mnie?

– Jasne, jeżeli potrafię.

– Przestań do mnie mówić „mądralo”. Mam na imię Luke. Używaj go, dobra?

– Da się zrobić.

Wyciągnął rękę do drzwi, ale ona położyła dłoń na jego nadgarstku.

– Jeszcze coś, zanim wyjdziemy. Odwróć się, Luke.

Odwrócił się. Była od niego ze trzy centymetry wyższa. Nie wiedział, że go pocałuje, zanim to zrobiła. Prosto w usta. Na sekundę wsunęła mu nawet język między wargi, co spowodowało już nawet nie mrowienie, ale autentyczny wstrząs, zupełnie jak po wetknięciu palca do kontaktu. Jego pierwszy prawdziwy pocałunek, i to stuprocentowy wildercmok. Rolf byłby strasznie zazdrosny, pomyślał Luke (na ile w tej chwili mógł myśleć).

Kalisha odsunęła się z zadowoloną miną.

– Nie myśl sobie, że chodzi o wielką miłość albo coś w tym stylu. Nie jestem nawet pewna, czy robię ci przysługę, ale możliwe, że tak. Przez pierwszy tydzień pobytu tutaj byłam w kwarantannie. Żadnych zastrzyków na kropki.

Wskazała plakat wiszący na ścianie obok automatu z cukierkami. Przedstawiał chłopca siedzącego na krześle i radośnie wskazującego palcem kolorowe kropki na białej ścianie. Obok stał uśmiechnięty lekarz (biały kitel, stetoskop na szyi) z dłonią na ramieniu chłopca. Nad zdjęciem widniało hasło ZASTRZYKI NA KROPKI! A pod spodem: IM SZYBCIEJ JE ZOBACZYSZ, TYM SZYBCIEJ WRÓCISZ DO DOMU!

– Co to w ogóle znaczy?

– W tej chwili to nieważne. Moi rodzice byli totalnymi antyszczepionkowcami i dwa dni po tym, jak trafiłam do Przedniej Połowy, zachorowałam na ospę wietrzną. Kaszel, wysoka gorączka, paskudne wielkie czerwone krosty, full serwis. Chyba już mi przeszło,

skoro mnie wypuścili i znowu testują, ale może jeszcze trochę zarazam. Jak będziesz miał farta, to zachorujesz i spędzisz parę tygodni na picciu soku i oglądaniu telewizji zamiast na kłuciu igłami i robieniu rezonansów.

Dziewczyna za oknem zauważyła ich i pomachała. Kalisha odpowiedziała tym samym. Zanim Luke zdążył powiedzieć coś jeszcze, otworzyła drzwi.

– Idziemy. Przestań robić taką głupią minę i chodź poznać rodzinę.

ZASTRZYKI NA KROPKI

Za drzwiami świetlicy i kantyny Kalisha objęła Luke'a ramieniem i przyciągnęła. Myślał – właściwie to miał nadzieję – że znowu go pocałuje, ale zamiast tego zaczęła mu szeptać na ucho. Łaskotała go ustami, przyprowadzając o gęsią skórkę.

– Gadaj, o czym chcesz, ale nic nie mów o Maureen, dobra? Wydaje nam się, że oni słuchają tylko czasami, ale lepiej uważać. Nie chcemy, żeby miała przez nas kłopoty.

Maureen, jasne, ta pokojówka, ale kim byli „oni”? Luke nigdy nie czuł się tak bardzo zagubiony, nawet kiedy jako czterolatek na niekończący się kwadrans zgubił się matce w centrum handlowym Mall of America.

Tymczasem, zgodnie z przewidywaniem Kalishy, znalazły go owady. Małe, czarne, krążyły mu nad głową całą chmarą.

Większość powierzchni placu zabaw pokrywał drobny żwir. Strefę do gry w koszykówkę, gdzie nadal grał ten chłopak, George, wyłożono asfaltem, a trampolinę otoczono czymś gąbkowatym, na wypadek gdyby ktoś źle skoczył i wyleciał przez krawędź. Były też różne huśtawki i zjeżdżalnia, pole do gry w shuffleboard, siatka do badmintona, linarium oraz kolekcja walców w jaskrawych kolorach, z których małe dzieci mogły zbudować tunel – tylko że teraz nie było tutaj żadnych dzieci na tyle małych, żeby z tego korzystać. Przy stołach piknikowych ciągnęła się długa zielona szafka z napisami **GRY I SPRZĘT** oraz **PROSZĘ ODKŁADAĆ RZECZY NA MIEJSCE**.

Plac zabaw otaczało wysokie na co najmniej trzy metry ogrodzenie z siatki. Luke zauważył kamery wycelowane w dwa narożniki. Były zakurzone, jakby od dłuższego czasu nikt ich nie czyścił. Za ogrodzeniem rozciągał się tylko las, głównie sosnowy. Sądząc po grubości pni, chłopiec oceniał te drzewa na mniej więcej osiemdziesiąt lat. Wzór – podany w książce *Drzewa Ameryki Północnej*, którą przeczytał pewnego sobotniego popołudnia, kiedy miał z dziesięć lat – był prosty. Nie trzeba liczyć słojów. Wystarczy oszacować obwód drzewa i podzielić przez liczbę pi, żeby uzyskać średnicę, a potem pomnożyć przez średni współczynnik wzrostu dla północnoamerykańskich sosen, wynoszący 4,5. Łatwo to policzyć, a także wyciągnąć wniosek, że drzew nie ścinano tutaj od

dawna, być może od kilku pokoleń. Gdziekolwiek znajdował się Instytut, stał pośrodku starego drzewostanu, czyli na zupełnym pustkowiu. A co do samego placu zabaw, to pierwsze, co przyszło Luke'owi do głowy, było to, że gdyby ktoś kiedyś stworzył więzienny spacerniak dla dzieci w wieku od sześciu do szesnastu lat, wyglądałby dokładnie tak.

Dziewczyna – Iris – zobaczyła ich i pomachała. Dwa razy odbiła się na trampolinie, aż kucyk jej furkotał, a potem wykonała ostatni zeskok i wylądowała na sprężystym podłożu na rozstawionych nogach i ugiętych kolanach.

– Sha! Kogo tam masz?

– To Luke Ellis – odpowiedziała Kalisha. – Nowy, przyjechał dziś rano.

– Cześć, Luke. – Iris podeszła i wyciągnęła rękę. Była chuda, wyższa od Kalishy o kilka centymetrów. Miała miłą, ładną twarz, a na policzkach i czole połyskiwała, jak domyślał się Luke, mieszanka potu i płynu na owady. – Iris Stanhope.

Przywitał się, świadom tego, że owady – które kojarzył z Minnesoty, ale nie miał pojęcia, jak nazywają się tutaj – polubiły jego smak.

– Nie jest mi miło, że tu jestem, ale chyba miło mi cię poznać.

– Jestem z Abilene w Teksasie. A ty?

– Z Minneapolis. To w...

– Wiem, gdzie to jest – rzuciła Iris. – Kraina miliarda jezior czy jakieś gówno w tym stylu.

– George! – krzyknęła Kalisha. – Gdzie twoje maniery, młody człowieku? Chodź no tutaj!

– Jasne, ale zaraz. To jest ważne. – George stanął na linii rzutów wolnych na skraju asfaltu, przycisnął piłkę do piersi i zaczął mówić cichym, pełnym napięcia głosem: – Proszę państwa, po siedmiu zaciętych spotkaniach o wszystkim zdecyduje właśnie ten moment. Druga dogrywka, Wizards przegrywają z Celtics jednym punktem, a George Iles, który przed chwilą wszedł z ławki, ma szansę zapewnić zespołowi wygraną z linii rzutów wolnych. Jeśli trafi jeden rzut, Wizards znów wyrównają. Jeśli trafi oba, przejdzie do historii, jego zdjęcie prawdopodobnie trafi do Koszykarskiej Galerii Sław, być może wygra kabriolet Tesla...

– Chyba na zamówienie – wtrącił Luke. – Tesla nie robi kabrioletów, przynajmniej na razie.

George nie zwracał na niego uwagi.

– Nikt się nie spodziewał, że Iles znajdzie się w takiej sytuacji, a już na pewno nie on sam. W Capital One Arena zapadła niesamowita cisza...

– I wtedy ktoś puszcza bąka! – krzyknęła Iris. Wsunęła język między wargi i wydała przeciągły, bulgoczący dźwięk. – Ale się spierdział! Co za smród!

– Iles oddycha głęboko... dwa razy kozłuje piłkę, z czego jest znany...

– Oprócz tego, że jest gadułą, George ma bardzo bujną wyobraźnię – wyjaśniła Luke'owi Iris. – Można się przyzwyczaić.

George zerknął w stronę pozostałej trójki.

– Iles rzuca gniewne spojrzenie na samotną fankę Celtics, która próbuje mu przeszkadzać z okolicy linii środkowej... To ta dziewczyna, która wygląda na głupią, a do tego jest niewiarygodnie brzydka...

Iris znowu pierdnęła ustami.

– Teraz Iles odwraca się z powrotem do kosza... rzuca...

Niedolot.

– Jezu, George, to było beznadziejne – powiedziała Kalisha. – Albo, kurwa, zremisuj, albo przegraj, żebyśmy mogli pogadać. Ten chłopak nie wie, co się z nim stało.

– A my to niby wiemy – prychnęła Iris.

George wyprostował kolana i rzucił. Piłka toczyła się po obręczy... długo się zastanawiała... a potem nie wpadła.

– Celtics wygrywają, Celtics wygrywają! – zawołała Iris. Podskoczyła jak cheerleaderka i potrząsnęła niewidzialnymi pomponami. – A teraz chodź tutaj i przywitaj się z nowym.

Chłopak podszedł, opędzając się od owadów. Był niski i przysadzisty. Luke pomyślał, że te jego fantazje to jedyna szansa na zawodową grę w koszykówkę. Miał bladoniebieskie oczy, które Luke'owi kojarzyły się z filmami z Paulem Newmanem i Steve'em McQueenem, które on i Rolf oglądali na TCM. Kiedy przypomniał sobie, jak leżeli wyciągnięci przed telewizorem, zajadając popcorn, zrobiło mu się niedobrze.

– Ej, młody. Jak się nazywasz?

– Luke Ellis.

– Ja jestem George Iles, ale pewnie dziewczyny już ci powiedziały. Jestem dla nich bogiem.

Kalisha złapała się za głowę, jakby ją bolała. Iris pokazała mu środkowy palec.

– Bogiem miłości – dodał George.

– Ale Adoniszem, a nie Kupidynem – powiedział Luke, trochę wczuwając się w sytuację. A przynajmniej próbując. – Adonis to bóg pożądania i piękna.

– Skoro tak mówisz. Jak ci się tu na razie podoba? Do kitu, nie?

– Co to za miejsce? Kalisha mówi o nim Instytut, ale co to znaczy?

– Równie dobrze można mówić, że to Dom Pani Sigsby dla Zbłąkanych Dzieci o Zdolnościach Parapsychicznych – odpowiedziała Iris i splunęła.

Luke czuł się nawet nie tak, jakby zaczął oglądać film od środka, ale serial od połowy trzeciego sezonu. I to taki o skomplikowanej fabule.

– Kim jest pani Sigsby?

– Królową suką – odparł George. – Poznasz ją i radzę, żebyś nie pyskował. Nie lubi, jak jej ktoś pyskuje.

– Jesteś TP czy TK? – zwróciła się Iris do Luke'a.

– Myślę, że TK. – Tak naprawdę był tego raczej pewien. – Czasami wokół mnie poruszają się różne rzeczy, a ponieważ nie wierzę w złośliwe duchy, pewnie dzieje się to za moją sprawą. Ale to nie mogło wystarczyć, żeby...

Urwał. To nie mogło wystarczyć, żebym tutaj trafił, pomyślał. Ale przecież tu był.

– TK-pozytyw? – zapytał George, a potem odszedł w stronę jednego ze stołów piknikowych.

Luke też ruszył w tym kierunku, a za nim obie dziewczyny. Potrafił obliczyć orientacyjny wiek otaczającego ich lasu, znał nazwy stu różnych bakterii, mógłby opowiedzieć tym dzieciakom o Hemingwayu, Faulknerze i Wolterze, ale jeszcze nigdy nie czuł się taki niezorientowany.

– Nie mam pojęcia, co to znaczy.

– „Pozytywami” nazywają dzieci takie jak ja i George. Oni, czyli technicy, opiekunowie i lekarze. Nie powinniśmy o tym wiedzieć...

– Ale wiemy – dopowiedziała Iris. – To się nazywa tajemnica poliszynela. TK-pozytywni i TP-pozytywni potrafią to robić, kiedy chcą, przynajmniej czasami. Pozostali nie. Przy mnie rzeczy ruszają się tylko wtedy, kiedy jestem wkurzona, bardzo szczęśliwa albo po prostu zaskoczona. Wtedy to jest coś mimowolnego, jak kichanie. Czyli jestem przeciętna. Przeciętnych TK i TP nazywają „różowymi”.

– Dlaczego? – zapytał Luke.

– Bo jeśli jesteś zwyczajny, to na papierach w twojej teczce jest mała różowa kropka. Nie powinniśmy wiedzieć, co jest w naszych teczkach, ale ja któregoś dnia widziałam swoją. Oni czasem bywają nieostrożni.

– Lepiej uważaj, bo inaczej nieostrożnie dobiorą ci się do tyłka – ostrzegła ją Kalisha.

– Różowym robi się więcej testów i zastrzyków – wyjaśniła Iris. – Ja raz byłam w zbiorniku. Tam jest do kitu, ale nie jakoś tragicznie.

– Co to...

– Ja jestem TK-pozytywny – wszedł mu w słowo George. – W mojej teczce nie ma nic różowego. Zero różu u tego dzieciaka.

– Widziałeś swoją teczkę? – zapytał Luke.

– Nie musiałem. Jestem zarabisty. Patrz.

George nie koncentrował się niczym jogin, po prostu sobie stał, wydarzyło się jednak coś niesamowitego. (Przynajmniej Luke'owi wydało się niesamowite, bo na dziewczętach chyba nie zrobiło wrażenia). Chmura owadów kłębiących się wokół głowy George'a nagle poleciała do tyłu, układając się w coś na kształt ogona komety, zupełnie jakby uderzył w nią silny podmuch wiatru. Tylko że żadnego wiatru tutaj nie było.

– Widzisz? – rzucił George. – TK-pozytyw w akcji. Tylko że to nie trwa długo.

Rzeczywiście. Owady wróciły, znów latały wokół niego, odpychane tylko przez woń płynu, którym się spryskał.

– Ten twój drugi rzut – przypomniał sobie Luke. – Mógłbyś sprawić, żeby wpadło?

George z żalem pokręcił głową.

– Chciałabym, żeby przywieźli tu jakiegoś naprawdę potężnego TK-pozytywa – powiedziała Iris. Jej ekscytacja poznaniem nowego przybysza prysła. Dziewczyna wyglądała na zmęczoną, wystraszoną i starszą niż w rzeczywistości. Luke oceniał jej wiek na jakieś piętnaście lat. – Takiego, który teleportowałby nas stąd w pizdu. – Usiadła na ławce jednego ze stołów piknikowych i przykryła dłońmi oczy.

Kalisha dosiadła się do niej i objęła ją ramieniem.

– Nie, skarbie, daj spokój, wszystko będzie dobrze.

– Wcale nie będzie – odparła Iris. – Popatrz, jestem jak poduszka na igły! – Wyciągnęła ręce. Na lewej miała dwa plastry, na prawej trzy. Potem potarła oczy i przybrała, jak przypuszczał Luke, swój bojowy wyraz twarzy. – To jak, nowy, umiesz poruszać przedmiotami, kiedy chcesz?

Luke nie rozmawiał o kontroli umysłu nad materią – znanej jako psychokineza – z nikim oprócz rodziców. Mama powiedziała, że ludzie baliby się, gdyby o tym wiedzieli. Tata uważał, że to najmniej ważna z cech Luke'a. Chłopiec zgadzał się z obojgiem, ale te dzieci wcale się nie bały, a tutaj to było coś istotnego. Nie miał co do tego wątpliwości.

– Nie. Nie umiem nawet ruszać uszami.

Parsknęli śmiechem, a on się odprężył. Znalazł się w dziwnym, strasznym miejscu, ale przynajmniej te dzieciaki wydawały się w porządku.

– Od czasu do czasu coś się przesuwa, to wszystko. Talerze albo sztućce. Bywa, że drzwi same się zatrzasną. Raz czy dwa zapaliła się lampka na moim biurku. To nie jest nigdy nic wielkiego. Kurczę, w sumie nawet nie byłem pewien, że ja to robię. Myślałem, że to może z powodu wiatru... albo głębokich wstrząsów sejsmicznych...

Cała trójka patrzyła na niego mądrym wzrokiem.

– No dobra – przyznał. – Byłem pewien. Moi rodzice też. Ale to nie była żadna wielka sprawa.

Może byłoby inaczej, gdyby nie jego obłądna inteligencja, pomyślał. W wieku dwunastu lat dostał się na dwie uczelnie. Wyobraźmy sobie siedmiolatka, który gra na fortepianie jak Van Cliburn. Czy ktokolwiek przejmowałby się tym, że przy okazji robi proste sztuczki karciane? Albo umie ruszać uszami? Tego jednak Luke nie mógł powiedzieć George'owi, Iris i Kalishy. Zabrzmiałoby, jakby się przechwalał.

– Masz rację, to wcale nie jest wielka sprawa! – zawołała z pasją Kalisha. – I to jest właśnie pojebane! Nie jesteśmy Ligą Sprawiedliwości ani X-Menami!

– Czy my zostaliśmy porwani?

Luke modlił się, żeby parsknęli śmiechem. Modlił się, żeby ktoś powiedział: „Oczywiście, że nie”.

– No, ba – odparł George.

– Dlatego, że potrafisz na sekundę przegonić owady? Że... – Luke pomyślał o tacce spadającej ze stołu w Rocket Pizza. – Że czasami, kiedy wchodzę do pokoju, drzwi się za mną zamykają?

– Wiesz, gdyby zamykali tu ludzi za urodę, Iris i Sha ciągle byłyby wolne – powiedział George.

– Debil – rzuciła Kalisha.

George się uśmiechnął.

– Cóż za niezwykle wyszukana riposta! Na poziomie „Naskocz mi”.

– Czasami nie mogę się doczekać, aż trafisz do Tylnej Połowy – włączyła się Iris. – Pewnie Bóg mnie za to pokarze, ale...

– Zaraz – przerwał jej Luke. – Czekaście. Zaczynicie od początku.

– To właśnie jest początek, kolego – odezwał się ktoś za nimi. – Niestety, przy okazji pewnie i koniec.

2

Luke ocenił wiek nowo przybyłego na szesnaście lat, ale później dowiedział się, że przestrzelił o dwa lata. Nicky Wilholm był wysoki, miał

niebieskie oczy i nieuczesaną czuprynę, czarniejszą niż smoła i błagającą o podwójną dawkę szamponu. Miał na sobie pogniecioną koszulę i szorty w takim samym stanie; białe sportowe skarpetki obsunęły mu się do połowy, a sneakersy były brudne. Luke przypomniał sobie, jak Maureen mówiła, że przypomina Pig-Pena z *Fistaszków*.

Pozostali patrzyli na niego z ostrożnym szacunkiem i Luke natychmiast to wyczuł. Kalisha, Iris i George byli równie jak on niezadowoleni, że tutaj są, ale starali się zachować pozytywne nastawienie; pomijając chwilę zwątpienia Iris, sprawiali wrażenie trochę zwariowanej gromadki, która w tych okolicznościach próbuje sobie jakoś radzić. Ten gość natomiast wydawał się zupełnie inny. W tym momencie Nicky nie wyglądał na wściekłego, ale z pewnością musiał być taki dość niedawno. Miał rozcięcie na spuchniętej dolnej wardze, które właśnie się goiło, blednący ślad po podbitym oku oraz świeży siniec na policzku.

Czyli rozrabiaka. Luke widział już w życiu parę takich osób, kilka trafiło się nawet w Brodericku. On i Rolf trzymali się od nich na dystans, ale jeśli – jak zaczynał przypuszczać – Instytut był rzeczywiście więzieniem, to od Nicky'ego Wilholma nie da rady trzymać się z daleka. Pozostała trójka chyba jednak się go nie bała, co było dobrym znakiem. Może Nicky'ego wkurzał cel przyświecający istnieniu placówki noszącej bezbarwną nazwę Instytutu, ale przy kolegach wydawał się spięty. Skoncentrowany. Ślady na twarzy mimo wszystko sugerowały nieprzyjemne scenariusze, zwłaszcza jeśli z natury chłopak wcale nie był awanturnikiem. Może sprawcą obrażeń był dorosły? Gdyby coś takiego zrobił nauczyciel, nie tylko w Brodericku, ale też prawie wszędzie, wyleciałby z pracy, pewnie został pozwany, a może nawet wylądował w areszcie.

Luke pomyślał o słowach Kalishy: „Nie jesteśmy już w Kansas, Toto”.

– Jestem Luke Ellis. – Wyciągnął rękę, nie bardzo wiedząc, czego się spodziewać.

Nicky ją zignorował i otworzył zieloną szafkę z rzeczami.

– Grasz w szachy, Ellis? Ci troje są do niczego. Z Donna Gibson jakoś dawało się grać, ale trzy dni temu trafiła do Tylnej Połowy.

– I już więcej jej nie zobaczymy – dodał smętnie George.

– Gram, ale teraz nie mam ochoty – odparł Luke. – Chcę się dowiedzieć, gdzie jestem i co tu się dzieje.

Nick wyjął szachownicę i pudełko z dwiema armiami. Szybko je rozstawił i patrzył przez włosy opadające na oczy, zamiast odgarnąć je z czoła.

– Jesteś w Instytucie. Gdzieś na pustkowiu w Maine. Tu nawet nie ma miejscowości, są tylko współrzędne na mapie. TR-sto dziesięć. Sha wychwyciła je od paru osób. Donna też, i jeszcze Pete Littlejohn. To następny TP, który trafił do Tylnej Połowy.

– Wydaje się, że Peteya nie ma już od wieków, a to dopiero tydzień – odezwała się smutno Kalisha. – Pamiętacie te jego pryszczki? I jak mu zjeżdżały okulary?

Nicky nie zwracał na nią uwagi.

– Dozorcy nie próbują tego ukrywać i nie zaprzeczają. No bo po co, skoro pracują z dziećmi z TP? O rzeczy, które chcą zachować w sekrecie, też się nie martwią, bo tak głęboko nie umie wejść nawet Sha, a ona jest dobra.

– W kartach Zenera trafiam dziewięć na dziesięć razy – powiedziała Kalisha. Nie chwaliła się, po prostu oznajmiała fakt. – I umiałabym stwierdzić, jak ma na imię twoja babcia, gdybyś o niej w tej chwili pomyślał, ale głębiej do umysłu ci nie sięgnę.

Moja babcia ma na imię Rebecca, pomyślał Luke.

– Rebecca. – Kiedy Kalisha zobaczyła jego zaskoczoną minę, zachichotała jak dziecko, którym jeszcze nie tak dawno była.

– Twoje są białe – powiedział Nicky. – Ja zawsze gram czarnymi.

– Nicky to nasz honorowy buntownik – oznajmił George.

– I ma na dowód blizny – dodała Kalisha. – W niczym mu to nie pomaga, ale nie umie się powstrzymać. A w pokoju ma bałagan, to kolejny przejaw dziecinnego nieposłuszeństwa, którym tylko dodaje Maureen roboty.

Nicky odwrócił się do niej bez uśmiechu.

– Gdyby Maureen rzeczywiście była takim aniołem, jak ci się wydaje, toby nas stąd wyciągnęła. Albo doniosła na najbliższy posterunek policji.

Kalisha pokręciła głową.

– Ogarnij się. Jak ktoś tu pracuje, to jest w to wszystko zamieszany. Czy jest dobry, czy zły.

– Wredny czy miły – dorzucił George z poważną miną.

– Poza tym najbliższy posterunek policji jest pewnie gdzieś daleko stąd i siedzi tam banda wsioków – stwierdziła Iris. – A skoro już przyznałeś sobie rolę Głównego Wyjaśniacza, Nick, to może naprawdę powiesz chłopakowi co i jak? Rany, już zapomniałeś, jak dziwnie było się obudzić w pokoju, który wygląda jak twój?

Nick usiadł, odchylił się na oparcie krzesła i skrzyżował ręce na piersiach. Luke zauważył, w jaki sposób Kalisha na niego patrzy,

i pomyślał, że jeśli kiedyś go pocałuje, to nie tylko po to, żeby go zarazić ospą wietrzną.

– Dobra, Ellis, powiem ci, co wiemy. Albo co nam się wydaje. To nie zajmie dużo czasu. Drogie panie, jeśli będziecie chciały coś dodać, nie krępujcie się. A ty, George, trzymaj gębę na kłódkę, jak tylko poczujesz, że zbiera ci się na pieprzenie od rzeczy.

– Dzięki – prychnął George. – Prędzej dam ci pojeździć moim porsche.

– Kalisha jest tu najdłużej – ciągnął Nicky. – Przez tę jej ospę wietrzną. Ile dzieci widziałas tutaj przez ten czas?

Dziewczyna się zastanowiła.

– Pewnie ze dwadzieścioro pięcioro. Może trochę więcej.

Nicky kiwnął głową.

– One, to znaczy my, pochodzą z całego kraju. Sha jest z Ohio, Iris z Teksasu, George z Glory Hole w Montanie...

– Jestem z Billings – wtrącił George. – To naprawdę szacowne miasto.

– Najpierw nas znakują jak jakieś ptaki wędrowne albo cholerne bizony. – Nicky odgarnął włosy i odgiął ucho, żeby pokazać Luke'owi kółko z jasnego metalu dwa razy mniejsze od dziesięciocentówki. – Potem nas badają, robią nam testy, dają zastrzyki na kropki, znowu badają i robią następne testy. Różowi mają więcej zastrzyków i więcej testów.

– Ja byłam w zbiorniku – powiedziała znów Iris.

– Brawo ty! – rzucił Nick. – Jak ktoś jest pozytywnym, to każą mu robić sztuczki jak zwierzątku. Ja jestem TK-pozytywny, ale nasz gaduła George radzi sobie z tymi sprawami dużo lepiej niż ja. A był tu taki jeden chłopak, już nie pamiętam imienia, jeszcze lepszy od George'a.

– Bobby Washington – podpowiedziała Kalisha. – Mały czarny dzieciak, może dziewięcioletni. Potrafiłby ci zepchnąć talerz ze stołu. Nie ma go już... ile, Nicky? Dwa tygodnie?

– Trochę mniej. Gdyby to były dwa tygodnie, tobym się z nim minął.

– Jednego dnia był jeszcze na kolacji, a już następnego zabrali go do Tylnej Połowy. Puf! Było i nie ma. Ja powinnam być następna. Już chyba kończą testy.

– Moje też – dodał Nicky. – Prawdopodobnie będą zadowoleni, jak się mnie pozbęda.

– Nawet na pewno – zgodził się z nim George.

– Dawali nam zastrzyki – powiedziała Iris. – Niektóre bolą, niektóre nie, niektóre jakoś na ciebie działają, niektóre nie. Ja po jednym dostałam gorączki i strasznie bolała mnie głowa. Myślałam, że zaraziłam się ospą

wietrzną od Kalishy, ale następnego dnia mi przeszło. Robią ci zastrzyki tak długo, aż zaczniesz widzieć kropki i słyszeć buczenie.

– Ty miałaś lekko – wtrąciła Kalisha. – Było parę takich dzieciaków... jeden miał na imię Morty... nie pamiętam nazwiska...

– Ten, który dłubał w nosie. I trzymał się z Bobbym Washingtonem. Ja też zapomniałam jego nazwiska. Zabrali go do Tylnej Połowy ze dwa dni po tym, jak ja tu trafiłam.

– Tyle że może wcale nie. Nie był tutaj długo, a po którymś zastrzyku wyskoczyła mu cała masa kropek. Powiedział mi o tym w stołówce. I że serce waliło mu jak szalone. Myślę, że poważnie zachorował. – Zawiesiła głos. – Może nawet umarł.

George z przerażeniem patrzył na Iris szeroko otwartymi oczami.

– Cynizm i nastoletnie lęki są spoko, ale powiedz, że tak naprawdę w to nie wierzysz.

– Nie chciałabym wierzyć, to na pewno.

– Zamknijcie się wszyscy – odezwał się Nicky. Pochylił się nad szachownicą, wbijając wzrok w Luke'a. – Porywają nas, tak. Bo mamy zdolności parapsychiczne, tak. Jak nas znajdują? Nie wiem. Ale to musi być duże przedsięwzięcie, bo to miejsce też jest duże. Jebany kombinat. Mają lekarzy, techników, ludzi, których nazywają opiekunami... zupełnie jakby ktoś postawił w tym lesie szpital.

– No i mają ochronę – dodała Kalisha.

– Właśnie. Kieruje nią taki wielki łysy zjeb. Nazywa się Stackhouse.

– To jakiś obłąd – powiedział Luke. – Takie coś w Ameryce?

– To nie jest Ameryka, to Królestwo Instytutu. Ellis, kiedy pójdziemy do stołówki na lunch, wyjrzyj przez okna. Zobaczysz masę drzew, ale jak się dobrze przyjrzyysz, zobaczysz jeszcze jeden budynek. Z zielonych pustaków, zupełnie jak ten. Chyba ma się zlewać z lasem. W każdym razie to jest Tylna Połowa. Tam zabierają dzieci po zakończeniu zastrzyków i testów.

– Co tam się dzieje?

Tym razem odpowiedziała Kalisha:

– Nie wiemy.

Luke już chciał spytać, czy wie to Maureen, ale przypomniał sobie, co Kalisha szepnęła mu na ucho: „Oni słuchają”.

– Wiemy tyle, ile nam mówią – wyjaśniła Iris. – Mówią...

– Mówią, że wszystko będzie DOOOBRZE!

Nicky krzyknął tak głośno i tak niespodziewanie, że Luke aż odskoczył i prawie spadł z ławki. Czarnowłosa chłopak wstał i spojrzał prosto

w zakurzony obiektyw jednej z kamer. Luke przypomniał sobie coś jeszcze, co powiedziała mu Kalisha: „Kiedy poznasz Nicky’ego, nie przejmuj się, jak zacznie się nakręcać. To jego sposób, żeby się wyładowywać”.

– Zachowują się jak misjonarze sprzedający Jezusa bandzie Indian, którzy są tak... tak...

– Naiwni? – zasugerował Luke.

– Właśnie! To! – Nicky ciągle wpatrywał się w kamerę. – Bandzie Indian, którzy są tak naiwni, że uwierzą we wszystko. W to, że jak oddadzą swoją ziemię za garść paciorków i parę zapchlonych, kurwa, koców, to pójdą do nieba, gdzie spotkają wszystkich swoich martwych przodków i na zawsze będą szczęśliwi! To właśnie my, naiwni Indianie, którzy uwierzą we wszystko, co brzmi dobrze, co brzmi jak szczęśliwe... kurwa... ZAKOŃCZENIE!

Obrócił się do nich gwałtownie, włosy fruwały mu na wszystkie strony, oczy płonęły, pięści miał zaciśnięte. Luke zobaczył gojące się rozcięcia na kłykciach chłopaka. Wątpił, by Nicky odpłacił komuś pięknym za nadobne – bądź co bądź, był tylko dzieciakiem – ale komuś na pewno dał się we znaki.

– Myślicie, że kiedy zabrali go do Tylnej Połowy, Bobby Washington miał jakieś wątpliwości, czy próby się skończyły? A Pete Littlejohn? Orłami to oni nie byli. Chryste, okno bezpiecznie można było przy nich otworzyć, na pewno by nie wyfrunęli.

Znowu odwrócił się do brudnej kamery w górze. Przez to, że mógł się wyżyć tylko przed nią, scena wyglądała trochę niedorzecznie, ale Luke i tak był pełen uznania. Ten chłopak nie zaakceptował sytuacji.

– Słuchajcie, wy tam! Możecie mi spuszczać wpierdol i możecie mnie zabrać do Tylnej Połowy, ale będę walczył do końca! Nick Wilholm niczego nie oddaje za paciorki i koce!

Usiadł, ciężko dysząc. Potem się uśmiechnął, pokazując dołeczki, białe zęby i pogodne spojrzenie. Zniknęła nagle posępna, nadąsana postać, jak gdyby nigdy jej nie było. Luke’a nie pociągali chłopcy, ale widząc ten uśmiech, rozumiał, dlaczego Kalisha i Iris patrzą na Nicky’ego jak na lidera boysbandu.

– Powinni mnie wziąć do swojego zespołu, a zamiast tego tkwię tutaj jak w kurniku. Umiałbym sprzedać to miejsce lepiej niż Sigsby, Hendricks i reszta lekarzy. Ja mam przekonanie.

– To z pewnością – przyznał Luke. – Ale nie do końca rozumiem, do czego pijesz.

– No właśnie, Nicky, chyba trochę zszedłeś z tematu – zgodził się George.

Nicky znowu skrzyżował ręce na piersiach.

– Zanim skopię ci tyłek w szachy, nowy, podsumuję sytuację. Przywożą nas tutaj. Robią na nas testy. Szprycują nas Bóg wie czym, a potem robią jeszcze więcej testów. Część dzieciaków trafia do zbiornika, a wszystkie przechodzą dziwne badanie wzroku, podczas którego masz wrażenie, że zaraz zemdlejesz. Mamy pokoje, które wyglądają jak te w domu, co ma chyba... nie wiem... ukoić nasze wrażliwe emocje.

– Aklimatyzacja psychologiczna – powiedział Luke. – To nawet sensowne.

– W stołówce jest dobre żarcie. Wyobraź sobie, że możemy zamawiać z menu... fakt, że skromnego. Pokoje nie są zamykane na klucz, więc kiedy ktoś nie może spać, idzie sobie do stołówki po nocną przekąskę. Zostawiają nam ciastka, orzechy, jabłka i tak dalej. Albo można iść do kantyny. Tam są automaty na żetony, których ja nie mam, bo żetony dostają tylko grzeczne dziewczynki i grzeczni chłopcy, a ja takim nie jestem. Każdego harcerzyka najchętniej wywalilibym na kanciastą...

– Wracaj do tematu – przerwała mu ostro Kalisha. – Przestań pieprzyć.

– Dobra. – Nick rzucił jej ten swój zabójczy uśmiech, a potem znowu skupił się na Luke'u. – Dają nam masę zachęt do bycia grzecznymi i zarabiania żetonów. W kantynie są przekąski i napoje, w ogromnym wyborze.

– Popcorn Cracker Jacks – mruknął rozmarzony George. – Ciastka czekoladowe Ho Hos.

– Są też papierosy, gazowane napoje z alkoholem i mocniejszy towar.

– W kantynie wisi tabliczka: PIJ ODPOWIEDZIALNIE – dodała Iris. – To przecież kuriozalne, że dziesięcioletnie dzieciaki mogą naciskać guziki i dostawać butelki Boone's Farm Blue Hawaiian albo Mike's Hard Lemonade.

– Chyba żartujecie – rzucił Luke, ale Kalisha i George pokręcili głowami.

– Można się wciąć, ale nie zalać w trupa – wyjaśnił Nicky. – Tylu żetonów nie ma nikt.

– Fakt – zgodziła się Kalisha. – Ale bywają u nas tacy, którzy chodzą wciąci, kiedy tylko się da.

– To znaczy alkoholicy? Dziesięcio- i jedenastoletni alkoholicy? – Luke wciąż nie mógł w to uwierzyć. – Nie mówisz poważnie.

– Mówię – odparł Nicky. – Niektórzy robią wszystko, co im się powie, byle tylko codziennie korzystać z automatu z alko. Jestem tu za krótko, żeby to zbadać, ale słyszy się opowieści od tych, którzy byli tu wcześniej.

– Poza tym wiele dzieciaków mocno pracuje na uzależnienie od nikotyny.

To było absurdalne, ale w pewien obłądny sposób chyba miało sens. Luke przypomniał sobie słowa rzymskiego poety satyrycznego Juwenalisa, który stwierdził, że jeśli da się ludziom chleb i igrzyska, będą szczęśliwi i przestaną sprawiać kłopoty. Domyślał się, że tak samo działają papierosy i alkohol, zwłaszcza dostarczane wystraszonemu, nieszczęśliwym dzieciom w niewoli.

– To nie psuje wyników testów?

– Trudno stwierdzić, bo nie wiemy, co oni testują – odparł George. – Zachowują się tak, jakby interesowało ich wyłącznie to, żebyśmy zobaczyli kropki i usłyszeli buczenie.

– Jakie kropki? Jakie buczenie?

– Dowiesz się. Ale to jeszcze nie jest takie złe. Najgorsze jest dochodzenie do tego punktu. Nie cierpię zastrzyków.

– Plus minus trzy tygodnie – powiedział Nicky. – Tyle czasu większość osób spędza w Przedniej Połowie. W każdym razie tak mówi Sha, a ona jest tu najdłużej. Potem trafiamy do Tylnej Połowy. Później, przynajmniej teoretycznie, przychodzi czas na sprawozdanie i jakimś cudem wymazują nam wspomnienia o tym miejscu. – Uniósł ręce, rozczapierzając palce. – A potem, moje dziatki, idziemy do nieba! Obmyci, może tylko jaramy paczkę dziennie! Alleluja!

– Chodzi mu o to, że wracamy do domu, do rodziców – wyjaśniła cicho Iris.

– Gdzie powitają nas z otwartymi ramionami – dodał Nicky. – Żadnych pytań, tylko serdeczne powitanie, chodźmy uczyć to pizzą w Chuck E. Cheese. Czy według ciebie to brzmi realistycznie, Ellis?

Nie brzmiało.

– Ale nasi rodzice żyją, prawda? – Luke nie wiedział, jak to zabrzmiało w uszach pozostałych, ale własny głos wydał mu się bardzo słaby.

Nikt nie odpowiedział, tylko na niego spojrzeli. I to naprawdę wystarczyło za odpowiedź.

Ktoś zapukał do drzwi gabinetu pani Sigsby. Nie odrywając wzroku od monitora, poprosiła, żeby wszedł. Mężczyzna, który pojawił się w pomieszczeniu, był prawie tak wysoki jak doktor Hendricks, ale o dziesięć lat młodszy i w znacznie lepszej formie – barczysty i umięśniony. Czaszkę miał gładką, ogoloną i lśniącą. Nosił dżinsy i niebieską koszulę roboczą z podwiniętymi rękawami, odsłaniającymi imponujące bicepsy. Na biodrze miał kaburę, z której wystawał krótki metalowy pręt.

– Przyjechała grupa rubinowa. Może chce pani z nią omówić operację Ellisa?

– Coś pilnego albo niezwykłego, Trevorze?

– Nie, proszę pani, właściwie nie, a jeśli przeszkadzam, to przyjdę później.

– Wszystko w porządku, daj mi tylko chwilę. Nasi mieszkańcy właśnie wprowadzają nowego w sytuację. Chodź obejrzeć. Ta mieszanka mitów i spostrzeżeń jest dosyć zabawna. Jak wyjęta żywcem z *Władcy much*.

Trevor Stackhouse stanął za biurkiem. Zobaczył Wilholma – męczącego gnojka pełną gębą – siedzącego po jednej stronie rozstawionej szachownicy, naprzeciwko nowo pozyskanego. Dziewczęta stały obok, jak zwykle skoncentrowane głównie na Wilholmie – przystojnym, nadąsanym, współczesnym Jamesie Deanie. Wkrótce już go nie będzie; Stackhouse nie mógł się doczekać, kiedy Hendricks go odprawi.

– Jak myślicie, ilu ludzi w sumie tu pracuje? – pytał właśnie nowy.

Iris i Kalisha (znana również jako „ta laska od ospy wietrznej”) wymieniły spojrzenia. Odpowiedziała pierwsza z nich.

– Z pięćdziesiąt? Chyba co najmniej tyle. Są lekarze... technicy i opiekunowie... personel w stołówce... hm...

– Dwóch albo trzech dozorców i pokojówki – dodał Wilholm. – W tej chwili jedyną jest Maureen, bo zostało nas tylko pięcioro, ale kiedy dzieci jest więcej, przysyłają kilka innych. Możliwe, że przychodzą z Tylnej Połowy, tego nie wiem.

– Jak przy tylu ludziach utrzymują wszystko w tajemnicy? – zapytał Ellis. – Gdzie oni w ogóle parkują?

– Interesujące – przyznał Stackhouse. – Do tej pory chyba jeszcze nikt o to nie pytał.

Pani Sigsby kiwnęła głową.

– On jest bardzo mądry, i to najwyraźniej nie tylko odczytany. A teraz cicho, chcę posłuchać.

– ...muszą mieszkać – mówił właśnie Ellis. – Rozumiecie tę logikę? Jak wyjazd na służbę. Co oznaczałoby, że to jednostka rządowa. Jak te tajne więzienia, gdzie przesłuchują terrorystów.

– Do tego tortury wodne z workiem na głowie – dodał Wilholm. – Nie słyszałem, żeby tutaj robili to dzieciom, ale wcale bym się nie zdziwił.

– Mają zbiornik – powiedziała Iris. – To jest ich tortura wodna. Zakładają ci czepek, zanurzają cię i robią notatki. Ale to w sumie lepsze niż zastrzyki. – Zawiesiła głos. – Przynajmniej w moim przypadku.

– Muszą wymieniać pracowników grupami – stwierdził Ellis. Pani Sigsby odniosła wrażenie, że mówi bardziej do siebie niż do pozostałych. Pewnie często tak robi, pomyślała. – Tylko w ten sposób to może działać.

Stackhouse kiwał głową.

– Dobrze dedukuje. Cholernie dobrze. Ile on ma lat, ze dwanaście?

– Przeczytaj raport, Trevorze. – Sigsby nacisnęła klawisz i pojawił się wygaszacz ekranu: jej córki bliźniaczki w podwójnym wózku, wiele lat temu, kiedy jeszcze nie miały piersi, niewyparzonych gęb ani strasznych chłopaków. Ani, w przypadku Judy, straszego nałogu narkotykowego. – Czy zespół rubinowy złożył już sprawozdanie?

– Mnie osobiście. A kiedy policja sprawdzi komputer tego chłopaka, zobaczy, że czytał artykuły o dzieciach, które zabiły swoich rodziców. Niewiele, tylko kilka.

– Innymi słowy standardowa procedura.

– Tak, proszę pani. Jeśli coś działa, lepiej nic nie zmieniać. – Stackhouse rzucił jej uśmiech prawie tak czarujący jak u Wilholma, kiedy ten dawał do pieca na całego. Ale tylko prawie. Ten ich Nicky to prawdziwy magnes na laski. Przynajmniej na razie. – Chce się pani spotkać z zespołem czy wystarczy raport z operacji? Píše go Denny Williams, więc powinno dać się to czytać.

– Skoro wszystko poszło gładko, wystarczy raport. Powiem Rosalind, żeby mi go przyniosła.

– Dobrze. A co z Alvorson? Były od niej ostatnio jakieś informacje?

– Chodzi ci o to, czy Wilholm i Kalisha zaczęli się migdalić? – Sigsby uniosła brew. – Czy to dla ciebie istotne z perspektywy bezpieczeństwa, Trevorze?

– Mam w dupie, czy się migdała. Kibicuję im, żeby poszli na całość i stracili dziewictwo, dopóki jeszcze jest szansa. O ile jeszcze je mają. Ale czasami Alvorson wychwytuje informacje istotne z perspektywy bezpieczeństwa. Na przykład kiedy rozmawiała z tym Washingtonem.

Maureen Alvorson, pokojówka, która wydawała się autentycznie współczuć młodym pacjentom Instytutu, w rzeczywistości była wtyczką. (Przynosiła drobne ploteczki, więc pani Sigsby uważała, że „szpieg” to zbyt duże słowo). Ani Kalisha, ani pozostali TP nie zorientowali się, bo Maureen doskonale umiała skrywać głęboko pod powierzchnią swój dodatkowy sposób zarobkowania.

Szczególnie cenna była dzięki starannie zasianej teorii, że w niektórych punktach Instytutu – takich jak południowy kraniec stołówki czy nieduży kawałek przy automatach w kantynie – nie działa podsłuch. To właśnie tam Alvorson wyciągała z dzieci tajemnice. Zwykle chodziło o nędzne drobiazgi, ale czasem wśród słabizny trafiały się perełki. Na przykład kiedy mały Washington wyjawiał Maureen, że myśli o samobójstwie.

– Ostatnio nie było nic – powiedziała Sigsby. – Poinformuję cię, Trevorze, jeśli Alvorson przekaże nam coś, co uznam za przydatne dla ciebie.

– Dobrze. Tylko pytałem.

– Rozumiem. Idź już. Mam pracę.

4

– Jebać to gówno – powiedział Nicky, siadając z powrotem na ławce. W końcu odgarnął włosy z oczu. – Zaraz będzie gong, a po lunchu mam badanie wzroku i będę się gapił na białą ścianę. Pokaż, na co cię stać, Ellis. Zrób ruch.

Luke nigdy w życiu nie miał mniejszej ochoty na grę w szachy. Dręczyły go tysiące pytań – głównie o zastrzyki na kropki – ale może to była zła pora. Bądź co bądź, istnieje coś takiego jak przeładowanie informacjami. Przesunął pionek królewski o dwa pola. Nicky zrobił to samo. Luke odpowiedział gońcem królewskim, grożąc zbiciem pionka. Po chwili wahania Nicky przemieścił hetmana o cztery pola po skosie, czym praktycznie przypieczętował sprawę. Luke ruszył swojego hetmana, zaczekał, aż Nicky wykona dowolne posunięcie, które nie miało żadnego znaczenia, a potem przysunął hetmana tuż do króla.

Nicky spojrział na szachownicę i skrzywił się.

– Mat? W czterech ruchach? Żartujesz?

Luke wzruszył ramionami.

– To się nazywa mat szewski i działa tylko wtedy, gdy gra się białymi – wyjaśnił. – Następnym razem przewidzisz go i skontrujesz. Najlepiej

przesunąć pionek hetmański o dwa pola albo pionek królewski o jedno.

– Czy jak to zrobię, i tak możesz mnie pokonać?

– Możliwe. – Dyplomatyczna odpowiedź. Ta prawdziwa brzmiała: oczywiście.

– Ja cię kręcę. – Nicky nadal wpatrywał się w szachownicę. – Zajebiste. Kto cię tego nauczył?

– Przeczytałem parę książek.

Nicky podniósł wzrok i wydawało się, że dopiero teraz widzi Luke'a po raz pierwszy. Potem zadał to samo pytanie co Kalisha:

– Mądry z ciebie gość, co, młody?

– Na tyle mądry, żeby cię ograć – odparła Iris, ratując Luke'a przed koniecznością odpowiedzi.

W tym właśnie momencie rozległ się gong złożony z dwóch dźwięków: ding-dong.

– Idziemy na lunch – powiedziała Kalisha. – Umieram z głodu. Chodź, Luke. Przegrany odnosi grę na miejsce.

Nicky ułożył palce w kształt pistoletu, wycelował w nią i udał, że strzela, ale jednocześnie się uśmiechał. Luke wstał i poszedł za dziewczynami. Przy drzwiach do świetlicy dogonił go George i złapał za ramię. Z literatury socjologicznej (a także z osobistych doświadczeń) Luke wiedział, że dzieci w grupie najczęściej wpisują się w jedną z łatwo rozpoznawalnych szufladek. Jeśli Nicky Wilholm był tu buntownikiem, George robił za klasowego błazna. Tylko że teraz miał śmiertelnie poważną minę. Mówił cicho i szybko.

– Nick jest spoko, lubię go, a dziewczyny za nim szaleją. Ty pewnie też go polubisz, i dobrze, ale nie wzoruj się na nim. On nigdy nie pogodzi się z tym, że tu tkwimy, no, ale tkwimy, więc wybieraj, o co walczysz. Na przykład kropki. Jak je zobaczysz, to powiedz. Jak nie, to mów, że nie. Nie kłam. Oni wiedzą.

Dogonił ich Nicky.

– O czym gadacie, Georgie?

– Chciał wiedzieć, skąd się biorą dzieci – odparł Luke. – Powiedziałem, żeby zapytał ciebie.

– Jezu, następny pieprzony dowcipniś. Tego nam właśnie było trzeba. – Nicky złapał Luke'a za szyję i udał, że go dusi. Luke miał nadzieję, że to oznaka sympatii, może nawet szacunku. – Chodźmy jeść.

To, co nowi koledzy nazywali kantyną, było częścią świetlicy zlokalizowaną naprzeciwko dużego telewizora. Luke chciał się przyjrzeć automatom, ale pozostali szli szybko, więc nie zdążył. Zauważył natomiast tabliczkę, o której wspominała Iris: PIJ ODPOWIEDZIALNIE. Więc może wcale go nie nabierali z tym alkoholem.

To nie Kansas ani Wyspa Radości, pomyślał. To Kraina Czarów. Ktoś przyszedł w nocy do mojego pokoju i wepchnął mnie do króliczej nory.

Stołówka okazała się wprawdzie nie tak duża jak w Szkole imienia Brodericka, ale niewiele jej brakowało. Było ich tam tylko pięcioro, przez co wydawała się jeszcze obszerniejsza. Większość stolików była na cztery osoby, ale pośrodku sali znajdowało się kilka większych. Na jednym z nich umieszczono pięć nakryć. Podeszła kobieta w różowym fartuchu i spodniach w tym samym kolorze, żeby nalać im wody do szklanek. Tak jak Maureen, miała tabliczkę z imieniem. NORMA.

– Jak się macie, kurczaczki? – zapytała.

– Jakoś sobie dziobiemy – odparł pogodnie George. – A ty?

– W porządku.

– Nie masz przypadkiem karty WYCHODZISZ Z WIĘZIENIA?

Norma rzuciła mu automatyczny uśmiech, a potem wyszła przez wahadłowe drzwi, które zapewne prowadziły do kuchni.

– Po co ja się męczę? – mruknął George. – Moje najlepsze teksty marnują się tutaj. Marnują się, mówię.

Sięgnął po stos kart, które leżały na środku stołu, i rozdał je pozostałym. Na samej górze menu znajdowała się aktualna data. Poniżej PRZYSTAWKI (skrzydełka Buffalo albo zupa bisque z pomidorami), DANIA GŁÓWNE (burger z bizona albo amerykańskie chop suey) i DESERY (szarlotka z lodami albo coś, co nazwano magicznym ciastem budyniowym). Na liście było też sześć różnych napojów.

– Można dostać mleko, ale nie chce im się go wpisywać do menu – powiedziała Kalisha. – Większość dzieciaków go nie zamawia, chyba że do płatków na śniadanie.

– To jedzenie naprawdę jest dobre? – zapytał Luke.

Prozaiczne pytanie – zupełnie jak w hotelu all inclusive – przypomniało o surrealizmie ich sytuacji.

– Tak – odparła Iris. – Czasami nas ważą. Przytyłam dwa kilo.

– Tuczają nas – stwierdził Nicky. – Jak Jasia i Małgosię.

– W piątek wieczorem i w sobotę w południe jest szwedzki stół – dodała Kalisha. – Bez ograniczeń.

– Jak, kurwa, Jasia i Małgosię – powtórzył Nicky. Obrócił się do kamery w rogu pomieszczenia. – Wracaj, Normo. Chyba jesteśmy gotowi.

Wróciła natychmiast, co u Luke’a tylko wzmogło poczucie surrealizmu. Kiedy jednak na stół trafiły zamówione przez niego skrzydełka i chop suey, jadł z apetytem. Znajdował się w dziwnym miejscu, bał się o siebie i umierał ze strachu o los rodziców, ale poza tym wciąż miał dwanaście lat.

Był rosnącym chłopcem.

6

Oni musieli obserwować, kimkolwiek byli, bo ledwie Luke zjadł ostatni kawałek ciasta budyniowego, obok niego pojawiła się jeszcze inna kobieta w takim samym jak Norma różowym mundurku. Imię na jej plakietce brzmiało: GLADYS.

– Luke? Chodź ze mną.

Popatrzył na pozostałą czwórkę. Kalisha i Iris nie chciały spojrzeć mu w oczy. Nicky znowu skrzyżował ręce na piersiach i spoglądał na Gladys z lekkim uśmiechem.

– Może wróc później, kotku. Na przykład koło Gwiazdki. Kopnę cię pod jemiola.

Nie zwracała na niego uwagi.

– Luke? Proszę.

Tylko George patrzył prosto na niego. Na jego twarzy Luke zobaczył coś, co przypomniało mu o ich wcześniejszej rozmowie w drodze do stołówki: *więc wybieraj, o co walczysz*. Wstał.

– Do zobaczenia później. Chyba.

Kalisha bezgłośnie wypowiedziała słowa „Zastrzyki na kropki”.

Gladys była drobna i ładna, ale równie dobrze mogła mieć czarny pas i bez trudu przerzucić sobie Luke’a przez ramię, gdyby zaczął sprawiać kłopoty. Zresztą nawet jeśli nie, ONI patrzyli, więc nie miał wątpliwości, że w razie czego posiłki przybędą bardzo szybko. W grę wchodziło coś jeszcze, i to coś bardzo silnego. Luke został wychowany tak, żeby być grzecznym i słuchać starszych. Nawet w tej sytuacji trudno było przewyciężyć ten nawyk.

Kobieta prowadziła go obok okien, o których wspomniał Nicky. Luke wyrztał przez nie i rzeczywiście zobaczył drugi budynek. Ledwo widzialny przez drzewa, ale tam był. Tylna Połowa.

Przed wyjściem ze stołówki obejrzał się przez ramię, licząc, że ktoś doda mu otuchy – wystarczyłoby nawet machnięcie ręką albo uśmiech Kalishy. Nikt mu jednak nie pomachał i nikt się nie uśmiechał. Patrzyli na niego tak samo jak na placu zabaw, kiedy spytał, czy ich rodzice żyją. Może odpowiedzi na tamto pytanie nie znali, a przynajmniej nie byli jej pewni, wiedzieli natomiast, dokąd Luke idzie teraz. Cokolwiek go czekało, oni już przez to przeszli.

7

– Jejku, jaki mamy ładny dzień, prawda? – zapytała Gladys, prowadząc Luke’a korytarzem z pustaków, przy którym znajdował się jego pokój.

Korytarz biegł dalej kolejnym skrzydłem – więcej drzwi, więcej pokoi – oni jednak skręcili w lewo, do przybudówki, w której najwidoczniej były windy.

Luke, zazwyczaj dobry w prowadzeniu uprzejmych rozmów, milczał. Był przekonany, że na jego miejscu właśnie tak zachowałby się Nicky.

– Ale te owady... uch! – Odgoniła ręką niewidoczne insekty i roześmiała się. – Musisz się mocno spryskiwać, przynajmniej do lipca.

– Bo wtedy wyklują się ważki.

– Tak! Właśnie! – Dźwięcznie zachichotała.

– Dokąd idziemy?

– Zobaczysz. – Poruszyła brwiami, jakby chciała powiedzieć: „Nie psuj niespodzianki”.

Otworzyły się drzwi windy. Wysiedli z niej dwaj mężczyźni w niebieskich koszulach i spodniach. Jeden miał na imię JOE, a drugi HADAD. Obaj nieśli iPady.

– Cześć, chłopcy – odezwała się Gladys pogodnie.

– Cześć, dziewczyno – odparł Hadad. – Jak leci?

– W porządku – zaświergotała.

– A u ciebie, Luke? – spytał Joe. – Przyzwyczajasz się?

Luke nic nie powiedział.

– Zgrywasz milczka, co? – Hadad szeroko się uśmiechał. – Na razie jeszcze możesz. Potem już trochę mniej. Powiem ci, Luke, jak się sprawy mają: traktuj nas dobrze, a odwzajemnimy się tym samym.

– Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz – dodał Joe. – Święte słowa. Widzimy się później, Gladys?

– No pewnie. Wisisz mi drinka.

– Skoro tak mówisz.

Mężczyźni odeszli. Gladys wprowadziła Luke'a do windy. W środku nie było żadnych numerów ani guzików.

– B – powiedziała, a potem wyjęła kartę z kieszeni spodni i machnęła nią przed czujnikiem. Drzwi się zamknęły. Kabina ruszyła w dół, lecz szybko się zatrzymała.

– B – oznajmił z góry łagodny kobiecy głos. – Poziom B.

Gladys ponownie machnęła kartą. Drzwi otworzyły się, ukazując szeroki korytarz oświetlony półprzezroczystymi panelami sufitowymi. Grała dyskretna muzyka, którą Luke nazwałby supermarketową. Po korytarzu krążyło kilka osób: niektóre pchały wózki ze sprzętem, jedna niosła druciany koszyk, być może z próbkami krwi. Drzwi oznaczono numerami, każdy poprzedzony literą B.

Duże przedsięwzięcie... kombinat. Mówiąc tak, Nicky najwidoczniej miał rację, bo skoro istniał podziemny poziom B, logika podpowiadała, że jest także poziom C. Może też D i E. To przypomina obiekt rządowy, stwierdził Luke, ale jak udałoby się utrzymać w tajemnicy coś tak wielkiego? Przecież to nie tylko nielegalne i niekonstytucyjne, ale również w grę wchodzi porywanie dzieci.

Minęli otwarte drzwi, za którymi zobaczył coś w rodzaju pokoju socjalnego. Stały tam stoliki i automaty z jedzeniem i napojami (ale nie było tabliczki PIJ ODPOWIEDZIALNIE). Przy jednym ze stolików siedziały trzy osoby: mężczyzna i dwie kobiety. Mieli na sobie zwyczajne ubrania – dżinsy i koszule – i pili kawę. Jedna z kobiet, blondynka, wydawała się Luke'owi znajoma. W pierwszej chwili nie wiedział dlaczego, a potem przypomniał sobie głos mówiący „Jasne, co tylko chcesz”. To było ostatnie, co zapamiętał przed obudzeniem się tutaj.

– Pani – powiedział, wskazując ją palcem. – To była pani.

Kobieta nic nie mówiła, jej twarz również. Ale spojrzała na Luke'a. I wciąż patrzyła, kiedy Gladys zamknęła drzwi.

– To była ona – rzucił. – Wiem, że to ona.

– Jeszcze tylko kawałek – oznajmiła Gladys. – To nie potrwa długo, a potem będziesz mógł wrócić do swojego pokoju. Pewnie chciałbyś odpocząć. Pierwsze dni bywają wyczerpujące.

– Słyszała mnie pani? To ona weszła do mojego pokoju. Prysnęła mi czymś w twarz.

Nie było odpowiedzi, tylko znowu ten uśmiech. Ilekroć mu go rzucała, wydawał się Luke'owi coraz bardziej upiorny.

Doszli do drzwi z oznaczeniem B-31.

– Jak będziesz grzeczny, dostaniesz pięć żetonów – powiedziała. Sięgnęła do drugiej kieszeni i wyjęła garść metalowych krążków, które przypominały ćwierćdolarówki, tylko że z trójkątem wytłoczonym po obu stronach. – Widzisz? Mam je tutaj.

Zapukała do drzwi. Ubrany na niebiesko mężczyzna, który je otworzył, miał na imię TONY. Był wysokim blondynem, przystojnym, choć lekko mrużył jedno oko. Luke'owi kojarzył się ze złoczyńcą z filmów o Jamesie Bondzie, na przykład tym uprzejmym instruktorem narciarstwa, który okazał się zabójcą.

– Hej, ślicznotko. – Ucałował Gladys w policzek. – Przyprowadziłaś Luke'a. Cześć, Luke. – Wyciągnął do chłopca rękę. Ten, wczuwając się w rolę Nicky'ego Wilholma, nie uścisnął jej. Tony się roześmiał, jakby uznał to za wyjątkowo dobry żart. – Wejdz, wejdz.

Zaproszenie najwyraźniej adresowane było tylko do Luke'a. Gladys lekko go popchnęła, a potem zamknęła drzwi. Pośrodku pomieszczenia chłopiec ujrzał coś niepokojącego. Przypominało fotel dentystyczny. Tyle że u dentysty jeszcze nigdy nie widział pasków do przypięcia rąk.

– Siadaj, zuchu – powiedział Tony. Nie „smyku”, pomyślał Luke, ale blisko.

Mężczyzna podszedł do blatu, otworzył szufladę i zaczął w niej grzebać. Gwizdał pod nosem. Kiedy się odwrócił, trzymał w ręce coś przypominającego lutownicę. Wyglądał na zdziwionego, że Luke nadal stoi przy drzwiach. Uśmiechnął się szeroko.

– Powiedziałem: siadaj.

– Co to jest? Chce mi pan zrobić tatuaż?

Luke'owi przypomniało się, że Żydom trafiającym do obozów w Auschwitz i Bergen-Belsen na ramionach tatuowano numery. Taka myśl powinna być kompletnie niedorzeczna, ale...

Tony miał przez chwilę zaskoczoną minę, a potem się roześmiał.

– Jejku, nie. Zaczepię ci tylko ucho. To będzie jak przedziurawienie do kolczyka, nic wielkiego. Wszyscy nasi goście mają coś takiego.

– Nie jestem gościem – zaprotestował Luke, cofając się. – Jestem więźniem. I nie dam sobie nic wbić w ucho.

– Dasz – odparł Tony, nadal się uśmiechając. Wciąż wyglądał jak facet, który pomaga małym dzieciom na stokach dla początkujących, a potem próbuje zabić Jamesa Bonda zatrutą strzałką. – Posłuchaj, poczujesz tylko lekkie uszczyknięcie. Więc ułatw nam obu życie. Siadaj na fotelu i za siedem sekund będzie już po wszystkim. Gladys przy wyjściu da ci całą

garść żetonów. Jak będziesz komplikował sprawę, to i tak dostaniesz czip, ale nie żetony. Co ty na to?

– Nie usiądę w tym fotelu. – Luke czuł, że cały drży, ale jego głos brzmiał dość mocno.

Tony westchnął. Ostrożnie odłożył na blat urządzenie do wszczepiania czipów, podszedł do Luke'a i oparł dłonie na biodrach. Teraz był poważny, prawie smutny.

– Jesteś pewien?

– Tak.

Luke'owi zadzwoniło w uszach od ciosu otwartą dłonią, jeszcze zanim na dobre się zorientował, że prawa ręka Tony'ego oderwała się od biodra. Chłopiec zatoczył się do tyłu i spojrzał na mężczyznę. Ojciec raz (lekko) dał mu klapsa za zabawę zapalkami, kiedy Luke miał cztery czy pięć lat, ale nikt nigdy nie uderzył go w twarz. Piekł go policzek i chłopiec wciąż nie mógł uwierzyć w to, co się stało.

– To bolało dużo bardziej od uszczyknięcia w ucho – powiedział Tony. Jego uśmiech zniknął. – Chcesz jeszcze? Służę z przyjemnością. Ech, wy, dzieci, myślicie, że świat do was należy.

Luke dopiero teraz zauważył niewielki siniak na brodzie mężczyzny i lekkie zadrapanie po lewej stronie szczęki. Przypomniawszy sobie świeży siniec na twarzy Nicky'ego Wilholma. Chciałby mieć dość odwagi, żeby postąpić tak jak on, ale mu jej brakowało. Tak naprawdę nie umiał się bić. Gdyby spróbował, Tony pewnie rozniósłby go po całym pomieszczeniu.

– Czy teraz jesteś gotowy usiąść w tym fotelu?

Luke usiadł.

– Będziesz grzeczny czy potrzebujemy pasów?

– Będę grzeczny.

Dotrzymał słowa, a Tony miał rację. Uszczyknięcie ucha nie bolało tak jak cios w twarz, może dlatego, że Luke był na nie gotowy, a może – bo przypominało zabieg medyczny, a nie atak. Już po wszystkim Tony podszedł do sterylizatora i wyjął z niego igłę do zastrzyków podskórnych.

– Co to? – zapytał Luke.

– Nie twój interes.

– Skoro chce mi pan to wbić, to mój.

Tony westchnął.

– Pasy czy bez pasów? Twój wybór.

Luke przypomniał sobie słowa George'a: *wybieraj, o co walczysz.*

– Bez pasów.

– Grzeczny chłopak. Lekkie ukłucie i będzie po sprawie.

Okazało się, że to coś więcej niż lekkie ukłucie. Może ból nie był straszliwy, ale i tak nieźle zapiekło. Luke poczuł żar w całej ręce aż do nadgarstka, jakby miał gorączkę tylko w tej jednej części ciała, a potem wszystko wróciło do normy.

Tony zalepił miejsce ukłucia punktowym plastrem, po czym obrócił fotel przodem do białej ściany.

– A teraz zamknij oczy.

Luke wykonał polecenie.

– Słyszysz coś?

– To znaczy co?

– Przestań zadawać pytania i odpowiadaj na moje. Czy coś słyszysz?

– Niech pan będzie cicho, to posłucham.

Mężczyzna milczał, a Luke nasłuchiwał.

– Ktoś przeszedł korytarzem. I ktoś się zaśmiał. Chyba Gladys.

– Nic więcej?

– Nie.

– W porządku, dobrze ci idzie. Policz do dwudziestu, a potem otwórz oczy.

Luke policzył i otworzył.

– Co widzisz?

– Ścianę.

– Nic więcej?

Pomyślał, że Tony'emu prawie na pewno chodzi o kropki, i przypomniał sobie radę George'a. *Jak je zobaczysz, to powiedz. Jak nie, to mów, że nie. Nie kłam. Oni wiedzą.*

– Nic więcej.

– Na pewno?

– Tak.

Tony klepnął go w plecy, tak że Luke aż podskoczył.

– Dobra, zuchu, skończyliśmy. Dam ci trochę lodu na ucho. Przyjemnego dnia życzę.

8

Kiedy Tony wyprowadził Luke'a z pokoju B-31, Gladys czekała przed drzwiami. Uśmiechała się tym swoim pogodnym uśmiechem zawodowej hostessy.

– Jak ci poszło, Luke?

Tony odpowiedział w jego imieniu:

– Dobrze się spisał. Dzielny chłopak.

– To właśnie nasza specjalność. – Gladys niemal wyśpiewała te słowa. – Dobrego dnia, Tony.

– Tobie też, Glad.

Kobieta prowadziła Luke'a z powrotem do windy, wesoło gawędząc. Nie miał pojęcia, o czym ona mówi. Ręka bolała go tylko lekko, a do pulsującego ucha przykładął sobie zimny kompres. Od obu tych rzeczy gorszy był cios w twarz. Z najróżniejszych powodów.

Gladys odprowadziła go do pokoju. Przeszli surowym zielonym korytarzem obok plakatu, pod którym wcześniej siedziała Kalisha, tego z napisem KOLEJNY DZIEŃ W RAJU, i wreszcie dotarli do pomieszczenia, które wyglądało jak pokój Luke'a, ale nim nie było.

– Czas wolny! – zawołała, jakby przyznawała chłopcu cenną nagrodę. W tej chwili perspektywa, że zostanie sam, rzeczywiście wydawała się nagrodą. – Zrobił ci zastrzyk, prawda?

– Tak.

– Jeżeli zaczniesz cię boleć ręka albo zrobi ci się słabo, powiedz mnie albo komuś z pozostałych opiekunów, dobrze?

– Dobrze.

Luke otworzył drzwi, ale zanim zdążył wejść, Gladys złapała go za ramię i obróciła. Nadal miała uśmiech hostessy, ale jej palce jak ze stali wbijały mu się w skórę. Nie tak mocno, żeby zabolalo, lecz wystarczająco, by dać do zrozumienia, że mogłoby zaboląć.

– Niestety, żetonów nie będzie – powiedziała. – Nie musiałam o tym mówić z Tonym. Ten ślad na twoim policzku mówi mi wszystko, co potrzebuję wiedzieć.

Miał ochotę odpowiedzieć: „Nie chcę waszych gównianych żetonów”, ale milczał. Nie bał się wcale kolejnego ciosu, ale tego, że słysząc własny głos – słaby, chwiejny, oszołomiony głos sześciolatka – rozsypie się na oczach tej kobiety.

– Coś ci poradzę, Luke. – Gladys już się nie uśmiechała. – Musisz zrozumieć, że jesteś tu po to, żeby służyć. To znaczy, że musisz szybko dorosnąć. To znaczy, że musisz być realistą. Spotkają cię tutaj różne rzeczy. Niektóre nie będą zbyt przyjemne. Możesz być grzeczny i dostawać żetony albo niegrzeczny i nic nie dostawać. To, co ma cię spotkać, i tak cię spotka, więc zastanów się, co wybierasz. Decyzja nie powinna być trudna.

Luke nie odpowiedział. Uśmiech Gladys mimo wszystko powrócił, uśmiech hostessy mówiący „Tak, proszę pana, już pana prowadzę do

stolika”.

– Wrócisz do domu przed końcem lata i wszystko będzie tak, jakby nic się tu w ogóle nie wydarzyło. Jeśli cokolwiek zapamiętasz, to jak sen. Ale dopóki to nie sen, może warto zadbać o to, żeby twój pobyt był przyjemny? – Kobieta rozluźniła chwyt i lekko go popchnęła. – Myślę, że powinieneś trochę odpocząć. Połóż się. Widziałeś kropki?

– Nie.

– Jeszcze zobaczysz.

Zamknęła drzwi, bardzo delikatnie. Luke krokiem lunatyka przeszedł przez pokój do łóżka, które nie było jego łóżkiem. Położył się, przycisnął głowę do poduszki, która nie była jego poduszką, i patrzył na pustą ścianę bez okna. I bez kropek – czymkolwiek były. Pomyślał: ja chcę do mamy. Boże, jak ja chcę do mamy.

To przeważało szalę. Upuścił zimny kompres, zakrył oczy rękami i rozplakał się. Czy go obserwowali? Czy słuchali jego szlochu? Bez znaczenia. Już go to nie obchodziło. Wciąż jeszcze płakał, kiedy zasypiał.

9

Gdy się obudził, czuł się lepiej – jakby się oczyścił. Zauważył, że podczas gdy on jadł lunch, a potem poznawał nowych przyjaciół, Gladys i Tony’ego, w pokoju przybyły dwie rzeczy. Na biurku stał laptop: mac taki sam jak jego, ale trochę starszy model. Ponadto na stoliku w kącie pojawił się mały telewizor.

Luke najpierw podszedł do biurka i włączył komputer. Słyszając znajomy dźwięk macintosh, znowu boleśnie zatęsknił za domem. Zamiast prośby o hasło pojawił się niebieski ekran z następującym komunikatem: **ŻEBY URUCHOMIĆ, POKAŻ DO KAMERY JEDEN ŻETON.** Kilka razy zastukał w klawisz RETURN, wiedząc, że to nic nie da.

– Co za gówno!

A potem, choć to wszystko było straszne i surrealistyczne, musiał się roześmiać. Krótko, ostro, ale szczerze. Czy wcześniej miał poczucie wyższości – może nawet pogardy – wobec dzieci żebrzących o żetony na papierosy albo wino z sokiem? Jasne. Czy mówił sobie: „Ja bym nigdy tak nie postąpił”? Jasne. Kiedy myślał o dzieciakach, które piją i palą (czyli rzadko, bo miał ważniejsze tematy), stawali mu przed oczami żałośni metalowcy, którzy słuchają Pantery i rysują sobie przekrzywione diabelskie rogi na dżinsowych kurtkach, tacy głupi, że pogrążanie się w nałogu myślą z buntem. Nie wyobrażał sobie, że mógłby robić takie

rzeczy, ale oto gapił się w pusty niebieski ekran laptopa i bębnił w klawisz RETURN jak szczur w klatce Skinnera naciskający dźwignię, żeby dostać kawałek karmy albo kilka ziaren kokainy.

Zamknął laptopa i sięgnął po pilota na telewizorze. Spodziewał się zobaczyć kolejny niebieski ekran i komunikat, że do oglądania telewizji potrzebne są żetony, a tymczasem na ekranie pojawił się Steve Harvey prowadzący wywiad z Davidem Hasselhoffem na temat jego listy rzeczy do zrobienia przed śmiercią. Publiczność zaśmiewała się z dowcipnych odpowiedzi aktora.

Po wciśnięciu guzika PROGRAM na ekranie pojawiło się menu DirecTV podobne do tego w domu, ale tak jak w przypadku pokoju i laptopa – nieco inne. Dostępny był co prawda szeroki wybór filmów oraz programów sportowych, ale brakowało kanałów ogólnych i informacyjnych. Luke zgasił telewizor, odłożył pilota i rozejrzał się.

Oprócz drzwi na korytarz było jeszcze dwoje innych. Przez jedno wchodziło się do garderoby. Wisiały tam dżinsy, T-shirty (nie próbowano odtworzyć tych, które miał w domu, co przyjął z pewną ulgą) i kilka koszul, stały też dwie pary sneakersów oraz kapcie. Żadnych twardych butów.

Drugie drzwi prowadziły do małej, czyściutkiej łazienki. Luke znalazł tam kilka jeszcze nierozpakowanych szczoteczek do zębów. Leżały na umywalce obok świeżej tubki pasty do zębów Crest. W dobrze zaopatrzonej szafce z lekami znajdowały się płyn do ust, słoik paracetamolu w wersji dla dzieci, zawierający tylko cztery pastylki, dezodorant, płyn przeciw owadom DEET roll-on, plastry oraz kilka innych rzeczy, mniej lub bardziej potrzebnych. Jedyną potencjalnie choć trochę niebezpieczną był obcinacz do paznokci.

Luke zamknął szafkę i przejrzał się w lustrze. Włosy miał rozczochrane, pod oczami ciemne sińce (Rolf powiedziałby: sińce od walenia). Wyglądał zarazem starzej i młodziej, co było dziwne. Spojrzał na miękki płatek prawego ucha – w lekko zaczerwienionej skórze zobaczył małe metalowy krążek. Nie wątpił, że gdzieś na poziomie B – albo C czy D – siedzi technik komputerowy, który może śledzić każdy jego ruch. Może nawet śledził go teraz. Lucas David Ellis, zamierzający ukończyć MIT i Emersona, został zredukowany do migającej kropki na ekranie komputera.

Wrócił do swojego pokoju (nie, po prostu do pokoju, sprostował w myślach; to tylko pokój, a nie mój pokój), rozejrzał się i uświadomił sobie coś okropnego. Żadnych książek. Ani jednej. To równie straszne jak

brak komputera. Może nawet gorsze. Podszedł do komody i otworzył kolejno wszystkie szuflady z nadzieją, że znajdzie przynajmniej Biblię albo Księgę Mormona, tak jak czasami w hotelach. Trafił jedynie na starannie ułożone stosiki bielizny i skarpetek.

Co mu zostawało? Wywiady Steve'a Harveya z Davidem Hasselhoffem? Powtórki *Śmiechu warte*?

Nie. Nie ma mowy.

Wyszedł z pokoju, licząc na to, że trafi na Kalishę albo któreś z pozostałych dzieci. Spotkał jednak tylko Maureen Alvorson, która powłóczyła nogami, popychając korytarzem kosz Dandux z bielizną. Był pełen poskładanej pościeli i ręczników. Maureen wyglądała na jeszcze bardziej zmęczoną i brakowało jej tchu.

– Dzień dobry, pani Alvorson. Pomóc pani pchać wózek?

– Będzie miło z twojej strony – odpowiedziała z uśmiechem. – Przyjeżdża pięcioro nowych, dwoje wieczorem i troje jutro rano, więc muszę im przygotować pokoje. W tamtą stronę. – Wskazała kierunek przeciwny do świetlicy i placu zabaw.

Luke pchnął wózek i ruszył powoli, bo i kobieta szła wolno.

– Pewnie pani nie wie, jak mógłbym zarobić żetony? Są mi potrzebne, żeby uruchomić komputer w pokoju.

– Umiałbyś posłać łóżko, jeśli nad tobą stanę i będę mówiła, co masz robić?

– Jasne, w domu sam ściełę.

– Z zakładanymi rogami jak w wojsku?

– No... nie.

– To nic, pokażę ci. Pościel dla mnie pięć łóżek, to dam ci trzy żetony. Tylko tyle mam w kieszeni. Więcej nie dostaję.

– Trzy byłyby super.

– W porządku, ale przestań do mnie mówić „pani Alvorson”. Mów mi Maureen albo po prostu Mo. Tak jak inne dzieci.

– Dobrze.

Minęli przybudówkę z windą i weszli do położonego za nią holu, obwieszzonego kolejnymi plakatami motywacyjnymi. Stał tam również automat z lodem, jak w korytarzu motelu. Chyba nie wymagał żetonów. Gdy go minęli, Maureen położyła Luke'owi rękę na ramieniu. Chłopiec przestał pchać wózek i spojrzał na nią pytająco.

– Widzę, że cię zaczipowali – odezwała się prawie szeptem – ale nie dostałeś żetonów.

– No...

– Możesz mówić, byle cicho. W Przedniej Połowie jest sześć różnych miejsc, gdzie nie sięgają te ich cholerne mikrofony, a ja znam je wszystkie. To jedno z nich, tuż przy automacie z lodem.

– Dobrze...

– Kto cię zaczipował i zrobił ci ten ślad na twarzy? Tony?

Luke'a zaczęły piec oczy. Bał się cokolwiek powiedzieć, nie wiedząc, czy to bezpieczne. Tylko kiwnął głową.

– To jeden z tych podłych – powiedziała Maureen. – Tak samo jak Zeke. I Gladys, mimo że ona dużo się uśmiecha. Pracuje tu sporo osób, które lubią pomiatać dziećmi, ale ci troje są najgorsi.

– Tony mnie uderzył – szepnął Luke. – Mocno.

Maureen zmierzwiła mu włosy. Tak niektóre panie robią małym dzieciom, ale jemu to nie przeszkadzało. Dotknęła go z czułością, a w tej chwili to bardzo wiele znaczyło. W tej chwili to znaczyło wszystko.

– Rób, co mówi – poradziła mu. – Nie dyskutuj z nim, to moja najlepsza rada. Są tu ludzie, z którymi można dyskutować, nawet z panią Sigsby, chociaż nic to nie da, ale Tony i Zeke to dwa paskudne trzmiele. I Gladys też. Mocno żądlą.

Znowu ruszyła korytarzem, ale Luke złapał ją za rękaw brązowego uniformu i zaciągnął z powrotem w bezpieczne miejsce.

– Myślę, że Nicky uderzył Tony'ego – szepnął. – Miał rozciętą skórę i mrużył oko.

Maureen uśmiechnęła się, pokazując zęby, którymi już dawno powinien był się zająć dentysta.

– Zuch chłopak – odparła. – Pewnie Tony odwdzieczył mu się z nawiązką, ale i tak... zuch. A teraz chodź. Z twoją pomocą przygotowujemy te pokoje rach-ciach.

W pierwszym, do którego weszli, na ścianach wisiały plakaty Tommy'ego Picklesa i Zuka – bohaterów kreskówek z kanału Nickelodeon – a na komodzie stał pluton figurek G.I. Joe. Część z nich Luke natychmiast rozpoznał, bo sam niedawno przechodził tę fazę. Tapetę zdobili weseli klauni z balonami.

– O kurczę – rzucił. – To pokój małego dziecka.

Maureen rzuciła mu rozbawione spojrzenie, jakby chciała powiedzieć: „Sam też nie jesteś Matuzalemem”.

– To prawda. Chłopiec nazywa się Avery Dixon i według mojej rozpiski ma dopiero dziesięć lat. Do roboty. Dam głowę, że wystarczy ci raz pokazać, jak się zakłada rogi. Wyglądasz na chłopaka, który szybko kapuje.

Po powrocie do pokoju Luke podniósł jeden z żetonów do kamery laptopa. Poczł się trochę głupio, ale komputer natychmiast się uruchomił. Najpierw pojawił się niebieski ekran z komunikatem **WITAJ PONOWNIE, DONNA!** Luke zmarszczył czoło, ale zaraz potem lekko się uśmiechnął. Zanim tu przybył, komputer musiał należeć do jakiejś Donny (a w każdym razie z niego korzystała). Ekranu powitalnego dotąd nie zmieniono. Ktoś zaliczył wpadkę. Maleńką, ale tam, gdzie jest jeden błąd, może być ich więcej.

Powitanie zniknęło i pojawiła się typowa tapeta: opustoszała plaża o wschodzie słońca. Pasek u dołu ekranu był taki sam jak w domu, ale z jedną zwracającą uwagę (choć teraz już niezaskakującą) różnicą: brakowało ikony znaczka pocztowego do otwierania e-maili. Były natomiast ikony dwóch dostawców internetu. To Luke'a zdziwiło, ale pozytywnie. Otworzył Firefoxa i wpisał: *logowanie AOL*. Wrócił niebieski ekran, tym razem z pulsującym czerwonym kółkiem pośrodku. Łagodny komputerowy głos powiedział: „Przykro mi, Dave, niestety nie mogę tego zrobić”.

Przez moment Luke myślał, że to kolejna wpadka – najpierw Donna, teraz Dave – potem jednak przypomniał sobie, że to głos HAL-a 9000 z *2001: Odysei kosmicznej*. Czyli nie błąd, a geekowski żart, w tych okolicznościach równie zabawny jak podstawienie nogi niewidomemu.

Wpisał do Google'a *Herbert Ellis* i znowu trafił na HAL-a. Chwilę się zastanawiał, a potem wygooglował Orpheum Theatre przy Hennepin Avenue, nie dlatego, że zamierzał iść tam na przedstawienie (ani, jak się wydawało, gdziekolwiek indziej w najbliższej przyszłości), ale chciał sprawdzić, do jakich informacji ma dostęp. Coś przecież musiało być dostępne, bo inaczej po co w ogóle umożliwiliby połączenie?

Strona The Orf, jak nazywali teatr jego rodzice, okazała się dozwolona dla „gości” Instytutu. Luke dowiedział się, że na deski wraca *Hamilton* („Na życzenie widzów!”), a w przyszłym miesiącu wystąpi Patton Oswalt („Będziecie boki zrywać!”). Wyszukał stronę Szkoły imienia Brodericka – wyświetliła się bez problemu. Spróbował znaleźć pana Greera, szkolnego psychologa, i znowu odezwał się HAL 9000. Luke zaczynał rozumieć frustrację filmowego doktora Dave'a Bowmana.

Już chciał zamknąć komputer, lecz zmienił zdanie i w pole wyszukiwarki wpisał: *policja stanu Maine*. Jego palec zawisł nad klawiszem potwierdzenia, Luke prawie go wcisnął, a potem się wycofał.

Na którymś z dolnych poziomów zapewne włączyłby się alarm. Nie, nie zapewne – z całą pewnością. Mogli zapomnieć o zmianie imienia na ekranie powitalnym, ale nie o włączeniu programu uruchamiającego alarm, jeśli któreś z dzieci spróbuje powiadomić władze. Czekalaby go kara. Pewnie gorsza niż uderzenie w twarz. Komputer, który należał do jakiejś Donny, był bezużyteczny.

Luke odchylił się na oparcie krzesła i skrzyżował ręce na wąskiej piersi. Pomyślał o Maureen i o tym, jak przyjaźnie zmierzwiła mu włosy. To był tylko drobny odruchowy gest życzliwości, ale (wraz z żetonami) pomógł nieco złagodzić wrażenie po uderzeniu Tony'ego. Czy Kalisha nie wspomniała, że ta kobieta ma czterdzieści tysięcy dolarów długu? Nie, chyba nawet dwa razy tyle.

Częściowo z powodu serdecznego dotyku Maureen, a częściowo po prostu dla zabicia czasu Luke wpisał do Google'a: *przytłaczają mnie długi proszę o pomoc*. Komputer natychmiast wyświetlił mnóstwo informacji na ten temat, włącznie ze stronami kilku firm, które zapewniały, że uwolnienie się od nieznośnych rachunków jest proste jak drut – wystarczy, że przyciśnięty do ściany dłużnik wykona jeden telefon. Luke wątpił, żeby tak było, ale domyślał się, że niektórzy w to wierzą; w końcu właśnie przez to znaleźli się w tarapatach.

Maureen Alvorson nie należała jednak do takich ludzi, w każdym razie zdaniem Kalishy. Dziewczyna mówiła, że długów narobił mąż Maureen, a potem zwiął. Może to prawda, może nie, ale musiały istnieć jakieś rozwiązania tego problemu. Zawsze istnieją. Uczenie się polega właśnie na tym, żeby je znaleźć. Może komputer mimo wszystko nie był bezużyteczny.

Luke sięgnął do źródeł, które wyglądały najbardziej wiarygodnie, i już wkrótce był pogrążony w lekturze na temat długów i sposobów ich spłacania. Ogarnął go znajomy głód wiedzy. Uczenia się nowych rzeczy. Tego, by wyodrębnić i zrozumieć najważniejsze kwestie. Każda informacja jak zwykle prowadziła do trzech kolejnych (albo sześciu czy dwunastu) i w końcu zaczął się wyłaniać spójny obraz. Swoista mapa topograficzna. Najbardziej interesująca kwestia – oś, z którą połączone było wszystko inne – okazała się prosta, lecz szokująca (przynajmniej dla Luke'a). Dług jest towarem. Można go kupić i sprzedać, a w pewnym momencie stał się podstawą nie tylko amerykańskiej, ale też światowej gospodarki. Mimo to tak naprawdę nie istnieje. Nie jest czymś konkretnym jak gaz, złoto czy diamenty – to tylko idea. Obietnica zapłaty.

Kiedy w komputerze odezwał się sygnał komunikatora, Luke otrząsnął się jak ktoś budzący się z wyrazistego snu. Zgodnie z zegarem systemowym dochodziła siedemnasta. Kliknął na ikonę dymku u dołu ekranu i przeczytał:

Pani Sigsby: Cześć, Luke, kieruję tym interesem i chciałabym się z tobą zobaczyć.

Zastanowił się, a potem odpisał:

Luke: Czy mam wybór?

Odpowiedź przyszła natychmiast:

Pani Sigsby: Nie. :)

– Niech sobie pani wsadzi tę emotkę w...

Ktoś zapukał do drzwi. Luke do nich podszedł, spodziewając się zobaczyć Gladys, ale tym razem stał tam Hadad, jeden z facetów z windy.

– Przejdziemy się, chłopie?

Luke westchnął.

– Sekundę. Włożę buty.

– Zero problemu.

Hadad zaprowadził go do drzwi za windami i otworzył je kluczem. Razem przeszli krótki kawałek do budynku administracji; po drodze odganiaли owady.

11

Pani Sigsby przypominała Luke'owi najstarszą siostrę ojca. Tak jak ciotka Rhoda była chuda, z ledwo zarysowanymi biodrami i biustem. Tylko że wokół ust ciotki biegły zmarszczki mimiczne od częstego uśmiechu, a w jej spojrzeniu zawsze było ciepło. Lubiała się przytulać. Ze strony kobiety stojącej przy biurku, ubranej w śliwkowy kostium i buty na obcasach w tym samym kolorze, przytulania raczej nie będzie, uznał Luke. Może rzuci mu uśmiech, ale jeśli nawet, to fałszywy jak banknot trzydolarowy. W spojrzeniu pani Sigsby chłopiec widział tylko chłodną ocenę i nic więcej. Absolutnie nic.

– Dziękuję, Hadadzie, resztą zajmę się sama.

Salowy – bo Luke domyślał się, że właśnie nim był mężczyzna – skłonił się z szacunkiem i wyszedł z gabinetu.

– Zaczniemy od kwestii oczywistej – powiedziała pani Sigsby. – Jesteśmy sami. Z każdym nowo przyjętym wkrótce po jego przybyciu spędzam sam na sam około dziesięciu minut. Niektórzy, zdezorientowani i wściekli, próbowali mnie atakować. Nie mam do nich o to pretensji. Bo

i z jakiej racji, na litość boską? Nasi najstarsi podopieczni mają szesnaście lat, a średnia wieku wynosi jedenaście i sześć miesięcy. Innymi słowy są to dzieci, a dzieci nawet w najlepszych okolicznościach słabo panują nad odruchami. Takie agresywne zachowanie postrzegam jako okazję do nauki... więc je uczę. Czy ciebie też będę musiała uczyć, Luke?

– Nie w tej kwestii – odparł chłopiec.

Zastanawiał się, czy wśród tych, którzy usiłowali podnieść rękę na tę drobną kobietę, był Nicky. Może później go o to zapyta.

– To dobrze. Usiądź, proszę.

Luke zajął miejsce na krześle naprzeciwko jej biurka i pochylił się z mocno splecionymi dłońmi między kolanami. Pani Sigsby spoczęła po drugiej stronie z miną szkolnej dyrektorki, która nie toleruje żadnych wygłupów. Która za wszystkie surowo każe. Luke nigdy dotąd nie spotkał dorosłego pozbawionego litości, pomyślał jednak, że chyba właśnie ma kogoś takiego przed sobą. To straszna myśl, więc w pierwszej chwili chciał ją odrzucić jako niedorzeczną. Zdławił ten odruch. Lepiej wierzyć, że po prostu żył pod kloszem. Lepiej – bezpieczniej – wierzyć, że ta kobieta jest taka, jak mu się wydaje, dopóki ona nie udowodni, że to nieprawda. Znalazł się w niedobrej sytuacji, to nie ulegało wątpliwości. Okłamywanie samego siebie byłoby gigantycznym błędem.

– Nawiązałeś znajomości, Luke. To świetnie. Dobry początek. Podczas pobytu w Przedniej Połowie poznasz jeszcze inne dzieci. Dwoje z nich, chłopiec Avery Dixon i dziewczynka Helen Simms, właśnie przyjechali. Teraz śpią, ale niedługo się z nimi zobaczysz. Z Helen chyba jeszcze przed ciszą nocną o dziesiątej. Avery raczej najpierw prześpi noc. Jest jeszcze mały, a kiedy się obudzi, bez wątpienia będzie rozemocjonowany. Mam nadzieję, że weźmiesz go pod opiekę, tak jak na pewno zrobią to Kalisha, Iris i George. A nawet Nick, choć jego reakcji nikt nie może być pewien. Sądzę, że włącznie z nim samym. Pomagając Avery’emu zaaklimatyzować się w nowej sytuacji, zarobisz żetony, które, jak ci już wiadomo, tu, w Instytucie, stanowią podstawowy środek wymiany. Decyzja zależy wyłącznie od ciebie, ale my będziemy patrzeć.

Wiem, że będziecie, pomyślał Luke. I słuchać. Oprócz tych kilku miejsc, gdzie nie możecie. Zakładając, że Maureen ma rację.

– Koledzy podzielili się z tobą pewną dawką informacji. Część z nich jest prawdziwa, część zupełnie fałszywa. To, co ci teraz powiem, jest stuprocentowo prawdziwe, więc posłuchaj uważnie. – Pani Sigsby nachyliła się, dłonie oparła płasko na blacie, wzrok wbiła w twarz

chłopca. – Czy masz uszy otwarte, Luke? Nie będę dwa razy strzępić języka.

– Tak.

– Co „tak”? – prychnęła, choć jej twarz nadal była spokojna jak dotąd.

– Uszy otwarte. Umysł uważny.

– Doskonale. Spędzisz w Przedniej Połowie trochę czasu. Może dziesięć dni, może dwa tygodnie, może nawet miesiąc, choć niewielu rekrutów zostaje tu tak długo.

– Rekrutów? Chce pani powiedzieć, że dostałem powołanie?

Szybko skinęła głową.

– Dokładnie to chcę powiedzieć. Trwa wojna, a ty zostałeś powołany, żeby służyć krajowi.

– Dlaczego? Bo raz na jakiś czas umiem przesunąć szklankę albo książkę bez dotykania? To głu...

– Stul pysk!

Luke, wstrząśnięty niemal tak bardzo jak policzkiem wymierzonym przez Tony’ego, zamilkł.

– Kiedy ja mówię, ty słuchasz. Nie przerywasz. Zrozumiano?

Nie ufając własnemu głosowi, chłopiec tylko kiwnął głową.

– To nie jest wyścig zbrojeń, tylko umysłów, a jeśli go przegramy, konsekwencje będą nie tylko dramatyczne, ale też wręcz niewyobrażalne. Może i masz dopiero dwanaście lat, ale jesteś żołnierzem na niewypowiedzianej wojnie. Tak samo jak Kalisha i pozostali. Czy ci się to podoba? Oczywiście, że nie. Poborowym to się nigdy nie podoba, a niektórych trzeba nauczyć, że niewykonanie rozkazów wiąże się z konsekwencjami. Jak rozumiem, jedną lekcję w tym zakresie już odbyłeś. Jeśli rzeczywiście jesteś tak bystry, jak wynika to z twoich dokumentów, druga nie będzie potrzebna. Ale jeśli jednak, zostanie ci udzielona. To nie jest twój dom. To nie jest twoja szkoła. Nie dostaniesz tak po prostu dodatkowego obowiązku domowego, nikt nie wyśle cię do dyrektora ani nie zostaniesz po lekcjach. Będzie ci wymierzona kara. Rozumiesz?

– Tak.

Żetony dla grzecznych chłopców i dziewczynek, policzki dla niegrzecznych. Albo coś gorszego. Zasada była przerażająca, lecz prosta.

– Dostaniesz kilka zastrzyków. Zostaniesz poddany kilku testom. Będziemy monitorować twój stan fizyczny i umysłowy. W końcu awansujesz do Tyłnej Połowy, jak to nazywamy. Tam otrzymasz pewne zadania do wykonania. Twój pobyt w Tyłnej Połowie może trwać do pół

roku, choć przeciętny czas czynnej służby wynosi zaledwie sześć tygodni. Potem wymażemy ci wspomnienia i wyślemy do domu, do rodziców.

– Oni żyją? Moi rodzice żyją?

Pani Sigsby roześmiała się zaskakująco pogodnie.

– Oczywiście, że żyją. Nie jesteśmy mordercami.

– To chcę z nimi porozmawiać. Dajcie mi z nimi porozmawiać, a zrobię wszystko, co chcecie. – Słowa wyrwały mu się, zanim zrozumiał, jak nierozważna to obietnica.

– Nie, Luke. Wciąż się nie rozumiemy. – Kobieta oparła się na krześle. Dłonie znowu spoczęły płasko na blacie. – To nie są negocjacje. Zrobisz, co chcemy, bez względu na wszystko. Uwierz mi, że tak będzie, i oszczędź sobie mnóstwa bólu. Podczas pobytu w Instytucie nie będziesz miał kontaktu ze światem zewnętrznym, również z rodzicami. Wykonasz każdy rozkaz. Podporządkujesz się wszystkim procedurom. Nie licząc być może kilku wyjątków, nie okażą się one jednak trudne ani uciążliwe. Twój pobyt upłynie szybko, a kiedy nas opuścisz, kiedy pewnego dnia obudzisz się we własnym pokoju, nie będziesz wiedział, że to wszystko w ogóle się wydarzyło. Najsmutniejsze, przynajmniej moim zdaniem, jest to, że nigdy się nie dowiesz, że miałeś zaszczyt służyć krajowi.

– Nie wyobrażam sobie tego – powiedział Luke. Mówił bardziej do siebie niż do niej, tak jak miał w zwyczaju, kiedy coś, czy to problem z dziedziny fizyki, obraz Maneta, czy krótko- i długoterminowe konsekwencje zadłużenia, całkiem go zaabsorbowało. – Zna mnie wielu ludzi. W szkole... znajomi moich rodziców z pracy... koledzy... Nie wymażecie pamięci im wszystkim.

Pani Sigsby nie roześmiała się, ale uśmiechnęła.

– Myślę, że mógłbyś się zdziwić, co potrafimy. Skończyliśmy rozmowę.

– Wstała, obeszła biurko i wyciągnęła dłoń. – Miło cię było poznać.

Chłopiec również się podniósł, lecz nie podał jej ręki.

– Podaj mi rękę, Luke.

W głębi duszy chciał to zrobić, nawyki trudno przezwyciężyć, ale wytrzymał i nie podniósł dłoni.

– Podaj mi rękę albo pożałujesz. Więcej nie powtórzę.

Luke zobaczył, że pani Sigsby mówi z absolutnym przekonaniem. Podał jej rękę. Przytrzymała ją. Nie ścisnęła, ale zorientował się, że kobieta ma bardzo silną dłoń. Jej oczy wpatrywały się w jego oczy.

– Może się jeszcze zobaczymy, jak to mówią, na terenie, ale oby to była twoja jedyna wizyta w moim gabinecie. Jeśli zostaniesz tu wezwany ponownie, rozmowa będzie mniej przyjemna. Zrozumiano?

– Tak.

– To dobrze. Wiem, że to dla ciebie ponury czas, ale jeśli będziesz robił, co ci się każe, w końcu wyjdiesz na słońce. Możesz mi zaufać. A teraz do widzenia.

Luke wyszedł, znowu czując się jak chłopiec we śnie albo Alicja, która wpadła do króliczej nory. Czekał na niego Hadad, gawędząc z sekretarką pani Sigsby, jej asystentką czy kim tam ona była.

– Zaprowadzę cię do twojego pokoju. Trzymaj się blisko mnie, dobrze? Żadnego uciekania między drzewa.

Wyszli i ruszyli przez plac w kierunku budynku mieszkalnego, ale nagle Luke zatrzymał się, bo dostał zawrotów głowy.

– Zaraz – powiedział. – Moment.

Zgiął się i oparł rękami o kolana. Przez moment wirowały mu przed oczami kolorowe światełka.

– Zemdlejesz? – zapytał Hadad. – Jak myślisz?

– Nie, ale niech mi pan da parę sekund.

– Jasne. Dostałeś zastrzyk, co?

– Tak.

Hadad kiwnął głową.

– Część dzieci przeżywa to w ten sposób. Z opóźnieniem.

Luke spodziewał się pytania, czy widzi kropki albo plamki, ale Hadad tylko czekał, gwizdząc przez zęby i odganiając chmary insektów.

Chłopiec przypomniał sobie zimne oczy pani Sigsby i jej stanowczą odmowę wyjaśnienia, w jaki sposób takie miejsce może funkcjonować bez pewnej formy... jakie słowo byłoby tutaj odpowiednie? Chyba „zatrzymanie w trybie nadzwyczajnym”. Zupełnie jakby go prowokowała, by sam to sobie poukładał.

...jeśli będziesz robił, co ci się każe, w końcu wyjdiesz na słońce. Możesz mi zaufać.

Luke miał dopiero dwanaście lat i rozumiał, że jego życiowe doświadczenie jest ograniczone, ale jednego był raczej pewien: jeśli ktoś mówi „możesz mi zaufać”, zwykle kłamie w żywe oczy.

– Lepiej ci, synu? Możemy iść?

– Tak. – Luke się wyprostował. – Ale nie jestem pana synem.

Hadad uśmiechnął się szeroko. Błysnął złotym zębem.

– Chwilowo owszem. Jesteś synem Instytutu, Luke. Lepiej się odpręż i z tym pogódź.

Kiedy weszli do budynku mieszkalnego, Hadad wezwał windę, powiedział „No to na razie” i do niej wszedł. Luke ruszył w kierunku swojego pokoju, a potem zobaczył Nicky’ego Wilholma, który siedział naprzeciwko automatu z lodem i jadł czekoladkę z masłem orzechowym Reese’s. Nad jego głową wisiał plakat z dwiema uśmiechniętymi wiewiórkami z kreskówki. Z ich ust wychodziły komiksowe dymki. Ta po lewej mówiła „Żyj życiem, które kochasz!”, a ta po prawej – „Kochaj życie, którym żyjesz!”. Luke patrzył na to skonsternowany.

– Jak nazwać taki plakat w takim miejscu, mądralo? – zapytał Nicky. – To sarkazm, ironia czy pieprzenie?

– Pasują wszystkie trzy określenia – odparł Luke i usiadł obok.

Nicky podsunął mu opakowanie słodczy.

– Chcesz tę drugą?

Luke chciał. Podziękował, odwinął chrząszczący papierek i zjadł czekoladkę w trzech szybkich gryzach.

Jego towarzysz przyglądał mu się z rozbawieniem.

– Zrobili ci pierwszy zastrzyk, co? Od tego zachciewa się cukru. Może na kolacji nie będziesz miał apetytu, ale deser zjesz na sto procent. Widziałeś już kropki?

– Nie. – Luke przypomniał sobie, jak zgięty w pół, opierał się o kolana i czekał, aż miną mu zawroty głowy. – Albo może tak. Jakie one są?

– Technicy nazywają je Światłami Stasi. To element przygotowań. Ja miałem tylko parę zastrzyków i w zasadzie żadnych dziwnych testów, bo jestem TK-pozytywny, tak jak George. A Sha jest TP-pozytywna. Jeśli ktoś jest zwyczajny, dostaje tego więcej. – Nicky zastanowił się. – To znaczy nikt z nas nie jest zwyczajny, boby nas tu nie było, ale wiesz, co mam na myśli.

– Próbują wzmocnić nasze zdolności?

Nicky wzruszył ramionami.

– Do czego nas przygotowują?

– Do tego, co odchodzi w Tylnej Połowie. Jak ci poszło z królową suką? Wciskała ci gadkę o służbie krajowi?

– Powiedziała, że zostałem powołany. Ja czuję się raczej wcielony siłą. W siedemnastym i osiemnastym wieku, kiedy kapitanowie okrętów potrzebowali załogi...

– Słyszałem o wcielaniu siłą do marynarki, Lukey. Wiesz, ja też chodziłem do szkoły. No i masz rację. – Nicky wstał. – Chodźmy na plac zabaw. Dasz mi następną lekcję szachów.

– Chyba wolalbym się położyć.

– Rzeczywiście jesteś trochę blady. Ale czekoladka pomogła, no nie? Sam przyznaj.

– Pomogła – zgodził się Luke. – Co zrobiłeś, żeby dostać żeton?

– Nic. Maureen mi jeden wcisnęła, zanim skończyła zmianę. Kalisha ma rację. – Nicky powiedział to prawie z żalem. – Jeśli w tej zasranej dziurze jest jeden dobry człowiek, to właśnie ta kobieta.

Dotarli pod drzwi Luke’a. Nicky uniósł pięść, a Luke przybił mu żółwika.

– Zobaczymy się po gongu, mądralo. A tymczasem fujara do góry!

MAUREEN I AVERY

Luke zapadł w drzemkę pełną skrawków nieprzyjemnych snów, a obudził się dopiero wtedy, gdy rozległ się gong na kolację. Przyjął ten sygnał z radością. Nicky nie miał racji – Luke był głodny, zresztą nie tylko jedzenia, ale i towarzystwa. Mimo to zboczył do kantyny, żeby sprawdzić, czy koledzy go nie nabierali. Nie. Przy automacie z przekąskami stał drugi – staroświecki z papierosami, pełen towaru. U góry, na podświetlonym kwadracie, roześmiani elegancko ubrani mężczyzna i kobieta palili papierosy, stojąc na balkonie. Obok znajdował się automat z napojami dla dorosłych w małych buteleczkach – przez uczniów Brodericka, którzy nie stronili od alkoholu, nazywanych małpkami. Paczkę papierosów można było kupić za osiem żetonów, a małą butelkę wina jeżynowego Leroux – za pięć. Po drugiej stronie sali stała jaskrawoczerwona lodówka z coca-colą.

Czyjeś ręce złapały Luke’a od tyłu i poderwały z podłogi. Zaskoczony, krzyknął, a Nicky zaśmiał mu się do ucha.

– Jak się zlejesz, to się zgrzejesz, zaraz zwiejesz i zgłupiejesz!

– Zostaw mnie!

Zamiast spełnić prośbę, Nicky zaczął wywijać nim w powietrzu.

– Lukey-tuki-duki-Lukey! Koślawy, bladawy, chudawy Lukey!

Postawił Luke’a na ziemi, zakręcił nim, a potem podniósł ręce i zaczął podrygiwać do nijakiej muzyki sączącej się z głośników pod sufitem. Za nim stały Kalisha i Iris, przyglądając się temu z jednakowymi minami mówiącymi „Ech, ci chłopcy”.

– Bijemy się, Lukey? Walczymy? Koślawy, bladawy, chudawy Lukey?

– Chcesz, to wsadź mi nos w dupę i walcz o powietrze – odparł Luke i parsknął śmiechem.

Pomyślał, że niezależnie od tego, czy Nicky był w dobrym, czy w złym humorze, pasowało do niego słowo „żywy”.

– Niezły tekst – powiedział George, przepychając się między dziewczynami. – Zapamiętam go sobie na później.

– Tylko pamiętaj, że mam prawa autorskie – zaznaczył Luke.

Nicky przestał tańczyć.

– Adam, z głodu padam! Chodźmy coś zjeść.

Luke podniósł wieko lodówki z colą.

– Rozumiem, że te napoje są za darmo? Płaci się tylko za alko, fajki i przekąski?

– Dobrze rozumiesz – potwierdziła Kalisha.

– No a... – Luke wskazał automat z przekąskami. Większość towarów była warta jeden żeton, ale ten, który miał na myśli, kosztował aż sześć. – Czy to jest...

– Pytasz, czy brownie Pełen Odłot to jest to, co myślisz? – odparła Iris. – Ja ich nie próbowałam, ale założę się, że tak.

– To prawda – potwierdził George. – Mnie wzięło, ale dodatkowo dostałem wysypki. Jestem uczulony. Chodźmy jeść.

Usiedli przy jednym stoliku. NORMĘ zastąpiła SHERRY. Luke zamówił panierowane pieczarki, siekany stek z sałatką i coś, co kryło się pod nazwą „wanilia krem brulej”. W tej złowroziej krainie czarów na pewno byli mądrzy ludzie – pani Sigsby na pewno nie wydawała się głupia – ale osoba przygotowująca jadłospis raczej się do nich nie zaliczała. Czy takie myślenie to ze strony Luke’a intelektualny snobizm?

Uznał, że ma to gdzieś.

Rozmawiali o szkołach, do których chodzili, zanim wyrwano ich z normalnego życia – wyglądało na to, że oprócz niego wszyscy chodzili do zwyczajnych, a nie takich wyjątkowych dla uzdolnionych dzieci – oraz o ulubionych filmach i programach telewizyjnych. I było w porządku, dopóki Iris nie podniosła ręki, by obetrzeć piegowaty policzek, a Luke zorientował się, że dziewczyna płacze. Nie jakoś bardzo, tylko trochę, lecz owszem, to były łzy.

– Dzisiaj nie miałam zastrzyków, ale brali mi temperaturę z dupy – powiedziała. Na widok zdziwionej miny Luke’a uśmiechnęła się i po jej policzku spłynęła kolejna łza. – Robią nam odbytniczy pomiar temperatury.

Pozostali pokiwali głowami.

– Nie mam pojęcia dlaczego, ale to upokarzające – wtrącił George.

– I takie dziewiętnastowieczne – dodała Kalisha. – Na pewno mają jakiś powód, ale... – Wzruszyła ramionami.

– Chce ktoś kawy? – zapytał Nick. – Przyniosę, jeżeli...

– Cześć.

Usłyszeli czyjś głos od wejścia. Obrócili się i zobaczyli dziewczynę w dżinsach i bluzce bez rękawów. Jej włosy, krótkie i nastroszone, z jednej strony były zielone, a z drugiej niebieskaworóżowe. Pomimo punkowej

stylówki przypominała bajkowe dziecko zagubione w lesie. Luke obstawiał, że ma tyle lat co on.

– Gdzie ja jestem? Czy ktoś z was wie, co to za miejsce?

– Chodź tu do nas, słońce – powiedział Nick i rzucił jej ten swój oszałamiający uśmiech. – Przysuń sobie kamień. Skosztuj kuchni.

– Nie jestem głodna – odparła nowa. – Powiedzcie mi tylko jedno. Komu mam zrobić laskę, żeby się stąd wyrwać?

Właśnie tak poznali Helen Simms.

2

Po kolacji wyszli na plac zabaw (Luke pamiętał, żeby użyć płynu na owady) i wdружиł Helen w sytuację. Okazało się, że jest TK, tak jak George i Nicky, do tego pozytywna. Dowiodła tego, wywracając na szachownicy kilka figur, które rozstawiał Nick.

– Jesteś nie tylko pozytywna, ale też megapozytywna – stwierdził George. – Ja spróbuję. – Udało mu się przewrócić jednego piona i sprawić, że czarny król trochę się zakołysał, ale to wszystko. Wydał policzki. – Dobra, Helen, wygrałaś.

– Ja myślę, że wszyscy przegraliśmy – odparła. – Tak uważam.

Luke zapytał, czy nie martwi się o rodziców.

– Nieszczęśliwie. Mój ojciec to alkoholik. Matka się z nim rozwiodła, kiedy miałam sześć lat, i... niespodzianka! Wyszła za następnego alkoholika. Chyba uznała, że jak nie da się ich pokonać, to trzeba do nich dołączyć, bo teraz sama pije. Ale za bratem tęsknię. Myślicie, że nic mu nie jest?

– Jasne, że nic mu nie jest – odpowiedziała Iris bez przekonania, a potem poszła poskakać na trampolinie.

Gdyby Luke skakał tak szybko po posiłku, dostałby mdłości, ale ona niedużo zjadła.

– Poukładajmy to sobie – zaczęła Helen. – Nie wiecie, dlaczego tu jesteśmy, ale pewnie ma to związek ze zdolnościami parapsychologicznymi, z którymi nie dostalibyśmy się nawet do *Mam talent*.

– Ani nawet do *Małych gigantów* – wtrącił George.

– Testują nas tak długo, aż zobaczymy kropki, tylko nie wiadomo dlaczego.

– Zgadza się – potwierdziła Kalisha.

– Potem przenoszą nas do tego drugiego miejsca, Tylnej Połowy, ale nie wiecie, co tam się dzieje.

– Aha – przyznał Nicky. – Umiesz grać w szachy czy tylko przewracać figury?

Helen go zignorowała.

– I kiedy już z nami skończą, zrobią nam czyszczenie pamięci jak w jakimś filmie science fiction, a potem będziemy żyli długo i szczęśliwie.

– Tak nam mówią – przyznał Luke.

Dziewczyna zastanowiła się, a potem stwierdziła:

– Brzmi koszmarnie.

– No cóż... chyba dlatego Bóg dał nam gazowane napoje z alkoholem i brownie Pełen Odlot – podsumowała Kalisha.

Luke miał dość. Wiedział, że zaraz się rozpłacze; to uczucie nadciągało jak burza. Może płacz w towarzystwie nie przeszkadzał Iris, bo była dziewczyną, on miał jednak pewne wyobrażenie (z pewnością przestarzałe, ale i tak silne) o tym, jak powinni zachowywać się chłopcy. Krótko mówiąc: tak jak Nicky.

Wrócił do swojego pokoju, zamknął drzwi, położył się na łóżku i zakrył oczy rękami. Wtedy nagle przypomniał sobie Richiego Rocketa w tym jego srebrnym skafandrze kosmicznym, tańczącego z takim samym zapalem jak Nicky Wilholm przed kolacją. Małe dzieci tańczyły razem z nim, śmiały się jak wariaci i śpiewały *Mambo Number 5*. Jakby nie mogło się nigdy stać nic złego, jakby ich życie zawsze miało być pełne niewinnej zabawy.

Popłynęły łzy, ponieważ Luke bał się i był wściekły, ale przede wszystkim z tęsknoty za domem. Nigdy nie rozumiał, czym ona jest, aż do tej chwili. Nie jeździł na obozy letnie ani szkolne wycieczki. To był koszmar, a Luke marzył tylko o tym, żeby się skończył. Chciał się obudzić. A ponieważ nie mógł, zasnął, choć jego chudą pierś wciągał jeszcze wstrząsał ostatni szloch.

3

Znowu złe sny.

Luke zbudził się gwałtownie, kiedy bezgłowy pies gonił go po Wildersmoot Drive. Przez jedną cudowną chwilę myślał, że wszystko, co się ostatnio wydarzyło, również było snem, a on jest w swoim prawdziwym pokoju. Potem spojrzał na piżamę, która nie była jego piżamą, i na ścianę, gdzie powinno być okno. Poszedł do łazienki,

a później, ponieważ senność minęła, włączył laptopa. Przypuszczał, że do jego uruchomienia niezbędny okaże się kolejny żeton, ale nie. Być może dostęp obowiązywał przez dwadzieścia cztery godziny albo – przy odrobinie szczęścia – przez czterdzieści osiem. Zgodnie z paskiem wyświetlonym u góry ekranu było piętnaście po trzeciej nad ranem. Do świtu zostało dużo czasu, a Luke płacił teraz za to, że wczoraj najpierw uciał sobie drzemkę, a potem wieczorem za wcześniej położył się spać.

Przyszło mu do głowy, żeby wejść na YouTube'a i włączyć sobie stare kreskówki o Popeye'u. Z Rolfem zawsze skręcali się ze śmiechu, wykrzykiwali „Gdzie mój szpinak?” i naśladowali jego charakterystyczny rechot. Stwierdził jednak, że przez to jeszcze bardziej zatęskni za domem i znowu dostanie szału. Co mu zatem pozostało? Wrócić do łóżka i leżeć aż do świtu, patrząc w sufit? Włączyć się po pustych korytarzach? Pójść na plac zabaw? Mógłby to zrobić, bo Kalisha opowiadała, że placu nie zamykają na noc, ale o tej porze byłoby zbyt strasznie.

– No to może trochę pogłówkujesz, dupku?

Powiedział to cicho, ale i tak wzdrygnął się na dźwięk własnego głosu, a nawet uniósł rękę, jakby chciał nią zakryć usta. Wstał i zaczął chodzić po pokoju; plaskał bosymi stopami, a nogawki spodni od piżamy furgotały. To było dobre pytanie. Dlaczego nie główkował? Przecież podobno właśnie w tym był dobry. Lucas Ellis, ten mądrała. Mały geniusz. Uwielbia marynarza Popeye'a, *Call of Duty*, grę w kosza w ogródku za domem, ale opanował też język francuski w piśmie, choć kiedy ogląda francuskie filmy na Netflixie, ciągle musi włączać napisy, bo wszyscy strasznie szybko mówią, a idiomy są zwariowane. Na przykład *boire comme un trou*. Dlaczego „pić jak dziura”, skoro „pić jak smok” jest dużo bardziej sensowne? Umie zapełnić tablicę równaniami matematycznymi, wyrecytować wszystkie pierwiastki z układu okresowego, wymienić wszystkich wiceprezydentów, począwszy od tego za kadencji Jerzego Waszyngtona, i racjonalnie uzasadnić, dlaczego prędkość światła można osiągnąć tylko w filmach.

Więc dlaczego teraz tu siedzi i użala się nad sobą?

A co jeszcze mógł zrobić?

Postanowił potraktować to pytanie dosłownie, a nie jako wyraz rozpaczki. Ucieczka pewnie była niemożliwa, ale co z pozyskaniem wiedzy?

Spróbował wyszukać stronę „New York Timesa” i nie zdziwiło go, że odbił się od HAL-a 9000. Żadnych wiadomości dla dzieci z Instytutu.

Można się było natomiast zastanowić, czy ten zakaz da się obejść. Czy jest jakieś tylne wejście? Możliwe.

Przekonajmy się, pomyślał Luke. Tylko się przekonajmy. Otworzył Firefoxa i w okienko wpisał: #pelerynaGriffina#.

Griffin to nazwisko niewidzialnego człowieka z powieści H.G. Wellsa, a strona, o której Luke dowiedział się mniej więcej rok temu, pozwalała obejść zabezpieczenia rodzicielskie – nie był to dark web, nie do końca, ale coś obok tego. Luke korzystał z niej nie dlatego, że chciał wchodzić z komputerów w Brodericku na strony porno (choć on i Rolf parę razy to zrobili) ani oglądać egzekucje dokonywane przez ISIS, ale dlatego, że zasada działania była fajna, prosta, więc chciał sprawdzić, czy to funkcjonuje. W szkole i w domu owszem – ale tutaj? Był tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać, więc Luke wcisnął klawisz RETURN.

Instytutowe wi-fi miało przez chwilę – działało wolno – a potem, gdy już Luke zaczynał tracić nadzieję, otworzyła się strona Griffina. Na górze ekranu widniało zdjęcie niewidzialnego człowieka z głową owiniętą bandażami i z bajeranckimi goglami na oczach. Poniżej znajdowało się pytanie, będące jednocześnie zaproszeniem: Z JAKIEGO JĘZYKA CHCESZ TŁUMACZYĆ? Lista była długa, od asyryjskiego po zulu. Piękno strony polegało na tym, że wybór języka nie miał znaczenia – ważne było to, co pozostawało w historii wyszukiwania. Dawno temu tajny sposób obejścia zabezpieczeń rodzicielskich był dostępny na stronie Google'a, ale mędrcy z Mountain View usunęli tę możliwość. Dlatego powstała Peleryna Griffina.

Luke na chybił trafił wybrał niemiecki. Pojawiła się komenda PODAJ HASŁO. Posiłkując się, jak to czasem nazywał jego tata, dziwną pamięcią, wpisał: #x49ger194GbL4. Komputer znowu zaczął mielić, po czym oznajmił: HASŁO PRAWIDŁOWE.

Chłopiec wpisał słowa *New York Times* i wcisnął RETURN. Tym razem maszyna myślała jeszcze dłużej, ale w końcu wyświetliła stronę dziennika. Na ekranie widniało dzisiejsze wydanie po angielsku, ale od tej pory w historii wyszukiwania miała się zapisywać wyłącznie seria niemieckich słów oraz ich angielskich odpowiedników. Może było to małe zwycięstwo, może duże. Chwilowo Luke miał to w nosie. Odniósł zwycięstwo i to mu wystarczyło.

Jak szybko ci, którzy go więżą, zorientują się, co robi? Ukrywanie historii wyszukiwania na nic się zda, jeśli mogą zaglądać do urządzenia w czasie rzeczywistym. Zobaczą gazetę i wyłączą mu komputer. Mniejsza o „Timesa” i artykuł na temat Trumpa i Korei

Północnej – zanim zdążą go nakryć, powinien otworzyć „Star Tribune” i poszukać, czy piszą coś o jego rodzicach. Nim jednak zdążył to zrobić, na korytarzu rozległ się wrzask.

– Ratunku! Ratunku! Pomocy! Niech ktoś mi pomoże! RATUNKU, NIE WIEM, GDZIE JESTEM!

4

Krzyczącym był chłopiec w piżamie we wzory z *Gwiezdnych wojen*. Walił w drzwi piąstkami, które pracowały jak tłoki. On miał mieć dziesięć lat? Avery Dixon wyglądał na sześć, góra siedem. Krocze i nogawka jego spodni były mokre i lepiły się do ciała.

– Pomocy! JA CHCĘ DO DOMU!

Luke rozejrzał się, licząc, że ktoś przybiegnie – może nawet kilku ktosiów – ale korytarz nadal był pusty. Później miał zrozumieć, że dziecko wołające, że chce do domu, to w Instytucie normalka. Teraz jednak chciał tylko uciszyć nowego, który był przerażony, i to się udzielało.

Podszedł do chłopca, przykucnął i chwycił go za ramiona.

– Hej, spokojnie. Wyluzuj, mały.

Mały patrzył na niego szeroko otwartymi oczami, ale Luke wcale nie był pewien, czy w ogóle go widzi. Dzieciak miał spoczone, sterczące włosy, twarz mokrą od łez, a na górnej wardze lśnił mu świeży gil.

– Gdzie mama?! Gdzie tata?!

Tylko że nie powiedział „tata”, ale „TAAAAAATA”, jakby wyła syrena alarmowa. Zaczął tupać i okładać Luke’a pięściami po ramionach. Luke go puścił, podniósł się i cofnął, a potem patrzył w oszołomieniu, jak chłopak pada na podłogę i zaczyna się rzucać.

Naprzeciwko plakatu ogłaszającego KOLEJNY DZIEŃ W RAJU otworzyły się drzwi i na korytarz wyszła Kalisha w T-shircie ze wzorem *tie-dye* i gigantycznych koszykarskich szortach. Przez chwilę patrzyła z góry na nowego przybysza, opierając dłonie na prawie nieistniejących biodrach, po czym spojrzała na Luke’a.

– Widziałam tu już napady szału, ale ten przebija wszystko.

Otworzyły się kolejne drzwi i pojawiła się w nich Helen Simms, ubrana – w każdym razie mniej więcej – w koszulkę nocną. Ona zdecydowanie miała biodra, a także inne ciekawe kształty.

– Lukey, przestań się ślinić i trochę mi pomóż – powiedziała Kalisha – Chłopak męczy mi mózg i zaraz dostanę migreny. – Przykłęknęła, wyciągnęła ręce do wyjącego derwisza, który teraz wydawał z siebie już

tylko nieartykułowane dźwięki, ale zaraz się cofnęła, kiedy pięść małego trafiła ją w przedramię. – Chryste, może trochę współpracy? Złap go za rękę.

Luke również ukląkł, bez przekonania sięgnął po dłoń chłopca, cofnął się, a potem uznał, że nie chce wyjść na mięczaka przed nowo przybyłym różowym objawieniem. Chwycił małego na wysokości łokci i przycisnął mu rękę do piersi. Czuł kołatanie jego serca, trzy razy szybsze niż normalne.

Kalisha nachyliła się nad dzieciakiem, wzięła jego twarz w dłonie i spojrzała mu w oczy. Chłopiec przestał się drzeć. Teraz słychać było tylko jego prędko oddech. Patrzył na nią zafascynowany i nagle Luke zrozumiał, co miała na myśli, mówiąc, że dzieciak męczy jej mózg.

– On jest TP, prawda? Tak jak ty.

Dziewczyna kiwnęła głową.

– Tylko że dużo silniejszy ode mnie i od wszystkich TP, którzy do tej pory się tu przewinęli za mojego pobytu. Chodź, weźmiemy go do mojego pokoju.

– Mogę iść z wami? – zapytała Helen.

– Proszę bardzo, skarbie. Lukey na pewno nie narzeka na widok.

Helen się zaczerwieniła.

– Może najpierw się przebiorę.

– Rób, jak uważasz – rzuciła Kalisha, a potem zwróciła się do chłopca: – Jak masz na imię?

– Avery. – Był zachrypnięty od płaczu i krzyku. – Avery Dixon.

– Ja jestem Kalisha. Jak chcesz, możesz mi mówić Sha.

– Bylebyś nie mówił do niej „smyku” – dodał Luke.

5

Pokój Kalishy okazał się bardziej dziewczęcy, niż Luke spodziewał się po jej twardej gadce. Na łóżku leżała różowa narzuta, a poduszki miały falbanki. Z komody, ze zdjęcia w ramce, patrzył na nich Martin Luther King.

Kalisha zauważyła, że Luke zerka na fotografię, i parsknęła śmiechem.

– Próbują wszystko tak urządzić, żeby było jak w domu, ale chyba ktoś uznał, że zdjęcie, które naprawdę tam miałam, to za duży hardkor, więc je zmienili.

– A kto na nim był?

– Eldridge Cleaver. Słyszałeś o nim?

– Jasne. Radykał z Czarnych Panter, napisał *Soul on Ice*. Nie czytałem, ale miałem w planie.

Dziewczyna uniosła brwi.

– Chłopie, ty się tu marnujesz.

Avery, wciąż pociągając nosem, chciał wejść na jej łóżko, ale ona chwyciła go i zatrzymała, łagodnie, lecz stanowczo.

– Nic z tego, nie w tych mokrych gaciach.

Zrobiła taki ruch, jakby chciała mu je zdjąć. Cofnął się i zasłonił rękami krocze.

Spojrzała na Luke'a i wzruszyła ramionami. Luke odpowiedział tym samym gestem, a potem przykucnął przed Averym.

– W którym pokoju mieszkasz?

Mały tylko pokręcił głową.

– Zostawiłeś otwarte drzwi?

Teraz przytaknął.

– Przyniosę ci coś suchego. Zostań tu z Kalishą, dobrze?

Tym razem nie było żadnej reakcji. Chłopiec tylko patrzył na Luke'a, zdezorientowany i zmęczony, ale przynajmniej przestał naśladować syrenę alarmową.

– Idź – rzuciła Kalisha. – Chyba dam radę go uspokoić.

W drzwiach pojawiła się Helen, w dżinsach i swetrze, który właśnie zapinała.

– Już mu lepiej?

– Trochę – odparł Luke. Zobaczył strużkę kropelek prowadzących w stronę pokoju, gdzie wcześniej pomógł Maureen zmienić pościel.

– Po pozostałych chłopakach nie ma ani śladu – stwierdziła Helen. – Chyba śpią jak zabici.

– Owszem – zgodziła się Kalisha. – Nowa, idź z Lukiem. My tu z Averym mamy spotkanie umysłów.

6

– Chłopak nazywa się Avery Dixon – powiedział Luke, kiedy razem z Helen stanęli w drzwiach obok automatu z lodem, który terkotał sam do siebie. – Ma dziesięć lat. Nie wygląda na tyle, prawda?

Dziewczyna patrzyła na niego z szeroko otwartymi oczami.

– A ty co, jednak jesteś TP?

– Nie. – Luke przesunął wzrokiem po plakacie z Tommym Picklesem i figurkach G.I. Joe na komodzie. – Byłem tutaj z Maureen. Ona pracuje tu

jako pokojówka. Pomogłem jej posłać łóżko. Poza tym pokój był już gotowy na przyjęcie Avery'ego.

Helen uśmiechnęła się pod nosem.

– Aha, czyli jesteś tu pupilkiem.

Przypomniał sobie, jak Tony uderzył go w twarz, i był ciekaw, czy Helen wkrótce czeka to samo.

– Nie, ale Maureen jest inna niż pozostali. Wystarczy dobrze ją traktować, a wtedy ona dobrze traktuje ciebie.

– Długo tu jesteś, Luke?

– Przyjechałem tuż przed tobą.

– To skąd wiesz, kto jest miły, a kto nie?

– Mówię tylko tyle, że Maureen jest w porządku. Pomóż mi znaleźć dla niego jakieś ciuchy.

Helen wyjęła z komody spodnie i majtki (nie omieszkała zajrzeć do pozostałych szuflad), a potem ruszyli z powrotem do pokoju Kalishy. Po drodze zapytała, czy Luke'owi robili te testy, o których mówił George. Odpowiedział, że nie, ale pokazał czip w uchu.

– Nie opieraj się. Ja próbowałem i dostałem w twarz.

Dziewczyna stanęła jak wryta.

– Nie gadaj!

Obrócił głowę, żeby pokazać policzek, na którym dwa palce Tony'ego zostawiły lekkie sińce.

– Mnie nikt nie będzie bił! – oświadczyła Helen.

– Lepiej tego nie sprawdzaj.

Helen odgarnęła dwukolorowe włosy.

– Zresztą ja już mam przekłute uszy, więc to nie problem.

Kalisha siedziała na łóżku, a obok niej Avery z pupą na złożonym ręczniku. Dziewczyna głaskała go po spoczonej głowie, a on wpatrywał się w nią z rozmarzeniem, jakby była księżniczką Tianą. Helen rzuciła Luke'owi ubranie. Nie spodziewał się tego, więc upuścił majtki, na których widniały rysunki Spider-Mana w różnych dynamicznych pozach.

– Nie mam ochoty oglądać ptaszka tego chłopaka – powiedziała Helen.

– Wracam do łóżka. Może kiedy się obudzę, będę w swoim pokoju, tym prawdziwym, a to wszystko okaże się tylko snem.

– Powodzenia – mruknęła Kalisha.

Helen wyszła. Luke podniósł majtki Avery'ego w samą porę, żeby zobaczyć jeszcze, jak dziewczyna kołysze biodrami w spranych dżinsach.

– Apetyczne, co? – Głos Kalishy był lodowaty.

Luke podał jej ubranie małego. Czuł, że pieką go policzki.

– Chyba tak, ale ma pewne braki osobowościowe.

Liczył, że ją tym rozbawi – lubił jej śmiech – ale wyglądała na smutną.

– Tutaj szybko przestanie pyskować. Niedługo będzie się kulila na widok każdego człowieka w niebieskiej koszuli. Tak jak my wszyscy. Avery, musisz to włożyć. Ja i Lukey nie będziemy patrzeć.

Odwrócili się. Spoglądali przez otwarte drzwi na plakat ogłaszający, że znajdują się w rajcu. Za plecami słyszeli pociąganie nosem i szelest ubrania. W końcu Avery oznajmił:

– Ubrałem się. Możecie się obejrzeć.

Tak też zrobili.

– Teraz zanieś te mokre spodnie do łazienki i przewieś przez wannę – poleciła mu Kalisha.

Chłopiec poczłapał tam bez dyskusji i po chwili wrócił.

– Powiesiłem, Sha. – Z jego głosu zniknęła już wściekłość. Teraz był zmęczony i nieśmiały.

– Brawo. Wracaj na łóżko. Już możesz się położyć.

Kalisha usiadła, umieściła stopy Avery'ego na swoich kolanach, a potem poklepała łóżko z drugiej strony. Luke przysiadł obok niej, po czym zapytał chłopca, czy lepiej się czuje.

– Chyba tak.

– Wiesz, że tak – odparła Kalisha i znów zaczęła głaskać małego po głowie.

Luke miał wrażenie – może to bzdura, a może nie – że między nimi dużo się dzieje. Komunikacja wewnętrzna.

– No już – rzuciła. – Opowiedz mu ten swój kawał, skoro musisz. A potem już, kurwa, śpij.

– Powiedziałaś brzydkie słowo.

– No, faktycznie. Opowiedz mu kawał.

Avery spojrzał na Luke'a.

– Dobra. Dlaczego debil smaruje telewizor musztardą?

Luke zastanawiał się, czy nie wyjaśnić chłopcu, że w dzisiejszych czasach w cywilizowanym świecie nie używa się słów takich jak „debil”, ale ponieważ miejsce, w którym się znaleźli, z całą pewnością nie należało do cywilizowanego świata, powiedział tylko:

– Nie wiem.

– Bo chce mieć ostrzejszy obraz. Rozumiesz?

– Jasne. A dlaczego brat matki przeszedł przez ulicę?

– Żeby się dostać na drugą stronę?

– Nie. Bo był głupim wujem. A teraz idź spać.

Avery chciał powiedzieć coś jeszcze – może przyszedł mu do głowy kolejny dowcip – ale Kalisha go uciszyła. Nie przestawała głaskać małego po głowie. Jej usta się poruszały. Powieki Avery’ego zrobiły się ciężkie. Opadały, powoli się podnosiły, znowu opadały i podnosiły jeszcze wolniej. W końcu się nie podniosły.

– Czy ty właśnie coś zrobiłaś? – zapytał Luke.

– Śpiewałam mu kołysankę, którą zwykle śpiewała mi mama. – Dziewczyna powiedziała to prawie szeptem, ale w jej głosie nie dało się nie usłyszeć zachwyty i radości. – Mnie generalnie słoń nadepnął na ucho, ale kiedy to odbywa się między umysłami, melodia chyba nie ma znaczenia.

– Mam wrażenie, że ten dzieciak nie jest zbyt inteligentny.

Kalisha długo wpatrywała się w Luke’a, aż poczuł, że się czerwieni, tak jak wtedy, gdy skomentowała, że gapi się na nogi Helen.

– Dla ciebie cały świat musi być niezbyt inteligentny.

– Nie, wcale taki nie jestem – bronił się Luke. – Chodziło mi o to...

– Wyluzuj. Wiem, o co ci chodziło, ale to nie intelektu brakuje Avery’emu. Nie całkiem. TP tak silne jak u niego może wcale nie jest dobre. Kiedy człowiek nie wie, co myślą ludzie, już od małego musi zacząć... hm...

– Rozpoznawać znaki?

– Właśnie. Zwyczajni ludzie przyglądają się twarzom, oceniają nie tylko słowa, ale też ton głosu. To trochę jak z zębami, które muszą ci wyrosnąć, zanim będziesz mógł żuć coś twardego. Ten mały srajdek jest jak Tuptuś z kreskówki Disneya. Jego zęby nadają się głównie do trawy. Czy to brzmi sensownie?

Luke odparł, że tak. Kalisha westchnęła.

– Instytut to złe miejsce dla Tuptusia, ale może to bez znaczenia, bo i tak wszyscy w końcu trafimy do Tylnej Połowy.

– O ile on jest mocniejszy w TP na przykład od ciebie?

– O wiele. Oni mierzą coś, co nazywa się BDNF. Widziałam kiedyś na laptopie doktora Hendricksa i to chyba jest ważne, może nawet najważniejsze. Ty tu jesteś mózgowcem, wiesz, co to takiego?

Luke nie wiedział, ale zamierzał sprawdzić. Oczywiście jeżeli wcześniej nie zabiorą mu komputera.

– Tak czy inaczej, chłopak musi być poza skalą. Ja z nim rozmawiałam! To była prawdziwa telepatia!

– Ale przecież musiałaś się już stykać z innymi TP, nawet jeśli jest ich mniej niż TK. Nie wiem, czy nie na zewnątrz, ale tutaj na pewno.

– Nie rozumiesz. Może nie jesteś w stanie. To coś jak słuchanie wieży ze ściszonego dźwiękiem albo rozmowy ludzi w ogródku, kiedy ty jesteś w kuchni i chodzi zmywarka. Czasami w ogóle nic nie słyhać, bo całkiem wylatuje z miksu. A teraz to był autentyczny, jak w filmie science fiction. Luke, musisz się nim zaopiekować, kiedy mnie już nie będzie. To cholerny Tuptuś i nic dziwnego, że nie zachowuje się odpowiednio na swój wiek. Do tej pory miał łatwo.

...kiedy mnie już nie będzie. Luke'a uderzyły te słowa.

– Ty... czy ktoś ci powiedział, że przenoszą cię do Tylnej Połowy? Może Maureen?

– Nikt mi nie musiał mówić. Wczoraj nie zrobili mi ani jednego durnego testu. Ani zastrzyków. To pewny znak. Nicka też zabierają. George i Iris zostaną tu pewnie jeszcze trochę.

Kalisha lekko ścisnęła go za kark, znów powodując to mrowienie.

– Luke, teraz przez chwilę będę twoją siostrą, taką od serca, więc mnie posłuchaj. Jeżeli w tej punkówce podoba ci się tylko to, jak rusza tyłkiem, to niech tak zostanie. Tutaj niedobrze przywiązywać się do ludzi. Potem rozpierała cię, kiedy odchodzą, a odchodzą wszyscy. Ale tym małym musisz się opiekować, jak długo się da. Jak pomyślę, że Tony, Zeke albo ta suka Winona mogliby go uderzyć, chce mi się płakać.

– Zrobię, co będę mógł – obiecał. – Ale mam nadzieję, że zostaniesz tu jeszcze długo. Tęskniłbym za tobą.

– Dzięki, tylko że ja właśnie o tym mówię.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Luke pomyślał, że zaraz będzie musiał iść, a jeszcze nie chciał. Nie był gotów zostać sam.

– Chyba mógłbym pomóc Maureen – odezwał się cicho, ledwie poruszając ustami. – Z tym jej długiem. Ale musiałbym z nią porozmawiać.

Kalisha uśmiechnęła się i szeroko otworzyła oczy.

– Serio? Byłoby super. – Zbliżyła usta do jego ucha, znowu wywołując w Luke'u dreszcze. Bał się spojrzeć na własne ręce, bo nie wiedział, czy nie ma gęziej skórki. – Zrób to szybko. Ona za parę dni bierze tydzień wolnego. – Kalisha położyła dłoń wysoko na udzie Luke'a. Boże, tych rejonów unikała już nawet jego matka. – Kiedy wróci, na trzy tygodnie trafi gdzieś indziej. Wtedy czasami można ją spotkać na korytarzu albo w pokoju socjalnym, ale to wszystko. O tym innym miejscu nie chce mówić nawet tam, gdzie nie ma podsłuchów, więc na pewno chodzi o Tylną Połowę.

Oderwała wargi od ucha Luke'a, a dłoń od jego uda. Z całego serca żałował, że Kalisha nie ma już więcej tajemnic do zdradzenia.

– Wracaj do siebie – rzuciła z błyskiem w oku, jakby nie była ślepa na to, jak na niego działa. – Spróbuj się trochę zdrzemnąć.

7

Z głębokiego snu, w którym nic mu się nie śniło, wybudziło Luke'a głośne pukanie do drzwi. Usiadł na łóżku i rozejrzał się gorączkowo z obawy, że zasnął i spóźni się do szkoły.

Drzwi otworzyły się i do pokoju zajrzała uśmiechnięta twarz. To była Gladys, kobieta, która wcześniej wzięła go na czipowanie. Która powiedziała mu, że jest tutaj po to, by służyć.

– A kuku! – zaświergotała. – Pobudka! Przegapiłeś śniadanie, ale przyniosłam ci sok pomarańczowy. Możesz wypić po drodze. Świeżo wyciskany!

Luke zobaczył, że w jego nowym laptopie świeci się zielona lampka. Komputer przeszedł w tryb uśpienia, ale gdyby Gladys weszła do pokoju i nacisnęła dowolny klawisz, żeby sprawdzić, co oglądał w sieci (a na pewno była do tego skłonna), zobaczyłaby niewidzialnego człowieka z powieści H.G. Wellsa z głową owiniętą bandażem i w ciemnych okularach. Nie wiedziałyby, co to takiego, być może uznałyby, że to jakaś tajemnicza strona science fiction, ale zapewne zdawała raporty. A skoro tak, to trafiały do kogoś na wyższym szczeblu. Kogoś, komu płacili za ciekawość.

– Da mi pani minutę na włożenie spodni?

– Trzydzieści sekund. Bo sok ci się ogrzeje. – Mrugnęła do niego łobuzersko i zamknęła drzwi.

Zerwał się z łóżka, wciągnął dzinsy, chwycił T-shirt i wybudził laptopa, żeby sprawdzić godzinę. Z zaskoczeniem stwierdził, że już dziewiąta. Nigdy nie sypiał tak długo. Przez moment zastanawiał się, czy nie dodali mu czegoś do jedzenia, ale wtedy nie obudziłby się w środku nocy.

To przez ten szok, pomyślał. Wciąż usiłuję wszystko ogarnąć, jakoś to przyswoić.

Wyłączył komputer, chociaż wiedział, że wszelkie próby ukrycia pana Griffina będą na nic, jeśli tamci na bieżąco monitorują jego wyszukiwania. A jeżeli sklonowali mu laptopa, to już teraz wiedzieli, że zdobył dostęp na stronę „New York Timesa”. Oczywiście kiedy ktoś zaczyna rozumować w ten sposób, wszystko wydaje się daremne.

A Sługusom Sigsby pewnie zależało na tym, żeby Luke właśnie tak myślał – on i wszystkie inne uwięzione tutaj dzieciaki.

Gdyby wiedzieli, już zabraliby mi komputer, uznał. A gdyby go sklonowali, to przecież zorientowaliby się, że na ekranie powitalnym jest niewłaściwe imię.

Brzmiało to sensownie, lecz być może oni chcieli po prostu uśpić jego czujność. Takie myślenie zakrawało już o paranoję, ale przecież cała sytuacja była paranoiczna.

Kiedy Gladys znowu otworzyła drzwi, Luke siedział na łóżku i właśnie wkładał sneakersy.

– Bravo! – zawołała jak do trzylatka, który po raz pierwszy samodzielnie się ubrał.

Luke czuł do niej coraz mniej sympatii, jednak kiedy dała mu sok, wypił do dna.

8

Tym razem, kiedy machnęła kartą przed czytnikiem, winda zjechała na poziom C.

– Jejku, ale mamy ładny dzień! – zawołała, gdy dźwig ruszył. To był chyba jej standardowy sposób rozpoczynania rozmów.

Luke spojrzał na jej dłonie.

– Widzę, że ma pani obrączkę. Ma pani dzieci?

Uśmiech kobiety stał się trochę ostrożniejszy.

– To już moja sprawa.

– Pytam, bo jestem ciekaw, co by pani powiedziała, gdyby ktoś je zamknął w takim miejscu.

– C – oznajmił łagodny kobiecy głos. – Poziom C.

Wyprowadzając chłopca z windy, Gladys już się nie uśmiechała. Ścisnęła go za ramię odrobinę mocniej, niż to konieczne.

– Poza tym zastanawiam się, jak pani z tym żyje. Ale to chyba trochę zbyt osobiste pytanie, prawda?

– Wystarczy, Luke. Przyniosłam ci sok. Wcale nie musiałam.

– I co by pani powiedziała swoim dzieciom, gdyby usłyszały, co się tu dzieje? Wie pani, gdyby sprawa trafiła do prasy. Jak by im to pani wytłumaczyła?

Gladys szła szybciej, nieomal ciągnęła go za sobą, lecz na jej twarzy nie było gniewu. Gdyby był, Luke poczułby przynajmniej wątpliwą

satysfakcję z tego, że jej dopiekl. Ale nie. Widział tylko pustkę. To była twarz lalki.

Zatrzymali się przed gabinetem C-17. W środku były regały wyładowane sprzętem medycznym i komputerowym. Stał tam wyściełany fotel, trochę jak w kinie, a za nim na stalowym słupie zamontowano coś przypominającego projektor. Przynajmniej na podłokietnikach fotela nie było pasów.

Czekał na nich technik – ZEKE, jak informował identyfikator na jego niebieskiej bluzie. Luke kojarzył to imię. Maureen ostrzegła, że to jeden z podłych.

– Siemasz, Luke – odezwał się Zeke. – Czujesz się spokojny?

Nie wiedząc, co powiedzieć, chłopiec wzruszył ramionami.

– Nie będziesz sprawiał kłopotów? O to pytam, smyku.

– Nie. Żadnych kłopotów.

– Miło słyszeć.

Zeke otworzył butelkę z niebieskim płynem i buchnęła ostra woń alkoholu. Wyjął termometr, który miał co najmniej trzydzieści centymetrów długości. Chyba niemożliwe, żeby...

– Portki w dół i oprzyj się o fotel. Przedramiona na siedzeniu.

– Nie przy...

Luke chciał powiedzieć „nie przy Gladys”, ale drzwi pokoju C-17 były już zamknięte. Gladys sobie poszła. Może z szacunku dla mojej prywatności, pomyślał, ale raczej miała już dość mojego dosrywania. Ucieszyłoby go to, gdyby nie był pewien, że za moment szklany pręt zacznie sondować niespenetrowane dotychczas zakątki jego anatomii. Termometr przypominał te, którymi mierzy się temperaturę koniom.

– Co „nie przy”? – Zeke pomachał termometrem jak mażoretka pałeczką. – Nie przy użyciu tego narzędzia? Sorry, smyku, nic nie poradzę. Sam rozumiesz, polecenie z góry.

– Termometrem paskowym nie byłoby łatwiej? – zapytał Luke. – W aptece można taki kupić za półtora dolca. Albo i taniej, przy waszych zniż...

– Zostaw te odżywki dla swoich koleżków. A teraz portki w dół i oprzyj się o fotel. Albo ci pomogę, a to ci się nie spodoba.

Luke powoli podszedł do fotela, rozpiął spodnie, zsunął je i pochylił się.

– O proszę, księżyc w pełni! – Zeke stanął przed nim. W jednej ręce trzymał termometr, a w drugiej słoik wazeliny. Zanurzył w niej termometr, a potem go wyciągnął. Na samym końcu zadyndała galaretowata kulka. Luke’owi kojarzyła się z puentą brzydkiego dowcipu.

– Widzisz? Dobrze posmarowałem. Nie zaboli nic a nic. Rozluźnij pośladki i pamiętaj, że dopóki nie poczujesz na sobie obu moich dłoni, to znaczy, że twój zadek nie stracił dziewictwa.

Obszedł chłopca, który stał oparty o fotel, wypinając tyłek. Czuć było pot mężczyzny, ostry i cuchnący. Luke powiedział sobie, że przecież nie jest pierwszym dzieckiem w Instytucie, które poddano temu badaniu. Trochę to pomogło... ale nie za bardzo, jednak nie. Gabinet był pełen nowoczesnego sprzętu, a mimo to ten człowiek zamierzał zmierzyć mu temperaturę w najbardziej prymitywny sposób, jaki można sobie wyobrazić. Dlaczego?

Żeby mnie złamać, pomyślał Luke. Żeby wiedział, że jestem królikiem doświadczalnym, a gdy ktoś ma króliki doświadczone, może zdobywać informacje, jak tylko chce. Możliwe, że oni tych konkretnych informacji nawet nie potrzebują. Że w ten sposób chcą mu tylko powiedzieć: „Skoro możemy wsadzić ci w dupę coś takiego, to wiesz, co jeszcze możemy tam wsadzić? Odpowiedź: „Co tylko nam się podoba”.

– Nieznośny suspens, co? – odezwał się z tyłu Zeke.

Sukinsyn prawie się śmiał.

9

Po upokorzeniu Luke’a mierzeniem temperatury, które ciągnęło się w nieskończoność, Zeke sprawdził mu ciśnienie, założył mu na palec oksymetr, zmierzył go i zważył. Zajrzał do gardła i nosa. Zapisywał wyniki, nucąc sobie pod nosem. Gladys, która zdążyła wrócić do gabinetu, piła kawę z kubka w stokrotki i uśmiechała się tym swoim sztucznym uśmiechem.

– Pora na zastrzyk, Lukey – powiedział Zeke. – Nie będziesz mi tu sprawiał kłopotów, prawda?

Chłopiec pokręcił głową. Jedyne, czego teraz pragnął, to wrócić do pokoju i wytrzeć wazelinę z tyłka. Nie miał czego się wstydzić, ale i tak się wstydził. Czuł się upokorzony.

Zeke zrobił mu zastrzyk. Tym razem nic nie paliło. Tym razem był tylko lekki ból, który zaraz minął.

Mężczyzna patrzył na zegarek i poruszając ustami, odliczał sekundy. Luke robił to samo, tylko że w myślach. Doliczył do trzydziestu, kiedy Zeke opuścił rękę.

– Masz zawroty głowy?

Luke zaprzeczył.

– Metaliczny posmak?

W ustach czuł tylko posmak soku pomarańczowego.

– Nie.

– Dobra, w porządku. Teraz popatrz na tę ścianę. Czy widzisz kropki? Mogą być większe, bardziej jak kółka.

Luke pokręcił głową.

– Nie kłamiesz, prawda, smyku?

– Prawda. Żadnych kropek ani kółek.

Zeke przez kilka sekund zaglądał mu w oczy. (Luke miał ochotę zapytać, czy on nie widzi w nich jakichś kropek, ale się powstrzymał). Potem się wyprostował, ostentacyjnie otrząsnął dłonie i odwrócił się do Gladys.

– No, zabieraj go. Po południu trzeba go wziąć do doktora Evansa na oczy. – Gestem wskazał projektor. – O czwartej.

Luke chciał zapytać, o co chodzi z tymi oczami, ale tak naprawdę to go nie obchodziło. Był głodny, niezmiennie, niezależnie od tego, co mu robili (przynajmniej do tej pory), ale jeszcze bardziej niż na jedzeniu zależało mu na tym, żeby się umyć. Czuł się – pasowało tu tylko jedno słowo – wydymany.

– Wcale nie było tak źle, prawda? – odezwała się Gladys, kiedy jechali windą. – Dużo hałasu o nic.

Luke miał ochotę zapytać, czy mówiłaby tak samo, gdyby chodziło o jej dupę. Nicky pewnie by się nie powstrzymał, ale on nie był Nickym.

Gladys rzuciła mu swój fałszywy uśmiech, który wydawał mu się coraz straszniejszy.

– Uczysz się grzecznie zachowywać, to cudownie. Proszę, oto żeton. Albo weź nawet dwa. Jestem dziś hojna.

Wziął oba.

Później, kiedy z pochyloną głową stał pod prysznicem, a woda lała mu się po włosach, trochę płakał. Co najmniej pod jednym względem przypominał Helen: chciał, żeby to miejsce okazało się snem. Oddałby wszystko, może nawet duszę, żeby obudziły go promienie słońca kładące się na jego łóżku niczym druga kołdra i dolatujący z parteru zapach smażonego bekonu. Łzy w końcu wyschły, a wtedy we wnętrzu pojawiło się coś innego niż żal i poczucie straty – coś twardszego. Fundament, z którego istnienia Luke dotąd nie zdawał sobie sprawy. Ulżyło mu, że tam jest.

To nie sen, to się działo naprawdę, a sama ucieczka nie wystarczy. Twarda rzecz w środku domagała się czegoś więcej. Domagała się

zdemaskowania tej bandy porywaczy torturujących dzieci, od pani Sigsby aż po Gladys z tym jej plastikowym uśmiechem i Zeke'a z oślizgłym termometrem doodbytniczym. Domagała się, żeby Instytut zwalił im się na głowy, tak jak Samson zwalił świątynię Dagona na głowy Filistynów. Luke wiedział, że to tylko fantazja bezsilnego, rozżalonego dwunastolatka, ale i tak tego pragnął, a gdyby mógł to sprawić, nie zawahałby się.

Jak mawiał jego ojciec, w życiu dobrze mieć cele. Pomagają przetrwać w trudnych chwilach.

10

Kiedy Luke dotarł do stołówki, nie zastał tam nikogo oprócz woźnego (na identyfikatorze widniało imię FRED), który mył podłogę. Nie przyszła jeszcze pora lunchu, ale na stole przy wejściu była miska z owocami – a w niej pomarańcze, jabłka, winogrona i parę bananów. Wziął jabłko, a potem podszedł do automatu i za jeden z żetonów kupił paczkę popcornu. Śniadanie mistrzów, pomyślał. Mama dostałaby szału.

Zabrał jedzenie do świetlicy i wyjrzał przez okno na plac zabaw. George i Iris siedzieli przy stole piknikowym i grali w warcaby. Avery ostrożnie podskakiwał na trampolinie. Po Nickym i Helen nie było śladu.

– To chyba najgorsze połączenie jedzenia, jakie w życiu widziałam – stwierdziła Kalisha.

Luke aż podskoczył, wysypując przy tym trochę popcornu na podłogę.

– Rany, musisz straszyć ludzi?

– Przepraszam. – Przykucnęła, podniosła kilka kulek prażonej kukurydzy i włożyła je sobie do ust.

– Z podłogi? Nie wierzę, że to zrobiłaś.

– Reguła pięciu sekund.

– Jak informuje brytyjska służba zdrowia, reguła pięciu sekund to mit. Totalna bzdura.

– Musisz burzyć innym złudzenia tylko dlatego, że jesteś geniuszem?

– Nie, ja...

Kalisha uśmiechnęła się i wstała.

– Tylko się z tobą drażnię, Luke. Laska od ospy wietrznej po prostu się z tobą drażni. Wszystko w porządku?

– Tak.

– Dobrali ci się do tyłka?

– Tak. Nie rozmawiajmy o tym.

– Słyszałam. Chcesz przed lunchem pograć w cribbage? Jak nie umiesz, mogę cię nauczyć.

– Umiem, ale nie chcę. Chyba pójdę na trochę do pokoju.

– Żeby przemyśleć swoją sytuację?

– Coś w tym stylu. Widzimy się na lunchu.

– Kiedy zabrzmie gong. Jesteśmy umówieni. Rozchmurz się, bohaterze, i przybij piątkę.

Kalisha podniosła rękę i Luke zobaczył, że coś trzyma między kciukiem a palcem wskazującym. Przycisnął swoją białą dłoń do jej brązowej i odebrał złożony kawałek papieru.

– Na razie, chłopaku. – Odeszła w stronę placu zabaw.

Gdy wrócił do pokoju, wyciągnął się na łóżku, odwrócił twarzą do ściany i rozłożył kartkę. Kalisha miała drobny, staranny charakter pisma.

Maureen czeka przy automacie z lodem obok pokoju Avery'ego. Idź natychmiast. Spuść to w kiblu.

Zmiał papier, poszedł do łazienki i wrzucił go do sedesu, zsuwając przy tym spodnie. Czuł się komicznie, jak dziecko, które bawi się w szpiega, a jednocześnie wcale nie było mu do śmiechu. Chciał wierzyć, że przynajmniej tam, gdzie król chodzi piechotą, nie ma monitoringu, ale wcale nie był o tym przekonany.

Automat z lodem. Miejsce, w którym Maureen rozmawiała z nim wczoraj. To dość interesujące. Z tego, co mówiła Kalisha, w Przedniej Połowie było kilka takich, gdzie podsłuch działał kiepsko albo wcale, lecz najwyraźniej Maureen szczególnie lubiła to jedno. Może dlatego, że nie zainstalowano tam kamer. Albo czuła się tam najbezpieczniej, bo automat z lodem bardzo hałasował. A może Luke miał za mało przesłanek, by wyciągać wnioski.

Przyszło mu do głowy, żeby przed spotkaniem z Maureen wejść na stronę „Star Tribune”, więc usiadł do komputera. Dotarł nawet do pana Griffina i wtedy się zatrzymał. Czy naprawdę chciał wiedzieć? Czy chciał się przekonać, że być może te bydlaki, te potwory kłamały i jego rodzice nie żyją? Wchodząc na stronę „Tribune”, żeby to sprawdzić, byłby jak ten gość, który oszczędności całego życia postawił na jeden obrót ruletki.

Nie teraz, postanowił. Może kiedy wspomnienie o upokorzeniu z termometrem trochę się zatrze, ale nie teraz. Jeśli to oznacza, że jest zasranym tchórzem, to trudno. Wyłączył komputer i ruszył do drugiego skrzydła budynku. Maureen nie było przy automacie z lodem, ale jej wózek z bielizną stał w połowie długości korytarza, który Luke zaczął w myślach nazywać korytarzem Avery'ego. Maureen śpiewała gdzieś

w pobliżu coś o kroplach deszczu. Ruszył za dźwiękiem jej głosu. Zastał ją, jak naciągała świeże prześcieradło na materac w pokoju udekorowanym plakatami napakowanych wrestlerów z WWE ubranych w spodenki ze spandexu. Każdy wyglądał na takiego twardziela, co to zuje gwoździe i wypluwa zszywki.

– Dzień dobry, Maureen, jak się pani miewa?

– W porządku. Plecy trochę bolą, ale łykam ibuprofen.

– Pomóc pani?

– Dziękuję, ale to już ostatni pokój i prawie skończyłam. Dwie dziewczynki, jeden chłopiec. Spodziewamy się ich wkrótce. To pokój chłopca. – Wskazała na plakaty i roześmiała się. – Gdybyś sam się nie zorientował.

– Chciałem sobie wziąć lodu, ale u mnie w pokoju nie ma kubelka.

– Kubelki stoją w schowku przy śmietniku. – Maureen wyprostowała się, przycisnęła dłonie do pleców na wysokości krzyża i skrzywiła się. Luke usłyszał, jak strzeliło. – Och, od razu dużo lepiej. Pokażę ci.

– Tylko pod warunkiem, że to dla pani nie problem.

– Gdzież tam! Chodźmy. Jak chcesz, możesz pchać mój wózek.

Kiedy przemierzali korytarz, Luke myślał o tym, czego się dowiedział, czytając o problemie Maureen. Uwagę zwracała przede wszystkim jedna straszna liczba: Amerykanie mieli łącznie ponad dwanaście bilionów długów. Pieniądzy wydanych, ale niezarobionych, jedynie obiecanych. Paradoks, który mógłby zachwycić tylko księgowego. Na ten dług w znacznej części składały się kredyty hipoteczne na domy i firmy, ale niemała kwota była związana z plastikowymi prostokątami, które wszyscy nosili w portfelach i portmonetkach, tym oksykodonem amerykańskiego konsumenta.

Maureen otworzyła szafkę na prawo od automatu z lodem.

– Czy możesz wyjąć jedno wiaderko, żebym nie musiała się schylać? Ktoś bezmyślnie wepchnął wszystkie jak najgłębiej.

Luke sięgnął do środka. Jednocześnie odezwał się cicho:

– Kalisha powiedziała mi o pani problemach z kartami kredytowymi. Chyba wiem, jak to rozwiązać, ale dużo zależy od pani zadeklarowanego miejsca zamieszkania.

– Mojego zadeklarowanego...

– W którym stanie pani mieszka?

– Ja... – Ukradkowo się rozejrzała. – Nie wolno nam zdradzać podopiecznym osobistych szczegółów. Gdyby ktoś się dowiedział, wyleciałabym z pracy. A nawet gorzej... Czy mogę ci ufać, Luke?

– Nie puszczę pary z ust.

– Mieszkam w Vermoncie. W Burlington. To tam jeżdżę, kiedy mam wolny tydzień. – Zdawało się, że wyjawienie tej informacji coś w niej uwolniło, i chociaż nadal mówiła cicho, słowa polały się strumieniem. – Pierwsze, co robię po wyjściu z pracy, to kasuję z poczty głosowej masę telefonów z żadaniami zapłaty. A jak wracam do domu, to z automatycznej sekretarki. Wiesz, na stacjonarnym. Kiedy sekretarka jest pełna, przysyłają mi listy: ostrzeżenia, groźby... Wrzucają do skrzynki albo wsuwają pod drzwiami. Samochód mogą mi zająć, kiedy chcą, to i tak gruchot, ale teraz zaczęli mówić o domu! Przecież go spłaciłam, chociaż ten łajdak wcale mi w tym nie pomógł. Hipotekę zlikwidowałam z premii motywacyjnej, którą dostałam, kiedy zaczęłam tu pracować. To dlatego w ogóle tu jestem. Ale i tak zabiorą mi dom i stracę ten, jak mu tam...

– Udział własny – szepnął Luke.

– O właśnie. – Jej ziemiste policzki nabrały koloru. Nie wiedział, czy to ze złości, czy ze wstydu. – A jak będą mieli dom, to wyciągną rękę po to, co mam odłożone, a to nie są pieniądze dla mnie! Nie są dla mnie, a mimo to je wezmą. Tak powiedzieli.

– Pani mąż narobił aż tyle długów? – Luke był w szoku. Ten facet to istna maszynka do wydawania pieniędzy.

– Tak!

– Ciszej. – Trzymając w jednej ręce plastikowy kubełek, drugą otworzył automat z lodem. – Vermont jest dobry. Tam nie ma wspólności majątkowej.

– Co to znaczy?

To znaczy coś takiego, o czym oni nie chcą mówić, pomyślał Luke. Jest masa rzeczy, które przed ludźmi ukrywają. Kiedy już ktoś złapie się na lep, to ma tak pozostać. Chwycił plastikową szufelkę z za drzwiczek automatu i udawał, że rozkrusza lód.

– Na tych kartach, których używał, było jego nazwisko czy pani?

– Oczywiście, że jego, ale dług i tak egzekwują ode mnie, bo ciągle jesteśmy małżeństwem i mamy wspólne konto.

Luke zaczął napełniać lodem plastikowy kubełek... bardzo powoli.

– Oni tak mówią i brzmi to prawdopodobnie, ale nie mają prawa. Nie w Vermoncie. Ani w większości innych stanów. Skoro używał swoich kart kredytowych i sam się podpisywał, to są jego długi.

– Mówią, że nasze! Nas obojga!

– Kłamią – stwierdził ponuro Luke. – A te telefony... Czy oni dzwonią również po dwudziestej?

– Żartujesz?! – zapytała Maureen wściekłym szeptem. – Czasami nawet o północy! „Proszę zapłacić albo bank w przyszłym tygodniu zajmie pani dom! Zastanie pani wymienione zamki i meble na trawniku!”

Luke czytał o takich rzeczach i o jeszcze gorszych. Windykatorzy grozili ludziom, że ich rodzice wylecą z domów opieki. Że dobiorą się do ich dzieci, które niedawno osiągnęły pełnoletniość i finansowo dopiero stają na własnych nogach. Wszystko, byle tylko zarobić swój procent.

– Dobrze, że najczęściej jest pani tutaj, więc odzywa się tylko poczta głosowa. Tu nie wolno mieć komórki?

– Boże, nie! Jest zamknięta w moim samochodzie w... no, nie tutaj. Raz już zmieniłam numer, ale nowy też namierzyli. Jak oni to robią?

Bardzo prosto, pomyślał Luke.

– Niech pani zachowa te nagrania. Nie kasuje ich. Są oznaczone datą i godziną. Do klientów, bo ludzi takich jak pani oni nazywają klientami, firmy windykacyjne nie mają prawa dzwonić po dwudziestej.

Wysypał zawartość wiaderka i zaczął napełniać je ponownie, jeszcze wolniej. Maureen patrzyła na niego w oszołomieniu, na jej twarzy zaczynała malować się nadzieja, ale on prawie tego nie zauważał. Pochłaniał go problem; Luke śledził bieg poszczególnych linii aż do centralnego punktu, w którym można by je rozciąć.

– Potrzebuje pani prawnika. Ale niech nie przyjdzie pani do głowy zwracać się do jednej z tych firm liczących na szybki zarobek, które reklamują się w lokalnych stacjach telewizyjnych. Wyciągną z pani, co się da, a potem każą pani wnieść do sądu wnioski o bankructwo. Nigdy nie odzyska pani zdolności kredytowej. Tu potrzeba uczciwego jak łąza prawnika z Vermontu, który specjalizuje się w umarzaniu długów, zna na wylot ustawę o uczciwej windykacji długów i nienawidzi tych krwiopijców. Trochę poszukam i podam pani nazwisko.

– Możesz to zrobić?

– Na pewno. – Oczywiście pod warunkiem, że wcześniej nie zabiorą mu komputera. – Potem ten prawnik będzie musiał sprawdzić, jakie firmy próbują odzyskać od pani pieniądze. Te, które straszą panią telefonami po nocy. Banki i operatorzy kart kredytowych nie lubią podawać, jakimi pacholkami się wysługują, ale dopóki obowiązuje ta ustawa, choć wpływowi ludzie w Waszyngtonie dążą do jej uchylenia, dobry prawnik może zmusić do tego banki. To banda drani z boiler roomów. – Niewiele się różnią od drani z Instytutu, pomyślał Luke.

– Co to są boiler...

– Nieważne. – Ta rozmowa trwała już za długo. – Dobry prawnik od długów zaniesie do banków taśmę z pani automatycznej sekretarki i powie, że mają dwie możliwości: albo umorzą dług, albo dostaną pozew za nielegalne praktyki biznesowe. Banki nie cierpią się sądzić, bo wtedy wychodzi na jaw, że zatrudniają kolesi, którzy niewiele się różnią od bandziorów łamiących ludziom nogi w filmach Martina Scorsesego.

– Myślisz, że nie będę musiała płacić? – Maureen wyglądała na oszołomioną.

Luke spojrział prosto w jej zmęczoną, niezdrowo bladą twarz.

– Czy pani osobiście zrobiła coś nie tak?

Pokręciła głową.

– Ale to jest tyle pieniędzy... On urządził sobie dom w Albany, kupował sprzęt stereo, komputery, telewizory, ma panienkę, której robi prezenty, lubi chodzić do kasyna, i to się ciągnęło latami. A ja głupia, łatwowierna, nie zauważyłam, zanim nie było za późno.

– Nie jest za późno, to właśnie...

– Cześć, Luke.

Wzdrygnął się, obrócił i zobaczył Avery'ego Dixona.

– Cześć. Jak było na trampolinie?

– Dobrze. A potem nudno. Dostałem zastrzyk i w ogóle nie płakałem.

– Brawo.

– Chcesz po lunchu pooglądać telewizję w świetlicy? Iris mówiła, że mają tu Nickelodeon. Jest *SpongeBob*, *Rafcio Śrubka* i *Harmidom*.

– Nie teraz – powiedział Luke. – Ale ty się nie krępuj.

Avery przyglądał im się jeszcze przez chwilę, a potem odszedł korytarzem.

Kiedy się oddalił, Luke znowu odwrócił się do Maureen.

– Nie jest za późno, to właśnie próbuję powiedzieć. Ale trzeba działać szybko. Spotkajmy się tu jutro. Znajdę dla pani nazwisko adwokata. Dobrego. Takiego z osiągnięciami. Obiecuję.

– To... synku, to za piękne, żeby było prawdziwe.

Spodobało mu się, że nazwała go synkiem. Zrobiło mu się ciepło na sercu. Może to głupie, ale tak było.

– Wcale nie. Właśnie to, co próbują pani zrobić, jest zbyt podłe, żeby było prawdziwe. Naprawdę muszę już iść. Za chwilę lunch.

– Nie zapomnę ci tego – powiedziała Maureen i ścisnęła mu rękę. – Jeśli możesz...

Na drugim końcu korytarza głośno otworzyły się drzwi. Luke nagle był pewien, że zaraz zobaczy dwóch opiekunów, tych wrednych – na przykład

Tony'ego i Zeke'a – którzy przyszli tutaj po niego. Gdzieś go zabiorą i zaczną wypytywać, o czym rozmawiał z Maureen, a jeśli od razu nie powie, zastosują „rozszerzone techniki przesłuchania”, aż wszystko wyśpiewa. Będzie miał kłopoty, ale ona jeszcze większe.

– Nie denerwuj się, Luke – uspokoiła go kobieta. – To tylko nowi podopieczni.

Na korytarz weszło trzech opiekunów ubranych na różowo. Ciągnęli za sobą sznur noszy na kółkach. Na pierwszych dwóch leżały dziewczynki, obie jasnowłose. Na ostatnich – wielki rudy chłopak. To pewnie ten fan wrestlingu. Wszyscy spali. Kiedy znaleźli się bliżej, Luke powiedział:

– O kurczę, te dwie to chyba bliźniaczki! Jednojąjowe!

– Zgadłeś. Mają na imię Gerda i Greta. A teraz leć coś zjeść. Muszę pomóc kolegom w ulokowaniu nowych.

11

Avery siedział w fotelu, bujał nogami, jadł suszoną kielbasę Slim Jim i śledził wydarzenia w Bikini Dolnym.

– Dostałem dwa żetony za to, że nie płakałem przy zastrzyku.

– Dobrze.

– Jak chcesz, mogę ci dać ten drugi.

– Nie, dzięki. Zostaw sobie na później.

– Dobra. *SpongeBob* jest fajny, ale chciałbym wrócić do domu. – Avery nie łkał ani nie ryczał, ale z kącików oczu popłynęły mu łzy.

– No, ja też. Posuń się.

Mały się przesunął i Luke usiadł obok niego. Było im trochę ciasno, ale to nic. Objął młodszego chłopca i lekko go przytulił. Wtedy Avery oparł mu głowę na ramieniu, co Luke'a wzruszyło w taki sposób, jakiego nie potrafił nazwać, aż sam miał ochotę się rozplakać.

– Wiesz co? Maureen ma syna – powiedział Avery.

– Serio? Tak myślisz?

– No pewnie. Kiedyś był mały, ale teraz jest duży. Nawet starszy od Nicky'ego.

– Aha, okej.

– To tajemnica. – Avery nie odrywał wzroku od ekranu, na którym Patryk kłócił się z Panem Krabem. – Odkłada dla niego pieniądze.

– Poważnie? Skąd to wiesz?

Mały spojrzał na Luke'a.

– Po prostu wiem. Tak jak wiem, że twój najlepszy przyjaciel ma na imię Rolf i mieszkaliście na Wildercmok Drive.

Luke'owi opadła szczęka.

– Jezu, Avery...

– Niezły jestem, co?

I chociaż mały wciąż miał łyzy na policzkach, zachichotał.

12

Po lunchu George zaproponował mecz badmintona troje na troje: on, Nicky i Helen kontra Luke, Kalisha i Iris. Zasugerował, że w ramach bonusu drużyna Nicky'ego może dostać Avery'ego.

– To nie bonus, tylko balast – powiedziała Helen, odganiając otaczającą ją chmary owadów.

– Co to jest balast? – zapytał Avery.

– Jak chcesz wiedzieć, to przeczytaj mi w myślach. A poza tym badminton jest dla mięczaków, którzy nie potrafią grać w tenisa.

– Z ciebie to jest prawdziwa dusza towarzystwa – skomentowała Kalisha.

Helen, która nie oglądając się, odchodziła już w stronę stołów piknikowych i szafki z gramami, pokazała jej przez ramię środkowy palec. I pomachała nim. Iris zasugerowała, żeby zagrali w składzie Nicky i George kontra Luke i Kalisha. Ona, to znaczy Iris, miała sędziować z boku. Avery zaoferował pomoc. Ponieważ wszystkim to pasowało, rozpoczęła się gra. Remisowali dziesięć do dziesięciu, kiedy drzwi do świetlicy z hukiem się otworzyły i, prawie prosto, wyszedł przez nie ten nowy. Wyglądał na oszołomionego jakimś lekiem, który nadal działał w jego organizmie. I na wkurzonego. Luke oceniał go na szesnaście lat oraz metr osiemdziesiąt wzrostu. Chłopak miał spore brzuszysko, które w dorosłości mogło się zmienić w mięsień piwny, ale jego opalone ramiona były muskularne, a mięśnie czworoboczne potężne, możliwe, że od podnoszenia ciężarów. Skórę policzków pokrywały piegi i trądzik, oczy wyglądały na różowe i podrażnione. Rude włosy sterczały kępkami, jakby chłopak dopiero wstał z łóżka. Wszyscy przerwali swoje zajęcia, żeby mu się przyjrzeć.

Nie poruszając ustami jak więzień na spacerunku, Kalisha wyszeptała:

– Przyszła masa bez rzeźby.

Nowy zatrzymał się przy trampolinie i zmierzył pozostałych wzrokiem. Odezwał się powoli:

– Co... to... kurwa... jest? – Robił przerwy, jakby myślał, że słuchają go prostytutki ledwo władający angielszczyzną. Miał południowy akcent.

Avery potruchtął do niego.

– To jest Instytut. Cześć, jestem Avery. Jak masz n...

Nowy przyłożył nasadę dłoni do brody chłopca i pchnął. Nie zrobił tego mocno, właściwie od niechcienia, ale Avery runął na jedną z poduszek okalających trampolinę. Patrzył na spaślaka z zaskoczeniem wymalowanym na twarzy. Nowy nie zwracał na niego uwagi ani na grających w badmintona, ani na Iris, ani na Helen, która właśnie przerwała układanie pasjansa. Sprawiał wrażenie, że mówi sam do siebie.

– Co... to... kurwa... jest?

Z irytacją odganiał owady. Nie posmarował się płynem, zupełnie jak Luke, gdy pierwszy raz wyszedł na plac zabaw. Insekty nie tylko się wokół niego kłębiły, ale też siadały na nim i piły jego pot.

– O stary – odezwał się Nicky. – Niedobrze, że przewróciłeś Avery'ego. On chciał tylko być miły.

Nowy w końcu kogoś zauważył. Spojrzał na Nicky'ego.

– A ty... kurwa... kto?

– Nick Wilholm. Pomóż mu wstać.

– Co?

Nick był cierpliwy.

– Przewróciłeś go, więc pomóż mu wstać.

– Ja to zrobię – powiedziała Kalisha i pobiegła do trampoliny.

Schyliła się, żeby podać rękę Avery'emu, a wtedy nowy popchnął także ją. Nie trafiła w miękkie obramienie i wyłożyła się na żwirze, ocierając sobie kolano.

Nick upuścił raketę do badmintona i ruszył do nowego. Wziął się pod boki.

– Teraz pomożesz wstać obojgu. Wiem, że jesteś skołowany jak diabli, ale to cię nie tłumaczy.

– A jak nie pomogę?

Nicky się uśmiechnął.

– To ci wjebię, grubasie.

Helen Simms, siedząc przy stoliku, przyglądała się z zainteresowaniem. George najwyraźniej postanowił się przenieść w bezpieczniejsze miejsce. Szedł w kierunku drzwi do świetlicy, omijając nowego jak najszerszym łukiem.

– Skoro chce być dupkiem, to nie zwracaj sobie nim głowy – zwróciła się Kalisha do Nicky'ego. – Nic nam nie jest, prawda, Avery? – Pomogła

małemu wstać i zaczęła się wycofywać.

– Jasne, że nic – odpowiedział chłopiec, ale po policzkach znów ciekły mu łzy.

– Kogo ty nazywasz dupkiem, suko?

– Chyba ciebie, bo innych dupków tu nie ma – odparł Nicky. Zrobił jeszcze krok w stronę nowego. Luke był zafascynowany kontrastem między tymi dwoma: nowy był jak młotek, a Nicky jak nóż. – Masz przeprosić.

– Jebać ciebie i twoje przeprosiny. Nie wiem, gdzie jestem, ale na pewno tu nie zostanę. A teraz zjeżdżaj mi z oczu.

– Nigdzie stąd nie wyjdiesz. Jesteś tu na dłużej, jak my wszyscy. – Nicky uśmiechnął się, nie odsłaniając zębów.

– Obaj przestańcie – rzuciła Kalisha.

Obejmowała ramieniem Avery'ego, a Luke nie potrzebował telepatii, żeby wiedzieć, co myśli, ponieważ sam myślał to samo: nowy był cięższy od Nicky'ego o co najmniej trzydzieści kilogramów, może nawet czterdzieści, i miał co prawda wielki brzuch, ale za to łapy jak kowadła.

– Ostatnie ostrzeżenie – powiedział nowy. – Zjeżdżaj albo cię pierdolnę.

George najwyraźniej zmienił zdanie i już nie szedł do świetlicy. Teraz spacerowym krokiem zbliżał się do nowego, nie z tyłu, ale z boku. Z tyłu natomiast nadchodziła Helen, niezbyt szybko, za to z tym lekkim ruchem bioder, który tak się podobał Luke'owi. I z uśmiechem.

George skrzywił się w skupieniu, zacisnął wargi i zmarszczył czoło. Insekty, które krążyły wokół obu chłopców, nagle zbiły się w kupę i uderzyły nowego w twarz jakby pchnięte niewidzialnym podmuchem wiatru. Rudy podniósł dłoń do oczu, usiłując odegnać owady. Helen uklękła tuż za nim, a Nicky go popchnął. Chłopak runął do tyłu, częściowo na żwir, a częściowo na asfalt.

Helen zerwała się na nogi, a potem zaczęła podskakiwać. Śmiała się i wytykała nowego palcami.

– Oblazły cię, spaślaku, oblazły, całego cię oblazły!

Chłopak z wściekłym rykiem spróbował się podnieść, ale zanim mu się to udało, Nick podszedł i kopnął go w udo. Mocno. Rudy wrzasnął, złapał się za nogę i przyciągnął kolana do piersi.

– Jezu, przestańcie! – krzyknęła Iris. – Za mało mamy kłopotów?

Dawny Luke pewnie by się z nią zgodził, ale nowy, ten z Instytutu – nie.

– Sam zaczął. I chyba mu to było potrzebne – powiedział.

– Jeszcze was załatwię! – załkał nowy. – Wszystkich was, kurwa, załatwię! Nawet bić się nie umiecie uczciwie!

Niepokojąco posiniał na twarzy. Luke zaczął się zastanawiać, czy szesnastolatek z nadwagą może dostać wylewu, i odkrył – to okropne, lecz prawdziwe – że nic go to nie obchodzi.

Nicky ukląkł na jedno kolano.

– Gównu załatwisz – rzucił. – A teraz posłuchaj mnie uważnie, grubasie. To nie z nami masz problem. Tylko z nimi.

Luke obejrzał się i zobaczył troje opiekunów stojących ramię w ramię tuż przed drzwiami do świetlicy: Joego, Hadada i Gladys. Hadad nie wyglądał już przyjaźnie, a z ust Gladys znikł plastikowy uśmiech. Wszyscy trzymali jakieś czarne urządzenia, z których wystawały przewody. Na razie się nie zbliżali, ale byli w gotowości. Bo nie można pozwolić, żeby zwierzęta doświadczalne zrobiły sobie nawzajem krzywdę, pomyślał Luke. Tego jednego nie można. Zwierzęta doświadczalne są cenne.

– Pomóż mi z tym gnojem – zwrócił się do niego Nicky.

Luke wziął jedną rękę nowego i zarzucił ją sobie na szyję. Nick zrobił to samo z drugą. Chłopak miał gorącą skórę, tłustą od potu. Ciężko dyszał przez zaciśnięte zęby. Luke i Nicky wspólnie dźwignęli go do pionu.

– Nicky! – zawołał Joe. – Wszystko w porządku? Koniec zadymy?

– Koniec.

– Całe szczęście – powiedział Hadad.

On i Gladys wrócili do środka. Joe dalej stał bez ruchu, trzymając czarny gadżet.

– Wszystko jest okej – zapewniła go Kalisha. – To nie była prawdziwa zadyma, tylko małe...

– ...nieporozumienie – dokończyła Helen.

– On nie miał nic złego na myśli – dodała Iris. – Po prostu się zdenerwował.

W jej głosie była tak autentyczna życzliwość, że Luke'owi zrobiło się trochę wstyd, bo przecież ucieszył się, kiedy Nicky kopnął grubego w nogę.

– Zaraz się zrzygam – oznajmił nowy.

– Tylko nie na trampolinę – zastrzegł Nicky. – My z niej korzystamy. Chodź, Luke. Weźmy go pod płot.

Nowy zaczął wydawać bulgotliwe dźwięki, torsje wstrząsały jego pokaźnym brzuchem. Luke i Nicky zaprowadzili go do ogrodzenia między placem zabaw a lasem. Doszli tam w samą porę. Chłopak przyłożył głowę do drucianej siatki i bluznął przez jej otwory, pozbywając się ostatniej

rzeczy, którą jadł na zewnątrz, kiedy jeszcze zamiast „nowym” był „wolnym”.

– Fuij! – jęknęła Helen. – Ktoś tu jadł kukurydzę w śmietanie. Obrzydlistwo!

– Lepiej ci? – zapytał Nicky.

Nowy przytaknął.

– Skończyłeś?

Teraz pokręcił głową, a potem znowu zwymiotował, tym razem z mniejszą siłą.

– Chyba... – Odchrząknął, a z jego ust trysnęła brejowata mgielka.

– Jezu! – Nicky otarł policzek. – Jak masz robić prysznic, to chociaż daj ręcznik.

– Chyba zemdleję.

– Nie zemdlejesz – powiedział Luke. Nie był tego pewien, uznał jednak, że lepiej myśleć pozytywnie. – Chodź w cień.

Doprowadzili rudego do stołu. Kalisha usiadła obok i kazała chłopakowi spuścić głowę. Wykonał polecenie bez dyskusji.

– Jak się nazywasz? – zapytał Nicky.

– Harry Cross. – Stracił całą ochotę do walki. Był zmęczony i zawstydzony. – Jestem z Selmy. W Alabamie. Nie wiem, jak tu trafiłem, co się ze mną dzieje ani nic.

– Trochę ci powiemy – obiecał Luke. – Ale przestań odpieprzać takie numery. Masz się ogarnąć. Tu i tak jest źle, nie musimy na dodatek walczyć między sobą.

– I masz przeprosić Avery’ego – dodał George. Nie było w nim już nic z klasowego błazna. – To będzie twój pierwszy krok, żeby się ogarniać.

– Nie trzeba – wtrącił się Avery. – Nic mi nie zrobił.

Kalisha nie zwracała na niego uwagi.

– Przepróż.

Harry Cross podniósł wzrok. Otarł zarumienioną, niezbyt ładną twarz.

– Przepraszam, że cię przewróciłem, młody. – Obejrzał się na pozostałych. – Może być?

– Do połowy. – Luke wskazał na Kalishę. – Jeszcze ją.

Harry ciężko westchnął.

– Przepraszam, jakkolwiek masz na imię.

– Kalisha. Jeśli się bardziej zaprzyjaźnimy, co na razie wydaje się średnio prawdopodobne, będziesz mógł do mnie mówić Sha.

– Bylebyś nie mówił do niej „smyku” – dodał Luke.

George roześmiał się i poklepał go po plecach.

– Wszystko jedno – mruknął Harry. Wytarł sobie coś jeszcze z brody.
– No to skoro przestaliśmy się tak podniecać – powiedział Nicky – może dokończymy badminto...

– Cześć, dziewczyny! – zawołała Kalisha. – Chcecie do nas przyjść?

Luke się obejrzał. Joego nie było. Na jego miejscu stały teraz dwie oszołomione małe blondynki. Trzymały się za ręce, obie z identycznie przerażonymi minami. Wszystko zresztą było w nich identyczne oprócz T-shirtów: jedna miała zielony, a druga czerwony. Luke'owi przypomniał się *Kot Prot* Dr. Seussa: Śmieszna Rzecz Numer Jeden i Śmieszna Rzecz Numer Dwa.

– Chodźcie – zachęciła nowe Kalisha. – Już po wszystkim. Koniec problemów.

Gdyby tylko to była prawda, pomyślał Luke.

13

Tego popołudnia za kwadrans czwarta Luke siedział w swoim pokoju i czytał o prawnikach z Vermontu specjalizujących się w ustawie o uczciwej windykacji długów. Jak dotąd nikt nie zapytał, dlaczego ten temat tak bardzo go interesuje. Ani o niewidzialnego człowieka H.G. Wellsa. Luke pomyślał, że mógłby przetestować, czy go monitorują – powinno wystarczyć poszukanie metod popełnienia samobójstwa – ale uznał, że musiałby zwariować. Po co drażnić śpiącego psa? Ponieważ ewentualny monitoring nie miał szczególnego wpływu na jego aktualne życie, chyba lepiej o nim nie wiedzieć.

Ktoś stanowczo zapukał do drzwi. Otworzyły się, zanim Luke zdążył się odezwać. Weszła opiekunka. Była wysoka, miała ciemne włosy i różową bluzkę, na której widniał identyfikator z imieniem PRISCILLA.

– Oczy, prawda? – zapytał Luke, wyłączając laptopa.

– Prawda. Chodźmy. – Zero uśmiechu, zero wesołego świergotu. Po kontakcie z Gladys przyjął to z ulgą.

Ruszyli do windy i zjechali na poziom C.

– Ile tu jest poziomów w głąb? – zapytał.

Priscilla zmierzyła go wzrokiem.

– Nie twoja sprawa.

– Chciałem tylko zagaić roz...

– To nie zagajaj. Milcz.

Luke zamilkł.

W znajomym gabinecie C-17 Zeke'a zastąpił technik o imieniu BRANDON. Było tam również dwóch mężczyzn w garniturach – jeden trzymał iPada, a drugi notatnik z klipssem. Nie mieli identyfikatorów, więc Luke domyślił się, że to lekarze. Jeden był potwornie wysoki, z brzuchem tak dużym, że zawstydziliby Harry'ego Crossa. Zrobił krok naprzód i wyciągnął rękę.

– Witaj, Luke. Jestem doktor Hendricks, szef do spraw medycyny.

Chłopiec tylko spojrział na wyciągniętą rękę i wcale nie miał ochoty jej uścisnąć. Ostatnio uczył się mnóstwa nowych zachowań. Było to ciekawe w dosyć straszny sposób.

Doktor Hendricks dziwnie się zaśmiał, jakby zarżał: najpierw krótki wydech, potem krótki wdech.

– No tak, no tak. To doktor Evans, szef okulistyki.

Znowu zrobił ten wdech i wydech, więc Luke domyślił się, że dla lekarzy wyrażenie „szef okulistyki” jest z jakiegoś powodu śmieszne.

Doktor Evans, drobny mężczyzna z wymyślnym wąsem, nie roześmiał się ani nawet nie uśmiechnął. Nie podał też chłopcu ręki.

– A więc jesteś jednym z naszych nowych rekrutów. Witaj. Usiądź, proszę.

Luke zrobił, co mu kazano. Siedzieć na fotelu z pewnością było lepiej niż opierać się o niego z wypiętym tyłkiem. Poza tym raczej nie miał wątpliwości, co teraz będzie. Robiono mu już wcześniej badania wzroku. Na filmach kujonowaci mali geniusze zawsze noszą grube okulary, ale Luke miał doskonały wzrok, przynajmniej do tej pory. Był więc dość odprężony, dopóki Hendricks nie podszedł do niego z kolejną strzykawką.

– Bez obaw, to tylko jeszcze jeden szybki strzał. – Znowu zarżał, odsłaniając wystające zęby. – Dużo tych strzałów, zupełnie jak w wojsku.

– Jasne, bo jestem poborowym – rzucił Luke.

– Zgadza się, zgadza się, dokładnie. A teraz się nie ruszaj.

Luke przyjął zastrzyk bez protestów. Nie poczuł uderzenia gorąca, potem jednak wydarzyło się coś innego. Coś złego. Kiedy Priscilla nachyliła się, żeby mu nakleić punktowy plaster, Luke zaczął się dusić.

– Nie mogę... – Chciał powiedzieć „przełykać”, ale nie był w stanie. Zacisnęło mu się gardło.

– Nic ci nie jest – rzucił Hendricks. – To minie.

Zabrzmiało uspokajająco, ale drugi z lekarzy właśnie podchodził z rurą, którą chyba w razie potrzeby zamierzał wepchnąć Luke'owi do gardła. Hendricks oparł dłoń na ramieniu kolegi.

– Daj mu kilka sekund.

Luke patrzył na nich rozpaczliwie, przekonany, że to ostatnie twarze, jakie w życiu widzi; ślina ciekła mu po brodzie... a potem gardło się rozwarło. Głośno łyknął olbrzymi haust powietrza.

– Widzisz? – powiedział Hendricks. – Wszystko w porządku, Jim. Nie trzeba intubować.

– Co... co mi zrobiliście?

– Absolutnie nic. I nic ci nie jest.

Doktor Evans oddał plastikową rurę Brandonowi, a sam zajął miejsce Hendricksa. Zaświecił chłopcu w oczy, a potem niewielką linijką zmierzył rozstaw źrenic.

– Nie nosisz soczewek?

– Chcę wiedzieć, co to było! Nie mogłem oddychać! Nie mogłem przełykać!

– Nic ci nie jest – powiedział Evans. – Przełykasz jak złoto. Nabierasz kolorów. Pytałem, czy nosisz soczewki, czy nie.

– Nie noszę.

– Dobrze. Brawo. Patrz prosto przed siebie.

Luke spojrzał na ścianę. Jego tętno powoli wracało do normy. Minęło wrażenie, że zapomniał, jak się oddycha. Brandon spuścił biały ekran i przygasił światło.

– Cały czas patrz przed siebie – polecił doktor Evans. – Jeżeli raz odwrócisz wzrok, Brandon cię uderzy. Jeżeli zrobisz to po raz drugi, porazi cię prądem. Napięcie jest niskie, ale to bardzo boli. Rozumiesz?

– Tak – potwierdził Luke. Czuł się już dobrze, gardło nie bolało, ale serce ciągle biło dwa razy szybciej. – Czy Amerykańskie Towarzystwo Medyczne o tym wie?

– Musisz się zamknąć – powiedział Brandon.

„Zamknąć się” to tutaj chyba główna reguła, pomyślał chłopiec. Uspokajał się, że najgorsze już za nim, teraz tylko badanie wzroku. Reszta dzieci też przez to przeszła i nic im się nie stało, mimo to ciągle przełykał ślinę, żeby upewnić się, że owszem, nadal to potrafi. Wyświetlę mu tablicę do badania wzroku, on coś odczyta i będzie po sprawie.

– Prosto przed siebie – prawie zanucił Evans. – Patrzysz na ekran i nigdzie indziej.

Zabrzmiała muzyka: klasyczne utwory na skrzypcach. Luke domyślał się, że ma być kojąca.

– Priss, włącz projektor – polecił lekarz.

Zamiast tablicy do badania wzroku na środku ekranu pojawiła się niebieska kropka, lekko pulsująca, jakby miała tętno. Poniżej dołączyła

kolejna, czerwona, która kojarzyła mu się z HAL-em: „Przykro mi, Dave”. A potem zielona. Czerwona i zielona pulsowały w jednym rytmie z niebieską, a potem wszystkie trzy zaczęły się pojawiać i zniknąć. Dochodziły do nich kolejne, najpierw pojedynczo, potem po dwie, wreszcie dziesiątkami. Wkrótce ekran był pełen setek migających kolorowych kropek.

– Oczy na ekran – zanucił Evans. – Na ekraaaan. Nigdzie indziej.

– Więc skoro nie widzę ich sam, to mi je wyświetlacie? Taką macie metodę, żeby mnie urobić? To nie...

– Zamknij się. – Tym razem to była Priscilla.

Kropki zaczęły wirować. Gonily się jak szalone, niektóre tworzyły spirale, inne zbijały się w gromady, jeszcze inne układały w koła, a te rosły, malały i przecinały się nawzajem. Skrzypce grały coraz szybciej, łagodna melodia klasyczna zmieniała się w coś na kształt przygrywki z ludowej potańcówki. Teraz kropki nie poruszały się tak po prostu: zmieniły się w elektroniczny billboard z Times Square, który najpierw doznał zwarcia, a potem przeżył załamanie nerwowe. Luke miał wrażenie, że sam też je przeżywa. Pomyślał o Harrym Crossie rzygającym przez ogrodzenie i wiedział, że jego czeka to samo, jeśli dalej będzie patrzył na te szaleńczo pędzące kropki, no a nie chciał się zrzygać, bo wszystko wylądowałoby mu na kolanach i...

Brandon mocno uderzył go w twarz. Trzasnęło, jakby wybuchła mała petarda, zarazem gdzieś blisko i daleko.

– Patrz na ekran, smyku!

Coś ciepłego ściekało Luke’owi po górnej wardze. Sukinsyn trafił mnie nie tylko w policzek, ale też w nos, pomyślał chłopiec, lecz to nie miało znaczenia. Wirujące kropki wchodziły mu do głowy, dokonywały inwazji jak zapalenie opon mózgowych albo coś takiego.

– Dobrze, Priss, wyłącz to – polecił Evans, ale ona chyba nie usłyszała, ponieważ kropki nie zniknęły.

Rozkwitały i kurczyły się, a z każdym rozkwitem były coraz większe: *buch...* rosły i *zip...* malały... *buch...* i *zip...* Robiły się trójwymiarowe, wychodziły z ekranu, ruszały ku niemu, ruszały do przodu, ruszały...

Luke’owi wydawało się, że Brandon coś mówi do Priscilli, ale to przecież musiał być głos w jego głowie. I czy naprawdę ktoś krzyczał? A jeśli tak, czy mógł to być on sam?

– Zuch chłopak, bardzo dobrze, świetnie ci idzie. – To głos Evansa, buczący gdzieś z oddali. Z drona wysoko w stratosferze. A może z drugiej strony Księżyca.

Kolejne kolorowe kropki. Teraz były już nie tylko na ekranie, ale były też na ścianach, wirowały na suficie, wszędzie wokół niego i w nim. Luke'owi zaświtało – w ostatnich sekundach, zanim stracił przytomność – że zastępują mu mózg. Zobaczył, jak jego ręce fruwały wśród kropek światła; widział, że kropki tańczą i biegają mu po skórze, zorientował się, że trzęsie nim w fotelu.

Próbował powiedzieć „Mam atak, zabijacie mnie”, ale z jego ust wydobył się tylko nieszczęsny bulgot. Potem kropki zniknęły, Luke spadał z fotela, spadał w ciemność, i to była ulga. O Boże, jaka ulga.

14

Obudziły go uderzenia w twarz. Niezbyt silne, nie tak jak ten cios, po którym poszła mu krew z nosa (jeśli to naprawdę się wydarzyło), ale trudno byłoby je nazwać czułymi. Otworzył oczy i zobaczył, że leży na podłodze. Znajdował się już w innym pomieszczeniu. Obok niego na jedno kolano przykucnęła Priscilla. To właśnie ona klepała go po twarzy. Brandon i dwaj lekarze stali nieopodal i patrzyli. Hendricks nadal trzymał iPada, a Evans – notatnik z klipsem.

– Obudził się – poinformowała ich Priscilla. – Luke, możesz wstać?

Nie wiedział, czy może. Cztery czy pięć lat wcześniej zachorował na anginę i dostał wysokiej gorączki. Teraz czuł się tak samo jak wtedy, zupełnie jakby połowa jego jestestwa wymknęła się z ciała i uleciała w atmosferę. W ustach miał okropny smak, a miejsce po ostatnim zastrzyku swędziało jak diabli. Wciąż jeszcze czuł, jak gardło mu się zaciska, nadal pamiętał to straszliwe wrażenie.

Brandon nie dał mu szansy na sprawdzenie siły nóg, bo po prostu złapał go za rękę i dźwignął do pionu. Luke stał, chwiejąc się.

– Jak się nazywasz? – zapytał Hendricks.

– Luke... Lucas... Ellis.

Miał wrażenie, że te słowa nie wydobywają się z jego ust, ale z tamtej połowy, która oderwała się od ciała i unosiła nad jego głową. Twarz chłopca pulsowała od uderzeń, nos bolał. Luke uniósł rękę (płynęła powoli, jak w wodzie), potarł skórę nad wargą i bez zdziwienia spojrział na płatki zaschniętej krwi na palcu.

– Jak długo byłem nieprzytomny?

– Posadźcie go – polecił Hendricks.

Brandon wziął chłopca za jedno ramię, Priscilla za drugie. Zaprowadzili go do krzesła (zwykłego kuchennego krzesła bez żadnych

pasów, dzięki Bogu). Stało przy stole. Po przeciwnej stronie, na drugim takim krześle, siedział Evans. Przed nim na blacie leżał stosik kart. Były duże jak książki i miały gładkie, niebieskie rewersy.

– Chcę wrócić do swojego pokoju – odezwał się Luke. Głos nadal nie dobiegał z jego ust, ale był już trochę bliższy. – Chcę się położyć. Niedobrze mi.

– Dezorientacja minie – powiedział Hendricks. – Choć chyba mądrze zrobisz, odpuszczając sobie kolację. Na razie słuchaj uważnie doktora Evansa. Mamy dla ciebie mały test. Kiedy skończymy, będziesz mógł wrócić do pokoju i... hm... odprężyć się.

Evans podniósł pierwszą kartę i spojrział na nią.

– Co to jest?

– Karta – odparł Luke.

– Żarty zachowaj na swój kanał na YouTube – rzuciła Priscilla i uderzyła go w twarz. Dużo mocniej niż wtedy, kiedy próbowała go cucić.

Dzwoniło mu w uchu, ale przynajmniej nieco przejaśniło się w głowie. Spojrział na Priscillę i nie widział u niej cienia wahania. Zero żalu. Żadnej empatii. Nic. Zrozumiał, że dla niej wcale nie jest dzieckiem. Dokonała w myślach jakiegoś zasadniczego rozdziału. Był obiektem badań. Taki obiekt zmusza się, żeby robił co trzeba, a jeśli nie robi, aplikuje się coś, co psychologowie nazywają wzmocnieniem negatywnym. A po zakończeniu badań? Idzie się do pokoju socjalnego na kawę i ciastka i rozmawia o własnych dzieciach (które są prawdziwymi dziećmi), psioczy na politykę czy sport, wszystko jedno.

Ale czy Luke nie wiedział o tym już wcześniej? Chyba tak, tylko że wiedzieć o czymś, a mieć tę prawdę odcisniętą na skórze czerwoną pręgą to dwie różne rzeczy. Już widział ten moment – który miał nastąpić całkiem prędko – gdy zacznie się kulić, ilekroć ktoś wyciągnie do niego otwartą dłoń, nawet jeśli tylko po to, żeby się przywitać albo przybić mu piątkę.

Evans odłożył kartę na bok i podniósł ze stosu kolejną.

– A ta, Luke?

– Już mówiłem, że nie wiem! Skąd mam wiedzieć, co...

Priscilla znowu go uderzyła. Tym razem dzwoniło głośniejsze i Luke się rozplakał. Nie mógł się powstrzymać. Już wcześniej myślał, że Instytut to koszmar, ale ten koszmar był autentyczny: nie do końca przytomnemu chłopakowi kazali mówić, co jest na kartach, których nie widział, i bili go, kiedy mówił, że nie wie.

– Spróbuj, Luke – szepnął mu Hendricks na to ucho, w którym nie dzwoniło.

– Chcę wrócić do pokoju. Jestem zmęczony. I źle się czuję.

Evans odłożył drugą kartę i podniósł trzecią.

– Co to jest?

– Pomyliliście się – powiedział Luke. – Ja jestem TK, nie TP. Może Kalisha by wam powiedziała, co jest na kartach, Avery nawet na pewno, ale ja nie jestem TP!

Evans podniósł czwartą kartę.

– Co to jest? Uderzenia w twarz już się skończyły. Odpowiedz na pytanie albo Brandon porazi cię prądem, a to będzie bolało. Raczej nie dostaniesz następnego ataku, ale to niewykluczone, więc powiedz, co to jest.

– Most Brookliński! – krzyknął chłopiec. – Wieża Eiffla! Brad Pitt w smokingu, srający pies, wyścig Indianapolis pięćset, nie wiem!

Czekał na porażenie prądem – domyślał się, że użyją jakiegoś rodzaju paralizatora. Może rozlegnie się trzask, może buczenie. A może nie będzie żadnego dźwięku, tylko Luke zaczął szarpać, a potem osunie się na podłogę zaśliniony i w drgawkach. Tymczasem Evans odłożył kartę i dał znak Brandonowi, żeby ten się cofnął. Luke nie poczuł ulgi.

Chciałbym już nie żyć, pomyślał. Nie żyć i być od tego wolny.

– Priscillo – odezwał się Hendricks. – Zabierz Luke’a do jego pokoju.

– Tak, panie doktorze. Bran, pomóż mi go doprowadzić do windy.

Zanim tam dotarli, chłopiec poczuł, że znowu jest we własnym ciele. Jego umysł wrócił na właściwe tory. Czy oni naprawdę wyłączyli projektor? A on mimo to dalej widział kropki?

– Popełniliście błąd. – Zaszło mu w ustach i gardle. – Nie jestem TP, jak to nazywacie. Wiecie o tym, prawda?

– Wszystko jedno – rzuciła lekceważąco Priscilla. Potem odwróciła się do Brandona z prawdziwym uśmiechem, który zrobił z niej inną osobę. – Widzimy się później, prawda?

Brandon wyszczerzył się od ucha do ucha.

– No jasne.

Spojrzał na Luke’a, nagle zacisnął pięść i zamachnął się prosto w jego twarz. Zatrzymał się na centymetr przed nosem chłopca, ale on mimo to wzdrygnął się i krzyknął. Brandon roześmiał się serdecznie, a Priscilla rzuciła mu pobłażliwy uśmiech w stylu „Ech, ci wieczni chłopcy”.

– Trzym się, Luke – powiedział Brandon, a potem pewnym krokiem oddalił się korytarzem na poziomie C. Paralizator w kaburze odbijał mu

się od biodra.

W głównym korytarzu – który, jak już rozumiał Luke, był skrzydłem dla podopiecznych – stały tamte dwie małe dziewczynki, Gerda i Greta. Patrzyły przestraszone szeroko otwartymi oczami. Trzymały się za ręce i ścisnęły lalki równie identyczne jak one. Przypominały Luke’owi bliźniaczki z jakiegoś starego horroru.

Priscilla odprowadziła go aż do drzwi pokoju, a potem odeszła bez słowa. Wszedł do środka, zobaczył, że przez ten czas nikt nie zabrał mu laptopa, i runął na łóżko, nawet nie zdjawszy butów. Spał tak przez następne pięć godzin.

15

Kiedy doktor Hendricks, *alias* Donkey Kong, wszedł do małego pokoiku, który przylegał do gabinetu pani Sigsby, ona już czekała. Siedziała na niedużej kanapie. Hendricks podał jej teczkę.

– Wiem, że jesteś wyznawczynią papierowych wydruków, więc proszę bardzo. Choć nie sądzę, żeby to ci się na coś przydało.

Sigsby nie otworzyła teczki.

– Nie może mi się ani przydać, ani zaszkodzić, Dan. To twoje testy, twoje dodatkowe eksperymenty, i najwyraźniej nic z nich nie wychodzi.

Z zawziętością zacisnął zęby.

– Agnes Jordan. William Gortsen. Veena Patel. Jeszcze dwoje czy troje innych, których nazwisk zapomniałem. Donna coś tam. U nich wszystkich wyniki były pozytywne.

Kobieta westchnęła i poprawiła rzedniejące włosy. Hendricks uważał, że Sigersowa ma ptasią twarz: wprawdzie zamiast dzioba ostry nos, ale takie same świdrujące oczka. Ptasią twarz, a pod nią mózg biurokraty. Beznadziejne połączenie.

– Oraz dziesiątki różowych, u których nie było żadnych rezultatów – przypomniała mu.

– Może i tak, ale zastanów się. – Gdyby powiedział to, co chciał, czyli „Jak możesz być taka głupia?”, narobiłby sobie kłopotów. – Jeśli telepatia i telekineza są powiązane, co sugerują moje eksperymenty, może istnieją jeszcze inne uśpione zdolności parapsychologiczne, które tylko czekają, żeby je ujawnić. Może to, co potrafią te dzieci, nawet najbardziej utalentowane, jest tylko wierzchołkiem góry lodowej. Wyobraźmy sobie, że możliwe jest leczenie psychiką. Że takiego glejaka, jaki zabił Johna McCaina, można usunąć siłą umysłu. Że dzięki tym zdolnościom można

przedłużyć ludzkie życie nawet do stu pięćdziesięciu lat albo i więcej. To, do czego wykorzystujemy te dzieci, wcale nie musi być końcem. Może to dopiero początek!

– Już to wszystko słyszałam – odparła pani Sigsby. – I czytałam w twojej deklaracji misji, jak lubisz to nazywać.

Ale nic nie rozumiesz, pomyślał Hendricks. Stackhouse też nie. Evans coś tam pojmuje, ale nie dostrzega gigantycznego potencjału.

– Nie w tym rzecz, że ten Ellis albo Iris Stanhope są jakoś szczególnie ważni. Nie bez kozery nazywamy ich różowymi. – Prychnął i machnął ręką.

– Tak można było mówić dwadzieścia lat temu – zwróciła mu uwagę pani Sigsby. – A nawet jeszcze dziesięć.

– Ale...

– Dość tego, Dan. Czy Ellis wykazywał ślady TP?

– Nie, ale widział światelka po wyłączeniu projektora, co uważamy za wskazówkę. I to silną. Potem, niestety, miał atak. Co, jak wiesz, nie jest wcale rzadkie.

Kobieta westchnęła.

– Nie mam nic przeciwko temu, żebyś kontynuował eksperymenty ze Światłami Stasi, ale musisz zachować odpowiednią perspektywę. Nasze główne zadanie to przygotować podopiecznych do Tylnej Połowy. To jest ważne, to jest nasz cel. Jakikolwiek skutki uboczne nie mają większego znaczenia. Kierownictwa nie interesuje parapsychologiczny odpowiednik minoksydylu.

Hendricks wzdrygnął się, jakby Sigsby uderzyła go w twarz.

– Lek na nadciśnienie, który oprócz tego wspomaga porost włosów na głowach łysych mieszkańców przedmieść, to zupełnie inny ciężar gatunkowy niż proces mogący odmienić losy ludzkości!

– Możliwe. I gdyby twoje testy dawały częstsze wyniki, to niewykluczone, że ja oraz ludzie, którzy płacą nam pensje, bylibyśmy bardziej podekscytowani. Ale na razie masz tylko parę losowych trafień.

Doktor otworzył usta, by zaprotestować, lecz zaraz je zamknął, gdy Sigsby spiorunowała go groźnym wzrokiem.

– Chwilowo możesz kontynuować testy, powinieneś się z tego cieszyć. Bo masz z czego, zwłaszcza że straciliśmy już przez nie kilkoro dzieci.

– Różowych – znowu prychnął lekceważąco Hendricks.

– Dan, zachowujesz się tak, jakby było ich na pęczki. Może dawniej, ale teraz już nie. Już nie. Tymczasem ja też mam dla ciebie teczkę.

Teczka była czerwona. Widniał na niej stempel PRZENIESIENIE.

Kiedy tego wieczoru Luke wszedł do świetlicy, Kalisha siedziała na podłodze, oparta plecami o jedno z dużych okien wychodzących na plac zabaw. Popijała alkohol z buteleczki, które można było kupić w automacie.

– Ty to pijesz? – zapytał, siadając obok niej.

Na placu zabaw Avery i Helen skakali na trampolinie. Dziewczyna uczyła małego, jak się robi przewrót. Wkrótce miał zapaść zmrok, a wtedy będą musieli wrócić do budynku. Chociaż placu zabaw nigdy nie zamykano, nie był oświetlony, co zniechęcało do nocnych wizyt.

– Pierwszy raz. Zużyłam wszystkie żetony. Paskudztwo. Chcesz trochę?

– Kalisha wyciągnęła rękę z butelką z napojem o nazwie Twisted Tea.

– Opuść sobie. Sha, dlaczego mi nie powiedziałaś, że badanie ze światłami jest takie okropne?

– Mów mi Kalisha. Tylko ty jeden tak robisz i lubię to.

Słowa dziewczyny odrobinę się zlewały. Mogła wypić nie więcej niż kilkanaście mililitrów alkoholizowanej herbaty, ale widocznie do tego nie przywykła.

– Dobrze. Kalisha. Dlaczego mi nie powiedziałaś?

Wzruszyła ramionami.

– Każą patrzeć na tańczące światełka, aż trochę zakręci ci się w głowie. Co w tym straszego? – Ostatnie słowo wymówiła „straszneo”.

– Serio? U ciebie było tylko tyle?

– Tak. A co? Co było z tobą?

– Najpierw dali mi zastrzyk i miałem po nim gwałtowną reakcję. Gardło mi się zacisnęło. Przez chwilę myślałem, że umrę.

– Hm... Mnie też przed badaniem zrobili zastrzyk, ale nic się nie działo. To rzeczywiście nie brzmi dobrze. Przykro mi, Lukey.

– To był dopiero początek. Patrząc na światełka, straciłem przytomność. Chyba miałem atak. – Oprócz tego Luke trochę się zmoczył, ale tę informację zachował dla siebie. – Kiedy się obudziłem... – Przerwał, by się opanować. Nie chciał się rozplakać przed tą ładną dziewczyną z ładnymi brązowymi oczami i lśniącymi czarnymi włosami. – Kiedy się obudziłem, zaczęli mnie bić po twarzy.

Kalisha usiadła prosto.

– Że co?!

Skinął głową.

– A potem jeden z lekarzy... Evans, znasz go?

- To ten z wąsikami. – Zmarszczyła nos i wypięła kolejny łyk.
- Tak, ten. Miał jakieś karty i chciał, żebym mówił, co na nich jest. To były chyba karty do badań postrzegania pozazmysłowego... raczej na pewno. Opowiadałaś o nich, pamiętasz?
- Jasne, badali mnie nimi z dziesięć razy. Albo ze dwadzieścia. Ale nie po święteczkach. Wtedy po prostu zabrali mnie do pokoju. – Dziewczyna wypięła kolejny łyżeczek. – Pewnie pomyliły im się papiery. Wydawało im się, że jesteś TP, a nie TK.
- Najpierw też tak myślałam, więc im to powiedziałam, ale dalej mnie bili. Jakby myśleli, że udaję.
- Nic dziwniejszego w życiu nie słyszałam. – Ostatnie słowo wymówiła: „słyszaam”.
- To chyba dlatego, że nie jestem pozytywem, jak to nazywacie. Jestem zwyczajny. Na takich mówią tutaj „różowi”.
- Różowi. Zgadza się.
- A inne dzieci? Czy kogoś jeszcze to spotkało?
- Nie pytałam. Na pewno nie chcesz łyka?
- Luke wziął butelkę i napił się, głównie po to, by Kalisha nie wypięła wszystkiego sama. Oceniał, że już jej wystarczy. Zawartość okazała się tak okropna, jak sądził. Oddał butelkę dziewczynie.
- Nie chcesz wiedzieć, co opijam?
- Co?
- Iris. Wspomnienie o niej. Ona jest taka jak ty, nic szczególnego, tylko odrobina TK. Zabrali ją godzinę temu. Jak powiedziała by George, już jej nie zobaczymy.
- Rozpłakała się. Luke ją przytulił. Nic innego nie przyszło mu do głowy. Kalisha pozwoliła mu na to i położyła głowę na jego ramieniu.

17

Tego wieczoru ponownie wszedł na stronę pana Griffina, wpisał adres „Star Tribune” i wpatrywał się w niego przez prawie trzy minuty, zanim w końcu się wycofał, nie nacisnąwszy RETURN. Tchórz, pomyślał. Jestem tchórzem. Jeżeli nie żyją, powinienem to wiedzieć. Tyle tylko, że nie wyobrażał sobie, jak miałyby się zmierzyć z tą wiadomością i zupełnie się nie rozsypać. A poza tym co by mu to dało?

Zamiast tego wpisał do wyszukiwarki: *prawnicy długi Vermont*. Już wcześniej zbadał temat, ale uznał, że weryfikacja własnej pracy to zawsze dobry pomysł. Poza tym zabiłby trochę czasu.

Dwadzieścia minut później wyłączył komputer i właśnie rozmyślał nad tym, czy nie przespacerować się i nie sprawdzić, kto jest jeszcze na nogach (najchętniej zobaczyłby Kaliszę, jeżeli nie odsypiała picia), gdy kolorowe kropki powróciły. Wirowały mu przed oczami, a cały świat zaczął znikać. Odjeżdżać jak oglądany z peronu pociąg, który opuszcza stację.

Luke opuścił głowę i zamknął laptopa. Oddychał powoli i głęboko, powtarzając sobie, że musi się trzymać, po prostu się trzymać. Powtarzał sobie, że to minie, nie dopuszczał do siebie myśli, że mogłoby pozostać. Przynajmniej mógł przełykać. Z tym nie miał problemów, a z czasem wrażenie, że odpływa sam od siebie – we wszechświat wirujących światła – rzeczywiście ustąpiło. Nie wiedział, ile czasu to trwało, może tylko minutę albo dwie, lecz wydawało się, że znacznie dłużej.

Poszedł do łazienki i wymył zęby, przeglądając się w lustrze. Oni mogli wiedzieć o kropkach, i pewnie wiedzieli, ale nie o tym drugim. Nie miał pojęcia, co znajdowało się na pierwszej karcie ani na trzeciej, ale na drugiej był chłopiec na rowerze, a na czwartej mały pies z piłką w pysku. Czarny pies, czerwona piłka. Luke chyba jednak był TP.

W każdym razie teraz już był.

Przepłukał usta, zgasił światło, rozebrał się po ciemku i położył na łóżku. Te światła go zmieniły. Oni wiedzieli, że to może się zdarzyć, lecz nie byli pewni. Luke nie miał pojęcia, skąd u niego to przekonanie, ale...

Był obiektem badań, jak chyba wszyscy tutaj, lecz różowych – czyli TP i TK niskiego szczebla – poddawano dodatkowym testom. Dlaczego? Bo byli mniej wartościowi? Mniej ich żał, jeśli coś pójdzie nie tak? Trudno to potwierdzić, ale Luke podejrzewał, że tak. Lekarze sądzili, że eksperyment z kartami się nie powiódł. Bardzo dobrze. To źli ludzie, a utrzymywanie tajemnic przed złymi ludźmi musi być dobre, prawda? Przypuszczał jednak, że światła służą czemuś jeszcze oprócz wzmacniania talentów u różowych, bo silniejsi TP i TK, tacy jak Kalisha i George, również to przechodzili. Na czym mógł polegać ów dodatkowy cel?

Luke nie wiedział. Wiedział tylko tyle, że kropek już nie ma, Iris też nie, tylko że kropki mogły wrócić, a ona nie. Iris trafiła do Tylnej Połowy i już jej nie zobaczą.

Nazajutrz rano przy śniadaniu było dziewięcioro dzieci, ale po zniknięciu Iris mało kto rozmawiał i nikt się nie śmiał. George Iles nie dowcipkował. Helen Simms posilała się cukierkowymi papierosami.

Harry Cross nałożył sobie z bufetu górę jajecznic. Teraz szuflował ją do ust (razem z bekonem i domowymi frytkami), nie patrząc na talerz, jak robotnik przy pracy. Małe bliźniaczki, Greta i Gerda Wilcox, nic nie jadły, dopóki nie pojawiła się Gladys, cała rozpromieniona, i nie namówiła ich na parę kęsów. Kiedy okazała dziewczynkom zainteresowanie, nieco się rozpogodziły, a nawet się śmiały. Luke'owi przyszło na myśl, że później mógłby wziąć je na bok i powiedzieć, żeby nie ufały temu uśmiechowi Gladys, ale tylko by je tym wystraszył, więc co by to dało?

Pytanie „Co by to dało”? stało się kolejną mantrą i Luke wiedział, że nie jest to dobre myślenie – bo to kolejny krok na drodze do akceptacji tego miejsca. Nie chciał iść tą drogą, nie chciał za żadne skarby, ale logika to logika. Może i dobrze, że małe siostrzyczki G znajdowały pocieszenie w zainteresowaniu ze strony dużej G, ale kiedy sobie wyobraził, że dziewczynkom robią odbytniczy pomiar temperatury... i że puszczają im światła...

– Co z tobą? – zapytał Nicky. – Wyglądasz, jakbyś zjadł cytrynę.

– Nic. Myślę o Iris.

– To już historia, stary.

Luke zmierzył go wzrokiem.

– Okrutny jesteś.

Nicky wzruszył ramionami.

– Prawda często jest okrutna. Idziemy zagrać w króla?

– Nie.

– Chodź. Nawet dam ci zacząć.

– Odpuszczę sobie.

– Tchórzysz? – zapytał Nicky, ale bez zawziętości.

Luke pokręcił głową.

– Źle bym się poczuł, bo kiedyś grałem z tatą. – Złapał się na tym, że używa czasu przeszłego, i to było straszne.

– Dobra, rozumiem. – Nicky patrzył z miną, której Luke nie był w stanie znieść, zwłaszcza właśnie u Nicka Wilholma. – Słuchaj, stary...

– Co?

Nicky westchnął.

– Gdybyś zmienił zdanie, będę na dworze.

Luke wyszedł ze świetlicy i poczłapał swoim korytarzem – tym z plakatem KOLEJNY DZIEŃ W RAJU – a potem skręcił w następny, który teraz nazywał korytarzem automatu z lodem. Nie było ani śladu Maureen, więc szedł dalej. Mijał kolejne plakaty motywacyjne i kolejne pokoje, po dziewięć z każdej strony. Wszystkie drzwi były otwarte, w środku widział

nieposłane łóżka oraz ściany bez plakatów. Dopiero w takiej postaci pomieszczenia wyglądały jak to, czym faktycznie były: jak cele dla dzieci. Minął przybudówkę z windami i szedł dalej obok następnych pokoi. Pewne wnioski nasuwały się same. Dawniej w Instytucie musiało być znacznie więcej „podopiecznych”. No, chyba że ci na górze przesadzili z optymizmem.

W końcu dotarł do drugiej świetlicy, gdzie woźny Fred obsługiwał froterkę apatycznymi posuwistymi ruchami. W pomieszczeniu stały automaty z przekąskami i napojami, ale puste i odłączone od prądu. Na zewnątrz nie było placu zabaw, jedynie połać żwiru, potem kolejne ogrodzenie z drucianej siatki, a po drugiej stronie kilka ławek (pewnie dla pracowników, którzy lubili spędzać przerwy na dworze). Z siedemdziesiąt metrów dalej znajdował się niski, zielony budynek administracyjny. Legowisko pani Sigsby, która powiedziała Luke’owi, że on jest tutaj po to, żeby służyć.

– Co robisz? – zapytał woźny Fred.

– Tak sobie spaceruję – odpowiedział Luke. – Zwiedzam okolicę.

– Nie ma czego oglądać. Wracaj, skąd przyszedłeś. Idź się bawić z innymi.

– A jeśli nie chcę? – Zamiast buńczucznie zabrzmiało to żałośnie i Luke żałował, że się odezwał.

Fred przy jednym biodrze miał krótkofalówkę, a przy drugim paralizator. Palcami dotknął tego drugiego.

– Wracaj. Drugi raz nie powtórzę.

– Dobrze, Fred. Miłego dnia życzę.

– Pieprzyć twoje życzenia. – Mężczyzna znowu włączył froterkę.

Luke się wycofał. Nie mógł uwierzyć, jak szybko legły w gruzach jego niekwestionowane dotąd założenia na temat dorosłych – począwszy od tego, że jeśli jesteś dla nich miły, to oni dla ciebie też. Mijając puste pokoje, starał się nie zaglądać do środka. Były upiorne. Ile dzieci w nich kiedyś żyło? Co się z nimi stało, gdy trafiły do Tylnej Połowy? I gdzie były teraz? W domu?

– Pierdolenie – mruknął i żałował, że nie ma przy nim matki, która usłyszałaby to i skarciła go za użycie brzydkiego słowa.

To, że nie miał teraz ojca, było okropne. To, że nie miał matki, było jak wyrwanie zęba.

Kiedy dotarł do korytarza automatu z lodem, przed drzwiami Avery’ego zobaczył należący do Maureen wózek Dandux. Wetknął głowę do pokoju i kobieta uśmiechnęła się do niego, wygładzając kapę na łóżku.

– Wszystko w porządku, Luke?

Głupie pytanie, ale wiedział, że zadała je w dobrej wierze; podobnie jak wiedział, że mogło mieć związek z wczorajszym pokazem świateł, ale nie musiało. Dziś Maureen wydawała się bledsza, a zmarszczki wokół jej ust były głębsze. Z tą kobietą jest źle, pomyślał.

– Jasne. A u pani?

– U mnie dobrze. – Kłamała. To nie było przeczucie czy domysł, ale raczej twardy fakt. – Tyle że ten tutaj, Avery, w nocy zmoczył łóżko. – Westchnęła. – Nie on pierwszy ani ostatni. Całe szczęście, że materac nie nasiąkł. Trzymaj się ciepło, Luke. Miłego dnia.

Patrzyła wprost na niego spojrzeniem pełnym nadziei. Tylko że nadzieja była raczej w tym, co się w tym spojrzeniu kryło. Zmienili mnie, pomyślał znowu Luke. Nie wiem, w jaki sposób, i nie wiem, jak bardzo, ale mnie zmienili. Doszło coś nowego. Bardzo się cieszył, że skłamał na temat kart. I że mu uwierzyli. Przynajmniej na razie.

Zrobił ruch, jakby chciał wyjść z pokoju, a potem się odwrócił.

– Chyba pójde po więcej lodu. Wczoraj mnie bili, więc boli mnie twarz.

– Koniecznie, synku. Koniecznie.

Znowu to „synku”, od którego robiło mu się ciepło. Miał ochotę się uśmiechnąć.

Poszedł po wiaderko do swojego pokoju, w łazience wylał roztopioną wodę, a potem wrócił z nim do automatu. Maureen stała tam zgięta, oparta pośladkami o ścianę z pustaków. Trzymała się za łydki tuż nad kostkami. Luke podbiegł do niej, ale go przegoniła.

– Tylko sobie plecy prostuję.

Otworzył drzwiczki automatu z lodem i sięgnął po szufelkę. Nie mógł przekazać liściku tak jak Kalisha, bo co prawda miał laptopa, ale nie miał kartki ani długopisu. Czy choćby kawałka ołówka. Może to i dobrze. Tutaj liściki były niebezpieczne.

– Leah Fink w Burlington – wymamrotał, nabierając lodu. – Rudolph Davis w Montpelier. Na Legal Eagle oboje mają po pięć gwiazdek. To taka strona z opiniami klientów. Zapamięta pani te nazwiska?

– Leah Fink, Rudolph Davis. Dziękuję, Luke.

Chłopiec wiedział, że powinien to tak zostawić, ale był ciekaw. Zawsze był ciekaw. Dlatego zamiast odejść, walił w lód, jakby chciał go rozkruszyć. Nie było to konieczne, robiło jednak dużo hałasu.

– Avery powiedział, że odkłada pani te pieniądze dla dziecka. Wiem, że to nie moja sprawa...

– Ten mały to jeden z tych, co czytają w myślach, prawda? I musi być w tym dobry, chociaż moczy się w łóżko. W jego papierach nie ma różowego znaczka.

– Jest dobry – potwierdził Luke, dalej mieszając łyżką lód.

– I ma rację. To była kościelna adopcja, tuż po urodzeniu. Chciałam zatrzymać synka, ale pastor i moja matka wybili mi to z głowy. Ten łajdak, za którego wyszłam, w ogóle nie chciał mieć dzieci, więc urodziłam tylko to jedno. Naprawdę cię to interesuje, Luke?

– Tak.

Interesowało go, ale zbyt długa rozmowa nie była dobrym pomysłem. Możliwe, że oni ich nie słyszeli, ale przecież mogli obserwować.

– Kiedy zaczęły się moje bóle w krzyżu, pomyślałam, że muszę się dowiedzieć, co się stało z synkiem, no i udało mi się. Władze stanu twierdzą, że nie wolno im mówić, dokąd trafiają dzieci, ale kościół ma dokumentację wszystkich adopcji od tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku, a ja znam hasło do komputera na plebanii. Pastor trzyma je pod klawiaturą. Mój mały mieszka w Vermoncie, dwa miasta ode mnie. Jest w ostatniej klasie szkoły średniej i chce iść na studia. O tym też się dowiedziałam. Mój syn chce iść na studia. Właśnie po to są mi potrzebne pieniądze, a nie żeby spłacić długi tego bydlaka.

Otarła oczy rękawem, szybko, niemal ukradkowo.

Luke zamknął drzwiczki automatu z lodem i wyprostował się.

– Niech pani dba o plecy.

– Dobrze.

A jeśli to rak? Wiedział, że Maureen to właśnie podejrzewa.

Gdy się odwracał, dotknęła jego ramienia i nachyliła się. Brzydko pachniało jej z ust. To był oddech chorego człowieka.

– Mój mały nie musi nawet wiedzieć, skąd są te pieniądze. Ale musi je dostać. Aha, Luke. Teraz rób, co ci każą. Wszystko, co ci każą. – Zawahała się. – A jeśli chcesz z kimś o czymś porozmawiać... rób to tutaj.

– Podobno są jeszcze inne miejsca, gdzie...

– Rób to tutaj – powtórzyła, a potem pchnęła wózek tam, skąd przyszła.

19

Kiedy Luke wrócił na plac zabaw, zdziwił się, że Nicky gra w króla z Harrym Crossem. Śmiali się, poszturchiwali i przedrzeźniali, jakby kumpłowali się od pierwszej klasy. Helen siedziała przy stole piknikowym

i grała z Averym w wojnę na dwie talie kart. Luke usiadł obok niej i spytał, kto wygrywa.

– Trudno stwierdzić – odparła. – Poprzednio Avery mnie pokonał, ale ta pasjonująca partia jest niesamowicie wyrównana.

– Helen uważa, że to jest nudne do wyrzygania, ale chce być miła – powiedział Avery. – Prawda, Helen?

– Święta prawda, mały jasnowidzu, święta prawda. A jak skończymy, to przierzucimy się na kuku bite. Ta gra ci się nie spodoba, bo ja mocno walę.

Luke rozejrzał się i poczuł nagłe ukłucie niepokoju. Wraz z nim przed oczami wykwitła mu eskadra widmowych kropek, które zaraz zniknęły.

– Gdzie Kalisha? Chyba jej nie...

– Nie, nie, nigdzie jej nie zabrali. Poszła pod prysznic.

– Kalisha podoba się Luke’owi – oznajmił Avery. – I to bardzo.

– Avery?

– Co, Helen?

– O niektórych rzeczach się nie mówi.

– Dlaczego?

– Dlatego.

Nagle Helen odwróciła wzrok. Przeczesła palcami dwukolorowe włosy, może po to, żeby ukryć drżenie ust. Jeśli tak, to się nie udało.

– O co chodzi? – zapytał Luke.

– Zapytaj małego jasnowidza. On wszystko widzi i wszystko wie.

– Wsadzili jej termometr w pupę – powiedział Avery.

– A.

– Właśnie – mruknęła Helen. – Zajebicie upokarzające, nie?

– Upodlające – zgodził się Luke.

– A także uszczęśliwiające i upojne – odparła Helen i oboje się roześmiali.

Helen ciągle miała przy tym łyzy w oczach, ale śmiech to śmiech, a umiejętność śmiania się była tutaj bezcenna.

– Nie rozumiem – powiedział Avery. – Co jest uszczęśliwiającego i upojnego w tym, że komuś wsadzą termometr w tyłek?

– Upojny jest smak, jak się go obliże po wyjęciu – rzucił Luke i wtedy już wszyscy zawyli ze śmiechu.

Helen walnęła w stół, aż karty poleciały.

– O Boże, ja sikam, fuj, nie patrzcie!

Zerwała się biegiem i o mało nie przewróciła George’a, który właśnie wychodził z budynku, pałaszując czekoladkę z masłem orzechowym.

– A tej co? – zapytał.

– Zsiusiała się – poinformował go rzeczowo Avery. – Ja zsiusiałem się w łóżko dzisiaj w nocy, więc ją rozumiem.

– Dzięki za to wyznanie – powiedział Luke z uśmiechem. – Idź pograć w króla z Nickym i tym nowym.

– Zwariowałaś? Oni są za duzi, a poza tym Harry już raz mnie przewrócił.

– To poskacz na trampolinie.

– Znudziło mi się.

– Ale i tak poskacz. Chcę pogadać z George'em.

– O światłach? Jakich światłach?

Ja pierdolę, jaki ten dzieciak jest upiorny, pomyślał Luke.

– Aviszon, idź poskakać. Pokaż mi parę przewrotów.

– I spróbuj nie złamać sobie karku – dodał George. – A jak złamiesz, to na twoim pogrzebie zaśpiewam *You Are So Beautiful*.

Avery przez chwilę bacznie wpatrywał się w George'a, po czym powiedział:

– Ale przecież nie cierpisz tej piosenki.

– To prawda. A to, co powiedziałem, nazywa się satyra. Albo może ironia. Ciągłe mi się mylą. No już, turlaj dropsa.

Patrzyli, jak mały człapie w stronę trampoliny.

– Dzieciak ma dziesięć lat, a oprócz tej całej telepatii zachowuje się, jakby miał sześć – stwierdził George. – Pojebane, co?

– Pojebane. Ile ty masz lat?

– Trzynaście – odparł ponuro. – Ale ostatnio czuję się tak, jakbym miał ze sto. Słuchaj, oni mówią, że nasi rodzice są cali i zdrowi. Wierzysz w to?

Niewygodne pytanie.

– Nie bardzo... – przyznał po chwili Luke.

– Gdybyś mógł się upewnić, zrobiłbyś to?

– Nie wiem.

– Ja nie. Dość już mam na głowie. Gdybym się dowiedział, że oni... no wiesz... to by mnie zniszczyło. Ale przez cały czas się zastanawiam. Naprawdę przez cały czas.

Mógłbym to dla ciebie sprawdzić, pomyślał Luke. Mógłbym to sprawdzić dla nas obu. Już prawie się nachylił, by szepnąć to George'owi na ucho, lecz przypomniał sobie jego słowa, że dość już ma na głowie.

– Słuchaj, to z oczami... robili ci to?

– Jasne, Lukey. Jak każdemu. Tak jak każdemu pakują termometr w dupę, robią EEG, EKG, RM i XYZ, badania krwi, badania reakcji i całą

resztę przyjemności.

Luke chciał zapytać, czy George po wyłączeniu projektora ciągle widział kropki, ale postanowił tego nie robić.

– Miałeś atak? Bo ja tak.

– Nie. Za to posadzili mnie przy stole i jakiś gnojowaty doktorek z wąsem robił sztuczki z kartami.

– To znaczy pytał, co na nich jest.

– Właśnie. Pomyślałem, że to na pewno karty Zenera. Już mnie nimi testowali parę lat przed tym, zanim trafiłem do tej uroczej piekielnej dziury. To było wtedy, gdy rodzice zorientowali się, że czasami naprawdę umiem poruszać przedmioty, na które patrzę. Kiedy już uznali, że nie nabieram ich jak zwykle, dla żartu albo żeby ich nastraszyć, chcieli sprawdzić, czy dzieje się ze mną coś jeszcze, więc zawieźli mnie do Princeton, gdzie jest laboratorium badań anomalii.

– Badania anomalii... Mówisz poważnie?

– Tak. To chyba brzmi bardziej naukowo niż „badania parapsychiczne”. Może nie uwierzysz, ale to laboratorium jest częścią wydziału inżynierii. Jakby próbowali je ukryć, zresztą może próbują. Paru studentów zrobiło mi test z kartami Zenera, ale praktycznie w ogóle nie zapunktowałem. Tamtego dnia nie za bardzo byłem w stanie czymkolwiek poruszać. Czasami po prostu tak bywa. – George wzruszył ramionami. – Pewnie myśleli, że udaję, co wcale mi nie przeszkadzało. Przecież nawet jak mam dobry dzień, umiem co najwyżej przewrócić parę klocków, kiedy o nich pomyślę, ale to nie robi ze mnie Supermana i nie znaczy, że zaczną na mnie lecieć laski. Zgadzasz się, co nie?

Ponieważ popisowy numer Luke’a polegał na zrzuceniu tacki po pizzy bez dotykania jej, rzeczywiście się zgadzał.

– Bili cię w twarz? – spytał.

– Raz dostałem, aż mi w głowie zadzwoniło. Bo próbowałem żartować. Przyłożyła mi taka jedna suka, Priscilla.

– Poznałem ją. Suka, faktycznie.

Tego słowa matka Luke’a nie lubiła jeszcze bardziej niż „pierdolenie”, a kiedy go użył, znowu za nią zatęsknił.

– I nie wiedziałeś, co było na kartach.

George spojrział na niego dziwnie.

– Jestem TK, nie TP. Skąd mógłbym wiedzieć?

– Chyba rzeczywiście nie mógłbyś.

– Widziałem karty Zenera w Princeton, więc zacząłem zgadywać: najpierw krzyż, potem gwiazda, potem faliste linie. Priscilla kazała mi

przestać kłamać, więc kiedy Evans popatrzył na następną kartę, powiedziałem, że jest na niej zdjęcie cycków Priscilli. Właśnie wtedy mnie uderzyła. Potem pozwolili mi wrócić do pokoju. Szczerze mówiąc, wydawali się średnio zainteresowani. Raczej jakby odwalali formalności.

– Może niczego się nie spodziewali – zasugerował Luke. – Może byłeś tylko w grupie kontrolnej.

George się roześmiał.

– Stary, przecież ja tutaj nic nie kontroluję. Co ty pieprzysz?

– Nic takiego, nieważne. Wróciły? To znaczy te światła? Kolorowe kropki?

– Nie. – Teraz George zaczął patrzeć z ciekawością. – A u ciebie tak?

– Też nie. – Nagle Luke cieszył się, że nie ma z nimi Avery’ego. Mógł tylko liczyć na to, że ten dzieciak ma mały zasięg. – Tylko że... miałem atak... chyba miałem... i bałem się, że wrócą.

– Nie czaję, co to za miejsce. – George zrobił się jeszcze bardziej ponury. – Praktycznie na stówę wygląda jak placówka rządowa, ale... matka kupiła sobie taką książkę, co nie? Zanim zawieźli mnie do Princeton. *Parapsychiczne historie i oszustwa*, taki był tytuł. Przeczytałem ją, kiedy ona skończyła. Był tam rozdział o rządowych eksperymentach związanych z takimi rzeczami, jakie my potrafimy. CIA prowadziła je w latach pięćdziesiątych. Badali telepatię, telekinezę, prekognicję, nawet lewitację i teleportację. Stosowali LSD. Były jakieś rezultaty, ale nic wielkiego. – George pochylił się i spojrział swymi niebieskimi oczami prosto w niebieskie oczy Luke’a. – I to właśnie jesteśmy my, stary: nic wielkiego. Naprawdę mamy zagwarantować Stanom Zjednoczonym dominację nad światem dzięki przesuwaniu pudełek po krakersach, ale tylko pustych, albo przerzucaniu kartek książki?

– Mogliby wysłać Avery’ego do Rosji – powiedział Luke. – Doniósłby, co Putin jadł na śniadanie i jakiego koloru ma majtki.

George wreszcie się uśmiechnął.

– A z twoimi rodzicami... – zaczął Luke, ale wtedy przybiegła Kalisha i zapytała, kto chce grać w dwa ognie.

Okazało się, że wszyscy.

Tego dnia Luke nie miał żadnych testów, nie licząc testu odwagi, który ponownie oblał. Jeszcze dwa razy wchodził na stronę „Star Tribune” i dwa razy się wycofywał, choć za drugim razem przynajmniej zerknął na

nagłówek – było tam coś o facecie, który rozjechał ludzi ciężarówką, żeby udowodnić, jaki jest religijny. To straszna wiadomość, ale przynajmniej dotyczyła czegoś dziejącego się poza Instytutem. Świat zewnętrzny nadal istniał, wewnątrz zaś zmieniło się przynajmniej jedno: na ekranie powitalnym laptopa widniało teraz imię Luke’a, a nie Donny, której już nie było.

Wcześniej czy później Luke będzie musiał poszukać wiadomości o rodzicach. Zdawał sobie z tego sprawę i nareszcie zrozumiał to stare powiedzenie, że brak wiadomości to dobra wiadomość.

Następnego dnia znowu zabrali go na poziom C, gdzie technik Carlos pobrał trzy próbówki krwi, zrobił zastrzyk (zero reakcji), a potem kazał iść do kabiny w ubikacji i nasiusiać do zbiorniczka. Później on i Winona, salowa o kwaśnej minie, zawieźli Luke’a jeszcze niżej, na poziom D. Winona była podobno jedną z tych wrednych, więc Luke nawet nie próbował z nią rozmawiać. Zaprowadzili go do dużego gabinetu. Stał tam tunel do rezonansu magnetycznego, który musiał kosztować kupę kasy.

Praktycznie na stówę wygląda jak placówka rządowa, stwierdził George. Jeśli tak, to co powiedzieliby podatnicy, gdyby usłyszeli, jak są wydawane ich pieniądze? W kraju, gdzie ludzie gardłują o Wielkim Bracie nawet w obliczu błahych wymogów takich jak obowiązek zakładania kasku przez motocyklistów albo posiadania licencji na noszenie ukrytej broni, raczej nie byłiby zachwyceni.

Na Luke’a czekał tam nowy technik, zanim jednak razem z Carlosem zdążył załadować go do tunelu, do sali wpadł doktor Evans, obejrzał miejsce wokół ostatniego zastrzyku na ramieniu chłopca i oznajmił, że Luke jest „zdrowy jak koń”, cokolwiek to miało znaczyć. Zapytał go, czy później miał jeszcze ataki albo omdlenia.

– Nie.

– A kolorowe światła? Nawracały może? Na przykład podczas wysiłku fizycznego, patrzenia w ekran laptopa albo oddawania stolca? To znaczy...

– Wiem, co to znaczy. Nie.

– Nie okłamuj mnie, Luke.

– Nie okłamuję.

Chłopiec zastanawiał się, czy rezonans mógł wykazać zmianę w aktywności mózgu, która świadczyłaby o tym, że nie mówi prawdy.

– Dobrze, w porządku.

Wcale nie w porządku, pomyślał Luke. Jesteś rozczarowany. Co mnie cieszy.

Evans nagryzmolił coś w swoim notatniku z klipsem.

– Nie przerywajcie sobie, państwo, nie przerywajcie! – zawołał i wybiegł z sali niczym biały królik spóźniony na ważne spotkanie.

Technik od rezonansu – na jego identyfikatorze było napisane DAVE – zapytał, czy Luke ma klaustrofobię.

– To słowo też pewnie znasz – dodał.

– Nie mam klaustrofobii – odparł chłopiec. – Moja jedyna fobia to ta przed byciem więźniem.

Dave wyglądał na porządnego gościa: okularnik w średnim wieku, prawie łysy. Przypominał raczej księgowego. Oczywiście to samo można by powiedzieć o Adolfie Eichmannie.

– No bo jeżeli masz... to znaczy klaustrofobię... to mogę ci po prostu dać valium. Jest dozwolone.

– Nie trzeba.

– I tak powinienes wziąć – wtrącił Carlos. – Spędzisz tam w sumie, z przerwami, dosyć dużo czasu, więc z valium to będzie trochę przyjemniejsze. Może się nawet zdrzemniesz, chociaż jest tam dość głośno. Huki i grzmoty, wiesz.

Luke wiedział. Co prawda jeszcze nigdy nie widział urządzenia do rezonansu na własne oczy, ale oglądał sporo seriali medycznych.

– Daruję sobie.

Po lunchu (przyniesionym przez Gladys) mimo wszystko wziął to valium, częściowo z ciekawości, ale głównie z nudów. Był już w tunelu do rezonansu trzy razy, a Dave zapowiadał jeszcze trzy podejścia. Luke nawet nie próbował pytać, co badają, czego szukają, co chcą znaleźć. Usłyszałyby tylko coś w stylu „Nie twój interes”. Nie był w ogóle pewien, czy sami to wiedzieli.

Po valium czuł się senny, jakby dryfował, a podczas ostatniego badania zapadł w lekką drzemkę, mimo że w trakcie robienia zdjęć maszyna wydawała głośne dźwięki. Kiedy pojawiła się Winona, żeby zabrać go z powrotem na poziom mieszkalny, valium przestało już działać, więc Luke był tylko trochę przymulony.

Sięgnęła do kieszeni i wyjęła garść zetonów. Gdy podawała je chłopcu, jeden upadł i potoczył się po podłodze.

– Podnieś to, niezdaro.

Luke podniósł.

– Masz za sobą długi dzień – powiedziała Winona i nawet się uśmiechnęła. – Kup sobie może coś do picia. Odpręż się. Wyluzuj. Polecam Harveys Bristol Cream.

Była w średnim wieku, w takim, że spokojnie mogłaby mieć dziecko w wieku Luke'a. Albo i dwoje. Czy im zaproponowałyby to samo? Jejku, miałaś ciężki dzień w szkole, może chłapiasz sobie trochę winka z sokiem, zanim pójdziesz odrabiać lekcje? Miał ochotę jej to powiedzieć, w najgorszym razie dostałby w twarz, ale...

– W czym by mi to pomogło?

– Hę? – Spojrzała na niego, unosząc brwi. – W czym co by ci pomogło?

– Cokolwiek. Absolutnie cokolwiek, Winnie.

Nie chciał Harveys Bristol Cream ani Twisted Tea, ani nawet Stump Jump Grenache, choć ta ostatnia nazwa brzmiała zupełnie tak, jakby właśnie ją miał na myśli John Keats, mówiąc: *miano jego romantyczne jako ten księżyc, co ku zachodowi sunie w niknącej wstędze nocy*.

– Lepiej się miarkuj z tą niewyparzoną gębą, Luke.

– Popracuję nad tym.

Schował żetony do kieszeni. Było ich chyba dziewięć. Trzy zamierzał dać Avery'emu i po trzy każdej z sióstr Wilcox. Starczy im na przekąski, ale na inne rzeczy nie. Jego w tej chwili interesowała wyłącznie solidna porcja białka i węglowodanów. Nie obchodziło go, co dziś będzie na kolację, pod warunkiem że dużo.

21

Nazajutrz rano Joe i Hadad zabrali go na poziom C, gdzie kazano mu wypić baryt. Tony stał obok z paralizatorem, gotów porazić Luke'a, gdyby ten protestował. Kiedy chłopiec wypił płyn do ostatka, zaprowadzili go do boksu wielkości kabiny w toalecie przy autostradzie i zrobili mu prześwietlenie. Poszło gładko, ale kiedy wychodził z boksu, dostał skurczy i zgiął się wpół.

– Tylko nie zrzuć mi się na podłogę – powiedział Tony. – Jak już masz rzygać, to do umywalki w kącie.

Za późno. Luke zwrócił na wpół strawione śniadanie w postaci barytowego purée.

– Niech cię szlag! Weźmiesz teraz mop i to zmyjesz, a jak skończysz, ma być tak czysto, żeby dało się jeść z podłogi.

– Ja to zrobię – zaofiarował się Hadad.

– Takiego chuja. – Tony nie spojrzał na niego ani nie podniósł głosu, ale Hadad i tak się wzdrygnął. – Możesz pójść po mop i wiadro. Resztę robi Luke.

Hadad przyniósł rzeczy do czyszczenia. Luke'owi udało się nalać do wiadra wody z umywalki w rogu, ale ciągle miał skurcze żołądka, a ręce za bardzo mu drżały, żeby opuścić wiadro, nie rozlewając wszędzie wody z mydlinami. Zrobił to za niego Joe, szepcząc mu do ucha:

– Trzymaj się, mały.

– Daj mu ten mop – rzucił Tony, a Luke zrozumiał, tak jak teraz rozumiał w nowy sposób wiele rzeczy, że facet dobrze się bawi.

Luke szorował i wycierał. Tony ocenił efekty jego pracy, uznał je za niedopuszczalne, i kazał wszystko powtórzyć. Skurcze minęły, więc tym razem chłopiec był w stanie samodzielnie podnieść i opuścić wiadro. Hadad z Joem siedzieli, dyskutując o szansach New York Yankees i San Diego Padres, widocznie ich ulubionych drużyn baseballowych. Po drodze do windy Hadad poklepał Luke'a po plecach i powiedział:

– Dobrze się spisałeś. Joey, dasz mu parę żetonów? Mnie się skończyły.

Joe dał cztery.

– Na co są te testy? – zapytał chłopiec.

– Na dużo różnych rzeczy – odparł Hadad. – Niczym się nie martw.

To była chyba najgłupsza rada, jakiej ktokolwiek udzielił Luke'owi.

– Czy kiedyś stąd wyjdę?

– Oczywiście – powiedział Joe. – Tyle że nic nie będziesz pamiętał.

Kłamał. Tym razem nie było to czytanie w myślach, a przynajmniej nie w tym sensie, w jakim Luke zawsze to sobie wyobrażał: że słyhać słowa w głowie (albo widać jak na pasku w telewizyjnych wiadomościach). To po prostu wiedza, równie niepodważalna jak grawitacja albo irracjonalność pierwiastka kwadratowego z dwóch.

– Ile jeszcze będzie testów?

– O, nuda ci nie grozi – rzucił Joe.

– Bylebyś nie rzygał na podłogę, po której musi chodzić Tony Fizzale – dodał Hadad i serdecznie się roześmiał.

22

Kiedy Luke wrócił do siebie, zastał tam nową pokojówkę. Kobieta – JOLENE, jak informował identyfikator – była pulchna i miała dwadzieścia parę lat.

– Gdzie Maureen? – zapytał, chociaż doskonale znał odpowiedź.

Maureen miała teraz wolny tydzień. Po powrocie mogła trafić do innej części Instytutu, przynajmniej na jakiś czas. Luke miał nadzieję, że pojechała do Vermontu, żeby uporać się z syfem, z którym zostawił ją

mąż, ale wiedział, że będzie za nią tęsknił... choć pomyślał sobie, że może zobaczy ją w Tylnej Połowie, kiedy w końcu tam trafi.

– Mo-Mo kręci film z Johnnym Deppem – odparła Jolene. – Taki o piratach, który lubią wszystkie dzieci. Gra w nim Wesołego Rogera. – Roześmiała się, po czym dodała: – Może wyjdiesz, żebym mogła skończyć?

– Nie, bo chcę się położyć. Źle się czuję.

– Jeszcze mi się tu rozpłacz. Jesteście niemożliwie rozpieszczeni. Ktoś sprząta ci pokoje, gotuje ci jedzenie, masz własny telewizor... Myślisz, że ja miałam telewizor, kiedy byłam mała? Albo własną łazienkę? Miałam trzy siostry i dwóch braci i wszyscy się o nią kłóciliśmy.

– A my do tego jeszcze łykamy baryt, a potem rzygamy. Chce pani spróbować?

Z każdym dniem mówię coraz bardziej jak Nicky, pomyślał Luke. No i co w tym złego? Dobrze mieć pozytywne wzorce.

Jolene odwróciła się, wymachując końcówką odkurzacza.

– Masz ochotę przekonać się, jak to jest dostać tym w głowę?

Luke wyszedł. Powoli przemierzał łączące się korytarze części mieszkalnej i dwukrotnie przystawał, żeby oprzeć się o ścianę, gdy nawracały skurcze. Teraz przynajmniej stawały się coraz rzadsze i łagodniejsze. Tuż przed wyludnioną świetlicą, z której widać było budynek administracyjny, wszedł do jednego z pustych pokoi, położył się na materacu i zasnął. Kiedy się obudził, po raz pierwszy nie spodziewał się zobaczyć za oknem domu Rolfa Destina.

Uważał, że to krok zdecydowanie w niewłaściwą stronę.

23

Nazajutrz rano dostał zastrzyk, a potem podłączyli go do aparatury mierzącej tętno i ciśnienie i kazali biegać na stacjonarnej bieżni pod okiem Carlosa i Dave'a. Przyśpieszali bieżnię tak długo, aż Luke z trudem łapał oddech i bał się, że zaraz spadnie. Pomiarzy pojawiały się również przed nim na niedużym wyświetlaczu – tuż zanim Carlos zmniejszył tempo, puls wynosił sto siedemdziesiąt uderzeń na minutę.

Podczas gdy chłopiec, sącząc sok pomidorowy, odzyskiwał oddech, do pomieszczenia wszedł rosły łysy facet i oparł się o ścianę, krzyżując ręce na piersiach. Miał na sobie brązowy garnitur, który wyglądał na drogi, oraz białą koszulę bez krawata. Jego ciemne oczy lustrowały Luke'a od spoczonej czerwonej twarzy aż po nowe sneakersy.

– Słyszałem, że wolno się adaptujesz – powiedział. – Być może ma na to wpływ Nick Wilholm. To nie jest ktoś, kogo warto imitować. Wiesz, co to słowo znaczy, prawda? Imitować?

– Tak.

– To bezczelny chłopak, niegrzeczny wobec ludzi, którzy po prostu wykonują swoją pracę.

Luke milczał. Tak zawsze najbezpieczniej.

– Radzę uważać, żeby nie udzieliło ci się jego zachowanie. Dobrze ci radzę. A kontakty z personelem ograniczaj do minimum.

Po tych słowach Luke poczuł ukłucie niepokoju, a potem uświadomił sobie, że łysemu nie chodzi o Maureen. On miał na myśli woźnego Freda. Chłopiec dobrze o tym wiedział, mimo że z Fredem rozmawiał tylko raz, a z Maureen kilkakrotnie.

– Ponadto nie zbliżaj się do zachodniej świetlicy i pustych pokoi. Jeżeli chcesz spać, rób to w swoim pokoju. Niech twój pobyt tutaj będzie jak najprzyjemniejszy.

– Tutaj nie ma nic przyjemnego – powiedział Luke.

– Masz prawo do własnej opinii – odparł łyś. – Jak z pewnością słyszałeś, opinie są jak dupa: każdy ma swoją. Sądzę jednak, że jesteś dostatecznie bystry, żeby znać różnicę między „nic przyjemnego” a „coś nieprzyjemnego”. Nie zapominaj o tym.

Wyszedł.

– Kto to był? – zapytał Luke.

– Stackhouse – odpowiedział Carlos. – Szef ochrony Instytutu. Lepiej mu nie podpaść.

Dave podszedł ze strzykawką.

– Muszę ci pobrać jeszcze trochę krwi. To potrwa tylko chwilę. Bądź dzielnym smykiem, dobrze?

24

Po bieżni i ostatnim pobraniu krwi nastąpiło kilka dni bez badań, przynajmniej w przypadku Luke’a. Dostał parę zastrzyków – po jednym przez godzinę potwornie swędziała go cała ręka – ale nic poza tym. Bliźniaczki Wilcox zaczęły się aklimatyzować, zwłaszcza po zaprzyjaźnieniu się z Harrym Crossem. Harry był TK i chwalił się, że potrafi przesuwac różne rzeczy, ale Avery powiedział, że gówno prawda.

– Umie jeszcze mniej niż ty, Luke.

Luke przewrócił oczami.

– Nie bądź za dyplomatyczny, bo się zmęczysz.
– Co to znaczy „dyplomatyczny”?
– Wydaj żeton na komputer i sprawdź w internecie.
– Przykro mi, Dave, nie mogę tego zrobić – odpowiedział Avery, zaskakująco dobrze naśladowując subtelnie złowieszczy głos HAL-a 9000, a potem zachichotał.

Harry dobrze traktował Gretę i Gerdę, tego nie dało się ukryć. Zawsze, kiedy je widział, na jego twarzy pojawiał się szeroki, głupkowaty uśmiech. Chłopak przykucał, rozkładał ręce i dziewczynki do niego biegły.

– Chyba ich nie obmacuje, co? – zapytał pewnego ranka na placu zabaw Nicky, patrząc, jak Harry pilnuje sióstr G, które skakały na trampolinie.

– Faj! – rzuciła Helen. – Oglądasz za dużo filmów na kanale Lifetime.

– Nie – odezwał się Avery. Właśnie lizał czekoladowego lizaka, więc miał brązowe wąsy. – On wcale nie chce z nimi... – Oparł drobne dłonie na pośladkach i poruszył biodrami.

Luke uznał to za dowód, że telepatia nie jest w porządku. Wie się przez nią zdecydowanie za dużo i za wcześnie.

– Faj! – powtórzyła Helen, zakrywając oczy. – Aviszon, jeszcze chwila i będę żałować, że nie jestem ślepa.

– Harry miał cocker spaniele – wyjaśnił Avery. – W domu. Te dziewczynki to taki... no wiecie, jest na to słowo.

– Substytut – podrzucił Luke.

– No właśnie.

– Nie wiem, jak Harry traktował swoje psy – powiedział Nicky do Luke’a nieco później, podczas lunchu – ale te dziewczynki robią z nim, co chcą. Jakby ktoś dał im nową lalkę. Taką rudowłosą, z wielkim brzuchem. Tylko popatrz.

Bliźniaczki siedziały po obu stronach Harry’ego i karmiły go kawałkami klopsa ze swoich talerzy.

– Moim zdaniem to nawet urocze – wtrąciła się Kalisha.

Nicky uśmiechnął się do niej – tym swoim uśmiechem, od którego rozświetlała mu się cała twarz (na której tego dnia widniał siniec oka podbitego przez kogoś z personelu).

– Nic dziwnego, Sha.

Dziewczyna odpowiedziała uśmiechem, a Luke poczuł ukłucie zazdrości. W tych okolicznościach to głupie... ale poczuł.

Następnego dnia Priscilla i Hadad zabrali Luke'a na nieodwiedzany dotąd poziom E. Tam podpięto go pod kroplówkę, dzięki której, jak powiedziała Priscilla, miał się odprężyć. Zamiast tego stracił przytomność. Kiedy się obudził, dygoczący i nagi, brzuch, prawą nogę i prawy bok miał zabandażowane. Pochyliła się nad nim nowa lekarka – RICHARDSON, według identyfikatora przypiętego do białego kitla.

– Jak się czujesz, Luke?

– Co mi zrobiliście? – Próbował krzyczeć, ale wydał z siebie tylko zdławiony warkot.

Poza tym wsadzili mu coś do gardła. Chyba jakąś rurę do oddychania. Z opóźnieniem zasłonił dłońmi krocze.

– Pobraliśmy tylko kilka próbek. – Doktor Richardson ściągnęła czepek chirurgiczny w tureckie wzory, uwalniając burzę ciemnych włosów. – Nie wycięliśmy ci nerki, żeby ją sprzedać na czarnym rynku, jeśli tego się boisz. Trochę cię poboli, zwłaszcza między żebrami, ale w końcu minie. Tymczasem bierz to. – Podała mu nieoznaczony brązowy słoik z kilkoma pastylkami.

Wyszła. Pojawił się Zeke z ubraniem Luke'a.

– Ubierz się, kiedy już będziesz czuł, że dasz radę bez przewracania się. Jak zawsze troskliwy, rzucił ubranie na podłogę.

W końcu Luke był w stanie je podnieść i włożyć. Priscilla – tym razem wspólnie z Gladys – odprowadziły go na poziom mieszkalny. Zabierali go na dół za dnia, a teraz było ciemno. Może to środek nocy – Luke nie umiał stwierdzić, poczucie czasu miał kompletnie spieprzone.

– Dasz radę sam dojść do pokoju? – zapytała Gladys. Bez szerokiego uśmiechu, może na nocnej zmianie miał wolne.

– Tak.

– No to idź. Weź jedną tabletkę. To oxycontin. Pomaga na ból, a przy okazji poprawia nastrój. Taki bonus. Rano będzie już wszystko dobrze.

Luke przeszedł korytarzem, wyciągnął rękę do gałki i nagle znieruchomiał. Ktoś płakał. Dźwięk dobiegał od strony tego głupiego plakatu KOLEJNY DZIEŃ W RAJU, czyli chyba z pokoju Kalishy. Przez chwilę Luke się zastanawiał, bo nie chciał wiedzieć, co spowodowało ten płacz, a już na pewno nie czuł się na siłach, żeby kogoś pocieszać. Ale chodziło o Kalishę, dlatego ruszył tam i delikatnie zapukał do drzwi. Nie było odpowiedzi, więc obrócił gałkę i wetknął głowę do środka.

– Kalisha?

Dziewczyna leżała na plecach, jedną ręką zasłaniając oczy.

– Idź sobie, Luke. Nie chcę, żebyś mnie taką oglądał.

Prawie zrobił, o co prosiła, lecz przecież ona wcale tego nie chciała. Dlatego zamiast odejść, wszedł i usiadł obok niej.

– Co się stało?

Ale odpowiedź na to pytanie również znał. Tyle że nie w szczegółach.

26

Dzieci bawiły się wtedy na podwórku – wszystkie oprócz Luke’a, który leżał nieprzytomny na poziomie E, a doktor Richardson wykrawała z niego próbki. Ze świetlicy wyszło dwóch mężczyzn. Mieli czerwone uniformy, a nie różowe czy niebieskie jak opiekunowie i technicy z Przedniej Połowy. Nie było na nich identyfikatorów. Troje z najdłuższym stażem – Kalisha, Nicky i George – wiedziało, co to znaczy.

– Byłam pewna, że przyszli po mnie – opowiadała Kalisha Luke’owi. – Jestem tu najdłużej i od co najmniej dziesięciu dni nie robili mi żadnych testów, chociaż już wyzdrowiałam po ospie wietrznej. Nawet krwi mi ostatnio nie pobierali, a sam wiesz, że te pieprzone wampiry lubią krew. Ale przyszli po Nicky’ego. Po Nicky’ego!

Luke słyszał, jak łamie jej się głos, i zrobiło mu się smutno, bo co prawda szalał za Kalishą, ale nie był zdziwiony. Nicky Wilholm mógłby grać któregoś z tych przystojnych, zbuntowanych głównych bohaterów dystopijnego filmu dla nastolatków. Gdy tylko się pojawiał, Helen odwracała się w jego stronę jak igła kompasu skierowana na północ. Wcześniej Iris zachowywała się tak samo. Kiedy przechodził, nawet małe bliźniaczki G patrzyły na niego z rozdziawionymi buziami i błyskiem w oczach. Kalisha spędziła z nim jednak najwięcej czasu, byli weteranami Instytutu i mniej więcej rówieśnikami. Można ich było wyobrazić sobie jako parę.

– Walczył z nimi – powiedziała Kalisha. – Ostro walczył. – Usiadła na łóżku tak gwałtownie, że prawie zrzuciła Luke’a. Obnażyła zęby, pięści zaciskała nad niedużymi piersiami. – Ja też powinnam była walczyć! Wszyscy powinniśmy!

– Ale to się stało tak nagle, prawda?

– Jednego Nicky uderzył w gardło, a wtedy drugi poraził go w biodro. Chyba sparaliżował mu nogę, ale Nicky uczepił się sznura w linarium, żeby się nie przewrócić, i sprawną nogą kopnął gościa, zanim on zdążył znowu użyć paralizatora.

– Wytrącił mu go z ręki – powiedział Luke.

Widział tę scenę, ale nie powinien był nic mówić, bo w ten sposób zasugerował coś, o czym Kalisha nie powinna wiedzieć. Ona jednak nie zwróciła na to uwagi.

– No właśnie. Ale wtedy ten drugi, ten, który dostał w gardło, poraził Nicky’ego w bok. Cholerstwo musiało być nastawione na maksa, bo usłyszałam trzask, chociaż byłam przy boisku do shuffleboardu. Nicky upadł, oni się nad nim pochyłili i razili go dalej, a on podskoczył... mimo że leżał nieprzytomny, to podskoczył. Helen do nich podbiegła, krzyczała: „Zabijacie go, zabijacie go!”. Jeden kopnął ją wysoko w nogę, krzycząc „Hai!” jak jakiś niewydarzony karateka, śmiał się, a ona upadła i płakała. Potem podnieśli Nicky’ego i go zabrali, ale zanim wyszli z nim przez drzwi do świetlicy...

Urwała. Luke czekał. Wiedział, co zaraz usłyszy, to było jedno z tych jego nowych przeczuć, które są czymś więcej niż przecuciami, musiał jednak dać jej to powiedzieć. Bo Kalisha nie mogła się dowiedzieć, czym się stał, żadne z nich nie mogło się o tym dowiedzieć.

– Trochę się ocknął – odezwała się. Łzy spływały jej po policzkach. – Tak, że nas zobaczył. Uśmiechnął się i pomachał. Pomachał! Był aż taki odważny.

– Tak – zgodził się Luke, bo usłyszał, że Kalisha powiedziała „był”, a nie „jest”. I pomyślał: I już więcej go nie zobaczymy.

Kalisha złapała go za kark i przyciągnęła jego twarz do swojej tak mocno i tak gwałtownie, że zderzyli się czołami.

– Nie mów tak! – rzuciła.

– Przepraszam. – Zastanawiał się, co jeszcze zobaczyła w jego umyśle.

Miał nadzieję, że niewiele. Miał nadzieję, że jest zbyt zdenerwowana przeniesieniem Nicky’ego do Tylnej Połowy przez gości w czerwonych ubraniach. Dlatego jej następne słowa bardzo go uspokoiły.

– Pobrali ci próbki? Pobrali, prawda? Masz bandaże.

– Tak.

– To ta czarnowłosa suka, prawda? Richardson. Ile wzięła?

– Trzy. Jedną z ramienia, jedną z brzucha i jedną spomiędzy żeber. To ostatnie najbardziej boli.

Pokiwała głową.

– Mnie wzięła jedną z cycka, jak biopsję. Strasznie bolało. Tylko że może oni wcale nic nam nie wycinają, tylko wszywają? Mówią, że biorą próbki, ale przecież na każdym kroku kłamią!

– Następne wszczepy śledzące? Po co, skoro mają te? – Luke dotknął palcem czipa w uchu. Już go nie bolało, czip stał się po prostu częścią

niego.

– Nie wiem – przyznała Kalisha bezradnie.

Sięgnął do kieszeni i wyjął słoik z pastylkami.

– Dali mi to. Może powinnaś jedną wziąć. Powinna cię trochę rozluźnić. Pomoże ci zasnąć.

– Oxy?

Kiwnął głową. Kalisha wyciągnęła rękę po słoik, a potem ją cofnęła.

– Problem w tym, że nie chcę jednej... ani nawet dwóch. Chcę wszystkie. Ale myślę, że powinnam czuć to, co teraz czuję. Myślę, że tak jest właściwie. A ty?

– Nie wiem – odparł Luke i była to prawda. Wypłynęli na głębokie wody, a on może i był bardzo mądry, ale miał dopiero dwanaście lat.

– Idź już, Luke. Dzisiaj muszę się smucić sama.

– Dobrze.

– Jutro będzie mi lepiej. A jeżeli następnym razem przyjdą po mnie...

– Nie przyjdą.

Wiedział, że to z jego strony głupie słowa, cretino maximo. Nadszedł jej czas. Już dawno.

– Ale jeśli przyjdą, bądź przyjacielem Avery'ego. On potrzebuje przyjaciela. – Kalisha spojrzała na Luke'a nieruchomym wzrokiem. – Ty też.

– Dobrze.

Spróbowała się uśmiechnąć.

– Słodziak z ciebie. Chodź tutaj.

Nachylił się, a ona pocałowała go najpierw w policzek, a potem w kącik ust. Jej wargi były słone. Nie przeszkadzało mu to.

Kiedy otwierał drzwi, Kalisha powiedziała:

– To powinnam być ja. Albo George. Nie Nicky. On jeden nigdy nie kupił tych ich bzdetów. On jeden nigdy się nie poddał. – Podniosła głos. – Jesteście tam?! Słuchacie?! Mam nadzieję, że tak, bo was nienawidzę i chcę, żebyście o tym wiedzieli! NIENAWIDZĘ WAS!

Padła z powrotem na łóżko i zaczęła cicho płakać. Luke'owi przeszło przez myśl, żeby do niej wrócić, ale tego nie zrobił. Pocieszył ją, jak mógł, a przecież sam cierpiał, nie tylko z powodu Nicky'ego, ale też z bólu w tych wszystkich miejscach, które nacięła doktor Richardson. Nie miało znaczenia, czy ta ciemnowłosa kobieta pobrała od niego próbki tkanek, czy też umieściła coś w jego ciele (wszczepy śledzące byłyby bez sensu, ale mogło chodzić o eksperymentalne enzymy albo szczepionki), bo bez sensu były tutaj wszystkie testy i zastrzyki. Znowu pomyślał o obozach

koncentracyjnych i o straszliwych, absurdalnych eksperymentach, które tam prowadzono. Mrożono ludzi, palono ludzi, зараżano ich chorobami.

Luke wrócił do pokoju. Zastanawiał się, czy nie wziąć jednej albo i dwóch pastylek oxycontin, ale tego nie zrobił.

Przyszło mu do głowy, że mógłby otworzyć „Star Tribune” przez stronę pana Griffina, lecz nie zrobił także tego.

Myślał o Nickym, do którego wzdychały wszystkie dziewczyny. O Nickym, który najpierw usadził Harry’ego Crossa, a potem się z nim zaprzyjaźnił, co było znacznie odważniejsze niż pobicie go. O Nickym, który walczył z tymi ich testami, walczył z ludźmi z Tylnej Połowy, kiedy po niego przyszli, który nigdy się nie poddał.

27

Nazajutrz Joe i Hadad zabrali Luke’a i George’a Ilesa na dół do gabinetu C-11, gdzie na chwilę zostawili ich samych. Kiedy wrócili, uzbrojeni w kubki z kawą, towarzyszył im Zeke. Miał czerwone oczy i wyglądał na skacowanego. Założył im na głowy czepki z elektrodami, a paski mocno zaciągnął pod szyją. Sprawdził odczyty, po czym obaj chłopcy kolejno usiedli do symulatora jazdy samochodem. Do gabinetu wszedł doktor Evans. Robił zapiski w swym nieodłącznym notesie z klipsem, podczas gdy Zeke rzucał różne liczby, które mogły (choć nie musiały) mieć związek z czasem reakcji. Luke parę razy przejechał na czerwonym świetle i spowodował sporo wypadków, zanim w końcu opanował jazdę, a potem test okazał się już całkiem fajny – co w Instytucie było zupełną nowością.

Kiedy badanie dobiegło końca, do doktora Evansa dołączyła doktor Richardson. Dzisiaj była w trzyczęściowym kostiumie i butach na obcasach. Wyglądała, jakby szykowała się na spotkanie biznesowe na wysokim szczeblu.

– Luke, w skali od jednego do dziesięciu, jak silny ból odczuwasz dziś rano?

– Dwa. A moja ochota, żeby stąd uciec byle dalej, w skali jeden do dziesięciu wynosi jedenaście.

Doktor Richardson zaśmiała się pod nosem jak z lekkiego żartu, pożegnała się z doktorem Evansem (do którego mówiła Jim) i wyszła.

– No i który z nas wygrał? – zapytał doktora Evansa George.

Lekarz uśmiechnął się pobłaźliwie.

– To nie był taki test, George.

– Dobra, ale kto wygrał?

– Kiedy już opanowaliście działanie symulatora, obaj byliście dość szybcy i właśnie tego spodziewamy się po TK. Na dziś koniec z testami, chłopcy. Prawda, że było fajnie? Hadad, Joe, proszę, zabierzcie tych młodzieńców na górę.

– Zanim opanowałem, jak się jeździ, przejechałem chyba sześciu pieszych – przyznał się George w drodze do windy. – A ty ilu?

– Tylko trzech, ale uderzyłem w autobus szkolny, więc tam też mogły być jakieś ofiary.

– Ty złamasie. Ja w autobus nie trafiłem. – Przyjechała winda i wszyscy czterej weszli do środka. – W zasadzie to uderzyłem siedmiu pieszych. Tego ostatniego celowo. Wyobrażałem sobie, że to Zeke.

Joe i Hadad spojrzeli na siebie i parsknęli śmiechem. Luke trochę ich za to polubił. Nie chciał, ale polubił.

Kiedy obaj opiekunowie wrócili do windy, zapewne po to, żeby pójść na dół do pokoju socjalnego, Luke powiedział:

– Po tych kropkach zrobili ci badanie z kartami. Test na telepatię.

– No tak, mówiłem ci.

– Czy kiedykolwiek badali cię pod kątem TK? Kazali ci włączyć lampę albo może przewrócić łańcuch domina?

George podrapał się w głowę.

– Jak o tym teraz myślę, to nie. No ale po co, skoro już wiedzą, że to potrafisz? Przynajmniej w dobry dzień. A ciebie?

– Też nie. Rozumiem, co masz na myśli, ale to i tak dziwne, że zupełnie im chyba nie zależy na zbadaniu granic naszych umiejętności.

– Tutaj nic nie ma sensu, Lukey-Loo. Włącznie z tym, że w ogóle tu jesteśmy. Chodźmy coś zjeść.

Większość dzieci jadła lunch w bufecie, ale Kalisha i Avery byli na placu zabaw. Siedzieli na żwirze, oparci plecami o ogrodzenie, i patrzyli na siebie. Luke powiedział George'owi, żeby wziął sobie lunch, a sam wyszedł na dwór. Ładna czarna dziewczyna i mały biały chłopiec nie rozmawiali... a jednak owszem. Tyle Luke wiedział, ale nie miał pojęcia o czym.

Przypomniawszy sobie egzaminy SAT i tamtą dziewczynę, która zapytała go o zadanie matematyczne z jakimś Aaronem i kosztami noclegów w hotelu. Miał wrażenie, że działo się to w jakimś innym życiu, ale wyraźnie pamiętał własne niedowierzanie, że coś, co dla niego jest takie proste, dla niej mogło być takie trudne. Teraz to zrozumiał. Cokolwiek

działo się pod płótnem między Kalishą a Averym, daleko wykraczało poza jego pojmowanie.

Kalisha obejrzała się i przegoniła go ruchem dłoni.

– Pogadam z tobą później, Luke. Idź jeść.

– Dobrze – powiedział, ona jednak nie porozmawiała z nim podczas lunchu, bo go sobie odpuściła.

Później, po głębokiej drzemce (Luke w końcu się złamał i wziął proszek przeciwbólowy), idąc korytarzem w kierunku świetlicy i placu zabaw, przystanął przy drzwiach Kalishy, które były otwarte. Różowa narzuta i poduszki z falbanami zniknęły. Tak samo jak zdjęcie Martina Luthera Kinga. Luke stał z ręką na ustach, z wybałuszonymi oczami, i czekał, aż to do niego dotrze.

Wydawało mu się, że gdyby walczyła tak jak Nicky, hałas obudziłby go mimo proszka. Druga opcja, czyli że Kalisha poszła po dobroci, była trudniejsza do przyjęcia, ale – musiał to przyznać – prawdopodobniejsza. Tak czy inaczej, dziewczyny, która dwa razy go pocałowała, nie było.

Luke wrócił do pokoju i ukrył twarz w poduszce.

28

Tego wieczoru mignął zetonem do kamery laptopa, żeby go wybudzić, i wszedł na stronę pana Griffina. Fakt, że nadal mógł to zrobić, dodawał mu otuchy. Oczywiście ci gnoje kierujący Instytutem mogli dobrze wiedzieć o tej metodzie, ale jaki by to miało sens? Luke doszedł zatem do wniosku, który wydawał się solidny, przynajmniej jego zdaniem: może kiedyś Sługusy Sigsby przyłapią go na zaglądaniu do świata zewnętrznego, wydawało się to raczej prawdopodobne, ale na razie im się to nie udało. Nie sklonowali jego komputera. W różnych kwestiach byli niedbali. Może nawet w wielu kwestiach, ale co w tym dziwnego? Nie mieli przecież do czynienia z uwięzionymi żołnierzami, tylko z gromadą wystraszonych, dezorientowanych dzieci.

Za pośrednictwem pana Griffina dostał się na stronę „Star Tribune”. Dzisiejszy nagłówek dotyczył niekończącej się bitwy o służbę zdrowia, która trwała już od lat. W Luke’u odezwał się znajomy strach przed tym, co może znaleźć dalej, i nieomal zamknął przeglądarkę. Mógłby wymazać najnowszą historię, wyłączyć komputer i iść do łóżka. Może łyknąłby jeszcze jeden proszek. To, o czym nie wiesz, nie może cię zranić – tak brzmiało kolejne powiedzenie, a czy dzisiaj dosyć się już nie nacierpiał jak na jeden dzień?

Potem pomyślał o Nicku. Czy Nicky Wilholm wycofałby się, gdyby znał rozwiązanie takie jak strona pana Griffina? Raczej nie, albo wręcz na pewno, tylko że Luke nie był taki odważny jak on.

Przypomniał sobie, jak Winona wręczyła mu garść żetonów, a gdy jeden upuścił, nazwała go niezdarą i kazała podnieść. Tego Nicky też by nie zrobił. Luke prawie słyszał, jak Nick odpowiada: „Sama se podnieś, Winnie”, a potem przyjmuje od niej cios, który musiał nastąpić. Może nawet jej oddaje.

Luke Ellis nie był jednak takim gościem. Luke Ellis był typowym grzecznym chłopcem, który robi, co mu każą, niezależnie od tego, czy chodzi w domu o obowiązki, czy w szkole o grę w orkiestrze. Nienawidził cholernej trąbki, kiepski co trzecią nutę, ale nie rezygnował, bo pan Greer powiedział, że są mu potrzebne przynajmniej jedno zajęcia pozalekcyjne niezwiązane ze sportem. Luke Ellis to był taki gość, który z całych sił zabiegał o towarzystwo, tak by ludzie nie pomyśleli, że jest nie tylko mózgowcem, ale też dziwakiem. Na liście interakcji odhaczał wszystkie obowiązkowe punkty, a potem wracał do swoich książek. Istniała bowiem otchłań, a książki zawierały magiczne zaklęcia pozwalające wydobyć z niej to, co ukryte: wszystkie wielkie tajemnice. Dla Luke'a te tajemnice miały znaczenie. Kiedyś, w przyszłości, może sam będzie pisał książki.

Tutaj jednak jedyną przyszłością była Tylna Połowa. Tutaj prawda o istnieniu sprowadzała się do pytania: „Co by to dało?”.

– Pieprzyć to – szepnął, a potem otworzył dział wiadomości lokalnych „Star Tribune”.

Tętno dudniło mu w uszach, pulsowało w ranach, które już się zasklepiały pod bandażami.

Nie musiał szukać. Gdy tylko zobaczył swoje zeszłoroczne szkolne zdjęcie, wiedział wszystko, co musiał wiedzieć. Nagłówek był zbędny, ale i tak go przeczytał:

ZAGINIONY SYN ZAMORDOWANEGO MAŁŻEŃSTWA Z FALCON HEIGHTS NADAL POSZUKIWANY

Wróciły kolorowe światła, wirowały i pulsowały. Luke mrużył oczy, żeby cokolwiek widzieć; wyłączył laptopa, wstał na nogi, które nie wydawały się jego nogami, i zrobił dwa chwiejne kroki do łóżka. Położył się w blasku lampki i patrzył w sufit. W końcu paskudne popartowe kropki zaczęły blednąć.

Zamordowanego małżeństwa z Falcon Heights.

Czuł się tak, jakby pośrodku umysłu otworzyła mu się zapadnia, której istnienia dotąd nie podejrzewał, a teraz nie wpadał w nią dzięki tylko jednej myśli – jasnej, wyraźnej i mocnej: Oni mogą go obserwować. Sądził, że nie wiedzą o stronie pana Griffina ani o możliwości dotarcia do świata zewnętrznego za jej pośrednictwem. Ani o tym, że światła wywołały w jego mózgu fundamentalną zmianę – myśleli, że eksperyment się nie powiódł. Przynajmniej do tej pory. Luke miał tylko to i mogło się to okazać cenne.

Sługusy Sigsby nie były wszechmocne. Dowodziła tego nieustająca możliwość korzystania ze strony pana Griffina. Jeśli tamci spodziewali się buntu, to wyłącznie jawnego. Gdy już dzieciom wybito go z głowy strachem, siłą albo prądem, można je było nawet zostawić na trochę same, tak jak wtedy, gdy Joe i Hadad zostawili Luke'a i George'a w gabinecie C-11, a sami poszli po kawę.

Zamordowanego.

Właśnie to słowo było zapadnią, w którą tak łatwo wpaść. Luke od początku był prawie pewien, że tamci kłamią, ale to „prawie” powodowało, że zapadnia pozostawała zamknięta. Pozwalało na odrobinę nadziei. Wyłuszczone nagłówki ją pogrzebał. A ponieważ rodzice nie żyli – zostali zamordowani – kto był najbardziej prawdopodobnym podejrzanym? Oczywiście **ZAGINIONY SYN**. Policja prowadząca śledztwo na pewno już wiedziała, że jest wyjątkowy, jest geniuszem, a przecież geniusze często bywają chwiejni. Często im odbija.

Kalisha wykrzyczała swój bunt, ale Luke tego nie robi, choćby bardzo chciał. W duszy mógł krzyczeć do woli, lecz głośno nie. Nie miał pojęcia, czy jego sekrety na cokolwiek się zdadzą, ale rozumiał, że w murach tego miejsca, które George Iles jakże słusznie nazwał piekielną dziurą, istnieją pęknięcia. Jeśli Luke wykorzysta sekrety – oraz swoją rzekomo wybitną inteligencję – jako łom, być może zdoła któreś z nich rozszerzyć. Nie wiedział, czy ucieczka jest możliwa, ale gdyby znalazł na nią sposób, byłaby tylko pierwszym etapem większego planu.

Zwalić im to wszystko na głowę, pomyślał. Jak Samson, po tym jak Dalila namówiła go na ścięcie włosów. Zwalić im to na głowę i ich zmiażdżyć. Zmiażdżyć ich wszystkich.

W pewnym momencie Luke zapadł w płytki sen. Śniło mu się, że jest w domu, a rodzice żyją. To był dobry sen. Ojciec kazał mu pamiętać o wyniesieniu śmieci. Matka zrobiła naleśniki, a Luke zalał je sobie syropem z jeżyn. Tata zjadł swoje z masłem orzechowym, oglądając

poranne wiadomości w telewizji CBS – z Gayle King i Norah O’Donnell, niezłą babką – a potem Luke’a ucałował w policzek, Eileen w usta i poszedł do pracy. Dobry sen. Chłopców do szkoły miała zawieźć matka Rolfa. Zatrąbiła, więc Luke złapał plecak i pobiegł do drzwi. „Halo, nie zapomnij pieniędzy na lunch!” – zawołała mama, ale to wcale nie były pieniądze, tylko żetony, i właśnie wtedy obudził się i zorientował, że w jego pokoju ktoś jest.

29

Luke nie widział, kto to, bo w pewnym momencie musiał zgasić lampkę przy łóżku, chociaż zupełnie tego nie pamiętał. Słyszał ciche szuranie od strony biurka i w pierwszej chwili przyszło mu do głowy, że któryś z opiekunów przyszedł po laptopa, bo monitorowali go cały czas, a on, głupi, uwierzył, że nie. Cretino maximo.

Gniew zalał go niczym trucizna. Nie tyle wstał z łóżka, ile się z niego zerwał, zamierzając rzucić się na tego, kto wszedł do pokoju. Niech intruz go bije, wali, użyje cholernego paralizatora, a on i tak zdąży mu zadać co najmniej parę mocnych ciosów. Pewnie ten człowiek nie zrozumie prawdziwej przyczyny ataku, ale to nic – Luke będzie wiedział.

Tylko że to nie był dorosły. Luke zderzył się z małym ciałkiem i powalił je na podłogę.

– Aua, Lukey, nie! Nie rób mi krzywdy!

Avery Dixon. Aviszon.

Luke go namacał, podniósł, zaprowadził do łóżka i włączył lampkę. Avery miał przerażoną minę.

– Jezu, co ty tu robisz? – rzucił Luke.

– Obudziłem się i trochę się bałem. Nie mogę iść do Shy, bo ją zabrali. Więc przyszedłem tutaj. Mogę zostać? Proszę.

To wszystko było prawdą, ale niecałą. Luke rozumiał to z tak wielką klarownością, że przy niej dotychczasowe jego „intuicje” wydawały się mgliste i niepewne. Bo Avery był silnym TP, znacznie silniejszym niż Kalisha, i teraz... no cóż... transmitował.

– Możesz zostać – powiedział Luke, ale kiedy mały zaczął mu włączyć do łóżka, dodał: – Nie-e, najpierw do łazienki. Nie ma mowy, żebyś nasiusiał mi w łóżko.

Avery nie dyskutował i wkrótce rozległ się chlupot moczu o miskę sedesową. Trwał dosyć długo. Kiedy mały wrócił, Luke zgasił światło.

Avery przytulił się do niego. Przyjemnie było nie być samemu. Wręcz wspaniale.

– Przykro mi z powodu twojej mamusi i twojego tatusia – szepnęła Luke'owi na ucho Avery.

Luke przez chwilę nie był w stanie się odezwać. Kiedy wreszcie mu się to udało, zapytał szeptem:

– Czy wczoraj na placu zabaw rozmawialiście z Kalishą o mnie?

– Tak. Powiedziała, żebym do ciebie przyszedł. I że będzie ci wysyłać listy, a listonoszem będę ja. Możesz powtórzyć George'owi i Helen, jeżeli myślisz, że to bezpieczne.

Luke nie zamierzał im jednak nic mówić, bo tutaj nic nie było bezpieczne. Nawet myślenie. Przypomniał sobie własne słowa, kiedy Kalisha opowiadała o walce Nicky'ego z opiekunami z Tylnej Połowy: *Wytrącił mu go z ręki*. Chodziło o paralizator. Nie zapytała, skąd to wie, bo prawie na pewno znała już odpowiedź. Czy naprawdę sądził, że utrzyma przed nią w tajemnicy swoje nowe zdolności TP? Może przed innymi, ale nie przed Kalishą. Ani przed Averym.

– Patrz! – szepnęła mały.

Luke nie mógł na nic patrzeć, bo nie paliła się lampka, a z braku okna do pokoju nie wpadało światło z zewnątrz, więc panowała zupełna ciemność. Mimo to spojrział i wydawało mu się, że widzi Kalishę.

– Nic jej nie jest? – szepnęła.

– Nie. Na razie.

– Jest z nią Nicky? Nic mu się nie stało?

– Jest – szepnęła Avery. – Iris także. Ale ją często boli głowa. Inne dzieci też. Sha myśli, że to od filmów. I kropek.

– Od jakich filmów?

– Nie wiem. Sha jeszcze żadnych nie widziała, ale Nicky tak. I Iris. Kalisha mówi, że tam chyba są jeszcze inne dzieci, na przykład gdzieś z tyłu Tylnej Połowy, ale w tym miejscu, gdzie teraz są oni, jest ich jeszcze tylko kilkoro. Jimmy i Len. I Donna.

Ja dostałem komputer Donny, pomyślał Luke. Odziedziczyłem go.

– Bobby Washington też na początku tam był, ale już go nie ma. Iris powiedziała Kalishy, że go widziała.

– Nie znam tych dzieci.

– Kalisha mówi, że Donnę zabrali do Tylnej Połowy parę dni przed twoim przyjściem. To dlatego dostałeś jej komputer.

– Jesteś upiorny – powiedział Luke.

Avery, który zapewne wiedział, że jest upiorny, zignorował to.

– Robią im bolesne zastrzyki. Zastrzyki i kropki, kropki i zastrzyki. Sha mówi, że w Tylnej Połowie chyba dzieją się złe rzeczy. Mówi, że może ty dasz radę coś zrobić. Mówi...

Nie dokończył, ale nie musiał. Luke miał krótką, lecz oślepiająco klarowną wizję, z całą pewnością przesłaną przez Kaliszę Benson za pośrednictwem Avery'ego Dixona: kanarka w klatce. Drzwi klatki otworzyły się i kanarek wyleciał.

– Mówi, że tylko ty jesteś dostatecznie mądry.

– Zrobię to, jeśli dam radę – rzucił Luke. – Co ci jeszcze powiedziała?

Na to pytanie już nie dostał odpowiedzi. Avery zasnął.

UCIECZKA

Minęły trzy tygodnie.

Luke jadł. Spał, budził się i znowu jadł. Wkrótce nauczył się na pamięć jadłospisu i dołączył do pozostałych dzieci, które sarkastycznie okłaskiwały każdą zmianę w menu. W niektóre dni były testy. W niektóre zastrzyki. W niektóre jedno i drugie. W niektóre nic. Kilka zastrzyków doprowadziło go do mdłości. Większość nie. Gardło już nigdy więcej mu się nie zacisnęło, z czego bardzo się cieszył. Spędzał czas na placu zabaw. Oglądał telewizję, zaprzyjaźnił się z Oprah, Ellen, Doktorem Philem i Sędzią Judy. Oglądał na YouTube filmiki z kotami przeglądającymi się w lustrze i psami łapiącymi frisbee. Czasem oglądał je sam, czasem z innymi dziećmi. Kiedy do jego pokoju przychodził Harry, towarzyszyły mu bliźniaczki i domagały się kreskówek. Kiedy Luke chodził do Harry'ego, bliźniaczki prawie zawsze tam były. Harry nie lubił kreskówek. Harry preferował wrestling, walki w klatce i kraksy na wyścigach NASCAR. Zwykle witał Luke'a słowami: „Patrz na to”. Bliźniaczki miały fioła na punkcie kolorowania – opiekunowie donosili im niekończące się zapasy kolorowanek. Zazwyczaj nie wychodziły za linie, ale był taki jeden dzień, kiedy w ogóle się ich nie trzymały i pękały ze śmiechu. Luke domyślił się, że są albo pijane, albo na haju. Kiedy zapytał o to Harry'ego, ten wyjaśnił, że chciały spróbować. Miał dość przyzwoitości, żeby powiedzieć to ze wstydem, a kiedy zwymiotowały (jednocześnie, tak jak robiły wszystko inne), miał dość przyzwoitości, żeby zawstydzić się jeszcze bardziej. I po nich posprzątać. Pewnego dnia Helen zrobiła potrójny przewrót na trampolinie, parsknęła śmiechem, ukloniła się, a potem zalała się łzami i nie można jej było uspokoić. Luke próbował, ale zaczęła go okładać swoimi małymi pięściami: pach-pach-pach-pach. Przez jakiś czas pokonywał w szachy wszystkich nowych, ale gdy mu się znudziło, znajdował sposoby na przegrywanie, co okazało się dla niego zaskakująco trudne.

Czuł się tak, jakby spał, nawet kiedy był przytomny. Czuł, jak spada mu iloraz inteligencji, dosłownie to czuł – że opada jak poziom wody w dystrybutorze, kiedy ktoś nie zakręci kurka. Upływ czasu tego dziwnego lata odmierzał w kalendarzu na swoim komputerze. Oprócz oglądania

filmów na YouTubie laptop – z jednym ważnym wyjątkiem – służył mu tylko do rozmów na komunikatorze z George’em i Helen, kiedy byli w swoich pokojach. Luke nigdy tych rozmów nie inicjował i starał się, żeby były jak najkrótsze.

Co z tobą, kurde? – napisała kiedyś Helen.

Nic – odpisał.

Jak myślisz, dlaczego ciągle jesteśmy w Przedniej Połowie? – napisał George. – **Nie żebym narzekał.**

Nie wiem – odpisał Luke i rozłączył się.

Odkrył, że ukrywanie rozpacz przed opiekunami, technikami i lekarzami nie jest wcale trudne – przywykli do obcowania z przygnębionymi dziećmi. Jednak nawet pogrążony w nieszczęściu, czasami myślał o tej jasnej wizji, którą odebrał Avery: o kanarku ulatującym z klatki.

Jego sen na jawie przeszywały czasem jaskrawe wspomnienia, które zawsze przychodziły niespodziewanie: wspomnienie tego, jak ojciec ochlapał go wodą z węża ogrodowego albo jak stojąc plecami do obręczy, trafił do kosza z rzutu wolnego, a wtedy Luke rzucił się na niego i obaj roześmiani upadli w trawę, albo jak w jego dwunaste urodziny matka przyniosła do stołu gigantyczną babeczkę z zatkniętymi świeczkami, jak go uściskała i powiedziała: „Ale ty już jesteś duży!”, albo jak rodzice tańczyli w kuchni jak szaleni, a Rihanna śpiewała *Pon de Replay*. To były piękne wspomnienia i parzyły jak pokrzywa.

Kiedy Luke’a nie zajmowały myśli o *zamordowanym małżeństwie z Falcon Heights* – kiedy o nim nie śnił – rozmyślał o klatce, w której tkwił, i o wolnym ptaku, którym pragnął zostać. Tylko w takich chwilach jego umysł odzyskiwał dawną bystrość. Zauważał rzeczy, które potwierdzały jego przekonanie, że Instytut dryfuje bezwładnie niczym rakieta, która wyłączyła silniki po osiągnięciu prędkości ucieczki. Na przykład te kopułkowe kamery monitoringu z przyciemnianego szkła na korytarzach. Większość z nich była brudna, jakby od dawna nikt ich nie czyścił. Zwłaszcza w opustoszałym zachodnim skrzydle piętra mieszkalnego. Kamery pewnie nadal działały, ale obraz w najlepszym razie musiał być zamazany. Mimo to Fredowi i innym woźnym – Mortowi, Connie, Jawedowi – nikt nie polecił ich wymyć, co oznaczało, że osoba odpowiedzialna za obserwację korytarzy miała w dupie, czy dobrze widać.

Luke spędzał całe dni ze spuszczoną głową i bez dyskusji robił, co mu kazano, lecz kiedy nie siedział przymulony w swoim pokoju, bacznie

nadstawiał ucha. Większość z tego, co słyszał, była bezużyteczna, ale i tak chłonał wszystko. Chłonał i gromadził. Na przykład plotki. O tym, że doktor Evans bez przerwy ugania się za doktor Richardson, stale próbuje zagać rozmowę, bo za bardzo mu dupa w głowie (to określenie opiekunki Normy), żeby zrozumieć, że Felicia Richardson nawet kijem by go nie tknęła. Albo że czasem Joe i dwaj inni opiekunowie, Chad i Gary, za zetony, których nie rozdali podopiecznym, w automacie w stołówce wschodniej świetlicy kupują wino z sokiem i te małe buteleczki lemoniady z procentami. Zdarzało się, że rozmawiali o swoich rodzinach albo o picu w barze Outlaw Country, gdzie grały kapele na żywo. „O ile to można nazwać muzyką” – powiedziała kiedyś opiekunka Sherry do Gladys Fałszywy Uśmiech. Bar Outlaw Country, którego nazwę technicy i opiekunowie płci męskiej skracali do Cunt, czyli „Pizda”, znajdował się w miasteczku Dennison River Bend. Luke’owi nie udało się dokładnie ustalić odległości, ale nie mogła ona przekraczać czterdziestu, góra pięćdziesięciu kilometrów, bo wydawało się, że w wolnym czasie jeżdżą tam wszyscy.

Luke gromadził imiona i nazwiska, gdy tylko je słyszał. Doktor Evans miał na imię James; doktor Hendricks – Dan; Tony nazywał się Fizzale; Gladys – Hickson; Zeke – Ionidis. Chłopiec liczył, że jeśli kiedyś się stąd wydostanie, jeśli kanarek uleci z klatki, będzie miał sporą listę, gdy zacznie zeznawać przeciwko tym gnojom w sądzie. Zdawał sobie sprawę, że może to tylko fantazja, ale dodawała mu sił.

Teraz, gdy już całymi dniami chodził jak grzeczny chłopczyk, czasami na krótko zostawiano go samego na poziomie C, zawsze z napomnieniem, że ma się nigdzie nie ruszać. Kiwał głową, dawał technikowi dość czasu, by ten odszedł załatwić swoją sprawę, a potem sam również wychodził. Na niższych poziomach znajdowało się wiele kamer i te były czyściutkie, ale nigdy nie włączył się alarm ani korytarzem nie nadbiegli opiekunowie z paralizatorami. Podczas tych spacerów Luke’a dwukrotnie nakryto i zaprowadzono z powrotem do gabinetu. Raz tylko go zbesztali, a raz od niechcenia uderzyli w kark.

W trakcie jednej z takich wypraw (zawsze starał się wyglądać na znudzonego, jakby włóczył się bez sensu: ot kolejny dzieciak próbuje zabić czas, zanim zrobią mu następny test albo pozwolą wrócić do pokoju) Luke znalazł skarb. W gabinecie rezonansu magnetycznego, który tego dnia był pusty, zauważył kartę do obsługi windy, na wpół ukrytą pod monitorem komputera. Przeszedł obok stołu, podniósł ją i wsunął do kieszeni, jednocześnie zaglądając do pustego tunelu. Niemal się

spodziewał, że kiedy wyjdzie z sali, karta zacznie krzyczeć „Złodziej, złodziej!” (jak magiczna harfa, którą Jaś, ten od łądygi fasoli, ukradł olbrzymowi), ale nic się nie wydarzyło, ani wtedy, ani później. Czy oni tych kart nie ewidencjonowali? Najwidoczniej nie. A może straciła ważność, była równie bezużyteczna jak karta w hotelu komputerowo przypisana do gościa, który już się wymeldował?

Kiedy jednak nazajutrz Luke ją wypróbował, z radością odkrył, że działa. Dzień później doktor Richardson przyłapała go na poziomie D, jak zaglądał do sali ze zbiornikiem zanurzeniowym. Spodziewał się kary – może porażenia paralizatorem, który nosiła w kaburze pod białym kitem, a może lania od Tony’ego czy Zeke’a. Tymczasem lekarka wsunęła mu do ręki żeton, a on podziękował.

– Tego testu jeszcze nie miałem – powiedział, wskazując zbiornik. – Czy jest okropny?

– Nie, jest fajny – odparła doktor Richardson, na co Luke szeroko się do niej uśmiechnął, jakby uwierzył w kit, który mu wciskała. – A co ty robisz tu na dole?

– Przyjechałem z jednym z opiekunów. Nie wiem, z którym. Chyba zapomniał identyfikatora.

– Całe szczęście. Gdybyś wiedział, jak ma na imię, musiałabym go zgłosić i miałyby kłopoty. A potem? Papiery, papiery, papiery. – Przewróciła oczami.

Luke rzucił jej spojrzenie mówiące „Współczuję”. Zaprowadziła go do windy i zapytała, gdzie teraz powinien być, a on odparł, że na poziomie B. Pojechała z nim na górę, spytała o ból i usłyszała, że już ustąpił.

Karta pozwalała również dotrzeć na poziom E, gdzie znajdowała się masa mechanicznego ustrojstwa, ale gdy Luke spróbował zjechać niżej – bo istniało jakieś „niżej”; słyszał rozmowy o poziomach F i G – damski głos w windzie uprzejmie poinformował go o odmowie dostępu. To nic. Człowiek uczy się na próbach.

W Przedniej Połowie nie robili papierowych testów, dużo natomiast badań EEG. Czasami doktor Evans badał dzieci grupami, ale nie zawsze. Raz, gdy Luke miał test w pojedynkę, Evans nagle się skrzywił, złapał za brzuch i powiedział, że zaraz wróci. Zabronił Luke’owi czegokolwiek dotykać, po czym wybiegł. Na pewno po to, żeby walnąć kupę.

Przez ten czas chłopiec przyjrzał się ekranom komputerów, przesunął palcami po kilku klawiaturach – przyszło mu na myśl, by trochę w nich namieszać, ale uznał, że to zły pomysł, więc ruszył do drzwi. Wyjrzał na zewnątrz w tej samej chwili, kiedy z windy wyszedł ten wielki łysy facet,

w tym samym drogim brązowym garniturze co poprzednio. A może w jakimś innym. W końcu Stackhouse mógł mieć całą szafę pełną drogich brązowych garniturów. Trzymał plik kartek. Gdy szedł korytarzem, przeglądając je, Luke szybko cofnął się z powrotem do pomieszczenia. Gabinet C-4, ten z aparatami do EEG i EKG, miał niewielką wnękę na sprzęt, pełną regałów z różnymi zapasami. Chłopiec wszedł do niej, nie bardzo wiedząc, czy ukrycie się to naturalny odruch, działanie tych jego nowych olśnień TP, czy też najzwyczajsza paranoja. Tak czy inaczej, zdążył w samą porę. Stackhouse wetknął głowę do środka, rozejrzał się i poszedł. Luke odczekał, by mieć pewność, że nie wróci, a potem znowu usiadł przy aparacie do EEG.

Po dwóch czy trzech minutach wrócił Evans, powiewając białym kitem. Był czerwony na twarzy i szeroko otwierał oczy. Złapał Luke'a za koszulkę.

– Co powiedział Stackhouse, kiedy zobaczył cię tu samego? Gadaj!

– Nic nie powiedział, bo mnie nie zobaczył. Czekaając na pana, właśnie wyglądałem na korytarz, kiedy pan Stackhouse wysiadł z windy, więc schowałem się tam. – Wskazał wnękę na sprzęt, po czym spojrzał na Evansa wielkimi, niewinnymi oczami. – Nie chciałem, żeby miał pan kłopoty.

– Grzeczny chłopak – pochwalił go Evans i poklepał po plecach. – Musiałem iść za potrzebą i czułem, że mogę ci zaufać. A teraz uporajmy się z tym badaniem, dobrze? Wtedy będziesz mógł iść na górę i pobawić się z kolegami.

Zanim lekarz wezwał Yolandę, kolejną opiekunkę (nazwisko: Freeman), żeby zabrała Luke'a na poziom A, dał chłopcu tuzin żetonów i jeszcze raz serdecznie poklepał go po plecach.

– To będzie nasza mała tajemnica, dobrze?

– Dobrze – odpowiedział Luke.

Jemu naprawdę się wydaje, że go lubię, pomyślał z niedowierzaniem. Niezłe, naprawdę. Zaraz powiem George'owi.

2

Ale już nie powiedział. Tego wieczoru na kolacji było dwoje nowych dzieci, a jednego starego brakowało. Zabrali George'a, może właśnie wtedy, kiedy Luke chował się we wnękę przed Stackhouse'em.

– Jest z pozostałymi – szepnął nocą do Luke'a Avery, kiedy leżeli w łóżku. – Sha mówi, że George płacze, bo się boi. Powiedziała mu, że to

normalne. Że oni wszyscy się boją.

3

Podczas swoich ekspedycji Luke dwa czy trzy razy zatrzymał się przed świetlicą na poziomie B, gdzie rozmowy były ciekawe i pouczające. Z pomieszczenia korzystał personel, ale także grupy z zewnątrz, które czasem przybywały tu jeszcze z torbami podróżnymi bez zawieszek linii lotniczych na uchwytach. Kiedy ktoś z nich widział Luke'a – czy to nalewającego sobie wody z pobliskiego dystrybutora, czy udającego, że studiuje treść plakatu poświęconego higienie – zwykle patrzyli przez niego na wylot, jakby stanowił element umeblowania. Członkowie grup wyglądali groźnie i Luke nabierał coraz silniejszego przekonania, że to instytutowi łowcy-zbieracze. Miałoby to sens, bo teraz w zachodnim skrzydle było więcej dzieci. Pewnego razu usłyszał, jak Joe mówi Hadadowi – ci dwaj bardzo się kumpłowali – że Instytut przypomina nabrzeżne miasteczko na Long Island, w którym się wychował.

– Czasami jest przyływ, a czasami odpływ – wyjaśnił Joe.

– Ostatnio głównie odpływ – odparł Hadad i może miał rację, ale w miarę jak mijał czerwiec, zdecydowanie zaczął się przyływ.

Niektóre grupy składały się z trzech, a niektóre z czterech osób. Luke'owi kojarzyły się z żołnierzami, może dlatego, że mężczyźni byli krótko ostrzyżeni, a kobiety miały mocno ściągnięte włosy, spięte z tyłu w kok. Słyszał, jak któraś salowa jedną z grup nazywa szmaragdową. Inną technik nazwał rubinową. Ta druga była trzyosobowa: dwie kobiety i mężczyzna. Luke wiedział, że to właśnie rubinowa pojechała do Minneapolis, żeby go porwać i zabić jego rodziców. Próbował wychwycić ich imiona lub nazwiska, nasłuchując nie tylko uszami, lecz także umysłem, ale wychwycił tylko jedno: kobieta, która prysnęła mu czymś w twarz podczas jego ostatniej nocy w Falcon Heights, to Michelle. Kiedy zobaczyła go na korytarzu, pochylonego nad poidełkiem, jej wzrok prześlizgnął się po nim... a potem na chwilę wrócił.

Michelle.

Kolejne imię do zapamiętania.

Nie minęło wiele czasu, zanim Luke potwierdził swoją teorię, że zadaniem tych ludzi jest sprowadzanie do Instytutu nowych TP i TK. Grupa szmaragdowa była właśnie w pokoju socjalnym, a Luke stał przed wejściem i po raz nie wiadomo który czytał plakat o higienie, gdy usłyszał, jak jeden z mężczyzn mówi, że muszą jeszcze raz wyjechać na szybką

akcję, po jakieś dziecko z Missouri. Nazajutrz rano do coraz liczniejszego towarzystwa w zachodnim skrzydle dołączyła zdezorientowana czternastolatka Frieda Brown.

– Nie powinnam tu być – powiedziała do Luke’a. – To pomyłka.

– Fajnie by było – odparł chłopiec, a potem opowiedział jej, skąd brać żetony.

Nie miał pewności, czy to do niej dociera, ale wcześniej czy później na pewno się połąpie. Jak wszyscy.

4

Najwyraźniej nikomu nie przeszkadzało, że Avery prawie każdej nocy śpi w pokoju Luke’a. Mały był listonoszem, który przynosił listy od Kalishy z Tylnej Połowy, zamiast pocztą przesyłane telepatią. Odkrycie zabójstwa rodziców ciągle było zbyt świeże i bolesne, żeby te listy wybudziły Luke’a z letargu, ale i tak zawierały niepokojące wiadomości. A zarazem pouczające – choć chłopiec spokojnie obyłby się bez tej wiedzy. W Przedniej Połowie dzieci poddawano testom i karano za nieposłuszeństwo. W Tylnej zaprzęgano je do pracy. Wykorzystywano. I najwyraźniej stopniowo wyniszczano.

Filmy powodowały bóle głowy, za każdym razem coraz silniejsze i trwające coraz dłużej. Kiedy George tam trafił, według Kalishy nic mu nie dolegało, po prostu się bał, ale po czterech czy pięciu dniach wystawienia na działanie kropek, filmów i bolesnych zastrzyków również jego zaczęła boleć głowa.

Seanse odbywały się w niewielkiej sali projekcyjnej z wygodnymi siedzeniami obitymi pluszem. Zaczynało się od starych kreskówek: czasem był to Struś Pędziwiatr, czasem Królik Bugs, czasem Goofy i Miki. Po tej rozgrzewce zaczynał się właściwy pokaz. Kalishy wydawało się, że filmy trwają krótko, góra pół godziny, ale trudno jej to było stwierdzić z całą pewnością, bo w trakcie seansu była zamroczona, a po zakończeniu bolała ją głowa. Jak wszystkich.

Podczas swoich dwóch pierwszych wizyt w sali projekcyjnej załapała się na podwójny pokaz. Gwiazdą pierwszego filmu był mężczyzna o przeredzonych rudych włosach. Miał na sobie czarny garnitur i jeździł lśniącym czarnym samochodem. Avery próbował pokazać to auto Luke’owi, lecz zobaczył tylko niewyraźny obraz, być może dlatego, że Kalisha nie była w stanie przesłać więcej. Ale musiał to być lincoln town car albo jakaś inna limuzyna, bo Avery powiedział, że pasażerowie

rudego zawsze siedzieli z tyłu, a on otwierał im drzwi, kiedy wsiadali i wysiadali. Prawie codziennie woził tych samych ludzi, głównie starszych białych facetów, ale był wśród nich jeden młodszy z blizną na policzku.

– Sha mówi, że on ma stałych pasażerów – szepnął Avery, kiedy leżał z Lukiem w łóżku. – I mówi, że to jest w Waszyngtonie, bo ten człowiek przejeżdża obok Kapitolu, Białego Domu, a czasem widać tę dużą kamienną iglicę.

– Pomnik Waszyngtona.

– No właśnie.

Pod koniec filmu rudy zamieniał czarny garnitur na normalne ubranie. Widzieli, jak jeździ konno, później buja małą dziewczynkę na huśtawce, a potem je z nią lody na ławce w parku. W końcu na ekranie pojawiał się doktor Hendricks trzymający w ręce niezapalony fajerwerk na Święto Niepodległości.

Drugi film przedstawiał mężczyznę w – jak to określiła Kalisha – arabskim nakryciu głowy, czyli pewnie miała na myśli kefiję. Najpierw był na ulicy, potem w ogródku kawiarni, gdzie pił kawę lub herbatę ze szklanki, później wygłaszał przemówienie, a jeszcze później bujał za ręce małego chłopca. Raz pojawił się na ekranie telewizora. Film kończył się ujęciem doktora Hendricksa trzymającego zgaszony fajerwerk.

Nazajutrz rano Sha i reszta obejrzeni kreskówkę z Tweetym, a potem przez jakieś piętnaście, dwadzieścia minut patrzyli na rudego kierowcę. Wreszcie poszli na lunch do stołówki Tylnej Połowy, gdzie papierosy były za darmo. Po południu puszczono Porkey'ego, a potem Araba. Na końcu każdego filmu pojawiał się doktor Hendricks z niezapalonym fajerwerkiem. Wieczorem wszystkim zrobiono bolesne zastrzyki i zaaplikowano kolejną dawkę migających świateł. Później znowu zabrano ich do sali projekcyjnej, gdzie przez dwadzieścia minut oglądali wypadki samochodowe. Po każdym wypadku na ekranie pojawiał się doktor Hendricks trzymający zgaszony fajerwerk.

Luke pograżał się w rozpacz, ale nie był głupi, więc zaczynał rozumieć. To szaleństwo, ale bynajmniej nie większe niż to, że czasami wiedział, co się dzieje w głowach innych ludzi. Poza tym to wiele tłumaczyło.

– Kalisha mówi, że na filmie z kraksami chyba odpłynęła i coś jej się śniło – szepnął Avery Luke'owi na ucho. – Tylko że wcale nie jest pewna, czy to był sen. Mówi, że wszyscy, to znaczy ona, Nicky, Iris, Donna, Len i parę innych osób, stali objęci wśród tych kropek, stykając się głowami. I że był tam doktor Hendricks, że tym razem odpalił fajerwerk i to było

straszne. Ale dopóki byli razem i się obejmowali, nie bolały ich głowy. Kalisha mówi, że może to jednak był sen, bo obudziła się w swoim pokoju. Pokoje w Tylnej Połowie nie są takie jak nasze. Zamykają je na noc. – Avery zamilkł. – Lukey, nie chcę już o tym dzisiaj mówić.

– Dobrze. Idź spać.

Avery zasnął, ale Luke jeszcze długo nie.

Następnego dnia w końcu użył laptopa do czegoś innego niż sprawdzanie daty, wymienianie wiadomości z Helen i oglądanie serialu *BoJack Horseman*. Wszedł na stronę pana Griffina, a potem otworzył stronę „New York Timesa”, która poinformowała go, że może przeczytać dziesięć darmowych artykułów, zanim odbije się od paywalla. Nie do końca wiedział, czego szuka, ale był pewien, że zorientuje się, kiedy to znajdzie. I miał rację. Nagłówek na stronie głównej z piętnastego lipca brzmiał: **KONGRESMEN BERKOWITZ ZMARŁ OD OBRAŻEŃ**.

Zamiast czytać artykuł, Luke cofnął się o jeden dzień. Wtedy nagłówek informował: **KANDYDAT NA PREZYDENTA MARK BERKOWITZ W STANIE KRYTYCZNYM PO WYPADKU SAMOCHODOWYM**. Było też zdjęcie. Berkowitz, członek Izby Reprezentantów z Ohio, miał czarne włosy i bliznę na policzku po ranie z Afganistanu. Luke szybko przeczytał artykuł. Lincoln town car, którym Berkowitz jechał na spotkanie z zagranicznymi dyplomatami z Polski i dawnej Jugosławii, nagle gwałtownie skręcił i uderzył w betonowy wspornik mostu. Kierowca zginął na miejscu. Anonimowe źródło ze szpitala sieci MedStar opisywało obrażenia Berkowitza jako „niezwykle poważne”. W artykule nie napisano, czy kierowca był rudy, ale Luke wiedział, że tak i że niedługo zginie jakiś facet w krajach arabskich, o ile już nie zginął. Ewentualnie zamorduje kogoś ważnego.

Narastająca pewność Luke’a, że on i pozostali są przygotowywani do roli parapsychicznych dronów – tak, nawet niegroźny Avery, który nie skrzywdziłby muchy – stopniowo wybudzała go ze stuporu, ale dopiero koszmarny spektakl z Harrym Crossem miał go wyrwać na dobre z żałobnego letargu.

5

Nazajutrz wieczorem na kolacji w stołówce było piętnaścioro dzieci. Niektórzy rozmawiali, niektórzy się śmiali, część nowych płakała lub krzyczała. Luke pomyślał, że w pewnym sensie Instytut przypomina

dawnego typu zakład dla obłąkanych, w którym wariatów po prostu się trzymało, a nie leczyło.

Harry'ego na początku tam nie było, podobnie jak podczas lunchu. Ten wielki gamoń nie zaprzętał zbytnio uwagi Luke'a, ale podczas posiłków trudno go było przegapić, bo zawsze siedziały przy nim Gerda i Greta, po obu jego stronach, ubrane w identyczne stroje i wpatrzone w niego świecącymi oczami, kiedy nawijał o wyścigach NASCAR, wrestlingu, ulubionych serialach i życiu „tam, w Selmie”. Gdy ktoś kazał mu się trochę przymknąć, siostrzyczki G piorunowały taką osobę morderczymi spojrzeniami.

Tego wieczoru bliźniaczki jadły same i wyglądały z tego powodu na nieszczęśliwe. Mimo wszystko zaklepały Harry'emu miejsce między sobą, a kiedy chłopak powoli wszedł do jadalni, kołyszając brzuchem i świecąc opalenizną, pobiegły do niego z okrzykami na powitanie. On jednak po raz pierwszy praktycznie ich nie zauważył. Miał nieobecne spojrzenie, jego gałki oczne nie poruszały się synchronicznie, tak jak powinny. Na brodzie błyszczała mu ślina, a spodnie były mokre w kroczu. Rozmowy ucichły. Najnowszy przybysze patrzyli ze zdziwieniem i lękiem, natomiast ci, którzy spędzili tu już dostatecznie dużo czasu, by przeżyć wiele testów, zerkali na siebie z niepokojem.

Luke i Helen wymienili spojrzenia.

– Wszystko z nim w porządku – powiedziała dziewczyna. – Po prostu niektórzy znoszą to gorzej niż...

Obok niej siedział Avery. Chwycił rękę Helen w obie dłonie i odezwał się z upiornym spokojem:

– Wcale nie jest z nim w porządku. I już nigdy nie będzie.

Harry wydał z siebie okrzyk, padł na kolana, a potem runął twarzą na podłogę. Z nosa i warg na linoleum chlapnęła krew. Najpierw zaczął drżeć, później dostał spazmów, podciągał i wyrzucał rozkraczone nogi, machał rękami. Warczał – nie jak zwierzę, ale jak silnik na zbyt niskim biegu i wysokich obrotach. Przewrócił się na plecy, dalej warcząc i pryskając krwistą pianą z ust. Zgrzytał zębami.

Siostrzyczki G zaczęły piszczeć. Gladys rzuciła się biegiem z korytarza, a Norma wyskoczyła zza podgrzewacza; tymczasem jedna z bliźniaczek uklękła i próbowała przytulić Harry'ego. Chłopak uniósł wielką prawą dłoń, zamachnął się i uderzył. Ze straszliwą siłą trafił ją w bok twarzy, tak że dziewczynka pofrunęła. Walnęła głową w ścianę z głuchym dźwiękiem. Do małej z krzykiem podbiegła siostra.

W stołówce wybuchła wrzawa. Luke i Helen nadal siedzieli, ona obejmowała ramieniem Avery'ego (chyba bardziej dla dodania otuchy samej sobie niż chłopcu, który nawet nie drgnął), ale wiele innych dzieci gromadziło się wokół dużego chłopaka, który właśnie miał atak. Gladys kilkoro z nich odepchnęła i warknęła:

– Odsuńcie się, idioci!

Tego wieczoru duża G nie miała sztucznego uśmiechu.

Pojawiali się kolejni pracownicy Instytutu: Joe i Hadad, Chad, Carlos, dwie osoby, których Luke nie znał, w tym jedna jeszcze po cywilnemu, bo pewnie przyszła na służbę dopiero przed chwilą. Harry podskakiwał w konwulsjach, jakby podłoga była pod prądem. Chad i Carlos przygwoździli mu ramiona. Hadad poraził go w splot słoneczny, a kiedy to nie zatrzymało ataku, Joe dołożył jeszcze ładunek w kark – trzask paralizatora nastawionego na maksimum mocy słychać było nawet wśród gwaru skołowanych głosów. Harry oklapł. Oczy miał wybałuszone pod na wpół przymkniętymi powiekami. Z kącików ust ciekła mu piana. Spomiędzy warg wystawał czubek języka.

– Nic mu nie jest, sytuacja pod kontrolą! – huknął Hadad. – Wracajcie do stołów. Nic się nie stało!

Dzieci zaczęły się odsuwać, patrzyły w milczeniu. Luke nachylił się do Helen i odezwał cicho:

– Chyba nie oddycha.

– Może oddycha, a może nie – odparła. – Ale popatrz na nią. – Wskazała bliźniaczkę rzuconą na ścianę.

Dziewczynka miała szklany wzrok, a jej głowa była dziwnie przekrzywiona. Z policzka ciekła krew i kapiała na ramię sukienki.

– Obudź się! – krzyknęła druga bliźniaczka i zaczęła szarpać siostrą. Ze stołów zerwała się nawałnica sztućców. Dzieci i opiekunowie usiłowali się chować. – Obudź się, Harry nie chciał ci zrobić krzywdy, obudź się, **OBUDŹ SIĘ!**

– Która jest która? – zapytał Luke, zwracając się do Helen, ale odpowiedział mu Avery tym samym upiornie spokojnym głosem:

– Ta krzycząca i rzucająca sztućcami to Gerda. Ta martwa to Greta.

– Ona nie jest martwa – powiedziała przerażona Helen. – To niemożliwe.

Noże, widelce i łyżki uniosły się do sufitu (ja nigdy bym tak nie potrafił, pomyślał Luke), a potem spadły z brzękiem.

– Ale jest – stwierdził rzeczowo Avery. – Harry też. – Wstał, jedną dłonią trzymając za rękę Helen, a drugą Luke'a. – Lubilem Harry'ego,

choć mnie popchnął. Nie jestem już głodny. – Spojrzał najpierw na dziewczynę, potem na chłopaka. – Wy też nie.

Wszyscy troje wyszli niezauważeni, omijając szerokim łukiem krzyczącą bliźniaczkę i jej martwą siostrę. Od strony windy długimi krokami zbliżał się doktor Evans, w pośpiechu, jakby nadąsany. Pewnie właśnie jadł kolację, pomyślał Luke.

Za ich plecami Carlos wołał:

– Moi drodzy, nikomu nic się nie stało! Usiądźcie i skończcie posiłek, wszyscy są cali i zdrowi!

– Zabiły go kropki – powiedział Avery. – Doktor Hendricks i doktor Evans nie powinni byli pokazywać mu kropek, chociaż był różowy. Może mimo wszystko miał za wysokie BDNF. Albo chodziło o coś innego, na przykład o alergię.

– Co to jest BDNF? – zapytała Helen.

– Nie wiem. Wiem tylko tyle, że dzieciom, które mają bardzo wysokie, duże zastrzyki powinno się robić dopiero w Tylnej Połowie.

– A ty wiesz? – Helen zwróciła się do Luke’a.

Pokręcił głową. Kalisha raz wspomniała ten skrót, a podczas swoich ekspedycji parę razy słyszał, jak ktoś go używa. Zastanawiał się, czy go nie wygooglować, ale bał się, że uruchomi jakiś alarm.

– Ty ich nigdy nie miałeś, prawda? – zapytał Avery’ego. – Dużych zastrzyków? Specjalnych testów?

– Nie. Ale będę miał. W Tylnej Połowie. – Mały poważnie spojrzał na Luke’a. – Doktor Evans nazywa kropki Światłami Stasi. Po tym, co zrobił Harry’emu, może mieć kłopoty. Mam nadzieję, że tak będzie. Śmiertelnie boję się Świateł. I dużych zastrzyków. Potężnych zastrzyków.

– Ja też – rzuciła Helen. – Dostatecznie straszne są te, które miałam do tej pory.

Luke zastanawiał się, czy nie opowiedzieć im o zastrzyku, od którego zacisnęło mu się gardło, albo o dwóch, po których wymiotował (i widział te cholerne kropki przy każdym skurczu), ale uznał, że to małe piwo w porównaniu z tym, co właśnie spotkało Harry’ego.

– Z drogi, dzieciaki! – zawołał Joe.

Stanęli pod ścianą, na której wisiał plakat z hasłem WYBIERAM SZCZĘŚCIE. Joe i Hadad minęli ich z ciałem Harry’ego Crossa. Carlos niósł dziewczynkę ze złamanym karkiem. Jej głowa kołysała mu się na ramieniu tam i z powrotem, włosy zwisały prosto. Luke, Helen i Avery odprowadzili ich wzrokiem aż do windy. Luke złapał się na myśli: Ciekawe, czy kostnica jest na poziomie E, czy F.

– Ona wyglądała jak lalka – usłyszał swój głos. – Wyglądała jak jej własna lalka.

Avery, którego upiorny sybiliński spokój tak naprawdę wynikał z szoku, rozplakał się.

– Idę do swojego pokoju – powiedziała Helen. Poklepała Luke’a po ramieniu, a Avery’ego ucałowała w policzek. – Do zobaczenia jutro.

Tylko że już się nie zobaczyli. Opiekunowie w niebieskim przyszli po nią w nocy i chłopcy już jej więcej nie widzieli.

6

Avery opróżnił pęcherz, umył zęby, włożył piżamę, którą teraz trzymał w pokoju Luke’a, i wszedł do jego łóżka. Luke zrobił w łazience, co miał do zrobienia, położył się obok małego i zgasił światło. Oparł czoło o czoło chłopca, a potem szepnął:

– Muszę stąd uciec.

Jak?

To słowo nie zostało wypowiedziane, ale na moment zaświeciło się w jego umyśle, a potem zgasło. Wyłapywanie tych myśli szło Luke’owi coraz lepiej, ale udawało się tylko wtedy, gdy Avery był blisko, a czasami nadal nie udawało się wcale. Kropki – Światła Stasi, jak powiedział mały – dały Luke’owi trochę TP, lecz niewiele. Tak jak nigdy nie dysponował zbyt silnym TK. Może iloraz inteligencji miał kosmiczny, ale jeśli chodzi o zdolności parapsychiczne, był bałwanem. Przydałoby mi się ich trochę więcej, pomyślał, ale jak mawiał jego dziadek, „Życzenie w jednej, gównno w drugiej ręce, sprawdź, które cięży bardziej”.

– Nie wiem – powiedział.

Wiedział natomiast, że jest tu bardzo długo – dłużej niż Helen, a ją już zabrali. Wkrótce po niego przyjdą.

7

W środku nocy Avery szarpnął Lukiem, budząc go ze snu o Grecie Wilcox – Grecie leżącej pod ścianą, z głową przekrzywioną na karku zupełnie nie tak jak trzeba. Tego snu nie było mu żal opuszczać. Aviszon leżał przytulony, dźgał go ostrymi łokciami i kolanami, dygotał jak pies, którego złapała burza. Luke zapalił lampkę przy łóżku. Mały miał oczy pełne łez.

– Co jest? – zapytał Luke. – Zły sen?

– Nie. Oni mnie obudzili.

– Kto? – Luke rozejrzył się, ale pokój był pusty, a drzwi zamknięte.

– Sha. I Iris.

– Słyszysz nie tylko Kalishę, ale też Iris? – To była nowość.

– Do tej pory nie słyszałem, ale... mieli seans filmów, mieli kropki, mieli fajerwerk, mieli grupowy uścisk ze złączonymi głowami, mówiłem ci o tym...

– Tak.

– Potem zwykle jest lepiej, na jakiś czas bóle głowy mijają, ale tym razem u Iris ból wrócił, jak tylko przerwali uścisk, i to taki mocny, że zaczęła krzyczeć i nie przestawała. – Głos Avery’ego podniósł się ponad jego zwykły sopran i drżał w taki sposób, że Luke’a przeszedł zimny dreszcz. – Moja głowa, moja głowa, głowa mi pęka, niech ktoś to przerwie, błagam, niech to się sko...

Luke mocno potrząsnął chłopcem.

– Ciszej. Mogą nas słuchać.

Mały kilka razy głęboko odetchnął.

– Szkoda, że nie słyszysz mnie w swojej głowie tak jak Sha. Wtedy mógłbym ci wszystko opowiedzieć. Mówienie tego na głos jest dla mnie trudne.

– Spróbuj.

– Sha i Nicky próbowali uspokoić Iris, ale nie dali rady. Ją drapała, a jego próbowała uderzyć. Potem przyszedł doktor Hendricks, w piżamie, i wezwał ludzi w czerwonym. Mieli ją zabrać.

– Do tylnej połowy Tylnej Połowy?

– Chyba tak. Ale wtedy zaczęło jej się polepszać.

– Może dostała środek przeciwbólowy. Albo uspokajający.

– Raczej nie. Chyba po prostu jej się polepszyło. Może pomogła jej Kalisha?

– Mnie nie pytaj. Skąd miałbym wiedzieć?

Avery jednak go nie słuchał.

– Może istnieje sposób, żeby pomóc. Sposób, żeby oni... – Urwał. Luke już myślał, że mały zasypia, lecz Avery poruszył się i powiedział: – Tam dzieje się coś bardzo złego.

– Tam są same złe rzeczy – odparł Luke. – Filmy, zastrzyki, kropki... wszystko jest złe.

– Tak, ale tu chodzi o coś innego. Coś gorszego. Jak... nie wiem...

Luke przyłożył czoło do czoła chłopca i nasłuchiwał z całych sił. Wychwylił dźwięk samolotu przelatującego w górze.

– Dźwięk? Taki brzęczący?

– Tak! Ale nie jak samolot. Raczej jak w ulu. Chyba dobiega z tylnej połowy Tylnej Połowy.

Avery poruszył się w łóżku. W świetle lampki nie wyglądał już jak dziecko – wyglądał jak zmartwiony starzec.

– Ten ból głowy jest coraz gorszy i trwa coraz dłużej, bo tamci cały czas zmuszają ich do patrzenia na kropki... wiesz, na te światła... cały czas dają im zastrzyki i każą oglądać filmy.

– I na fajerwerk – dodał Luke. – Muszą na niego patrzeć, bo jest wyzwalaczem.

– Jak to?

– Nieważne. Śpij.

– Chyba nie dam rady.

– Spróbuj.

Luke objął Avery'ego ramieniem i spojrzał w sufit. Przypomniała mu się stara bluesująca piosenka, którą czasem śpiewała jego matka: „Od początku miałeś mnie, skradłeś serce me. To, co najlepsze, już masz, więc dalej, kotku, niech mnie, możesz resztę brać”.

Nabierał coraz większego przekonania, że właśnie takie jest ich przeznaczenie: żeby zabrano im to, co najlepsze. Przerabiano ich tutaj na broń i używano aż do opróżnienia. Potem zabierano do tylnej połowy Tylnej Połowy, gdzie przyłączali się do brzęczenia... czymkolwiek ono było.

Takie rzeczy się nie zdarzają, mówił sobie Luke. Tyle że to samo ludzie powiedzieliby o całym Instytucie: gdzie jak gdzie, ale nie w Ameryce, a jeśli nawet, to sprawa natychmiast wyszłaby na jaw, bo w dzisiejszych czasach niczego nie da się utrzymać w tajemnicy – każdy gada. A jednak Luke był tutaj. Wszyscy oni tu byli. Myśl o Harrym Crossie w konwulsjach na podłodze stołówki, toczącym pianę z ust, była straszna, a widok niewinnej dziewczynki z przekrzywioną głową i szklistym wzrokiem wpatrzonym w pustkę jeszcze gorszy, Luke nie potrafił jednak sobie wyobrazić większego koszmaru niż narażanie umysłów na nieustający atak, aż staną się częścią zbiorowego brzęczenia. Według Aviszona dziś wieczorem o mały włos nie spotkało to Iris, a wkrótce miało spotkać Nicky'ego, bożyszczkę wszystkich dziewcząt, oraz dowcipnego George'a.

I Kaliszę.

Luke w końcu zasnął. Kiedy się obudził, było już dawno po śniadaniu, a on leżał w łóżku sam. Pobiegł korytarzem i wpadł do pokoju Avery'ego,

przekonany, że już wie, co zobaczy, ale na ścianach nadal wisiały plakaty, a na komodzie stały figurki G.I. Joe, dzisiaj w szyku bojowym.

Odetchnął z ulgą, a potem się wzdrygnął, kiedy ktoś klepnął go w tył głowy. Obrócił się i zobaczył Winonę (nazwisko: Briggs).

– Włóż coś na siebie, młody człowieku. Nie mam ochoty oglądać chłopaków w gatkach, chyba że mają co najmniej dwadzieścia dwa lata i są przypadkowi. Ty odpadasz z obu powodów.

Zaczekała, aż Luke sobie pójdzie. Pokazał jej środkowy palec (no dobrze, trzymał go przy piersi, żeby nie było widać, ale i tak dobrze się z tym poczuł), a potem wrócił do pokoju, żeby się ubrać. W głębi korytarza, tam gdzie spotykał się on z sąsiednim, chłopiec zobaczył kosz Dandux z bielizną. Mógł należeć do Jolene albo jednej z innych pokojówek, które niedawno pojawiły się do pomocy przy nowej fali „podopiecznych”, ale wiedział, że to wózek Maureen. Czuł ją. Wróciła.

8

Kiedy zobaczył ją kwadrans później, pomyślał: Ta kobieta jest coraz bardziej chora.

Właśnie sprzątała pokój bliźniaczek; zdejmowała ze ścian plakaty z książkami i księżniczkami Disneya i starannie wkładała je do kartonowego pudełka. Z łóżek siostrzyczek G zdążyła już zdjąć pościel, która piętrzyła się w koszu razem z resztą brudnej bielizny.

– Gdzie Gerda? – zapytał Luke.

Chciał również wiedzieć, gdzie Greta i Harry, nie wspominając o innych, którzy być może zmarli wskutek tych popieprzonych eksperymentów. Czy gdzieś w tej piekielnej dziurze było krematorium? Może na dole, na poziomie F? Jeśli tak, to z supernowoczesnymi filtrami, bo nie czuł dymu palonych dzieci.

– Nie zadawaj mi pytań, to nie będę musiała kłamać. Zmykaj, mały, i zajmij się swoimi sprawami.

Jej głos był ostry i oschły, lekceważący, ale tylko na pokaz. Nawet słabo rozwinięta telepatia bywa przydatna.

Luke wziął jabłko z miski w stołówce oraz paczkę round-upów (PAL ZUPEŁNIE JAK TATUŚ) z automatu. Cukierkowe papierosy sprawiły, że zatęsknił za Kalishą, ale także poczuł się bliżej niej. Wyjrzał przez okno na plac zabaw, gdzie z różnych sprzętów korzystało ośmioro, może dziesięcioro dzieci – pełna chata w porównaniu z czasami, kiedy tutaj przybył. Na jednej z poduszek okalających trampolinę siedział Avery;

głowę zwiesił na piersi, zamknął oczy i głęboko spał. Luke'a to nie dziwiło. Srajdek miał za sobą ciężką noc.

Ktoś walnął Luke'a w ramię, mocno, ale nie agresywnie. Obejrzał się. To był Stevie Whipple, jeden z nowych.

– Ja nie mogę, wczoraj to było coś strasznego – powiedział. – Wiesz, ten rudy grubas i ta mała.

– Wiadomo.

– A dzisiaj rano ci w czerwonych uniformach zabrali do Tylnej Połowy punkówę.

Luke spojrział na Steviego z niemym przerażeniem.

– Helen?

– No, ją. To miejsce jest do kitu – stwierdził chłopak, patrząc przez okno na plac zabaw. – Chciałbym mieć... nie wiem, buty odrzutowe. Uciekłbym stąd tak szybko, że aż by się zakręciło w głowie.

– Buty odrzutowe i bombę – dorzucił Luke.

– Co?

– Żeby zbombardować skurwysynów, a dopiero potem odlecieć.

Stevie zastanowił się chwilę, jego pyzata twarz jakby obwisła, a potem się zaśmiał.

– Dobrze. Tak, najpierw wysadzić ich w powietrze, a potem zjeżdżać byle dalej. Ej, nie masz może luźnego żetonu, co? Zawsze o tej porze robię się głodny, a średnio lubię jabłka. Wolę raczej twixy. Albo krążki cebulowe. O tak, krążki cebulowe są dobre.

Luke, który zarobił wiele żetonów, doskonaląc swój wizerunek grzecznego chłopca, dał Steviemu Whipple'owi trzy i powiedział, żeby sobie nie żałował.

9

Przypomniawszy sobie, jak po raz pierwszy zobaczył Kaliszę, i może dla uczczenia tej okazji wszedł do budynku, usiadł przy automacie z lodem i włożył do ust cukierkowego papierosa. Był już przy drugim, kiedy w korytarzu pojawiła się Maureen. Człapała, pchając swój wózek, teraz pełen świeżych prześcieradeł i powłoczek na poduszki.

– Jak plecy? – zapytał Luke.

– Źle jak nigdy.

– To beznadziejnie. Przykro mi.

– Mam proszki. Pomagają. – Pochyliła się i złapała za łydki, przez co jej twarz znalazła się blisko twarzy Luke'a.

– Zabrali moją przyjaciółkę Kalishę – szepnął. – Nicky’ego i George’a. A dzisiaj jeszcze Helen.

Większość jego kolegów zniknęła. Kto stał się instytutowym weteranem? Nie kto inny jak Luke Ellis.

– Wiem. – Pokojówka także szeptała. – Byłam w Tylnej Połowie. Nie możemy się tu spotykać i rozmawiać. Oni zaczną coś podejrzewać.

Wydawało się to sensowne, ale mimo wszystko coś było nie tak. Przecież Maureen, tak samo jak Joe i Hadad, cały czas rozmawiała z dziećmi i dawała im żetony, kiedy je miała. Poza tym istniały także inne miejsca, martwe strefy, w których nasłuch audio nie działał, prawda? Tak w każdym razie uważała Kalisha.

Maureen wyprostowała się i rozciągnęła, podpierając się dłońmi w krzyżu. Teraz mówiła już normalnie.

– Będziesz tu siedział cały dzień?

Luke wessał cukierkowego papierosa dyndającego mu z dolnej wargi, pogryzł go i wstał.

– Czekaj, masz żeton. – Maureen wyciągnęła go z kieszeni sukienki i podała Luke’owi. – Kup sobie coś paskudnego.

Chłopiec wolnym krokiem pomaszerował do pokoju i wyciągnął się na łóżku. Rozwinął ciasno złożony kwadracik papieru, który Maureen wręczyła mu razem z żetonem. Jej pismo było chwiejne i staromodne, ale nie tylko dlatego trudno się je czytało. Liścik napisała bardzo drobno. Pokryła słowami całą jedną stronę, od brzegu do brzegu, od góry do dołu, oraz część drugiej. Luke’owi przypomniało się coś, co kiedyś pan Sirois, nauczyciel angielskiego, powiedział o najlepszych opowiadaniach Ernesta Hemingwaya: że są cudami kondensacji. O tej wiadomości można było powiedzieć to samo. Ilu wersji potrzebowała Maureen, zanim to, co chciała przekazać Luke’owi, sprowadziła do minimum, które zmieściło się na tak małej kartce? Podziwiał jej zwięzłość, nawet kiedy zaczęła pojmować, czym naprawdę zajmowała się Maureen. Kim była.

Luke, musisz wyrzucić ten List, kiedy go przeczytasz. Chyba Bóg zesłał mi Ciebie jako Ostatnią Szansę na zadośćuczynienie za Zło, które robiłam. Rozmawiałam z Leah Fink w Burlington. Wszystko, co mówiłeś, to Prawda, i wszystko będzie Dobrze z moim długiem. Nie jest Dobrze ze mną, bo ból w plecach jest właśnie od tego, czego się bałam. ALE skoro odłożone \$\$\$ są bezpieczne, robię „wypłatę”. Jest sposób, żeby je przekazać mojemu Synowi, żeby mógł iść na Uczelnię. Nigdy się nie dowie, że to ode mnie, i tego chcę. Tak dużo Ci

zawdzięczam!!! Luke, musisz się stąd wydostać. Niedługo zabiorą Cię do Tylnej Połowy. Jesteś „różowy”, więc kiedy skończą testy, może zostaną Ci tylko 3 dni. Muszę Ci coś dać i powiedzieć dużo Ważnych Rzeczy, ale nie wiem jak, bo tylko Automat z Lodem jest bezpieczny, a my tam byliśmy Za Często. Sobą się nie przejmuję, ale nie chcę, żebyś Ty stracił swoją Jedyłą Szansę. Żałuję, że zrobiłam to, co zrobiłam, i że w ogóle dowiedziałam się o tym Miejscu. Myślałam o dziecku, które oddałam, ale to żadna Wymówka. Już za późno. Chciałabym, żeby nasza Rozmowa nie była przy Automacie z Lodem, ale może trzeba będzie zaryzykować. BŁAGAM, Luke, pozbądź się tej kartki i BĄDŹ OSTROŻNY, nie dla mnie, bo moje życie się kończy, ale dla siebie. DZIĘKUJĘ, ŻE MI POMOGŁEŚ. Maureen A.

A więc Maureen była wtyką. Wysłuchiwała dzieci w rzekomo bezpiecznych miejscach, a potem biegła do Sigsby (albo Stackhouse'a) ze skrawkami wiadomości, które ktoś jej wyszeptał. Możliwe, że nie ona jedna. Być może dwaj przyjaźni opiekunowie, Joe i Hadad, również kablowali. W czerwcu Luke by ją za to znienawidził, ale teraz, w lipcu, był już dużo starszy.

Poszedł do łazienki i podczas ściągania spodni jednocześnie wrzucił list do sedesu, tak jak kiedyś zrobił z kartką od Kalishy. Miał wrażenie, że to było sto lat temu.

10

Tego popołudnia Stevie Whipple rozkręcił grę w dwa ognie. Wzięła w niej udział większość dzieci, ale Luke odmówił. Z szafki z grammi wziął szachownicę (ku czci Nicky'ego) i odtworzył partię uważaną przez wielu za najlepszą w historii: Jakow Estrin kontra Hans Berliner, Kopenhaga 1965. Czterdzieści dwa posunięcia, klasyk. Robił ruch za ruchem, białe-czarne, białe-czarne, pracę wykonywała głównie jego pamięć, podczas gdy umysł koncentrował się przede wszystkim na liście od Maureen.

Załamano go to, że kablowała, ale rozumiał jej motywy. Byli tu jeszcze ludzie, którzy zachowali resztki przyzwoitości, ale praca w takim miejscu niszczyła człowiekowi kompas moralny. Oni wszyscy byli zgubieni, czy o tym wiedzieli, czy nie. Maureen zapewne również. Teraz liczyło się tylko to, czy rzeczywiście wiedziała, jak się stąd wydostać. W tym celu musiała przekazać Luke'owi informacje w taki sposób, żeby nie wzbudzić podejrzeń pani Sigsby ani Stackhouse'a (imię: Trevor). Wiązało się z tym

pytanie, czy można jej ufać. Luke sądził, że tak. Nie tylko dlatego, że pomógł jej w potrzebie, ale też z tego powodu, że z jej listu była desperacja; to był list kobiety, która zdecydowała się postawić wszystko na jeden obrót ruletki. A poza tym jaki miał wybór?

Avery był wśród grających w dwa ognie. Biegał po boisku, kiedy nagle ktoś trafił go piłką prosto w twarz. Mały usiadł i rozplakał się. Stevie Whipple pomógł mu wstać i obejrzał nos.

– Nie ma krwi, nic ci nie jest. Może idź posiedzieć z Lukiem?

– Czyli że odpadam z gry – stwierdził Avery, wciąż pociągając nosem. – To nic. Mogę jeszcze...

– Avery! – zawołał Luke. Pokazał dwa żetony. – Chcesz krakersy z masłem orzechowym i colę?

Chłopczyk podbiegł, już zapomniawszy o uderzeniu w twarz.

– No jasne!

Weszli do stołówki. Avery wrzucił żeton do automatu, a kiedy sięgnął do otworu po paczkę, Luke pochylił się nad nim i szepnął mu do ucha:

– Chcesz mi pomóc stąd uciec?

Avery podsunął mu paczkę krakersów.

– Masz ochotę? – zapytał.

W umyśle Luke'a natomiast zapaliło się i zgasło słowo: *Jak?*

– Wezmę tylko jednego, reszta dla ciebie – odpowiedział, a jednocześnie posłał trzy słowa: *Powiem ci wieczorem.*

Dwie rozmowy naraz, jedna na głos, a druga w głowach. I tak samo będzie z Maureen.

Taką miał nadzieję.

11

Nazajutrz po lunchu Gladys i Hadad zabrali Luke'a na dół do zbiornika zanurzeniowego. Tam zostawili go z Zekiem i Dave'em.

– Tutaj robimy testy – powiedział Zeke Ionidis – ale także wrzucamy do wody niegrzecznych chłopców i dziewczynki, którzy nie mówią nam prawdy Czy ty mówisz prawdę, Luke?

– Tak.

– Masz telepkę?

– Że co? – zapytał Luke, choć doskonale wiedział, co ten świr Zeke ma na myśli.

– Telepkę. TP. Masz?

– Nie. Ja jestem TK, zapomniałeś? Przesuwam łyżki i tak dalej. – Spróbował się uśmiechnąć. – Ale nie umiem ich zginać. Próbowałem.

Zeke pokręcił głową.

– Jak ktoś jest TK i widzi kropki, to dostaje telepkę. A jak TP widzi kropki, to przerzuca się na łyżki. Tak to działa.

Nie chcesz wiedzieć, jak to działa, pomyślał Luke. Nikt z was nie chce. Przypomniał sobie, że ktoś – może Kalisha, a może George – mówił, że tamci się zorientują, gdyby skłamał na temat widzenia kropek. Domyślał się, że to prawda – pewnie pokazywały im to odczyty EEG – lecz czy wiedzieli również o tym? Nie wiedzieli. Zeke blefował.

– Parę razy widziałem kropki, ale nie umiem czytać w myślach.

– Hendricks i Evans sądzą, że umiesz – powiedział Dave.

– Naprawdę nie. – Luke spojrział na nich, robiąc minę niewiniątka najlepiej, jak umiał.

– Przekonamy się, czy to prawda – odparł Dave. – Rozbieraj się, smyku.

Luke, pozbawiony wyboru, zdjął ubranie i wszedł do zbiornika. Miał on nieco ponad metr głębokości i ze dwa i pół szerokości. Woda była chłodna i przyjemna. Jak na razie wszystko w porządku.

– Myślę o jakimś zwierzęciu – powiedział Zeke. – O jakim?

Chodziło o kota. Luke nie zobaczył obrazu, tylko słowo, duże i jasne jak neon Budweisera w oknie baru.

– Nie wiem.

– Dobra, smyku, skoro tak się chcesz bawić... Weź głęboki oddech, zanurz się i policz do piętnastu. Ale między każdą liczbą masz powtarzać „biblioteka”. Raz biblioteka, dwa biblioteka, trzy biblioteka i tak dalej.

Luke wykonał polecenie. Kiedy się wynurzył, Dave (nazwisko nieznane, przynajmniej na razie) zapytał, o jakim zwierzęciu myśli. W umyśle chłopca pojawiło się słowo KANGUR.

– Nie wiem. Mówiłem wam, jestem TK, nie TP. I to nawet nie TK-pozytywny.

– Nurkuj, smyku – polecił Zeke. – Trzydzieści sekund, z hipopotamem między każdą liczbą. Będę mierzył czas.

Trzecie zanurzenie trwało czterdzieści pięć sekund, czwarte – minutę. Po każdym Luke był przepytany. Przerzucili się ze zwierząt na imiona opiekunów: Gladys, Norma, Pete, Priscilla.

– Nie umiem! – krzyknął Luke, ocierając wodę z oczu. – Nie rozumiecie?

– Rozumiemy, że teraz spróbujemy minutę i piętnaście sekund – powiedział Zeke. – A licząc, zastanów się, jak długo chcesz to ciągnąć.

Wszystko w twoich rękach, smyku.

Luke próbował się wynurzyć po doliczeniu do sześćdziesięciu siedmiu. Zeke złapał go za głowę i wepchnął z powrotem pod wodę. Chłopiec wypłynął po minucie i piętnastu sekundach z łomotem serca, rozpaczliwie łapiąc powietrze.

– O jakiej drużynie sportowej myślę? – zapytał Dave, a w umyśle Luke zobaczył jasny barowy neon: VIKINGS.

– Nie wiem!

– Pieprzysz – rzucił Zeke. – Minuta trzydzieści.

– Nie! – zaprotestował Luke. Chlupocząc, próbował się przedostać na środek zbiornika. Starał się nie wpaść w panikę. – Nie dam rady.

Zeke przewrócił oczami.

– Nie bądź taką cipą. Rybak łowiący słuchotki potrafi spędzić pod wodą dziewięć minut. Ja chcę od ciebie tylko dziewięćdziesięciu sekund. Chyba że powiesz wujkowi Dave’owi, jaka jest jego ulubiona drużyna.

– On nie jest moim wujkiem, a ja nie potrafię. Wypuście mnie. – A ponieważ Luke nie umiał się powstrzymać, dodał: – Proszę.

Zeke wyjął z kabury paralizator i demonstracyjnie ustawił pokrętko na maksymalną moc.

– Mam tym dotknąć wody? Będziesz tańczył jak Michael Jackson. Chodź no tu, natychmiast.

Luke nie miał wyjścia, więc ruszył ku krawędzi zbiornika.

„Jest fajny” – mówiła kiedyś o tym zbiorniku doktor Richardson.

– Jeszcze jedna szansa – powiedział Zeke. – O czym on myśli?

Vikings, Minnesota Vikings, drużyna z mojego rodzinnego miasta.

– Nie wiem!

– No dobrze – odparł Zeke jakby z żalem. – Okręt podwodny Luke rozpoczyna zanurzenie.

– Czekaj, daj mi chwilę na przygotowanie – wtrącił Dave. Wyglądał na zatroskanego, co zmartwiło Luke’a. – Wypełnij płuca powietrzem. I spróbuj zachować spokój. Kiedy ciało ogłasza alarm, zużywa więcej tlenu.

Luke parę razy wypuścił i wciągnął powietrze, a potem się zanurzył. Zeke położył mu rękę na głowie i chwycił za włosy. Spokojnie, spokojnie, spokojnie, myślał Luke. A także: Ty chuju, Zeke, ty chuju. Nienawidzę cię, sadysto.

Doliczył do dziewięćdziesięciu i wynurzył się, łapczywie łykając powietrze. Dave otarł mu twarz ręcznikiem.

– Skończ z tym – wymamrotał Luke’owi do ucha. – Po prostu powiedz, o czym myślę. Tym razem to aktor.

MATT DAMON – tak teraz wyglądał neon w głowie chłopca.

– Nie wiem.

Luke się rozplakał. Łzy spływały po jego mokrej twarzy.

– Dobrze – powiedział Zeke. – Spróbujemy minutę i czterdzieści pięć sekund. Sto pięć długich sekund i nie zapominaj o hipopotamach między liczbami. Jeszcze będziesz się nadawał do łowienia słuchotek.

Chłopiec znowu hiperwentylował, a gdy doliczył w głowie do stu, był pewien, że zaraz otworzy usta i wciągnie wodę. Wtedy go wyłowią, reanimują i zaczną od początku. I będą tak robić, dopóki nie powie im tego, co chcą usłyszeć, albo nie utonie.

W końcu technik zdjął mu rękę z głowy. Luke wychylił się nad powierzchnię, dysząc i kaszląc. Dali mu czas na dojście do siebie, po czym Zeke powiedział:

– Koniec ze zwierzątkami, drużynami i tak dalej. Po prostu to powiedz. Powiedz: „Mam telepkę, jestem TP”, a wtedy to się skończy.

– Dobra! Dobra, mam telepkę!

– Świetnie! – zawołał Zeke. – Jest postęp! O jakiej liczbie myślę?

Jasny neon ułożył się w liczbę 17.

– Sześć – powiedział Luke.

Zeke udał brzęczyk w teleturnieju.

– Przykro mi, siedemnaście. Tym razem dwie minuty.

– Nie! Nie dam rady! Proszę!

– Ostatni raz, Luke – rzucił cicho Dave.

Zeke szturchnął kolegę ramieniem tak mocno, że ten prawie stracił równowagę.

– Nie mów mu rzeczy, które mogą nie być prawdą. – Potem znowu skupił się na Luke’u. – Dam ci trzydzieści sekund na nabranie powietrza, a potem nurkujemy. Startujesz do drużyny olimpijskiej, kolego.

Niemający wyboru chłopiec zaczął głęboko oddychać, ale na długo przed tym, nim zdążył doliczyć w myślach do trzydziestu, Zeke zacisnął mu rękę na włosach i pchnął go w dół.

Luke otworzył oczy i spojrzał na biały bok zbiornika. Farba w kilku miejscach była podrapana, być może paznokciami innych dzieci poddawanych tej torturze zarezerwowanej dla różowych. A dlaczego? To oczywiste. Bo Hendricks i Evans wierzyli, że zakres zdolności parapsychicznych można rozszerzyć, a różowych nie było im szkoda zużyć.

Szerzej, zużyj, myślał Luke. Szerzej, zużyj. Spokój, spokój.

Chociaż robił, co mógł, żeby osiągnąć stan zen, w końcu jednak płuca zaczęły domagać się powietrza. Całe to zen, i tak mające niewiele wspólnego z prawdziwym, prysło, gdy pomyślał, że jeśli to przetrwa, następnym razem zmuszą go do zanurzenia się na dwie minuty piętnaście sekund, potem dwie trzydzieści, potem...

Zaczął się szarpać. Zeke go trzymał. Luke mocno postawił stopy na dnie i parł do góry, prawie dotarł do powierzchni, ale technik dołożył drugą rękę i docisnął. Wróciły kropki, migają chłopcu przed oczami, pędziły ku niemu, cofały się i znów pędziły. Zaczęły wirować wokół niego jak obłąkana karuzela. Światła Stasi, pomyślał Luke. Utonę, patrząc na...

Zeke wyszarpnął go za włosy. Biały kitel miał cały przemoczony. Wbił w chłopca nieruchome spojrzenie.

– Zanurzę cię znowu, Luke. A potem znowu i znowu, i znowu. Będę cię zanurzał, aż zaczniesz się topić, a wtedy cię odratujemy, znów będziesz się topił i znów cię odratujemy. Ostatnia szansa: o jakiej liczbie myślę?

– Nie... – Luke wykrztusił wodę – ...wiem!

Nieruchome spojrzenie mężczyzny nie drgnęło przez jakieś pięć sekund. Luke nie odwrócił wzroku, chociaż z oczu lały mu się łzy. Potem Zeke powiedział:

– Pierdolę to i pierdolę cię, smyku. Dave, wytrzymaj go i odeślij. Nie chcę więcej patrzeć na tego małego chujka.

Wyszedł, trzaskając drzwiami.

Luke wytoczył się ze zbiornika, zachwiał się i prawie upadł. Dave go przytrzymał, a potem podał mu ręcznik. Chłopiec wytarł się i jak najszybciej ubrał. Chciał być teraz jak najdalej od tego człowieka i tego miejsca, ale nawet półżywy nie stracił ciekawości.

– Dlaczego to jest takie ważne? Dlaczego, skoro wcale nie po to tu jesteśmy?

– A niby skąd wiesz, po co tu jesteście? – zapytał Dave.

– Bo nie jestem głupi.

– Lepiej trzymaj buzię na kłódkę, Luke. Lubię cię, ale to nie znaczy, że chcę słuchać, jak kłapiesz dziobem.

– Nie wiem, do czego są kropki, ale nie mają nic wspólnego ze sprawdzaniem, czy dają sobie radę z jednym i z drugim, to znaczy z TP i TK. Co wy robicie? Czy wy w ogóle wie...

Dave spoliczkował go, z całej siły, tak że zwałił go z nóg. Woda gromadziła się w kałużach na podłodze i wsiąkała w siedzenie dżinsów chłopca.

– Nie jestem tu po to, żeby odpowiadać na twoje pytania. – Mężczyzna pochylił się nad Luke'em. – Wiemy, co kombinujesz, cwaniaku! Dokładnie wiemy! – Potem, dźwigając go do pionu, dodał: – W zeszłym roku mieliśmy tu takiego jednego, który wytrzymał trzy i pół minuty. Cholernie był wkurzający, ale przynajmniej miał jaja!

12

Avery, zaniepokojony, przyszedł do jego pokoju, ale Luke powiedział, żeby sobie poszedł, bo musi trochę pobyć sam.

– Źle było, prawda? – zapytał Avery. – W zbiorniku. Przykro mi, Luke.

– Dzięki. A teraz idź. Pogadamy później.

– Dobrze.

Mały wyszedł, grzecznie zamykając za sobą drzwi. Luke leżał na plecach, usiłując nie przeżywać od nowa tych niekończących się minut spędzonych pod wodą, ale i tak to robił. Czekał, aż wróć światła, zaczną podskakiwać i pędzić mu przed oczami, kręcić się w kółko i układać w zawrotne wiry. Nie wróciły, więc trochę się uspokoił. Jedna myśl przebijała wszystkie inne, włącznie z lękiem, że kropki wróć... tym razem na zawsze.

Uciec. Muszę stąd uciec. A jeśli się nie da, muszę umrzeć, zanim zabiorą mnie do Tylnej Połowy i będą używać, aż zużyją całego.

13

Z końcem lipca skończyła się najgorsza plaga owadów, dlatego doktor Hendricks spotkał się z Zekiem Ionidisem na ławce w cieniu dębu przed budynkiem administracyjnym. Nieopodal wznosił się maszt, na którym w letnim wietrzyku leniwie powiewała flaga Stanów Zjednoczonych. Doktor Hendricks trzymał na kolanach teczkę Luke'a.

– Jesteś pewien? – zapytał.

– Całkowicie – odparł Zeke. – Zanurzyłem gnojka z pięć czy sześć razy, za każdym razem trzymałem go pod wodą o piętnaście sekund dłużej, tak jak pan kazał. Gdyby umiał czytać w myślach, już by to zrobił, ma pan to jak w banku. Tego nie zniósłby komandos z Navy SEALs, a co dopiero mały dzieciak, który nie ma jeszcze na jajach sześciu włosów na krzyż.

Wydawało się, że Hendricks będzie drążył temat, lecz po chwili westchnął i pokręcił głową.

– No dobrze. Jakoś to zniósę. Mamy teraz mnóstwo różowych, a przyjadą kolejni. Istna klęska urodzaju. Ale to i tak rozczarowujące. Wiązałem z tym chłopcem duże nadzieje.

Otworzył teczkę z małą różową kropką w prawym górnym rogu. Z kieszeni wyjął długopis i przekreślił na ukos pierwszą stronę.

– Przynajmniej jest zdrowy. Evans potwierdził. Ta idiotka Benson nie zaraziła go ospą wietrzną.

– Nie był zaszczepiony? – zapytał Zeke.

– Był, ale ona bardzo się postarała, żeby wymienić się z nim śliną. A miała poważny przypadek. Podjęcie ryzyka nie wchodziło w grę. Co to, to nie. Lepiej dmuchać na zimne.

– To kiedy on trafi do Tylnej Połowy?

Hendricks lekko się uśmiechnął.

– Nie możesz się doczekać, żeby się go pozbyć, co?

– Faktycznie – przyznał Zeke. – Może Benson nie zaraziła go ospą, ale za to z Wilholma przeszedł na niego bakcyl pyskującego szczyla.

– Pójdzie stąd, jak tylko dostanę zielone światło od Heckle’a i Jeckle’a.

Technik udał, że się wzdryga.

– Te dwie wrony. Brrr. Coś upiornego.

Hendricks nie podzielił się swoją opinią na temat lekarzy z Tylnej Połowy.

– Jesteś pewien co do braku telepatii?

Zeke poklepał go po ramieniu.

– Na sto procent, doktorze. Ma pan to jak w banku.

14

Podczas gdy Hendricks i Zeke omawiali jego przyszłość, Luke był w drodze na lunch. Zbiornik zanurzeniowy nie tylko okazał się torturą, ale również wywołał u niego śmiertelny głód. Kiedy Stevie Whipple zapytał, gdzie był i co robił, Luke tylko pokręcił głową. Nie chciał rozmawiać o zbiorniku. Ani teraz, ani nigdy. Wyobrażał sobie, że to jak z wojną: powołują cię, jedziesz, ale nie chcesz rozmawiać o tym, co widziałeś ani co się z tobą działo.

Najedzony stołówkową wersją fettuccine alfredo, Luke zdrzemnął się, a kiedy wstał, czuł się odrobinę lepiej. Wyruszył na poszukiwania Maureen; znalazł ją w opustoszałym niegdyś wschodnim skrzydle. Wyglądało na to, że Instytut szykuje się na przyjęcie jeszcze większej liczby gości. Luke podszedł do pokojówki i zapytał, czy nie mógłby pomóc.

– Bo chętnie zarobiłbym parę żetonów – powiedział.

– Nie, poradzę sobie.

Odnosił wrażenie, że ta kobieta starzeje się niemal z każdą godziną. Twarz miała śmiertelnie bladą. Zastanawiał się, ile jeszcze czasu minie, zanim ktoś zauważy jej stan i zwolni ją z pracy. Nie chciał sobie wyobrazić, co wtedy z nią będzie. Czy istniał program emerytalny dla pokojówek, które przy okazji kablują na rzecz Instytutu? Luke wątpił.

Jej kosz na bieliznę był pełen świeżej pościeli. Chłopiec wrzucił tam liścik. Napisał go na kartce z notesu zwędzonej z wnęki ze sprzętem w gabinecie C-4 razem z tanim długopisem, który schował u siebie pod materacem. Na długopisie znajdował się napis NIERUCHOMOŚCI DENNISON RIVER BEND. Maureen zauważyła liścik, przykryła go poszewką na poduszkę i lekko skinęła głową. Luke odszedł w swoją stronę.

Tej nocy w łóżku długo szeptał do Avery'ego, zanim wreszcie pozwolił małemu zasnąć. Były dwa scenariusze, powiedział mu. Musiały być. Wydawało mu się, że Aviszon rozumie. A przynajmniej taką Luke miał nadzieję.

Długo nie mógł zasnąć, słuchając cichego chrapania Avery'ego i medytując o ucieczce. Koncepcja wydawała się zarazem absurdalna i zupełnie możliwa. Istniały te wszystkie zakurzone kamery, a jemu wiele razy wolno było włóczyć się samotnie i gromadzić skrawki informacji. Istniały fałszywe martwe strefy, o których wiedziała Sigsby ze swoimi sługusami, oraz ta prawdziwa strefa, o której ona nie wiedziała (a przynajmniej Luke na to liczył). Ostatecznie wszystko sprowadzało się do prostego równania. Luke musiał spróbować. Alternatywą były Światła Stasi, filmy, bóle głowy, fajerwerk, który wyzwał to, co wyzwał. A na samym końcu: brzęczenie.

Kiedy skończą testy, może zostaną Ci tylko 3 dni.

15

Nazajutrz po południu Trevor Stackhouse stawiał się w gabinecie pani Sigsby. Kobieta pochylała się nad otwartą teczką, czytała i robiła notatki. Uniosła palec, nie przerywając pracy. Stackhouse podszedł do okna i wyjrzał na wschodnie skrzydło budynku, które nazywano skrzydłem mieszkalnym, zupełnie jakby Instytut był ośrodkiem wypoczynkowym, tylko że położonym głęboko w lesie na północy Maine. Widział kilkoro dzieci kręcących się w pobliżu świeżo uzupełnionych automatów

z napojami i przekąskami. W tamtej świetlicy nie było tytoniu ani alkoholu, i to już od 2005 roku. Zwykle we wschodnim skrzydle mieszkało niewiele osób albo nie mieszkał nikt, a kiedy lokowano tam podopiecznych, papierosy i małpki mogli kupować w automatach na drugim końcu budynku. Część robiła to tylko na próbę, ale zaskakująco dużo dzieci – zwykle tych najbardziej przygnębionych i przerażonych nagłą katastroficzną zmianą w ich życiu – szybko się uzależniało. Sprawiały najmniej problemów, bo nie tyle chętnie przyjmowały żetony, ile wręcz nie mogły bez nich żyć. Karol Marks uważał, że opium dla ludu to religia, ale Stackhouse był innego zdania. Uważał, że papierosy Lucky Strike i wino cytrusowe Boone's Farm (najbardziej lubiane przez gości płci żeńskiej) sprawdzają się w tej roli całkiem nieźle.

– Dobrze – rzuciła pani Sigsby, zamykając teczkę. – Trevorze, jestem gotowa.

– Jutro Opal przywiezie czworo następnych.

Stackhouse stał z szeroko rozstawionymi nogami i dłońmi splecionymi z tyłu. Jak kapitan na pokładzie dziobowym swojego statku, pomyślała pani Sigsby. Miał na sobie jeden ze swoich firmowych brązowych garniturów, który według niej był fatalnym wyborem jak na sam środek lata, ale on pewnie uważał, że to element jego wizerunku.

– Nie mieliśmy tyłu od dwa tysiące ósmego roku – dodał.

Odwrócił się od okna, za którym widok nie był wcale szczególny. Czasami – a nawet często – dzieci bardzo go męczyły. Nie miał pojęcia, jak to wytrzymują nauczyciele, zwłaszcza nie mogąc uderzyć tych bezczelnych ani porazić prądem tych zbuntowanych, takich jak niedawno odprawiony Nicholas Wilholm.

– Był taki czas, na długo przed naszym przybyciem, kiedy przebywała tu ponad setka dzieci – powiedziała pani Sigsby. – Prowadzono listę oczekujących.

– W porządku, prowadzono listę. Dobrze wiedzieć. Ale po co mnie pani wezwała? Opal jest na miejscu, a co najmniej jedna operacja będzie delikatna. Lecę tam dziś wieczorem. Dziecko znajduje się w ściśle nadzorowanym miejscu.

– To znaczy na odwyku.

– Zgadza się. – Wysokofunkcjonujący TK stosunkowo dobrze odnajdywali się w społeczeństwie, ale równie wysokofunkcjonujący TP miewali problemy i często sięgali po alkohol lub narkotyki. Stackhouse domyślał się, że w ten sposób tłumili powódź sygnałów. – Ta dziewczyna jest jednak warta zachodu. Pewnie nie umywa się do małego Dixona, bo

on to istna elektrownia, ale niedużo jej brakuje. Więc proszę mi powiedzieć, co panią niepokoi, tak bym mógł wrócić do swoich spraw.

– Nic mnie nie niepokoi, po prostu chcę, żebyś był na bieżąco. I nie stój tak nade mną, bo ciarki mnie przechodzą. Weź sobie coś do siedzenia.

Kiedy Stackhouse poszedł po krzesło dla gości stojące po drugiej stronie biurka, pani Sigsby uruchomiła na komputerze plik wideo. Na ekranie pojawiły się automaty z przekąskami przed stołówką. Obraz był zamglony, drgał mniej więcej co dziesięć sekund, a czasami był przerywany szumem. Zapauzowała film na jednym z takich momentów.

– Pierwsze, co rzuca się w oczy – odezwała się oschłym tonem wykładowczynie, którego Stackhouse tak bardzo nie lubił – to jakość tego nagrania. Jest absolutnie niedopuszczalna. To samo dotyczy co najmniej połowy kamer monitoringu. Nawet kamera w głównym sklepieniu spożywczym w Bend jest lepsza niż większość z naszych.

Stackhouse wiedział, że Sigsby ma na myśli Dennison River Bend i że mówi prawdę.

– Przekażę, ale oboje wiemy, że podstawowa infrastruktura jest tutaj do dupy. Ostatni remont generalny był czterdzieści lat temu, kiedy sprawy w tym kraju wyglądały inaczej. Znacznie swobodniej. Teraz mamy tylko dwóch informatyków, z tego jeden akurat poszedł na zwolnienie. Sprzęt komputerowy jest przestarzały, tak samo jak generatory. Pani to wszystko wie.

Rzeczywiście wiedziała. Nie chodziło o brak funduszy, lecz o niemożliwość sprowadzenia pomocy z zewnątrz. Innymi słowy: paragraf 22. Instytut musiał pozostać szczelny, a w epoce mediów społecznościowych i hakerów okazywało się to coraz trudniejsze. Jakakolwiek wzmianka o działalności tej placówki oznaczałaby katastrofę. Dla prowadzonej tu niezwykle ważnej pracy, ale także dla personelu. Dlatego też ciężko było zatrudniać ludzi i uzupełniać zapasy, a naprawy stały się istnym koszmarem.

– Te zakłócenia wywołuje sprzęt w kuchni – powiedział Stackhouse. – Miksery, młynki do odpadków, mikrofalówki. Może uda się coś z tym zrobić.

– Może nawet uda ci się coś zrobić z kopułami, w których zamontowane są kamery. Coś niewymagającego nowoczesnej techniki. To się chyba nazywa „odkurzanie”. Mamy przecież woźnych.

Stackhouse zerknął na zegarek.

– Dobrze, Trevorze, rozumiem sugestię.

Wznowiła film. Na monitorze pojawiła się Maureen Alvorson ze swoim wózkiem. Towarzyszyło jej dwóch podopiecznych: Luke Ellis i Avery Dixon, ten nadzwyczajny TP-pozytyw, który teraz zwykle nocował u Ellisa. Obraz co prawda pozostawiał wiele do życzenia, ale dźwięk był dobry.

– Tutaj możemy rozmawiać – powiedziała chłopcom Maureen. – Jest tu mikrofon, ale od lat nie działa. Dużo się uśmiechajcie, bo wtedy ktoś, kto spojrzy na nagranie, pomyśli, że naciągacie mnie na żetony. No dobrze, co was dręczy? Tylko szybko.

Nastąpiła chwila ciszy. Avery Dixon drapał się po rękach, zatykał nos i zerkał na Luke'a. Czyli tylko towarzyszył starszemu koledze. Inicjatorem był Ellis. Stackhouse'a to nie zdziwiło – Ellis to przecież ten mądrała, szachista.

– No... – zaczął Luke – chodzi o to, co stało się parę dni temu w stołówce. Z Harrym i małymi G. To nas dręczy.

Maureen westchnęła i odstawiła koszyk.

– Słyszałam. Bardzo przykra sprawa, ale podobno już się dobrze czują.

– Naprawdę? Wszyscy troje?

Maureen przez chwilę milczała. Avery patrzył na nią nerwowo, drapał się po rękach, zatykał nos i ogólnie wyglądał tak, jakby musiał iść siusiu. W końcu powiedziała:

– Może nie czują się dobrze akurat w tej chwili, a w każdym razie nie tak do końca, ale słyszałam, jak doktor Evans mówił, że zabrano ich do izby chorych w Tylnej Połowie. Jest bardzo dobra.

– Co jeszcze mają...

– Cicho. – Kobieta uniosła dłoń, by uciszyć Luke'a, i rozejrzała się. Obraz zakryły zakłócenia, ale dźwięk pozostał wyraźny. – Nie pytaj mnie o Tylną Połowę. Nie mogę o tym mówić. Wolno mi powiedzieć tylko tyle, że tam jest przyjemnie, przyjemniej niż w Przedniej Połowie, i że chłopcy i dziewczynki spędzają tam trochę czasu, a potem wracają do domu.

Kiedy wrócił dobry obraz, Maureen obejmowała chłopców i mocno tuliła.

– Niech pani tylko popatrzy – rzucił Stackhouse. – Matka Courage. Dobra jest.

– Cicho – upomniała go Sigsby.

Luke zapytał Maureen, czy jest na sto procent pewna, że Harry i Greta żyją.

– Bo wyglądali... no... na martwych.

– Właśnie, wszystkie dzieci to mówią – zgodził się z nim Avery i wyjątkowo głośno zatrąbił nosem. – Harry’ego pogięło i przestał oddychać, a Greta miała dziwnie wygiętą głowę.

Maureen nie śpieszyła się z odpowiedzią – Stackhouse widział, że starannie dobiera słowa. Pomyślał, że byłaby z niej przyzwoita agentka wywiadowcza gdzieś, gdzie wywiad naprawdę ma znaczenie. Tymczasem obaj chłopcy patrzyli na nią wyczekująco.

W końcu się odezwała:

– Oczywiście sama tego nie widziałam i wiem, że musiało to być straszne, ale na pewno dużo gorzej wyglądało, niż było naprawdę. – Znowu przerwała, ale kiedy Avery jeszcze raz ścisnął nos, żeby się uspokoić, zaczęła mówić dalej: – Jeśli ten chłopiec, Cross, faktycznie miał atak, przy czym wcale nie mówię, że tak było, to podają mu teraz właściwe lekarstwa. A co do Greta, to kiedy przechodziłam obok pokoju socjalnego, słyszałam, jak doktor Evans mówił, że ma zwichnięty kręgosłup szyjny. Pewnie założyli jej kołnierz ortopedyczny. Siostra musi być razem z nią. No wiecie, dla dodania otuchy.

– W porządku – rzucił z ulgą Luke. – Najważniejsze, że jest pani pewna.

– Tak pewna, jak jest to możliwe. Więcej nie mogę powiedzieć. Tutaj sporo się kłamie, ale nie tak mnie wychowano, żebym okłamywała ludzi, a co dopiero dzieci. Dlatego powiem wam, że jestem tak pewna, jak tylko mogę, i nic więcej. A dlaczego to takie ważne? Dlatego, że martwicie się o kolegów, czy chodzi o coś jeszcze?

Luke spojrzał na Avery’ego, który dosłownie szarpnął się za nos, a potem kiwnął głową.

Stackhouse przewrócił oczami.

– Chryste, dzieciaku, jak chcesz dłubać, to dłub. Od tej gry wstępnej szalu dostanę.

Pani Sigsby zatrzymała nagranie.

– To gest pocieszający, lepszy niż łapanie się za klejnoty. W swoim czasie zetknęłam się z wieloma dziećmi, które łapały się za krocze, nie tylko chłopcami, ale też dziewczynkami. A teraz cicho. Zaczyna się ciekawy fragment.

– Czy jak coś pani powiem, obieca pani, że nikomu nie powtórzy? – zapytał Luke.

Maureen zastanawiała się przez chwilę, a tymczasem Avery ciągle znęcał się nad swoim biednym kinolem. Potem kiwnęła głową.

Luke zniżył głos. Pani Sigsby podkręciła głośność.

– Część dzieci zaczyna mówić o strajku głodowym. Żadnego jedzenia, dopóki nie będzie wiadomo, że małym G i Harry’emu nic nie jest.

Pokojówka również zaczęła mówić ciszej.

– Które to dzieci?

– Nie wiem dokładnie. Jakieś nowe.

– Powiedz im, że to byłby bardzo zły pomysł. Jesteś mądrym chłopcem, Luke, bardzo mądrym, więc na pewno znasz słowo „odwet”. Avery’emu wyjaśnisz je później. – Wbiła nieruchomy wzrok w młodszego z chłopców, a ten wysunął się z jej objęć i osłonił dłonią nos, jakby się bał, że i ona chce go szarpnąć, a może nawet urwać. – Muszę już iść. Nie chcę, żebyście mieli kłopoty, i sama też nie chcę ich mieć. Gdyby ktoś pytał, o czym rozmawialiśmy...

– Namawialiśmy panią, żeby dała nam pani jakieś dodatkowe prace, bo chcemy dostać żetony – odparł Avery. – Wiemy.

– Bardzo dobrze. – Maureen spojrzała w stronę kamery, odwróciła wzrok, a potem popatrzyła tam jeszcze raz. – Niedługo stąd wyjdziecie i wróćcie do domu. A do tego czasu bądźcie mądrzy. Nie róbcie zamętu.

Chwyciła ścierkę do kurzu, szybko wytarła szufladę automatu z alkoholem, a potem wzięła swój koszyk i poszła. Luke z Averym zostali tam jeszcze przez chwilę, po czym także się oddalili. Pani Sigsby wyłączyła nagranie.

– Strajk głodowy – powiedział Stackhouse z uśmiechem. – To coś nowego.

– Owszem – przyznała Sigsby.

– Sama myśl napawa mnie przerażeniem. – Teraz mężczyzna uśmiechał się już od ucha do ucha. Może Sigersowa tego nie pochwaliała, ale nie mógł się powstrzymać.

Ku jego zaskoczeniu roześmiała się. Kiedy ostatnio słyszał jej śmiech? Być może prawidłowa odpowiedź to: nigdy.

– Rzeczywiście ma to aspekt humorystyczny. Nikt nie nadaje się gorzej do urzędnika strajku głodowego niż rosnące dzieci. Toż to istne maszyny do jedzenia. Ale masz rację, to rzeczywiście coś nowego pod słońcem. Jak sądzisz, który z nowo przybyłych rzucił ten pomysł?

– Żaden, litości! Mamy tu tylko jedno dziecko dostatecznie mądre, żeby w ogóle wiedziało, co to takiego strajk głodowy, i ono mieszka tu od miesiąca.

– Tak – zgodziła się pani Sigsby. – I odetchnę, kiedy opuści Przednią Połowę. Wilholm był irytujący, ale on przynajmniej nie krył się z gniewem. Natomiast Ellis jest... podstępny. Nie lubię podstępnych dzieci.

- Kiedy się go pozbędziemy?
- W niedzielę albo poniedziałek, jeśli Hallas i James z Tylnej Połowy się zgodzą. A na pewno tak będzie. Hendricks właściwie już z nim skończył.
- To dobrze. Odniesie się pani do tego pomysłu ze strajkiem głodowym czy puści go mimo uszu? Sugeruję to drugie. Sprawa umrze śmiercią naturalną, jeżeli w ogóle do czegokolwiek dojdzie.
- Myślę, że się do niej odniosę. Jak sam powiedziałaś, mamy teraz wielu podopiecznych, więc może dobrze, żeby przynajmniej raz przemówić do nich wszystkich.
- Wtedy Ellis pewnie się domyśli, że Alvorson jest wtyką. – Biorąc pod uwagę iloraz inteligencji chłopaka, było to nawet pewne.
- Bez znaczenia. Za parę dni już go tu nie będzie, a jego mały koleżka od szarpania nosa szybko do niego dołączy. Wracając do kamer monitoringu...
- Zanim dziś wyjadę, zostawię wiadomość Andy’emu Fellowesowi, a kiedy wrócę, będzie to nasz priorytet. – Stackhouse nachylił się do przodu, splatając dłonie, i wbił spojrzenie swych brązowych oczu w jej stalowoszare. – Tymczasem niech się pani trochę rozchmurzy. Wrzodów się pani nabawi. Przynajmniej raz dziennie proszę sobie powtarzać, że mamy tu do czynienia z dziećmi, a nie z zatwardziałymi kryminalistami.
- Pani Sigsby nie odpowiedziała, bo zdawała sobie sprawę z tego, że Stackhouse ma rację. Nawet Luke Ellis, choć bardzo inteligentny, był tylko dzieckiem, a kiedy spędzi trochę czasu w Tylnej Połowie, nadal nim będzie, ale z inteligencji nic mu nie zostanie.

16

Kiedy tego wieczoru pani Sigsby weszła do stołówki, szczupła, wyprostowana, w szkarłatnym kostiumie, szarej bluzce i z pojedynczym sznurem pereł na szyi, nie musiała stukać łyżką w szklanke, żeby prosić o ciszę. Wszystkie rozmowy ustały natychmiast. Technicy i opiekunowie stanęli w drzwiach zachodniej świetlicy. Wyszedł nawet personel kuchenny i zebrał się za barem sałatkowym.

– Jak większości z was wiadomo – odezwała się przyjemnym, donośnym tonem – dwa dni temu doszło tu, w stołówce, do niefortunnego wypadku. Krążą plotki, że zginęło wtedy dwoje dzieci. To całkowita nieprawda. W naszym Instytucie nie zabijamy dzieci.

Powiodła po nich wzrokiem. Wpatrywały się w nią szeroko otwartymi oczami, całkiem zapomniawszy o jedzeniu.

– Na wypadek gdyby część z was skupiła się na koktajlu owocowym i nie słuchała uważnie, powtórzę ostatnie zdanie: nie zabijamy dzieci. – Zawiesiła głos, żeby te słowa wybrzmiały. – Nie jesteście tutaj na własną prośbę. Rozumiemy to, ale nie zamierzamy was przeproszać. Jesteście tutaj, żeby służyć nie tylko swojemu krajowi, ale też całemu światu. Gdy wasza służba dobiegnie końca, nie dostaniecie orderów. Nie będzie parady na waszą cześć. Nie będziecie świadomi naszej szczerzej wdzięczności, bo zanim stąd wyjedziecie, wszystkie wasze wspomnienia o Instytucie zostaną wyrugowane. Czyli usunięte, dla tych z was, którzy nie znają tego słowa. – Wyszukała Luke’a i na chwilę zawiesiła na nim wzrok, a jej oczy mówiły: „Ale ty oczywiście je znasz”. – Proszę, pamiętajcie, że i tak tę naszą wdzięczność macie. Podczas pobytu tutaj będziecie poddawani testom, nieraz trudnym, ale przetrwacie i wróćcie do rodzin. Nie straciliśmy tu nigdy ani jednego dziecka.

Znowu zawiesiła głos i czekała, czy ktoś zareaguje albo się sprzeciwi. Mógłby to zrobić Wilholm, ale Wilholma już nie było. Ellis nie zaprotestował, bo bezpośrednia reakcja nie leżała w jego naturze. Jako szachista od frontalnego natarcia wolał podstępne gambity. I tak nic mu z tego nie przyjdzie.

– Harold Cross miał krótki napad padaczkowy po badaniu ostrości wzroku i pola widzenia, który część z was nazywa „kropkami” lub „światłami”. Niechący uderzył Gretę Wilcox, która... z godną uznania troską, jak wszyscy z pewnością przyznamy... starała się dodać mu otuchy. Doznała poważnego zwichnięcia kręgosłupa szyjnego, ale dochodzi do siebie. Jest z nią siostra. Bliźniaczki Wilcox oraz Harry zostaną wysłani do domów w przyszłym tygodniu i nie wątpię, że w ślad za nimi pójdą nasze gorące życzenia.

Znów odszukała wzrokiem Luke’a, który siedział przy stoliku pod najdalszą ścianą. Był z nim jego mały kolega. Dixon słuchał z szeroko otwartą buzią, ale przynajmniej chwilowo nie dręczył nosa.

– Jeśli ktokolwiek zaprzeczy temu, co właśnie powiedziałam, możecie być pewni, że kłamie, i należy te kłamstwa zgłosić któremuś z opiekunów albo techników. Rozumiecie?

Cisza. Nikt nie odważył się jej zmącić nawet kaszlem.

– Jeśli rozumiecie, chciałabym usłyszeć: „Tak, proszę pani”.

– Tak, proszę pani – odpowiedziały dzieci.

Uśmiechnęła się blado.

– Myślę, że stać was na więcej.

– Tak, proszę pani!

– A teraz z prawdziwym przekonaniem.

– TAK, PROSZĘ PANI! – Tym razem dołączyli nawet technicy, opiekunowie i personel kuchenny.

– Dobrze. – Pani Sigsby się uśmiechnęła. – Nic tak nie oczyszcza płuc i umysłu jak pozytywny okrzyk, prawda? A teraz wracajcie do posiłku. – Odwróciła się do personelu kuchennego w białych kitlach. – Przed spaniem dodatkowe desery, pod warunkiem że zdążycie przygotować ciasto i lody. Doug?

Szef kuchni Doug ułożył kciuk i palec wskazujący w kółeczko. Ktoś zaczął bić brawo. Dołączyli się inni. W drodze do wyjścia pani Sigsby kiwała głową na lewo i prawo na znak, że przyjmuje ten aplauz. Szła, machając rękami – wykonywała drobne, precyzyjne ruchy. W kącikach jej ust pojawił się lekki uśmiech, który Luke'owi skojarzył się z uśmiechem Mona Lisy. Ci w białych kitlach rozstąpili się, żeby ją przepuścić.

Nadal bijąc brawo, Avery nachylił się do Luke'a i szepnął:

– Ona kłamała we wszystkim!

Luke prawie niezauważalnie kiwnął głową.

– A to kurwa! – powiedział mały.

Luke kiwnął głową raz jeszcze, wysyłając przy tym krótką mentalną wiadomość: *Klaszcz dalej.*

Avery klaskał.

17

Tej nocy Luke i Avery leżeli obok siebie w łóżku, podczas gdy Instytut szykował się do snu.

Avery szeptem opowiadał o wszystkim, co Maureen mówiła mu za każdym razem, kiedy dotknął nosa, dając sygnał, by przesłała wiadomość. Luke obawiał się, że kobieta nie zrozumie treści listu, który wrzucił jej do koszyka (może to podświadome uprzedzenie wywołane przez brązowy kostium pokojówki – będzie musiał nad tym popracować), ale zrozumiała doskonale i przekazała Avery'emu dokładną listę kroków. Luke uważał, że Aviszon mógł dawać te swoje sygnały trochę subtelniej, ale chyba się udało. Musiał mieć taką nadzieję. Jeśli Maureen powiedziała prawdę, zastanawiał się tylko nad tym, czy pierwszy krok się uda. Był tak prosty, że aż prymitywny.

Obaj chłopcy leżeli na plecach, wpatrzeni w ciemność. Luke powtarzał poszczególne kroki po raz dziesiąty – albo i piętnasty – gdy Avery wdarł

się do jego umysłu i rozpalili tam trzy słowa, które błysnęły jak czerwony neon, a potem zgasły, zostawiając powidok.

Tak, pani Sigsby.

Luke go szturchnął.

Avery zachichotał.

Kilka sekund później słowa pojawiły się znowu, tym razem jeszcze jaśniejsze.

Tak, pani Sigsby!

Luke szturchnął go ponownie, ale się uśmiechał, a Avery mimo ciemności chyba o tym wiedział. Ten uśmiech był nie tylko na ustach, lecz także w umyśle, a Luke uważał, że ma do niego prawo. Może nie uda mu się uciec z Instytutu – musiał przyznać, że szanse nie wyglądają dobrze – dzisiaj jednak był dobry dzień. Nadzieja to takie piękne słowo, takie piękne uczucie.

TAK, PANI SIGSBY, TY KURWO!

– Przestań albo zacznę cię gilgotać – mruknął Luke.

– Udało się, prawda? – szepnął Avery. – Naprawdę się udało. Myślisz, że rzeczywiście możesz...

– Nie mam pojęcia, ale wiem, że spróbuję. A teraz zamknij się i idź spać.

– Szkoda, że nie możesz zabrać mnie ze sobą. Strasznie szkoda.

– Ja też żałuję – powiedział Luke i naprawdę tak myślał.

Avery'emu będzie tu trudno samemu. Był lepiej dostosowany społecznie niż bliźniaczki G albo Stevie Whipple, ale nikt nie przyznałby mu nagrody dla Mistera Osobowości.

– Jak wrócisz, przyprowadź tutaj tysiąc policjantów – wyszeptał Avery.

– I to szybko, zanim zabiorą mnie do Tylnej Połowy. Dopóki jeszcze możemy uratować Shę.

– Zrobię, co się da – obiecał Luke. – A teraz przestań mi się wydzierać w głowie. Ten żart szybko przestaje być śmieszny.

– Szkoda, że nie masz więcej TP. Gdyby nie bolało cię wysyłanie, byłoby nam łatwiej rozmawiać.

– Gdyby ciocia miała wąsy, toby była wujkiem. Mówię ci po raz ostatni: idź spać.

Avery posłuchał i wkrótce Luke sam zaczął odpływać w sen. Pierwszy krok podany przez Maureen był równie niezgrabny jak ta rozklekotana maszyna z lodem, przy której czasami rozmawiali, ale trzeba przyznać, że pasował do wszystkiego, co Luke zdążył już zauważyć: zakurzonych osłon kamer, listew przypodłogowych, z których farba zeszała lata temu i nigdy

ich nie odmalowano, czy też niedbale porzuconej karty do windy. Znów przypomniało mu się porównanie tego miejsca do rakiety z wyłączonym silnikiem, wciąż dryfującej, ale tylko siłą bezwładu.

18

Nazajutrz Winona sprowadziła Luke'a na poziom C, gdzie szybko go zbadano: ciśnienie, tętno, temperatura, saturacja krwi. Kiedy zapytał, co będzie dalej, Dave zerknął do notatek, rzucił mu promienny uśmiech – jakby wcześniej nigdy nie powalił go na podłogę – i oznajmił, że nie ma nic w planie.

– Dzisiaj dostałeś wolny dzień. Skorzystaj. – Dave uniósł rękę wnętrzem dłoni do Luke'a.

Chłopiec odpowiedział uśmiechem i przybił mu piątkę, ale myślał teraz o kartce od Maureen: *Kiedy skończą testy, może zostaną Ci tylko 3 dni.*

– A jutro? – zapytał w drodze powrotnej do windy.

– O jutrze pomyślimy jutro – odparł Dave. – Tak musi być.

Może tak musiało być dla osób bez alternatywy, ale już nie dla Luke'a. Wolałby mieć więcej czasu na przemyślenie planu Maureen – albo raczej na odsuwanie działania na później – obawiał się jednak, że jego czas się kończy.

Gra w dwa ognie stała się w Instytucie codziennością, niemal rytuałem, i prawie każdy brał w niej udział, przynajmniej przez jakiś czas. Luke wszedł na boisko i przepychał się z innymi przez mniej więcej dziesięć minut, a potem dał się trafić. Zamiast dołączyć do rzucających, ruszył przez asfaltową połówkę boiska do koszykówki; minął Friedę Brown, która stała tam sama i ćwiczyła rzuty wolne. Luke pomyślał, że ta dziewczyna nadal nie ma pojęcia, gdzie jest. Usiadł na żwirze i oparł się plecami o płot z siatki. Przynajmniej z insektami było teraz trochę lepiej. Opuścił ręce i w zamyśleniu przesuwiał dłońmi po ziemi tam i z powrotem, obserwując rozgrywkę w dwa ognie.

– Chcesz porzucać? – zapytała Frieda.

– Może potem – odparł.

Od niechcenia sięgnął za plecy, namacał dół ogrodzenia i przekonał się, że Maureen miała rację: znalazł szparę w miejscu, gdzie ziemia nieco opadała. Możliwe, że utworzyły ją wiosenne roztopy. Przestrzeń była niewielka, może pięciocentymetrowa, ale była. Nikomu nie chciało się jej załatać. Zwrócona ku górze dłoń Luke'a spoczęła na odsłoniętym spodzie ogrodzenia i końcówki drutów wbijały mu się w skórę. Pokiwał palcami

w wolnej przestrzeni na zewnątrz Instytutu, a potem wstał, otrzepał tyłek i zapytał Friedę, czy ma ochotę zagrać w króla. Odpowiedziała ochoczym uśmiechem, który mówił: „Tak! Oczywiście! Bądź moim przyjacielem!”.

Trochę pękało mu serce.

19

Następnego dnia Luke również nie miał testów i nikt nawet nie zadał sobie trudu, żeby zrobić mu podstawowe badania. Pomógł woźnej Connie zanieść dwa materace z windy do pokoi we wschodnim skrzydle i za ten trud dostał tylko jeden marny żeton (jeśli chodzi o rozdawanie żetonów, woźni byli bardzo skąpi). W drodze powrotnej do swojego pokoju napotkał Maureen, która stała przy automacie z lodem i piła wodę z butelki, którą zawsze tam sobie chłodziła. Zapytał, czy nie potrzebuje pomocy.

– Nie, radzę sobie – odparła, po czym zniżając głos, dodała: – Hendricks i Zeke rozmawiali przy maszcie. Widziałam ich. Badają cię?

– Już od dwóch dni nie.

– Tak myślałam. Dzisiaj jest piątek. Masz czas do soboty albo niedzieli, ale nie ryzykowałabym.

Luke’a przeraziła mieszanka troski i współczucia, jaką zobaczył na wynędzniałej twarzy kobiety.

Dzisiaj.

Nie powiedział tego głośno, zaledwie poruszył ustami, dotykając dłonią policzka i drapiąc się pod okiem. Maureen kiwnęła głową.

– Czy oni wiedzą, że pani ma... – Luke nie dokończył, ale nie musiał.

– Myślą, że to rwa kulszowa. – Ledwie szeptała. – Może Hendricks czegoś się domyśla, ale jego to nie obchodzi. Nikogo nie obchodzi, jak długo mogę pracować. Idź już, Luke. Sprzątnę twój pokój, kiedy będziesz na lunchu. Kładąc się do łóżka, zajrzyj pod materac. Powodzenia. – Zawahała się. – Chciałabym móc cię uściskać, synku.

Luke poczuł, że oczy mu wilgotnieją. Prędko odszedł, zanim to zobaczyła.

Zjadł obfity lunch, choć nie był szczególnie głodny. To samo zamierzał zrobić podczas kolacji. Czuł, że jeśli się uda, będzie mu potrzebne tyle paliwa, ile tylko zmieści.

Wieczorem na kolacji do Luke’a i Avery’ego dosiadła się Frieda, która najwyraźniej do niego przyłgnęła. Później wyszli na plac zabaw. Luke

odmówił, gdy zaproponowała mu grę w kosza. Powiedział, że popilnuje Avery'ego na trampolinie.

Kiedy oglądał skaczącego Aviszona, który bez entuzjazmu robił siady proste i pady na brzuch, w jego głowie rozbłysło jedno z tych czerwonych neonowych słów.

Dzisiaj?

Luke pokręcił głową.

– Ale dzisiaj musisz nocować u siebie. Chociaż raz chciałbym przespać całe osiem godzin.

Avery zsunął się z trampoliny i spojrzał na niego poważnie.

– Nie mów mi nieprawdy dlatego, że myślisz, że ktoś zobaczy mnie smutnego i zacznie się zastanawiać. Nie muszę wyglądać smutno. – Chłopiec rozciągnął usta w beznadziejnie sztucznym uśmiechu.

Dobrze. Ale nie spieprz mojej szansy, Aviszon.

Wróc po mnie, jeżeli będziesz mógł. Proszę.

Wrócę.

Nawracały kropki, niosąc ze sobą jaskrawe wspomnienie zbiornika zanurzeniowego. Luke przypuszczał, że to przez wysiłek, jakiego wymagało świadome przesyłanie myśli.

Avery patrzył na niego jeszcze przez moment, a potem pobiegł w stronę kosza.

– Frieda, gramy w króla?

Dziewczyna spojrzała z góry i uśmiechnęła się do niego.

– Mały, przecież cię rozniosę.

– Daj mi na starcie dwa punkty, a jeszcze się przekonamy.

Grali, podczas gdy dzień zaczynał gasnąć. Luke przeszedł przez plac zabaw i jeszcze raz obejrzał się na Avery'ego – którego Harry Cross nazwał kiedyś jego „tycim kolegą”. Mały właśnie spróbował rzucić hakiem i nie trafił absolutnie w nic. Luke myślał, że wieczorem Avery przyjdzie do niego choćby po swoją szczoteczkę do zębów, ale mały nie przyszedł.

20

Luke rozegrał na laptopie kilka partii w *Slap Dash* i *100 Balls*, a potem umył zęby, rozebrał się do bokserek i wszedł do łóżka. Zgasił lampkę i sięgnął pod materac. Skaleczyłby się nożem, który zostawiła mu tam Maureen (w przeciwieństwie do tych plastikowych ze stołówki, ten przypominał nóż do jarzyn z prawdziwym ostrzem), gdyby nie to, że

owinęła go w ścierkę. Było tam coś jeszcze, coś, co rozpoznał na dotyk. Często używał takich przedmiotów, zanim tutaj trafił. Pendrive. Pochylił się w ciemności i wsunął obie rzeczy do kieszeni spodni.

Potem zaczęło się czekanie. Przez jakiś czas dzieci biegały po korytarzu, może grały w berka, może się tylko wygłupiały. Teraz, gdy mieszkańców było więcej, działo się tak co wieczór. Były okrzyki i śmiechy, potem przesadzone odgłosy wzajemnego uciszania, a później jeszcze więcej śmiechu. Wyładowywali energię. Wyładowywali strach. Dziś jednym z najgłośniejszych wykrzykujących był Stevie Whipple i Luke uznał, że Stevie musiał pić wino albo lemoniadę z procentami. Brakowało surowych dorosłych, którzy domagaliby się ciszy – bo tym, którzy tu rządzą, nie zależało na egzekwowaniu ani ciszy, ani pory snu.

W końcu w części skrzydła mieszkalnego, w której Luke miał pokój, zapanowała cisza. Teraz słyszał już tylko dźwięk swojego równo bijącego serca i szum własnych myśli, kiedy po raz ostatni powtarzał w głowie listę Maureen.

Kiedy wyjdiesz, plecy w stronę trampoliny, powtarzał sobie. Jeśli musisz, użyj noża. Potem lekko w prawo.

O ILE wyjdzie.

Ulżyło mu, kiedy stwierdził, że jest w osiemdziesięciu procentach zdeterminowany i tylko w dwudziestu się boi. Nawet taka proporcja strachu była bez sensu, ale uznał, że to naturalne. Tym, co napędzało jego determinację – co wiedział z całą pewnością – był prosty, nagi fakt: oto jego szansa, jedyna, jaka się trafi, więc zamierzał ją w pełni wykorzystać.

Kiedy cisza na korytarzu panowała już chyba od pół godziny, Luke wstał z łóżka i wziął z telewizora plastikowy kubełek do lodu. Wymyślił historyjkę dla obserwujących – jeśli o tej godzinie ktoś naprawdę śledził monitory, a nie po prostu siedział w kanciapie ochrony na jednym z dolnych poziomów i układał pasjansa.

Historyjka była o dzieciaku, który wcześniej poszedł spać, a potem z jakiegoś powodu się obudził, może dlatego, że musiał iść siku, a może przez jakiś koszmar. W każdym razie dzieciak dalej jest półprzytomny, więc idzie korytarzem w samej bieliźnie. Kamery w zakurzonych kopułkach śledzą go, kiedy wlecze się do maszyny z lodem, żeby uzupełnić wiaderko. Gdy wraca do pokoju nie tylko z lodem, ale także z łopatką w ręce, obserwujący uznają, że jest zbyt przymulony, by zorientować się, że ciągle ją trzyma. Rano zobaczy ją na biurku albo na podłodze w łazience i nie będzie wiedział, skąd się tam wzięła.

Po powrocie do pokoju Luke wrzucił trochę lodu do szklanki, nalał do niej wody z kranu w łazience i połowę wypił. Była smaczna. W ustach i gardle strasznie mu zaschło. Łopatkę do lodu zostawił na rezerwuarze sedesu, a sam wrócił do łóżka. Przewracał się z boku na bok. Mamrotał sam do siebie. Może chłopak ze zmyślonej przez niego historii tęsknił za swoim tycim koleżką. Może właśnie dlatego nie potrafił z powrotem zasnąć. I możliwe, że nikt go nie oglądał, ale niewykluczone, że tak, więc musiał to odgrywać w ten sposób.

W końcu znowu zapalił lampkę i ubrał się. Wszedł do łazienki, gdzie nie było monitoringu (RACZEJ nie było), wepchnął sobie łopatkę z przodu spodni i przykrył T-shirtem z Minneapolis-Saint Paul. Jeśli mieli tu jednak kamerę i ktoś ją śledził, Luke pewnie i tak był już ugotowany. Nic nie mógł na to poradzić, musiał po prostu przejść do następnego etapu swojej historyjki.

Wyszedł z pokoju i ruszył korytarzem w kierunku świetlicy. Byli tam Stevie Whipple i jeszcze jeden chłopak, któryś z nowych. Smacznie spali na podłodze. Wokół nich leżało sześć małych po whisky Fireball, wszystkie puste. Te buteleczki kosztowały dużo żetonów. Stevie i jego nowy kolega obudzą się z kacem i pustymi kieszeniami.

Luke zrobił krok nad Steviem i wszedł do stołówki. Paliły się tylko jarzeniówki nad barem sałatkowym, więc całe pomieszczenie było mroczne i trochę straszne. Wziął jabłko ze stale uzupełnianej miski z owocami i ugryzł kawałek, człapiąc z powrotem do świetlicy. Miał nadzieję, że nikt go nie obserwuje, a nawet jeśli tak – to że rozpozna odgrywaną pantomimę i w nią uwierzy. Chłopak się obudził. Chłopak poszedł do automatu po lód, wypił szklankę zimnej wody, ale wtedy rozbudził się jeszcze bardziej, więc wybrał się do stołówki po coś do jedzenia. Później chłopak pomyślał sobie: Ej, a może na trochę wyjdę na plac zabaw, żeby odetchnąć świeżym powietrzem? Nie byłby pierwszy – Kalisha mówiła, że parę razy wychodziły z Iris, żeby patrzeć na gwiazdy, które ze względu na brak zanieczyszczenia świetlnego były tu bardzo jasne. Opowiadała również, że inni chadzali tam nocą, żeby się całować. Luke miał nadzieję, że akurat dzisiaj nikt się tam nie liże ani nie ogląda nieba.

Nie zastał nikogo, a ponieważ nie świecił księżyc, na placu zabaw było dość ciemno. Różne sprzęty rysowały się zaledwie jako kanciaste cienie. Małe dzieci bez towarzystwa zwykle boją się ciemności. Duże zresztą też, chociaż większość wolałaby się do tego nie przyznawać.

Luke przeszedł przez plac zabaw, tylko czekając, aż pojawi się któryś z mniej znanych opiekunów z nocnej zmiany i zapyta, co on tu robi z łopatką ukrytą pod ubraniem. Chyba nie myśli o ucieczce, prawda? Musiałby być zdrowo szajbnięty!

– Szajbnięty – mruknął Luke, siadając na ziemi plecami do ogrodzenia. – To właśnie ja, prawdziwy szajbus.

Wyczekiwał, czy ktoś tu przyjdzie. Nie przyszedł. Słyszał tylko świerszcze i pohukiwanie sowy. Na podwórku znajdowała się kamera, ale czy obraz z niej naprawdę ktoś obserwował? Wiedział, że w Instytucie jest ochrona, tylko że byle jaka. Jak bardzo byle jaka – o tym miał się teraz przekonać.

Uniósł koszulkę i wyjął łopatkę. Kiedy obmyślał ten etap planu, wyobrażał sobie, że będzie kopał za plecami, używając prawej ręki, a gdy się zmęczy, może zmieni ją na lewą. W rzeczywistości niezbyt się to sprawdziło. Co chwilę skrobał łopatką o dół siatki ogrodzenia, co w otaczającej ciszy powodowało bardzo głośny dźwięk, a na dodatek nie widział, czy robi postępy.

To szaleństwo, pomyślał.

Porzucił lęk przed kamerą, ukląkł i zaczął kopać pod płotem, rozrzucając żwir na boki. Czas zdawał się rozciągać. Luke czuł, że mijają godziny. Czy w pokoju monitoringu, którego on nigdy nie widział (ale umiał go sobie wyraziście wyobrazić), nikt się nie zastanawiał, dlaczego dzieciak cierpiący na bezsenność ciągle nie wrócił z placu zabaw? Czy wysłał kogoś, by to sprawdził? No a wyobraź sobie, Lukey, że kamera jest wyposażona w noktowizor. Co by wtedy było?

Kopał. Jego twarz robiła się śliska od potu, który wabił owady na nocnej zmianie. Kopał. Czuł, że śmierdzi mu spod pach. Serce biło mu jak w galopie. Miał wrażenie, że ktoś za nim stoi, ale kiedy się odwrócił, zobaczył tylko słup kosza do koszykówki na tle gwiazd.

Teraz pod ogrodzeniem znajdował się rów. Płytki, ale Luke był szczupły, kiedy trafił do Instytutu, a od tamtego czasu schudł jeszcze bardziej. Może...

Kiedy jednak położył się na ziemi i spróbował się przeczołgać, płot go powstrzymał. Dużo jeszcze brakowało.

Wracaj. Wracaj i połącz się do łóżka, zanim cię znajdą i zrobią ci coś strasznego za to, że próbowałeś uciec.

To jednak nie było rozwiązanie, tylko tchórzostwo. I tak mieli mu zrobić coś strasznego: filmy, ból głowy, Światła Stasi... a w końcu brzęczenie.

Kopał, teraz już dysząc, machał ręką tam i z powrotem, w prawo i w lewo. Szpara między spodem ogrodzenia a ziemią powoli się rozszerzała. Jakie to głupie ze strony tamtych, że po obu stronach płotu zostawili utwardzony pas ziemi. Jakie to głupie, że nie podpięli siatki do prądu, choćby słabego. Ale nie podpięli, a teraz on był tutaj.

Znowu się położył, znowu spróbował prześlizgnąć się pod płotem i znowu powstrzymał go spód ogrodzenia. Tym razem niedużo brakowało. Luke ponownie ukląkł i kopał dalej, kopał szybciej, w prawo i w lewo, tam i z powrotem, raz za razem. Rozległ się trzask i uchwyt łopatką w końcu się złamał. Luke odrzucił go i pracował dalej, czuł, jak krawędź łopatką wżyna mu się w dłoń. Kiedy przerwał, by je obejrzeć, okazało się, że krwawia.

Tym razem musiał się precyzyjnie. Musiał.

Ale wciąż... nie dawał... rady.

Wrócił zatem do pracy z łopatką. W tę i w tę, na prawą i lewą burzę. Krew ciekła mu z palców, spocone włosy lepiły się do czoła, komary śpiewały mu w uszach. Odłożył łopatkę, położył się i ponownie spróbował się precyzyjnie pod ogrodzeniem. Wystające końcówki drutów szarpały mu koszulkę, a potem wbijały się w skórę, rozkrwawiając jeszcze łopatkę. Brnął dalej.

W połowie drogi utknął. Patrzył na żwir, widział, jak kurz leciutko się unosi i wiruje mu pod nozdrzami, kiedy dyszał. Musiał zawrócić, musiał wykopać jeszcze głębszy rów – może tylko odrobinę. Tyle że kiedy spróbował się cofnąć w stronę placu zabaw, odkrył, że i w tamtym kierunku nie może się ruszyć. Nie to, że utknął – był wręcz uwięziony. Będzie tu tkwił, pod tym pieprzonym płotem, niczym królik w pułapce, kiedy rano wszędzie słońce.

Zaczęły powracać kropki, czerwone, zielone i fioletowe; wynurzały się ze świeżo skopanej ziemi, która znajdowała się zaledwie kilka centymetrów przed nim. Pędziły ku niemu, rozszczepiały się, łączyły, wirowały i pulsowały. Klaustrofobia ścisnęła go za serce, ścisnęła mu umysł. Jego dłonie pulsowały.

Wyciągnął rękę, wbił zakrzywione palce w ziemię i pociągnął ile sił. Przez moment kropki wypełniały mu nie tylko pole widzenia, ale również cały mózg; zagubił się w ich blasku. Potem spód ogrodzenia jakby trochę się uniósł. Może to tylko wyobraźnia, ale raczej nie. Luke słyszał skrzypienie.

Być może dzięki zastrzykom i zbiornikowi jestem teraz TK-pozytywny, pomyślał. Tak jak George.

Uznał, że to nie ma znaczenia. Liczyło się tylko to, że znowu zaczął się ruszać.

Kropki ustąpiły. Jeśli spód płotu naprawdę się uniósł, to musiał z powrotem opaść. Metalowe kolce orały Luke'owi nie tylko ramiona, lecz także pośladki i uda. Był taki przerażający moment, kiedy chłopiec znowu się zatrzymał, bo ogrodzenie chciwie go pochwyliło i nie chciało puścić, gdy jednak obrócił głowę i przycisnął policzek do żwiru, zobaczył jakiś krzak. Być może w zasięgu ręki. Wyprostował ramię, ale trochę mu zabrakło. Wyciągnął się jeszcze bardziej i wtedy złapał za krzak. Pociągnął. Roślina zaczęła wychodzić z ziemi, zanim jednak wyszła do końca, Luke znowu mógł się poruszać; pracował biodrami i odpychał się stopami. Wystający koniec siatki pocałował go jeszcze na do widzenia, zostawiając piekącą kreskę na łydce, a potem chłopiec wyczołgał się po drugiej stronie płotu.

Był na zewnątrz.

Chwiejnie podniósł się na kolana i rzucił gorączkowe spojrzenie za siebie, przekonany, że teraz zapalą się wszystkie światła – nie tylko w świetlicy, ale także na korytarzach i w stołówce – a w ich blasku zobaczy biegnące postacie: opiekunów z paralizatorami w rękach, ustawionymi na maksimum mocy.

Nie było nikogo.

Luke wstał i pobiegł na oślep, w panice zapominając o zasadniczym kolejnym kroku – orientacji. Może popędziłby w las i zgubił się tam, zanim zdążyłby mu wrócić zdrowy rozsądek, gdyby nie nagły piekący ból w lewej pięcie: chłopiec nastąpił na ostry kamień i zorientował się, że na samym końcu, rozpaczliwie wygrzebując się spod ogrodzenia, zgubił jednego sneakersa.

Podszedł do płotu, schylił się po but i włożył go. Plecy i pośladki tylko bolały, ale ostatnia rana łydki była głębsza i piekła jak przypalana rozżarzoną żelazem. Tętno zwolniło i wróciła jasność myślenia. *Kiedy wyjdiesz, idź równo z trampoliną – powiedział mu Avery, powtarzając instrukcje Maureen. Odwróć się do niej plecami, a potem obróć o średni krok w prawo. To będzie twój kierunek. Masz do przejścia tylko jakieś półtora kilometra i nie musisz się trzymać idealnie prostej linii, bo celujesz w coś dużego, ale się postaraj.* Potem, gdy tamtej nocy leżeli w łóżku, Avery powiedział, że Luke chyba mógłby kierować się gwiazdami. Sam nie znał się na takich rzeczach.

No więc dobrze. Czas w drogę. Zostało jednak coś, co musiał zrobić najpierw.

Sięgnął ręką do prawego ucha i namacał małe kółko zagłębione w małżowinie. Pamiętał, jak któraś z dziewczyn – może Iris, może Helen – mówiła, że wszczepienie implantu nie bolało, bo miała już przekłute uszy. Tyle że kolczyki można odkręcić; Luke widział, jak mama to robiła. A tego nie.

Boże, błagam, nie każ mi używać noża.

Zebrał się w sobie, wcisnął paznokcie pod zakrzywioną górną krawędź wszczepu śledzącego i pociągnął. Małżowina naciągnęła się i zabolęło, bardzo zabolęło, czip jednak nie drgnął. Luke puścił, dwa razy głęboko odetchnął (wtedy powróciły wspomnienia zbiornika zanurzeniowego) i szarpnął ponownie. Tym razem zabolęło jeszcze bardziej, ale wszczep pozostał na swoim miejscu, a czas mijał. W zachodnim skrzydle mieszkalnym, które dziwnie wyglądało z tej nieznanym perspektywy, wciąż panowały mrok i spokój, lecz na jak długo?

Luke zastanawiał się, czy nie szarpnąć raz jeszcze, ale tylko odsuwałby w czasie nieuniknione. Maureen wiedziała, że tak będzie – to dlatego zostawiła mu nóż do jarzyn. Wyjął go teraz z kieszeni (ostrożnie, żeby przy okazji nie wyciągnąć pendrive'a) i podniósł do oczu w słabym świetle gwiazd. Opuszką kciuka dotknął ostrej krawędzi, a potem lewą ręką sięgnął do ucha i naciągnął płatek małżowiny, jak tylko się dało, czyli nie za bardzo.

Zawahał się, dając sobie chwilę na zrozumienie, że naprawdę znajduje się po wolnej stronie ogrodzenia. Znowu sennie zahukała sowa. Luke widział, jak świetliki rysują ściegi w mroku. Nawet w tym dramatycznym momencie uświadomił sobie, że są piękne.

Zrób to szybko, powiedział sobie. Udawaj, że kroisz stek. I nie krzycz, choćby nie wiem jak bolało. Nie możesz krzyczeć.

Przyłożył nóż do płataka małżowiny usznej po zewnętrznej stronie i stał tak przez kilka sekund, które wydawały się wiecznością. Potem go opuścił.

Nie mogę.

Musisz.

Nie mogę.

O Boże, muszę.

Ponownie przyłożył krawędź noża do miękkiego, bezbronnego ciała i nacisnął natychmiast, tak że zdążył się jeszcze tylko pomodlić, żeby krawędź okazała się dostatecznie ostra, by zrobić swoje za jednym razem.

Nóż rzeczywiście był ostry, choć w ostatniej chwili Luke'a trochę zawiodła siła, więc płatek, zamiast całkiem odpaść, zadyndał na skrawku chrząstki. W pierwszej chwili chłopiec w ogóle nie poczuł bólu, a jedynie

ciepło krwi spływającej po szyi. Potem ból się odezwał. To było tak, jakby użądliła go osa, wielka niczym półlitrowa butelka, i wstrzyknęła mu swój jad. Luke przeciągle syknął, chwycił dyndający kawałek ucha i oderwał go jak skórę z nóżki kurczaka. Później się nad nim pochylił, bo choć wiedział, że załatwił to draństwo, mimo wszystko musiał je zobaczyć. Musiał się upewnić. Było tam.

Ustawił się na równi z trampoliną. Stał do niej plecami, a potem obrócił się o krok – miał nadzieję, że średni – w prawo. Przed nim majaczyła ciemna połać lasów północnego Maine, ciągnąca się przez Bóg wie ile kilometrów. Luke spojrział w górę i zobaczył Wielki Wóz – jedna z narożnych gwiazd znajdowała się na wprost przed nim. Idź za nią, powiedział sobie. Nic więcej. Zresztą nie będziesz tak szedł aż do rana, bo Maureen mówiła Avery’emu, że to tylko półtora kilometra, a później pora na następny etap. Nie zważaj na ból w łopatkach, jeszcze gorszy ból w łydce ani najgorszy ze wszystkiego ból twojego ucha van Gogha. Nie zważaj na to, że drżą ci ręce i nogi. Ruszaj. Ale najpierw...

Podniósł prawą pięść do ramienia i cisnął kawałek ciała, w którym wciąż tkwił wszczep śledzący, na drugą stronę ogrodzenia. Usłyszał (albo wydawało mu się, że usłyszał) ciche stuknięcie, gdy urządzenie uderzyło o asfalt okalający tutejszą marną imitację boiska do koszykówki. Niech je tam znajdą.

Ruszył przed siebie, z uniesionym wzrokiem, utkwionym w tę jedną gwiazdę.

21

Gwiazda prowadziła Luke’a przez niecałe trzydzieści sekund. Gdy tylko wszedł w las, zniknęła. Stał w miejscu. Za nim Instytut wciąż był częściowo widoczny przez pierwsze krzyżujące się gałęzie drzew.

Tylko półtora kilometra, powiedział sobie, a potem ją znajdziesz, nawet jeśli trochę zboczysz z kursu, bo Maureen mówiła Avery’emu, że jest duża. Przynajmniej dość duża. Dlatego idź powoli. Jesteś praworęczny, czyli dominuje u ciebie prawa strona, więc staraj się to rekompensować, ale nie za bardzo, inaczej zboczysz w lewo. I licz. Półtora kilometra to powinno być od dwóch do dwóch i pół tysiąca kroków. To oczywiście orientacyjna liczba, w zależności od terenu. I uważaj, żeby nie wykluć sobie oka jakąś gałęzią. Masz już w ciele dosyć dziur.

Luke ruszył dalej. Przynajmniej nie musiał się przedzierać przez gąszcz – tutaj rosły stare drzewa, które w górze dawały dużo cienia, a na

ziemi tworzyły grubą warstwę ściółki powstrzymującej wzrost podszycia. Za każdym razem, kiedy musiał omijać jakieś drzewo (to chyba były sosny, ale kto to naprawdę wiedział w ciemności?), starał się odzyskać orientację i iść dalej w linii prostej, która teraz – musiał to przyznać – była w dużej mierze teoretyczna. To trochę tak, jakby szedł przez ogromne pomieszczenie pełne ledwo widzialnych obiektów.

Nagle coś po lewej stronie stęknęło, a potem zerwało się do biegu, łamiąc jedną gałązkę i poruszając innymi. Mieszczuch Luke stanął jak wryty. Czy to jelen? Jezu, a jeśli to niedźwiedź? Jeleń by uciekł, ale niedźwiedź mógł mieć ochotę na nocną przekąskę. Być może właśnie się zbliżał, zwabiony zapachem krwi. Przecież koszulka Luke'a na szyi i prawym ramieniu była nią przesiąknięta.

Potem dźwięk ucichł; chłopiec słyszał już tylko świerszcze i raz po raz pohukiwania sowy. Zanim usłyszał tamto coś, zdążył naliczyć osiemset kroków. Znowu ruszył dalej, z wyciągniętymi rękami jak ślepiec; w myślach odhaczał kolejne kroki. Tysiąc... tysiąc dwieście... tu jest drzewo, prawdziwy potwór, najniższe gałęzie ma wysoko nad moją głową, tak daleko, że nie widać, obejdę je... tysiąc czterysta... tysiąc pięć...

Potknął się o powalony pień i runął jak długi. Coś, kikut gałęzi, wbiło mu się wysoko w lewe udo, aż stęknął z bólu. Leżał przez chwilę pośród ściółki, odzyskując dech w piersiach i tęskniąc – oto zabójczy szczyt absurdu – za swoim pokojem w Instytucie. Pokojem, gdzie na wszystko było miejsce i wszystko było na swoim miejscu, gdzie żadne zwierzęta nieokreślonej wielkości nie rozbiły się wśród drzew. Za bezpiecznym miejscem.

– Jasne, dopóki nie przestanie być bezpieczne – szepnął, a potem potarł nowe rozdarcie dżinsów i nowe rozdarcie skóry pod spodem.

Przynajmniej nie mają psów, pomyślał, przypominając sobie jakiś stary czarno-biały film o więzieniu, w którym dwaj skuci łańcuchem skazańcy rzucili się do ucieczki, ścigani przez ujadającą sforę. Do tego zwiewali przez bagno. Gdzie były aligatory.

Widzisz, Lukey? – usłyszał w myślach głos Kalishy. Wszystko w porządku. Po prostu idź dalej. W linii prostej. Przynajmniej tak prostej, jak się da.

Po dwóch tysiącach kroków zaczął wypatrywać świateł między drzewami. Zawsze jest ich kilka, powiedziała Avery'emu Maureen, ale żółte jest najjaśniejsze. Po dwóch i pół tysiącach zaczął robić się nerwowy. Po trzech i pół nabrał pewności, że zboczył z kursu, i to nie tylko trochę.

To przez tamto drzewo, o które się potknąłem, pomyślał. Przez tamto cholerne drzewo. Kiedy się podniosłem, musiałem pójść w złą stronę. Teraz równie dobrze mogę zaszuwać do Kanady. Jeśli nie znajdą mnie goście z Instytutu, umrę w tym lesie.

Ponieważ jednak powrót nie wchodził w grę (Luke nie trafiłby po własnych śladach, nawet gdyby chciał), szedł dalej, machając przed sobą rękami, żeby odgarniać gałęzie, które mogłyby go zranić w nowych miejscach. Rwało go ucho.

Przestał liczyć kroki, ale musiał dobijać do pięciu tysięcy – to dobrze ponad trzy kilometry – gdy między drzewami ujrzał słaby żółtopomarańczowy poblask. W pierwszej chwili myślał, że to albo halucynacja, albo jedna z kropek, do których wkrótce dołączą chmury kolejnych. Kolejne kilkanaście kroków położyło kres tym obawom. Żółtopomarańczowe światła były wyraźniejsze i dołączyły do nich inne, dużo słabsze. To musiały być światła elektryczne. Te jaśniejsze to prawdopodobnie lampy sodowe, takie jak na dużych parkingach. Pewnego razu, kiedy ojciec Rolfa zabrał ich obu do kina w AMC Southdale, powiedział, że takie lampy mają zapobiegać napadom i włamaniom do aut.

Luke miał ochotę po prostu puścić się pędem naprzód, ale ją powściągnął. Ostatnie, czego mu było trzeba, to przewrócić się o kolejne powalone drzewo albo wdepnąć w dziurę i złamać sobie nogę. Widział teraz więcej światła, lecz nie spuszczał wzroku z tego pierwszego. Wielka Niedźwiedzica nie wystarczyła mu na długo, ale oto miał nową gwiazdę przewodnią, znacznie lepszą. Po dziesięciu minutach od chwili, gdy zobaczył ją po raz pierwszy, dotarł na skraj drzew. Przed sobą miał z pięćdziesiąt metrów pustej przestrzeni, dalej zaś rozciągało się kolejne ogrodzenie z siatki. Tym razem było zwieńczone drutem kolczastym, a co jakieś dziesięć metrów wznosiły się słupy z reflektorami. Uruchamianymi przez czujnik ruchu, jak powiedziała Avery’emu Maureen. Każ Luke’owi się do nich nie zbliżać – mówiła. Zbyteczna porada.

Za płotem stały małe domy. Bardzo małe. Tak ciasne, że z kotem byś się nie obrócił, jak zapewne powiedziałaby ojciec Luke’a. Mogły się składać z góra trzech pomieszczeń, a raczej pewnie tylko z dwóch. Wszystkie były jednakowe. Avery mówił, że Maureen nazywała to miejsce wioską, ale przypominało raczej wojskowe koszary. Budynek stały w blokach po cztery, z kawałkiem trawnika pośrodku. W oknach niektórych domów świeciły się światła, zapewne takie zostawiane w łazience, żeby nocą nie przewrócić się o coś w drodze do ubikacji.

Była tam również jedna ulica kończąca się większym budynkiem. Po jego obu stronach znajdowały się nieduże parkingi pełne samochodów i półciężarówek zaparkowanych drzwi w drzwi. Luke ocenił, że w sumie może ich być od trzydziestu do czterdziestu. Przypomnił sobie, jak kiedyś się zastanawiał, gdzie personel Instytutu trzyma swoje auta. Teraz już wiedział, choć tajemnicą pozostawał sposób dostarczania żywności. Lampę sodową zamontowano na słupie przed tym większym budynkiem. Oświetlała dwa dystrybutory paliwa. Luke doszedł do wniosku, że to musi być jakiś sklep, instytutowy odpowiednik kantyny garnizonowej.

Teraz rozumiał trochę więcej. Pracownikom dawano nieco wolnego – Maureen dostała tydzień na powrót do Vermontu – głównie jednak przebywali tutaj, a gdy nie byli na służbie, mieszkali w tych tandetnych domkach. Grafiki pracy dało się ułożyć w taki sposób, żeby tę samą kwaterę mogło dzielić kilka osób. Gdy ktoś potrzebował rozrywki, wsiadał do prywatnego samochodu i jechał do najbliższego miasteczka, czyli Dennison River Bend.

Miejscowych niewątpliwie ciekawiło, czym zajmują się ci ludzie w lesie, na pewno zadawali pytania, musiała więc na ich użytek istnieć jakaś oficjalna wersja. Luke nie miał pojęcia jaka (i w tej chwili nic go to nie obchodziło), ale chyba całkiem niezła, skoro sprawdzała się przez tyle lat.

Idź w prawo wzdłuż płotu. Szukaj szalika.

Luke ruszył – płot i wioskę miał po lewej ręce, a skraj lasu po prawej. Znowu musiał się powstrzymać przed tym, by nie ruszyć pędem, zwłaszcza że teraz trochę lepiej widział. Z konieczności spędzili z Maureen mało czasu, częściowo dlatego, że gdyby ich konferencja ciągnęła się zbyt długo, ktoś nabrałby podejrzeń, a częściowo – ze strachu, że przez ostentacyjne łapanie się Avery’ego za nos wszystko się wyda. W rezultacie Luke nie miał pojęcia, gdzie może znajdować się szalik, i bał się, że go przegapi.

To mu jednak nie groziło. Maureen przywiązała szalik do nisko wiszącej gałęzi wysokiej sosny tuż przed miejscem, gdzie ogrodzenie skręcało w lewo i zaczynało oddalać się od lasu. Luke odwiązał go, a potem się nim przepasał, ponieważ nie chciał zostawiać tak oczywistego śladu tym, którzy wkrótce zaczną go ścigać. Zaczął się zastanawiać, ile czasu minie, zanim pani Sigsby i Stackhouse odkryją jego zniknięcie i zorientują się, kto mu pomógł. Pewnie niewiele.

Maureen, niech pani im wszystko powie, pomyślał. Niech pani nie torturuje. Bo jeśli coś pani zatai, na pewno to zrobią, a jest pani za stara

i zbyt chora, żeby wytrzymać w zbiorniku.

Jasne światło przed budynkiem, gdzie chyba mieścił się sklep, zostało dość daleko w tyle, więc Luke musiał się uważnie rozejrzeć, zanim znalazł starą drogę prowadzącą z powrotem do lasu, taką, z której pokolenie temu mogli korzystać drwale prowadzący wyręb na ścier drzewny. Początek drogi był osłonięty gęstą kępą krzaków borówki. Mimo pośpiechu Luke przystanął, by zerwać dwie garście owoców, i wrzucił je do ust. Były słodkie i pyszne. Smakowały wolnością.

Po tym, jak już znalazł starą ścieżkę, łatwo się nią podążało, nawet w ciemności. Koronę drogi porastały zarośla, a dawne koleiny były teraz dwoma pasmami chwastów. W poprzek leżały gałęzie, nad którymi należało przestąpić (albo się o nie przewrócić), ale zabłądzenie z powrotem w las było niemożliwe.

Luke próbował znowu liczyć kroki, dosyć dobrze mu to szło aż do czterech tysięcy, potem dał za wygraną. Trasa chwilami pięła się do góry, lecz głównie opadała. Kilkakrotnie napotykał masy zwalonych drzew i gałęzi, a raz taki gęszcz krzaków, że wystraszył się, że to już koniec starej drogi, przedarł się jednak na drugą stronę, ponownie odnalazł ścieżkę i szedł dalej. Nie miał pojęcia, ile czasu minęło. Może godzina, ale raczej bliżej dwóch. Pewne pozostawało tylko to, że wciąż trwała noc, i choć samotne przebywanie w ciemności było trochę straszne, zwłaszcza dla mieszcucha, Luke miał nadzieję, że nie rozjaśni się jeszcze bardzo długo. Tylko że nie mógł na to liczyć. O tej porze roku zaczynało świtać około czwartej nad ranem.

Dotarł na szczyt kolejnego wzniesienia i na chwilę przystanął, by odsapnąć. Odpoczywał, stojąc, bo choć nie podejrzewał, że jeśli usiądzie, to zaśnie, przerażała go myśl, że mogłoby się tak stać. Adrenalina, która pozwoliła mu się przeczołgać pod ogrodzeniem, a potem przedrzeć przez las do wioski, już się wyczerpała. Plecy, noga i ucho przestały krwawić, ciągle jednak pulsowały i piekły. Najgorzej było z uchem. Dotknął go niepewnie i zaraz cofnął rękę, sycząc z bólu przez zaciśnięte zęby. Wcześniej jednak zdążył namacać nieregularne zgrubienie zaschniętej krwi.

Okaleczyłem się, pomyślał. Ten płatek ucha nigdy nie odrośnie.

– Ci skurwiele mnie do tego zmusili – szepnął. – Zmusili mnie.

Ponieważ nie śmiał usiąść, pochylił się i złapał za kolana, przyjmując pozycję, którą wielokrotnie stosowała Maureen. Nic to nie pomogło na poorane drutami plecy, zraniony tyłek czy okaleczone ucho, ale przyniosło nieco ulgi zmęczonym mięśniom. Luke wyprostował się, gotów

iść dalej, i znieruchomiał. Skądś z przodu dobiegał cichy dźwięk. Coś jakby szum, szelest wiatru wśród sosen, tylko że na tym niewielkim wzniesieniu nie było nawet najłżejszego powiewu.

Niech to nie będzie halucynacja, pomyślał chłopiec. Niech to będzie prawda.

Po kolejnych pięciuset krokach – tym razem je liczył – był już pewien, że to dźwięk płynącej wody. Droga stawała się coraz szersza i bardziej stroma. Wkrótce opadała tak gwałtownie, że musiał iść bokiem, przytrzymując się gałęzi, żeby nie upaść na tyłek. Zatrzymał się, kiedy drzewa po obu stronach zniknęły. W tym miejscu las nie tylko wycięto, ale też wykarczowano, tworząc polanę porośniętą teraz krzakami. Po jej drugiej stronie biegła w dół szeroka wstęga czarnego jedwabiu, tak gładka, że w jej falach odbijały się gwiazdy. Luke wyobrażał sobie dawnych drwali – którzy mogli pracować w tych północnych lasach jeszcze przed drugą wojną światową – jak dowozili tu drewno ciężarówkami marki Ford czy International Harvester, a może nawet konnymi wozami. Ta polana była ich punktem zwrotnym. Tu wyładowywali papierówkę i spychali ją w dół do rzeki Dennison, gdzie rozpoczęła podróż do tartaków na południu stanu.

Luke zszedł z tego ostatniego pagórka na obolałych i drżących nogach. Końcowe pięćdziesiąt metrów okazało się najbardziej strome. Kłody spuszczone tędy przed laty wyłobily drogę aż do podłoża skalnego. Chłopiec usiadł na ziemi, a potem zjechał, chwytając się krzaków, żeby nieco zwolnić. W końcu zatrzymał się tak gwałtownie, że aż zgrzytnął zębami, mniej więcej metr nad wodą. Tam, zgodnie z obietnicą Maureen, spod przysypanej sosnowymi igłami płachty zielonego brezentu wystawał dziób starej łodzi wiosłowej, przywiązanej do poszarpanego pniaka.

Skąd Maureen wiedziała o tym miejscu? Czy ktoś jej powiedział? To chyba nie byłoby zbyt bezpieczne, skoro od łódki zależało życie chłopca. Może zanim zachorowała, znalazła ją podczas samotnego spaceru? Albo ona i parę innych osób – na przykład kobiety ze stołówki, z którymi chyba się przyjaźniła – przyszły tu z pseudowojskowej wioski na piknik: kanapki, coca-cola i butelka wina. To bez znaczenia. Ważne, że łódź tu była.

Luke zsunął się do rzeki, która sięgała mu do łydek. Schylił się i nabrał oburącz trochę wody do ust. Była zimna i jeszcze słodsza niż borówki. Kiedy zaspokoił pragnienie, spróbował rozplątać linę, którą przywiązano łódkę, ale węzły okazały się skomplikowane, a czas upływał. W końcu

przepiłował sznur nożem do warzyw, a wtedy prawa dłoń znowu zaczęła mu krwawić. Co gorsza, łódź natychmiast popłynęła.

Rzucił się, chwycił za dziób i przyciągnął ją z powrotem. Teraz krwawiły mu obie ręce. Próbował ściągnąć materiał, lecz gdy tylko puścił dziób łódki, prąd natychmiast znowu ją porwał. Luke przeklinał sam siebie, że nie zaczął od zdjęcia płachty. Brzeg był zbyt wąski, by wyciągnąć łódź z wody, dlatego ostatecznie chłopiec zrobił jedyne, co mógł: przerzucił swój tułów przez burtę, wpełzł pod dziwnie pachnący stary brezent, a potem chwycił pełną drzazg ławkę w połowie długości kadłuba i wciągnął się na pokład resztą ciała. Wylądował w kałuży wody na czymś długim i kanciastym. Łagodny prąd już ciągnął łódkę w dół rzeki, rufą do przodu.

Nie lada przygoda mi się trafiła, pomyślał Luke. Doprawdy nie lada przygoda.

Usiadł pod materiałem, który wydał się wokół niego, powodując jeszcze silniejszy smród. Chłopiec zaczął machać krwawiącymi rękami, aż w końcu płachta spadła za burtę. Przez chwilę sunęła obok łódki, a potem zaczęła tonąć. Kanciasta rzecz, na której wylądował, okazała się wiosłem. W przeciwieństwie do łodzi wyglądało na stosunkowo nowe. Maureen zostawiła Luke'owi szalik jako drogowskaz – czy wiosło również pochodziło od niej? Nie miał pewności, czy w obecnym stanie kobieta zdołałaby tu dojść starą drogą drwali, nie mówiąc już o zejściu po ostatniej stromiźnie. Jeśli naprawdę to zrobiła, zasługiwała co najmniej na epicki poemat na swoją cześć. I to wszystko tylko dlatego, że wyszukał dla niej w internecie parę rzeczy, które pewnie sama by znalazła, gdyby nie była taka chora? Nie wiedział, co o czymś takim myśleć, a tym bardziej jak to zrozumieć. Wiedział tylko tyle, że ma wiosło i musi go użyć, nawet jeśli jest zmęczony i krwawia mu ręce.

Przynajmniej wiosłować potrafił. Co prawda był mieszczuchem, ale Minnesota to kraina dziesięciu tysięcy jezior, więc Luke często jeździł na ryby z dziadkiem ze strony ojca (lubiącym mówić o sobie, że jest „zwykłym starym skurczyrybem z Mankato”). Chłopiec usiadł na środkowej ławce i zaczął od skierowania dziobu łodzi z prądem. Gdy to się udało, przepłynął na środek rzeki, która miała w tym miejscu jakieś siedemdziesiąt metrów szerokości, i wciągnął wiosło. Zdjął sneakersy i właśnie zamierzał je postawić na krótkim siedzeniu rufowym, żeby wyschły, kiedy zobaczył, że coś tam napisano wyblakłą czarą farbą. Nachylił się i przeczytał: *SS Ślamazara*. Aż się uśmiechnął. Potem odchylił

się, oparł na łokciach i spojrział w obłądnie rozgwieżdżone niebo; usiłował przekonać sam siebie, że wcale nie śni – że naprawdę uciekł.

Gdzieś z tyłu, z lewej strony, dobiegł podwójny sygnał elektrycznej syreny. Luke obrócił się i zobaczył migoczące między drzewami silne światło pojedynczego reflektora. Najpierw zrównało się z jego łódką, a potem ją wyprzedziło. Nie widział lokomotywy ani reszty pociągu, który ciągnęła, ponieważ gęsty las przesłaniał mu widok, słyszał jednak turkot wagonów towarowych i wrzask rozbrykanych stalowych kół na stalowych torach. Właśnie to ostatecznie przesądziło sprawę. Tutaj nie chodziło o jakąś niewiarygodnie szczegółową fantazję, która rozgrywała się w mózgu Luke'a śpiącego w swoim łóżku w zachodnim skrzydle. To był prawdziwy pociąg, zmierzający zapewne do Dennison River Bend. Luke siedział w prawdziwej łódce sunącej na południe z powolnym, pięknym prądem. Oczywiście Sługusy Sigsby będą go ścigać, ale...

– Nigdy nie pójde do Tylnej Połowy. Nigdy.

Przełożył dłoń przez burtę SS *Ślamazary*, rozczapierzył palce i patrzył, jak cztery wąziutkie ślady nikną za nim w ciemności. Robił tak już wiele razy, pływając należącym do dziadka aluminiowym skifem wędkarskim z pyrkającym dwusuwowym silnikiem, ale nigdy – nawet jako czterolatek, dla którego wszystko było nowe i niesamowite – nie był równie oszołomiony widokiem tych ulotnych bruzd na wodzie. Przyszło mu do głowy, z mocą prawdziwego olśnienia, że trzeba zostać uwięzionym, żeby w pełni zrozumieć, czym jest wolność.

– Prędzej umrę, niż pozwolę im się tam zabrać z powrotem.

Rozumiał, że to prawda i że może do tego dojść, ale również – że jak dotąd nie doszło. Luke Ellis uniósł ociekające wodą poranione dłonie ku nocnemu niebu, poczuł, jak owiewa je wolne powietrze, i zaczął płakać.

22

Zdrzemnął się na ławce pośrodku łodzi, z głową zwieszoną na piersi, dłonie dyndały mu między nogami, a bosa stopy spoczywały w niewielkiej kałuży na dnie kadłuba, i może dalej by tak spał, a *Ślamazara* poniosłaby go poza kolejny przystanek tej nieprawdopodobnej pielgrzymki, gdyby nie dźwięk syreny kolejnego pociągu, który tym razem dochodził nie od strony brzegu, ale z przodu i z góry. Był znacznie głośniejszy – to już nie samotny klakson, ale władcze ŁAAA, po którym Luke obrócił się tak gwałtownie, że prawie wywrócił się na rufę. Odruchowo podniósł dłonie w ochronnym geście i w tej samej chwili uświadomił sobie, że to żałosne.

Syrena ucichła, zastąpiona przez metaliczne piski i potężne głucho dudnienie. Chłopiec oburącz chwycił za burty w miejscu, gdzie łódka zwężała się w kierunku dziobu, i gorączkowo popatrzył przed siebie, pewien, że zaraz zostanie rozjechany.

Nie nastał jeszcze świt, ale niebo zaczęło się rozjaśniać, nadając połysk rzece, która w tym miejscu była znacznie szersza. Pół kilometra dalej w dół rzeki zwalniający pociąg towarowy przejeżdżał po estakadzie. Luke widział wagony z napisami *New England Land Express*, *Massachusetts Red*, dwie lawety, kilka cystern, z tego jedną z oznaczeniem *Canadian CleanGas* i jedną *Virginia Util-X*. Przepływając pod estakadą, uniósł rękę w stronę sadzy, która sypała się z góry. Kilka bryłek żużlu wpadło do wody po obu stronach łodzi.

Luke chwycił za wiosło i spróbował skierować łódkę ku prawemu brzegowi, gdzie już widział kilka smutnych budynków z zabitymi oknami oraz zardzewiały żuraw, chyba od dawna nieużywany. Na brzegu zalegały papierowe śmieci, stare opony i porzucone puszki. Pociąg był teraz po drugiej stronie, nadal zwalniał, skrzypiał i dudnił. Vic Destin, przyjaciel ojca Rolfa, mawiał, że historia nie zna drugiego środka transportu równie brudnego i hałaśliwego jak kolej. Mówił to z satysfakcją, a nie obrzydzeniem, co chłopców wcale nie dziwiło. Pan Destin był pasjonatem pociągów.

To był już prawie koniec kroków przewidzianych przez Maureen i teraz Luke wypatrywał schodów. Czerwonych. Ale tak naprawdę to nie czerwonych, jak powiedział mu Avery. Już nie. Ona mówi, że teraz są raczej różowe. Kiedy Luke zauważył je pięć minut po przepłynięciu pod estakadą, okazało się, że nawet to jest za dużo powiedziane. Co prawda na przednózkach zostało jeszcze trochę różowawej czerwieni, ale same stopnie były już w większości szare. Pięły się od skraju rzeki aż na szczyt nasypu jakieś pięćdziesiąt metrów wyżej. Luke podpłynął w tamtą stronę. Kil łódki osiadł na schodku tuż pod powierzchnią.

Chłopiec wysiadł powoli, zdrętwiały jak starzec. Przyszło mu do głowy, żeby przywiązać SS *Ślamazarę* – od słupków po obu stronach odeszło dużo farby, więc wiedział, że przed nim robili tak inni, zapewne wędkarze – ale resztką sznura na dziobie wydawała się za krótka.

Puścił łódź i patrzył, jak odpływa z łagodnym prądem, a potem zobaczył swoje buty z zatkniętymi w nich skarpetkami wciąż stojące na ławce na rufie. Padł na kolana na zatopionym stopniu i w ostatniej chwili zdążył złapać łódkę. Przyciągał ją do siebie, ręka za ręką, aż w końcu mógł sięgnąć po sneakersy. Potem mruknął: „Dzięki, *Ślamazaro*” i puścił.

Wszedł kilka schodów wyżej i usiadł, żeby włożyć buty. Całkiem dobrze wyschły, ale teraz to on był cały przemoczony. Śmiech wywoływał u niego ból pleców, ale Luke i tak się roześmiał. Wspinał się po stopniach, które kiedyś były czerwone, raz po raz przystając, by dać odpocząć nogom. Rozwiązał się szalik Maureen, którym był przepasany – w porannym świetle materiał okazał się fioletowy. Luke pomyślał, że mógłby go tu zostawić, ale po chwili znowu się nim przewiązał. Nie wyobrażał sobie, żeby pościg dotarł za nim aż tutaj, miasteczko wydawało się jednak logicznym kierunkiem ucieczki, więc nie chciał zostawić śladu, który tamci mogliby znaleźć choćby przypadkiem. Poza tym teraz szalik wydawał mu się ważny. Wydawał mu się... Chłopiec usiłował znaleźć choć częściowo pasujące określenie. Nie, ten szalik nie był po prostu szczęśliwy – był talizmanem. Bo pochodził od niej, a ona była jego zbawczynią.

Gdy Luke wspiął się na szczyt schodów, słońce wisiało już nad horyzontem, duże i czerwone, rzucające blask na płataninę torów kolejowych. Pociąg towarowy, pod którym wcześniej przepłynął, teraz stał na stacji rozrządowej Dennison River Bend. Kiedy lokomotywa, która przywiozła skład, powoli odjeżdżała, z tyłu zbliżyła się jaskrawożółta lokomotywa manewrowa, mająca wkrótce przepchnąć wagony na górkę rozrządową, gdzie pociągi dzieli się i składa na nowo.

Tajników transportu towarowego nie uczono w Szkole imienia Brodericka, bo tamtejsze ciało pedagogiczne poświęcało uwagę bardziej ezoterycznym kwestiom, takim jak zaawansowana matematyka, klimatologia i poezja brytyjska. Lekcji kolejnictwa udzielał Vic Destin, ten zakręcony maniak pociągów i dumny właściciel olbrzymiej makiety firmy Lionel, którą zbudował u siebie w piwnicy. Luke i Rolf spędzili wiele godzin jako jego gorliwi akolici. Rolf lubił puszczać modele pociągów, ale informacje na temat tych prawdziwych były mu obojętne. Luke'owi podobało się i jedno, i drugie. Gdyby Vic Destin zbierał znaczki, wtedy pewnie Luke z równym zainteresowaniem słuchałby jego lekcji o filatelistyce. Tak już działał jego mózg. Zapewne był przez to trochę dziwakiem (od czasu do czasu zauważał, że Alicia Destin patrzy na niego w sposób, który to właśnie sugerował), ale w tej chwili błogosławił wygłaszane podnieconym tonem wykłady pana Destina.

Maureen natomiast praktycznie w ogóle nie znała się na kolejnictwie, wiedziała tylko, że w Dennison River Bend jest stacja i że pociągi chyba jeżdżą tamtędy w bardzo różne miejsca. W jakie – o tym już nie miała pojęcia.

„Ona myśli, że jak już dojdiesz tak daleko, mógłbyś się zabrać którymś pociągiem” – powiedział Luke’owi Avery.

No i Luke doszedł. Czy rzeczywiście mógłby się zabrać pociągiem, to już inna kwestia. W filmach wiele razy widział, że ludzie tak robią, i to z łatwością, ale większość filmów jest pełna bredni. Może lepiej iść do centrum tego prowincjonalnego północnego miasteczka i poszukać posterunku policji, a gdyby go nie było, zadzwonić na policję stanową? Tylko jak zadzwonić? Luke nie miał komórki, a automaty telefoniczne były na wymarciu. Zresztą nawet gdyby jakiś znalazł, to co miałby wrzucić zamiast monety? Żeton z Instytutu? Pod 911 można co prawda dzwonić za darmo, ale czy to właściwy krok? Coś mówiło mu, że nie.

Stał bez ruchu w świetle dnia, który jaśniał zdecydowanie za szybko, i nerwowo szarpał za szalik, którym był przepasany. Dzwonienie lub pójście na policję tak blisko Instytutu miało swoje wady – dostrzegał je mimo strachu i wyczerpania. Gliniarze szybko by ustalili, że jego rodzice nie żyją, zostali zamordowani, a on jest głównym podejrzanym. Kolejna kwestia dotyczyła samego Dennison River Bend. Miasteczka istnieją tylko pod warunkiem napływu pieniędzy, to ich siła napędowa, a skąd pieniądze brały się tutaj? Nie ze stacji rozrządowej, w znacznej mierze zautomatyzowanej. Nie z tych żalonych budynków, które kiedyś mogły być fabrykami, ale to już przeszłość. Gdzieś tam na niezamieszkanym terenie działał natomiast jakiś obiekt („Rządowe sprawy”, mawiali pewnie miejscowi, porozumiewawczo kiwając głową u fryzjera albo na rynku), a pracujący tam ludzie mieli pieniądze. Kobiety i mężczyźni, którzy przyjeżdżali do miasteczka, i to nie tylko wieczorami do knajpy Outlaw Country, gdy grała tam jakaś dziarska kapela. Przywozili dolary. Ponadto być może Instytut dokładał się do lokalnego budżetu. Możliwe, że ufundował dom kultury, boisko sportowe albo dofinansował remont drogi. Na wszystko, co zagroziłoby temu przyływowi gotówki, patrzono by sceptycznie i niechętnie. Równie dobrze miejscowe władze mogły regularnie dostawać w łapę za pilnowanie, by Instytut nie zwrócił uwagi niewłaściwych osób. Czy to paranoiczne rozumowanie? Może. A może nie.

Luke nie mógł się doczekać, aż doniesie na panią Sigsby i jej sługusów, uznał jednak, że w tej chwili najlepiej i najbezpieczniej będzie odjechać od Instytutu możliwie szybko i daleko.

Lokomotywa manewrowa pchała właśnie wagony towarowe na wzniesienie, które fachowo nazywano górką rozrządową. Na werandzie schludnego małego budynku biurowego stacji stały dwa fotele bujane. W jednym z nich siedział mężczyzna w dżinsach i jaskrawoczerwonych

gumiakach, czytał gazetę i pił kawę. Kiedy maszynista zagwizdał, facet odłożył lekturę, zbiegł po schodkach i przystanął na chwilę, by pomachać w kierunku szklanej budki na stalowych słupach. Człowiek w środku odpowiedział tym samym. To był dyżurny nastawni, a gość w czerwonych butach był ustawiaczem.

Tata Rolfa często ubolewał nad opłakanym stanem amerykańskiego transportu kolejowego i teraz Luke rozumiał, co miał na myśli. Szyny biegły we wszystkie strony, ale wyglądało na to, że w tej chwili działa tylko cztery albo pięć torów. Inne pokrywała rdza, a spomiędzy podkładów wyrastały chwasty. Na niektórych torach stały porzucone wagony i platformy; Luke mógł się za nimi chować w drodze do biura. Widział, że na jednym ze słupków werandy wisi na gwoździu deska z klipsem. Jeśli na wpiętych kartkach był dzisiejszy grafik transportów, chciał go przeczytać.

Przycupnął za opuszczonym wagonem niedaleko tyłu nastawni i między kołami obserwował, jak ustawiacz zmierza na górkę. Nowo przybyły skład stał teraz na jej szczycie, więc dyżurny na pewno właśnie tam skoncentrował uwagę. Gdyby mężczyźni zauważyli Luke'a, zapewne zlekceważyliby go jako zakręconego maniaka pociągów, takiego samego jak pan Destin. Oczywiście dzieci, nawet najbardziej zakręcone, zwykle nie przychodzą oglądać pociągów o wpół do szóstej nad ranem. Zwłaszcza takie przemoczone w rzece i z paskudnie okaleczonym uchem.

Luke nie miał wyboru. Musiał zobaczyć, co jest na tych kartkach.

Gdy przed facetem w czerwonych butach powoli przetoczył się pierwszy wagon, mężczyzna podszedł do niego i wyciągnął trzpień łączący go z kolejnym. Wagon – z wymalowanym na czerwono, biało i niebiesko napisem STATE OF MAINE PRODUCTS – zjechał z górki ciągnięty siłą grawitacji, a jego prędkość regulowały sterowane radarem zwalniacze. Dyżurny w nastawni pociągnął za odpowiednią dźwignię i wagon STATE OF MAINE PRODUCTS skręcił na tor czwarty.

Luke obszedł ten wagon, za którym się ukrywał, a potem powoli, z rękami w kieszeniach, ruszył w stronę budynku biura. Pełną pierśią odetchnął dopiero wtedy, gdy znalazł się pod nastawnią, poza zasięgiem wzroku dyżurnego. Zresztą jeśli ten człowiek dobrze wykonuje swoją robotę, teraz patrzy wyłącznie na to, co robi, i na nic innego, pomyślał chłopiec.

Kolejny wagon, cysterne, wysłano na tor trzeci. Dwie lawety również. Uderzyły o siebie i potoczyły się dalej. Kolejka firmy Lionel Vica Destina była dość cicha, tu natomiast można było oszaleć od hałasu. Luke

domyślał się, że w domach w promieniu mniej więcej kilometra kilka razy dziennie musi być potwornie głośno. Możliwe, że ludzie jakoś do tego przywykli. Trudno mu było w to uwierzyć, dopóki nie pomyślał o dzieciach, które żyją z dnia na dzień w Instytucie: jedzą duże posiłki, piją alkohol z małych, popalają papierosy, wygłupiają się na placu zabaw, a nocami biegają po korytarzach, wydzierając się wniebogłosy. Chyba można się przyzwyczaić do wszystkiego. To była straszna myśl.

Dotarł do werandy, wciąż niewidoczny dla dyżurnego, a ustawiacz był do niego odwrócony plecami. Luke przypuszczał, że facet się nie obejrzy. „Jeśli w takiej pracy na chwilę stracisz uwagę, to możesz stracić też rękę” – powiedział chłopcom kiedyś pan Destin.

Wydruk przypięty do deski z klipsem zawierał niewiele informacji. W kolumnach przypisanych do torów numer 2 i 5 widniały tylko dwa słowa: BRAK POCIĄGÓW. Na torze pierwszym transport do Nowego Brunswicku w Kanadzie miał się pojawić o siedemnastej – to żadna pociecha. Skład z toru czwartego wyjeżdżał do Brulington i Montrealu o czternastej trzydzieści. Lepiej, ale to wciąż za późno – jeśli Luke nie zniknie stąd do wpół do trzeciej, niemal na pewno będzie miał kłopoty. Dobrze wyglądał natomiast transport z toru trzeciego, dokąd ustawiacz posyłał właśnie wagon New England Land Express, który chłopiec widział wcześniej na estakadzie. Ostateczny termin dla pociągu numer 4297 – czyli godzina, po której naczelnik stacji (przynajmniej teoretycznie) przestaje przyjmować towary – mijał o dziewiątej rano, a o dziesiątej skład wyruszał z Dennison River Bend do Portlandu w Maine, Portsmouth w New Hampshire i Sturbridge w Massachusetts. To ostatnie miasto znajdowało się co najmniej pięćset kilometrów stąd, a może jeszcze dalej.

Luke wycofał się za porzucony wagon i stamtąd obserwował, jak inne kolejno staczają się z górki rozrządowej na różne tory. Niektóre miały stąd odjechać jeszcze tego dnia, inne po prostu zostawiano na bocznicach do czasu, aż będą potrzebne.

Ustawiacz zrobił swoje i wspiął się na stopnie lokomotywy manewrowej, by porozmawiać z maszynistą. Z nastawni wyszedł dyżurny i dołączył do nich. Śmiali się. Ten dźwięk niósł się wyraźnie w nieruchomym powietrzu poranka i podobał się Luke'owi. Z pokoju socjalnego na poziomie C często dobiegały śmiechy dorosłych, ale zawsze wydawały mu się złowrogie, niczym śmiechy orków z książki Tolkiena. Teraz śmiali się ludzie, którzy nie trzymali dzieci w niewoli i nie zanurzali ich w zbiornikach. Ludzie, którzy nie nosili przy sobie specjalnych paralizatorów.

Maszynista podał ustawiaczowi jakąś torbę i ten drugi zszedł ze stopni lokomotywy. Potem lokomotywa zaczęła powoli zjeżdżać z góry rozdzielczej. Ustawiacz i dyżurny wyjęli z torby po pączku – takim dużym, posypanym cukrem pudrem, pewnie nadziewanym konfiturą. Luke’owi zaburczało w brzuchu.

Mężczyźni usiedli w fotelach bujanych i zaczęli pałaszować. Tymczasem Luke skupił uwagę na wagonach na torze trzecim. W sumie było ich dwanaście, z czego połowa kryta. To pewnie jeszcze za mało na pociąg do Massachusetts, ale mogły tu zostać przysłane kolejne ze stacji manewrowej, gdzie czekało ich z pięćdziesiąt albo i więcej.

Na terenie stacji pojawiła się szesnastokołowa ciężarówka. Podskakując na kolejnych torach, podjechała do wagonu z napisem STATE OF MAINE PRODUCTS. Tuż za nią dotarła tam furgonetka. Wysiadło z niej kilku mężczyzn i zaczęło ładować beczki z wagonu do ciężarówki. Luke słyszał, jak rozmawiają po hiszpańsku, i wychwycił kilka słów. Jedna z beczek przewróciła się i wyleciały z niej ziemniaki. Towarzyszyło temu sporo dobrodusznego śmiechu i przez chwilę trwała bitwa na kartofle. Luke patrzył na nią tęsknie.

Dyżurny i ustawiacz przez chwilę obserwowali to starcie z bujanych foteli na werandzie, po czym weszli do środka. Ciężarówka odjechała, pełna świeżych ziemniaków dla McDonalda albo Burger Kinga. Furgonetka oddaliła się zaraz potem. Stacja na moment opustoszała, choć na pewno nie na długo – wkrótce nastąpi kolejny załadunek lub wyładunek, a maszynista lokomotywy manewrowej dołączy nowe wagony do składu szykowanego na dziesiątą rano.

Chłopiec postanowił wykorzystać okazję. Wskoczył zza porzuconego wagonu i zaraz z powrotem się za nim schował, bo zobaczył maszynistę, który wspinał się na górkę rozrządową z komórką przy uchu. Mężczyzna na moment przystanął, więc Luke bał się, że został zauważony, ale tamten widocznie po prostu kończył rozmowę. Schował telefon do kieszeni kombinezonu i minął wagon, za którym chował się chłopiec, i nawet w jego stronę nie spojrzał. Wszedł po schodach werandy i zniknął w biurze.

Luke nie czekał i tym razem nie szedł powoli. Pędem zbiegł z góry; nie zważając na ból pleców i zmęczenie w nogach, przeskakiwał przez szyny, hamulce spowalniaczy, omijał słupki czujników prędkości. Wśród wagonów czekających na kurs do Portlandu, Portsmouth i Sturbridge był czerwony, kryty, z napisem SOUTHWAY EXPRESS ledwie widocznym spod graffiti, które pojawiło się na boku przez lata służby. Wagon był brudny,

nijaki i o czysto praktycznym charakterze, ale miał jedną niepodważalną zaletę: przesuwanych drzwi nie zamknięto do końca. Została chyba wystarczająca szpara, żeby wcisnął się tam chudy zdesperowany chłopiec.

Luke chwycił się zardzewiałego uchwytu i podciągnął. Szpara rzeczywiście była dostatecznie szeroka. Nawet szersza od tej, którą wykopał sobie pod ogrodzeniem Instytutu. Miał wrażenie, że to się zdarzyło bardzo dawno temu, niemal w innym życiu. Krawędź drzwi otarła się o i tak już obolałe plecy i pośladki Luke'a, sprawiając, że znów zaczęły krwawić, ale potem był już w środku. Wagon okazał się wypełniony w trzech czwartych i chociaż z zewnątrz wyglądał kiepsko, w środku pachniał całkiem dobrze: drewnem, farbą, olejem do mebli i silnikowym.

Zawartość wagonu kojarzyła się Luke'owi z miszmaszem na strychu u cioci Lacey, tyle że ona trzymała tam stare rzeczy, a te były nowe. Po lewej stały kosiarki, kosy spalinowe, dmuchawy do liści, piły łańcuchowe oraz kartony z częściami samochodowymi i silnikami przyczepnymi, po prawej zaś – meble, niektóre w kartonach, większość jednak owinięta niczym mumie metrami folii ochronnej. Była też piramida ułożonych na boku lamp stojących, owiniętych folią bąbelkową i sklejonych taśmą po trzy. Były krzesła, stoły, kozetki, a nawet kanapy. Luke podszedł do jednej z nich, stojącej blisko uchylonych drzwi, i przeczytał fakturę przyczepioną do folii. Kanapa (zapewne razem z resztą mebli) miała trafić do firmy Meble Luksusowe Bender & Bowen w Sturbridge w Massachusetts.

Uśmiechnął się. Pociąg numer 4297 część wagonów miał zostawić na stacjach w Portlandzie i Portsmouth, ale ten wagon jechał aż do końca trasy. Pula fartu jeszcze się nie wyczerpała.

– Ktoś tam na górze mnie lubi – szepnął chłopiec. Potem przypomniał sobie, że jego rodzice nie żyją, i dodał w myślach: Ale nie za bardzo.

Odepchnął od przeciwległej ściany kilka kartonów adresowanych do firmy Bender & Bowen i z radością odkrył za nimi stos podkładek pod meble. Pachniały stęchlizną, ale nie były zapleśniałe. Wczołgał się w szparę i zasunął za sobą pudełka, na ile się dało.

Wreszcie znalazł się w stosunkowo bezpiecznym miejscu, mógł się położyć na miękkich podkładkach i był wyczerpany – nie tylko nocną eskapadą, ale też wieloma dniami rwanego odpoczynku i narastającego strachu, który doprowadził do ucieczki. Lecz na razie nie śmiał jeszcze zasnąć. W pewnej chwili co prawda się zdrzemnął, obudził go jednak dźwięk nadjeżdżającej lokomotywy manewrowej i już po chwili wagon Southway Express drgnął, a potem ruszył. Luke wstał i wyjrzał przez

uchylone drzwi. Widział przesuwającą się stację. Potem wagon zatrzymał się tak gwałtownie, że chłopiec o mało się nie przewrócił. Rozległ się metaliczny chrzęst, który oznaczał chyba podłączanie do innego wagonu.

Przez kolejną godzinę powtarzały się huki i wstrząsy, kiedy coraz to nowe wagony dodawano do składu, który wkrótce jako pociąg numer 4297 miał wyruszyć w stronę południa Nowej Anglii, daleko od Instytutu.

Daleko, pomyślał Luke. Daleko, daleko, daleko.

Kilka razy słyszał rozmowy jakichś ludzi, raz nawet znajdowali się dość blisko, ale był zbyt duży hałas, żeby zrozumieć, co mówią. Nasłuchiwał, ogryzając paznokcie, które i tak już zdążył ogryźć do żywego. A jeśli rozmawiali o nim? Przypomniał sobie, że maszynista nawijał przez telefon. Co będzie, jeśli Maureen się wygadała? Jeśli w Instytucie odkryto jego zniknięcie? Jeśli któryś ze sługusów pani Sigsby – najpewniej Stackhouse – zadzwonił na stację i kazał dyżurnemu przeszukać wszystkie wyjeżdżające wagony? Czy zaczęliby od tych z lekko uchylonymi drzwiami? A czy dzik sra w lesie?

Potem głosy oddaliły się i ucichły. Huki i wstrząsy trwały dalej, w miarę jak pociąg 4297 nabierał towaru i masy. Pojawiały się i znikwały pojazdy. Bywało, że ktoś zatrafił. Za każdym razem Luke się podrywał. Bardzo chciałby wiedzieć, która jest godzina, ale nie miał pojęcia. Mógł jedynie czekać.

Wydawało się, że minęła wieczność, ale w końcu hałasy i wstrząsy ustały. Nic się nie działo. Luke już prawie zapadł w kolejną drzemkę, gdy nagle huknęło jak dotąd najmocniej, aż poleciał na bok. Nastąpiła chwila przerwy, a potem pociąg ruszył.

Chłopiec wyczołgał się z kryjówki i podszedł do uchylonych drzwi. Wyjrzał w samą porę, by zobaczyć przesuwający się za nimi zielony budynek biura. Dyżurny i ustawiacz znowu siedzieli w fotelach bujanych, każdy z gazetą w ręce. Pociąg 4297 ze stukotem przejechał przez ostatni węzeł, po czym minął skupisko opustoszałych domów. Później były zachwaszczone boisko do baseballu, wysypisko śmieci i kilka pustych działek. Skład przejechał obok osiedla przyczep kempingowych, na którym bawiły się dzieci.

Parę minut później Luke oglądał centrum Dennison River Bend. Widział sklepy, latarnie, ukośne miejsca parkingowe, chodniki, stację Shella. Zobaczył brudnego białego pick-upa czekającego na przejazd pociągu. Wszystko to było dla niego równie niesamowite jak widok gwiazd nad rzeką. Był wolny. Żadnych techników, opiekunów, automatów na żetony, w których dzieci mogły kupić alkohol i papierosy. Wagon

zakołysał się, wchodząc w łagodny zakręt, a Luke oparł się dłońmi o boczne ściany i zaszurał nogami. Był zbyt zmęczony, żeby je podnosić, więc marnie mu wypadł ten taniec zwycięstwa, ale tak czy inaczej go odtńczył.

23

Kiedy miasteczko zostało w tyle i zastąpił je gęsty las, Luke'a pokonało wyczerpanie. Czuł się jak przysypany przez lawinę. Znowu wpełzł za kartony i najpierw położył się na wznak, bo najbardziej lubił sypiać w tej pozycji, doskwierały mu jednak rany na plecach i pośladkach, więc przewrócił się na brzuch. Przespał postój w Portlandzie, a potem w Portsmouth, mimo że pociąg numer 4297 szarpało za każdym razem, kiedy od składu odłączano kilka wagonów, a podczepiano inne. Chłopiec nadal spał, gdy zatrzymali się w Sturbridge, i z trudem odzyskał przytomność dopiero wtedy, kiedy drzwi wagonu odsunięto ze szczękiem i wewnątrz wypełnił gorący blask lipcowego późnego popołudnia.

Do środka weszli dwaj mężczyźni i zaczęli wyładowywać meble do ciężarówki podstawionej pod sam wagon – najpierw kanapy, później lampy pakowane po trzy, a potem krzesła. Wkrótce na pewno wezmą się za kartony, a wtedy odkryją Luke'a. Na drugim końcu wagonu było mnóstwo silników i kosiarek, za którymi można by się schować, ale gdyby teraz wykonał ruch, również by go zauważyli.

Jeden z facetów od wyładunku podszedł blisko, tak blisko, że Luke czuł zapach jego wody po goleniu. Wtedy odezwał się ktoś na zewnątrz.

– Ej, chłopaki, zmiana lokomotywy się opóźni. Długo to nie potrwa, ale chyba będzie dość czasu na kawę, jeżeli macie ochotę.

– To może raczej na piwo? – zapytał mężczyzna, który za trzy sekundy zobaczyłby Luke'a leżącego na pościeli z podkładek pod meble.

Odpowiedziały mu śmiechy i facet wysiadł. Luke wyszedł z kryjówki, kuśtykając na sztywnych i obolałych nogach. Zza rogu załadowywanej ciężarówki zobaczył trzech mężczyzn idących wolnym krokiem w stronę budynku stacji. Pomalowano go na czerwono zamiast na zielono i był cztery razy większy od tego w Dennison River Bend. Z przodu widniała tablica STURBRIDGE MASSACHUSETTS.

Luke zastanawiał się, czy nie wymknąć się przez szparę między wagonem a ciężarówką, ale stacja rozrządowa pracowała teraz w najlepsze; mnóstwo pracowników (i kilka pracownic) krążyło pieszo i w różnych pojazdach. Zauważyliby go, przesłuchali, a wiedział, że

w aktualnym stanie nie zdołaby spójnie opowiedzieć swojej historii. Zdawał sobie z grubsza sprawę z tego, że jest głodny, a jeszcze bardziej z pulsującego bólu ucha, to wszystko jednak błędnie wobec dalszej potrzeby snu. Może po wyładowaniu mebli przestawią ten wagon na bocznice, a po zmroku Luke poszuka posterunku policji. Wtedy już pewnie zdoła mówić w taki sposób, żeby nie wyjść na szaleńca. Przynajmniej nie na kompletnego. Nie ma gwarancji, że mu uwierzą, ale na pewno dadzą coś do jedzenia i pewnie jakiś paracetamol na to ucho. Jego kartą atutową było to, że mógł opowiedzieć o rodzicach. Takie coś da się sprawdzić. Zawieźliby go z powrotem do Minneapolis. To dobrze, nawet gdyby oznaczało, że trafi do domu dziecka. W drzwiach byłyby zamki, ale nie mieliby tam zbiornika zanurzeniowego.

Massachusetts to doskonały punkt startowy, Luke'owi się poszczęściło, że dotarł aż tutaj, ale to wciąż za blisko Instytutu. Z kolei Minneapolis było jego domem. Znał tam ludzi. Pan Destin mógłby mu uwierzyć. Albo pan Greer z Brodericka. Albo...

Nikt inny nie przychodził mu do głowy. Luke był zbyt zmęczony. Kiedy usiłował myśleć, to było tak, jakby patrzył przez okno umazane smarem. Ukląkł, poczołgał się w prawy, najdalszy kąt wagonu Southern Express i wyjrzał spomiędzy dwóch glebogryzarek. Czekał, aż wrócą tamci mężczyźni i skończą wyładowywać meble przeznaczone dla firmy Bender & Bowen. Wiedział, że i tak mogą go znaleźć. To byli faceci, a faceci lubią oglądać wszystko, co ma silnik. Pewnie chętnie zerkną na kosiarki i kosy spalinowe. Pewnie chętnie sprawdzą moc nowych silników Evinrude – co prawda popakowano je w skrzynie, ale wszystkie informacje znajdowały się na fakturach. Luke poczeka, skuli się, będzie liczył na to, że jego szczęście – i tak już nadużywane – jeszcze na trochę starczy. A jeśli tamci go nie znajdą, wtedy z powrotem zaśnie.

Tyle że nie zaczekał i nie obserwował. Położył się na jednej ręce i po kilku minutach zapadł w sen. Spał, kiedy dwaj mężczyźni wrócili do wagonu i dokończyli wyładunek. Spał, kiedy jeden z nich pochylił się, by obejrzeć traktor ogrodowy Johna Deere'a, niecałe półtora metra od miejsca, gdzie Luke leżał zwinięty i martwy dla świata. Spał, gdy jeden z pracowników stacji zatrzasnął drzwi wagonu Southway, tym razem do końca. Przespał brzęk i łomot towarzyszący podpinaniu nowych wagonów i tylko lekko się poruszył, gdy lokomotywę numer 4297 wymieniono na inną. Potem zasnął ponownie – dwunastoletni zbieg, znękany, ranny i wystraszony.

Lokomotywa składu numer 4297 miała uciąć czterdziestu wagonów. Tę nową Vic Destin zidentyfikowałby natomiast jako GE AC6000CW, gdzie liczba 6000 oznaczała moc w koniach mechanicznych. To jedna z najsilniejszych lokomotyw spalinowych używanych w Ameryce, zdolna ciągnąć pociąg o długości ponad półtora kilometra. Ekspres numer 9956, kierujący się ze Sturbridge najpierw na południowy wschód, a potem prosto na południe, składał się z siedemdziesięciu wagonów.

Wagon Luke'a był teraz prawie pusty i miało tak pozostać aż do postoju w Richmond w Wirginii, gdzie planowano załadować do niego dwadzieścia cztery agregaty prądotwórcze Kohlera. Większość z nich jechała do Wilmingtonu, ale dwa – wraz z całą gamą urządzeń z silnikami małej mocy oraz innych gadżetów, za którymi spał teraz Luke – zmierzała do firmy Fromie's: Sprzedaż i Naprawa Małych Silników w niewielkim miasteczku DuPray w Karolinie Południowej. Pociąg numer 9956 zatrzymywał się tam trzy razy w tygodniu.

Wielkie wydarzenia poruszają się na małych zawiasach.

PIEKŁO CZEKA

Kiedy pociąg numer 4297 wyjeżdżał z Portsmouth w New Hampshire i kierował się do Sturbridge, pani Sigsby wczytywała się w akta i poziomy BDNF dwojga dzieci, które wkrótce miały zamieszkać w Instytucie. Chłopiec i dziewczynka. Zespół rubinowy zapowiedział, że przywiezie je nieco później jeszcze tego wieczoru. U chłopca, dziesięciolatka z Sault Ste. Marie, zanotowano zaledwie osiemdziesiąt punktów w skali BDNF. Dziewczynka, czternastolatka z Chicago, miała osiemdziesiąt sześć. Z dokumentów wynikało, że jest autystyczna. To oznaczało, że będzie trudna, zarówno dla personelu, jak i dla innych podopiecznych. Gdyby miała BDNF poniżej osiemdziesięciu, może daliby sobie z nią spokój. Ale osiemdziesiąt sześć to doskonały wynik.

BDNF to neurotroficzny czynnik pochodzenia mózgowego. Pani Sigsby pojmowała bardzo niewiele z chemicznych wyjaśnień, które były domeną doktora Hendricksa, rozumiała jednak fundamenty. Podobnie jak PPM, czyli podstawowa przemiana materii, BDNF jest pewną skalą. Określa ona zdolność wzrostu i wytrzymałość neuronów w organizmie, a zwłaszcza w mózgu.

Osoby o wysokim BDNF, niecałe pięć promili populacji, to najszczęśliwsi ludzie na świecie; Hendricks mawiał, że są właśnie tym, co Bóg miał na myśli, kiedy tworzył ludzkość. Rzadko cierpią na utratę pamięci, depresję czy bóle neuropatyczne. Rzadko stwierdza się u nich otyłość albo skrajne niedożywienie cechujące anorektyków i bulimików. Mają dobre kontakty z innymi (rzadkim wyjątkiem była dziewczyna, która miała tu wkrótce przyjechać), raczej powstrzymują, niż wywołują kłopoty (rzadkim wyjątkiem był Nick Wilholm), nie są podatni na nerwice w rodzaju zespołu obsesyjno-kompulsywnego i odznaczają się dużymi umiejętnościami werbalnymi. Rzadko boli ich głowa i raczej nie miewają migren. Cokolwiek zjedzą, i tak nie rośnie im cholesterol. Cykl snu bywa u nich średni albo kiepski, ale rekompensują to drzemką, a nie środkami nasennymi.

Co prawda BDNF nie jest kruchy, ale może ulec uszkodzeniu, nieraz w stopniu katastrofalnym. Najczęstszą przyczyną jest coś, co Hendricks nazywał chroniczną encefalopatią pourazową, czyli CTE. Z punktu

widzenia pani Sigsby sprowadzało się to do zwyczajnego wstrząśnienia mózgu. Przeciętna ilość BDNF to sześćdziesiąt jednostek na mililitr, a u futbolistów po trzydziestce, którzy uprawiali ten sport przez co najmniej dziesięć lat, notowano nieraz tylko dwadzieścia parę jednostek. Poziom BDNF powoli zmniejsza się z wiekiem, znacznie szybciej u osób cierpiących na chorobę Alzheimera. To wszystko nie miało jednak znaczenia dla pani Sigsby, której jedynym zadaniem było osiągnięcie wyników, i przez lata pracy w Instytucie wyniki miała dobre.

Dla niej, dla Instytutu oraz dla tych, którzy go finansowali i utrzymywali w ścisłej tajemnicy od 1955 roku, liczyło się to, że dzieci z dużym BDNF jednocześnie wykazywały określone zdolności parapsychiczne: TK, TP lub (w rzadkich przypadkach) jedno i drugie. One same o tym nie wiedziały, ponieważ takie zdolności zazwyczaj były utajone. Te dzieci, które zdawały sobie z nich sprawę – zwykle byli to wysokofunkcjonujący TP, jak na przykład Avery Dixon – czasem potrafiły wykorzystywać swe talenty, gdy wydawało się to przydatne, ale przez resztę czasu nie zwracały na nie uwagi.

Poziom BDNF badano u prawie wszystkich noworodków. Dzieci w rodzaju tych dwojga, których papiery czytała właśnie pani Sigsby, rejestrowano, śledzono i zwykle pozyskiwano. Ich niskiego poziomu zdolności parapsychiczne doskonalono i wzmacniano. Zdaniem doktora Hendricksa można je było także rozszerzać – dodawać TK do TP i odwrotnie – ale to w żadnej mierze nie wpływało na misję Instytutu, jego rację bytu. Sukcesy, jakie nieraz zdarzały się Hendricksowi z różowymi przekazywanymi mu jako króliki doświadczenia, nigdy nie miały zostać opisane. Donkey Kong z pewnością nad tym ubolewał, choć przecież musiał wiedzieć, że publikacja w czasopiśmie medycznym zagwarantowałaby mu zamiast Nagrody Nobla miejsce w więzieniu o zaostrowym rygorze.

Ktoś pośpiesznie zapukał do drzwi, a potem do gabinetu wetknęła głowę Rosalind. Miała skruszoną minę.

– Przepraszam, że pani przeszkadzam, ale przyszedł do pani Fred Clark. Wydaje się...

– Przypomnij mi, kto to jest Fred Clark? – Pani Sigsby zdjęła okulary do czytania i potarła nos.

– Jeden z woźnych.

– Dowiedz się, czego chce, i później mi powtórz. Jeśli znowu myszy przegryzają przewody, sprawa może poczekać. Jestem zajęta.

– On mówi, że to ważne, i wygląda na wyjątkowo zdenerwowanego.

Pani Sigsby westchnęła, zamknęła teczkę i schowała ją do szuflady.
– W porządku, wpuść go. Oby to było coś dobrego.
Nie było dobre. Było złe. Bardzo.

2

Pani Sigsby rozpoznała Clarka, bo wielokrotnie widywała go na korytarzach ze szczotką albo mopem w dłoni, ale jeszcze nigdy nie oglądała go w takim stanie. Był śmiertelnie blady, siwiejące włosy miał w nieładzie, jakby je mierzwił albo szarpał, a wargi drgały mu jak u niedołęznego człowieka.

– W czym problem, Clark? Wygląda pan, jakby zobaczył ducha.

– Musi pani przyjść. Musi pani to zobaczyć.

– Co takiego?

Mężczyzna pokręcił głową i powtórzył:

– Musi pani przyjść.

Sigsby ruszyła za nim łącznikiem między budynkiem administracyjnym a zachodnim skrzydłem budynku mieszkalnego. Jeszcze dwukrotnie pytała, o co dokładnie chodzi, ale Clark tylko kręcił głową i powtarzał, że musi to zobaczyć sama. Irytację tym, że jej przerwano, zaczynał zastępować niepokój. Czy chodzi o któreś z dzieci? Nie powiódł się test, jak u tego Crossa? Na pewno nie. Wówczas problem odkryłby raczej opiekun, technik albo lekarz, a nie woźny.

W połowie niemal opustoszałego korytarza zachodniego skrzydła chłopiec z wydatnym brzuchem, wystającym spod koszulki niezdarnie wyciągniętej ze spodni, przyglądał się kartce zawieszanej na gałce zamkniętych drzwi. Na widok zbliżającej się pani Sigsby natychmiast się zaniepokoił. Czyli jej zdaniem dokładnie tak, jak trzeba.

– Whipple, prawda?

– No.

– Coś ty powiedział?

Stevie zastanowił się, przygryzając dolną wargę.

– Tak, proszę pani.

– Już lepiej. A teraz spływaj. Jeżeli nie masz badań, znajdź sobie jakieś zajęcie.

– Dobrze... to znaczy... tak, proszę pani.

Stevie się oddalił, po drodze rzucając przez ramię jeszcze jedno spojrzenie. Pani Sigsby tego nie zauważyła. Przyglądała się kartce nabitej

na gałkę drzwi. Napisano na niej NIE WCHODZIĆ, zapewne tym długopisem, który Clark nosił przypięty w kieszeni koszuli.

– Zamknąłbym, ale nie mam klucza – powiedział Fred.

Woźni dysponowali kluczami do różnych szafek z zapasami na poziomie A, jak również do automatów z napojami i przekąskami, żeby móc je uzupełniać, ale nie do gabinetów zabiegowych ani pokoi mieszkalnych. Te ostatnie w ogóle rzadko zamykano, chyba że jakiś awanturnik sprawiał problemy i za karę miał nie wychodzić przez resztę dnia. Woźnym nie dawano także kart do windy. Jeśli potrzebowali zjechać na niższy poziom, musieli znaleźć opiekuna albo technika, który ich tam zawiezie.

– Gdyby ten gruby wszedł do środka, przeżyłby największy szok w swoim krótkim życiu – powiedział Clark.

Pani Sigsby nie odpowiedziała, tylko otworzyła drzwi i zobaczyła pusty pokój – bez obrazków czy plakatów na ścianach, a na łóżku leżał tylko goły materac. Pomieszczenie niczym się nie różniło od wielu innych w skrzydle mieszkalnym na przestrzeni ostatnich kilkunastu lat, po tym, jak obfity nigdyś strumień napływających tu dzieci z wysokim BDNF zmienił się w skromną strużkę. Doktor Hendricks miał teorię, że wysokie BDNF znika z ludzkiego genomu podobnie jak kilka innych cech w rodzaju doskonałego wzroku i słuchu. Czy też, jak twierdził, umiejętności ruszania uszami. To ostatnie mogło, ale nie musiało, być żartem. Z Donkey Kongiem nigdy nie wiadomo.

Odwróciła się do Freda.

– Jest w łazience. Na wszelki wypadek zamknąłem drzwi.

Otworzyła je i na kilka sekund znieruchomiała. W pracy szefowej Instytutu wiele już widziała, włącznie z samobójstwem jednego z podopiecznych i nieudanymi próbami dwojga innych, ale jeszcze nigdy nie widziała samobójstwa pracownika.

Pokojówka (brązowy uniform nie pozostawiał wątpliwości) powiesiła się na prysznicu, który zarwałby się pod ciężarem kogoś grubszego – na przykład tego Whipple’a, którego Sigsby właśnie przegnała. Spoglądająca na nią martwa twarz była poczerniała i spuchnięta. Spomiędzy warg wystawał język, jakby ta kobieta po raz ostatni chciała im go pokazać. Na ścianie nierówne litery tworzyły pożegnalną wiadomość.

– To Maureen – powiedział cicho Fred. Wyjął chusteczkę z tylnej kieszeni spodni roboczych i wytarł sobie usta. – Maureen Alvorson. Ona...

Pani Sigsby otrząsnęła się z szoku i obejrzała przez ramię. Drzwi na korytarz stały otworem.

– Zamknij je.

– Ona...

– Zamknij te drzwi!

Woźny wykonał polecenie. Pani Sigsby pomacała prawą kieszeń zakietu, lecz ta okazała się płaska. Cholera, pomyślała kobieta. Jasna cholera. Postąpiła nierozważnie, zapominając krótkofalówki, ale kto mógł wiedzieć, że czeka ją coś takiego?

– Idź do mojego gabinetu. Powiedz Rosalind, żeby dała ci moją krótkofalówkę, i przynieś mi ją.

– Pani...

– Milcz.

Odwróciła się do mężczyzny. Usta miała zaciśnięte, a widok jej bladej twarzy i wybałuszonych oczu sprawił, że Fred aż się cofnął. Wyglądała jak szalona.

– Zrób to, zrób to szybko, i nikomu ani słowa.

– Dobrze, już się robi.

Wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Pani Sigsby usiadła na gołym materacu i spojrzała na kobietę wiszącą na prysznicu. Na wiadomość napisaną szminką, która teraz leżała przed sedesem.

PIEKŁO CZEKA. TAM SIĘ Z WAMI SPOTKAM.

3

Kiedy zadzwoniła po Stackhouse'a, ten przebywał w wiosce Instytutu i sądząc po głosie, wydawał się przymulony. Sigsby założyła, że zeszłej nocy imprezował w Outlaw Country, ale nie zawracała sobie głowy pytaniem, kazała mu tylko natychmiast stawić się w zachodnim skrzydle. Będzie wiedział, o który pokój chodzi, bo przed drzwiami zobaczy woźnego.

Hendricks i Evans znajdowali się na poziomie C, gdzie prowadzili testy. Pani Sigsby poleciła im wszystko rzucić, a badane dzieci odesłać do pokoi. Obaj lekarze byli potrzebni w zachodnim skrzydle. Hendricks, który nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach bywał niezwykle irytujący, dopytywał się o powód. Sigsby kazała mu się zamknąć i przyjść.

Pierwszy pojawił się Stackhouse, choć raz w dzinsach zamiast swojego tradycyjnego brązowego garnituru. Lekarze dołączyli zaraz potem.

– Jim – zwrócił się Stackhouse do Evansa, gdy już zrozumiał sytuację – unieś ją trochę. Trzeba poluzować linę.

Evans objął martwą w pasie – przez chwilę wyglądało to prawie tak, jakby tańczyli – i dźwignął. Stackhouse zaczął dłubać przy węźle pod jej brodą.

– Pośpiesz się – pogonił go Evans. – Narobiła w gacie.

– Na pewno wachałeś już gorsze rzeczy – odparł Stackhouse. – Już prawie... czekaj... dobra, gotowe.

Zdjął denatce pętlę przez głowę (i zaklął pod nosem, kiedy jej ręka poufale wylądowała mu na karku), a potem zaniósł ciało na łóżko. Stryczek zostawił na szyi kobiety czarno-siny ślad. Wszyscy czworo patrzyli na nią w milczeniu. Trevor Stackhouse był wysoki, miał sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu, ale Hendricks przerastał go o co najmniej dziesięć. Stojąca między nimi pani Sigsby wydawała się filigranowa.

Stackhouse zerknął na nią, unosząc brwi. Odpowiedziała spojrzeniem, ale się nie odezwała.

Na szafce przy łóżku stał brązowy słoiczek z proszkami. Doktor Hendricks podniósł go i potrząsnął.

– Oxycontin. Czterdzieści miligramów. Nie największa dawka, ale i tak wysoka. Recepta jest na dziewięćdziesiąt tabletek, a w środku zostały tylko trzy. Domyślam się, że nie będzie sekcji zwłok...

Nie pomyliłeś się, pomyślał Stackhouse.

– ...ale sądzę, że gdybyśmy ją przeprowadzili, okazałoby się, że przed powieszeniem się łyknęła większość z nich.

– Co i tak by wystarczyło, żeby ją zabić – dodał Evans. – Ta kobieta nie mogła ważyć więcej niż czterdzieści pięć kilo. Nie ulega wątpliwości, że bez względu na to, co mówiła, jej głównym problemem nie była rwa kulszowa. I tak nie zdołałaby już długo wykonywać swoich obowiązków, więc...

– ...postanowiła to skończyć – dopowiedział Hendricks.

Stackhouse przyglądał się napisowi na ścianie.

– Piekło czeka – odczytał w zamyśleniu. – Biorąc pod uwagę, czym się tu zajmujemy, niektórzy powiedzieliby, że to trafne przypuszczenie.

– Gówno prawda – odparła pani Sigsby, zwykle niesięgająca po wulgaryzmy.

Stackhouse wzruszył ramionami. Jego łysina błyszczała jak wypolerowana woskiem samochodowym.

– Chodziło mi o ludzi z zewnątrz, takich, którzy nie wiedzą, o co tutaj idzie. To bez znaczenia. Mamy tu prostą sytuację: śmiertelnie chora

kobieta postanowiła skończyć temat. – Wskazał palcem ścianę. – Wcześniej wyznając swoją winę. Oraz naszą.

Brzmiało sensownie, ale pani Sigsby to się nie podobało. Ostatnia wiadomość, jaką Alvorson zostawiła światu, może i była przyznaniem się do winy, ale miała też w sobie coś triumfalnego.

– Niedawno dostała tydzień wolnego – poinformował woźny Fred. Pani Sigsby nie zdawała sobie sprawy, że on ciągle tam jest. Ktoś powinien był go odprawić. Powinna była zrobić to sama. – Pojechała do domu do Vermontu. Pewnie stamtąd miała proszki.

– Dziękuję – odparł Stackhouse. – Dedukcja godna Sherlocka Holmesa. Nie ma pan jakichś podłóg do wyszorowania?

– I proszę wyczyścić osłony kamer – warknęła pani Sigsby. – Mówiłam o tym w zeszłym tygodniu. Trzeci raz nie powtórzę.

– Tak, proszę pani.

– Nikomu ani słowa, panie Clark.

– Oczywiście, proszę pani.

– Kremacja? – rzucił Stackhouse, kiedy woźny wyszedł.

– Tak. Każemy jakimś opiekunom zanieść ją do windy, kiedy podopieczni będą na lunchu. Czyli – pani Sigsby zerknęła na zegarek – za niecałą godzinę.

– Czy jest jakiś problem? To znaczy oprócz zatajenia tej sprawy przed dziećmi. Pytam, bo zachowuje się pani, jakby był – zapytał szef ochrony.

Pani Sigsby przeniosła wzrok ze słów napisanych na łazienkowych płytkach na czarną twarz martwej kobiety z wystającym językiem. Potem odwróciła się od tej pożegnalnej oznaki pogardy i spojrzała na lekarzy.

– Proszę, żebyście obaj wyszli. Muszę pomówić z panem Stackhouse'em na osobności.

Hendricks i Evans wymienili spojrzenia, po czym opuścili pokój.

4

– Była pani wtyką. Czy właśnie w tym tkwi problem?

– Naszą wtyką, Trevorze, ale owszem, w tym tkwi problem, przynajmniej potencjalnie.

Rok temu – nie, raczej z szesnaście miesięcy, bo wtedy jeszcze leżał śnieg – Maureen Alvorson umówiła się na spotkanie z dyrektorką i poprosiła o jakąkolwiek pracę, z której byłyby dodatkowe pieniądze. Pani Sigsby, której od prawie roku chodził po głowie pewien pomysł, ale nie wiedziała, jak go zrealizować, zapytała, czy Alvorson miałyby coś

przeciwko dostarczaniu informacji pozyskanych od dzieci. Kobieta się zgodziła, a nawet wykazała się niejakim sprytem, wymyślając tę bajkę o rzekomych martwych strefach, gdzie mikrofony działają słabo albo wcale.

Stackhouse wzruszył ramionami.

– To, co nam przynosiła, zwykle było niewiele lepsze od plotek. Który chłopak spędza noce z którą dziewczyną, kto napisał TONY JEST GŁUPI na blacie w stołówce, tego typu rzeczy. – Zamilkł na chwilę. – Choć to donosicielstwo mogło u niej spotęgować poczucie winy.

– Była zameżna, ale zauważ, że już nie nosiła obrączki – powiedziała pani Sigsby. – Ile wiemy o jej życiu w Vermoncie?

– Tak z marszu nic sobie nie przypominam, ale informacje na pewno są w jej aktach, więc chętnie sprawdzę.

Pani Sigsby zastanowiła się nad tym i zrozumiała, że sama niewiele wiedziała o Maureen Alvorson. Owszem, orientowała się, że to mężatka, ponieważ dawniej nosiła obrączkę. Owszem, kobieta pracowała kiedyś w wojsku, tak jak wielu innych w Instytucie. Owszem, Sigsby miała również wiedzę o tym, że Alvorson mieszka w Vermoncie. Ale poza tym prawie nic; jak to możliwe, skoro zatrudniła ją do szpiegowania podopiecznych? Teraz to może bez znaczenia, ponieważ Alvorson nie żyła, ale pani Sigsby zaczęła myśleć o tym, że zostawiła krótkofalówkę w biurze, bo uznała, że woźny histeryzuje bez powodu. Zaczęła też myśleć o zakurzonych osłonkach kamer, powolnych komputerach i niewielkim, nieefektywnym personelu, który się nimi zajmował, o często psującym się jedzeniu w stołówce, przewodach przegryzionych przez myszy i niechlujnych raportach z monitoringu, zwłaszcza na nocnej zmianie między dwudziestą trzecią a siódmą rano, kiedy podopieczni spali.

Zaczęła myśleć o niedbałości.

– Julio? Powiedziałem, że...

– Słyszałam. Nie jestem głucha. Kto jest teraz w monitoringu?

Stackhouse zerknął na zegarek.

– Pewnie nikt. Mamy środek dnia. Dzieci są albo w pokojach, albo zajmują się zwykłymi dziecięcymi rzeczami.

Czyli robisz założenia, pomyślała pani Sigsby, a skąd się bierze niedbałość, jeśli nie z różnych założeń? Instytut działał od grubo ponad sześćdziesięciu lat i nigdy nie było żadnego wycieku. Nigdy nie było powodu (przynajmniej za jej czasów), by użyć specjalnego telefonu zwanego Telefonem Zero do celów innych niż rutynowe raporty. Krótko mówiąc, nie wydarzyło się nic, z czym nie poradzono by sobie na miejscu.

Oczywiście wśród mieszkańców Dennison River Bend krążyły różne pogłoski. Najczęstsza była taka, że leśny kompleks to baza pocisków nuklearnych. Albo że to coś związanego z bronią biologiczną lub chemiczną. Jeszcze inni ludzie twierdzili – już nieco bardziej trafnie – że to rządowy ośrodek eksperymentalny. Pogłoski były dobre. Pogłoski to samonapędzająca się dezinformacja.

Wszystko jest w porządku, powiedziała sobie Sigsby. Wszystko jest tak jak trzeba. Samobójstwo schorowanej sprzątaczkii to tylko drobna niedogodność. A jednak wskazywało na większe... cóż, może nie problemy – użycie tego słowa byłoby przejawem panikarstwa – ale na pewno powody do zmartwień. Za część z nich pani Sigsby sama ponosiła odpowiedzialność. Na początku jej kadencji osłony kamer nigdy nie byłyby zakurzone, a ona nie wyszłaby z gabinetu bez krótkofalówki. W tamtych czasach wiedziałaaby znacznie więcej na temat kobiety, której płaciła za donoszenie na podopiecznych.

Pomyślała o entropii. O tendencji, żeby płynąć z prądem, kiedy wszystko dobrze się układa.

Żeby robić założenia.

– Pani Sigsby? Julio? Czy ma pani dla mnie jakieś polecenia?

Wróciła myślami do terażniejszości.

– Tak. Chcę wiedzieć o niej wszystko, a jeśli w monitoringu nikogo nie ma, to niech natychmiast tam ktoś pójdzie. Najlepiej Jerry.

Jerry Symonds był jednym z dwóch informatyków, najlepszym specem od opieki nad starym sprzętem.

– Jerry jest na przepustce – powiedział Stackhouse. – Łowi ryby w Nassau.

– No to Andy.

Szef ochrony pokręcił głową.

– On jest w wiosce. Widziałem, jak wychodził z kantyny.

– Szlag by to, powinien być tutaj. No to wyślij Zeke’a. Pracował wcześniej przy monitoringu, prawda?

– Chyba tak – odparł Stackhouse i to było znowu to. Niepewność. Domysły. Założenia.

Zakurzone osłonki kamer. Brudne listwy przypodłogowe. Nieostrożne rozmowy na poziomie B. Pustka w pokoju monitoringu.

Pani Sigsby pod wpływem chwili zdecydowała, że trzeba zaprowadzić poważne zmiany, i to jeszcze zanim liście na drzewach zmienią kolor i spadną. Nawet jeśli samobójstwo tej Alvorson nie miało żadnego innego sensu, mogło przynajmniej posłużyć jako ostrzeżenie. Sigsby nie lubiła

rozmawiać z mężczyzną w słuchawce Telefonu Zero; przechodził ją lekki dreszcz za każdym razem, kiedy witał się z nią, sepleniąc (nigdy nie mówił „Sigsby”, zawsze „Figby”), ale to było konieczne. Pisemny raport nie wchodził w grę. Mieli współpracowników w całym kraju. W pogotowiu czekał prywatny odrzutowiec. Personel był dobrze opłacany, a poszczególnym pracownikom gwarantowano komplet świadczeń. Mimo to cały ośrodek coraz bardziej przypominał sklep z produktami za dolara w pasażu handlowym czekającym na likwidację. To było szaleństwo. Sprawy musiały się zmienić. I postanowiła, że tak będzie.

– Każ Zeke’owi przeprowadzić kontrolę wszystkich guzików lokalizacyjnych – powiedziała. – Musimy się upewnić, że wiemy, gdzie są wszyscy nasi podopieczni. Szczególnie interesują mnie Luke Ellis i Avery Dixon. Ona często z nimi rozmawiała.

– Wiemy, o czym rozmawiali, i niewiele z tego wynika.

– Zrób, co mówię.

– Chętnie. Tymczasem musi się pani odprężyć. – Palcem wskazał zwłoki z poczerwiałą twarzą i zuchwale wystającym językiem. – I nabrać trochę dystansu. Ta ciężko chora kobieta widziała, że koniec nadchodzi, więc zwinęła się z tego świata, zanim rak na dobre zdążył ją nadgryźć.

– Przeprowadź kontrolę podopiecznych, Trevorze. Odprężę się dopiero wtedy, kiedy wszyscy będą tam, gdzie ich miejsce.

Tylko że nie zamierzała tego zrobić nawet wówczas. Rozprężenia było tu już aż nadto.

5

Pani Sigsby po powrocie do gabinetu powiedziała Rosalind, żeby nikt jej nie przeszkadzał, chyba że Stackhouse albo Zeke Ionidis, który w tej chwili na poziomie D przeprowadzał kontrolę monitoringu. Usiadła za biurkiem i wbiła wzrok w wygaszacz ekranu na komputerze. Przedstawiał białą plażę na Siesta Key, gdzie – jak mówiła ludziom – chciałyby osiąść na emeryturze. Sobie samej już przestała to mówić. Pani Sigsby była w pełni pogodzona z myślą, że umrze tutaj, w lesie, być może w swoim małym domku w wiosce, ale raczej właśnie przy tym biurku. Dwaj z jej ulubionych pisarzy, Thomas Hardy i Rudyard Kipling, umarli za biurkiem, więc czemu nie ona? Instytut stał się jej życiem i pogodziła się z tym.

Większość jej personelu myślała tak samo. Dawniej byli żołnierzami, pracownikami bezwzględnych firm ochroniarskich, takich jak Blackwater i Tomahawk Global, albo funkcjonariuszami służb ochrony porządku publicznego. Denny Williams i Michelle Robertson z zespołu rubinowego pracowali w FBI. Jeśli Instytut nie był ich życiem, gdy ich zwerbowano i zaczęli tu pracę, to z czasem się nim stawał. To nie kwestia pensji. To nie kwestia świadczeń ani planu emerytalnego. Częściowo chodziło o styl życia, który był im równie znajomy jak sen. Instytut przypominał małą bazę wojskową; przylegająca do niego wioska miała nawet własny sklep garnizonowy, w którym można było kupić szeroką gamę produktów po niskich cenach oraz zatankować samochody osobowe i pick-upy, płacąc dziewięćdziesiąt centów za galon zwykłej albo dolara i pięć centów za galon wysokooktanowej. Pani Sigsby spędziła trochę czasu w bazie sił powietrznych Ramstein w Niemczech, a miasto Dennison River Bend przypominało jej – oczywiście na znacznie mniejszą skalę – Kaiserslautern, gdzie czasami wybierała się ze znajomymi, żeby rozładować trochę energii. W Ramstein mieli wszystko, nawet dwusalowe kino i restaurację Johnny Rockets, ale czasem człowiek po prostu chciał stamtąd uciec. Tutaj było tak samo.

Zawsze jednak wracają, pomyślała, patrząc na piaszczystą plażę, którą czasem odwiedzała, ale przy której miała nigdy nie zamieszkać. Zawsze wracają i choćby nawet zaczynało tutaj panować niedbalstwo, nic nie mówią. Pod tym jednym względem nigdy nie są niedbali. Bo gdyby ludzie usłyszeli, co się tutaj robi, gdyby dowiedzieli się o setkach dzieci, które zniszczyliśmy, trafilibyśmy przed sąd i zostali straceni całymi dziesiątkami. Dostalibyśmy zastrzyki trucizny jak Timothy McVeigh, zamachowiec z Oklahoma City.

Tak wyglądała ciemna strona medalu. Jasna zaś była prosta: wszyscy pracownicy – od często irytującego, ale bez wątpienia kompetentnego doktora Dana „Donkey Konga” Hendricksa i doktorów Heckle’a i Jeckle’a z Tylnej Połowy aż po najskromniejszego woźnego – rozumieli, że w ich rękach spoczywa ni mniej, ni więcej, tylko los całego świata, tak samo jak spoczywał on w rękach ich poprzedników. I to nie tylko przetrwanie ludzkości, ale też całej planety. Rozumieli, że nie ma takich kroków, do których nie byli zdolni i gotowi się posunąć dla osiągnięcia tego celu. Nikt, kto w pełni pojmował sens działania Instytutu, nie nazwałby wykonywanej tu pracy nieludzką.

Tutejsze życie było dobre – a przynajmniej wystarczająco dobre dla mężczyzn i kobiet, którzy dawniej gryźli piasek na Bliskim Wschodzie

i patrzyli, jak ich towarzysze broni leżą w gównianych wioskach z urwanymi nogami i wylewają się z nich flaki. Raz po raz dostawało się przepustkę; można było pojechać do domu, żeby spędzić czas z rodziną, pod warunkiem że ktoś ją miał (wielu pracowników Instytutu nie miało). Oczywiście z bliskimi nie wolno było rozmawiać o tym, co się robi, i po jakimś czasie sami – żony, mężowie, dzieci – pojmowali, że liczy się praca, nie oni. Nad każdym przejmowała kontrolę. Życie sprowadzało się, w porządku ważności, do Instytutu, wioski i miasteczka Dennison River Bend z trzema barami, w tym jednym z muzyką country na żywo. A kiedy ktoś to sobie uświadamiał, bardzo często z palca zniknęła obrączka, tak jak u Alvorson.

Pani Sigsby otworzyła kluczem dolną szufladę biurka i wyjęła telefon podobny do tych, których używały zespoły pozyskujące: duży i kanciasty, jakby uciekł z czasów, kiedy kasety magnetofonowe zaczynały ustępować miejsca płytom CD, a przenośne telefony dopiero pojawiały się w sklepach z elektroniką. Czasem nazywano go Zielonym Telefonem, z powodu koloru, częściej jednak Telefonem Zero, ponieważ nie miał ekranu ani cyfr, tylko trzy małe białe kółka.

Zadzwonię, pomyślała. Może pochwalą mnie za dalekowzroczność i pogratulują inicjatywy. Albo uznają, że boję się własnego cienia i pora pomyśleć o moim następcy. Tak czy owak, trzeba to zrobić. Obowiązek wzywa, a powinien był wezwać już wcześniej.

– Ale nie dzisiaj – mruknęła.

Nie, nie dzisiaj, gdy trzeba się zająć (i pozbyć) Alvorson. Może jeszcze nie jutro ani nawet w tym tygodniu. Sigsby planowała dużą rzecz. Zamierzała zrobić notatki, tak żeby to, co powie, kiedy w końcu zadzwoni, zabrzmiało jak najbardziej precyzyjnie. Jeśli rzeczywiście chciała skorzystać z Telefonu Zero, to koniecznie musiała być gotowa na udzielenie zwięzłej odpowiedzi, gdy usłyszy głos człowieka w słuchawce: „Dzień dobry, pani Figby, jak mogę pani pomóc?”.

To co innego niż zwlekanie, tłumaczyła sobie. Zupełnie co innego. Poza tym nie chcę nikomu narobić kłopotów, ale...

Odezwał się cichy dzwonek interkomu.

– Zeke do pani. Na trzeciej linii.

Pani Sigsby podniosła słuchawkę.

– Co dla mnie masz, Ionidis?

– Wszyscy obecni – poinformował mężczyzna. – Dwadzieścia osiem sygnałów w Tylnej Połowie. W Przedniej dwoje dzieci jest w świetlicy, sześcioro na placu zabaw, a pięcioro w swoich pokojach.

– Gdzie Dixon i Ellis?

– Hm... sekundę... – Nastąpiła chwila ciszy, a potem Ionidis znowu się odezwał. – Dixon jest w swoim pokoju. A Ellis na placu zabaw.

– Doskonale. Dziękuję.

– Nie ma za co, proszę pani.

Pani Sigsby wstała od biurka, czując się już trochę lepiej, choć nie do końca umiałaaby powiedzieć dlaczego. To oczywiste, że wszyscy podopieczni byli na miejscu. Co ona sobie wyobrażała? Że któreś z nich pojechało do Disneylandu?

Tymczasem pora na następne zadanie.

6

Kiedy wszyscy podopieczni poszli na lunch, woźny Fred doprowadził pożyczony z kuchni wózek do drzwi pokoju, w którym Maureen Alvorson odebrała sobie życie. Razem ze Stackhouse'em owinęli ją w zielone płótno, a potem w pośpiechu powieźli korytarzem. Z oddali dobiegały odgłosy wydawane przez zwierzęta w porze karmienia, ale tu nie było nikogo, za to na podłodze przed przybudówką z windą któreś z dzieci zostawiło pluszowego misia. Patrzył w sufit szklanymi oczkami jak guziki. Fred kopnął go poirytowany.

Stackhouse spojrział na niego z wyrzutem.

– Pechowy ruch, kolego. To czyjaś przytulanka.

– Mam to gdzieś – odparł woźny. – Ciągle gdzieś zostawiają swój szajs i musimy po nich sprzątać.

Kiedy drzwi windy się otworzyły, Fred zaczął wciągać wózek do środka. Stackhouse odepchnął go, i to niezbyt delikatnie.

– Od tego momentu twoja pomoc nie jest już potrzebna. Podnieś tego misia i połóż go w świetlicy albo stołówce, gdzie właściciel albo właścicielka zobaczy go przy wyjściu. A potem zacznij czyścić te pieprzone bańki.

Wskazał na jedną z osłonek kamery pod sufitem, a następnie wprowadził wózek do windy i przyłożył kartę do czytnika.

Fred Clark zaczekał, aż drzwi się zamkną, a potem pokazał mu środkowy palec. Ale polecenie to polecenie, więc wyczyści te osłony. Wcześniej czy później.

7

Pani Sigsby czekała na Stackhouse'a na poziomie F. Było tam zimno, więc na żakiet narzuciła sweter. Powitała mężczyznę ruchem głowy. Ten odpowiedział tym samym, a potem pchnął wózek tunelem między Przednią a Tylną Połową. Tunel był do bólu oszczędny, miał betonową podłogę i wygięte ściany wyłożone płytkami, a pod sufitem jarzeniówki. Kilka z nich migotało, sprawiając, że tunel wyglądał trochę jak z horroru, parę innych nie działało w ogóle. Na jednej ze ścian ktoś przykleił nalepkę na zderzak drużyny New England Patriots.

Znowu przejaw niedbałości, pomyślała Sigsby. Znowu dryfowanie.

Na końcu korytarza na wejściu do Tylnej Połowy znajdował się napis WSTĘP TYLKO DLA UPRAWNIONYCH. Pani Sigsby użyła karty i pchnęła drzwi. Po drugiej stronie był kolejny hol windy. Po krótkiej jeździe w górę trafili do świetlicy tylko trochę mniej oszczędnej niż tunel służbowy, którym przyszli. Heckle – prawdziwe nazwisko: doktor Everett Hallas – już na nich czekał. Uśmiechał się szeroko i cały czas dotykał kącika ust. Pani Sigsby kojarzyło się to z obsesyjnym szarpaniem nosa przez Dixona, tylko że Dixon był małym chłopcem, a Hallas przekroczył pięćdziesiątkę. Praca w Tylnej Połowie odciskała na człowieku piętno w taki sposób jak praca w lekko radioaktywnym środowisku.

– Dzień dobry, pani Sigsby! Dzień dobry, dyrektorze Stackhouse! Jakże wspaniale was widzieć! Powinniśmy się częściej spotykać! Przykro mi, że dziś sprowadziły was tutaj takie okoliczności! – Pochylił się nad płóciennym pakunkiem zawierającym Maureen Alvorson i poklepał go. Potem dotknął kącika ust denatki, jakby dotykanie śladów opryszczki było dla niego jedynym sposobem, by widzieć i czuć. – W sile wieku itede, itepe.

– Trzeba to załatwić szybko – powiedział Stackhouse.

Co, jak przypuszczała pani Sigsby, miało oznaczać, że muszą się stąd wynosić. Była tego samego zdania. To tutaj wykonywano właściwą pracę, a doktorzy Heckle i Jeckle (prawdziwe nazwisko: Joanne James) zasługiwali z tego powodu na miano bohaterów, lecz obecność w tym miejscu wcale przez to nie stawała się prostsza. Sigsby już czuła tutejszą atmosferę. To było jak przebywanie w polu elektrycznym o niskim natężeniu.

– Tak, oczywiście, praca wre, trybiki w trybikach, mniejsze pchełki gryzą większe pchły, świetnie o tym wiem, tędy, proszę.

Ze świetlicy z brzydkimi krzesłami, równie brzydką kanapą i starym telewizorem z płaskim ekranem wyszli do holu wyłożonego grubym niebieskim dywanem – ponieważ w Tylnej Połowie dzieci czasem się

przewracały i uderzały się w te swoje cenne główki. Koła wózka zostawiały ślady w materiale. Tutaj było podobnie jak w korytarzu na poziomie mieszkalnym w Przedniej Połowie, z tą różnicą, że każde drzwi miały zamek i żadne nie były otwarte. W jedne ktoś walił; pani Sigsby słyszała stłumione okrzyki „Wypuście mnie!” i „Dajcie mi przynajmniej pieprzoną aspirynę!”.

– Iris Stanhope – poinformował ich Heckle. – Niestety, nie czuje się dzisiaj najlepiej. Można za to pocieszyć się tym, że kilkoro innych nowo przybyłych trzyma się imponująco dobrze. Wiecie, puszczaemy dzisiaj film. A jutro będą fajerwerki. – Zachichotał i dotknął kącika ust; pani Sigsby miała groteskowe skojarzenie z Shirley Temple.

Przesunęła dłonią po włosach, by się upewnić, że wciąż leżą jak trzeba. Oczywiście tak było. To, co czuła – lekkie mrowienie na odsłoniętej skórze, wrażenie, że gałki oczne wibrują w oczodołach – to nie była elektryczność.

Minęli salę projekcyjną z kilkunastoma fotelami obitymi pluszem. W pierwszym rzędzie siedzieli Kalisha Benson, Nick Wilholm i George Iles. Mieli na sobie czerwone i niebieskie podkoszulki. Benson ssała cukierkowego papierosa, a Wilholm palił prawdziwego – głowę spowijała mu chmura dymu. Kiedy korytarzem przejeżdżał wózek z ładunkiem zawiniętym w płótno, Benson i Iles obejrzeli się w jego stronę. Wilholm nadal gapił się w pusty ekran. Uszło powietrze z tego balonika, pomyślała pani Sigsby z satysfakcją.

Stołówka znajdowała się za salą projekcyjną, po drugiej stronie korytarza. Była znacznie mniejsza od tej w Przedniej Połowie. Tutaj zawsze mieszkało więcej dzieci, ale im dłużej przebywały w Tylnej Połowie, tym mniej jadły. Pani Sigsby pomyślała, że student anglistyki nazwałby to pewnie ironią. W tej chwili w stołówce znajdowało się troje dzieci, z których dwoje siorbało coś przypominającego owsiankę, a jedno – około dwunastoletnia dziewczynka – po prostu siedziało nad pełną miską. Kiedy jednak zobaczyła, jak przejeżdżają z wózkiem, rozpromieniła się.

– Cześć! Co tam macie? Czy to trup? Trup, prawda? Czy ona miała na imię Morris? Dziwne imię dla dziewczynki. A może Morin. Mogę ją zobaczyć? Ma otwarte oczy?

– To jest Donna – powiedział Heckle. – Nie zwracajcie na nią uwagi. Będzie dziś na filmie, ale myślę, że już niedługo się stąd przeniesie. Może jeszcze w tym tygodniu. Zieleńsze łąki itede, itepe. No wiecie.

Pani Sigsby rzeczywiście wiedziała. Była Przednia Połowa, Tylna Połowa... i tylna połowa Tylnej Połowy. Koniec trasy. Kobieta znowu

podniosła rękę do włosów. Nadal na swoim miejscu. Oczywiście, że tak. Pomyślała o trójkołowym rowerku, który miała w bardzo wczesnym dzieciństwie, o ciepłym strumieniu moczu w majtkach, kiedy jeździła tym rowerkiem po podjeździe. Pomyślała o pękniętych sznurówkach. Pomyślała o swoim pierwszym samochodzie, którym był...

– Valium! – krzyknęła dziewczynka o imieniu Donna. Zerwała się z miejsca, przewracając krzesło. Dwoje pozostałych dzieci spojrzało na nią tępo. Jednemu owsianka kapała z brody. – Plymouth valium, ja to wiem! Boże, ja chcę do domu! Boże, niech to się skończy, moja głowa!

Dwaj opiekunowie w czerwonych ubraniach przyszli z... pani Sigsby nie wiedziała skąd. I nie obchodziło jej to. Chwycili dziewczynkę za ręce.

– Tak jest, zabierzcie ją do pokoju – powiedział Heckle. – Ale żadnych proszków. Jest nam dziś potrzebna.

Donna Gibson, która kiedyś, gdy obie przebywały w Przedniej Połowie, dzieliła się z Kalishą dziewczęcymi tajemnicami, zaczęła się szarpać i wrzeszczeć. Opiekunowie wynieśli ją ze stołówki, tak że czubkami butów szorowała po dywanie. Urywane myśli w głowie pani Sigsby najpierw przygasły, a potem zniknęły. Mrowienie na skórze, a nawet w plombach, jednak pozostało. Tutaj było nieprzerwane, jak bzyczenie jarzeniówek na korytarzu.

– Wszystko w porządku? – zapytał ją Stackhouse.

– Tak. – Tylko mnie stąd zabierzcie.

– Ja też to czuję. Jeśli to panią pocieszy.

Nie pocieszyło.

– Trevorze, czy możesz mi wytłumaczyć, dlaczego ciała wiezione do krematorium muszą przejeżdżać przez kwatery mieszkalne dzieci?

– W Fasolowie jest dużo fasoli – rzucił Stackhouse.

– Słucham? Coś ty powiedział?

Mężczyzna potrząsnął głową, jakby chciał oczyścić myśli.

– Przepraszam. To mi przyszło do głowy...

– Tak, tak – wtrącił Hallas. – Dziś jest w powietrzu dużo... luźnych transmisji, tak to nazwijmy.

– Wiem, co to było – odrzekł Stackhouse. – Musiałem to z siebie wyrzucić, nic więcej. Czułem się tak, jakbym...

– ...krtusił się jedzeniem – dokończył za niego rzeczowo doktor Hallas. – A odpowiedź na pani pytanie brzmi... nikt tego nie wie. – Zachichotał i dotknął dłonią kącika ust.

Zabierzcie mnie stąd, pomyślała znowu pani Sigsby.

– Doktorze Hallas, gdzie jest doktor James?

– W swoim pokoju. Niestety, nie czuje się dziś najlepiej. Ale przesyła pozdrowienia. Ma nadzieję, że dobrze się miewacie, byczo, kaczo, indyczo, itede, itede.

Uśmiechnął się i znowu zrobił ten gest *à la Shirley Temple*: „Prawda, że jestem uroczy?”.

8

W sali projekcyjnej Kalisha zabrała Nicky’emu z ręki papierosa bez filtra, zaciągnęła się nim po raz ostatni, a później rzuciła go na podłogę i przydepnęła. Potem objęła się ramionami.

– Niedobrze ci?

– Bywało gorzej.

– Po filmie będzie lepiej.

– Tak. Ale jest jeszcze jutro. Teraz wiem, dlaczego mój tata tak okropnie wyglądał, kiedy miał kaca. A jak ty się czujesz, Sha?

– W porządku.

To była prawda. Kalisha czuła tylko lekkie pulsowanie nad lewym okiem. Dziś wieczorem minie, ale jutro wróci i nie będzie już lekkie. Jutro to będzie ból, przy którym kac ojca Nicky’ego (a czasami także rodziców Kalishy) to kaszka z mleczkiem: nieprzerwane dudnienie, jakby ktoś uwięził w jej głowie demonicznego elfa, który walił młotem w czaszkę, próbując się wydostać. Wiedziała jednak, że nawet to nie jest jeszcze najstraszniejsze. U Nicky’ego ból głowy bywał gorszy, nie mówiąc już o Iris, i coraz dłużej trzeba było czekać, aż ustąpi.

Farciarzem okazał się George: mimo silnego TK prawie w ogóle nie odczuwał bólu. Mówił, że tylko trochę bołą go skronie i tył czaszki. Ale jemu również kiedyś musiało się pogorszyć. Zawsze się pogarszało, aż w końcu było już po wszystkim. A wtedy? Oddział A. Buczenie. Tylna połowa Tylnej Połowy. Kalisha na razie na to nie czekała, nadal była przerażona perspektywą, że zostanie wymazana jako człowiek, ale miało się to zmienić. U Iris już się zmieniło – dziewczyna przez większość czasu wyglądała jak zombi z *Żywych trupów*. Helen Simms w gruncie rzeczy wyraziła odczucia Kalishy na temat Oddziału A, kiedy powiedziała, że wszystko jest lepsze od Świąteł Stasi i rozsadzającego bólu głowy, który nigdy nie ustaje.

George wychylił się zza Nicka i spojrzał na nią jasnymi oczami, w których jeszcze prawie nie było bólu.

– On uciekł – szepnął. – Skupcie się na tym. I wytrzymajcie.

– Wytrzymamy – powiedziała Kalisha. – Prawda, Nick?

– Spróbujemy – odparł Nicky i zdołał się uśmiechnąć. – Chociaż myśl o tym, że kawalerię sprowadzi nam tu koleś, który jest tak słaby w kosza jak Lukey Ellis, jest mocno naciągana.

– Może jest słaby w kosza, ale za to dobry w szachy – przypomniał mu George. – Nie stawiaj na nim krzyżyka.

W drzwiach sali projekcyjnej pojawił się jeden z opiekunów. Opiekunowie Przedniej Połowy nosili identyfikatory, ale tutaj nie. Tutaj byli wymienni. Nie było również techników, a jedynie dwoje lekarzy plus czasami doktor Hendricks: Heckle, Jeckle i Donkey Kong – Straszliwe Trio.

– Koniec czasu wolnego. Jeśli nic nie jecie, wracajcie do pokoi.

Dawny Nicky pewnie kazałby temu prymitywnemu mięśniakowi spierdalać. Nowy tylko się podniósł, zachwiał i chwycił oparcia fotela, żeby utrzymać równowagę. Kalishy pękało serce, kiedy oglądała go w takim stanie. To, co Nicky’emu odebrano, pod pewnym względem było gorsze niż morderstwo. Nawet pod wieloma względami.

– Chodźcie – powiedziała. – Pójdziemy razem. Prawda, George?

– No, myślałem, że zostanę na popołudniowy seans *Jersey Boys*, ale skoro nalegasz...

Oto my, troje popieprzonych muszkieterów, pomyślała Kalisha.

Na korytarzu brzęczenie było znacznie silniejsze. Tak, wiedziała, że Luke uciekł, Avery dał jej znać – to bardzo dobra wiadomość. Zadowolone z siebie gnojki dotąd nawet się nie zorientowały, że go nie ma – to jeszcze lepsza. Ból głowy sprawiał jednak, że trudniej było o nadzieję. Nawet kiedy ustępował, czekało się na jego powrót, co zmieniało się w szczególny rodzaj udręki. Brzęczenie dochodzące z Oddziału A sprawiało natomiast, że nadzieja wydawała się pozbawiona znaczenia, i to było straszne. Kalisha nigdy nie czuła się równie samotna, równie przyparta do muru.

Ale muszę wytrzymać tak długo, jak się da, pomyślała. Bez względu na to, co nam zrobią tymi światłami i cholernymi filmami, muszę wytrzymać. Nie mogę stracić umysłu.

Szli korytarzem pod okiem opiekuna, nie jak dzieci, lecz jak inwalidzi. Albo jak starcy spędzający swoje ostatnie tygodnie w nieprzyjemnym hospicjum.

Pani Sigsby i Stackhouse, prowadzeni przez doktora Everetta Hallasa, minęli zamknięte drzwi do Oddziału A. Stackhouse pchał wózek. Zza tych drzwi nie dobiegały żadne krzyki, ale wrażenie przebywania w polu elektrycznym jeszcze bardziej się nasiliło – napięcie przebiegało po skórze jak niewidzialne mysie nóżki. Stackhouse również to czuł. Dłonią, która nie była zajęta popychaniem prowizorycznych mar Maureen Alvorson, pocierał swoją gładką łysinę.

– Mnie to się zawsze kojarzy z pajęczynami – powiedział. Potem dodał, zwracając się do Heckle’a: – Pan tego nie czuje?

– Przywykłem – rzucił tamten i dotknął kącika ust. – To kwestia asymilacji. – Zawiesił głos. – Nie, to nie jest właściwe słowo. Raczej adaptacji. Aklimatyzacji.

Panią Sigsby nagle opanowała niemal psotna ciekawość.

– Doktorze, kiedy są pańskie urodziny? Pamięta pan?

– Dziewiątego września. I wiem, co pani sobie myśli. – Obejrzał się przez ramię na drzwi z czerwonym napisem *Oddział A*, a potem na panią Sigsby. – Czuję się dobrze pod każdym względem.

– Dziewiątego września – powtórzyła. – Czyli jest pan... czym, Wagą?

– Wodnikiem – odparł Heckle i rzucił jej łobuzerskie spojrzenie, które zdawało się mówić: „Tak łatwo się mnie nie nabierze, moja pani”. – W siódmym domu księżyc znajdzie się, Jowisza miejsce zajmie Mars, itepe, itede. Panie Stackhouse, pochylamy głowę. Niski sufit.

Przeszli krótkim, ciemnym korytarzem, zeszli po schodach – Stackhouse przytrzymał wózek od przodu, a pani Sigsby kontrolowała go z tyłu – po czym dotarli do kolejnych zamkniętych drzwi. Heckle użył karty i weszli do okrągłego pomieszczenia, w którym było nieprzyjemnie ciepło. Nie stały tam żadne meble, ale na ścianie wisiała tabliczka w ramce: **PAMIĘTAJCIE, ŻE BYLI BOHATERAMI**. Znajdowała się pod brudną, poplamioną szybą, która aż się prosiła o wyczyszczenie. Po przeciwległej stronie pomieszczenia, w połowie wysokości szorstkiej betonowej ściany, mieściła się metalowa kłapa przypominająca taką w przemysłowej chłodni. Na lewo od niej zamontowano nieduży wyświetlacz, aktualnie pusty. Na prawo były dwa przyciski, czerwony i zielony.

Tutaj nękające panią Sigsby urywane myśli i fragmenty wspomnień znikły, a nieuchwytny ból głowy, który zawisł u jej skroni, trochę się rozplątał. To ją cieszyło, ale i tak nie mogła się doczekać, kiedy stąd wyjdzie. Rzadko odwiedzała Tylną Połowę, bo jej obecność tutaj nie była konieczna; dowódca armii nie musi być na froncie, dopóki wojna

przebiega zgodnie z planem. I chociaż teraz Sigsby czuła się lepiej, przebywanie w tym pustym okrągłym pomieszczeniu nadal było absolutnie koszmarne.

Hallas również robił teraz lepsze wrażenie. Wronowatego Heckle'a zastąpił człowiek, który przez dwadzieścia osiem lat służył jako lekarz w wojsku, odznaczony Brązową Gwiazdą. Wyprostował się i przestał dotykać palcem kącika ust. Wzrok miał teraz czysty i zadawał zwięzłe pytania.

– Ma biżuterię?

– Nie – odpowiedziała pani Sigsby, myśląc o braku obrączki Alvorson.

– Czy słusznie mniemam, że jest ubrana?

– Oczywiście. – Pani Sigsby poczuła się dziwnie urażona tym pytaniem.

– Sprawdziliście jej kieszenie?

Spojrzała na Stackhouse'a. Ten pokręcił głową.

– A chcecie? Bo jeśli tak, teraz jest jedyna okazja.

Pani Sigsby rozważyła tę kwestię i odrzuciła ją. Swój list pożegnalny Alvorson zostawiła na ścianie łazienki, a jej torebka na pewno znajdowała się w szafce. Należało tam zajrzeć, czysto rutynowo, teraz jednak Sigsby nie zamierzała odwijać ciała sprzątaczk i ponownie odsłaniać tego bezczelnie sterczącego języka tylko po to, żeby znaleźć pomadkę do ust, paczkę gum do żucia czy kilka zmiętych chusteczek.

– Ja nie. A ty, Trevorze?

Stackhouse znowu pokręcił głową. Miał całoroczną opaleniznę, ale dzisiaj wydawało się, że pod nią jest blady. Na nim również spacer przez Tylną Połowę odcisnął piętno. Może powinniśmy to robić częściej, pomyślała pani Sigsby. Zachować kontakt z całym procesem. Potem jednak przypomniała sobie, jak doktor Hallas oznajmił, że jest Wodnikiem, a Stackhouse rzucił, że w Fasolowie jest dużo fasoli. Uznała, że zachowanie kontaktu z procesem to bardzo zły pomysł. Zresztą jeśli Hallas urodził się dziewiątego września, to czy naprawdę był Wagą? Coś tu się nie zgadzało. Chyba raczej Panną?

– Do dzieła – powiedziała.

– W porządku – odparł doktor Hallas, uśmiechnął się od ucha do ucha i znów był Heckle'em w każdym calu.

Szarpnął za klamkę drzwi ze stali nierdzewnej i otworzył je. Za nimi były czerń, zapach gotowanego mięsa i pokryty sadzą taśmociąg, który opadał w ciemność.

Tę tabliczkę trzeba wyczyścić, pomyślała pani Sigsby. A taśmociąg wyszorować, zanim się zatka i zepsuje. Kolejne oznaki niedbałości.

– Mam nadzieję, że da pan radę podnieść ją sam – odezwał się Heckle, wciąż uśmiechnięty niczym gospodarz teleturnieju. – Niestety, czuję się dziś trochę słabowity. Nie zjadłem rano swojej miski płatków.

Stackhouse uniósł owinięte płótnem ciało i położył je na taśmociągu. Odchyliła się dolna fałda materiału, odsłaniając jeden but. Pani Sigsby miała ochotę odwrócić wzrok od wytartej podeszwy, ale się powstrzymała.

– Jakież ostatnie słowa? – zapytał Hallas. – Jenny, ledwieśmy cię znali? Niech ci ziemia lekką będzie?

– Niech się pan nie wygłupia – rzuciła pani Sigsby.

Doktor Hallas zamknął drzwi i nacisnął zielony guzik. Kobieta usłyszała turkot i skrzypienie, kiedy brudny taśmociąg ruszył. Gdy te dźwięki ustały, Hallas nacisnął z kolei czerwony. Wyświetlacz ożył, pokazał liczbę 100, która szybko skoczyła do 200, do 400, do 800 i wreszcie do 1600.

– Temperatura znacznie wyższa niż w przeciętnym krematorium – oznajmił Hallas. – I znacznie szybsze działanie, ale to i tak trochę zajmuje. Możecie zostać, jeśli chcecie. Bardzo chętnie was oprowadzę. – Nie przestawał szeroko się uśmiechać.

– Nie dzisiaj – ucięła pani Sigsby. – Mamy zdecydowanie za dużo pracy.

– Tak sądziłem. Może kiedy indziej. Tak rzadko was widzujemy, a otwarci jesteśmy na okrągło.

10

Kiedy Maureen Alvorson rozpoczynała swoją ostatnią podróż, Stevie Whipple jadł makaron z serem w stołówce Przedniej Połowy. Avery Dixon chwycił go za mięsiste, piegowate ramię.

– Chodź ze mną na plac zabaw.

– Jeszcze nie skończyłem jeść.

– Nic mnie to nie obchodzi. – Malec zniżył głos. – To ważne.

Stevie ugryzł ostatni wielki kęs, wytarł usta wierzchem dłoni i ruszył za Averym. Plac zabaw był opustoszały, tylko Frieda Brown siedziała na asfalcie otaczającym kosz do gry w koszykówkę i rysowała kredą postacie z kreskówek. Całkiem nieźle. Wszystkie się uśmiechały. Kiedy chłopcy przechodzili, nie podniosła wzroku.

Po dotarciu do ogrodzenia Avery wskazał rów w ziemi i żwirze. Stevie patrzył szeroko otwartymi oczami.

– Co to zrobiło? Jakiś świstak albo coś? – Rozejrzył się tak, jakby się spodziewał, że pod trampoliną albo stołem piknikowym chowa się świstak, do tego pewnie chory na wściekliznę.

– Żaden świstak – odparł Avery.

– Avik, ty na pewno mógłbyś się tędy precyzyjnie. Ucieknąć.

Nie wyobrażaj sobie, że nie przeszło mi to przez głowę, pomyślał Avery, ale zgubiłbym się w lesie. A nawet jak nie, to łódki już nie ma.

– Nieważne. Pomóż mi to zakopać.

– Dlaczego?

– Bo tak. I nie mów „ucieknąć”, Stevie, bo brzmisz jak nieuk. Mówi się „uciec”.

I to właśnie niedawno zrobił jego przyjaciel, niech go Bóg błogosławi i strzeże – uciekł. Gdzie teraz był? Avery nie miał pojęcia. Stracił z nim kontakt.

– Uciec – powtórzył Stevie. – Łapię.

– Świetnie. To teraz mi pomóż.

Obaj uklękli i zaczęli zasypywać zagłębienie pod ogrodzeniem. Nabierali ziemię rękami, wzbijając przy tym chmurę kurzu. To była ciężka robota i wkrótce się spocili. Stevie był jaskrawoczerwony na twarzy.

– Co robicie, chłopcy?

Obejrżeli się. To była Gladys, ale bez swego typowego szerokiego uśmiechu.

– Nic – odpowiedział Avery.

– Nic – powtórzył po nim Stevie. – Tak tylko się bawimy w piachu. No, wie pani, kopujemy jak w kopalni.

– Pokażcie. Ruszcie się.

Żaden z nich nie drgnął, więc kobieta kopnęła Avery’ego w bok.

– Aua! – zawył i zwinął się w kłębek. – Aua, to boli!

– A pani co? – rzucił Stevie. – Ma pani ciotę czy... – Również zarobił kopniaka, on z kolei w ramię.

Gladys spojrzała na rów, tylko częściowo zasypany, a potem na Friedę, wciąż zajęta twórczością artystyczną.

– Ty to zrobiłaś?

Dziewczynka pokręciła głową, nie podnosząc wzroku.

Gladys wyjęła krótkofalówkę z kieszeni białych spodni i nacisnęła przycisk.

– Panie Stackhouse? Tu Gladys do pana Stackhouse’a.

Chwila ciszy, a potem:

- Tu Stackhouse, mów.
- Chyba musi pan natychmiast przyjść na plac zabaw. Chcę panu coś pokazać. Może to nic takiego, ale nie podoba mi się.

11

Po powiadomieniu szefa ochrony Gladys wezwała Winonę, żeby ta zabrała chłopców do pokoi. Mieli tam zostać do odwołania.

– Ja o tej dziurze nic nie wiem – powiedział nadąsany Stevie. – Myślałem, że wykopał ją świstak.

Winona kazała mu się zamknąć i zaprowadziła ich do budynku.

Stackhouse przyszedł razem z panią Sigsby. Ta pochyliła się, przykucnęła, najpierw obejrzała zagłębienie pod płotem, a potem samo ogrodzenie.

– Nikt by się tędy nie przecisnął – stwierdziła. – No, może Dixon, on jest niewiele większy od tych bliźniaczek Wilcox, ale nikt poza tym.

Stackhouse odgarnął na bok luźną ziemię i kamyki, które nasypali tam chłopcy. Rów był teraz trochę głębszy.

– Jest pani pewna?

Pani Sigsby złapała się na tym, że przygryza wargę, więc zmusiła się, by przestać to robić. To niedorzeczne, pomyślała. Mamy kamery, mamy mikrofony, mamy opiekunów, woźnych, sprzątaczkę, mamy ochronę. A wszystko po to, żeby pilnować dzieci tak przestraszonych, że nawet by nie pisnęły.

Oczywiście na przestrzeni lat trafił się tu Wilholm, który pisał nawet głośno, oraz kilkoro jemu podobnych. Mimo to...

– Julio – odezwał się Stackhouse, bardzo cicho.

– Co?

– Uklęknij tu przy mnie.

Pani Sigsby zaczęła klękać, ale zobaczyła, że wpatruje się w nich ta Brown.

– Wracaj do środka – warknęła na nią. – Natychmiast.

Frieda zostawiła kreskówkowe postaci i prędko wbiegła do budynku, otrzepując dłonie z kredy. Kiedy wchodziła do świetlicy, pani Sigsby zobaczyła gromadkę dzieci gapiących się przez okno. Gdzie są opiekunowie, kiedy ich potrzeba? W pokoju socjalnym dzielą się historyjkami z którymś z zespołów wydobywczych? Opowiadają sobie sprośne dow...

– Julio!

Sigsby przyklęknęła na jedno kolano i skrzywiła się, bo ukłuł ją jakiś ostry kamyk.

– Na ogrodzeniu jest krew. Widzisz?

Nie chciała tego zobaczyć, ale zobaczyła. Tak, to była krew. Zaschnięta i zbrązowiała, lecz z całą pewnością krew.

– A teraz popatrz tam.

Stackhouse wetknął palec w jeden z rąbów siatki i wskazał częściowo wyrwany z korzeniami krzak. Na nim również widniała krew. Gdy pani Sigsby oglądała te miejsca, miejsca będące na zewnątrz, ścisnęło ją w żołądku i przez jedną przerażającą chwilę myślała, że się zmoczy, tak jak dawno temu na tym trójkołowym rowerku. Pomyślała o Telefonie Zero i wyobraziła sobie, jak znika w nim jej życie jako szefowej Instytutu – bo to przecież nie była jej praca, ale właśnie całe życie. Co powiedziałby sepleniący mężczyzna w słuchawce, gdyby zadzwoniła do niego z informacją, że z teoretycznie najtajniejszej i najlepiej zabezpieczonej placówki w kraju – nie wspominając o tym, że najważniejszej – uciekło dziecko... przeczolgując się pod ogrodzeniem?

Oczywiście powiedziano by jej, że jest skończona. Że już po niej.

– Wszyscy podopieczni są na miejscu – szepnęła chrapliwie.

Chwyła Stackhouse'a za nadgarstek, wbijając mu paznokcie w skórę. Mężczyzna wciąż wpatrywał się jak zahipnotyzowany w częściowo wyrwany krzak. Sytuacja stawiała go w równie złym świetle co ją. Nie w gorszym, bo to niemożliwe, ale w równie złym.

– Trevorze, oni tu wszyscy są. Sprawdziłam.

– Chyba powinnaś sprawdzić jeszcze raz. Nie sądzisz?

Tym razem miała przy sobie krótkofalówkę (przemknęło jej przez głowę, że każdy mądry po szkodzie), więc ją uruchomiła.

– Zeke? Tu Sigsby do Zeke'a. – Obyś tam był, Ionidis. Dla twojego dobra. Był.

– Pani Sigsby, tu Zeke. Właśnie sprawdzałem, co wiemy o Alvorson. Pan Stackhouse kazał mi to zrobić, bo Jerry ma wolne, a Andy'ego nie ma. Odnalazłem jej sąsia...

– Teraz to nieważne. Jeszcze raz sprawdź dla mnie lokalizatory.

– Dobrze. – Nagle Zeke wydał się zaniepokojony. Musiał dosłyszeć napięcie w moim głosie, pomyślała Sigsby. – Chwileczkę, dzisiaj wszystko wolno chodzi... jeszcze sekundę...

Pani Sigsby miała ochotę krzyknąć. Stackhouse ciągle patrzył przez płot, jakby liczył na to, że za sprawą czarów pojawi się tam jakiś pieprzony hobbit i wszystko wytłumaczy.

– Dobra – odezwał się Zeke. – Czterdziestu jeden podopiecznych, nadal stuprocentowa obecność.

Poczucie ulgi było dla pani Sigsby niczym chłodny powiew.

– W porządku, dziękuję. To bardzo...

Stackhouse zabrał jej krótkofalówkę.

– Gdzie oni teraz są? – zapytał.

– Yyy... Ciągle dwadzieścia osiem osób w Tylnej Połowie, teraz czworo w świetlicy wschodniego skrzydła... troje w stołówce... dwoje w swoich pokojach... troje na korytarzu...

Tych troje to Dixon, Whipple i ta artystka, pomyślała pani Sigsby.

– I jedna osoba na placu zabaw – dokończył Zeke. – Jak mówiłem, stuprocentowa obecność.

– Zaraz, Zeke. – Stackhouse spojrział na panią Sigsby. – Czy widzisz jakieś dziecko na placu zabaw?

Nie odpowiedziała mu. Nie musiała.

Stackhouse ponownie uniósł krótkofalówkę.

– Zeke?

– Jestem tutaj. Słucham.

– Czy możesz dokładnie określić lokalizację tego dziecka na placu zabaw?

– Yyy... zaraz przybliżę... był do tego przycisk...

– Nie kłopotz się – rzuciła pani Sigsby.

Zauważyła jakiś przedmiot migoczący we wczesnopopołudniowym słońcu. Weszła na boisko do koszykówki, pochyliła się nad linią rzutów wolnych i go podniosła. Wróciła do szefa ochrony i wyciągnęła rękę. Na dłoni pani Sigsby leżała większa część płatka ucha, w którym ciągle tkwił wszczep śledzący.

12

Mieszkańcom Przedniej Połowy kazano wrócić do pokoi i nie wychodzić. Każdego napotkanego na korytarzu miała czekać surowa kara. Służba ochrony Instytutu składała się z zaledwie czterech osób, włączając w to samego Stackhouse'a. Dwaj mężczyźni przebywali w wiosce i szybko przyjechali wózkiem golfowym, który według planu Maureen miał znaleźć Luke, ale minął go o niecałe sto metrów. Trzecia członkini zespołu Stackhouse'a znajdowała się akurat w Dennison River Bend. Stackhouse nie zamierzał na nią czekać. Na miejscu byli natomiast Denny Williams i Robin Lecks z zespołu rubinowego, którzy oczekiwali na kolejne zadanie

i bardzo chętnie dali się zwerbować. Dołączyli do nich dwaj mięśniacy – Joe Brinks i Chad Greenlee.

– To ten chłopak z Minnesoty – powiedział Denny, kiedy już skompletowano prowizoryczny zespół poszukiwawczy i wdrożono go w sytuację. – Ten, którego przywieźliśmy w zeszłym miesiącu.

– Zgadza się – potwierdził Stackhouse. – Chłopak z Minnesoty.

– I mówicie, że sam wyrwał sobie wszczep z ucha? – zapytała Robin.

– Cięcie jest zbyt gładkie. Chyba użył noża.

– Tak czy siak, miał jaja – stwierdził Denny.

– Urwę mu je, jak go dopadniemy – rzucił Joe. – Gówniarz nie pyskuje jak Wilholm, ale i tak ma bezczelne spojrzenie.

– Na pewno włóczy się po lesie taki zagubiony, że kiedy go znajdziemy, chyba nas uściska – powiedział Chad. Na chwilę urwał. – O ile go znajdziemy. Tam jest dużo drzew.

– Krwawiło mu ucho, a po przeczołganiu się pod ogrodzeniem pewnie i całe plecy – zaznaczył Stackhouse. – Krew musiał mieć też na rękach. Pójdziemy jej śladem tak daleko, jak to będzie możliwe.

– Byłoby dobrze mieć psa – zauważył Denny Williams. – Posokowca albo starego dobrego blueticka.

– Byłoby dobrze, gdyby chłopak w ogóle nam nie uciekł – wtrąciła Robin. – Pod ogrodzeniem, tak? – Prawie się roześmiała, zobaczyła jednak napiętą twarz i wściekłe spojrzenie Stackhouse'a, więc zmieniła zdanie.

Właśnie wtedy dotarli Rafe Pullman i John Walsh, dwaj ochroniarze z wioski.

– Nie zabijemy go, to musicie rozumieć – oznajmił Stackhouse. – Ale jak dorwiemy sukinsyna, to porazimy go ile wlezie.

– O ile go dorwiemy – powtórzył opiekun Chad.

– Dorwiemy – stwierdził Stackhouse. Bo jeśli nie, pomyślał, będą ugotowany. I cała ta placówka pewnie też.

– Wracam do swojego gabinetu – poinformowała pani Sigsby.

Stackhouse złapał ją za łokieć.

– Po co? – zapytał.

– Żeby pomyśleć.

– Dobrze. Niech sobie pani myśli do woli, ale żadnych telefonów. W tej kwestii się zgadzamy?

Spojrzała na niego z pogardą, ale po tym, jak zagryzała wargę, można było poznać, że chyba również się boi. Jeżeli tak, to było ich dwoje.

– Oczywiście.

Kiedy jednak dotarła do swojego gabinetu – do jego cudownej klimatyzowanej ciszy – okazało się, że myślenie przychodzi jej z trudem. Wzrok cały czas uciekał w kierunku zamkniętej szuflady w biurku. Zupełnie jakby w środku nie znajdował się telefon, ale granat ręczny.

13

Piętnasta.

Żadnych wieści od zespołu polującego w lesie na Luke'a Ellisa. Owszem, mnóstwo komunikatów, ale żadnych wieści. O ucieczce powiadomiono każdego pracownika Instytutu; wszystkich postawiono na nogi. Część ludzi dołączyła do poszukiwań. Inni przeczesywali wioskę, zaglądali do każdego pustego domu, wypatrując chłopca albo przynajmniej śladów tego, że tam był. Nie zaginął żaden prywatny pojazd. Wszystkie wózki golfowe, którymi czasami przemieszczał się personel, stały na swoich miejscach. Powiadomiono ludzi na usługach Instytutu w Dennison River Bend – do których zaliczało się dwóch miejscowych policjantów – i podano im rysopis Ellisa, ale nikt go tam nie widział.

Były natomiast wieści na temat Alvorson.

Ionidis wykazał się inicjatywą i przebiegłością, do jakich informatycy Instytutu, Jerry Symonds i Andy Fellowes, byliby niezdolni. Korzystając najpierw z Google Earth, a następnie z aplikacji do lokalizowania telefonów, skontaktował się z sąsiadką Alvorson z małego miasteczka w Vermoncie, w którym pokojówka nadal miała dom. Przedstawił się jako przedstawiciel urzędu skarbowego i sąsiadka łyknęła to bez wahania. Nie okazując ani śladu powściągliwości, z której rzekomo słyną Jankesi, opowiedziała mu, że kiedy Mo ostatnio była w domu, poprosiła ją o bycie świadkiem podpisania dokumentów w obecności jakiejś prawniczki. Dokumenty były zaadresowane do różnych firm windykacyjnych. Prawniczka mówiła, że to wezwania do zaniechania działań.

– W tych listach chodziło o karty kredytowe jej męża – powiedziała Zeke'owi pani z sąsiedztwa. – Mo nie wytłumaczyła mi tego, ale nie musiała. Nie urodziłam się wczoraj. Spłacała rachunki tego pasożyta. Jeśli skarbowka może ją za to ścigać, to lepiej się pośpieszcie. Wyglądała na bardzo chorą.

Pani Sigsby przyznała, że sąsiadka z Vermontu miała rację. Rodziło się pytanie, dlaczego Alvorson zdecydowała się na takie rozwiązanie. Przecież to jak drapanie się lewą ręką w prawe ucho. Wszyscy pracownicy Instytutu wiedzieli, że jeśli przydarzą im się kłopoty finansowe

(najczęściej chodziło o hazard), mogą liczyć na pożyczki z minimalnym oprocentowaniem. Ten element pakietu świadczeń podkreślano na każdym powitalnym spotkaniu informacyjnym. W gruncie rzeczy nie było to wcale świadczenie pracownicze, ale środek bezpieczeństwa. Ludzi z długami może kusić sprzedawanie tajemnic.

Prostym wyjaśnieniem zachowania Alvorson mogła być duma, być może połączona z poczuciem wstydu, że dała się wykorzystać mężowi, który ją zostawił, ale pani Sigsby takie tłumaczenie się nie podobało. Ta kobieta była u kresu życia i musiała o tym wiedzieć już od jakiegoś czasu. Postanowiła się oczyścić, a wzięcie pieniędzy od organizacji, przez którą ubrudziła sobie ręce, nie byłoby właściwym sposobem, żeby to osiągnąć. Taka wersja wydawała się prawdziwa – a przynajmniej bliska prawdy. Pasowało do niej nawiązanie do piekła w wiadomości na ścianie.

Ta suka pomogła mu uciec, pomyślała pani Sigsby. No oczywiście, taką sobie wymyśliła pokutę. Ale nie mogę jej w tej sprawie przesłuchać, zadbała o to. Nic dziwnego – znała nasze metody. Więc co mam teraz zrobić? Co zrobię, jeśli ten przemądrzały dzieciak nie wróci tu przed zmierzchem?

Znała odpowiedź na to pytanie i była pewna, że Trevor też ją zna. Wtedy musiałaby wyjąć Telefon Zero z zamkniętej szuflady i wcisnąć wszystkie trzy białe guziki. Odebrałby sepleniący mężczyzna. Jak by zareagował, gdyby mu oznajmiła, że po raz pierwszy w historii Instytutu uciekł podopieczny – że w środku nocy przekopał się pod ogrodzeniem? Powiedziałby: „Ojejku, bardzo mi pfykro? Wielka fkoda? Niech się pani nie martwi?”.

Akurat.

Myśl, rozkazała samej sobie. Myśl, myśl, myśl! Komu ta nieznośna pokojówka mogła powiedzieć? A Ellis? Komu on by pow...

– Kurwa. Kurwa!

Miała to przed nosem, i to odkąd odkryli dziurę pod płotem. Usiadła prosto w fotelu, szeroko otworzyła oczy i zapomniała o Telefonie Zero po raz pierwszy, odkąd Stackhouse odezwał się z informacją, że ślady krwi kończą się zaledwie pięćdziesiąt metrów za ogrodzeniem.

Włączyła komputer i odnalazła właściwy plik. Kliknęła, uruchamiając nagranie wideo. Na ekranie Alvorson, Ellis i Dixon stali przy automatach z przekąskami.

„Tutaj możemy rozmawiać. Jest tu mikrofon, ale od lat nie działa”.

Najwięcej mówił Luke Ellis. Martwił się o bliźniaczki i Crossa. Alvorson go uspokajała. Dixon stał obok, mało się odzywał, tylko drapał się po

rękach i szarpał za nos.

„Chryste, dzieciaku – powiedział wtedy Stackhouse – jak chcesz dłubać, to dłub”. Tylko że teraz, oglądając to nagranie świeżym wzrokiem, pani Sigsby zrozumiała, co tam się naprawdę działo.

Zamknęła laptopa i włączyła interkom.

– Rosalind, chcę się zobaczyć z Dixonem. Niech Tony i Winona go przyprowadzą. Natychmiast.

14

Avery Dixon, w koszulce z Batmanem i brudnych spodenkach odsłaniających pokryte strupami kolana, stał przed biurkiem pani Sigsby i patrzył na nią wystraszonym wzrokiem. Sam w sobie był drobny, a teraz na dodatek z jednej strony miał Winonę, a z drugiej Tony’ego. Nie wyglądał na dziesięć lat – z trudem uchodziłby za pierwszoklasistę.

Pani Sigsby rzuciła mu blady uśmiech.

– Panie Dixon, powinnam była się panem zająć znacznie wcześniej. Chyba robię się niedbała.

– Tak, proszę pani – szepnął Avery.

– Zgadzasz się? Że robię się niedbała?

– Nie, proszę pani! – Chłopiec oblizał usta. Teraz jednak nie łąpał się za nos.

Pani Sigsby pochyliła się w jego stronę ze splecionymi dłońmi.

– Nawet jeśli rzeczywiście, to ta niedbałość kończy się dzisiaj. Nastąpią zmiany. Ale najpierw musimy... i to jest bardzo ważne... wręcz niezbędne... sprowadzić Luke’a z powrotem do domu.

– Tak, proszę pani.

Kiwnęła głową.

– Zgadzamy się, to dobrze. Dobry początek. Zatem gdzie on się podział?

– Nie wiem, proszę pani.

– Myślę, że wiesz. Ty i Steven Whipple zasypywaliście dziurę, przez którą uciekł. Co było z waszej strony głupie. Trzeba ją było zostawić w spokoju.

– Myśleliśmy, że zrobił ją świstak, proszę pani.

– Nonsens. Dokładnie wiesz, kto ją zrobił. Twój przyjaciel Luke. No dobrze. – Pani Sigsby położyła dłonie na biurku i uśmiechnęła się do Avery’ego. – To mądry chłopiec, a mądrzy chłopcy nie wypuszczają się w las tak po prostu. Może przeczołganie się pod ogrodzeniem to jego pomysł, ale Alvorson musiała go zaznajomić z okolicą po drugiej stronie.

Podawała ci wskazówki po kawałku, za każdym razem, kiedy pociągnąłeś się za nos. Przesyłała ci je prosto do tej twojej uzdolnionej główki, prawda? A potem ty przekazałeś je Ellisowi. Nie ma sensu się wypierać, panie Dixon, widziałam nagranie z waszej rozmowy. Jeśli wybaczysz starszej pani żart, to widziałam je równie wyraźne jak nos na twojej twarzy. Powinnam była zorientować się wcześniej.

Trevor także, pomyślała. On również widział nagranie i powinien był rozpoznać, co tam się działo. Jeśli dojdzie do szczegółowego przesłuchania, gdy będzie już po wszystkim, wyjdziemy na ślepców.

– A teraz mów, dokąd on poszedł.

– Naprawdę nie wiem.

– Pan ucieka wzrokiem, panie Dixon. Tak robią kłamcy. Patrz prosto na mnie. Inaczej Tony wykręci ci ręce za plecami, a to boli.

Skinęła głową na Tony'ego. Ten chwycił Avery'ego za wiotki nadgarstek.

Chłopiec spojrzał prosto na nią. To było trudne, ponieważ miała chudą, straszną twarz, twarz wrednej nauczycielki wołającą „Powiedz mi wszystko!”, ale spojrzał. Łzy napłynęły mu do oczu i pociekły po policzkach. Zawsze był skory do płaczu – jego dwie siostry przeżywały go „beksa-lala”, a na szkolnym boisku podczas przerwy był dla wszystkich chłopcem do bicia. Tutaj na placu zabaw było lepiej. Avery tęsknił za rodzicami, bardzo tęsknił, ale przynajmniej miał tu przyjaciół. Harry najpierw go przewrócił, potem jednak się z nim przyjaźnił. To znaczy dopóki nie umarł. Dopóki nie zabili go jednym z tych głupich testów. Helen i Kalishy już nie było, ale ta nowa, Frieda, traktowała go sympatycznie i pozwoliła mu wygrać w kosza. Tylko raz, ale to już coś. No i Luke. Najlepszy ze wszystkich. Był najlepszym przyjacielem, jakiego Avery kiedykolwiek miał.

– Panie Dixon, dokąd Alvorson kazała mu iść? Jaki był plan?

– Nie wiem.

Pani Sigsby ruchem głowy dała znak Tony'emu; ten wykręcił małemu rękę za plecami i poderwał mu nadgarstek prawie do łopatki. Ból był niesamowity. Avery wrzasnął.

– Dokąd on poszedł? Jaki był plan?

– Nie wiem!

– Puść go, Tony.

Gdy Tony wykonał polecenie, zapłakany Avery runął na kolana.

– To strasznie bolało, nie róbcie mi już krzywdy, proszę, nie róbcie.

Chciał dodać „To nie fair”, tylko co tych ludzi obchodziło postępowanie fair? Zupełnie nic.

– Nie chcę ci jej robić – powiedziała pani Sigsby.

W najlepszym razie była to półprawda. Cała prawda wyglądała tak, że lata pracy na tym stanowisku uodporniły Sigsby na cierpienie dzieci. I choć tablica w krematorium nie kłamała – one naprawdę były bohaterami, nawet jeśli to heroizm wbrew woli – niektóre potrafiły nadwerzeżyć ludzką cierpliwość. Czasami tak bardzo, że się kończyła.

– Nie wiem, dokąd on poszedł, nie kłamię – odezwał się chłopiec.

– Kiedy ktoś czuje potrzebę podkreślenia, że nie kłamię, to znaczy, że jest wręcz przeciwnie. Trochę już chodzę po tym świecie, więc wiem. Zatem słucham: dokąd on poszedł i jaki był plan?

– Nie wiem!

– Tony, podnieś mu koszulę. Winono, paralizator. Średnia moc.

– Nie! – krzyknął Avery, usiłując się wyrwać. – Tylko nie paralizator! Błagam!

Tony objął go wpół i podciągnął mu koszulkę. Winona przyłożyła urządzenie tuż ponad pępkiem chłopca i uruchomiła je. Avery wrzasnął. Nogi mu zadygotały i na dywan pociekły siki.

– Dokąd on poszedł, panie Dixon?

Ten pokurcz miał plamy na twarzy, cienie pod oczami, usmarkał się, zmoczył w spodnie, a mimo to nie pękł. Pani Sigsby nie mogła w to uwierzyć.

– Dokąd poszedł i jaki był plan? – powtórzyła.

– Nie wiem!

– Winono, jeszcze raz. Średnia moc.

– Czy jest pani p...

– Tym razem poproszę nieco wyżej. Tuż pod splotem słonecznym.

Avery miał ramiona śliskie od potu i wyslizgnął się z rąk Tony’ego, o mały włos nie pogarszając swojej sytuacji – zacząłby się rzucać po gabinecie jak ptak, który wpadł do garażu, odbijać się od ścian i przewracać, co popadnie – ale Winona go podcięła, a potem dźwignęła za rękę do pionu. Więc to Tony użył paralizatora. Avery krzyknął, po czym się osunął.

– Zemdlał? – zapytała pani Sigsby. – Jeśli tak, sprowadźcie tu doktora Evansa, żeby dał mu zastrzyk. Potrzebujemy szybkich odpowiedzi.

Tony złapał chłopca za policzek (pulchny, gdy mały tutaj trafił, a teraz znacznie chudszy) i wykręcił. Avery gwałtownie otworzył oczy.

– Jest przytomny.

– Panie Dixon, ból nie jest konieczny – ponowiła próbę pani Sigsby. – Powiedz mi, co chcę wiedzieć, a wtedy minie. Dokąd on poszedł? Jaki był plan?

– Nie wiem – wyszeptał Avery. – Naprawdę, naprawdę, naprawdę nie w...

– Winono, proszę panu Dixonowi zdjąć spodnie i użyć paralizatora na jego jądrach. Pełna moc.

O ile Winona nie miała skrupułów przed spoliczkowaniem pyskatego podopiecznego, o tyle to polecenie wyraźnie jej się nie podobało. Mimo to sięgnęła w kierunku paska spodni chłopca. To właśnie wtedy Avery się złamał.

– Dobrze! Dobrze! Wszystko powiem, tylko już nie róbcie mi krzywdy!

– To ulga dla nas obojga.

– Maureen kazała mu przejść przez las. Powiedziała, że powinien znaleźć drogę wózków golfowych, ale nawet jak nie, to ma iść dalej. Mówiła, że zobaczy światła, zwłaszcza takie mocne żółte. Powiedziała, że po dojściu do domów ma pójść wzdłuż płotu, aż znajdzie szalik przywiązany do krzaka albo drzewa, już dokładnie nie pamiętam. Za nim miała być ścieżka... albo droga... tego też nie pamiętam. W każdym razie miał nią dojść do rzeki. Mówiła, że będzie łódka.

Przerwał. Pani Sigsby kiwnęła głową i uśmiechnęła się dobrotliwie, lecz serce biło jej w piersi trzy razy szybciej niż zwykle. To jednocześnie dobre i złe wieści. Ekipa poszukiwawcza Stackhouse'a mogła przestać miotać się po lesie, ale łódka? Ellis doszedł do rzeki? To przecież parę godzin stąd.

– I co potem, panie Dixon? Gdzie kazała mu wysiąść z łódki? W Bend, prawda? W Dennison River Bend?

Avery pokręcił głową i zmusił się do spojrzenia wprost na kobietę – szeroko otwartymi oczami, z miną przerażoną i szczerą.

– Nie, powiedziała, że to za blisko. Kazała mu płynąć rzeką aż do Presque Isle.

– Doskonale, panie Dixon, może pan wrócić do pokoju. Ale jeśli się dowiem, że pan skłamał...

– ...to będę miał kłopoty – dopowiedział chłopiec, drżącymi dłońmi ocierając łzy z policzków.

Wtedy pani Sigsby zaśmiała się w głos.

– Czytasz mi w myślach – odparła.

Siedemnasta.

Ellis uciekł przed co najmniej osiemnastoma godzinami, może jeszcze wcześniej. Nie zarejestrowały tego kamery na placu zabaw, dlatego nie było pewności. Pani Sigsby i Stackhouse znajdowali się w jej gabinecie, gdzie monitorowali rozwój sytuacji i słuchali raportów swoich wtyczek rozsianych po całym kraju. Ludzie na usługach Instytutu w terenie zwykle ograniczali się do pracy u podstaw: pilnowali dzieci z wysokimi wynikami badań BDNF i gromadzili informacje na temat ich przyjaciół, rodzin, okolic, sytuacji w szkole. I oczywiście domów. Wszystko, co dotyczyło domów tych dzieci, było ważne, zwłaszcza szczegóły systemów alarmowych. Przydawało się zespołom wydobywczym, gdy nadchodził odpowiedni moment. Ludzie w terenie wypatrywali również dzieci, które dotąd nie zwróciły uwagi Instytutu. Czasem się takie pojawiały. Test BDNF, podobnie jak badanie przesiewowe i ocena stanu dziecka z wykorzystaniem skali Apgar, stanowił rutynową procedurę stosowaną wobec wszystkich noworodków w amerykańskich szpitalach, ale oczywiście nie wszystkie dzieci rodziły się w szpitalach, a wielu rodziców, na przykład należących do coraz głośniejszego ruchu antyszczepionkowców, rezygnowało z testów.

Ludzie w terenie nie mieli pojęcia, komu zdają raporty ani w jakim celu. Wielu zakładało (błędnie), że to jakaś amerykańska agenda rządowa w stylu Wielkiego Brata. Większość po prostu inkasowała dodatkowe pięćset dolarów miesięcznie, składała raport, kiedy było trzeba, i nie zadawała żadnych pytań. Oczywiście raz po raz ktoś o coś pytał, wtedy jednak przekonywał się, że ciekawość to nie tylko pierwszy stopień do piekła, ale także prosty sposób na utratę comiesięcznego wynagrodzenia.

Największe skupisko wtyczek, liczące łącznie prawie pięćdziesiąt osób, występowało wokół Instytutu, a ich głównym zadaniem nie było wcale śledzenie uzdolnionych dzieci. Ci ludzie mieli przede wszystkim zwracać uwagę na to, czy ktoś w okolicy nie zadaje niewłaściwych pytań. Stanowili system wczesnego ostrzegania.

Stackhouse z ostrożności powiadomił sześć osób w Dennison River Bend, na wypadek gdyby mały Dixon mylił się lub kłamał („Nie kłamał, poznałabym” – utrzymywała pani Sigsby), większość ludzi wysłał jednak w rejon Presque Isle. Jeden człowiek miał za zadanie skontaktować się z tamtejszą policją, by ją powiadomić, że chyba widział chłopca, o którym mówili w CNN. W wiadomościach podano, że ten chłopiec jest poszukiwany w związku z zamordowaniem rodziców. Nazywa się Luke Ellis. Człowiek na usługach Instytutu oznajmił policjantom, że co prawda

nie jest pewien, czy to ten, ale wyglądał bardzo podobnie, a do tego prosił o pieniądze w agresywny sposób. Pani Sigsby i Stackhouse zdawali sobie sprawę, że zatrzymanie zabłąkanego chłopca przez policję nie będzie idealnym rozwiązaniem ich problemów, ale z policjantami można sobie poradzić. Poza tym wszystko, co powiedziałyby Ellis, dałoby się zbagatelizować jako urojenia niezrównoważonego dziecka.

W Instytucie ani w wiosce nie działały telefony komórkowe – były bezużyteczne w promieniu ponad trzech kilometrów – poszukiwacze używali więc krótkofalówek. Ponadto istniały telefony stacjonarne. Jeden z nich dzwonił właśnie na biurku pani Sigsby. Słuchawkę podniósł Stackhouse.

– Słucham? Z kim rozmawiam?

Dzwoniła doktor Felicia Richardson, która zastąpiła Zeke'a w pomieszczeniu łączności. Zrobiła to bardzo chętnie. Ona także mogła zapłacić głową i świetnie to rozumiała.

– Mam na linii jedną z naszych wtyczek. To niejaki Jean Levesque. Mówi, że znalazł łódkę, której użył Ellis. Mam go z panem połączyć?

– Natychmiast!

Pani Sigsby stała przed Stackhouse'em, podnosiła ręce, a jej usta układały się w wyraz „Co?”.

Szef ochrony zlekceważył ją. Rozległo się pstryknięcie, a potem w słuchawce odezwał się Levesque. Miał akcent rodem z St. John Valley, tak ostry, że można by nim ciąć twarde drewno. Stackhouse nigdy tego człowieka nie widział, ale wyobraził sobie opalonego starszego mężczyznę w kapeluszu, z którego sterczały wędkarskie przynęty.

– Tą łódkę żem znalazł.

– Słyszałem. Gdzie?

– Osiadła na brzegu jakie osiem kilometrów w górę rzeki od Presque Isle. Sporo wody nabrała, ale wiosło, tylko jedno, leżało oparte o siedzenie. Nic żem nie ruszał, do nikogo nie dzwonił. Na wiosle jest krew. I wiesz pan co, kawałek wcześniej na rzece są bystrza, więc jak ten chłopak, co go szukacie, nie nawykł do łódek, a już tym bardziej do takiej małej...

– ...to mogło go wyrzucić – dokończył za niego Stackhouse. – Proszę się stamtąd nie ruszać, wyślę do pana kilku chłopaków. No i dziękuję.

– Za to mnie płacicie – odparł Levesque. – Pewnie mi pan nie powiesz, co on takiego narobił?

Stackhouse przerwał połączenie, co wystarczyło za odpowiedź na tak głupie pytanie, a potem powtórzył wszystko pani Sigsby.

– Przy odrobinie szczęścia ten mały gnojek utonął – dodał. – I dzisiaj albo jutro ktoś znajdzie jego ciało, ale nie możemy liczyć na takie zrządzenie losu. Cała moja ochrona to teraz Rafe i John, ale to się zmieni, kiedy już będzie po wszystkim. Na razie chcę czym prędzej wysłać ich do centrum Presque Isle. Jeśli Ellis przemieszcza się pieszo, w pierwszej kolejności uda się właśnie tam. Jeżeli złapie stopa, zatrzyma go policja stanowa albo jakiś miejski gliniarz. Bądź co bądź, przecież to ten szalony dzieciak, który zabił rodziców i zwiął aż do Maine.

– Naprawdę na to liczysz? – Pani Sigsby była tego autentycznie ciekawa.

– Nie.

16

Podopiecznych wypuszczono z pokoi na kolację. Posiłek w znacznej części upłynął w milczeniu. Kilkoro opiekunów i techników krążyło po sali niczym rekiny. Byli wyraźnie podminowani, skorzy do uderzenia albo porażenia każdego, komu przyszło do głowy pyskować. W tej ciszy kryła się jednak również nerwowa euforia, tak silna, że Frieda Brown czuła się trochę pijana. Ktoś uciekł. Cieszyły się tym wszystkie dzieci, ale żadne nie chciało tego okazać. Czy ona też się cieszyła? Nie była wcale taka pewna. Częściowo tak, ale...

Avery siedział obok niej; na zmianę zakrywał dwie parówki fasolą w sosie pomidorowym i znowu je odkrywał. Grzebał i ekshumował. Frieda nie była aż tak mądra jak Luke Ellis, ale dostatecznie bystra, więc знаła znaczenie słów takich jak „ekshumować”. Nie wiedziała natomiast, co się stanie, jeśli Luke wygada o tym, co się tu dzieje, komuś, kto mu uwierzy. A konkretnie: co się stanie z nimi. Czy zostaną uwolnieni? Wysłani do domu, do rodziców? Frieda była przekonana, że te dzieci właśnie w to chcą wierzyć – co tłumaczyło ukrywane emocje – ona jedna miała wątpliwości. Choć skończyła dopiero czternaście lat, już teraz była zatwardziałą cyniczką. Jej kreskówkowe ludziki się uśmiechały, ale ona sama rzadko. Ponadto wiedziała coś, czego nie wiedzieli pozostali. Avery’ego zabrano do gabinetu pani Sigsby, gdzie niewątpliwie wszystko wyśpiewał.

Co oznaczało, że Luke’owi nie uda się uciec.

– Zamierzasz zjeść ten szajs, czy tylko się nim bawisz?

Avery odsunął talerz i wstał. Odkąd wrócił od pani Sigsby, wyglądał jak chłopiec, który zobaczył ducha.

– W menu na deser jest szarlotka z lodami i budyń czekoladowy – powiedziała Frieda. – A tutaj nie jest jak w domu, przynajmniej w moim, że nie dostaniesz deseru, jeżeli najpierw nie zjesz wszystkiego z talerza.

– Nie jestem głodny – odparł Avery i wyszedł ze stołówki.

Jednak dwie godziny później, kiedy dzieci odesłano do pokoi (tego wieczoru zakazano wstępu do świetlicy i stołówki, a drzwi na plac zabaw zamknięto), przycłapał do pokoju Friedy w piżamie, powiedział, że jest głodny, i zapytał ją, czy nie ma żetonów.

– Żartujesz? – prychnęła. – Dopiero tu przyjechałam.

Tak naprawdę miała trzy żetony, lecz nie zamierzała ich oddać Avery’emu. Lubiała go, ale nie aż tak.

– Aha. Dobra.

– Idź do łóżka. Przez sen nie będziesz głodny, a jak się obudzisz, pójdziesz na śniadanie.

– Frieda, mogę spać z tobą? Bo Luke’a już nie ma.

– Powinieneś być w swoim pokoju. Obojgu nam narobisz kłopotów.

– Nie chcę spać sam. Zrobili mi krzywdę. Porazili mnie prądem. Co będzie, jak wrócą, żeby znowu to zrobić? Mogliby, gdyby dowiedzieli się...

– Że co?

– Nic.

Dziewczyna się zamyśliła. Myślała zresztą nad wieloma rzeczami. W rozmyślanii Frieda Brown ze Springfield w Missouri była mistrzem.

– No... dobra. Włóż do łóżka. Ja jeszcze się nie kładę. W telewizji jest program o dzikich zwierzętach, który chcę obejrzeć. Wiedziałaś, że niektóre dzikie zwierzęta zjadają swoje młode?

– Naprawdę? – Avery wydawał się przerażony. – To strasznie smutne.

Poklepała go po ramieniu.

– Ale zwykle nie.

– Aha. To dobrze.

– Tak. A teraz włóż do łóżka i nie gadaj. Nie cierpię, jak ktoś gada, kiedy próbuję oglądać telewizję.

Avery położył się. Frieda oglądała program o dzikich zwierzętach. Aligator walczył z lwem. Albo może krokodyl. W każdym razie było ciekawie. Avery też był ciekawy. Bo Avery miał sekret. Gdyby Frieda była równie silnym TP jak on, już by ten sekret poznała. Ale na razie wiedziała tylko tyle, że istnieje.

Kiedy nabrała przekonania, że chłopiec zasnął (chrapał – cicho i grzecznie, jak to mali chłopcy), zgasła światło, położyła się obok i potrząsnęła nim.

– Avery.

Stęknął i odwrócił się do niej plecami. Nie pozwoliła mu na to.

– Avery, dokąd poszedł Luke?

– Prekile – wymamrotał chłopiec.

Nie miała pojęcia, co to jest „Prekile”, i nie obchodziło jej to, bo nie była to prawda.

– Daj spokój, dokąd poszedł? Nikomu nie zdradzę.

– Po czerwonych schodach – powiedział Avery, praktycznie wciąż przez sen. Pewnie myślał, że to mu się śni.

– Jakich schodach? – szepnęła mu do ucha.

Nie odpowiedział, a kiedy znowu spróbował się od niej odwrócić, tym razem mu pozwoliła. Ponieważ miała już to, czego chciała. W przeciwieństwie do Avery’ego (i Kalishy, przynajmniej kiedy ta miała dobry dzień) Frieda właściwie nie potrafiła czytać w myślach. Miała natomiast intuicję, opartą zapewne właśnie na myślach, czasami zaś, jeśli ktoś był wyjątkowo otwarty (na przykład mały chłopiec praktycznie pogrążony we śnie), przez moment widziała olśniewające obrazy.

Położyła się na plecach, patrzyła w sufit i myślała.

17

Dwudziesta druga. W Instytucie panowała cisza.

Sophie Turner, jedna z nocnych opiekunek, siedziała przy stole piknikowym na placu zabaw, paliła zakazanego papierosa, a popiół strząsała do zakrętki butelki wody witaminizowanej. Obok niej siedział doktor Evans, trzymając rękę na jej udzie. Nachylił się i pocałował ją w szyję.

– Nie rób tego, Jimmy – powiedziała. – Nie dzisiaj, kiedy wszyscy są na bacność. Nie wiadomo, kto patrzy.

– Jesteś pracownicą Instytutu, która pali papierosa, podczas gdy wszyscy tutaj są na bacność. Skoro już jesteś niegrzeczną dziewczynką, to bądź naprawdę niegruczna.

Przesunął rękę wyżej, a ona zastanawiała się, czy mu na to pozwolić, nagle jednak obejrzała się i w drzwiach świetlicy zobaczyła dziewczynkę – jedną z tych nowych. Mała przyciskała dłonie do szyby i patrzyła prosto na nich.

– Jasna cholera! – syknęła Sophie. Strąciła rękę Evansa i zdusiła papierosa. Podeszła do drzwi, przekręciła klucz w zamku, otworzyła je gwałtownie i złapała podglądaczkę za kark. – Dlaczego nie jesteś w łóżku?

Dzisiaj nie ma łożenia po nocy, nie dotarło do ciebie? Nie wolno wchodzić do świetlicy i stołówki. A teraz, jeżeli nie masz ochoty dostać w dupę, wracaj do...

– Chcę porozmawiać z panią Sigsby – powiedziała Frieda. – Natychmiast.

– Czyś ty oszalała? Ostatni raz powtarzam, wracaj...

Doktor Evans przepchnął Sophie na bok i nawet nie przeprosił. To koniec macanek na dziś, postanowiła.

– Frieda? Masz na imię Frieda, prawda?

– Tak.

– Powiesz mi, co ci leży na wątrobie?

– Mogę rozmawiać tylko z nią. Bo ona jest tu szefową.

– Zgadza się, i ta szefowa ma za sobą pracowity dzień. Powiedz mnie, a ja zdecyduję, czy to na tyle ważne, żeby jej powtórzyć.

– No, błagam! – wtrąciła Sophie. – Nie poznajesz, kiedy te bachory cię nabierają?

– Wiem, dokąd poszedł Luke – oznajmiła Frieda. – Panu nie powiem, ale jej tak.

– Kłamie – prychnęła Sophie.

Frieda nawet na nią nie spojrzała. Wzrok cały czas wbijała w doktora Evansa.

– Nie.

Wewnętrzny dialog Evansa był krótki. Od ucieczki Luke'a Ellisa lada moment miała upłynąć doba. Mógł być teraz wszędzie i mówić wszystko każdemu – policjantowi albo, nie daj Boże, dziennikarzowi. Nie do Evansa należała ocena prawdziwości słów dziewczynki, nawet jeśli wydawały się mało prawdopodobne. To zadanie pani Sigsby. Jego zadaniem było natomiast niepopęknięcie błędu, przez który znalazłby się w czarnej dupie.

– Lepiej, żebyś mówiła prawdę, Friedo, inaczej będzie cię bardzo boleć. Wiesz o tym, prawda?

Dziewczynka tylko na niego spojrzała.

18

Dwudziesta druga dwadzieścia.

Wagon Southway Express, w którym Luke spał za glebogryzarkami, traktorami i silnikami przyczepnymi w pudełkach, właśnie opuszczał stan Nowy Jork i wjeżdżał do Pensylwanii, rozpoczynając podróż szybką

magistralą, na której pociąg miał spędzić najbliższe trzy godziny. Przyśpieszył do stu trzydziestu kilometrów i biada temu, komu na przejeździe zgasł silnik albo kto zasnął na torach.

W gabinecie pani Sigsby Frieda Brown stała przed biurkiem dyrektorki, ubrana w różową piżamę ze stopami, ładniejszą niż wszystkie w jej domu. Włosy miała związane w kucyki, jakie nosiła za dnia, a dłonie spłotła za plecami.

Stackhouse drzemał na kanapie w prywatnym pokoiku przylegającym do gabinetu. Pani Sigsby nie widziała powodu go budzić. Przynajmniej na razie. Przyjrzała się dziewczynie i nie dostrzegła nic wyjątkowego. Brown była dokładnie tak brązowa, jak wskazywało na to jej nazwisko: brązowe oczy, mysiobrązowe włosy, letnia opalenizna w kolorze kawy z mlekiem. Według papierów jej poziom BDNF był równie przeciętny, przynajmniej jak na standardy Instytutu – przydatny, ale bez rewelacji. Mimo to w swoich brązowych oczach miała... coś. Tak mógłby patrzeć gracz w brydża czy wista z wachlarzem kart atutowych w ręku.

– Według doktora Evansa podobno twierdzisz, że wiesz, gdzie jest nasze zaginione dziecko – odezwała się pani Sigsby. – Może mi powiesz, skąd to twoje olśnienie?

– Od Avery’ego – odparła Frieda. – Przyszedł do mojego pokoju. Śpi tam.

Pani Sigsby uśmiechnęła się.

– Obawiam się, że nieco się spóźniłaś, moja droga. Pan Dixon powiedział nam już wszystko, co wie.

– Okłamał was.

Frieda wciąż stała z dłońmi splecionymi za plecami i na pierwszy rzut oka wciąż zachowywała spokój, ale pani Sigsby miała już do czynienia z mnóstwem dzieci, więc wiedziała, że ta dziewczyna się boi. Że rozumie ryzyko. A jednak z jej spojrzenia nie zniknęła pewność siebie. To było fascynujące.

Do gabinetu wszedł Stackhouse, wtykając koszulę w spodnie.

– Kto to?

– Mała konfabulująca dziewczynka – oznajmiła pani Sigsby. – Założę się, że nie wiesz, co znaczy to słowo.

– Wiem – odparła Frieda. – Znaczy, że kłamię. Ale to nieprawda.

– Avery Dixon też nie kłamał. Powiedziałam to panu Stackhouse’owi, a teraz powiem i tobie: potrafię poznać, kiedy dziecko kłamię.

– O, pewnie mówił prawie samą prawdę. Dlatego mu pani uwierzyła. Ale kłamał na temat Prekile.

Czoło pani Sigsby przecięła zmarszczka.

– Co...

– Presque Isle? – Stackhouse stanął za dziewczynką i złapał ją za ramię.

– O tym mówisz?

– O tym mówił Avery. Ale kłamał.

– Skąd ty... – zaczęła pani Sigsby, lecz Stackhouse uniósł rękę, żeby jej przerwać.

– Skoro kłamał na temat Presque Isle, to jak brzmi prawda?

Frieda rzuciła mu przebiegły uśmiezek.

– Co dostanę, jeśli wam to zdradzę?

– Powiem ci, czego nie dostaniesz – odparła pani Sigsby. – Wstrząsu elektrycznego, który ledwo byś przeżyła.

– Jeśli mnie porazicie, to coś wam powiem, ale niekoniecznie prawdę. Tak jak Avery nie powiedział prawdy, kiedy poraziliście jego.

Pani Sigsby uderzyła ręką w blat biurka.

– Nie pogrywaj tak ze mną, panienko! Jeśli masz coś do powiedzenia...

Stackhouse ponownie uniósł dłoń. Przyklęknął przed Friedą. Był tak wysoki, że nadal nie patrzyli sobie prosto w oczy, ale niewiele brakowało.

– Czego chcesz, Friedo? Wrócić do domu? Od razu ci mówię, że to niemożliwe.

Dziewczyna prawie parsknęła śmiechem. Wrócić do domu? Do matki ćpunka i korowodu jej ćpuńskich kochasiów? Ten ostatni chciał, żeby Frieda pokazała mu piersi, bo interesowało go, „jak szybko się rozwija”.

– Tego nie chcę.

– Dobrze. Więc czego?

– Chcę zostać tutaj.

– To dość nietypowa prośba.

– Ale nie chcę zastrzyków, nie chcę testów i nie chcę trafić do Tylnej Połowy. Nigdy. Chcę tutaj mieszkać, dorosnąć i zostać opiekunką jak Gladys czy Winona. Albo techniczką jak Tony czy Evan. Albo nawet mogę nauczyć się gotować i być szefową kuchni jak Doug.

Stackhouse zerknął dziewczynie przez ramię, żeby sprawdzić, czy pani Sigsby jest tym równie oszołomiona jak on. Wydawało się, że tak.

– Powiedzmy, że... hm... stały pobyt można by załatwić – rzekł. – Powiedzmy, że na pewno się go załatwi, jeśli twoje informacje okażą się dobre i złapiemy chłopaka.

– Nasza umowa nie może zależeć od złapania Luke’a, bo to nie fair. To już wasze zadanie. Jedyne warunki ma być taki, żeby moje informacje były dobre. A są.

Znowu spojrział przez ramię Friedy na panią Sigsby. Ta lekko skinęła głową.

– Dobrze – powiedział. – Umowa stoi. Teraz gadaj.

Dziewczyna rzuciła mu tak chytry uśmiezek, że Stackhouse miał ochotę ją spoliczkować, by zmasać jej go z twarzy. To była tylko przelotna myśl, ale na serio.

– I chcę pięćdziesiąt żetonów.

– Nie.

– No to czterdzieści.

– Dwadzieścia – odezwała się pani Sigsby zza jej pleców. – I tylko pod warunkiem, że twoje informacje okażą się dobre.

Frieda zastanowiła się.

– Zgoda. Ale skąd mam wiedzieć, że dotrzymacie słowa?

– Musisz nam zaufać – powiedziała pani Sigsby.

Dziewczyna westchnęła.

– Chyba rzeczywiście.

– Dość tych targów – rzucił Stackhouse. – Jeśli masz coś do powiedzenia, to gadaj.

– Luke wyszedł na brzeg przed Prekile. Przy jakichś czerwonych schodach. – Zawahała się, a potem dodała resztę. Tę ważną. – Na szczycie schodów była stacja kolejowa. Tam poszedł. Na stację.

19

Po odesłaniu do pokoju Friedy z żetonami (i groźbą, że wszystkie obietnice zostaną wycofane, jeśli piśnie komuś choćby słówko o tym, co się działo w gabinecie pani Sigsby) Stackhouse połączył się z pokojem komputerowym. Z wioski wrócił Andy Fellowes i zastąpił Felicię Richardson. Stackhouse powiedział mu, czego chce, i zapytał, czy można to zdobyć, nikogo nie alarmując. Fellowes odparł, że tak, ale zajmie to kilka minut.

– Ale naprawdę kilka – zastrzegł Stackhouse.

Rozłączył się, a potem ze swojego kanciastego telefonu zadzwonił do Rafe'a Pullmana i Johna Walsh, dwóch ochroniarzy, których miał w pogotowiu.

– Nie powinieneś raczej wysłać na tę stację kogoś ze swoich tresowanych gliniarzy? – zapytała pani Sigsby, kiedy skończył rozmowę. Na usługach Instytutu byli dwaj funkcjonariusze policji z Dennison River

Bend, czyli dwadzieścia procent całej komendy. – Czy tak nie będzie szybciej?

– Może szybciej, ale mniej bezpiecznie. Nie chcę, żeby o tej szopce dowiedział się ktokolwiek więcej, chyba że to będzie absolutnie konieczne.

– Ale jeśli on wsiadł do pociągu, może teraz być wszędzie!

– Nie wiemy, czy w ogóle był na tej stacji. Może dziewczyna zalewa.

– Myślę, że nie.

– Myślałaś, że Dixon mówił prawdę.

Rzeczywiście – i pani Sigsby było wstyd – postanowiła jednak trzymać się tematu. Sytuacja była zdecydowanie zbyt poważna na cokolwiek innego.

– Słuszna uwaga, Trevorze. Ale gdyby Ellis został w tak małym miasteczku, już dawno by go zauważono!

– Albo i nie. To mądry chłopak. Może się gdzieś schował.

– Pociąg jest najbardziej prawdopodobny i ty o tym wiesz.

Znowu zadzwonił telefon. Oboje rzucili się do słuchawki. Szybszy był Stackhouse.

– Tak, Andy? Masz? Dobrze, słucham.

Chwycił notes i zaczął w nim pośpiesznie pisać. Pani Sigsby nachyliła się i czytała mu przez ramię.

4297 o 10.00.

16 o 14.30.

77 o 17.00.

Wpis *4297 o 10.00* zakreślił i zapytał o miasta docelowe, po czym naskrobał: *Port, Ports, Stur.*

– O której pociąg miał przyjechać do Sturbridge?

Zapisał: *16.00–17.00*. Pani Sigsby patrzyła na te notatki z trwogą. Wiedziała, co myśli Trevor: zanim chłopak opuścił pociąg, zakładając, że nim jechał, na pewno chciał się stąd oddalić najbardziej, jak się dało. Czyli wysiadłby w Sturbridge. Nawet gdyby pociąg miał opóźnienie, dotarłby tam ponad pięć godzin temu.

– Dzięki, Andy – rzucił Stackhouse. – Sturbridge jest na zachodzie Massachusetts, prawda?

Słuchał, kiwając głową.

– Dobrze, czyli przy autostradzie, ale to i tak musi być mała stacja. Może pośrednia. Dasz radę sprawdzić, czy ten pociąg, albo jakaś jego część, jedzie stamtąd dalej? Może z inną lokomotywą albo coś w tym stylu?

Słuchał.

– Nie, tylko takie przeczucie. Jeżeli uciekł pociągiem, Sturbridge może być za blisko, żeby poczuł się bezpiecznie. Może chciałby uciekać dalej. Ja właśnie tak bym zrobił na jego miejscu. Sprawdź to i natychmiast daj znać.

Rozłączył się.

– Andy wziął te informacje ze strony internetowej stacji – powiedział. – Bez problemu. Czy to nie wspaniałe? W dzisiejszych czasach wszystko jest w internecie.

– My nie – stwierdziła pani Sigsby.

– Jeszcze – zripostował.

– Co teraz?

– Czekamy na Rafe'a i Johna.

Tak też zrobili. Minęła północ. Tuż po wpół do pierwszej zadzwonił telefon na biurku. Tym razem pani Sigsby uprzedziła Stackhouse'a, rzuciła swoje nazwisko do mikrofonu, a potem słuchała i kiwała głową.

– W porządku. Rozumiem. A teraz jedź na ten dworzec... przystanek... stację... jakkolwiek na to mówią... i sprawdź, czy ktoś jeszcze jest... Aha. Dobrze. Dziękuję.

Rozłączyła się i odwróciła do Stackhouse'a.

– To były twoje siły ochrony. – Wymówiła te słowa z sarkazmem, ponieważ tej nocy siły ochrony Stackhouse'a ograniczały się do dwóch mężczyzn po pięćdziesiątce, z których żaden nie był w zbyt dobrej kondycji. – Ta Brown miała rację. Znaleźli schody, znaleźli ślady butów, znaleźli nawet kilka krwawych odcisków palców mniej więcej w połowie wysokości tych schodów. Rafe ma teorię, że Ellis przystanął, żeby odpocząć albo może zawiązać buty. Szukają z latarkami, ale John mówi, że więcej śladów znajdą pewnie po wschodzie słońca. – Zawiesiła głos. – No i sprawdzili stację. Nikogo tam nie ma, nawet nocnego strażnika.

Chociaż klimatyzację ustawiono na przyjemne dwadzieścia dwa stopnie, Stackhouse otarł przedramieniem pot z czoła.

– Nie jest dobrze, Julio, ale może jeszcze damy radę zapanować nad wszystkim bez korzystania z tego. – Wskazał dolną szufladę jej biurka, w której czekał Telefon Zero. – Oczywiście jeśli chłopak poszedł w Sturbridge na policję, nasza sytuacja stanie się znacznie gorsza. A miał na to pięć godzin.

– Nawet jeśli tam wysiadł, mógł tego nie zrobić – powiedziała Sigsby.

– A dlaczego nie? Nie wie, że jest ścigany za zabicie rodziców. No bo skąd, skoro nawet nie wie, że nie żyją?

– Nawet jeśli nie wie, to przypuszcza. Jest bardzo bystry, Trevorze, nie wolno o tym zapominać. Wiesz, co na jego miejscu zrobiłabym w pierwszej kolejności, gdybym wysiadła w Sturbridge w Massachusetts o... – zerknęła na notes – o czwartej czy piątej po południu? Pobiegnę do biblioteki i zajrzała do internetu. Poczytałabym o wydarzeniach w domu.

Tym razem oboje spojrzeli na zamkniętą szufladę.

– Dobrze, musimy działać szerzej – stwierdził Stackhouse. – Nie podoba mi się to, ale nie ma wyboru. Sprawdźmy, kogo mamy w okolicy Sturbridge. Przekonamy się, czy ktoś go tam widział.

Pani Sigsby usiadła za biurkiem, żeby wcielić ten plan w życie, ale kiedy sięgała po słuchawkę, telefon zadzwonił. Słuchała przez chwilę, po czym oddała ją Stackhouse'owi.

To był Andy Fellowes. Nie próżnował. W Sturbridge pracowała nocna załoga, a kiedy przedstawił się jako kierownik zaopatrzenia z Downeast Freight i zapytał o transport żywych homarów, który być może trafił nie tam, gdzie trzeba, naczelnik stacji z chęcią okazał mu pomoc. Nie, w Sturbridge nie wylądowano żywych homarów. I owszem, większość składu pociągu numer 4297 pojechała dalej, tylko że z dużo mocniejszą lokomotywą. Teraz pociąg nosił numer 9956, jechał na południe do Richmond, Wilmingtonu, DuPray, Brunswicku, Tamy i wreszcie Miami.

Stackhouse zanotował to wszystko, a potem zapytał o dwie miejscowości, o których słyszał po raz pierwszy.

– DuPray leży w Karolinie Południowej – wyjaśnił mu Fellowes. – To tylko mała stacyjka, wie pan, zwykła dziura zabita dechami, ale przy okazji punkt pośredni dla pociągów jadących z zachodu. Mają tam sporo magazynów. Pewnie miasteczko tylko dlatego istnieje. Brunswick leży w Georgii. Jest dużo większy. Pewnie wożą stamtąd sporo owoców, warzyw i ryb.

Stackhouse odłożył słuchawkę i spojrzął na panią Sigsby.

– Załóżmy...

– Załóżmy – powtórzyła. – Wiesz, jak mówią: kto pochopnie zakłada, na głupca wypada.

– Daruj sobie.

Nikt inny nie odezwałby się do pani Sigsby tak bezceremonialnie (a tym bardziej tak niegrzecznie), ale nikomu innemu nie było również wolno zwracać się do niej po imieniu. Stackhouse zaczął przechadzać się po gabinecie, jego łysina połyskiwała w blasku światła. Czasami pani Sigsby poważnie się zastanawiała, czy on nie woskuje sobie głowy.

– Czym tutaj dysponujemy? – zapytał. – Powiem ci. Mniej więcej czterdziestoma pracownikami w Przedniej Połowie i jeszcze dwudziestoma kilkoma w Tylnej, nie licząc Heckle’a i Jeckle’a. Bo mamy tu zwarty krąg ludzi. Inaczej się nie da, ale dzisiaj nam to nie służy. W tej szufladzie znajduje się telefon, który pozwoliłby nam uzyskać wszechstronną pomoc ludzi, którzy dużo mogą, ale jeśli z niego skorzystamy, nasze życie się zmieni, i to nie na lepsze.

– Jeśli będziemy musieli użyć tego telefonu, możemy już nie mieć życia – zauważyła pani Sigsby.

Stackhouse to zignorował.

– Mamy wtyczki w całym kraju, dobrą sieć informacyjną obejmującą policjantów niskiego szczebla, ludzi w służbie zdrowia, pracowników hotelowych, reporterów tygodników z małych miasteczek i emerytów, którzy mają mnóstwo czasu na przeglądanie stron internetowych. Dysponujemy także dwoma zespołami wydobywczymi i samolotem Challenger, zdolnym szybko je przetransportować właściwie w każde miejsce. No i mamy swoje mózgi, Julio, swoje mózgi. Ellis to szachista, opiekunowie widywali, jak grał na podwórku z Wilholmem, ale to są szachy w prawdziwym świecie, gra, której jeszcze nie zna. Więc możemy coś zakładać.

– W porządku.

– Każemy naszemu człowiekowi sprawdzić policję w Sturbridge. Ta sama historia, którą podrzuciliśmy w Presque Isle: facet powie, że widział dzieciaka pasującego do rysopisu Ellisa. Lepiej zrobmy to samo w Portlandzie i Portsmouth, choć absolutnie nie wierzę, żeby wysiadł tak wcześnie. Sturbridge jest dużo prawdopodobniejsze, ale myślę, że tam też nasz człowiek nic nie znajdzie.

– Jesteś pewien, że to nie jest tylko twoje myślenie życzeniowe?

– Och, owszem, bardzo sobie tego życzę. Ale jeśli podczas ucieczki chłopak myśli, ma to sens.

– Kiedy pociąg czterdzieści dwa-dziewięćdziesiąt siedem stał się pociągiem dziewięćdziesiąt dziewięć-pięćdziesiąt sześć, Ellis w nim został. Takie jest twoje założenie.

– Zgadza się. Dziewięćdziesiąt dziewięć-pięćdziesiąt sześć zatrzymuje się w Richmond około drugiej nad ranem. Potrzebujemy kogoś, a najlepiej kilku osób, żeby obserwowały ten pociąg. To samo w Wilmingtonie, gdzie zatrzymuje się między piątą a szóstą. Ale wiesz co? Wątpię, żeby chłopak wysiadł w którymś z tych miejsc.

– Myślisz, że pojedzie aż do końca trasy. – Trevorze, pomyślała pani Sigsby, wspinasz się coraz wyżej na tym drzewie założeń, a każda kolejna gałąź jest coraz cieńsza.

Co im jednak zostało, skoro chłopak uciekł? Gdyby musiała użyć Telefonu Zero, usłyszałyby, że powinni byli przygotować się na taki scenariusz. Łatwo mówić, ale jak ktokolwiek mógł przewidzieć dwunastolatka tak zdesperowanego, żeby odkroić sobie płatek ucha dla pozbycia się urządzenia śledzącego? Albo sprzętaczkę skłonną udzielić mu pomocy? Następnie pani Sigsby powiedziano by, że personel Instytutu popadł w lenistwo i samozadowolenie... I jaką miałyby na to odpowiedź?

– ...trasy.

Pani Sigsby wróciła myślami do teraźniejszości i poprosiła Stackhouse'a, żeby powtórzył.

– Powiedziałem, że niekoniecznie pojedzie aż do końca trasy. Tak mądry chłopak na pewno się domyśli, że jeśli skapujemy, że uciekł pociągiem, umieścimy tam swoich ludzi. Do tego raczej nie będzie chciał wysiąść w żadnej metropolii. A zwłaszcza w Richmond, obcym mieście w środku nocy. Bardziej prawdopodobny jest Wilmington, bo mniejszy, a pociąg dotrze tam za dnia. Ja jednak skłaniam się ku jednej z tych małych stacyjek. Albo DuPray w Karolinie Południowej, albo Brunswick w Georgii. Zakładając, że w ogóle jedzie tym pociągiem.

– Może od wyjazdu z Sturbridge w ogóle nie wie, dokąd zmierza. W takim przypadku możliwe, że jednak dojedzie do końca trasy.

– Jeśli jedzie z oznaczonymi towarami, to wie.

Pani Sigsby uświadomiła sobie, że minęło wiele lat, odkąd ostatni raz tak się bała. A może nawet tak bardzo się nie bała. Czy oni robili założenia, czy tylko zgadywali? A jeśli to drugie, to jakie było prawdopodobieństwo, że trafią tyle razy z rzędu? Nic więcej im jednak nie zostało, więc skinęła głową.

– Jeśli wysiądzie na którejś z mniejszych stacji, możemy wysłać zespół wydobywczy, żeby sprowadzić go tu z powrotem. Na Boga, Trevorze, byłoby idealnie.

– Dwa zespoły. Opal i Rubin. Rubin go do nas przywiózł. Ładnie by się komponowało, nie sądzisz?

Pani Sigsby westchnęła.

– Gdybyśmy tylko mieli pewność, że on jedzie tym pociągiem...

– Pewności nie mam, ale jestem prawie przekonany, i to nam musi wystarczyć. – Stackhouse uśmiechnął się do niej. – Bierz telefon. Obudź paru ludzi. Zaczynając od Richmond. W skali kraju płacimy tym

wszystkim facetom i babkom... ile? Z milion rocznie? Niech teraz część z nich zapracuje na te pieniądze.

Pół godziny później pani Sigsby odłożyła słuchawkę na widełki.

– Jeśli jest w Sturbridge, to musi się chować w jakimś przepuście albo opuszczonym domu. Policja go nie zatrzymała, inaczej mówiłaby o tym na swoich częstotliwościach. Kiedy pociąg dojedzie do Richmond i Wilmingtonu, nasi ludzie będą go obserwować. Mają dobrą przykrywkę.

– Słyszałem. Niezła robota, Julio.

Kobieta znużonym gestem uniosła dłoń, przyjmując pochwałę.

– Za wypatrzenie chłopaka jest spora premia, a jeszcze lepiej można się obłowić, jeżeli komuś z naszych uda się złapać chłopca i zabrać w bezpieczne miejsce, skąd będziemy mogli go odebrać. W Richmond to mało prawdopodobne, bo obaj nasi ludzie to zwykli obywatele, ale jeden z gości w Wilmingtonie jest gliniarzem. Oby to stało się tam.

– A w DuPray i Brunswicku?

– W Brunswicku sprawy będą pilnować dwie osoby: pastor pobliskiego kościoła metodystów i jego żona. W DuPray tylko jeden, ale za to tam mieszka. Jest właścicielem jedyne motelu w mieście.

20

Luke znowu był w zbiorniku zanurzeniowym. Zeke przytrzymał go pod wodą, a Światła Stasi wirowały mu przed oczami. A także w jego głowie, co było dziesięć razy gorsze. Czuł, że utonie, patrząc na nie.

Z początku myślał, że wrzask, który usłyszał, gwałtownie odzyskując przytomność, wyrwał się z jego ust, i był zdziwiony, jakim cudem mógł się tak straszliwie wydzierać pod wodą. Potem przypomniał sobie, że znajduje się w wagonie towarowym, a ten jest częścią jadącego pociągu, który właśnie gwałtownie hamował. Dźwięk był piskiem stalowych kół trących o stalowe tory.

Jeszcze przez chwilę Luke widział kolorowe kropki, po czym znikły. W wagonie panowała całkowita ciemność. Spróbował rozprostować zeszywniałe mięśnie i odkrył, że jest uwięziony. Przewróciło się kilka kartonów z silnikami przyczepnymi. Chciał wierzyć, że kopnął je, rzucając się w koszmarnym śnie, ale mógł to zrobić siłą umysłu, opętany przez te przekłete światła. Kiedyś jego moce ograniczały się do spychania ze stołów tacek po pizzy i poruszania stronami książek, ale czasy się zmieniły. On się zmienił. Nie wiedział tylko, jak bardzo, i nie chciał tego wiedzieć.

Pociąg jeszcze zwolnił i zaczął dudnić po zwrotnicach. Luke czuł, że coś mu doskwiera. Dla jego organizmu nie był to jeszcze czerwony alarm, ale żółty już z pewnością. Chłopiec był głodny, co owszem, było nieprzyjemne, ale głód wydawał się niczym w porównaniu z pragnieniem. Luke przypomniał sobie, jak zsunął się po brzegu rzeki, gdzie czekała przywiązana SS *Ślamazara*, jak ochlapał sobie twarz zimną wodą i nabrał jej do ust. Oddałby teraz wszystko za łyk tej wody z rzeki. Oblizał wargi, ale niezbyt to pomogło – język też miał wyschnięty.

Gdy pociąg się zatrzymał, Luke na wyczucie ustawił z powrotem kartony. Były ciężkie, dał jednak radę. Nie miał pojęcia, gdzie się znajduje, ponieważ w Sturbridge drzwi wagonu Southway Express zamknięto do końca. Wrócił do swojej kryjówki za kartonami i silnikami i czekał. Czuł się beznadziejnie.

Zdrzemnął się mimo głodu, pragnienia, pełnego pęcherza i pulsowania rannego ucha. Nagle drzwi wagonu otworzyły się z turkotem i wewnątrz zalał blask księżyca. Przynajmniej Luke'owi tak się wydawało po czystym mroku, w którym obudził się po raz pierwszy. Do drzwi tyłem podjeżdżała ciężarówka, a jakiś facet krzychał.

– Dawaj... jeszcze... powoli... jeszcze... stój!

Kierowca zgasił silnik. Słysząc było stukot otwieranych drzwi skrzyni ładunkowej pojazdu, a potem do wagonu wskoczył jakiś człowiek. Luke poczuł zapach kawy, aż zaburczało mu w brzuchu, na pewno tak głośno, że tamten to usłyszał. Ale nie – kiedy chłopiec wyjrzał spomiędzy traktora ogrodowego a kosiarki, zobaczył, że facet, ubrany w kombinezon roboczy, ma w uszach słuchawki.

Dołączył do niego kolejny mężczyzna, który postawił na podłodze kanciastą lampę zasilaną z akumulatora, na szczęście wycelowaną w drzwi, a nie w kierunku Luke'a. Obaj przysunęli stalową rampę, po czym zaczęli wwozić po niej do wagonu skrzynie z ciężarówki. Na każdej widniały stemple KOHLER, OSTROŻNIE i strzałki z napisem GÓRA. Czyli gdziekolwiek teraz był Luke, to jeszcze nie koniec trasy.

Po załadowaniu dziesięciu, może dwunastu skrzyń mężczyźni zrobili sobie przerwę na jedzenie pączków z papierowej torby. Luke musiał się powstrzymać ze wszystkich sił – myśląc o Zeke'u podtapiającym go w wodzie zbiornika, o bliźniaczkach Wilcox, o Kalishy, Nickym i Bóg wie kim jeszcze, kto na niego liczył – przed wyskoczeniem z kryjówki i błaganiem ich o kęs, tylko jeden kęs. Może zresztą i tak by to zrobił, gdyby jeden z mężczyzn nie powiedział czegoś, po czym chłopiec zamarł w bezruchu.

– Słuchaj, nie widziałeś, żeby się tu kręcił jakiś dzieciak?
– Co? – Pytanie padło z ust pełnych pączka.
– Dzieciak, dzieciak. Kiedy poszedłeś zanieść termos inżynierowi.
– Co by tu robił dzieciak? Jest wpół do trzeciej nad ranem.
– No bo pytał mnie o to jakiś facet, jak poszedłem po pączki. Mówił, że dzwonił do niego szwagier z Massachusetts, obudził go w środku nocy i poprosił, żeby pojechał na stację. Temu z Massachusetts uciekł syn. Podobno chłopak w kółko opowiadał, że zwieje pociągiem do Kalifornii.
– Przecież to na drugim końcu kraju.
– Ja to wiem. Ty to wiesz. Ale czy wie o tym taki dzieciak?
– Jeżeli jakoś sobie radzi w szkole, to wie, że Richmond jest w chuj daleko od Los Angeles.
– No tak, ale jest przy okazji węzłem kolejowym. Facet mówił, że mały mógł przyjechać tym pociągiem, wysiąść i wskoczyć do jakiegoś na zachód.

– Żadnego dzieciaka nie widziałem.
– Gość mówił, że jego szwagier obiecał nagrodę.
– Billy, mógłby płacić nawet milion dolarów, ale i tak nie zobaczyłbym żadnego dzieciaka, chyba że jakiś by tu był.
Jeżeli znów zaburczy mi w brzuchu, pomyślał Luke, to po mnie. Będę ugotowany. Usmażony.

Z zewnątrz ktoś zawołał:

– Billy! Duane! Dwadzieścia minut, kończcie, chłopaki!

Billy i Duane załadowali do wagonu jeszcze kilka skrzyń firmy Kohler, a potem wciągnęli rampę z powrotem do ciężarówki i odjechali. Luke zdążył jeszcze zobaczyć panoramę miasta – jakiego miasta, tego nie wiedział – a potem mężczyzna w kombinezonie i czapce linii kolejowych zasunął drzwi wagonu Southway... ale tym razem nie do końca. Luke domyślał się, że prowadnica w którymś miejscu się zacina. Minęło jeszcze pięć minut, po czym pociąg ruszył; z początku jechał powoli, stukając na zwrotnicach i przejazdach, a potem zaczął przyśpieszać.

Jakiś facet podający się za szwagra innego faceta.

Podobno chłopak w kółko opowiadał, że zwieje pociągiem...

Wiedzieli, że uciekł, a jeśli nawet znaleźli *Ślamazarę* w dole rzeki za Dennison River Bend, to nie dali się nabrać. Na pewno zmusili Maureen do zeznań. Albo Avery'ego. Myśl, że wydobyli z Aviszona informacje na torturach, była zbyt straszna, by się z nią pogodzić, więc Luke odsunął ją od siebie. Skoro mają tutaj wypatrujących go ludzi, tak samo będzie na następnym przystanku, a wtedy może się już zrobić jasno. Może tamci nie

chcą wywoływać zamieszania, może tylko obserwują i zdają raport, ale niewykluczone, że spróbują go złapać. Oczywiście wszystko zależy od tego, ilu ich jest. I na ile są zdesperowani. To też.

Może wsiadając do pociągu, przekombinowałem, pomyślał Luke, ale co innego mogłem zrobić? Myślałem, że nie połapią się aż tak szybko.

Tymczasem mógł sobie ulżyć przynajmniej pod jednym względem. Przytrzymując się fotelika traktora ogrodowego, żeby nie stracić równowagi, odkręcił zaślepkę baku glebogryzarki firmy John Deere, rozpiął rozporek i nasikał, jak mu się wydawało, chyba z osiem litrów do pustego zbiornika. Niezbyt to ładne, no i wredne wobec osoby, do której trafi ta glebogryzarka, ale okoliczności były nadzwyczajne. Nałożył z powrotem zaślepkę i mocno ją przykręcił. Potem usiadł na siodełku traktora, położył ręce na pustym brzuchu i zamknął oczy.

Pomyśl o swoim uchu, powiedział sobie. Pomyśl o podrapanych plecach. Pomyśl, jak bardzo bolało, a zapomnisz o głodzie i pragnieniu.

Ten sposób działał przez jakiś czas, a potem przestał. W myśli Luke'a wkradały się obrazy dzieci z poziomu A, które za kilka godzin wyjdą z pokoi i ruszą na śniadanie do stołówki. Bezsilnie usiłował przegnać wizję dzbanków z sokiem pomarańczowym i dystrybutorów z czerwonym napojem Hawaiian Punch. Chciałby tam teraz być. Wypiłby po szklance jednego i drugiego, a potem nałożył sobie z podgrzewaczy cały talerz jajecznicy i bekonu.

Nie chciałbyś tam teraz być. Takie pragnienie to obłąd.

A jednak trochę chciał.

Otworzył oczy, by pozbyć się tych obrazów. Wizja dzbanków z sokiem pomarańczowym była uparta, nie chciała odejść... a potem Luke dostrzegł coś w pustej przestrzeni między nowymi skrzyniami a małymi silnikami. W pierwszej chwili myślał, że to tylko gra światła księżycowego, które wpadało przez uchylone drzwi wagonu, albo wręcz halucynacja, ale kiedy dwukrotnie zamrugał, a to coś nadal tam było, zszedł z siodełka kosiarki i poczołgał się w tamtą stronę. Po jego prawej ręce za drzwiami przemykały pola skąpane w księżycu. Wyjeżdżając z Dennison River Bend, Luke chłonał wszystkie widoki z zachwytem i fascynacją, teraz jednak świat na zewnątrz go nie obchodził. Chłopiec patrzył wyłącznie na to, co znajdowało się na podłodze wagonu: okruchy pączków.

Oraz jeden kawałek większy niż okruch.

Luke podniósł go w pierwszej kolejności. Żeby zebrać te mniejsze, zwilżył kciuk. Najmniejsze okruszki bał się stracić między szparami w podłodze, więc się pochylił, wysunął język i je zlizął.

Tym razem to pani Sigsby zdrzemnęła się na kanapie w przylegającym pokoiku, a Stackhouse zamknął drzwi, żeby nie zbudził jej telefon – stacjonarny albo ten jego kanciasty. Fellowes zadzwonił z pokoju komputerowego za dziesięć trzecia.

– Dziewięćdziesiąt dziewięć-pięćdziesiąt sześć wyjechał z Richmond – oznajmił. – Ani śladu chłopca.

Stackhouse westchnął i podrapał się po brodzie. Czuł już szorstkość zarostu.

– W porządku.

– Szkoda, że nie możemy po prostu ściągnąć tego pociągu na bocznice i go przeszukać. Wyjaśniłoby się raz na zawsze, czy chłopak tam jest.

– Szkoda, że cały świat nie trzyma się za ręce, śpiewając *Give Peace a Chance*. O której pociąg będzie w Wilmingtonie?

– O szóstej. Albo wcześniej, jeśli nadrobi trochę czasu.

– Ilu ludzi tam mamy?

– Teraz dwóch, a z Goldsboro jedzie jeszcze jeden.

– Wiedzą, że mają się zachowywać spokojnie, prawda? Spięci ludzie budzą podejrzenia.

– Myślę, że sobie poradzą. To dobra historyjka. Chłopak, który uciekł z domu, zaniepokojeni rodzice...

– Lepiej trzymaj za nich kciuki. Daj mi znać, jak im pójdzie.

Do gabinetu wszedł doktor Hendricks, w ogóle bez pukania. Miał podkrążone oczy, pomięte ubranie, a na głowie stalowosiwą szopę.

– Coś wiadomo?

– Jeszcze nie.

– Gdzie pani Sigsby?

– Na zasłużonym odpoczynku. – Stackhouse odchylił się na jej krześle i przeciągnął. – Dixon nigdy nie był w zbiorniku, prawda?

– Oczywiście, że nie. – Donkey Kong wydawał się jakby trochę oburzony samą tą myślą. – Nie jest różowy. Wręcz przeciwnie. Ryzykować uszkodzenie dziecka o tak wysokim BDNF to byłoby szaleństwo. Ryzykować zwiększenie jego zdolności zresztą też. Co jest mało prawdopodobne, ale nie niemożliwe. Sigsby urwałaby mi głowę.

– Ona nie urwie ci głowy, a on ma trafić do zbiornika jeszcze dzisiaj – powiedział Stackhouse. – Podtopcie tego małego chujka, aż pomyśli, że umiera, a potem podtopcie go jeszcze trochę.

– Pan mówi poważnie? Przecież ten chłopiec to niezwykle cenna własność! Jeden z najpotężniejszych TP-pozytywów, jakich mieliśmy od lat!

– Nic mnie nie obchodzi, czy chodzi po wodzie, czy strzela prądem z dupy, jak pierdzi. Pomógł Ellisowi uciec. Każ Grekowi wykonać polecenie, jak tylko wróci na służbę. On uwielbia ładować dzieci do zbiornika. Powiedz mu, żeby go nie zabijał. Rozumiem, jaki ten gówniarz jest cenny, ale chcę, żeby miał przeżycie, które zapamięta na tak długo, jak długo w ogóle będzie w stanie coś pamiętać. A potem zabierzcie go do Tylnej Połowy.

– Ale pani Sigsby...

– Pani Sigsby w pełni to popiera.

Obaj mężczyźni obrócili się. Kobieta stała w drzwiach między gabinetem a swym prywatnym pokojem. Stackhouse w pierwszej chwili pomyślał, że wygląda, jakby zobaczyła ducha, ale to nie było trafne określenie. Wyglądała, jakby sama była duchem.

– Dan, zrób dokładnie to, co on ci powiedział. Jeśli BDNF chłopca na tym ucierpi, to trudno. Dixon musi zapłacić.

22

Wagon znowu ruszył, a Luke pomyślał o kolejnej piosence, którą śpiewała jego babcia. Tej o pociągu Midnight Special? Nie mógł sobie tego przypomnieć. Okruchy pączków tylko zaostrzyły mu apetyt i spotęgowały pragnienie. Usta chłopca były jak pustynia, język – jak wydma. Drzemał, ale nie mógł zasnąć. Czas mijał, Luke nie wiedział, ile go upłynęło, lecz w końcu do wnętrza wagonu zaczął się wlewać blask przedświt.

Luke przeczołgał się po kołyszącej się podłodze do uchylonych drzwi wagonu i wyrzwał na zewnątrz. Widział drzewa, głównie niesforne sosny z nasadzeń po wyrębie, miasteczka, pola, a potem znowu drzewa. Pociąg przemknął po estakadzie, a on tęsknym wzrokiem spojrział w dół na rzekę. Tym razem do głowy przyszła mu nie piosenka, ale poemat Coleridge’a. Woda, woda, woda wszędzie, pomyślał, paczą się wagonu deski. Woda, woda, woda wszędzie, ni kropli w krtani zeschęj^[1].

Pewnie zanieczyszczona, powiedział sobie, ale wiedział, że gdyby mógł, i tak by się jej napił. Aż brzuch by mu się wzdął. Zwymiotowałyby ją z przyjemnością, bo wtedy mógłby wypić jeszcze więcej.

Tuż przed wschodem słońca, czerwonego i gorącego, Luke poczuł w powietrzu sól. Budynki, które teraz przesuwały się obok torów, to już

nie były zabudowania farm, ale przeważnie magazyny i stare ceglane fabryki, których okna zabito deskami. Na tle jaśniejącego nieba wznosiły się dźwigi. Nieopodal startowały samoloty. Przez pewien czas pociąg jechał wzdłuż czteropasmowej drogi. Luke widział ludzi w samochodach, których jedynym zmartwieniem była czekająca ich dzisiaj praca. Teraz czuł zapach równin błotnych, martwych ryb albo jednego i drugiego.

Zjadłbym martwą rybę, o ile nie byłoby w niej robaków, pomyślał. Albo może nawet gdyby były. Według „National Geographic” robaki to dobre źródło organicznego białka.

Pociąg zaczął zwalniać, więc Luke wycofał się do kryjówki. Znowu słyszał turkot i stukot, kiedy jego wagon przetaczał się po zwrotnicach i przejazdach. W końcu się zatrzymał.

Godzina była wczesna, mimo to panował tu ruch. Luke słyszał ciężarówki. Słyszał śmiechy i rozmowy ludzi. Z boomboxa albo radia w ciężarówce leciał Kanye; basy były jak bicie serca, najpierw nabierały mocy, potem cichły. Po innym torze przejechała lokomotywa, zostawiając za sobą smród spalin diesla. Kilka razy pociągiem Luke’a potężnie szarpnęło, kiedy odłączano lub dołączano wagony. Mężczyźni pokrzykiwali po hiszpańsku, chłopiec wychwytywał przekleństwa, takie jak *puta mierda*, *hijo de puta*, *chupapollas*.

Znowu minęło trochę czasu. Wydawało się, że cała godzina, ale może tylko piętnaście minut. Wreszcie do wagonu Southway Express podjechała jeszcze jedna ciężarówka. Facet w kombinezonie otworzył drzwi na oścież. Luke wyjrzał spomiędzy glebogryzarki a traktora ogrodowego. Mężczyzna wskoczył do środka, a wagon połączyła z ciężarówką kolejna rampa. Tym razem ekipa składała się z czterech mężczyzn: dwaj byli czarni, dwaj biali, a wszyscy rośli i wytatuowani. Śmiali się i rozmawiali z mocnym południowym akcentem, który sprawiał, że w uszach Luke’a brzmiali jak piosenkarze country ze stacji BUZ’N 102 w rodzimym Minneapolis.

Jeden z białych powiedział, że zeszłej nocy poszedł na tańce z żoną jednego z czarnych. Ten czarny udał, że go bije, a biały udał, że się zatacza, i usiadł na stosie kartonów z silnikami przyczepnymi, które Luke niedawno ponownie ustawił.

– No już, już – rzucił drugi biały. – Chcę iść na śniadanie.

Ja też, pomyślał Luke. Matko, ja też.

Kiedy zaczęli władowywać skrzynie Kohlera do ciężarówki, przyszło mu do głowy, że to wygląda jak nagranie z poprzedniego postoju, tylko że puszczane od tyłu. Przypomniawszy sobie opowieści Avery’ego o filmach,

które musiały oglądać dzieci w Tylnej Połowie, a wtedy zaczęły wracać kropki – duże i jaskrawe. Drzwi wagonu zadrżały w prowadnicy, jakby chciały się same zamknąć.

– O w mordę! – odezwał się drugi czarny mężczyzna. – Kto tam jest? – Zajrzał do środka. – Hm. Nie ma nikogo.

– Złe licho – powiedział ten, który wcześniej udawał, że uderzył białego. – No już, już, kończmy robotę. Naczelnik stacji mówi, że to draństwo jest opóźnione.

To wciąż nie koniec trasy, pomyślał Luke. Nie będę tutaj tkwił, aż umrę z głodu, ale tylko dlatego, że wcześniej umrę z pragnienia. Z lektur wiedział, że człowiek może wytrzymać bez wody co najmniej trzy doby, zanim straci przytomność, co poprzedza śmierć, teraz jednak miał zupełnie inne wrażenie.

Czterooosobowy zespół załadował do ciężarówki wszystkie skrzynie oprócz dwóch największych. Luke czekał, aż wezmą się za małe silniki i wtedy goodkryją, ale tamci wciągnęli rampę z powrotem do ciężarówki i zatrzasnęli jej drzwi.

– Wy już idźcie – powiedział jeden z białych. To ten, który żartował z tańców z żoną czarnego. – Ja muszę skoczyć do kibla w wagonie służbowym. Potrzeba wzywa.

– Daj spokój, Mattie, wytrzymaj jeszcze trochę.

– Nie da rady. Tak mnie ciśnie, że jak zacznę, to nie skończę.

Kierowca włączył silnik i ciężarówka odjechała. Nastąpiła dłuższa chwila ciszy, a potem biały mężczyzna, Mattie, wszedł z powrotem do wagonu, prężąc bicepsy w bezrękawniku. Rolf Destin, dawny najlepszy przyjaciel Luke'a, powiedziałby o nim: „Ma się te muły”.

– Dobra, zbiegu, widziałem cię, jak usiadłem na pudłach. Możesz już wyjść.

23

Przez moment Luke trwał w bezruchu, wyobrażając sobie, że może jeśli nie drgnie i będzie zupełnie cicho, tamten człowiek uzna, że się pomylił, i odejdzie. Ale to było dziecinne myślenie, a on już przestał być dzieckiem. Całkowicie. Dlatego wyczołgał się z kryjówki i chciał stanąć, lecz nogi mu zeszytywniały i kręciło się w głowie. Upadłby, gdyby biały mężczyzna go nie złapał.

– Jasna cholera, mały, kto ci urwał ucho?

Luke spróbował się odezwać. Początkowo z jego ust wydobył się tylko chrapliwy skrzek. Chłopiec odchrząknął i spróbował ponownie.

– Proszę pana, mam kłopoty. Czy ma pan może coś do jedzenia? Albo do picia? Jestem strasznie głodny i chce mi się pić.

Biały mężczyzna – Mattie – wciąż nie spuszczał wzroku z okaleczonego ucha Luke'a, sięgnął do kieszeni i wyjął pół rolki cukierków Life Savers. Luke ją złapał, zerwał papierek i wrzucił do ust cztery cukierki. Do tej pory wydawało mu się, że już w ogóle nie ma śliny, że całą wchłonęło spragnione wody ciało, ale teraz znowu trysnęła, jakby z niewidzialnych dysz, a cukier eksplodował mu w głowie niczym bomba. Na moment pojawiły się kropki, przemknęły po twarzy białego mężczyzny. Mattie obejrzał się, jakby czuł, że z tyłu ktoś nadchodzi, a potem znowu spojrzął na Luke'a.

– Kiedy ostatnio coś jadłeś?

– Nie wiem. Już nie pamiętam.

– Jak długo jechałeś tym pociągiem?

– Mniej więcej dzień. – To musiało być tyle, choć wydawało się, że znacznie dłużej.

– Aż z Jankesowa?

– Tak. – Trudno o większe Jankesowo niż Maine, pomyślał Luke.

Mattie wskazał na jego ucho.

– Kto ci to zrobił? Tata? Ojczym?

Luke spojrzął na niego z niepokojem.

– Kto... Skąd panu to przyszło do głowy? – Ale nawet w obecnym stanie szybko zrozumiał jego słowa. – Ktoś mnie szuka. Tak samo było na poprzednim postojach. Ilu ich jest? Co powiedzieli? Że uciekłem z domu?

– Właśnie. Jest tutaj twój wujek. Sprowadził paru kolegów, jeden z nich to policjant z Wrightsville Beach. Nie mówili dlaczego, ale podobno uciekłeś aż z Massachusetts. I jeżeli ktoś ci to zrobił właśnie tam, to cię rozumiem.

Luke'a bardzo wystraszyła wiadomość, że jeden z oczekujących jest policjantem.

– Wsiadłem do pociągu w Maine, a nie w Massachusetts, a mój tata nie żyje. Mama też. Wszystko, co mówią, to kłamstwo.

Biały mężczyzna się zamyślił.

– Więc kto ci to zrobił z uchem, zbiegu? Jakiś gnój z sierocińca?

Luke pomyślał, że to wcale nie jest dalekie od prawdy. Owszem, to był swego rodzaju sierociniec, i owszem, prowadzili go gnoje.

– To skomplikowane. Po prostu... proszę pana... jeśli ci ludzie mnie zobaczą, to mnie zabiorą. Może nie mogliby tego zrobić, gdyby nie było z nimi policjanta, ale jest. Zabiorą mnie tam, gdzie to się stało. – Wskazał swoje ucho. – Proszę, niech im pan nie mówi. Proszę, niech mi pan pozwoli zostać w pociągu.

Mattie podrapał się w głowę.

– No, nie wiem. Jesteś dzieckiem, i to w kiepskiej formie.

– Jeśli ci ludzie mnie zabiorą, będę w dużo gorszej.

Uwierz w to, pomyślał Luke ze wszystkich sił. Uwierz, uwierz.

– No, nie wiem – powtórzył Mattie. – Chociaż tak Bogiem a prawdą, to średnio mi się ci trzej podobali. Trochę byli nerwowi, nawet ten gliniarz. Poza tym rozmawiasz z gościem, który uciekał z domu trzy razy, zanim mu się w końcu udało. Po raz pierwszy mniej więcej w twoim wieku.

Chłopiec milczał. Mattie przynajmniej zmierzał w dobrą stronę.

– Dokąd jedziesz? Wiesz w ogóle?

– Gdzieś, gdzie będę mógł coś zjeść, napić się wody i pomyśleć – odparł Luke. – Muszę pomyśleć, bo w moją historię nikt nie będzie chciał uwierzyć. Zwłaszcza kiedy opowie ją dziecko.

– Mattie! – krzyknął ktoś. – Chodź już, stary! Chyba że masz ochotę na podróż za friko do Karoliny Południowej!

– Mały, ktoś cię porwał?

– Tak! – odpowiedział Luke i rozplakał się. – A ci ludzie... ten, który mówi, że jest moim wujkiem, i policjant...

– MATTIE! Wycieraj dupę i chodź!

– Mówię prawdę – dodał zwyczajnie chłopiec. – Jeśli chce mi pan pomóc, niech mi pan da jechać dalej.

– Szlag by to. – Mattie splunął przez drzwi wagonu. – To mi się wydaje nie w porządku, ale jak patrzę na twoje ucho, to może jednak będzie okej. Ci ludzie... oni na pewno są źli?

– Najgorsi.

Tak naprawdę ci najgorsi byli już daleko w tyle, ale od decyzji tego człowieka zależało, czy tak zostanie.

– Wiesz w ogóle, gdzie teraz jesteś?

Luke pokręcił głową.

– W Wilmingtonie. Pociąg zatrzymuje się jeszcze w Georgii, potem w Tampie i kończy bieg w Miami. Skoro cię szukają, skoro rozesłali twój rysopis, ogłosili AMBER Alert, czy jak to się tam nazywa, na pewno będą czekać w tych wszystkich miejscach. Ale najbliższy przystanek jest na kompletnym zadupiu. Może...

– Mattie, gdzie ty, kurwa, jesteś?! – Ten okrzyk był już znacznie bliższy.
– Przestań lecieć w chuja. Musimy się zbierać.

Mattie rzucił Luke'owi jeszcze jedno podejrzliwe spojrzenie.

– Błagam – powiedział chłopiec. – Wsadzili mnie do zbiornika. Prawie utopili. Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale to prawda.

Na żwirze zachrząściły zbliżające się kroki. Mattie zeskoczył z wagonu i zasunął drzwi w trzech czwartych. Luke wrócił do kryjówki za małymi silnikami.

– Mówiłeś, że idziesz się wysrać. Co ty tam robiłeś?

Luke czekał, aż Mattie odpowie: „W tym wagonie schował się jakiś chłopak i nie chciał iść z wujkiem, więc wcisnął mi bajkę o tym, że go porwali, wywieźli do Maine i podtapiali w zbiorniku”.

– Zrobiłem swoje, a potem chciałem rzucić okiem na te kosiarki Kuboty – powiedział Mattie. – Mój lawn-boy zaraz wykituje.

– No to chodź, pociąg nie może dłużej czekać. Słuchaj, nie kręcił tu się jakiś chłopak? Taki, co to może wsiadł do pociągu gdzieś na północy i pomyślał, że fajnie by zwiedzić Wilmington?

Chwila ciszy.

– Nie – rzucił w końcu Mattie.

Luke siedział nachylony. Po tym jednym słowie oparł głowę o ścianę wagonu i zamknął oczy.

Z dziesięć minut później pociąg numer 9956 mocno szarpnął i ten ruch przeszedł przez wszystkie wagony – była ich teraz równa setka – niczym dreszcz. Za drzwiami stacja zaczęła się przesuwać, najpierw powoli, a później coraz szybciej. Po podłodze wagonu przemknął cień nastawni, a potem pojawił się inny. Cień człowieka. Do wagonu wleciała zatłuszczona papierowa torba.

Luke nie zobaczył Mattiego, tylko go usłyszał:

– Powodzenia, zbiegu.

Potem cień zniknął.

Chłopiec wyczołgał się z kryjówki tak szybko, że głową po stronie zdrowego ucha uderzył w obudowę traktora ogrodowego. Nawet nie zwrócił na to uwagi. W tej torbie było niebo. Czuł jego zapach.

Niebem okazały się bułka z serem i kielbasą, ciastko z owocami firmy Hostess i butelka wody źródlanej Carolina Sweetheart. Luke musiał się wykazać żelazną siłą woli, żeby nie wypić całej półlitrowej butelki za jednym razem. Jedną czwartą zostawił sobie na później; postawił butelkę na podłodze, a potem znowu ją chwycił i zakręcił. Pomyślał, że gdyby pociąg nagle się przechylił i woda by się rozlała, toby oszalał. Pochłonął

bułkę pięcioma wielkimi kęsami i popił jeszcze jednym dużym łykiem wody. Zlizał tłuszcz z palców, a później wziął butelkę oraz ciastko i wrócił do swojej kryjówki. Po raz pierwszy, odkąd patrząc w gwiazdy, płynął rzeką na SS *Ślamazarze*, poczuł, że chyba warto żyć. I choć nie za bardzo wierzył w Boga, bo dowody na jego nieistnienie uznawał za odrobinę mocniejsze niż na istnienie, mimo wszystko się pomodlił, ale nie za siebie. Pomodlił się do wielce hipotetycznej wyższej mocy, by pobłogosławiła człowieka, który nazwał go zbiegiem i wrzucił torbę z jedzeniem do wagonu.

24

Z pełnym brzuchem miał ochotę znowu się zdrzemnąć, ale zmusił się, żeby tego nie robić.

Pociąg zatrzymuje się jeszcze w Georgii, potem w Tampie i kończy bieg w Miami – powiedział mu Mattie. – Skoro cię szukają, na pewno będą czekać w tych wszystkich miejscach. Ale najbliższy przystanek jest na kompletnym zadupiu.

Ktoś mógł na niego czekać nawet w małym miasteczku, ale Luke nie zamierzał jechać do Tampy czy Miami. Zniknięcie w gąszczu ludności miało swoje plusy, ale w wielkich miastach jest za dużo policjantów, a teraz pewnie wszyscy dysponowali zdjęciem chłopca podejrzanego o zabicie rodziców. Poza tym logika podpowiadała, że nie da się uciekać wiecznie. To cudowne zrzędzenie losu, że Mattie go nie wydał. Liczyć na kolejne byłoby głupotą.

Luke uważał, że dysponuje jednym atutem. Dawno gdzieś zapodział nóż do warzyw, który Maureen zostawiła pod jego materacem, ale został mu pendrive. Chłopiec nie miał pojęcia, co na nim jest, może tylko bełkotliwe, pełne wyrzutów sumienia wyznanie, które każdy uzna za nonsens, opowieść o oddanym do adopcji dziecku. Ale może dowody. Dokumenty.

Wreszcie pociąg zaczął znowu zwalniać. Luke podszedł do drzwi, przytrzymał się ich, żeby złapać równowagę, i wyjrzał na zewnątrz. Zobaczył dużo drzew, asfaltową szosę, a potem tyły domów i innych budynków. Pociąg minął semafor – żółty. Może dojeżdżali do tego zadupia, o którym mówił Mattie, a może tylko zwalniali, żeby przepuścić inny pociąg. Dla Luke'a to drugie mogło się okazać nawet lepsze, bo jeśli na następnym przystanku czekał zatroskany wujek, to na pewno na stacji.

W przodzie widać było magazyny z połyskującymi metalowymi dachami. Dalej znajdowała się szosa, a za nią kolejne drzewa.

Twoim zadaniem jest wyskoczyć z pociągu i jak najszybciej dopaść do tych drzew, powiedział sobie Luke. I pamiętaj, żeby biec zaraz po wylądowaniu, bo inaczej walniesz twarzą w żwir.

Zaczął się bujać w tył i w przód, wciąż trzymając się drzwi. W skupieniu mocno zacisnął usta. To rzeczywiście ten przystanek, o którym mówił Mattie, bo teraz Luke zobaczył budynek stacji. Na dachu, na wyblakłych zielonych dachówkach, wymalowano napis DUPRAY SOUTHERN & WESTERN.

Muszę natychmiast wysiąść, pomyślał. Absolutnie nie chcę spotkać żadnych wujków.

– Raz...

Kiwnął się do przodu.

– Dwa...

Kiwnął się do tyłu.

– Trzy!

Skoczył. Zaczął biec już w powietrzu, ale o żwir przy torach uderzył z prędkością pociągu, czyli jednak trochę szybciej, niż mogły go ponieść nogi. Tułów pochylił do przodu, a ręce miał wyciągnięte w tył, żeby utrzymać równowagę, więc wyglądał jak panczenista zbliżający się do mety.

Kiedy już myślał, że złapie balans, zanim się wywali, ktoś krzyknął:

– Ej, uważaj!

Luke poderwał głowę i zobaczył mężczyznę w wózku widłowym w połowie drogi między magazynami a stacją. Inny mężczyzna właśnie wstawał z fotela bujanego w cieniu daszka budynku. Ciągle trzymał w ręce gazetę, którą czytał.

– Uważaj na słup! – zawołał.

Luke zobaczył drugi semafor, tym razem migający czerwienią, ale było za późno, żeby zwolnić. Odruchowo obrócił głowę i próbował unieść rękę, lecz zanim mu się to do końca udało, walnął w słup z całej siły. Zderzył się z nim prawą stroną twarzy, a większość impetu przyjęło ranne ucho. Odbił się, runął na żwir i odtoczył się od torów. Nie stracił przytomności, ale jakby się od niej odkleił; niebo na zmianę oddalało się, przybliżało i znów oddalało. Poczul, że po policzku spływa mu coś ciepłego, i zrozumiał, że znowu rozkrwawił sobie ucho – to jego biedne zmaltretowane ucho. Wewnętrzny głos krzyczał, żeby wstawać, żeby

pędzić do lasu, ale co innego słyszeć, a co innego posłuchać. Kiedy próbował się podnieść, nic z tego nie wyszło.

Błądnik mi wysiadł, pomyślał. Kurde. Pojebane.

A potem stał nad nim mężczyzna z wózka widłowego. Oglądany z ziemi, wydawał się mieć z pięć metrów wzrostu. W soczewkach jego okularów odbijało się światło, przez co oczy były niewidoczne.

– Chryste, mały, co ty, u diabła, wyrabiasz?

– Próbuję uciec. – Luke nie miał pewności, czy naprawdę to mówi, ale chyba tak. – Oni nie mogą mnie złapać, błagam, oni nie mogą mnie złapać.

Mężczyzna się pochylił.

– Nie próbuj nic mówić. I tak cię nie rozumiem. Nieźle wyróżnąłeś w ten słup i krwawisz jak zarzynana świnia. Poruszaj nogami.

Luke poruszył.

– A teraz rękami.

Uniósł ramiona.

Do mężczyzny z wózka widłowego dołączył ten z bujanego fotela. Luke spróbował wykorzystać swoje nowo zdobyte TP, żeby odczytać myśli jednego albo obu, dowiedzieć się, ile wiedzą. Nie zobaczył nic; jeśli chodzi o czytanie w myślach, obecnie trwał odpływ. Niewykluczone, że zderzenie z semaforem wybiło mu z głowy całe TP.

– Nic mu nie jest, Tim?

– Chyba nic. Mam nadzieję. W przypadku urazów głowy zasady pierwszej pomocy zabraniają przemieszczać poszkodowanego, ale zaryzykuję.

– Który z was jest niby moim wujkiem? – zapytał Luke. – Czy może obaj?

Mężczyzna z bujanego fotela zmarszczył czoło.

– Rozumiesz, co mówi?

– Nie. Zaniosę go do pana Jacksona na zaplecze.

– Wezmę go za nogi.

Luke zaczynał dochodzić do siebie. Okazało się, że ucho nawet mu w tym pomaga. Wydawało się, że chce mu się wwiercić do głowy. I może się tam ukryć.

– Nie, poradzę sobie – odpowiedział mężczyzna z wózka widłowego. – Nie jest ciężki. Zadzwoń do doktora Ropera, poproś, żeby wpadł z wizytą domową.

– Raczej magazynową – stwierdził ten z bujanego fotela i zaśmiał się, odsłaniając poźółkłe słupki zębów.

– Wszystko jedno. Idź i zadzwoń. Z telefonu na stacji.

– Tak jest. – Mężczyzna z fotela od niechcienia zasalutował temu z wózka widłowego, po czym odszedł.

Ten z wózka podniósł Luke'a.

– Niech mnie pan postawi – odezwał się chłopiec. – Mogę chodzić.

– Tak myślisz? Pokaż.

Luke przez chwilę chwiał się na nogach, a potem stanął pewniej.

– Jak się nazywasz, synu?

Luke się zawahał. Nie miał pewności, czy może się przedstawić, skoro nie wie, czy ten człowiek to jeden z wujków. Wyglądał w porządku... ale Zeke z Instytutu też tak wyglądał, kiedy miał dobry dzień.

– A pan? – skontrował chłopiec.

– Tim Jamieson. Chodź, musisz przynajmniej zejść ze słońca.

25

Norbert Hollister, właściciel walącego się motelu, który działał tylko dzięki comiesięcznemu uposażeniu dla wtyczki Instytutu, zadzwonił do doktora Ropera z telefonu na stacji, ale najpierw w swojej komórce wybrał numer, który otrzymał rano. Wtedy wściekał się, że go zbudzili. Teraz jednak był zachwycony.

– Ten chłopak – powiedział. – On tu jest.

– Chwileczkę – odparł Andy Fellowes. – Łączę pana.

Nastąpiła chwila ciszy, a potem rozległ się inny głos:

– Pan Hollister? Z DuPray w Karolinie Południowej?

– Tak. Ten chłopak, którego szukacie, wyskoczył z pociągu towarowego. Nie ma kawałka ucha. Dalej jest za niego nagroda?

– Owszem. A będzie jeszcze większa, jeśli dopilnuje pan, żeby został w mieście.

Norbert się zaśmiał.

– O, myślę, że zostanie. Wyrznął w semafor i nieźle go zamroczyło.

– Proszę nie tracić go z oczu – powiedział Stackhouse. – Ma pan telefonować co godzinę. Zrozumiano?

– Coś jakby raport.

– Owszem, coś takiego. My zajmiemy się resztą.

PIEKŁO JEST TU

Tim przeprowadził zakrwawionego chłopaka, wciąż wyraźnie oszołomionego, ale idącego o własnych siłach, przez gabinet Craiga Jacksona. Właściciel firmy Składy i Magazyny DuPray mieszkał w pobliskim mieście Dunning, ale odkąd pięć lat temu się rozwiódł, przestronny klimatyzowany pokój za gabinetem służył mu za dodatkowe mieszkanie. Teraz Jacksona tam nie było, co Tima wcale nie zaskakiwało; w te dni, kiedy zatrzymywała się tu pięćdziesiątkaszóstka, a nie tylko przejeżdżała przez DuPray, Craig zwykle gdzieś znikał.

Za niedużym aneksem kuchennym z mikrofalówką, płytą grzejącą i maleńkim zlewem znajdowała się przestrzeń mieszkalna z dużym fotelem ustawionym naprzeciwko telewizora HD. Dalej dziewczyny ze starych rozkładówek z „Playboya” i „Penthouse’u” patrzyły z góry na starannie posłane łóżko polowe. Tim chciał położyć tam chłopca do czasu przyjścia doktora Ropera, ale mały pokręcił głową.

– Fotel.

– Jesteś pewien?

– Tak.

Chłopak usiadł. Poduszka smętnie jęknęła. Tim uklęknął przed nim.

– A teraz powiesz, jak się nazywasz?

Mały spojrzał na niego podejrzliwie. Przestała mu lecieć krew, ale cały policzek miał nią umazany, a poszarpane ucho wyglądało koszmarnie.

– Czekał pan na mnie?

– Na pociąg. Pracuję tu rano. Albo dłużej, kiedy przyjeżdża dziewięćdziesiąt dziewięć-pięćdziesiąt sześć. No więc jak się nazywasz?

– Kim był ten drugi?

– Żadnych pytań, dopóki mi się nie przedstawisz.

Chłopak zastanowił się, a potem oblizał wargi i powiedział:

– Jestem Nick. Nick Wilholm.

– W porządku, Nick. – Tim zrobił znak zwycięstwa. – Ile palców widzisz?

– Dwa.

– A teraz?

– Trzy. Czy tamten drugi mówił, że jest moim wujkiem?

Tim zmarszczył brwi.

– To Norbert Hollister. Właściciel tutejszego motelu. Jeśli jest czyimś wujkiem, to nic mi o tym nie wiadomo. – Mężczyzna uniósł jeden palec. – Masz za nim wodzić wzrokiem. Chcę zobaczyć, jak ruszasz oczami.

„Nick” podążał za palcem Tima najpierw w lewo i w prawo, a potem w górę i w dół.

– Chyba nie jest z tobą źle – stwierdził Tim. – Miejmy taką nadzieję. Przed kim uciekasz, Nick?

Chłopak wyglądał na przerażonego i usiłował wstać.

– Kto panu tak powiedział?

Tim łagodnie posadził go z powrotem.

– Nikt. Po prostu kiedy widzę, jak z pociągu wyskakuje dzieciak w brudnych poszarpanych ciuchach, z naderwanym uchem, robię szalone założenie, że to uciekinier. No więc przed kim...

– Co to za krzyki? Słyszałam... Chryste Panie, co temu chłopcu się stało?

Tim obejrzał się i zobaczył Sierotkę Annie Ledoux. Pewnie była w swoim namiocie za stacją. W ciągu dnia często chodziła się tam zdrzemnąć. Chociaż o dziesiątej rano termometr przed budynkiem pokazywał aż dwadzieścia dziewięć stopni, Annie była ubrana – jak wydawało się Timowi – w swój pełny strój meksykański: poncho, sombrero, tandetne bransoletki i znalezione gdzieś kowbojki rozchodzące się na szwach.

– To Nick Wilholm – powiedział Tim. – Przybył do naszego pięknego miasteczka Bóg wie skąd. Wyskoczył z pięćdziesiątkiszóstki i na pełnym gazie wpadł na semafor. Nick, to Annie Ledoux.

– Miło mi panią poznać – odezwał się chłopiec.

– Dziękuję, synku, i wzajemnie. Czy to ten semafor urwał mu pół ucha?

– Wątpię – odparł Tim. – Liczyłem, że usłyszę od niego tę historię.

– Czy pani czekała na przyjazd pociągu? – zapytał Nick.

Najwyraźniej uczeplił się tego tematu. Może dlatego, że nieźle przydzwonił w słup, a może z innej przyczyny.

– Ja czekam tylko na przyjście Pana Naszego Jezusa Chrystusa – powiedziała Annie. Rozejrzała się. – Pan Jackson ma tu na ścianach nieprzyzwoite obrazki. Nie powiem, żebym się zdziwiła. – Mówiła z południowym zaśpiewem.

W tej właśnie chwili do pomieszczenia wszedł śniady mężczyzna w ogrodniczkach, białej koszuli i czarnym krawacie. Na głowie miał miękką czapkę maszynisty.

– Witaj, Hectorze – powiedział Tim.

– Witaj i ty – odparł Hector. Spojrzał na zakrwawionego chłopca w fotelu Craiga Jacksona, nie okazał mu zbytniego zainteresowania i znów popatrzył na Tima. – Mój pomocnik mówi, że mam dla was parę generatorów, trochę traktorów ogrodowych i tak dalej, z tonę konserw i drugą tonę świeżych produktów. Timmy, i tak już jestem spóźniony, więc jak mi zaraz nie opróżnisz wagonów, to będziesz musiał wysłać po towary do Brunswicku tę flotę ciężarówek, której wasze miasto nie posiada.

Tim wstał.

– Annie, dotrzymasz temu młodemu człowiekowi towarzystwa do czasu przyścia lekarza? Ja muszę pojechać wózkiem.

– Dam sobie radę. Jak dostanie ataku, włożę mu coś w usta.

– Nie dostanę ataku – odezwał się chłopiec.

– Wszyscy tak mówią – odparła dość zagadkowo Annie.

– Schowałeś się w moim pociągu, synku? – zapytał Hector.

– Tak, proszę pana. Przepraszam.

– No, skoro już z niego wysiadłeś, to nic mi do tego. Teraz pewnie zajmie się tobą policja. Tim, widzę, że masz tu szczególną sytuację, ale towar nie będzie czekał, więc weź mi pomóż. Gdzie twoja ekipa? Widziałem tylko jednego gościa, ale gada w biurze przez telefon.

– To Hollister z miejscowego motelu, ale nie wyobrażam sobie, żeby on mógł cokolwiek opróżnić. Może co najwyżej własne kiszki z rana.

– Paskudztwo! – skomentowała Sierotka Annie, choć możliwe, że miała na myśli rozkładówki, którym wciąż się przyglądała.

– Powinni tu być Beemanowie, ale ci dwaj nicponie znowu się spóźniają. Zupełnie jak ty.

– Chryste. – Hector zdjął czapkę i przeczesał dłonią gęste czarne włosy.

– Nie cierpię tych kursów z wieloma przystankami. W Wilmingtonie rozładunek też był powolny. Na jednej lawecie utkwiał lexus. Chodź, sprawdzimy, co da się zrobić.

Tim ruszył za Hectorem do drzwi, a potem się odwrócił.

– Wcale nie nazywasz się Nick, prawda?

Chłopiec zastanowił się nad odpowiedzią, po czym odparł:

– Na razie to imię musi wystarczyć.

– Ma się nigdzie nie ruszać – nakazał Tim Annie. – Jeżeli spróbuje, daj mi znać. – A potem do zakrwawionego chłopca, który wydawał się bardzo drobny i znękany: – Porozmawiamy o tym, jak wrócę. Może być?

Mały znowu to przemyślał i znudzony kiwnął głową.

– Chyba nie mam wyboru.

Kiedy mężczyźni poszli, Sierotka Annie znalazła w koszu pod zlewem dwie czyste szmaty. Zmoczyła je zimną wodą i jedną wyżyła mocno, a drugą trochę słabiej. Tę pierwszą podała chłopcu.

– Przyłóż sobie do ucha.

Luke zrobił, jak poradziła. Drugą szmatką zaczęła zmywać mu krew z twarzy, tak łagodnie, że przypomniła mu o matce. Przerwała i zapytała – z tą samą łagodnością – dlaczego płacze.

– Tęsknię za mamą.

– Biedaku, ona na pewno też za tobą tęskni.

– Tylko pod warunkiem, że po śmierci świadomość trwa dalej. Chciałbym w to wierzyć, ale dowody empiryczne sugerują, że tak nie jest.

– Czy trwa dalej? Och, no pewnie! – Annie podeszła do zlewu, żeby wypłukać krew ze szmatki. – Niektórzy mówią, że dusze umarłych przestają się interesować ziemskimi sprawami, tak jak nas nie interesują sprawy mrówek w mrowisku, ale ja do tych ludzi nie należę. Wierzę, że dusze czuwają. Przykro mi, że zmarła, synku.

– Myśli pani, że ich miłość nie ustaje? – To niemądra koncepcja, Luke o tym wiedział, ale niemądra w dobry sposób.

– Jasne. Miłość nie umiera razem z doczesnym ciałem, synku. To by było niedorzeczne. Jak dawno odeszła?

– Miesiąc temu, może półtora. W zasadzie straciłem poczucie czasu. Moich rodziców zamordowano, a mnie porwano. Wiem, że trudno w to uwierzyć...

Annie zajęła się resztą krwi na jego twarzy.

– Wcale nie trudno, jeśli ktoś wie, co w trawie piszczy. – Postukała się w skroń pod rondem sombrera. – Przyjechali czarnymi samochodami?

– Nie wiem, ale nie zdziwiłbym się – odparł Luke.

– I robili na tobie eksperymenty?

Chłopcu opadła szczeka.

– Skąd pani wiedziała?

– George Allman. Ma program w radiu WMDK od północy do czwartej nad ranem. O przejęciach ciała, UFO i mocach parapsychicznych.

– O mocach parapsychicznych? Naprawdę?

– Tak, i o spisku. Wiesz o spisku, synku?

– Co nieco.

– Program George'a Allmana nosi tytuł *Outsiderzy*. Dzwonią do niego ludzie, ale głównie mówi on. Nie twierdzi, że ten spisek to kosmici albo

rząd, albo rząd współpracujący z kosmitami, jest bardzo ostrożny, bo nie chce zniknąć albo dać się zastrzelić jak JFK i jego brat, ale ciągle mówi o czarnych samochodach i o eksperymentach. O takich rzeczach, że osiwieć można. Wiedziałaś, że w przypadku Davida Berkowitza miało miejsce przejęcie ciała? Nie? No więc tak było. Diabeł, który w nim siedział, potem wyszedł, zostawiając pustą skorupę. Podnieś głowę, synku, bo masz krew na szyi. Jak ci zaschnie, zanim ją zmyję, to będę musiała szorować.

3

Bracia Beemanowie – dwóch kłocowatych nastolatków z osiedla przyczep na południe od miasteczka – pojawili się kwadrans po dwunastej, kiedy Tim już od dawna powinien jeść lunch. Większość towarów przeznaczonych dla firmy Fromie's: Sprzedaż i Naprawa Małych Silników leżała już wtedy na spękany asfalcie przed stacją. Gdyby to zależało od Tima, z miejsca wylałby Beemanów, ale z panem Jacksonem łączyło ich jakieś zagmatwane pokrewieństwo na południową modłę, więc nie wchodziło to w grę. Poza tym byli mu potrzebni.

Przed wpół do pierwszej Del Beeman podstawił do drzwi wagonu Carolina Produce dużą półciężarówkę z dorobionymi drewnianymi ściankami, po czym zaczęli do niej ładować skrzynie z sałatą, pomidorami, ogórkami i dyniami. Do pracy dołączyli Hector i jego pomocnik maszynisty, których nie interesowały świeże warzywa, ale chcieli czym prędzej wyjechać z Karoliny Południowej. Norb Hollister stał w cieniu daszka stacji, bardzo zajęty patrzeniem, ale niczym więcej. To, że nadal tu był, wydało się Timowi odrobinę dziwne – dotąd nigdy nie wykazywał zainteresowania przyjazdami i odjazdami pociągów – ale brakowało czasu, żeby się nad tym zastanawiać.

Za dziesięć pierwsza na nieduży parking przed stacją zajechał stary ford kombi. Tim właśnie ładował wózkiem widłowym ostatnie skrzynie warzyw na tył półciężarówki, która miała je dostarczyć do sklepu spożywczego w DuPray... pod warunkiem że Phil Beeman w ogóle tam dojedzie. Sklep był niespełna dwa kilometry stąd, ale tego ranka Phil mówił bardzo powoli, a oczy miał tak zaczerwienione jak małe zwierzątko uciekające przed pożarem lasu. Nie trzeba Sherlocka Holmesa, by wydedukować, że popalał maryskę. I on, i jego brat.

Z kombi wysiadł doktor Roper. Tim przywitał go gestem i wskazał magazyn, gdzie pan Jackson miał swoje biuro i mieszkanie. Roper również

go pozdrowił, po czym ruszył w tamtą stronę. Był staromodny, niemal karykaturalny – jeden z tych lekarzy, których nadal można spotkać na biednej prowincji, gdzie do najbliższego szpitala jest siedemdziesiąt czy osiemdziesiąt kilometrów, reformę służby zdrowia Obamacare uważa się za lewackie bluźnierstwo, a wycieczka do supermarketu Walmart uchodzi za szczególną okazję. Roper miał sześćdziesiąt parę lat i nadwagę, był dogmatycznym baptystą, który w czarnej torbie przekazywanej od trzech pokoleń z ojca na syna nosił razem ze stetoskopem Biblię.

– O co chodzi z tym chłopakiem? – zapytał pomocnik maszynisty, wycierając bandaną pot z czoła.

– Nie wiem, ale zamierzam się dowiedzieć – powiedział Tim. – No już, odpalajcie silnik i jazda. Chyba że chcesz mi zostawić jednego z tych lexusów, Hectorze. Bo jeżeli tak, to chętnie go sobie stoczę z lawety.

– *Chupa mi polla* – odparł Hector.

Uścisnął dłoń Tima i ruszył do lokomotywy, licząc na to, że między DuPray a Brunswickiem nadrobi trochę czasu.

4

Stackhouse zamierzał wybrać się challengerem razem z dwoma zespołami wydobywczymi, ale pani Sigsby postanowiła, że robi to sama. Jako szefowa miała do tego prawo. Mimo to zde gustowana mina szefa ochrony Instytutu była niemal bezczelna.

– Daruj sobie te grymasy – rzuciła Sigsby. – Jak myślisz, kto tu zapłaci głową, jeśli sprawy źle się ułożą?

– Zapłacimy oboje i na nas wcale się nie skończy.

– Owszem, ale czyja głowa spadnie pierwsza i najdalej się potoczy?

– Julio, to operacja terenowa, a ty nigdy nie byłeś w terenie.

– Będą ze mną Rubin i Opal, czterej dobrzy mężczyźni i trzy twarde kobiety. Lecą z nami również Tony Fizzale, który był w marines, doktor Evans i Winona Briggs. Służyła w armii i zna się na segregacji rannych. Po rozpoczęciu operacji dowodzenie przejmie Denny Williams, ale będę tam i zamierzam z tej perspektywy napisać raport. – Na chwilę zawiesiła głos. – Zakładając, że raport będzie potrzebny, a zaczynam sądzić, że to nie do uniknięcia. – Zerknęła na zegarek. Dwunasta trzydzieści. – Dość tych dyskusji. Trzeba ruszać. Ty kieruj Instytutem, a jeśli wszystko się uda, wrócę jutro przed drugą w nocy.

Stackhouse wyszedł z nią z budynku i ruszyli do odgradzonej bramą drogi gruntowej, która pięć kilometrów dalej na wschód dochodziła do

asfaltowej szosy. Dzień był gorący. Świerszcze cykały w gęstym lesie, przez który ten pieprzony gówniarz jakimś cudem się przedarł. Przed bramą na wolnym biegu stał van marki Ford Windstar, jakim zwykle mamuśki wożą dzieci na treningi. Za kierownicą siedziała Robin Lecks, a obok niej – Michelle Robertson. Obie miały na sobie dżinsy i czarne koszulki.

– Stąd do Presque Isle jest dziewięćdziesiąt minut – powiedziała pani Sigsby. – Z Presque Isle do Erie w Pensylwanii kolejne siedemdziesiąt. Tam odbierzemy zespół opalowy. Z Erie do Alcolu w Karolinie Południowej mniej więcej dwie godziny. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, będziemy w DuPray przed dziewiętnastą.

– Bądź w kontakcie i pamiętaj, że kiedy się zaczniesz, dowodzi Williams. Nie ty.

– Dobrze.

– Julio, naprawdę uważam, że to błąd. Powinienem jechać ja.

Spojrzała mu w oczy.

– Powtórz to, a ci przyłożę. – Podeszła do vana. Denny Williams rozsunął przed nią boczne drzwi. Pani Sigsby już miała wsiąść, ale jeszcze odwróciła się do Stackhouse'a. – I dopilnuj, żeby Avery Dixon został porządnie unurzany w zbiorniku i trafił do Tylnej Połowy, zanim wrócę.

– Donkey Kongowi nie podoba się ten pomysł.

Rzuciła Stackhouse'owi dość przerażający uśmiech.

– Czy wyglądam, jakby mnie to obchodziło?

5

Tim patrzył za odjeżdżającym pociągiem, a potem wrócił w cień daszka stacji. Koszulę miał przesiąkniętą potem. Zdziwił się, że Norbert Hollister nadal tam stoi. Właściciel motelu jak zwykle miał na sobie kamizelkę w tureckie wzory i brudne spodnie khaki, dzisiaj przytrzymywane tuż pod mostkiem plecionym paskiem. Tim zastanawiał się (i to nie po raz pierwszy), jak można nosić spodnie podciągnięte aż tak wysoko i nie zgnieść sobie jajek.

– Co tu jeszcze robisz, Norbercie?

Hollister wzruszył ramionami i uśmiechnął się, pokazując zęby, których Tim wolałby nie widzieć przed lunchem.

– Tak tylko zabijam czas. Popołudniami na moim ranczu raczej mało się dzieje.

Zupełnie jakby rano albo wieczorem działo się dużo, pomyślał Tim.

– To może idź i zobacz, czy cię tam nie ma.

Właściciel motelu wyjął torebkę z tytoniem Red Man i włożył sobie trochę do ust. To by wyjaśniało ten kolor zębów, uznał Tim.

– A ciebie kto niby mianował papieżem?

– Może to zabrzmiało jak prośba – odparł Tim. – Ale to nie była prośba. Idź stąd.

– Dobrze, już dobrze. Dotarło do mnie. Miłego dnia, panie nocny strażniku.

Hollister odszedł powoli. Tim wiódł za nim wzrokiem, marszcząc brwi. Czasem widywał go w Bev's Eatery albo Zoney's, kupującego gotowane orzeszki albo jajka na twardo ze słoika na ladzie, ale poza tym ten człowiek prawie nie opuszczał biura w swoim motelu, gdzie oglądał sport i pornosy w telewizji satelitarnej. Która, inaczej niż w pokojach, działała.

Sierotka Annie czekała na Tima w biurze pana Jacksona; siedząc za biurkiem, przeglądała kartki na tacy z pocztą przychodzącą i wychodzącą.

– Nie ruszaj tego, co nie twoje, Annie – powiedział łagodnie Tim. – A poza tym jak zrobisz bałagan, to kłopoty będą miał ja.

– Tu i tak nie ma nic ciekawego – stwierdziła. – Tylko faktury, grafiki i takie tam. Chociaż pan Jackson ma kartę z pieczętkami z tej knajpy topless w Hardeeville. Jeszcze dwie pieczętki i dostanie darmowy lunch. Ale żeby jeść lunch, wpatrując się w pipę jakiejś babki... brrr.

Tim nigdy dotąd nie myślał o tym w ten sposób, a teraz pomyślał i pożałował.

– Doktor jest u dzieciaka?

– Tak. Zatrzymałam krwawienie, ale mały do końca życia jest skazany na długie włosy, bo to ucho już nigdy nie będzie wyglądało jak kiedyś. A teraz posłuchaj. Rodziców małego zamordowali, a jego samego porwali.

– To część spisku? – Tim i Annie często podczas jego nocnych obchodów rozmawiali o teoriach spiskowych.

– No właśnie. Przyjechali po niego czarnymi samochodami, to jest fakt, a jak go namierzają, to przyjadą po niego tutaj.

– Zapamiętam i na pewno porozmawiam o tym z szeryfem Johnem – obiecał Tim – Dzięki, że umyłaś i popilnowałaś chłopca, ale teraz lepiej już chyba idź.

Annie wstała i otrząsnęła poncho.

– Właśnie, powiedz szeryfowi Johnowi. Wy wszyscy musicie mieć się na baczności. Jest takie miasteczko w Maine, Jerusalem. Możecie zapytać tych, co tam mieszkali, o ludzi w czarnych samochodach. Pod warunkiem że kogoś znajdziecie, ma się rozumieć. Wszyscy mieszkańcy zniknęli

ponad czterdzieści lat temu. George Allman często o tym miasteczku opowiada.

– Rozumiem.

Kobieta ruszyła do wyjścia, szeleszcząc ponchem, ale się odwróciła.

– Ty mi nie wierzysz, a mnie to nie dziwi. No bo i dlaczego miałbyś wierzyć? Zanim przyjechałeś, przez lata byłam tutejszym dziwadłem, a jeśli Pan nie weźmie mnie do siebie, będę nim jeszcze przez lata po twoim wyjeździe.

– Annie, ja nigdy...

– Cichaj. – Spojrzała na niego z zawziętością spod ronda sombrera. – To nic. Ale teraz mnie posłuchaj. Ja mówię o tym tobie... ale mnie powiedział on. Ten chłopak. Więc jest nas już dwoje, co nie? Więc zapamiętaj, co ci powiedziałam. Oni przyjeżdżają w czarnych samochodach.

6

Doktor Roper właśnie chował do torby kilka przyrządów, których użył podczas badania. Chłopiec nadal siedział w fotelu pana Jacksona. Twarz miał obmytą, a ucho było zabandażowane. Po spotkaniu z semaforem zrobił mu się spory siniec na prawej stronie twarzy, ale patrzył jasnym i przytomnym wzrokiem. W niedużej lodówce doktor znalazł butelkę napoju imbirowego, którą teraz opróżniał mały.

– Siedź spokojnie, młody człowieku – powiedział Roper. Zatrzasnął torbę i podszedł do Tima, który stał tuż za progiem biura.

– Nic mu się nie stało? – zapytał cicho Tim.

– Jest odwodniony, głodny, od dłuższego czasu nic nie jadł, ale poza tym chyba wszystko w porządku. Dzieci w jego wieku nawet z gorszego stanu szybko wracają do formy. Mówi, że ma dwanaście lat, nazywa się Nick Wilholm i wsiadł do pociągu na samym początku trasy, na północy Maine. Pytałem, co tam robił, a on na to, że nie może mi powiedzieć. Pytałem o adres, a on na to, że nie pamięta. To prawdopodobne, bo mocne uderzenie w głowę potrafi wywołać dezorientację i zaburzyć pamięć, ale trochę już żyję na tym świecie, więc potrafię odróżnić amnezję od małomówności, zwłaszcza u dziecka. Mały coś ukrywa. Może nawet sporo.

– W porządku.

– Chce pan mojej rady? Niech mu pan obieca porządny posiłek w knajpie, a dowie się pan wszystkiego.

– Dziękuję, panie doktorze. Proszę mi przysłać rachunek.

Roper machnął ręką.

– Mnie też pan postawi porządny posiłek w knajpie przyzwoitszej niż Bev's i będziemy kwita. A jak już się pan czegoś dowie, chciałbym to usłyszeć.

Kiedy lekarz wyszedł, Tim zamknął drzwi, żeby zostać sam na sam z chłopcem, i wyjął z kieszeni komórkę. Zadzwoił do Billa Wickłowa, zastępcy szeryfa, który po świętach miał od niego przejąć obowiązki nocnego strażnika. Chłopiec przypatrywał mu się uważnie, dopijając resztkę napoju.

– Bill? Z tej strony Tim. Tak, w porządku. Pomyślałem sobie, że może chciałbyś dziś w nocy popracować na próbę jako strażnik? Normalnie teraz już śpię, ale coś mi wypadło na stacji. – Słuchał. – Świetnie. Jestem twoim dłużnikiem. Zegar czasu pracy zostawię ci na komendzie. Pamiętaj, że trzeba go nakręcić. I wielkie dzięki.

Zakończył rozmowę i przyjrzał się małemu. Wiedział, że sińce na twarzy najpierw się rozwiną, a za tydzień czy dwa zbledną. Spojrzenie w jego oczach mogło jednak pozostać na dłużej.

– Lepiej się czujesz? Przeszedł ból głowy?

– Tak, proszę pana.

– Daruj sobie tego pana, możesz mi mówić Tim. A jak ja mam mówić do ciebie? Jak masz naprawdę na imię?

Luke wahał się chwilę, a potem mu powiedział.

7

W słabo oświetlonym tunelu między Przednią a Tylną Połową panował chłód i Avery natychmiast zaczął drżeć. Wciąż miał na sobie to samo przemoczone ubranie, w którym Zeke i Carlos wyciągnęli jego nieprzytomne ciało ze zbiornika. Szczękał zębami. Mimo to usiłował nie utracić wiedzy, którą zdobył. Była ważna. Wszystko teraz było ważne.

– Przestań szczękać tymi zębami – rzuciła Gladys. – To obrzydliwe.

Pchnęła go na wózek, a po jej typowym uśmiechu nie było ani śladu. Wszyscy już usłyszeli, co zrobił ten mały zasraniec, więc podobnie jak cała reszta pracowników Instytutu kobieta była przerażona i miała taka pozostać, dopóki Luke Ellis nie zostanie tu przywieziony z powrotem, a wtedy wszyscy odetchną z ulgą.

– N-n-n-nic nie p-p-poradzę – powiedział Avery. – Tak mi z-z-zimno.

– W dupie to mam – odparła Gladys podniesionym głosem, który odbił się od wyłożonych płytkami ścian. – Czy ty masz pojęcie, co zrobiłeś? Co ty w ogóle masz w głowie?!

Avery miał w głowie dużo różnych rzeczy. Niektóre myśli należały do Gladys (jej strach przypominał szczura biegnącego w kołowrotku pośrodku jej głowy), a niektóre były tylko jego.

Kiedy przeszli przez drzwi z napisem WSTĘP TYLKO DLA UPRAWNIONYCH, zrobiło się trochę cieplej, a w zapuszczonej świetlicy, gdzie czekała na nich doktor James (w krzywo zapiętym kitlu, z włosami w nieładzie i szerokim, głupkowskim uśmiechem na twarzy) – jeszcze bardziej.

Dygotanie Avery'ego zelzało, a potem ustało, wróciły natomiast barwne Światła Stasi. To nic, bo mógł je przegnać, kiedy tylko chciał. W zbiorniku z wodą Zeke prawie go zabił – zanim Avery zemdleł, myślał nawet, że już nie żyje – ale spotkało go tam coś jeszcze. Wiedział, że z niektórymi trafiającymi tam dziećmi zbiornik też coś robił, lecz wydawało mu się, że tym razem chodziło o coś więcej. TK oraz TP to tylko wierzchołek góry lodowej. Gladys była przerażona konsekwencjami ucieczki Luke'a, ale Avery'emu przyszło do głowy, że gdyby zechciał, mógłby sprawić, że to właśnie jego bałaby się przeraźliwie.

Tylko że jeszcze nie nadeszła pora.

– Dzień dobry, młody człowieku! – zawołała doktor James. Brzmiała jak polityk w telewizyjnej reklamie, a jej myśli fruwały dokoła niczym skrawki papieru porwane silnym wiatrem.

Z nią jest coś bardzo, bardzo nie tak, stwierdził Avery. To coś takiego jak choroba popromienna, tylko że w mózgu, a nie w kościach.

– Dzień dobry – powiedział.

Doktor Jeckle odchyliła głowę i roześmiała się, jakby „Dzień dobry” było puentą najzabawniejszego żartu, jaki w życiu słyszała.

– Nie spodziewaliśmy się ciebie tak szybko, ale witamy, witamy! Są tu już twoi przyjaciele!

Wiem, pomyślał Avery, i nie mogę się doczekać, żeby się z nimi zobaczyć. Oni chyba też się ucieszą na mój widok.

– Najpierw jednak musimy ściągnąć z ciebie te mokre ciuchy. – Lekarka rzuciła Gladys pełne wyrzutu spojrzenie, ta jednak była zajęta drapaniem się w rękę, żeby się pozbyć mrowienia na skórze (albo tuż pod nią). Życzę powodzenia, pomyślał Avery. – Każę Henry'emu zaprowadzić cię do pokoju. Mamy tu miłych niebieskich opiekunów. Dasz radę iść o własnych siłach?

– Tak.

Doktor Jeckle jeszcze raz się zaśmiała, z odchyłoną głową i podrygującą grdyką. Avery podniósł się z wózka i zmierzył Gladys

przeciągłym spojrzeniem. Przestała się drapać i teraz to ona zadrżała. Przez niego. Poczwała go i to jej się nie spodobało.

Za to Avery'emu owszem. Było dosyć piękne.

8

Ponieważ w pokoju mieszkalnym pana Jacksona było tylko jedno krzesło, Tim przyniósł sobie drugie z biura. Najpierw chciał je umieścić naprzeciw chłopca, ale uznał, że to zbyt przypominałoby układ w policyjnym pokoju przesłuchań. Przysunął je więc do fotela i usiadł obok Luke'a, tak jak się siada z przyjacielem, na przykład po to, by obejrzeć ulubiony serial. Tylko że płaski telewizor pana Jacksona był wyłączony.

– No dobrze, Luke – zaczął Tim. – Annie twierdzi, że zostałeś porwany, ale Annie nie zawsze... nadaje na dobrych falach, tak to nazwijmy.

– W tym przypadku nadaje na dobrych – odparł Luke.

– W porządku. Skąd cię porwano?

– Z Minneapolis. Ogłuszyli mnie. I zabili moich rodziców. – Przesunął dłonią po oczach.

– Ci porywacze zabrali cię z Minneapolis do Maine. Jak to zrobili?

– Nie wiem. Byłem nieprzytomny. Pewnie samolotem. Naprawdę jestem z Minneapolis. Może pan to sprawdzić, wystarczy zadzwonić do mojej szkoły. To Szkoła dla Wyjątkowych Dzieci imienia Brodericka.

– Co oznacza, że bystry z ciebie chłopak, jak rozumiem?

– O tak – powiedział Luke bez dumy w głosie. – Jestem byстрыm chłopakiem. A do tego w tej chwili bardzo głodnym. Od dwóch dni nie jadłem nic oprócz bułki z kiełbasą i ciastka owocowego. Dał mi je mężczyzna o imieniu Mattie. Myślę, że od tego minęły dwa dni. Trochę straciłem poczucie czasu.

– Nie jadłeś nic więcej?

– Kawalek pączka. Niezbyt duży.

– Jezu, zaraz ci coś damy.

– Tak – powiedział Luke, po czym dodał: – Poproszę.

Tim wyjął komórkę z kieszeni.

– Wendy? Mówi Tim. Zrobiłabyś coś dla mnie?

9

Pokój Avery'ego w Tylnej Połowie był surowy. Za łóżko służyła zwykła prycza, na ścianach nie było plakatów z Nickelodeonu, a na komodzie figurek z G.I. Joe do zabawy. To Avery'emu nie przeszkadzało. Miał dopiero dziesięć lat, ale teraz musiał być dorosły, a dorośli nie bawią się żołnierzami.

Tylko że sam nie dam rady, pomyślał.

Przypomniawszy sobie zeszłe święta. Bolało, ale i tak je sobie przypomniał. Dostał zamek Lego, o który prosił, ale kiedy rozłożył przed sobą klocki, nie wiedział, jak z tej sterty uzyskać piękny zamek ze zdjęcia na pudełku, z wieżyczkami, bramami i mostem zwodzonym, który można podnosić i opuszczać. Rozplakał się. Wtedy jego ojciec (teraz już martwy, Avery był tego pewien) przyklęknął przy nim i powiedział: „Zajrzyjmy do instrukcji i zrobimy to razem, krok po kroku”. I właśnie tak zrobili. Zamek stał na komodzie w jego pokoju, otoczony strzegącymi go figurkami z G.I. Joe, i kiedy Avery obudził się w Przedniej Połowie, to była jedyna rzecz, której nie zdołali odtworzyć.

Teraz leżał na pryczy w tym nagim pokoju, w suchych ubraniach, myśląc o tym, jak wspaniale wyglądał ukończony zamek. I czując buczenie. Tu, w Tylnej Połowie, było ono nieprzerwane. Głośnie w pokojach, głośniejsze w korytarzach, najgłośniejsze za stołówką i pokojem socjalnym opiekunów, gdzie podwójnie zamknięte drzwi prowadziły do tylnej połowy Tylnej Połowy. Tę część opiekunowie często nazywali Warzywniakiem, bo dzieci, które tam żyły (o ile to można nazwać życiem), były warzywkami. Buczkami. Ale pewnie przydatnymi, domyślał się Avery. Tak jak papierek od batonika jest przydatny, dopóki nie wyliże się go do czysta. Wtedy można go wyrzucić.

Tu w drzwiach były zamki. Avery skoncentrował się i spróbował przekręcić swój. Nie żeby miał dokąd pójść oprócz korytarza wyłożonego niebieskim dywanem, ale był to ciekawy eksperyment. Czuł, że zamek usiłuje się obrócić, lecz nie udawało się to do końca. Zastanawiał się, czy George Iles dałby radę, bo George od początku był silnym TK-pozytywem. Pewnie jemu by się udało, przy odrobinie pomocy. Avery znowu przypomniał sobie słowa ojca: „Zrobimy to razem, krok po kroku”.

O piątej drzwi się otworzyły i ubrany na czerwono opiekun wetknął do pokoju twarz bez uśmiechu. Tutaj nie nosili identyfikatorów, ale Avery'emu nie były one potrzebne. Ten opiekun miał na imię Jacob, a koledzy nazywali go Jake Żmija. Kiedyś służył w marynarce wojennej. Próbowalesz wstąpić do Navy SEALs, ale nie dalesz rady, pomyślał Avery. Wyrzucili cię. Chyba za bardzo lubilesz robić ludziom krzywdę.

– Kolacja – oznajmił Jake Żmija. – Jak chcesz, to chodź. Jak nie chcesz, to zamknę cię aż do filmu.

– Chcę.

– Dobrze. Lubisz filmy, młody?

– Tak – powiedział Avery i pomyślał: Ale te mi się nie spodobają. Te filmy zabijają ludzi.

– Te ci się spodobają – rzucił Jake. – Zaczyna się zawsze od kreskówki. Stołówka jest tam, po lewej stronie. I bez ociągania. – Żeby go pognać, dał mu mocnego klapsa w tyłek.

W stołówce – ponurym pomieszczeniu pomalowanym tą samą ciemnozieloną farbą co korytarz części mieszkalnej w Przedniej Połowie – siedziało kilkanaścioro dzieci, które jadły coś, co Avery’emu przypominało zapachem puszkowany gulasz wołowy firmy Dinty Moore. W domu mama robiła go co najmniej dwa razy w tygodniu, bo to było ulubione danie siostrzyczki Avery’ego. Ona pewnie też już nie żyła. Większość dzieci w stołówce wyglądała jak zombi i mocno się śliniła. Chłopiec zwrócił uwagę na dziewczynę, która przy jedzeniu paliła papierosa. Na jego oczach strząsnęła popiół do talerza, rozejrzała się nieobecny wzrokiem i znów zaczęła z niego jeść.

Avery wyczuł Kalishę już w tunelu, a teraz ją zobaczył – siedziała przy stole w głębi sali. Musiał się powstrzymać, żeby do niej nie pobiec i nie zarzucić jej rąk na szyję. Zwróciłby na siebie uwagę, a tego nie chciał. Wręcz przeciwnie. Obok Kalishy siedziała Helen Simms. Jej dłonie spoczywały bezwładnie po obu stronach talerza. Wzrok wbijała w sufit. Włosy, tak jaskrawo barwne, kiedy pojawiła się w Przedniej Połowie, teraz były matowe, wilgotne, zwisały strąkami wokół twarzy – jej znacznie chudszej twarzy. Kalisha ją karmiła, a w każdym razie próbowała.

– No, dawaj, Hel. Dawaj, Hell’s Angel, zajadamy.

Włożyła do ust Helen łyżkę z gulaszem. Kiedy kawałek tajemniczego brązowego mięsa zaczął wypadać zza dolnej wargi dziewczyny, Sha łyżką wepchnęła go z powrotem. Tym razem Helen przełknęła, a Sha się uśmiechnęła.

– Świetnie, bardzo dobrze – powiedziała.

Sha, pomyślał Avery. *Cześć, Kalisha.*

Dziewczyna rozejrzała się zaskoczona, zobaczyła go i szeroko się uśmiechnęła.

Aviszon!

Po brodzie Helen ściekła strużka brązowego sosu. Nicky, który siedział po jej drugiej stronie, otarł go papierową serwetką. Potem on również zobaczył Avery'ego, uśmiechnął się od ucha do ucha i uniósł wyprostowane kciuki. Siedzący naprzeciwko Nicky'ego George obrócił się.

– Ej, patrzcie, to Aviszon – powiedział. – Sha przeczuwała, że jesteś w drodze. Witaj w naszym szczęśliwym domu, mały bohaterze.

– Jeżeli chcesz jeść, to weź talerz – odezwała się starsza, ubrana na niebiesko kobieta o surowej twarzy. Avery wiedział, że ma na imię Corinne i lubi bić. Kiedy biła, czuła się lepiej. – Wcześniej zamykam, bo mamy dzisiaj wieczór filmowy.

Wziął talerz i nałożył sobie gulaszu. Tak, to był ten firmy Dinty Moore. Na wierzch położył sobie gąbczasty kawałek białego chleba, zaniósł jedzenie do stolika przyjaciół i usiadł. Sha uśmiechnęła się do niego. Tego dnia bardzo bolała ją głowa, mimo to się uśmiechnęła, co sprawiło, że Avery jednocześnie miał ochotę śmiać się i płakać.

– Zajadaj, kolego – powiedział Nicky, choć sam nie stosował się do tej rady; jego talerz nadal był prawie pełen. Chłopak miał przekrwione oczy i pocierał lewą skroń. – Wiem, że to żarcie wygląda jak sraka, ale lepiej, żebyś nie szedł na filmy z pustym żołądkiem.

Złapali Luke'a? – wysłała pytanie Sha.

Nie. Wszyscy srają ze strachu.

Dobrze. Dobrze!

Czy przed filmem dostaniemy bolesne zastrzyki?

Dzisiaj chyba nie, ten film jest dość nowy, widzieliśmy go tylko raz.

George patrzył na nich mądrym wzrokiem. Słyszał. Kiedyś, w Przedniej Połowie, George Iles był tylko TK, ale teraz stał się czymś więcej. Jak oni wszyscy. Tylna Połowa potęgowała posiadane zdolności, jednak żadne z tych dzieci nie było dzięki zbiornikowi zanurzeniowemu takie jak Avery. On wiedział różne rzeczy. Na przykład o testach w Przedniej Połowie. Wiele z nich to uboczne projekty doktora Hendricksa, lecz zastrzyki miały praktyczne uzasadnienie. Niektóre działały ograniczająco, a Avery nigdy ich nie dostał. Wylądował prosto w zbiorniku, gdzie otarł się o śmierć albo i trafił na drugą stronę, i wskutek tego potrafił przywoływać Światła Stasi, właściwie kiedy chciał. Nie potrzebował filmów i nie musiał być częścią zbiorowego umysłu. Właśnie stworzenie tego zbiorowego umysłu było głównym zadaniem w Tylnej Połowie.

Tylko że Avery miał zaledwie dziesięć lat. I był to problem.

Kiedy zaczął jeść, odszukał Helen i z radością stwierdził, że wciąż jest obecna. Lubił Helen. Była inna niż ta suka Frieda. Friedzie nie musiał

czytać w myślach, by wiedzieć, że nakłoniła go podstępem do powiedzenia jej różnych rzeczy, a potem go podkablowała. No bo kto, jak nie ona?

Helen?

Nie. Nie mów do mnie, Avery. Muszę...

Reszty nie usłyszał, ale chyba zrozumiał. Musiała się chować. Miała w głowie gąbkę pełną bólu i chowała się przed nią, jak mogła. Ukrywanie się przed bólem to sensowna reakcja. Kłopot polegał na tym, że ta gąbka stale rosła. Miała rosnąć tak długo, aż dziewczyna nie zdoła się przed nią schować, a wtedy gąbka rozgniecie Helen o tył jej własnej czaszki jak muchę na ścianie. I będzie po niej. Przynajmniej jako Helen.

Avery sięgnął do jej umysłu. To prostsze niż przekręcenie zamka w pokoju, ponieważ potężnym TP był od początku, a TK to dla niego coś nowego. Nie mógł naprawić Helen, ale chyba mógł jej ulżyć. Nieco ją osłonić. To byłoby dla niej dobre, a także dla nich... bo potrzebowali każdej możliwej pomocy.

Znalazł gąbkę bólu głęboko w głowie Helen. Nakazał, żeby przestała się rozrastać. Kazał jej odejść. Nie chciała. Nacisnął. Zaczęły się przed nim pojawiać kolorowe światła, wirowały powoli, jak śmietanka w kawie. Nacisnął mocniej. Gąbka była elastyczna, lecz zbita.

Kalisha, pomóż mi.

W czym? Co robisz?

Wyjaśnił jej. Weszła, z początku nieśmiało. Nacisnęli razem. Gąbka bólu nieco ustąpiła.

George – wysłał komunikat Avery. – Nicky. Pomóżcie.

Nicky był w stanie pomóc, troszkę. George z początku miał zdezorientowaną minę, potem się dołączył, ale po chwili z powrotem się wycofał.

– Nie mogę – szepnął. – Tam jest ciemno.

Nieważne, że ciemno! – To była Sha. – Chyba damy radę jej pomóc!

George wrócił. Niechętnie. I niezbyt pomagał, lecz przynajmniej z nimi był.

To tylko gąbka – powiedział im Avery. Nie widział już swojego talerza z gulaszem. Zastąpiły go Światła Stasi wirujące w rytm pulsu. – Nic wam nie zrobi. Naciskajcie! Wszyscy razem!

Spróbowali i wtedy coś się stało. Helen oderwała wzrok od sufitu. Spojrzała na Avery'ego.

– Patrzcie, kto przyszedł – odezwała się chrypliwie. – Trochę mniej boli mnie głowa. Dzięki Bogu. – Zaczęła jeść samodzielnie.

– O kurde – rzucił George. – My to zrobiliśmy.

Nick uśmiechnął się szeroko i uniósł rękę.

– Avery, piona.

Avery przybił mu piątkę, dobre samopoczucie minęło jednak razem ze światłami. Wiedział, że ból głowy Helen wróci i będzie narastał po każdym seansie filmowym. I ból głowy Helen, i Shy, i Nicky’ego. I jego też. W końcu wszyscy przyłączą się do buczenia emanującego z Warzywniaka.

Ale może... gdyby zjednoczyli się we własnym zbiorowym umyśle... i gdyby udało się stworzyć osłonę...

Sha.

Dziewczyna spojrzała na niego. Słuchała. Nicky i George także słuchali, w każdym razie na ile mogli. To trochę tak, jakby częściowo byli głusi. Ale Sha usłyszała. Zjadła nieco gulaszu, a potem odłożyła łyżkę i pokręciła głową.

Avery, nie damy rady uciec. Jeśli o tym myślisz, zapomnij.

Wiem, że nie damy rady. Ale musimy coś zrobić. Musimy pomóc Luke’owi i sobie też. Widzę elementy, ale nie wiem, jak je ułożyć. Nie...

– Nie wiesz, jak zbudować zamek – powiedział Nicky cichym, zamyślonym tonem.

Helen przestała jeść i znowu oglądała sufit. Gąbka bólu ponownie zaczęła rosnąć, pęczniała, pochłaniając jej umysł. Nicky podał dziewczynie kolejny kęs.

– Papierosy! – zawołał jeden z niebieskich opiekunów. Trzymał paczkę. Tutaj papierosy były darmowe. Najwyraźniej wręcz do nich zachęcano. – Kto chce papierosa przed seansem?

Nie możemy uciec, więc pomóżcie mi zbudować zamek – przesłał myśl Avery. – Mur. Osłonę. Nasz zamek. Nasz mur. Naszą osłonę.

Spojrzał najpierw na Shę, potem na Nicky’ego, na George’a i znowu na Shę, błagając, żeby zrozumiała. Oczy jej się zaświeciły.

Rozumie, pomyślał Avery. Dzięki Bogu rozumie.

Chciała się odezwać, lecz ponownie zamknęła usta, bo właśnie mijal ich opiekun – na imię miał Clint – drąc się:

– Papierosy! Kto chce papierosa przed seansem?

Kiedy sobie poszedł, powiedziała:

– Skoro nie możemy uciec, musimy przejąć to miejsce.

Pierwotne chłodne nastawienie zastępczyni szeryfa Wendy Gullickson wobec Tima znacznie się ociepliło od czasu ich pierwszej randki w meksykańskiej restauracji w Hardeeville. Teraz oficjalnie byli parą, a kiedy weszła do mieszkania na tyłach biura pana Jacksona z dużą papierową torbą, pocałowała go najpierw w policzek, a potem szybko w usta.

– To zastępczyni szeryfa Gullickson – przedstawił ją chłopcu Tim. – Ale możesz do niej mówić Wendy, jeżeli się zgodzi.

– Zgadza się – potwierdziła. – Jak masz na imię?

Luke spojrział na Tima, a ten lekko skinął głową.

– Luke. Luke Ellis.

– Miło mi cię poznać, Luke. Nieźlego masz sińca.

– Tak, proszę pani. Na coś wpadłem.

– Tak, Wendy – poprawiła. – Czy to bandaż? Do tego jeszcze urznąłeś się w ucho?

Chłopiec lekko się uśmiechnął, bo przecież trafiła w sedno.

– Coś w tym stylu.

– Tim mówił, że możesz być głodny, więc kupiłam trochę żarcia na wynos w restauracji przy Main Street. Mam coca-colę, kurczaka, burgery i frytki. Na co masz ochotę?

– Na wszystko – odpowiedział Luke, a Wendy i Tim parsknęli śmiechem.

Na ich oczach zjadł dwie nóżki kurczaka, potem hamburgera i większość frytek, a na koniec sporych rozmiarów kubek budyniu ryżowego. Tim, który przegapił lunch, dojadł resztę kurczaka i wypił colę.

– Teraz lepiej? – zapytał, gdy już skończyli.

Zamiast odpowiedzieć Luke zaczął płakać.

Wendy objęła go i pogłaskała po głowie. Palcami rozplątywała skłębione kosmyki. Kiedy w końcu przestał łkać, Tim przykucnął obok niego.

– Przepraszam – powiedział Luke. – Przepraszam, przepraszam.

– Nie ma za co. Masz prawo.

– To dlatego, że znowu czuję, że żyję. Nie wiem, czemu się przez to rozplakałem, ale się rozplakałem.

– To się chyba nazywa poczucie ulgi – powiedziała Wendy.

– Luke twierdzi, że jego rodziców zamordowano, a on sam został porwany – oznajmił Tim.

Wendy szeroko otworzyła oczy.

– Nie twierdzę, tylko to prawda! – zaprotestował chłopiec, prostując się w fotelu pana Jacksona.

– Może źle dobrałem słowa. Opowiedz nam swoją historię, Luke.

Chłopiec zastanowił się, a potem odparł:

– A najpierw zrobi pan coś dla mnie?

– Jeśli będę mógł.

– Niech pan wyjrzy przez okno i sprawdzi, czy ten drugi ciągle tam jest.

– Norbert Hollister? – Tim się uśmiechnął. – Kazałem mu zjeżdżać. Teraz pewnie kupuje sobie w Go-Marcie losy na loterię. Jest przekonany, że zostanie milionerem.

– Niech pan mimo wszystko sprawdzi.

Tim zerknął na Wendy, a ta wzruszyła ramionami.

– Ja to zrobię – rzuciła.

Po minucie wróciła, marszcząc czoło.

– Wyobraźcie sobie, że siedzi w bujanym fotelu na tarasie stacji. Czyta gazetę.

– Myślę, że to wujek – powiedział cicho Luke. – Wujkowie byli w Richmond i Wilmingtonie. Może w Sturbridge też. Nawet nie wiedziałem, że mam ich aż tylu. – Zaśmiał się. To był metaliczny dźwięk.

Tim podniósł się i ruszył do drzwi w samą porę, żeby zobaczyć, jak Norbert Hollister wstaje i powoli odchodzi w kierunku swojego zapuszczonego motelu. Nie oglądał się za siebie. Tim wrócił do Luke'a i Wendy.

– Poszedł sobie, synu.

– Może idzie do nich zadzwonić – odparł Luke. Szturchnął pustą puszkę po coli. – Nie pozwolę, żeby mnie zabrali. Myślałem, że tam umrę.

– Gdzie? – zapytał Tim.

– W Instytucie.

– Zaczynij od początku i powiedz nam wszystko – poprosiła Wendy.

Luke to zrobił.

11

Kiedy skończył – zajęło mu to prawie pół godziny, a podczas opowiadania wypił jeszcze jedną colę – nastąpiła chwila ciszy. Wreszcie Tim odezwał się bardzo cicho:

– To niemożliwe. Zaczniemy od tego, że tyle porwań zwróciłoby czyjąś uwagę.

Wendy pokręciła głową.

– Byłeś policjantem. Nie powinieneś mówić takich rzeczy. Parę lat temu zrobili badanie, z którego wynika, że co roku w Stanach Zjednoczonych znika prawie pół miliona dzieci. Oszałamiająca liczba, prawda?

– Wiem, że to duże liczby. W ostatnim roku mojej służby w hrabstwie Sarasota zgłoszono zaginięcie prawie pięciuset dzieci, ale większość, i to zdecydowana, wraca potem z własnej woli. – Tim pomyślał o Robercie i Rolandzie Bilsonach, bliźniakach, których nakrył nad ranem, kiedy wybierali się na kiermasz rolniczy w Dunning.

– I tak zostają jeszcze tysiące – odparła Wendy. – Dziesiątki tysięcy.

– Zgoda, ale ile takich dzieci znika, zostawiając za sobą zamordowanych rodziców?

– Nie mam pojęcia. Wątpię, żeby ktoś to badał.

Kobieta znowu skupiła uwagę na Luke’u, który śledził ich rozmowę wzrokiem, jak mecz tenisowy. Rękę trzymał w kieszeni, dotykając pendrive’a niczym szczęśliwej króliczej łapki.

– Czasami – odezwał się – pewnie aranżują to tak, żeby wyglądało na wypadek.

Nagle Tim wyobraził sobie, że ten chłopiec mieszka razem z Sierotką Annie w jej namiocie, że nocą razem słuchają tego jej świra w radiu. Rozmawiają o spisku. Rozmawiają o „nich”.

– Mówisz, że obciąłeś sobie kawałek ucha, bo miałeś w nim urządzenie śledzące – podsumowała Wendy. – Czy naprawdę tak było, Luke?

– Tak.

Nie za bardzo wiedziała, jak dalej poprowadzić tę rozmowę. Spojrzała na Tima z miną mówiącą „Oddaję ci pałeczkę”.

Tim podniósł pustą puszkę po coli i wrzucił ją do torby po jedzeniu na wynos, która teraz zawierała tylko opakowania i kości kurczaka.

– Mówisz o tajnym ośrodku prowadzącym od Bóg wie ilu lat tajny program na amerykańskiej ziemi. Kiedyś to chyba teoretycznie byłoby możliwe, ale nie w epoce komputerów. Największe sekrety rządu trafiają do internetu za pośrednictwem niepokornej strony o nazwie...

– WikiLeaks. Wiem o WikiLeaks. – Luke był zniecierpliwiony. – Wiem, jak trudno pilnować tajemnic, i wiem, że to brzmi jak obłąd. Z drugiej strony podczas drugiej wojny światowej Niemcy prowadzili obozy koncentracyjne, w których udało im się zabić siedem milionów Żydów. A także Cyganów i gejów.

– Ale ludzie w okolicach obozów wiedzieli, co się dzieje – wtrąciła Wendy.

Spróbowała wziąć Luke'a za rękę, lecz chłopiec ją cofnął.

– A ja założę się o milion dolarów, że ludzie w Dennison River Bend, czyli najbliższym mieście, wiedzą, że coś się dzieje. Coś złego. Nie wiedzą co, bo nie chcą wiedzieć. W ten sposób mogą egzystować, a poza tym kto by im uwierzył? Przecież do dzisiaj są ludzie, którzy nie wierzą, że Niemcy wymordowali tych wszystkich Żydów. To się nazywa wyparcie.

Tak, pomyślał Tim, chłopak jest bystry. Jego wyjaśnienie tego, co przeżył, jest wariackie, ale mały ma łeb na karku.

– Chcę się upewnić, że dobrze rozumiem – powiedziała Wendy.

Mówiła łagodnie. Oboje tak mówili. Luke rozumiał. Nie trzeba być pieprzonym małym geniuszem, by wiedzieć, że w ten sposób mówi się do kogoś niezrównoważonego psychicznie. Był rozczarowany, ale nie zaskoczony. Czego innego mógł się spodziewać?

– Jakimś cudem wynajdują telepatów i... jak to nazwałś? Telekicośćam...

– Telekinetyków. TK. Te zdolności zwykle są niewielkie, nawet TK-pozytywni nie mają ich za wiele. Ale w Instytucie lekarze je wzmacniają. Zastrzyki na kropki, tak to nazywają. Wszyscy tak to nazywamy, tylko że te kropki to tak naprawdę Światła Stasi, o których wam mówiłem. Podobno zastrzyki wywołujące światła wzmacniają to, co już mamy. Inne mają chyba sprawić, że wytrzymamy dłużej. Albo... – Coś właśnie przyszło mu do głowy. – Albo nie pozwolić, żebyśmy uzyskali zbyt dużo. Bo wtedy byłibyśmy dla nich niebezpieczni.

– To coś jak szczepionki? – zapytał Tim.

– Chyba można tak powiedzieć.

– Zanim cię porwali, mogłeś poruszać przedmioty siłą umysłu – powiedział Tim tym swoim łagodnym tonem pod tytułem „Rozmawiam z obłąkanym”.

– Małe przedmioty.

– A odkąd otarłeś się o śmierć w zbiorniku zanurzeniowym, umiesz także czytać w myślach.

– Umiałem nawet wcześniej. Zbiornik... to wzmocnił. Ale ciągle nie jestem... – Luke pomasaował tył czaszki. Trudno to było wyjaśnić, a ich głosy, takie ciche i takie spokojne, działały mu na nerwy, już i tak nadszarpnięte. Niedługo naprawdę będzie tak szalony, za jakiego teraz go mają. Mimo wszystko musiał spróbować. – Ale ciągle nie jestem zbyt silny. Nikt z nas nie jest, może poza Averym. On jest niesamowity.

– Muszę się upewnić, czy dobrze rozumiem – powiedział Tim. – Oni porywają dzieci o słabych zdolnościach parapsychicznych, karmią je

sterydami na umysł, a potem wykorzystują do zabijania ludzi. Na przykład tego polityka, który zamierzał kandydować na prezydenta. Marka Berkowitza.

– Tak.

– Dlaczego nie bin Ladena? – zapytała Wendy. – Wydawałoby się, że to naturalny cel takich... takich mentalnych zamachów.

– Nie wiem – odpowiedział Luke. Wydawał się wyczerpany. Siniec na policzku nabierał barwy z każdą minutą. – Nie mam pojęcia, jak wyznaczają cele. Raz rozmawiałem o tym z moją przyjaciółką Kalishą. Ona też nie wiedziała.

– Dlaczego ta tajemnicza organizacja nie używa po prostu płatnych morderców? Czy tak nie byłoby prościej?

– To wygląda prosto tylko na filmach. W rzeczywistości płatnym zabójcom chyba częściej nie wychodzi albo dają się złapać. Tak samo jak prawie złapali tych gości, którzy zabili Bin Ladena.

– Zróbmy demonstrację – zaproponował Tim. – Myślę o jakiejś liczbie. O jakiej?

Luke spróbował. Skupił się i czekał, aż pojawią się kolorowe kropki, ale nie przychodziły.

– Nie mogę.

– To coś porusz. Przecież to twój podstawowy talent, ten, dla którego cię złapali.

Wendy pokręciła głową. Tim nie był telepatą, ale wiedział, co ta kobieta myśli: „Przestań go dręczyć. Jest wzburzony, zdezorientowany i ścigają go”. Sądził jednak, że jeśli uda mu się przebić przez tę poronioną bajkę, może dotrze do czegoś prawdziwego i zdecyduje, co robić dalej.

– Może tę torbę po jedzeniu? – zasugerował Tim. – Jest już pusta, lekka, powinieneś dać radę ją ruszyć.

Luke spojrział na nią, mocniej marszcząc czoło. Timowi przez chwilę wydawało się, że coś poczuł – jakiś szmer na skórze, jakby lekki powiew – ale potem wrażenie ustało, a torba się nie ruszyła. Oczywiście, że nie.

– Dobrze – powiedziała Wendy. – Myślę, że na razie wyst...

– Wiem, że jesteście parą – przerwał jej Luke. – Tyle wiem.

Tim się uśmiechnął.

– Niezbyt imponujące, młody. Widziałeś, że mnie pocałowała, kiedy przyszła.

Luke odwrócił się do Wendy.

– Jedziecie na wycieczkę. Do twojej siostry, prawda?

Kobieta szeroko otworzyła oczy.

– Skąd...

– Nie daj się nabrać – wtrącił Tim... ale łagodnie. – To stara sztuczka jasnowidzów: domysły na podstawie informacji. Chociaż muszę przyznać, że chłopak robi to nieźle.

– Jakie mam informacje na temat siostry Wendy? – zapytał Luke, choć bez większej nadziei.

Zagrywał karty jedna po drugiej, a teraz została mu tylko jedna. I był tak bardzo zmęczony. W pociągu spał niespokojnie, nękany złymi snami. Głównie o zbiorniku zanurzeniowym.

– Wybaczysz nam na moment? – zapytał Tim.

Nie czekając na odpowiedź, wyprowadził Wendy do biura. Chwilę z nią rozmawiał. Kiwnęła głową i wyszła, po drodze wyjmując z kieszeni telefon. Tim wrócił.

– Pójdiesz teraz z nami.

W pierwszej chwili Luke bał się, że chcą go zaprowadzić na stację. Tim i jego dziewczyna wsadzą go w następny pociąg towarowy, żeby pozbyć się kłopotu z małym zbiegiem i jego wariacką historią. Potem uświadomił sobie, że biorą go zupełnie gdzie indziej.

No to co? – pomyślał. Zawsze wiedziałem, że trafię gdzieś na komisariat. Może taki mały jest lepszy niż duży, gdzie muszą się zajmować setką różnych sprawców.

Tylko że im się wydawało, że w kwestii tego Hollistera Luke ma paranoję, a to niedobrze. Chwilowo musiał liczyć, że to oni mają rację i facet nie jest nikim ważnym. Bo pewnie mają. Bądź co bądź, Instytut nie może przecież mieć swoich ludzi wszędzie, prawda?

– Dobrze, ale najpierw muszę coś wam powiedzieć i coś pokazać.

– Dawaj – zgodził się Tim.

Nachylił się i spojrzał uważnie w oczy chłopca. Może po prostu chciał zrobić przyjemność obłąkanemu dziecku, ale przynajmniej słuchał, więc Luke uznał, że w tej chwili nie może liczyć na więcej.

– Jeżeli wiedzą, że tu jestem, przyjdą po mnie. Pewnie z bronią. Bo są śmiertelnie przerażeni, że ktoś mi uwierzy.

– Będziemy to mieli na względzie – odparł Tim. – Ale tu u nas całkiem dobrze działa policja. Myślę, że nic ci nie grozi.

Nie masz pojęcia, z czym się mierzycie, pomyślał chłopiec, ale w tej chwili nie mógł dłużej tego gościa przekonywać. Był zbyt wyczerpany. Wróciła Wendy i skinęła głową do mężczyzny. Na przejmowanie się tym również brakowało Luke'owi siły.

– Ta kobieta, która pomogła mi uciec z Instytutu, dała mi dwie rzeczy. Jedną był nóż, którym obciąłem sobie kawałek ucha z wszczepem śledzącym. Drugą jest to. – Chłopiec wyciągnął z kieszeni pendrive’a. – Nie wiem, co na nim jest, ale zanim cokolwiek zrobicie, chyba powinniście to sprawdzić.

Podał urządzenie Timowi.

12

Przed rozpoczęciem filmu mieszkańcy Tylnej Połowy – to znaczy przedniej połowy Tylnej Połowy, bo osiemnaścioro dzieci przebywających teraz w Warzywniaku zostało za zamkniętymi drzwiami i buczało sobie w najlepsze – dostali dwadzieścia minut czasu wolnego. Jimmy Cullum, idąc krokiem zombi, zaniósł obolałą głowę do swojego pokoju. Hal, Donna i Len siedzieli w stołówce – obaj chłopcy wpatrywali się w niedojedzone desery (tego dnia był budyń czekoladowy), a Donna oglądała tłącego się papierosa, jakby nagle zapomniała, jak się go pali.

Kalisha, Nick, George, Avery i Helen poszli do świetlicy, gdzie stały brzydkie meble ze sklepu z używanymi rzeczami oraz wiekowy telewizor z płaskim ekranem, na którym puszczano tylko stare sitcomy w stylu *Ożeniłem się z czarownicą* i *Happy Days*. Była tam Katie Givens. Nie obejrzała się na nich, tylko wpatrywała się w zgaszony telewizor. Ku zdziwieniu Kalishy dołączyła do nich Iris, która wyglądała lepiej niż od wielu dni. Jaśniej.

Kalisha myślała intensywnie, a była w stanie to robić, ponieważ ona również czuła się lepiej niż przez wiele ostatnich dni. To, co zrobili z bólem głowy Helen – głównie Avery, ale dołączyli się wszyscy – pomogło również jej. To samo dotyczyło Nicky’ego i George’a. Widziała to.

Przejąć to miejsce.

Śmiały i pyszny pomysł, ale natychmiast pojawiały się pytania. Najbardziej oczywiste dotyczyło tego, jak mają to zrobić, skoro na służbie było co najmniej dwunastu opiekunów w niebieskim – w wieczory filmowe zawsze pojawiało się ich więcej. Drugie pytanie: Dlaczego nie pomyśleli o tym wcześniej?

Ja pomyślałem – powiedział jej Nicky... i czyżby jego mentalny głos był silniejszy? Kalishy wydawało się, że tak, i być może również w tym miał udział Avery. Bo teraz również on był silniejszy. – *Pomyślałem o tym, kiedy mnie tu sprowadzili.*

Nicky tylko tyle był w stanie przekazać siłą umysłu, więc nachylił się do dziewczyny i resztę szepnął jej na ucho:

– Ja zawsze walczyłem, pamiętasz?

To prawda. Nicky i jego podbite oczy. Nicky i jego sine usta.

– Jesteśmy za słabi – wymamrotał. – Nawet tutaj, nawet po światłach, ciągle mamy mało mocy.

Tymczasem Avery wpatrywał się w Kaliszę z desperacką nadzieją. Przesyłał myśli do jej głowy, ale właściwie nie musiał. Jego oczy mówiły wszystko.

Sha, tutaj są kawałki. Jestem prawie pewien, że wszystkie są tu. Pomóż mi je złożyć. Pomóż mi zbudować zamek, w którym będziemy bezpieczni, przynajmniej przez chwilę.

Dziewczyna przypomniała sobie starą wyblakłą naklejkę Hillary Clinton na tylnym zderzaku subaru matki. Napis głosił SILNIEJSI RAZEM i oczywiście w Tylnej Połowie tak to właśnie działało. Właśnie dlatego oglądali razem filmy. Właśnie dlatego potrafili sięgnąć tysiące kilometrów dalej, czasem na drugi koniec świata, do ludzi z tych filmów. Gdyby ich piątka (albo szóstka, jeśli na ból głowy Iris uda się wpłynąć tak samo jak w przypadku Helen) zdołała stworzyć wspólną siłę mentalną, coś w stylu wolkańskiego połączenia jaźni, czy to by nie wystarczyło do wszczęcia buntu i przejęcia tego miejsca?

– To dobry pomysł, ale nie sądzę – odezwał się George. Wziął Kaliszę za rękę i na moment ścisnął. – Moglibyśmy im trochę napieprzyć w głowach, może nieźle ich nastraszyć, ale mają paralizatory, więc wystarczy, że porażą jedno albo dwoje z nas, i będzie po sprawie.

Kalisha nie chciała tego przyznać, ale powiedziała, że pewnie ma rację.

Avery: Krok po kroku.

– Nie słyszę, co myślicie – powiedziała Iris. – Wiem, że coś myślicie, ale ciągle boli mnie głowa.

Avery: Spróbujmy jej pomóc. Wszyscy razem.

Kalisha spojrzała na Nicka, a on skinął głową. Potem na George'a; ten wzruszył ramionami i też kiwnął głową.

Avery zaprowadził ich do głowy Iris Stanhope niczym badacz ruszający na czele zespołu w głąb jaskini. Gąbka w umyśle dziewczyny była bardzo duża. Avery widział, że ma kolor krwi, więc wszyscy ją taką widzieli. Rozstawili się wokół niej i zaczęli napierać. Trochę ustąpiła... potem jeszcze trochę... ale później się zatrzymała – opierała się ich wysiłkom. George wycofał się pierwszy, potem Helen (która i tak nie miała zbyt dużego wkładu), następnie Nick i Kalisha. Avery wyszedł

ostatni, na odchodnym ze złością wymierzając jeszcze gąbce bólu mentalnego kopniaka.

– Iris, lepiej? – zapytała Kalisha bez wielkiej nadziei.

– Co lepiej? – To była Katie Givens, która tymczasem się do nich zbliżyła.

– Mój ból głowy – powiedziała Iris. – Lepiej. Chociaż trochę.

Uśmiechnęła się do Katie i przez chwilę w pokoju była ta dziewczyna, która wygrała konkurs ortograficzny w Abilene.

Katie znowu wbiła wzrok w telewizor.

– Gdzie się podziali Richie Cunningham i Fonzie? – zapytała i zaczęła pocierać skronie. – Szkoda, że mnie głowa dalej boli tak samo. Boli jak choróbka.

Rozumiecie problem – pomyślał George do pozostałych.

Kalisha rozumiała. Owszem, razem byli silniejsi, ale wciąż niedostatecznie. Nie bardziej niż Hillary Clinton, kiedy kilka lat temu kandydowała na prezydenta. Bo facet, który z nią rywalizował, i jego zwolennicy dysponowali politycznym odpowiednikiem instytutowych paralizatorów.

– Ale mnie pomogło – powiedziała Helen. – Głowa prawie przestała boleć. To cud.

– Nie martw się – rzucił Nicky. Jego zrezygnowany ton głosu przerażał Kalishę. – Jeszcze cię rozboli.

Do pomieszczenia weszła Corinne, ta opiekunka, która lubiła bić. Trzymała rękę na kaburze z paralizatorem, jakby coś wyczuła. Bo pewnie wyczuła, pomyślała Kalisha, ale nie wie co.

– Czas na seans – oznajmiła kobieta. – Dalej, dzieciaczki, ruszać dupy.

13

Dwaj opiekunowie w niebieskim, Jake i Phil (znani odpowiednio jako Żmija i Piguła), stali przed otwartymi drzwiami sali kinowej, każdy z koszykiem w ręce. Do środka wchodziły kolejne dzieci, wrzucając papierosy i zapalki (w Tylnej Połowie zapalniczki były zabronione) do koszyków. Mogły je odebrać po seansie... oczywiście jeśli jeszcze o nich pamiętały. Hal, Donna i Len zajęli miejsca w ostatnim rzędzie i patrzyli w pusty ekran nieobecny wzrokiem. Katie Givens usiadła w środkowym rzędzie, obok Jimmy'ego Culluma, który apatycznie dłuwał w nosie.

Kalisha, Nick, George, Helen, Iris i Avery wybrali pierwszy rząd.

– Witajcie na kolejnym wspaniałym pokazie – odezwał się głośno Nicky tonem spikera. – Dzisiaj pokażemy dzieło nagrodzone Oscarem za najbardziej główniany film dokumentalny...

Phil Piguła uderzył go otwartą dłonią w tył głowy.

– Zamknij się, dupku, i miłego seansu.

Wycofał się. Światła zgasły i na ekranie pojawił się doktor Hendricks. Wystarczyło, że Kalisha zobaczyła niezapalony fajerwerk w jego dłoni, by zaschło jej w ustach.

Czegoś jej brakowało. Jakiejś kluczowej części zamku Avery’ego. Która wcale nie była zaginiona; Kalisha po prostu jej nie dostrzegała.

Silniejsi razem, myślała, ale niedostatecznie silni. Nie mielibyśmy dość siły, nawet gdyby dołączyły do nas te biedne prawie warzywka jak Jimmy, Hal i Donna. Ale możemy ją mieć. I mamy – w te wieczory, kiedy fajerwerk się pali. Wtedy jesteśmy niszczycielami, więc co mi umyka?

– Witajcie, dziewczęta i chłopcy – zaczął doktor Hendricks. – Dziękuję, że nam pomagacie. Zacznijmy od małej dawki śmiechu, dobrze? Zobaczymy się później.

Pomachał niezapalonym fajerwerkiem i autentycznie puścił oko. Kalisha miała ochotę wymiotować.

Skoro potrafimy sięgnąć na drugi koniec świata, myślała, to dlaczego nie...

Przez chwilę już prawie to miała, ale potem Katie głośno krzyknęła, nie z bólu czy żalu, ale z radości.

– Struś Pędziwiatr! Struś Pędziwiatr jest najlepszy! – Zaczęła podśpiewywać krzykliwym falsetem, który wwiercał się w mózg Kalishy. – Strusiu, strusiu, kojot cię GONI! Strusiu, strusiu, jak cię złapie, to będzie PO TOBIE!

– Zamknij się, Kates – rzucił George bez niechęci.

Kiedy Struś Pędziwiatr gnał opustoszałą pustynną szosą, robiąc „mip, mip”, a Wiluś E. Kojot widział zamiast niego obiad na Święto Dziękczynienia, Kalisha poczuła, że wymknęło jej się to, co już prawie miała w garści.

Kiedy kreskówka dobiegła końca, a Wiluś E. Kojot ponownie został pokonany, na ekranie pojawił się facet w garniturze. Trzymał mikrofon. Kalisha uznała go za biznesmena i może rzeczywiście nim był, przynajmniej w pewnym sensie, ale nie temu zawdzięczał sławę. Był kaznodzieją; kiedy kamera zrobiła odjazd, za jego plecami widać było duży stary krzyż obwiedziony czerwonym neonem, a gdy się obróciła, pokazała się arena, albo może stadion, z tysiącami ludzi na trybunach.

Zrywali się z miejsc, jedni machali rękami w powietrzu, inni machali egzemplarzami Biblii.

Z początku mężczyzna wygłaszał zwyczajne kazanie, cytując fragmenty z Pisma Świętego, potem jednak zaczął mówić o tym, że ten kraj sypie się w gruzy przez o-pio-i-dy i cu-dzo-łóst-wo. Później było o polityce, o sędziach, o tym, że Ameryka jest jaśniejącym miastem na wzgórzu, które bezbożnicy chcą unurzać w błocie. Właśnie zaczynał opowiadać o tym, że mieszkańców Samarii opętała czarna magia (Kalisha nie za bardzo wiedziała, jaki to ma związek z Ameryką), kiedy pojawiły się kropki – zapalały się i gasły. Buczenie na zmianę narastało i cichło. Kalisha czuła je nawet w nosie, w wibrowaniu maleńkich włosków.

Kiedy kropki zniknęły, dziewczyna zobaczyła, jak kaznodzieja wsiada do samolotu z jakąś kobietą, pewnie panią kaznodziejową. Kropki wróciły. Buczenie narastało i cichło. Kalisha usłyszała w głowie Avery'ego słowa, które brzmiały jak: *Oni to widzą.*

Kto to widzi?

Avery nie odpowiedział, bo wciągnął się w film. Tak właśnie działały Światła Stasi: wciągały cię na dobre. Kaznodzieja znowu nawijał, na całego, tym razem z platformy ciężarówki, przez megafon. Ludzie trzymali transparenty HOUSTON CIĘ KOCHA, BÓG DAŁ NOEMU ZNAK TĘCZY i JAN 3,16. A potem kropki. I buczenie. Kilka pustych foteli zaczęło samoczynnie podskakiwać jak nieprzymocowane okiennice na silnym wietrze. Drzwi sali kinowej otwarły się na oścież. Jake Żmija i Phil Piguła zatrzasnęli je z powrotem, dociskając ramieniem.

Teraz kaznodzieja był w jakimś schronisku dla bezdomnych. Ubrany w fartuch kucharza, mieszał sos do spaghetti w wielkiej kadzi. Przy nim stała żona, oboje szeroko się uśmiechali, i tym razem Kalisha usłyszała w głowie głos Nicka: *Uśmiech do kamery!* Niewyraźnie czuła, że włosy stają jej dęba jak podczas eksperymentu z elektrycznością.

Kropki. Buczenie.

Potem kaznodzieja występował w telewizyjnym programie informacyjnym razem z innymi ludźmi. Jeden z nich zarzucił mu bycie... kimś tam... wielkie słowa, słowa rodem z uniwersytetu, które Lukey na pewno by rozumiał... a kaznodzieja śmiał się, jakby to był najlepszy dowcip na świecie. Miał donośny śmiech. Taki, że chciałoby się śmiać się razem z nim. Gdyby nie to, że popadało się w obłęd.

Kropki. Buczenie.

Za każdym razem, kiedy Światła Stasi wracały, wydawały się jaśniejsze i za każdym razem docierały w umyśle Kalishy coraz głębiej. W obecnym

stanie wszystkie fragmenty składające się na film wydawały jej się fascynujące. Były w nich dźwięnie. Kiedy nadejdzie czas – pewnie jutro wieczorem, może pojutrze – za te dźwięnie pociągną dzieci z Tylnej Połowy.

– To jest okropne – odezwała się Helen cichym, zatrwożonym głosem. – Kiedy to się skończy?

Kaznodzieja stał przed elegancką rezydencją, w której chyba trwała jakaś impreza. Jechał w kawalkadzie samochodów. Był na grillu pod gołym niebem, a otaczające go budynki były ozdobione amerykańskimi barwami. Ludzie jedli parówki w cieście i duże kawałki pizzy. Kaznodzieja nauczał o sprzeciwianiu się naturalnemu porządkowi rzeczy stworzonemu przez Boga, ale jego głos się urwał i zastąpił go głos doktora Hendricksa:

– Drogie dzieci, to Paul Westin. Mieszka w Deerfield w Indianie. Paul Westin. Deerfield, Indiana. Paul Westin, Deerfield, Indiana. Powtórzcie to ze mną, dziewczynki i chłopcy.

Trochę z braku wyboru, a trochę po to, żeby kolorowe kropki znikły, a buczenie przestało narastać i cichnąć, głównie jednak dlatego, że teraz naprawdę się wczuły, dziesięcioro dzieci w sali kinowej zaczęło skandować. Kalisha się do nich dołączyła. Nie wiedziała, co o tym myślą inni, ale dla niej to była absolutnie najgorsza część wieczornych seansów. Nie cierpiała tego, że uczucie jest przyjemne. Nie cierpiała wrażenia, że są tam te dźwięnie, które tylko czekają na pociągnięcie. Proszą się o to! Czowała się jak kukielka brzuchomówcy na kolanie tego pieprzonego doktora.

– Paul Westin, Deerfield, Indiana! Paul Westin, Deerfield, Indiana! PAUL WESTIN, DEERFIELD, INDIANA!

Potem na ekranie znowu pojawił się doktor Hendricks, uśmiechnięty, z niezapalonym fajerwerkiem w dłoni.

– Zgadza się. Paul Westin, Deerfield, Indiana. Dziękuję, dzieci, i dobrej nocy. Do zobaczenia jutro!

Światła Stasi wróciły po raz ostatni, migały, kręciły się i wirowały. Kalisha z zaciśniętymi zębami czekała, aż ustąpią; czuła się jak malutka kapsuła kosmiczna pędząca prosto w gąszcz olbrzymich asteroid. Buczenie było głośniejsze niż kiedykolwiek, ale kiedy kropki zniknęły, natychmiast ustało, jakby ktoś wyciągnął wtyczkę ze wzmacniacza.

Oni to widzą, powiedział Avery. Czy chodziło mu o brakujący element? Jeśli tak, kim byli „oni”?

W sali kinowej zapalono światła. Otworzyły się drzwi, po jednej ich stronie stanął Jake Żmija, a po drugiej Phil Piguła. Większość dzieci wyszła

z pomieszczenia, ale Donna, Len, Hal i Jimmy siedzieli bez ruchu. Mogli tam tkwić w wygodnych fotelach aż do czasu, gdy opiekunowie zagonią ich do pokoi, a po jutrzejszym pokazie być może jedno, dwoje lub nawet cała czwórka trafi do Warzywniaka. Po wielkim pokazie. Kiedy zrobią z kaznodzieją to, co trzeba z nim zrobić.

Dzieci dostały jeszcze pół godziny w świetlicy, a potem miały zostać zamknięte w pokojach na noc. Kalisha weszła do środka. George, Nicky i Avery – za nią. Po kilku minutach, powłócząc nogami, dołączyła do nich Helen. Usiadła na podłodze z niezapalonym papierosem w dłoni i jaskrawymi niegdyś włosami opadającymi na twarz. Jako ostatnie przyszły Iris i Katie.

– Z bólem głowy lepiej – oznajmiła ta druga.

Tak, pomyślała Kalisha, po filmach ból głowy słabnie... ale tylko na jakiś czas. Za każdym razem coraz krótszy.

– Kolejny odlotowy wieczór na filmach – mruknął George.

– Dobrze, moje dzieci, czego się dowiedzieliśmy? – zapytał Nicky. – Że ktoś gdzieś tam nie przepada za wielebny Paulem Westinem z Deerfield w Indianie.

Kalisha przesunęła kciukiem po ustach i popatrzyła w sufit. *Pluskwy* – pomyślała do Nicky'ego. – *Uważaj.*

Chłopak udał, że przykłada sobie pistolet do skroni i pociąga za spust. Pozostali się uśmiechnęli. Kalisha wiedziała, że jutro będzie inaczej. Nie będzie uśmiechów. Po jutrzejszym pokazie doktor Hendricks pojawi się z zapalonym fajerwerkiem, a buczenie zmieni się w biały szum, istny ryk. Dźwięgnie zostaną pociągnięte. Nastąpi nieznanej długości okres, zarazem błogi i straszliwy, kiedy ból głowy zupełnie minie. Zamiast piętnastu czy dwudziestu minut jasności umysłu nastanie sześć czy osiem godzin cudownej ulgi. A gdzieś tam Paul Westin z Deerfield w Indianie zrobi coś, co zmieni jego życie albo je zakończy. Dla dzieci z Tylnej Połowy życie będzie się toczyć dalej... o ile można to nazwać życiem. Wrócą bóle głowy, i to gorsze. Gorsze za każdym razem. Aż wreszcie zamiast czuć buczenie, każde z nich stanie się jego częścią. Wszyscy zmienią się w kolejne...

Warzywka!

To był Avery. Nikt inny nie potrafił nadawać myśli tak wyraźnie i z taką siłą. Zupełnie jakby mieszkał w jej głowie. *Tak to działa, Sha. Bo oni...*

– Oni to widzą – szepnęła Kalisha i to było to, bingo, brakujący element.

Przyłożyła do czoła nasady dłoni, nie dlatego, że ból głowy wrócił, ale dlatego, że to było tak cudownie oczywiste. Chwyciła Avery'ego za drobne,

kościste ramię.

Warzywka widzą to samo co my. Bo inaczej po co by je tu trzymali?

Nicky objął Kalishę ramieniem i szepnął jej na ucho. Zadrżała od dotyku jego ust.

– O czym ty mówisz? Ich umysłów już nie ma. Tak samo jak niedługo nie będzie naszych.

Avery: To dlatego są silniejsi. Nie ma już całej reszty. Wszystko usunięto. Oni są akumulatorem. A my tylko...

– Włącznikiem – szepnęła Kalisha. – Włącznikiem zapłonu.

Avery kiwnął głową.

– Musimy ich użyć.

Kiedy? – Mentalny głos Helen Simms był głosem wystraszzonego małego dziecka. – *To musi być szybko, bo dłużej tego nie zniosę.*

– Nikt z nas nie zniesie – powiedział George. – Poza tym ta suka...

Kalisha ostrzegawczo pokręciła głową, więc dalej George mówił już w myślach. Nie był w tym za dobry, przynajmniej na razie, ale zrozumiała ideę. Wszyscy zrozumieli. W tej chwili ta suka, pani Sigsby, skupiała się na Luke'u. Stackhouse też. I wszyscy inni w Instytucie, bo wiedzieli, że uciekł. To ich szansa, dopóki tamci są wystraszeni i zdezorientowani. Drugiej równie dobrej nie będzie.

Nicky zaczął się uśmiechać. *Nie ma jak terazniejszość.*

– Jak? – zapytała Iris. – Jak to zrobimy?

Avery: Chyba wiem, ale potrzebujemy Hala, Donny i Lena.

– Jesteś pewien? – zapytała Kalisha, po czym dodała: *Ich już prawie nie ma.*

– Ja się nimi zajmę – powiedział Nicky.

Wstał. Był uśmiechnięty. *Aviszon ma rację. Każda pomoc się liczy.*

Kalisha uświadomiła sobie, że jego mentalny głos jest silniejszy. Czy to on tak nadawał, czy ona odbierała?

Jedno i drugie – powiedział Avery. On również się uśmiechał. – *Bo teraz robimy to dla siebie.*

Tak, pomyślała Kalisha. Bo robimy to dla siebie. Nie musieli być gromadą oszołomionych kukiełek na kolanie brzuchomówcy. Coś tak prostego wydawało się tak wielkim odkryciem: Siłę daje ci to, co robisz dla siebie.

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Avery'ego – dygoczącego i ociekającego wodą – pchano tunelem łączącym Przednią i Tylną Połowę, należący do Instytutu samolot Challenger (940NF na ogonie i MAINE PAPER INDUSTRIES na kadłubie) startował z Erie w Pensylwanii z pełnym zespołem uderzeniowym na pokładzie. Kiedy osiągał wysokość przelotową i obrał kurs na niewielkie miasteczko Alcolu, Tim Jamieson i Wendy Gullickson właśnie wprowadzali Luke'a Ellisa do budynku posterunku szeryfa hrabstwa Fairlee.

Wiele trybów poruszających się w tej samej maszynie.

– To Luke Ellis – przedstawił chłopca Tim. – Luke, poznaj zastępców Faradaya i Wicklowa.

– Miło panów poznać – powiedział chłopiec bez wielkiego entuzjazmu.

Bill Wicklow przyglądał się jego posiniaczonej twarzy i zabandażowanemu uchu.

– Z kim tyś się tak pobił? – zapytał.

– To długa historia – rzuciła Wendy, zanim Luke zdążył się odezwać. – Gdzie szeryf John?

– W Dunning – odparł Bill. – Jego matka mieszka tam w domu spokojnej starości. Ma... no, wiecie. – Postukał się palcem w skroń. – Mówił, że wróci koło piątej, chyba że ona będzie miała dobry dzień. Wtedy pewnie zostanie z nią na kolację. – Spojrzał na Luke'a, pokiereszowanego chłopca w brudnych ciuchach, który równie dobrze mógłby mieć na szyi tabliczkę z napisem UCIEKINIER. – Czy to pilne?

– Dobrze pytanie – zauważył Tim. – Tag, czy masz te informacje, o które prosiła Wendy?

– Mam – potwierdził mężczyzna przedstawiony jako Faraday. – Jeżeli pójdziesz ze mną do gabinetu szeryfa Johna, to ci je dam.

– To nie będzie konieczne. Chyba nie powiesz mi nic, czego Luke już by nie wiedział.

– Jesteś pewien?

Tim zerknął na Wendy, która skinęła głową, a potem na Luke'a, który wzruszył ramionami.

– Tak.

– Dobrze. Rodzice tego chłopca, Herbert i Eileen Ellisowie, zostali zamordowani we własnym domu mniej więcej siedem tygodni temu. Zastrzeleni w sypialni.

Luke czuł się tak, jakby wyszedł z własnego ciała. Kropki nie wróciły, ale właśnie takie uczucie zawsze im towarzyszyło. Zrobił dwa kroki w kierunku krzesła obrotowego przy biurku dyspozytorki i osunął się na

nie. Potoczyło się do tyłu i przewróciłoby się, gdyby najpierw nie uderzyło o ścianę.

– Wszystko w porządku, Luke? – zapytała Wendy.

– Nie. Tak. Na ile to możliwe. Ci gnoje w Instytucie, doktor Hendricks, pani Sigsby i opiekunowie, opowiadali mi, że rodzice są cali i zdrowi, ja jednak wiedziałem, że nie żyją, jeszcze zanim sprawdziłem to w komputerze. Wiedziałem, ale to i tak... straszne.

– Miałeś tam komputer?! – zdziwiła się Wendy.

– Tak. Głównie do grania albo oglądania teledysków na YouTube. Tego typu nieistotnych rzeczy. Strony z wiadomościami teoretycznie były blokowane, ale znałem metodę obejścia zabezpieczeń. Powinni monitorować moje zapytania i mnie nakryć, tylko że byli po prostu... leniwi. Zadowoleni z siebie. Inaczej bym nie uciekł.

– O czym on gada? – zapytał zastępca Wicklow.

Tim pokręcił głową. Nadal skupiał się na Tagu.

– Nie uzyskałeś tych informacji od policji w Minneapolis, prawda?

– Nie, ale nie dlatego, że prosiłeś, bym tego nie robił. O tym, z kim i kiedy się kontaktować, decyduje szeryf John. Tak to tutaj działa. Ale dostatecznie dużo informacji było w Google'u. – Tag zmierzył Luke'a takim wzrokiem, jakby widział w nim truciznę. – Chłopak figuruje w bazie danych Narodowego Centrum Zaginionych i Wykorzystywanych Dzieci, jest też o nim masa artykułów w „Star Tribune” z Minneapolis i „Pioneer Press” z Saint Paul. Gazety mówią, że to mały geniusz.

– Takie na mnie robi wrażenie – przyznał Bill. – Używa dużo mądrych słów.

Ja tu jestem, pomyślał Luke. Rozmawiajcie o mnie jak o kimś, kto tutaj jest.

– Policja nie oznaczyła go jako poszukiwanego – powiedział Tag. – Przynajmniej w gazetach nic o tym nie ma, ale z pewnością chcą z nim porozmawiać.

– Na pewno – odezwał się Luke. – I pierwsze pytanie pewnie będzie brzmiało: „Skąd wziąłeś broń, mały?”.

– A zabiłeś ich? – zapytał Bill od niechcienia, jakby dla zabicia czasu. – Powiedz prawdę, synu. Dobrze na tym wyjdiesz.

– Nie. Kocham swoich rodziców. Zabili ich złodzieje, którzy przyszli ukraść mnie. Nie dlatego, że zdobyłem tysiąc pięćset osiemdziesiąt punktów na egzaminach SAT, ani dlatego, że umiem rozwiązywać w myślach skomplikowane równania, ani dlatego, że wiem, że Hart Crane popełnił samobójstwo, skacząc ze statku do Zatoki Meksykańskiej. Porwali

mnie i zabili moich rodziców, bo potrafiłem czasami gasić świece, tylko na nie patrząc, albo zrzucić ze stolika tackę po pizzę. Pustą tackę! Pełna nawet by nie drgnęła. – Popatrzył na Tima i Wendy, a potem się roześmiał. – Nikt by mnie nie zatrudnił nawet w nędznym wesołym miasteczku.

– Nie widzę w tym nic śmiesznego. – Tag zmarszczył czoło.

– Ja też nie, ale czasami i tak się śmieję – odparł Luke. – Ja i moi przyjaciele, Kalisha i Nick, dużo się śmialiśmy mimo tego, co nas spotykało. Poza tym to było długie lato. – Tym razem nie roześmiał się, lecz uśmiechnął. – Nawet pan sobie nie wyobraża.

– Myślę, że przydałby ci się odpoczynek – powiedział Tim. – Tag, macie kogoś w celach?

– Nie.

– Dobra, to może...

Luke zrobił krok do tyłu z niepokojem na twarzy.

– O nie. Nie ma mowy.

Tim uniósł rękę.

– Nikt cię tam nie zamknie. Drzwi zostawimy szeroko otwarte.

– Nie. Proszę, nie róbcie tego. Nie kaźcie mi iść do celi.

Niepokój chłopca zmienił się w przerażenie i Tim po raz pierwszy zaczął choć częściowo wierzyć w jego opowieść. Te parapsychiczne gadki to brednie, ale kiedy służył w policji, widywał już to, co widział teraz: spojrzenie i zachowanie dręczonego dziecka.

– W porządku, to może kanapa w poczekalni? – zaproponowała Wendy. – Trochę nierówna, ale nie najgorsza. Sama parę razy się na niej wyciągnęłam.

Jeśli rzeczywiście, to Tim nigdy tego nie widział, ale chłopakowi wyraźnie ulżyło.

– Dobrze, tak może być. Panie Jamieson... Tim... masz jeszcze pendrive'a, prawda?

Tim wyjął urządzenie z kieszeni na piersi i pokazał.

– Tutaj.

– Dobrze. – Chłopiec poczłapał do kanapy. – Chciałbym, żebyś sprawdził tego pana Hollistera. Naprawdę myślę, że to jeden z wujków.

Tag i Bill rzucili Timowi identyczne zdezorientowane spojrzenia. Tim pokręcił głową.

– Jeden z ludzi, którzy mnie wypatrują – wyjaśnił Luke. – Udają moich wujków. Albo może innych krewnych czy przyjaciół rodziny. – Dostrzegł, że Tag i Bill porozumiewawczo przewrócili oczami, i znowu się

uśmiechnął. Ten jego uśmiech był zarazem uroczy i pełen znużenia. – Tak, wiem, jak to brzmi.

– Wendy, idź może z panami do gabinetu szeryfa Johna i powtórz im to, co powiedział nam Luke. Zaczekam tutaj.

– Zgadza się, zaczekasz – odparł Tag. – Bo dopóki szeryf John nie da ci odznaki, jesteś tylko miejskim nocnym strażnikiem.

– Nie zapomnę – odparł Tim.

– Co jest na pendrivie? – zapytał Bill.

– Nie wiem. Kiedy przyjedzie szeryf, sprawdzimy to razem.

Tim słyszał pomruk głosów. To była jego zwyczajowa pora snu, ale dawno nie czuł się tak rozbudzony. Może odkąd odszedł z policji w Sarasocie. Chciał wiedzieć, kim naprawdę jest chłopiec ukrywający się pod tą wariacką historią, gdzie przebywał i co go spotkało.

Nalał sobie kawy z ekspresu przelewowego w kącie pomieszczenia. Była mocna, ale nadawała się do picia, nie to co koło dziesiątej, kiedy zwykle tu wpadał podczas nocnego obchodu. Zaniósł kawę do biurka dyspozytorki. Chłopiec albo zasnął, albo świetnie udawał. Tim od niechcienia sięgnął po segregator z listą wszystkich przedsiębiorstw w DuPray i zadzwonił do motelu. Nikt nie odbierał. Wyglądało na to, że Hollister jednak nie wrócił do tej zaszczurzonej nory. Co oczywiście o niczym nie świadczyło.

Tim rozłączył się, wyjął pendrive'a z kieszeni i zaczął się mu przyglądać. To pewnie też nic nie oznaczało, wręcz najprawdopodobniej, ale jak wyraźnie zaznaczył Tag Faraday, decyzja należała do szeryfa Ashwortha. Zaczekają.

Tymczasem niech chłopak się prześpi. Jeśli rzeczywiście przyjechał w wagonie towarowym aż z Maine, sen mu się przyda.

15

Challenger z jedenaściorciem pasażerów – panią Sigsby, Tonym Fizzale'em, Winoną Briggs, doktorem Evansem i połączonymi zespołami rubinowym i opalowym – wylądował w Alcolu kwadrans po piątej. Na potrzeby kontaktów ze Stackhouse'em, który został w Instytucie, cała ta grupa nosiła teraz nazwę zespołu złotego. Pani Sigsby wysiadła z samolotu jako pierwsza. Denny Williams z zespołu rubinowego i Louis Grant z opalowego zostali na pokładzie, żeby zająć się dość specjalistycznym bagażem zespołu złotego. Pani Sigsby mimo potwornego żaru stanęła na asfaltowej płycie pasa startowego i zadzwoniła z komórki

na telefon stacjonarny w swoim gabinecie. Odebrała Rosalind i przekazała słuchawkę Stackhouse'owi.

– Czy... – zaczęła, ale przerwała, żeby przepuścić pilota i drugiego pilota, którzy nie odzywając się, przeszli obok niej bez słowa.

Jeden służył dawniej w siłach powietrznych, a drugi w Lotniczej Gwardii Narodowej. Obaj przypominali hitlerowskich strażników w starym sitcomie *Hogan's Heroes*: nic nie widzieli, nic nie słyszeli. Ich jedynym zadaniem były odbiór i transport.

Kiedy odeszli, zapytała Stackhouse'a, czy miał wiadomości od ich człowieka w DuPray.

– Owszem, miałem. Ellis zrobił sobie kuku, wyskakując z pociągu. Wyrznął głową w semafor. Śmierć na miejscu wskutek krwiaka podtwardówkowego rozwiązałyby większość naszych problemów, ale ten Hollister mówi, że chłopak nawet nie stracił przytomności. Zobaczył go facet obsługujący wózek widłowy, zabrał do magazynu niedaleko stacji i zadzwonił po miejscowego konowala. Lekarz przyjechał, a nieco później pojawiła się zastępczyni szeryfa. Razem z gościem od wózka zawieźli naszego chłopca do biura szeryfa. Mały miał zabandażowane ucho, w którym dawniej był lokalizator.

Z samolotu wyłonili się Denny i Louis Grant; każdy trzymał jeden koniec długiej stalowej skrzyni. Znieśli ją po schodkach i weszli z nią do budynku lotniska.

Pani Sigsby westchnęła.

– No cóż, mogliśmy się tego spodziewać. Właściwie się spodziewaliśmy. Mowa o małym miasteczku, prawda? Z małomiasteczkowymi siłami porządku?

– To zupełna dziura – potwierdził Stackhouse. – Co jest dobrą wiadomością. Może nawet nie jedyną. Nasz człowiek mówi, że szeryf jeździ starym pick-upem, dużym srebrnym nissanem titanem, ale nie było go ani przed posterunkiem, ani na parkingu dla pracowników miejskich na tyłach. Przeszedł się więc do lokalnego sklepiku. Mówi, że te ciapaki, które tam pracują... to jego określenie, nie moje... wiedzą wszystko o wszystkich. Według tego, który akurat miał dyżur, szeryf wpadł po paczkę cygaretek Swisher Sweets i powiedział, że jedzie do sąsiedniego miasta w odwiedziny do matki, która jest tam w domu starców, a może w hospicjum albo czymś takim. To z pięćdziesiąt kilometrów od DuPray.

– I dlaczego to dla nas dobra wiadomość? – Pani Sigsby powachlowała szyję górą bluzki.

– Nie ma pewności, czy w takiej miejscinie gliniarze przestrzegają protokołu, ale jeśli tak, to po prostu przetrzymają chłopaka do powrotu szefa. Żeby to on zdecydował, co dalej. Kiedy będziecie na miejscu?

– Za dwie godziny. Moglibyśmy szybciej, tylko że wieziemy sporo pomocy naukowych, więc przekraczanie prędkości byłoby niemądre.

– Jasne – zgodził się Stackhouse. – Posłuchaj, Julio. Wsioki z DuPray mogą w każdej chwili skontaktować się z policją z Minneapolis. Może nawet już to zrobiły. To niczego nie zmienia. Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?

– Oczywiście.

– Jeśli trzeba będzie posprzątać, zaczniemy się tym martwić później. Na razie po prostu zajmijcie się naszym włóczęgą.

Stackhouse miał na myśli zabójstwo i zapewne było ono konieczne. Zabójstwo Ellisa i każdego, kto spróbuje stanąć im na drodze. Posprzątanie takiego bałaganu wymagałoby użycia Telefonu Zero, pani Sigsby sądziła jednak, że jeśli zdoła przekonać właściciela łagodnego, sepleniącego głosu w słuchawce, że zasadniczy problem został rozwiązany, być może ujdzie z życiem. Może nawet zachowa posesję, ale gdyby przyszło co do czego, zadowolony się życiem.

– Wiem, co trzeba zrobić, Trevorze. Pozwól mi się tym zająć.

Zakończyła rozmowę i weszła do środka. Klimatyzację w niedużej poczekalni poczuła na spoczonej skórze tak gwałtownie, jakby ktoś uderzył ją otwartą dłonią. Denny Williams był w pogotowiu.

– Jesteśmy gotowi? – zapytała.

– Tak, proszę pani. Gotowi do jazdy. Przejmę dowodzenie na pani sygnał.

Podczas lotu z Erie pani Sigsby była zajęta czymś na swoim iPadzie.

– Zrobimy krótki postój na zjeździe numer sto osiemdziesiąt jeden. Tam przekażę ci dowodzenie nad operacją. Jesteś w tym dobry?

– Doskonały.

Innych zastali na zewnątrz. Nie było tam czarnych SUV-ów z przyciemnionymi szybami, tylko trzy kolejne mamuśkowe vany w niezwracających uwagi kolorach: niebieskim, zielonym i szarym. Sierotka Annie byłaby rozczarowana.

Karawana zespołu złotego opuściła autostradę na zjeździe numer 181 i trafiła do typowej pipidówki. Były tam stacja benzynowa, lokal fast food

sieci Waffle House i to wszystko. Najbliższe miasteczko, Latta, znajdowało się dziewiętnaście kilometrów dalej. Pięć minut za Waffle House pani Sigsby, jadąca na przednim siedzeniu pierwszego vana, poleciła Denny'emu, żeby zjechał za restaurację, która wyglądała tak, jakby splajtowała mniej więcej wtedy, gdy Obama został prezydentem. Nawet tablica BUDUJEMY WEDŁUG POTRZEB wyglądała na zapomnianą.

Otwarto stalową skrzynię, którą Denny i Louis wynieśli z challenger'a, i zespół złoty się uzbroił. Siedmioro członków zespołów rubinowego i opalowego wzięło Glocki 37, te same, których używali podczas misji wydobywczych. Kolejny taki pistolet dostał Tony Fizzale, a Denny z zadowoleniem zauważył, że mężczyzna natychmiast odciągnął zamek, by się upewnić, że komora jest pusta.

– Nie zaskodziłaby kabura – powiedział Tony. – Nie chcę nosić spluwy z tyłu za pasem jak jakiś bandzior z MS-trzynaście.

– Chwilowo schowaj ją po prostu pod siedzenie – poradził mu Denny.

Pani Sigsby i Winona Briggs dostały sig saury P238, tak małe, że mieściły się w torebce. Kiedy Denny podał taki sam pistolet Evansowi, lekarz uniósł dłonie i zrobił krok do tyłu. Tom Jones z zespołu opalowego pochylił się nad przenośnym arsenałem i wyjął jeden z dwóch karabinków szturmowych HK37.

– A może coś takiego, doktorku? Trzydzieści naboju w magazynku i taka siła ognia, że rozwaliby krowę przez ścianę obory. Ma też granaty hukowe.

Evans pokręcił głową.

– Przyjechałem tu wbrew woli. Jeśli zamierzacie zabić tego chłopca, to nie wiem, dlaczego w ogóle tu jestem.

– Pieprzyć twoją wolę – rzuciła Alice Green, również z opalowego.

Reszta zareagowała na to takim śmiechem – niepewnym, gorliwym, trochę szalonym – jaki pojawia się tylko przed misją, w której pewnie będzie strzelanie.

– Wystarczy – odezwała się pani Sigsby. – Doktorze, możliwe, że uda nam się wziąć chłopca żywcem. Denny, czy masz w tablecie mapę DuPray?

– Tak, proszę pani.

– Przekazuję ci dowództwo.

– Dobrze. Wszyscy do mnie. Pan też, doktorku, proszę się nie wstydzić.

W popołudniowym żarze wszyscy zgromadzili się wokół Denny'ego Williamsa. Pani Sigsby spojrzała na zegarek. Kwadrans po szóstej. Godzina do celu, może trochę więcej. Mieli w stosunku do planu nieco

opóźnienia, ale dopuszczalnego, zważywszy na to, jak szybko wszystko zorganizowali.

– Oto centrum DuPray, a przynajmniej to, co udaje centrum – powiedział Denny Williams. – Tylko jedna główna ulica. W połowie długości jest biuro szeryfa hrabstwa, między urzędem miejskim a sklepem wielobranżowym.

– Co to właściwie jest sklep wielobranżowy? – To pytanie zadał Josh Gottfried z Opalu.

– Coś jakby dom towarowy – odpowiedziała Robin Lecks.

– Raczej staroświecki sklep z mydłem i powidłem. – Teraz odezwał się Tony Fizzale. – Spędziłem z dziesięć lat w Alabamie, głównie w żandarmerii wojskowej, i mogę wam powiedzieć, że w tych małych miasteczkach na Południu jest tak, jakby człowiek cofnął się wehikułem czasu o pięćdziesiąt lat. Nie licząc Walmartów. Te są prawie w każdej miejscowości.

– Przymknijcie się – rzuciła pani Sigsby i dała znak Denny’emu, żeby mówił dalej.

– Nic wielkiego – ciągnął tamten. – Parkujemy tutaj, za nieczynnym kinem. Dostajemy potwierdzenie od źródła pani Sigsby, że cel nadal jest w biurze szeryfa. Michelle i ja będziemy udawać małżeństwo na wakacjach, podróżujące po rzadko odwiedzanych miasteczkach amerykańskiego Południa...

– Czyli nienormalne – skomentował Tony, wywołując kolejny wybuch tego niepewnego śmiechu.

– Idziemy sobie ulicą, rozglądając się po okolicy...

– Trzymając się za ręce, jak przystało na parę gołąbków – dodała Michelle Robertson, chwytając dłoń Denny’ego i rzucając mu nieśmiały, ale pełen uwielbienia uśmiech.

– A dlaczego nie sprawdzi tego wszystkiego nasz miejscowy człowiek? – zapytał Louis Grant. – Czy tak nie byłoby bezpieczniej?

– Nie znamy go, więc nie ufamy jego informacjom – odparł Denny. – Poza tym to cywil.

Spojrzał na panią Sigsby, a ta kiwnięciem głowy zachęciła go, by kontynuował.

– Może wejdziemy do biura szeryfa, żeby zapytać o drogę. Może nie. Tutaj będziemy improwizować. Chcemy zorientować się, ilu jest funkcjonariuszy i gdzie się znajdują. Potem... – wzruszył ramionami – uderzamy. Gdyby wywiązała się strzelanina, czego nie przewiduję,

likwidujemy chłopca na miejscu. W przeciwnym razie go zabieramy. Jeśli wezmą to za porwanie, będzie mniej bałaganu do sprzątnięcia.

Pani Sigsby zostawiła wszystkich z Dennym, który właśnie informował ich, gdzie będzie czekał challenger, i zadzwoniła do Stackhouse'a po najświeższe informacje.

– Właśnie skończyłem rozmawiać z naszym kolegą Hollisterem – oznajmił mężczyzna. – Szeryf zajeżdżał przed swoje biuro z pięć minut temu. Teraz pewnie przedstawiają mu naszego niesfornego chłopca. Trzeba działać.

– Tak. – Pani Sigsby poczuła dosyć przyjemny ucisk w brzuchu i kroczu. – Zadzwoń, kiedy będzie po wszystkim.

– Zrób, co trzeba, Julio. Wyciągnij nas z tego syfu.

Zakończyła połączenie.

17

Szeryf John Ashworth wrócił do DuPray mniej więcej dwadzieścia po szóstej. Dwa tysiące trzysta kilometrów dalej otumanione dzieci wrzucały papierosy i zapalki do koszyków i wchodziły gęsiego do sali kinowej, gdzie gwiazdą wieczoru miał być pastor megakościoła w Indianie, przyjaźniący się z wieloma wpływowymi politykami.

Szeryf przystanął tuż za progiem i rozejrzał się po dużej sali, opierając dłonie na pulchnych biodrach. Zauważył, że obecny jest cały personel z wyjątkiem Ronniego Gibsona, który wyjechał na urlop do domku wakacyjnego matki w St. Petersburgu. Był tam również Tim Jamieson.

– No proszę, proszę – odezwał się szeryf. – To nie może być impreza niespodzianka, bo nie mam dzisiaj urodzin. A któż to taki? – Wskazał chłopca na niewielkiej kanapie w poczekalni. Luke skulił się na niej w pozycji embrionalnej tak bardzo, jak tylko się dało. – I tak przy okazji: kto go pobił?

Zamiast odpowiedzieć, Tag odwrócił się do Tima i zrobił taki gest, jakby puszczał go przodem.

– Nazywa się Luke Ellis i nie pobił go nikt z nas – powiedział Tim. – Wyskoczył z pociągu towarowego i wpadł na semafor. To stąd ma sińce. A jeśli chodzi o bandaż, mówi, że został porwany i porywacze wszczepili mu urządzenie śledzące. Twierdzi, że obciął sobie kawałek ucha, żeby się go pozbyć.

– Nożem do warzyw – dodała Wendy.

– Jego rodzice nie żyją – poinformował szeryfa Tag. – Zostali zamordowani. Ta część jego historii się zgadza. Sprawdziłem to. Kawał stąd, w Minneapolis.

– Ale twierdzi, że miejsce, z którego uciekł, jest w Maine – dorzucił Bill Wicklow.

Ashworth przez chwilę milczał, ciągle trzymając się pod boki. Spojrzał najpierw na swoich zastępców i nocnego strażnika, a potem na chłopca śpiącego na kanapie. Cała ta rozmowa w ogóle nie wybudziła Luke'a – jakby go nie było dla świata. W końcu szeryf John znowu skierował wzrok na swoich ludzi.

– Zaczynam żałować, że nie zostałem z mamą na kolację.

– Oj, była w kiepskiej formie? – zapytał Bill.

Szeryf John go zignorował.

– Czy mogę usłyszeć od kogoś jakąś spójną wersję... chyba że wszyscyście upalili się tu zielskiem?

– Usiądź – poprosił Tim. – Wszystko ci opowiem, a później chyba będziemy chcieli to obejrzeć. – Położył pendrive'a na biurku dyspozytorki. – Potem zdecydujesz, co dalej.

– Poza tym można by przedzwonić do policji w Minneapolis albo do policji stanowej w Charlestonie – włączył się zastępca Burkett. – Albo jedno i drugie. – Przechylił głowę w stronę Luke'a. – Niech kombinują, co z nim zrobić.

Ashworth usiadł.

– Po namyśle jednak się cieszę, że wróciłem wcześniej. To dosyć ciekawe, nie sądzicie?

– Bardzo – przyznała Wendy.

– No i dobrze. Tu z zasady nie dzieje się nic ciekawego, więc przyda nam się odmiana. Policja z Minneapolis uważa, że to on zabił rodziców?

– Tak to wygląda z artykułów w gazetach – potwierdził Tag. – Chociaż są ostrożni, bo to nieletni i w ogóle.

– Jest niesamowicie bystry – dodała Wendy. – Ale poza tym wygląda na miłego chłopaka.

– Mhm, mhm, tym, czy jest miły, czy paskudny, będzie się już martwił kto inny. Na razie mnie zaciekawiliście. Bill, przestań się bawić tym zegarem czasu pracy, zanim go zepsujesz, i przynieś mi coca-cole z gabinetu.

Podczas gdy Tim powtarzał szeryfowi Ashworthowi historię, którą Luke opowiedział jemu i Wendy, a zespół złoty zbliżał się do zjazdu z autostrady I-95 na Hardeeville, żeby zawrócić do małego miasteczka DuPray, Nick Wilholm zbierał do świetlicy Tylnej Połowy te dzieci, które pozostały w sali kinowej.

Czasem wytrzymywały zaskakująco długo – dobrym przykładem był George Iles. Czasami jednak sypały się w jednej chwili. Chyba właśnie to działo się teraz z Iris Stanhope. Tym razem nie doświadczyła tego, co dzieci w Tylnej Połowie nazywały odbiciem – chwili wytchnienia od bólu głowy po seansie. Jej wzrok był pusty, a usta miała otwarte. Stała pod ścianą świetlicy ze spuszczoną głową i włosami na oczach. Helen podeszła do niej i objęła ją ramieniem, ale Iris nawet tego nie zauważyła.

– Co my tu robimy? – zapytała Donna. – Chcę wrócić do pokoju. Chcę iść spać. Nie cierpię seansów.

Jej głos był zrzędlawy, jakby miała się rozplakać, przynajmniej jednak nadal była obecna i przytomna. Jimmy i Hal chyba również. Wydawali się oszołomieni, ale nie tacy nieprzytomni jak Iris.

Nie będzie więcej seansów – powiedział Avery. – *Już nigdy.*

Jego głos w głowie Kalishy brzmiał głośniejszy niż kiedykolwiek i dla niej był to wystarczający dowód: rzeczywiście razem byli silniejsi.

– Śmiała przepowiednia – skomentował Nicky. – Zwłaszcza w ustach takiego małego srajdka jak ty, Aviszon.

Hal i Jimmy się uśmiechnęli, Katie nawet zachichotała. Tylko Iris wydała się zupełnie nieobecna, a teraz bezwiednie drapała się w krocze. Lena zdekoncentrował telewizor, chociaż był wyłączony. Kalisha pomyślała, że może chłopak wpatruje się we własne odbicie.

Nie mamy dużo czasu – powiedział Avery. – *Niedługo ktoś z nich przyjdzie, żeby nas zabrać do pokoi.*

– Pewnie Corinne – domyśliła się Kalisha.

– Tak – rzuciła Helen. – Zła Jędza ze Wschodu.

– Co mamy robić? – zapytał George.

Przez moment Avery wydawał się zagubiony i Kalisha zaczęła się obawiać. Potem chłopiec, który jeszcze tego samego dnia bał się, że jego życie dobiegnie końca w zbiorniku zanurzeniowym, wyciągnął rękę.

– Złapcie się – powiedział. *Utwórzcie krąg.*

Wszyscy poza Iris poczłapali naprzód. Helen Simms wzięła ją za ramiona i zaprowadziła do nierównego okręgu, który stworzyli pozostali. Len tęsknym wzrokiem obejrzał się na telewizor, w końcu jednak westchnął i wyciągnął rękę.

– Pieprzyć. Wszystko jedno.

– Właśnie, pieprzyć – zgodziła się Kalisha. – Nie mamy nic do stracenia.

Lewą ręką chwyciła prawą rękę Lena, a prawą – lewą dłoń Nicky’ego. Iris dołączyła jako ostatnia, a gdy tylko połączyła się z jednej strony z Jimmym Cullumem, a z drugiej z Helen, poderwała głowę.

– Gdzie jestem? Co robimy? Film się skończył?

– Cśś – uciszyła ją Kalisha.

– Mniej mnie boli głowa.

– Boże, cicho.

Dołączyli się pozostali: *Cicho... cicho... Iris, cicho.*

Każde „cicho” było coraz głośniejsze. Coś się zmieniało. Coś się ładowało.

Dźwignie – pomyślała Kalisha. – *Avery, tu są dźwignie.*

Skinął głową z przeciwnej strony kręgu.

To nie była moc, przynajmniej jeszcze nie teraz, i dziewczyna wiedziała, że wiara w co innego byłaby fatalnym błędem, pojawił się jednak potencjał tej mocy. Kalisha pomyślała, że to zupełnie jak oddech tuż przed wybuchem największej letniej burzy.

– Słuchajcie... – odezwał się nieśmiało Len. – Mam czysto w głowie. Nie pamiętam, kiedy ostatnio tak było. – Spojrzał na Kalishę i w jego wzroku była jakby panika. – Nie puszczaj mnie, Sha.

Nic ci nie grozi – pomyślała do niego. – *Jesteś bezpieczny.*

Ale nie był. Żadne z nich nie było.

Kalisha wiedziała, co się teraz stanie, co musi się stać, i bała się tego. Oczywiście jednocześnie tego pragnęła. Tylko że to było więcej niż pragnienie. To była żądza. Stali się dziećmi z materiałami wybuchowymi w rękę, i to na pewno nie w porządku, ale uczucie było cudowne.

Avery odezwał się cichym, wyraźnym głosem:

– Myślcie. Myślcie razem ze mną.

Zaczął, a myśl i obraz, który tej myśli towarzyszył, były mocne i czytelne. Nicky dołączył do Avery’ego. Potem Katie, George i Helen. Kalisha też. A później pozostali. Skandowali na końcu każdego filmu i skandowali teraz.

Myślcie o fajerwerku. Myślcie o fajerwerku. Myślcie o fajerwerku.

Pojawiły się kropki, jaśniejsze niż kiedykolwiek. Pojawiło się buczenie, głośniejsze niż kiedykolwiek. Pojawił się fajerwerk buchający jasnością.

I nagle nie było ich już jedenaścioro. Nagle było ich dwadzieścioro ósmioro.

Zapłon – pomyślała Kalisha. Była przerażona, była ekstatyczna, była święta.

O MÓJ BOŻE

19

Kiedy Tim skończył opowiadać historię Luke'a, szeryf Ashworth przez kilka sekund siedział w milczeniu na krześle dyspozytorki z palcami splecionymi na swym niemałym brzuchu. Potem podniósł pendrive'a, przyjrzał mu się, jakby nigdy wcześniej czegoś podobnego nie widział, i odłożył go.

– Powiedział ci, że nie wie, co na tym jest, zgadza się? Że dostał to od sprzątaczkii razem z nożem do obcięcia ucha.

– Tak powiedział – potwierdził Tim.

– Przeczłogał się pod ogrodzeniem, przeszedł przez las, spłynął łódką w dół rzeki jak Huckelberry Finn z Jimem, a potem przejechał w wagonie towarowym przez prawie całe Wschodnie Wybrzeże.

– Owszem, tak twierdzi – powiedziała Wendy.

– No, niezła historia. Szczególnie podoba mi się to o telepatii i władzy umysłu nad materią. Zupełnie jak te opowiadki o krwawym deszczu i leczeniu wodą z pnia drzewa, które babcie powtarzały sobie, szyjąc kołdry i robiąc konserwy. Wendy, obudź chłopca. Łagodnie, bo widzę, że sporo przeszedł, bez względu na to, co naprawdę się stało. Ale kiedy będziemy sprawdzać, co jest na tym pendrivie, chcę, żeby patrzył razem z nami.

Wendy przeszła przez salę i potrząsnęła Lukiem za ramię. Z początku lekko, potem trochę mocniej. Coś wymamrotał, jęknął i próbował się od niej odsunąć. Chwyciła go za rękę.

– No chodź, Luke, otwórz oczy i...

Zerwał się tak gwałtownie, że aż się zatoczyła. Oczy miał szeroko otwarte, ale niewidzące, włosy sterczały mu na głowie.

– Oni coś robią! Widziałem fajerwerk!

– O czym on mówi? – zapytał George Burkett.

– Luke! – zawołał Tim. – Wszystko w porządku, miałeś zły s...

– Zabić ich! – wrzasnął Luke, a w niewielkim areście zatrzasnęły się drzwi wszystkich czterech cel. – Unicestwić skurwysynów!

Papiery wystrzeliły w górę z biurka dyspozytorki niczym stado spłoszonych ptaków. Tim poczuł podmuch wiatru, na tyle silny, że

zmierzwił mu włosy. Wendy cicho krzyknęła. Szeryf John zerwał się na nogi.

Tim mocno szarpnął chłopca.

– Obudź się, Luke, obudź się!

Papiery fruujące po sali spadły na podłogę. Zgromadzeni zastępcy i szeryf John wpatrywali się w Luke'a z otwartymi ustami.

Chłopiec machał rękami w powietrzu.

– Idźcie sobie – mamrotał. – Idźcie sobie.

– Dobrze. – Tim puścił jego ramię.

– Nie wy, kropki. Światła Sta... – Chłopiec odetchnął i przeczesał dłonią brudne włosy. – W porządku. Już ich nie ma.

– Ty to zrobiłeś? – zapytała Wendy. Wskazała gestem rozsypane dokumenty. – Naprawdę ty to zrobiłeś?

– Coś to zrobiło na pewno – stwierdził Bill Wicklow. Patrzył na zegar czasu pracy nocnego strażnika. – Kręciły się wskazówki... aż gwizdało... a teraz stoją.

– Oni coś robią – powiedział Luke. – Moi przyjaciele coś robią. Poczulem to, nawet tutaj. Jak to się mogło zdarzyć? Jezu, moja głowa.

Ashworth podszedł do chłopca i wyciągnął rękę. Tim zauważył, że drugą trzyma na rękojeści pistoletu w kaburze.

– Synu, jestem szeryf Ashworth. Przywitasz się ze mną?

Luke uścisnął mu dłoń.

– Dobrze. To dobry początek. A teraz chcę usłyszeć prawdę. Ty to zrobiłeś?

– Nie wiem, czy ja, czy oni. Nie wiem, jakim cudem mogli to być oni, skoro są tak daleko, ale tak samo nie wiem, jak mogłem to być ja, bo nigdy w życiu nie zrobiłem nic podobnego.

– Ty specjalizujesz się w tackach po pizzy – przypomniała mu Wendy. – Pustych.

Luke uśmiechnął się blado.

– Właśnie. Nie widzieliście świateł? Nikt z was? Takich kolorowych kropek?

– Ja widziałem tylko fruujące papiery – odparł szeryf John. – I słyszałem, jak drzwi w celi się zatrzasnęły. Frank, George, pozbierajcie to, dobrze? Wendy, daj temu chłopcu aspirynę. Potem sprawdzimy, co jest na tym komputerowym dyngsie.

– Dzisiaj – odezwał się Luke – pana mama mówiła wyłącznie o spinkach do włosów. Ktoś jej ukradł.

Szeryfowi Johnowi opadła szczęka.

– Skąd ty to wiesz?

Luke pokręcił głową.

– Nie wiem. To znaczy wcale specjalnie się nie staram. Boże, chciałbym wiedzieć, co oni robią. I chciałbym teraz być z nimi.

– Zaczynam myśleć, że w opowieści tego chłopaka może jednak coś być – przyznał się Tag.

– Chcę zajrzeć na tego pendrive’a, i to natychmiast – powiedział szeryf Ashworth.

20

Najpierw zobaczyli pusty fotel, staroświecki, z uszami. Stał przed ścianą, na której wisiała oprawiona w ramkę litografia żaglowca. Potem w kadrze pojawiła się twarz kobiety patrzącej w obiektyw.

– To ona – powiedział Luke. – To Maureen, ta pani, która pomogła mi uciec.

„Działa? – zapytała Maureen. – Pali się światełko, więc chyba działa. Mam nadzieję, bo raczej nie będę miała siły tego powtórzyć”.

Jej twarz zniknęła z ekranu laptopa, na którym funkcjonariusze oglądali nagranie. Timowi trochę ulżyło, bo na ekstremalnym zbliżeniu kobieta wyglądała jak uwięziona w kulistym akwarium.

Jej głos trochę przycichł, wciąż jednak był słyszalny.

„Ale jeśli będę musiała, to powtórzę”.

Usiadła na fotelu i naciągnęła brzeg kwiecistej spódnicy na kolana. Oprócz niej miała na sobie czerwoną bluzkę. Luke, który nigdy nie widział jej w niczym innym niż w uniformie, pomyślał, że to ładne połączenie, ale nawet jaskrawe kolory nie pozwalały ukryć tego, jak chuda i zabiedzona była jej twarz.

– Zróbcie dźwięk na maksa – poprosił Frank Potter. – Powinna mieć mikrofon z klipsem.

Ona mówiła dalej. Tag cofnął nagranie, pogłośnił i włączył raz jeszcze. Maureen ponownie wróciła na fotel i ponownie poprawiła spódnicę. Potem spojrzała prosto w obiektyw kamery.

„Luke?”

Jego imię w jej ustach tak go zaskoczyło, że prawie odpowiedział, ale zanim zdążył to zrobić, mówiła dalej, a to, co powiedziała, było jak lodowaty sztylet wbity w serce. Chociaż przecież już to wiedział, prawda? Tak samo, jak nie potrzebował artykułu o rodzicach w „Star Tribune”.

„Jeśli to oglądasz, to znaczy, że uciekłeś, a ja nie żyję”.

Zastępca szeryfa, który nazywał się Potter, powiedział coś do kolegi o nazwisku Faraday, ale Luke nie zwracał na nich uwagi. W pełni koncentrował się na kobiecie, która w Instytucie była jego jedynym dorosłym przyjacielem.

„Nie opowiem ci całej historii swojego życia – powiedziała martwa kobieta na fotelu z uszami. – Nie ma na to czasu i całe szczęście, bo wielu rzeczy się wstydzę. Ale nie swojego synka. Jestem dumna z tego, jaki wyrósł. Idzie na studia. Nigdy się nie dowie, że to ja dałam mu pieniądze, ale to nic. To dobrze, tak właśnie powinno być, bo go oddałam. Luke, bez twojej pomocy pewnie straciłabym te pieniądze i szansę, żeby postąpić wobec niego jak trzeba. Mam tylko nadzieję, że postąpiłam jak trzeba wobec ciebie”.

Przerwała, chyba żeby ochłonąć.

„Opowiem ci jedną część swojej historii, bo to ważne. Byłam w Iraku podczas drugiej wojny w Zatoce, byłam w Afganistanie i uczestniczyłam w tak zwanych rozszerzonych technikach przesłuchania”.

Dla Luke’a jej spokój i płynność wymowy – żadnego „yyy”, żadnego „no wiesz”, żadnego „tak jakby” – były objawieniem. Sprawily, że oprócz żalu poczuł zmieszanie. Maureen brzmiała znacznie inteligentniej niż podczas szeptanych rozmów przy automacie z lodem. Udawała wtedy głupszą? Możliwe, że tak, albo może – prawdopodobnie – zobaczył kobietę w brązowym uniformie pokojówki i po prostu założył, że jest niezbyt rozgarnięta.

Czyli w przeciwieństwie do mnie, pomyślał i zrozumiał, że zmieszanie to złe słowo na opisanie tego, co czuje. Właściwym słowem był wstyd.

„Widziałam waterboarding, widziałam mężczyzn, a nawet kilka kobiet, stojących w zbiornikach z wodą, z elektrodami na palcach i w odbytach. Widziałam wyrywanie obcęgami paznokci u nóg. Widziałam, jak przestrelili kolano człowiekowi, który splunął w twarz przesłuchującemu. Na początku byłam w szoku, ale potem już nie. Czasami, kiedy chodziło o ludzi, którzy podkładali naszym chłopcom improwizowane ładunki wybuchowe albo wysyłali na zatłoczone targi zamachowców samobójców, nawet się cieszyłam. Ale ogólnie stałam się... jest takie słowo...”

– Znieczulona – powiedział Tim.

„Znieczulona” – powiedziała Maureen.

– Chryste, zupełnie jakby cię usłyszała – odezwał się zastępca Burkett.

– Cśśś – syknęła Wendy i było w tym coś, co sprawiło, że Luke’a przeszedł dreszcz. Zupełnie jakby tuż przed nią tak samo syknęła

ktoś inny. Chłopiec skupił się z powrotem na nagraniu.

„...nie uczestniczyłam w tym po pierwszych dwóch czy trzech razach, bo dali mi inne zadanie. Kiedy któryś nie chciał mówić, byłam tą przyjazną podoficer, która przynosiła im picie albo przemyślała w kieszeni coś do jedzenia, jakieś batoniki albo ciasteczka Oreo. Mówiłam, że wszyscy przesłuchujący wyszli na przerwę albo na posiłek i że mikrofony są wyłączone. Że mi ich żal i chcę im pomóc. Że jeśli nie zaczną mówić, zostaną zabici, choć to niezgodne z przepisami. Nigdy nie nazywałam tych przepisów konwencją genewską, bo większość więźniów nie wiedziała, co to takiego. Mówiłam, że jeśli nie zaczną mówić, zginą także ich rodziny, a tego naprawdę nie chciałam. Zazwyczaj nie działało, coś podejrzewali, ale czasem po powrocie przesłuchujących mówili wszystko, co tamci chcieli usłyszeć, albo dlatego, że mi wierzyli, albo przynajmniej chcieli wierzyć. Nieraz to mnie coś mówili, bo byli skołowani... zdezorientowani... i dlatego, że mi ufali. Niech mi Bóg wybaczy, miałam twarz osoby godnej zaufania”.

Wiem, dlaczego mi to mówi, pomyślał Luke.

„Jak trafiłam do Instytutu... To zbyt długa historia, żeby opowiadała ją teraz stara, schorowana kobieta. Ktoś do mnie przyszedł, na tym poprzestańmy. Nie pani Sigsby i nie pan Stackhouse. Ani człowiek z rządu. Był stary. Powiedział, że rekrutuje ludzi. Zapytał, czy chcę dostać pracę po zakończeniu tury. Twierdził, że jest łatwa, ale może ją wykonywać tylko ktoś, kto umie trzymać język za zębami. Wcześniej rozważałam zgłoszenie się na jeszcze jedną turę, ale to brzmiało lepiej. Bo mówił, że tam pomogłabym swojemu krajowi dużo bardziej niż na pustyni. Dlatego przyjąłem posadę, a kiedy przydzielili mnie do sprzątania, nie przeszkadzało mi to. Wiedziałam, co robią w Instytucie, ale to też początkowo mi nie przeszkadzało, bo rozumiałam, dlaczego to robią. Całe szczęście, ponieważ o tym miejscu można powiedzieć to samo, co mówią o mafii: kiedy już tam wejdiesz, nie ma wyjścia. Gdy zabrakło mi pieniędzy na spłacenie długów męża i zaczęłam się bać, że te sępy z banku zabiorą mi oszczędności, które odłożyłam dla synka, poprosiłam o to samo zadanie, które wykonywałam na misjach, a pani Sigsby i pan Stackhouse zgodzili się, żebym spróbowała”.

– Kablowanie – wymamrotał Luke.

„To było łatwe, zupełnie jakbym weszła w stare, wygodne buty. Spędziłam tu dwanaście lat, ale wtyczką byłam tylko przez ostatnie szesnaście miesięcy, a pod koniec zaczęłam mieć wyrzuty sumienia, nie tylko dlatego, że donosiłam. Znieczuliłam się w tak zwanych czarnych

dziurach i pozostałam znieczulona w Instytucie, ale ta obojętność zaczęła się zużywać, tak samo jak wosk schodzi z karoserii samochodu, jeśli nie nałożysz od czasu do czasu świeżej warstwy. Wiesz, w końcu to tylko dzieci, a dzieci chcą ufać dorosłemu, który jest miły i współczujący. Przecież nikogo nie wysadziły w powietrze, to raczej one same zostały wysadzone, one i ich rodziny. Ale może mimo wszystko pracowałabym tak dalej. Jeżeli mam być szczerą – a chyba za późno na cokolwiek innego – to pewnie tak. Tylko że zachorowałam i poznałam ciebie, Luke. Pomogłeś mi, ale to nie dlatego ja pomogłam tobie. A przynajmniej nie tylko dlatego i nie był to mój główny powód. Zobaczyłam, jaki jesteś mądry, znacznie mądrzejszy niż inne dzieci i niż ci ludzie, którzy cię wykradli. Wiedziałam, że ich nie interesuje twój wspaniały umysł ani twoje poczucie humoru, ani to, że byłeś gotów pomóc takiej chorej babie jak ja, chociaż rozumiałeś, że możesz mieć przez to kłopoty. Dla nich byłeś tylko kolejnym kółkiem w maszynie, które wykorzystają, aż się zużyje. Skończyłbyś tak jak wszyscy inni. Jak setki, a może nawet tysiące innych, licząc od samego początku”.

– Czy ona oszalała? – zapytał George Burkett.

– Zamknij się! – warknął Ashworth.

Pochylał się nad swoim brzuszyskiem, wbijając wzrok w ekran.

Maureen przerwała, żeby napić się wody, a potem potrzebę oczy, zapadnięte głęboko w oczodoły. Chore oczy. Umierające oczy, pomyślał Luke, patrzące wieczności prosto w twarz.

„Mimo wszystko to była trudna decyzja, ale nie ze względu na to, co mogliby zrobić mnie albo tobie, Luke. Była trudna, bo jeśli naprawdę uda ci się uciec, jeśli nie złapią cię w lesie ani w Dennison River Bend i znajdziesz kogoś, kto ci uwierzy... jeśli pokonasz te wszystkie znaki zapytania, może uda ci się wyciągnąć na światło dzienne wszystko, co działa się tutaj przez pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt lat. Zwalisz im to wszystko na głowy”.

Jak Samson świątynię, pomyślał Luke.

Maureen nachyliła się do przodu, spojrzała prosto w obiektyw. Prosto na niego.

„A to może oznaczać koniec świata”.

Słońce, które chyliło się ku zachodowi, zmieniło tory kolejowe biegnące wzdłuż drogi stanowej numer 92 w różowawoczerwone smugi

ognia i niczym reflektor oświetliło zbliżającą się tablicę:

WITAMY W DuPRAY
SIEDZIBIE HRABSTWA FAIRLEE
LICZBA LUDNOŚCI: 1369
*MIŁE MIEJSCE NA ODWIEDZINY I JESZCZE MIŁSZE MIEJSCE DO
ŻYCIA!*

Denny Williams zjechał vanem na pobocze. Reszta kierowców zrobiła to samo. Odezwał się do osób w swoim wozie – pani Sigsby, doktora Evansa i Michelle Robertson – a potem podszedł do dwóch pozostałych aut.

– Wyłączyć radia, wyjąć słuchawki. Nie wiemy, na jakich częstotliwościach nasłuchują miejscowi i stanowi. Komórki też wyłączamy. Od tej chwili to jest cicha operacja i taka pozostanie, dopóki nie wrócimy na pas startowy.

Cofnął się do pierwszego vana, wsiadł za kierownicę i spojrzał na panią Sigsby.

– Wszystko w porządku, proszę pani?

– Wszystko w porządku.

– Jestem tu wbrew woli – odezwał się znowu doktor Evans.

– Zamknij się – rzuciła pani Sigsby. – Denny, ruszamy.

Wjechali na teren hrabstwa Fairlee. Po jednej stronie drogi były stodoły, pola i sosny, po drugiej – tory kolejowe i jeszcze więcej sosen. Miasteczko leżało zaledwie trzy kilometry dalej.

22

Corinne Rawson stała przed wejściem do sali kinowej i gadała o pierdołach z Jakiem „Żmiją” Howlandem i Philem „Pigułą” Chaffitzem. Maltretowana w dzieciństwie przez ojca i dwóch z czterech starszych braci, nigdy nie miała problemu z pracą w Tylnej Połowie. Wiedziała, że dzieciaczki mówią na nią Corinne Ciężka Ręka, i to jej nie przeszkadzało. Na osiedlu przyczep kempingowych w Reno, gdzie się wychowywała, też ją dużo bili i doszła do wniosku, że historia kołem się toczy. Poza tym to wszystko w szczytnym celu. Innymi słowy same korzyści.

Oczywiście praca w Tylnej Połowie miała swoje minusy. Po pierwsze, do głowy trafiało zdecydowanie za dużo informacji. Corinne wiedziała, że Phil chce ją zerznąć, a Jake nie, bo Jake lubił tylko babki z dużymi

zderzakami z przodu i z tyłu. Wiedziała także, że oni wiedzą, że ona nie chce mieć z żadnym z nich nic wspólnego, przynajmniej nie w tym sensie – od siedemnastego roku życia grała wyłącznie w przeciwnej drużynie.

Telepatia zawsze brzmi dobrze w książkach i filmach, ale w rzeczywistości okazywała się kurewsko irytująca. Łączyła się z buczeniem, co też było wadą. Na dodatek wszystko się kumulowało, a to już wada ogromna. Sprzątaczkę i woźni krążyli między Przednią i Tylną Połową, co pomagało, ale czerwoni opiekunowie mieli służbę tylko tutaj i nigdzie indziej. Dzielili się na dwa zespoły, Alfa i Beta. Każdy pracował przez cztery miesiące, a następnie miał cztery miesiące wolnego. Corinne właśnie zbliżała się do końca swojej czteromiesięcznej zmiany. Spędzi teraz tydzień albo dwa, odprężając się w sąsiedniej wiosce dla personelu, gdzie odzyska swoje właściwe ja, a potem pojedzie do domku w New Jersey, gdzie mieszkała z Andreą, wierzącą, że jej partnerka uczestniczy w ściśle tajnej operacji wojskowej. Ściśle tajnej – owszem; wojskowej – nie.

Śladowa telepatia będzie słabnąć podczas pobytu w wiosce, a zanim Corinne wróci do Andrei, zniknie całkowicie. Potem, kilka dni po rozpoczęciu kolejnej zmiany, zacznie wracać. Gdyby Corinne w ogóle odczuwała współczucie (tę zdolność w zasadzie zniszczyli w niej biciem, zanim skończyła trzynaście lat), współczułaby doktorowi Hallasowi i doktor James. Oni przebywali tu prawie cały czas, czyli niemal bez przerwy byli narażeni na buczenie, i widziało się wyraźnie, co to z nimi robi. Wiedziała, że doktor Hendricks, szef medycyny w Instytucie, podaje lekarzom z Tylnej Połowy zastrzyki mające ograniczyć stałą erozję, ale jest różnica między ograniczeniem czegoś a powstrzymaniem.

Horace Keller, czerwony opiekun, z którym Corinne była w dobrych relacjach, nazywał Heckle'a i Jeckle'a wysokofunkcjonującymi świrami. Mówił, że jednemu albo obojgu w końcu odbije, a wtedy ci na górze będą musieli sobie znaleźć nowych lekarzy. Corinne w ogóle to nie obchodziło. Jej zadaniem było dbanie o to, żeby dzieci jadły, kiedy trzeba, wracały do swoich pokoi, kiedy trzeba (a co tam robiły, to już nie jej sprawa), chodziły na filmy i nie podskakiwały. A kiedy podskakiwały, dawała im po twarzy.

– Warzywka są dzisiaj niespokojne – stwierdził Jake Żmija. – Aż tutaj je słyhać. Podczas karmienia o ósmej paralizatory w pogotowiu, no nie?

– Nocą zawsze są gorsze – powiedział Phil. – Ja nie... Ej, co do chuja?

Corinne też to poczuła. Do buczenia przywykli, tak jak człowiek przyzwyczaja się do hałaśliwej lodówki czy terkoczącego klimatyzatora. Ale teraz ten dźwięk nagle nasilił się do poziomu, który musieli znosić podczas seansów z fajerwerkiem. Przy czym podczas seansów buczenie

dochodziło głównie zza zamkniętych na klucz drzwi Oddziału A, znanego również jako Warzywniak. W tym momencie odczuwała je jednak nie tylko stamtąd, ale także z innego kierunku, niczym podmuch silnego wiatru. Od strony świetlicy, w której dzieci spędzały po filmie czas wolny. Najpierw poszła tam grupka, która wciąż dobrze funkcjonowała, a potem jeszcze dwoje, których Corinne uważała za mocnych kandydatów na warzywka.

– Co oni, kurwa, robią?! – krzyknął Phil. Przycisnął dłonie do skroni.

Opiekunka ruszyła w kierunku świetlicy, wyciągając paralizator. Tuż za nią biegł Jake. Phil – być może bardziej wrażliwy na buczenie, a może po prostu wystraszony – nie ruszył się z miejsca. Trzymał się za głowę, jakby nie chciał dopuścić, żeby eksplodowała.

Kiedy Corinne dopadła do drzwi, zobaczyła prawie tuzin dzieci. Była tam nawet Iris Stanhope, która po jutrzejszym filmie z całą pewnością miała trafić do Warzywniaka. Stały w kręgu, trzymając się za ręce, a buczenie było teraz tak silne, że Corinne łzawiły oczy. Miała wrażenie, że wibrują jej nawet plomby w zębach.

Trzeba załatwić tego nowego, pomyślała. Tego pokurcza. Myślę, że on to napędza. Jak się go porazi, może przerwie się obwód.

Ale jeszcze nawet nie skończyła tej myśli, kiedy jej palce się rozwarły i paralizator upadł na wykładzinę dywanową. Za nią, ledwo słyszalny przez buczenie, Jake wykrzykiwał do dzieci, żeby przestały robić to, co robią, i wróciły do swoich pokoi. Czarnoskóra dziewczyna patrzyła na Corinne z bezczelnym uśmiechem na ustach.

Jak ci przyłożę, to ci się odechce uśmiechać, panienko, pomyślała opiekunka, a kiedy uniosła rękę, czarna dziewczyna kiwnęła głową.

Tak, bij.

Do głosu Kalishy dołączył się inny: *Bij!*

A potem wszystkie pozostałe: *Bij! Bij! Bij!*

Corinne Rawson zaczęła bić się po twarzy, z początku prawą ręką, później lewą, raz za razem, coraz mocniej; czuła, że policzki najpierw ją pieką, potem palą, ale ta świadomość była słaba i odległa, bo teraz buczenie przestało być buczeniem, zmieniło się w potężne BUAAAAAA sprężenia zwrotnego.

Powalił ją na kolana przebiegający obok Jake.

– Przestańcie to robić, wy zasrane...

Jego ręka poleciała w górę i zatrzeszczał prąd, kiedy Jake poraził się paralizatorem między oczy. Szarpnęło nim do tyłu, nogi najpierw się rozłożyły, potem zwarły jak w jakimś czadowym ruchu tanecznym, a oczy

wyszły z orbit. Mężczyzna otworzył usta i wsadził w nie paralizator. Tym razem trzask elektryczności był przytłumiony, ale efekty stały się widoczne. Gardło spuchło mu niczym pęcherz. Przez moment w nozdrzach błysnęło niebieskie światło. Potem Jake runął na twarz, wepchnął sobie paralizator do ust aż po rękajeść i dalej konwulsyjnie naciskał na włącznik urządzenia.

Kalisha wyprowadziła dzieciaki na korytarz; trzymali się za ręce jak pierwszoklasiści na szkolnej wycieczce. Na ich widok Phil Piguła się wzdrygnął. W jednej ręce trzymał paralizator, a drugą zaciskał na drzwiach sali kinowej. W głębi korytarza, między stołówką po jednej stronie a Oddziałem A po drugiej, stał doktor Everett Hallas z rozdziawionymi ustami.

W zamknięte na klucz podwójne drzwi Warzywniaka zaczęły walić pięści. Phil upuścił paralizator i uniósł rękę, w której go trzymał, by pokazać zbliżającym się dzieciom, że jest pusta.

– Nie będę robił kłopotów – obiecał. – Cokolwiek zamierzacie, nie będę rob...

Drzwi sali kinowej zatrzasnęły się, ucinając to zdanie, a także trzy jego palce.

Doktor Hallas odwrócił się i uciekł.

Ze świetlicy dla personelu, położonej za klatką schodową do krematorium, wyłoniło się dwoje niebieskich opiekunów. Pobiegli w kierunku Kalishy i jej naprędce zebranej ekipy, oboje z wyciągniętymi paralizatorami. Zatrzymali się przed zamkniętymi drzwiami Oddziału A, porazili się nawzajem i runęli na kolana. Nie przestali wymieniać się ładunkami elektrycznymi, dopóki oboje nie padli nieprzytomni. Pojawiali się kolejni opiekunowie, bo widzieli albo czuli, co się dzieje, lecz zaraz się wycofywali – niektórzy schodami w dół do ślepego krematorium (kiepski koniec w niejednym sensie), inni z powrotem do świetlicy personelu albo dalej, do świetlicy lekarzy.

Sha, chodź. Avery patrzył w głąb korytarza, mijając wzrokiem Phila – wyjącego z bólu nad tryskającymi krwią kikutami palców – i dwoje ogłuszonych opiekunów.

Nie uciekamy?

Uciekamy. Ale najpierw ich wypuścimy.

Sznur dzieci ruszył korytarzem w kierunku Oddziału A, w sam środek buczenia.

„Nie wiedziałam, jak wybierają cele – mówiła Maureen. – Często się nad tym zastanawiałam, ale to chyba działa, skoro od siedemdziesięciu pięciu lat nikt nie zrzucił bomby atomowej ani nie rozpętał wojny światowej. Pomyśl, jakie to fantastyczne dokonanie. Wiem, niektórzy mówią, że czuwa nad nami Bóg, a inni twierdzą, że zawdzięczamy to dyplomacji albo tak zwanemu wzajemnemu zagwarantowanemu zniszczeniu, ale ja w to nie wierzę. To zasługa Instytutu”.

Przerwała, by znów napić się wody, a potem mówiła dalej:

„Wiedzą, jakie dzieci porywać, dzięki badaniu, które robi się większości noworodków. Nie powinnam wiedzieć, co to za badanie, przecież jestem tylko prostą pokojówką, ale umiem nie tylko donosić, ale też słuchać. I węszyć. Chodzi o BDNF, neurotroficzny czynnik pochodzenia mózgowego. Dzieci z wysokim BDNF bierze się na cel, śledzi, a w końcu porywa i przywozi do Instytutu. Czasami mają aż szesnaście lat, ale zwykle są młodsze. Te z naprawdę wysokim BDNF są zabierane najszybciej, jak się da. Mieliśmy tu nawet ośmiolatek”.

Co tłumaczy Avery’ego, pomyślał Luke. I bliźniaczki Wilcox.

„Podopieczni są przygotowywani w Przedniej Połowie, zastrzykami i wystawieniem na działanie czegoś, co doktor Hendricks nazywa Światłami Stasi. Część z tych, którzy tu trafiają, ma zdolności telepatyczne, potrafią czytać w myślach. Inne to telekinetycy, ich umysły mają władzę nad materią. Po zastrzykach i wystawieniu na Światła Stasi u niektórych nie zachodzą żadne zmiany, ale większość staje się co najmniej trochę lepsza w tym, ze względu na co zostały porwane. Są też takie dzieci, które Hendricks nazywa różowymi. Im robi się więcej badań i zastrzyków, bo czasami rozwijają się u nich obie umiejętności. Raz słyszałam, jak doktor Hendricks mówił, że być może jest tych umiejętności jeszcze więcej, a ich odkrycie byłoby wielkim sukcesem”.

– TP i TK jednocześnie – wymamrotał Luke. – Właśnie to spotkało mnie, ale się z tym kryłem. A przynajmniej próbowałem.

„Kiedy dzieci są gotowe, żeby... żeby zaprząć je do pracy, przenosi się je z Przedniej do Tyłnej Połowy. Oglądają filmy, które w kółko pokazują tę samą osobę. W domu, w pracy, przy zabawie, na spotkaniach rodzinnych. Potem widzą obraz wyzwalający, który ponownie przywołuje Światła Stasi i łączy dzieci. Bo rozumiesz... to działa tak... Kiedy są same, ich zdolności nawet po wzmocnieniu są słabe, ale gdy są razem, ich siła rośnie w sposób... jest na to takie słowo w matematyce...”

– Wykładniczy – powiedział Luke.

„Nie znam tego słowa. Jestem zmęczona. Najważniejsze, że dzieci są używane do eliminowania różnych ludzi. Czasami to wygląda jak wypadek. Kiedy indziej jak samobójstwo. Albo jak morderstwo. Ale to zawsze robią dzieci. Ten polityk... Mark Berkowitz? To dzieci z Instytutu. Jangi Gafoor, który dwa lata temu rzekomo przez przypadek wysadził się w powietrze w swojej fabryce bomb w prowincji Kunduz? To dzieci z Instytutu. Tylko podczas mojej pracy tutaj takich ludzi były setki. Wydawałoby się, że w tym wszystkim nie ma żadnej logiki – sześć lat temu pewien argentyński poeta wypił ług – i ja jej nie widzę, jakaś jednak musi być, bo świat wciąż istnieje. Pani Sigsby, która jest tu główną szefową, mówi, że działamy tak, jakbyśmy stale wylewali wodę z łódki, która w przeciwnym razie by zatонуła, i ja jej wierzę”.

Maureen znowu potarła oczy, a potem nachyliła się i w skupieniu spojrzała w kamerę.

„Potrzebują stałego dopływu dzieci z wysokim BDNF, bo jak już trafiają do Tylnej Połowy, zużywają się. Mają coraz silniejsze bóle głowy, a za każdym razem, kiedy doświadczą Świąteł Stasi albo zobaczą doktora Hendricksa z fajerwerkiem, tracą coraz więcej ze swojego jestestwa. W końcu, jak już trafiają do Warzywniaka – tak personel nazywa Oddział A – są jak dzieci cierpiące na demencję albo zaawansowane stadium choroby Alzheimera. Ich stan się pogarsza, aż w końcu umierają. Zwykle na zapalenie płuc, bo w Warzywniaku celowo utrzymują chłód. Czasami jest tak... – wzruszyła ramionami. – Boże, jakby po prostu zapomnieli zrobić następnego oddechu. Do pozbywania się ciał Instytut ma nowoczesne krematorium”.

– Nie – powiedział cicho szeryf Ashworth. – O nie.

„Personel w Tylnej Połowie pracuje tak zwanymi długimi zmianami. Mają kilka miesięcy służby i kilka miesięcy wolnego. To konieczne, bo atmosfera jest toksyczna. Ale ponieważ pracownicy mają niskie BDNF, u nich ten proces działa wolniej. A u niektórych nie następuje praktycznie wcale”.

Przerwała na łyk wody.

„Jest dwoje lekarzy, którzy pracują tam prawie cały czas, i oboje odchodzą od zmysłów. Wiem, bo tam byłam. Pokojówki i woźni mają krótsze zmiany i przenoszą się między Przednią a Tylną Połową. To samo z personelem stołówek. Wiem, że to jest dużo informacji do przyswojenia, zresztą nie powiedziałam o wszystkim, ale teraz nie mam siły na więcej. Muszę już iść, ale chcę ci coś pokazać, Luke. Tobie i tym, którzy oglądają to

razem z tobą. Nie jest łatwo na to patrzeć, mam jednak nadzieję, że dasz radę, bo ryzykowałam życie, żeby to zdobyć”.

Odetchnęła z drzeniem i spróbowała się uśmiechnąć. Luke zaczął płakać, początkowo bezdźwięcznie.

„Luke, decyzja, żeby ci pomóc, była najtrudniejszą w moim życiu, mimo że patrzę śmierci w twarz i jestem pewna, że po drugiej stronie czeka piekło. Była trudna, bo teraz ta łódka może zatonać i to będzie moja wina. Musiałam wybrać między jednym życiem a życiem być może miliardów ludzi na Ziemi, zależących od pracy Instytutu, choć nawet o tym nie wiedzą. Postawiłam ciebie nad nimi i niech Bóg mi wybaczy”.

Obraz zrobił się niebieski. Tag sięgnął w stronę klawiatury laptopa, ale Tim złapał go za rękę.

– Czekał.

Przez ekran przeszedł pasek zakłóceń, dźwięk się zawiesił, a potem rozpoczęło się nowe nagranie. Kamera przesuwiała się korytarzem wyłożonym grubym niebieskim dywanem. Chwilami słychać było jakieś drapanie, a obraz raz po raz ciemniał na moment jakby przerywany migawką.

Ona to kręci, pomyślał Luke. Filmuje przez dziurę zrobioną w uniformie. To drapanie jest od materiału pocierającego o mikrofon.

Wątpił, czy głęboko w lasach północnego Maine z komórek dało się dzwonić, ale domyślał się, że w Instytucie i tak były absolutnie *verboten*, ponieważ ich kamery mimo to działały bez zarzutu. Gdyby Maureen złapano, nie obcięliby jej po prostu pensji ani nie wyrzucili z pracy. Ona naprawdę ryzykowała życie. Gdy Luke sobie to uświadomił, łzy popłynęły szybciej. Poczł, że funkcjonariuszka Gullickson – Wendy – obejmuje go ramieniem. Przytulił się do niej z wdzięcznością, ale nie spuszczał wzroku z ekranu laptopa. Oto wreszcie widział Tylną Połowę. Oto, przed czym uciekł. Oto, gdzie teraz z pewnością znajdował się Avery, zakładając, że jeszcze żył.

Kamera minęła podwójne drzwi po prawej stronie. Maureen obróciła się na moment, by widzowie zobaczyli salę projekcyjną z dwudziestoma kilkoma fotelami obitymi pluszem. Siedziało tam kilkoro dzieci.

– Czy ta dziewczyna pali papierosa?! – zapytała Wendy.

– Tak – powiedział Luke. – Chyba w Tylnej Połowie pozwalają też palić. Ta dziewczyna to jedna z moich przyjaciółek. Nazywa się Iris Stanhope. Zabrali ją do Tylnej Połowy, zanim uciekłem. Ciekawe, czy jeszcze żyje. A jeśli tak, to czy jeszcze jest w stanie myśleć.

Kamera obróciła się ponownie w stronę korytarza. Maureen minęła kilkoro innych dzieci, które spojrzały na nią bez wyraźnego zainteresowania, a potem zniknęły z kadru. Pojawił się opiekun w niebieskim kitlu. Kieszeń, w której był ukryty telefon pokojówki, tłumiała jego głos, ale słowa wciąż były zrozumiałe: zapytał Maureen, czy się cieszy, że wróciła. Na co ona odpowiedziała pytaniem, czy wygląda na wariatkę. Roześmiał się i powiedział coś o kawie, ale materiał kieszeni głośno zaszeleścił, więc Luke nie usłyszał dobrze.

– Czy on ma pistolet? – zapytał szeryf John.

– To paralizator – wyjaśnił chłopiec. – Z pokrętłem regulującym napięcie.

– Bez jaj! – To był Frank Potter.

Kamera minęła kolejne otwarte podwójne drzwi, tym razem po lewej stronie, a po jakichś trzydziestu krokach zatrzymała się przed zamkniętymi. Widniały na nich czerwone litery ODDZIAŁ A. Cichym głosem Maureen powiedziała:

„To jest Warzywniak”.

W kadrze pojawiła się jej ręka w niebieskiej lateksowej rękawiczce, trzymająca kartę. Poza jaskrawopomarańczowym kolorem karta wyglądała zupełnie tak jak tamta, którą ukradł Luke, domyślał się jednak, że ludzie pracujący w Tylnej Połowie nie postępowali z nimi równie niedbale. Maureen przyłożyła ją do elektronicznego czytnika nad gałką, rozległ się brzęczyk, a potem otworzyła drzwi.

Po drugiej stronie było piekło.

24

Sierotka Annie była fanką baseballu, więc ciepłe letnie wieczory zwykle spędzała w swoim namiocie, słuchając meczów Fireflies, drużyny niższej ligi z Columbii. Cieszyła się, kiedy któryś z zawodników trafiał do Binghamton Rumble Ponies, zespołu grającego dwa poziomy wyżej, w Double-A, ale zawsze trudno jej się było z nimi rozstać. Po meczu zwykle robiła sobie drzemkę, a potem się budziła i przestawiała radio na program George’a Allmana, żeby sprawdzić, co się dzieje – jak nazywał to George – w Cudownym Świecie Dziwności.

Dzisiaj jednak zaciekawiał ją chłopiec, który wyskoczył z pociągu. Postanowiła podejść pod biuro szeryfa, żeby sprawdzić, czy czegoś się dowie. Przodem pewnie jej nie wpuszczą, ale Frankie Potter i Billy Wicklow czasami wychodzili na papierosa do zaułka, w którym trzymała

materac i zapasy. Jeśli grzecznie poprosi, może opowiedzą jej historię chłopaka. Bądź co bądź, obmyła go i trochę podniosła na duchu, więc była żywotnie zainteresowana jego losem.

Od jej namiotu niedaleko magazynów biegła przez las ścieżka po zachodniej stronie miasteczka. Kiedy Annie wchodziła do zaułka przy posterunku, żeby spędzić noc na materacu (albo wewnątrz budynku, jeśli było chłodno – teraz jej na to pozwalali, odkąd pomogła Timowi z transparentem o nieprzekraczaniu prędkości), szła tą ścieżką aż za lokalne kino Brylant, w którym obejrzała wiele ciekawych filmów jako młodsza (i nieco bardziej poczytalna) kobieta. Brylancik stał zamknięty od piętnastu lat, a parking za budynkiem porósł gąszczem chwastów i nawłoci. Zwykle Annie przecinała go i szła wzdłuż sypiącej się ceglanej bocznej ściany kina aż na chodnik. Posterunek szeryfa oraz sklep wielobranżowy znajdowały się po przeciwnej stronie Main Street, między nimi biegł zaś jej zaułek (tak o nim myślała).

Tego wieczoru, gdy właśnie zamierzała zejść ze ścieżki na parking, zobaczyła samochód skręcający w Pine Street. A potem kolejny... i kolejny. Trzy vany jadące praktycznie zderzak w zderzak. I chociaż nadciągał zmierzch, nie miały nawet świateł postojowych. Annie zatrzymała się wśród drzew i patrzyła, jak wjeżdżają na parking, przez który planowała przejść. Zakręciły jakby w szyku i zatrzymały się rzędem, zwrócone maskami w stronę Pine Street. Zupełnie jakby kierowcy planowali szybką ucieczkę, pomyślała.

Otworzyły się drzwi. Z samochodów wysiadła grupa kobiet i mężczyzn. Jeden z mężczyzn miał na sobie sportową marynarkę i ładne spodnie z kantem. Jedna z kobiet, starsza niż pozostałe, nosiła ciemnoczerwony kostium ze spodniami. Inna – kwiecistą sukienkę. Ta miała również torebkę. Pozostałe cztery kobiety ich nie miały. Większość była w dżinsach i ciemnych koszulach.

Nie licząc mężczyzny w sportowej marynarce, który stał nieco z tyłu i patrzył, wszyscy poruszali się szybko i stanowczo, jakby wykonywali misję. Przypominali Annie wojskowych i to wrażenie prędko się potwierdziło. Dwaj mężczyźni i jedna z młodszych kobiet otworzyli tylne drzwi vanów. Z jednego z aut mężczyźni wyciągnęli długą stalową skrzynię. Z innego wyjęto pasy z kaburami, które kobieta rozdała wszystkim oprócz mężczyzny w sportowej marynarce, drugiego, z krótkimi blond włosami, i kobiety w kwiecistej sukience. Stalowa skrzynia została otwarta i pojawiło się kilka sztuk długiej broni, która na

pewno nie służyła do polowań. Annie Ledoux pomyślała, że to broń sprawców szkolnych masakr.

Kobieta w kwiecistej sukience schowała do torebki niewielki pistolet. Mężczyzna obok niej wetknął trochę większy za pasek spodni za plecami i przykrył go koszulą. Pozostali założyli kabury. Wyglądali jak ekipa szykująca nalot. Annie nie wyobrażała sobie, żeby mogli być kimkolwiek innym.

Normalnie myśląca osoba – na przykład taka, która wiadomości o świecie nie czerpie co wieczór od George’a Allmana – może po prostu patrzyłaby z konsternacją, zachodząc w głowę, co też gromada uzbrojonych ludzi wyrabia w sennym miasteczku w Karolinie Południowej, gdzie jest tylko jeden bank, i to zamykany na noc. Normalnie myśląca osoba może wyciągnęłaby komórkę i zadzwoniła na policję. Annie jednak nie była normalnie myślącą osobą i dokładnie wiedziała, co zamierzają ci uzbrojeni ludzie, których było co najmniej dziesięcioro, a może więcej. Nie przybyli czarnymi SUV-ami, jak się spodziewała, ale przyjechali tu po chłopca. Oczywiście, że tak.

Telefon do biura szeryfa tak czy inaczej nie wchodził w grę, ponieważ Annie nie nosiłaby przy sobie komórki, nawet gdyby było ją na nią stać. Komórki bombardują mózg promieniowaniem, każdy głupi to wie, a poza tym dzięki nim oni mogą cię namierzyć. Dlatego Annie ruszyła dalej ścieżką, teraz już biegiem, aż dotarła na tył zakładu fryzjerskiego dwa budynki dalej. Po rozklekotanych schodach wchodziło się do mieszkania na piętrze. Wspięła się jak najwyżej, przytrzymując poncho i długą spódnicę pod spodem, żeby się nie potknąć i nie spaść. Na szczycie zaczęła bębnić w drzwi, aż wreszcie przez poszarpaną zasłonę zobaczyła, że człapie ku niej Corbett Denton, niosąc przed sobą duży brzuch. Odsunął zasłonę i wyjrzał na dwór. Jego łysa głowa lśniła w świetle upstrzonej muchami kulistej lampy kuchennej pod sufitem.

– Annie? Czego chcesz? Nie dam ci nic do jedzenia, jeżeli o to...

– Są ludzie – wydyszała, z trudem łapiąc oddech. Mogła dodać, że są mężczyźni i kobiety, ale samo „ludzie” brzmiało groźniej, przynajmniej w jej wyobrażeniu. – Zaparkowali za Brylantem!

– Idź sobie, Annie. Nie mam czasu na twoje głupie...

– Jest chłopiec! Ci ludzie chyba chcą go zabrać z biura szeryfa. Chyba będzie strzelanina!

– O czym ty, u diabła...

– Błagam, Dobosz, błagam! Chyba mieli karabiny maszynowe, a ten chłopiec to miły dzieciak!

Denton otworzył drzwi.

– Chuchnij.

Annie złapała go za przód podkoszulka.

– Nie piję od dziesięciu lat! Dobosz, oni przyszli po chłopca!

Mężczyzna powąchał ją i zmarszczył czoło.

– Nie jedzie od ciebie. Masz halucynacje?

– Nie!

– Mówiłaś o karabinach maszynowych. Chodzi ci o karabinki automatyczne takie jak AR-piętnaście? – Dobosz Denton powoli robił się ciekaw.

– Tak! Nie! Nie wiem! Ale ty masz broń, wiem, że masz! Weź ją!

– Oszalałaś – rzucił mężczyzna i w tym momencie Annie się rozplakała.

Dobosz znał ją prawie całe życie, był z nią nawet na jakiejś randce, albo i dwóch, kiedy byli znacznie młodszy, ale nigdy nie widział, żeby płakała. Ona naprawdę wierzyła, że coś się dzieje, więc pomyślał: A co mi tam! Przecież i tak nie robił nic innego niż każdego wieczoru, czyli rozmyślał nad ogólną głupotą życia.

– Dobra, chodźmy sprawdzić.

– A broń? Weźmiesz broń?

– Nie ma mowy. Powiedziałem, że pójdziemy sprawdzić.

– Dobosz, błagam!

– Posłuchaj. Na więcej mnie nie namówisz. Idziemy czy nie? To jak będzie?

Nie mając innego wyboru, Sierotka Annie zgodziła się.

25

– Dobry Boże, na co ja patrzę?

Słowa Wendy były stłumione, bo zasłaniała dłonią usta. Nikt nie odpowiedział. Wszyscy wpatrywali się w ekran. Luke siedział znieruchomieły z szoku i przerażenia.

Tylna połowa Tylniej Połowy – Oddział A, Warzywniak – była długim, wysokim pomieszczeniem kojarzącym się chłopcu z opuszczonymi fabrykami, w jakich zwykle rozgrywają się końcowe strzelaniny w filmach akcji, które lubił oglądać razem z Rolfem wieki temu, kiedy jeszcze był prawdziwym dzieckiem. Światło pochodziło z jarzeniówek za drucianą siatką, która rzucała cienie i nadawała całemu oddziałowi upiorny podmorski charakter. Wysokie, wąskie okna osłaniała grubsza siatka. W pomieszczeniu nie było łóżek, tylko gołe materace. Część z nich

ktoś wypchnął na przejścia, kilka było przewróconych, a jeden niczym pijak opierał się o ścianę z odsłoniętych pustaków. Pokrywały go plamy żółtej mazi, która mogła być wymiocinami.

Wzdłuż jednej ściany z pustaków, na której od szablonu namalowano motto JESTEŚCIE WYBAWCAMI!, biegł długi rynsztok z bieżącą wodą. Kucała nad nim dziewczynka, naga oprócz pary brudnych skarpet, plecami opierając się o ścianę, a dłońmi o kolana. Wypróżniała się. Zaszleściła tkanina ocierająca się o telefon w kieszeni Maureen, być może przyklejony, żeby mniej się ruszał; obraz chwilowo zniknął, bo zamknął się otwór, przez który wyglądała kamera, a kiedy znów się pojawił, dziewczynka odchodziła chwiejnym pijanym krokiem, a jej gówno płynęło dalej kanałem.

Kobieta w brązowym uniformie pokojówki przy pomocy odkurzacza do prania dywanów czyściła jeszcze więcej rzygów, gówna, rozrzuconego jedzenia albo Bóg wie czego. Zobaczyła Maureen, pomachała do niej i powiedziała coś, czego nikt z oglądających nie zrozumiał, nie tylko z powodu hałasu odkurzacza, ale też dlatego, że Warzywniak był jednym wielkim gąszczem obłąkańczych głosów i krzyków. W którymś z nierównych przejść między materacami jakaś dziewczynka robiła gwiazdy. Obok Maureen przeszedł pryszczaty chłopiec w brudnej piżamie i umazanych okularach, które zsuwały mu się z nosa. Wołał „Ja-JA-ja-JA-ja-JA!”, a przy każdej akcentowanej sylabie uderzał się w czubek głowy. Luke przypomniał sobie, że Kalisha wspomniała kiedyś o pryszczatym okularniku. *Wydaje się, że Peteya nie ma już od wieków, a to dopiero tydzień. Pamiętacie te jego pryszczce? I jak mu zjeżdżały okulary?* – powiedziała wtedy, a teraz on był na ekranie. A przynajmniej to, co z niego zostało.

– Littlejohn – wymamrotał Luke. – Chyba tak się nazywa. Pete Littlejohn.

Nikt go nie usłyszał. Wszyscy wpatrywali się w ekran jak zahipnotyzowani.

Naprzeciw rynsztoka używanego w celach wydalniczych znajdowało się długie koryto na stalowych nogach. Stali tam chłopiec oraz dwie dziewczynki. Dziewczynki nabierały sobie rękami do ust jakąś brązową maź. Tim, oglądający to w szoku, z niedowierzaniem i obrzydzeniem, pomyślał, że maź przypomina Maypo, płatki śniadaniowe z czasów jego dzieciństwa. Chłopiec tkwił unurzany w tym czymś twarzą, ręce trzymał wyciągnięte wzdłuż boków i pstrykał palcami. Kilkoro innych dzieci po

prostu leżało na materacach, gapiąc się w sufit, a na ich twarzach niczym tatuaż kładły się cienie siatki świetlówek.

Kiedy Maureen szła w kierunku kobiety z odkurzaczem, zapewne po to, by zastąpić ją przy pracy, obraz się urwał i wrócił niebieski ekran. Widzowie czekali, czy Maureen pojawi się znowu w fotelu z uszami, czy może jeszcze coś wyjaśni, ale okazało się, że to już wszystko.

– Mój Boże, co to było? – zapytał Frank Potter.

– Tylna połowa Tylnej Połowy – powiedział Luke. Był bledszy niż kiedykolwiek.

– Co za ludzie wsadzają dzieci do...

– Potwory – odparł chłopiec.

Wstał, podniósł rękę do czoła i zachwiał się. Tim go chwycił.

– Mdlejesz?

– Nie. Nie wiem. Muszę wyjść na dwór. Muszę odetchnąć świeżym powietrzem. Mam wrażenie, że ściany zaraz mnie zgniotą.

Tim spojrzał na szeryfa Johna, a ten skinął głową.

– Wyprowadź go do zaułka. Pomóż mu dojść do siebie.

– Pójdę z tobą – zaproponowała Wendy. – Muszę przynajmniej otworzyć ci drzwi.

Na drzwiach po drugiej stronie aresztu wielkimi białymi literami napisano WYJŚCIE AWARYJNE UWAGA ALARM. Wendy posłużyła się kluczem, żeby ten alarm wyłączyć. Tim nasadą dłoni pchnął dźwignię na drzwiach, a drugą ręką przytrzymał Luke'a, wyprowadzając go do zaułka. Chłopiec już się nie zataczał, ale wciąż był upiornie blady. Tim wiedział, co to zespół stresu pourazowego, lecz do tej pory widywał go tylko w telewizji. Teraz jego objawy oglądał u tego dzieciaka, który nie zacznie się golić jeszcze przez dobre trzy lata.

– Nie nadepnijcie na rzeczy Annie – powiedziała Wendy. – Zwłaszcza na jej materac. Nie byłaby zadowolona.

Luke nie zapytał, co w tym zaułku robią materac, dwa plecaki, trójkołowy wózek z supermarketu i zwinięty śpiwór. Szedł powoli w kierunku Main Street, oddychając głęboko. W końcu przystanął, żeby oprzeć się rękami o kolana.

– Lepiej ci? – zapytał Tim.

– Moi przyjaciele ich wypuszczą – odezwał się Luke, nadal zgięty wpół.

– Kogo wypuszczą? – spytała Wendy. – Tych...

Nie wiedziała, jak dokończyć to zdanie.

Nie miało to jednak znaczenia, bo Luke chyba jej nie słyszał.

– Nie widzę ich, ale wiem. Nie rozumiem, jak to możliwe, ale tak jest. To chyba Aviszon. To znaczy Avery. Jest z nim Kalisha. I Nicky. George. Boże, jacy oni silni! Jacy są silni razem!

Luke wyprostował się i ruszył dalej. Kiedy przystanął u wylotu zaułka, zapaliło się wszystkie sześć latarni na Main Street. Chłopiec spojrzał na Tima i Wendy oszołomiony.

– Ja to zrobiłem?

– Nie, skarbie – odparła Wendy trochę ze śmiechem. – To ich stała pora. Wracajmy już do środka. Musisz się napić coli szeryfa Johna. – Dotknęła ramienia Luke’a.

Chłopiec strząsnął jej dłoń.

– Zaraz – powiedział.

Przez opustoszałą ulicę przechodziła para, trzymając się za ręce. Mężczyzna miał krótkie blond włosy. Kobieta była w sukience w kwiaty.

26

Moc, jaką generowały dzieci, osłabła, kiedy Nicky puścił dłonie Kalishy i George’a, ale tylko trochę. Ponieważ za drzwiami Oddziału A zebrali się pozostali i w większości zapewniali ją teraz właśnie oni.

To zupełnie jak na huśtawce równoważnej, pomyślał Nick. Kiedy zdolność myślenia idzie w dół, TP i TK idą do góry. A ci za zamkniętymi drzwiami już prawie całkiem stracili umysł.

Zgadza się – powiedział Avery. – Właśnie tak to działa. Oni są akumulatorem.

Nicky miał czystą głowę, zupełnie go nie bolała. Patrząc na innych, domyślał się, że u nich jest tak samo. Czy – albo kiedy – ból głowy wróci, tego nie dało się stwierdzić. Na razie chłopak mógł być tylko wdzięczny.

Teraz nie potrzebowali fajerwerku, to już była przeszłość. Niosło ich buczenie.

Nicky pochylił się nad niebieskimi opiekunami, którzy porazili się prądem do nieprzytomności, i przeszukał im kieszenie. Znalazł to, czego potrzebował, podał Kalishy, a ona – Avery’emu.

– Ty to zrób – powiedziała.

Avery Dixon – który powinien być teraz w domu i jeść z rodzicami kolację po kolejnym trudnym dniu najdrobniejszego chłopca w piątej klasie – wziął do ręki pomarańczową kartę i przyłożył ją do czytnika. Zamek zastukał i drzwi się otworzyły. Po drugiej stronie mieszkańcy Warzywniaka tłoczyli się niczym owce zbite w gromadę podczas burzy.

Byli brudni, przeważnie nadzy, zamroczeni. Niektórzy się ślinili. Petey Littlejohn powtarzał „Ja-JA-ja-JA-ja-JA!”, uderzając się w głowę.

Oni nigdy nie wrócą, pomyślał Avery. Za bardzo ich wydrażono. Może Iris też.

George: *Ale my, pozostali, możemy mieć szansę.*

Tak.

Kalisha, świadoma, że to okrutne, ale konieczne: *A tymczasem możemy ich wykorzystać.*

– Co teraz? – zapytała Katie. – Co teraz, co teraz?!

Przez chwilę nikt nie odpowiadał, ponieważ nikt nie wiedział. Potem odezwał się Avery:

Przednia Połowa. Zabierzmy stamtąd resztę dzieci.

Helen: *I dokąd pójdziemy?*

Rozległ się alarm, wył raz wyżej, raz niżej. Nie zwracali na niego uwagi.

– O to będziemy się martwić później – odparł Nicky. Znowu wziął za rękę Kalishę i George’a. – Najpierw mała zemsta. Naróbmy trochę zniszczeń. Czy komuś z was to przeszkadza?

Nie przeszkadzało nikomu. Jedenastka, która rozpoczęła rewoltę, ponownie złączona dłońmi ruszyła korytarzem w kierunku świetlicy Tylnej Połowy i znajdujących się za nią wind. Mieszkańcy Oddziału A szli za nimi krokiem zombi, być może wabieni magnetyzmem dzieci, które nadal potrafiły myśleć. Buczenie przycichło, zmieniając się w brzęczenie, ale ciągle trwało.

Avery Dixon sięgnął myślami, szukając Luke’a i licząc na to, że znajdzie go w miejscu zbyt odległym, żeby mógł im pomóc. To bowiem oznaczałoby, że chociaż jeden dziecięcy niewolnik Instytutu jest bezpieczny. Istniało spore prawdopodobieństwo, że cała reszta zginie, bo personel tej piekielnej dziury zrobi wszystko, żeby nie pozwolić im uciec.

Wszystko.

27

Trevor Stackhouse był w swoim gabinecie, znajdującym się niedaleko gabinetu pani Sigsby. Chodził tam i z powrotem, zbyt podenerwowany, żeby usiąść, i miał taki pozostać, dopóki nie dostanie wiadomości od Julii. Wiadomość mogła być dobra albo zła, lecz każda byłaby lepsza niż to czekanie.

Rozległ się telefon, ale nie tradycyjny brzęczyk stacjonarnego ani terkot kanciastego aparatu szefa ochrony, tylko nieznośny sprzeciwu podwójny klakson czerwonego telefonu bezpieczeństwa. Ostatnio ten telefon dzwonił przy okazji tego burdelu z Crossem i bliźniaczkami w stołówce. Stackhouse podniósł słuchawkę, zanim jednak zdążył coś powiedzieć, doktor Hallas już bełkotał mu do ucha.

– Wyszli, na pewno ci, którzy oglądają filmy, ale warzywka chyba też, zrobili krzywdę przynajmniej trzem opiekunom, nie, czterem, Corinne mówi, że Phil Chaffitz chyba nie żyje, poraż...

– ZAMKNIJ SIĘ! – wrzasnął Stackhouse do telefonu. A potem, gdy był pewien (nie, nie pewien, po prostu miał nadzieję), że Heckle go słucha, nakazał: – Poukładaj myśli i powiedz mi, co się stało.

Hallas, którego ten wstrząs mniej więcej przywołał do dawnej poczytalności, zrelacjonował to, co zobaczył. Kiedy docierał do końca opowieści, rozległ się główny alarm Instytutu.

– Chryste, Everett, ty to włączyłeś?

– Nie, nie ja, na pewno Joanne. Doktor James. Była w krematorium. Chodzi tam medytować.

Stackhouse o mały włos nie odpłynął myślami, rozkojarzony tym dziwnym obrazem: doktor Heckle siedzącej po turecku przed drzwiami pieca, być może modlącej się o spokój, potem jednak zmusił swój umysł do powrotu do bieżącej sytuacji: dzieci w Tylnej Połowie urządziły jakiś niewydarzony bunt. Jak to się mogło stać? Nigdy wcześniej do czegoś takiego nie doszło. I dlaczego akurat teraz?

Heckle dalej gadał, ale Stackhouse usłyszał już wszystko, czego potrzebował.

– Posłuchaj mnie, Everett. Zbierzcie wszystkie pomarańczowe karty, które zdołacie znaleźć, i spalcie je, dobrze? Spal je!

– Jak... jak mamy...

– Na poziomie E macie piec, do kurwy nędzy! – ryknął Stackhouse. – Chociaż raz wrzucicie tam coś innego niż dzieci!

Rozłączył się, a potem z telefonu stacjonarnego zadzwonił do Fellowesa w pokoju komputerowym. Andy chciał wiedzieć, o co chodzi z alarmem. W jego głosie był strach.

– Mamy problem w Tylnej Połowie, ale panuję nad nim. Prześlij obraz z tamtejszych kamer na mój komputer. Wyświetlaj wszystkie po kolei.

Stackhouse włączył komputer na biurku – czy ten stary rzęch zawsze uruchamiał się tak wolno? – i kliknął na ikonkę KAMERY MONITORINGU.

Zobaczył stołówkę Przedniej Połowy, prawie pustą... kilkoro dzieci na placu zabaw...

– Andy! – krzyknął. – Nie Przednią Połowę, tylko Tylną! Przestań się, kurwa, wygłup...

Obraz się zmienił i Stackhouse przez powłokę kurzu na obiektywie zobaczył Heckle'a kulącego się w swoim gabinecie, do którego właśnie weszła Jeckle, zapewne prosto z przerwanej medytacji. Oglądała się przez ramię.

– Dobrze, już lepiej. Teraz ja się tym zajmę.

Pstryk – Stackhouse przełączył obraz i zobaczył świetlicę opiekunów. Kilkoro chowało się tam za, zapewne zamkniętymi na klucz, drzwiami na korytarz. Z ich strony nie będzie pomocy.

Pstryk – i oto pojawił się główny korytarz z niebieską wykładziną dywanową, na której leżało co najmniej troje opiekunów. Nie, czworo. Jake Howland siedział na podłodze przed salą kinową i przyciskał dłoń do bluzy przesiąkniętej krwią.

Pstryk – i oto stołówka, pusta.

Pstryk – i oto świetlica. Corinne Rawson klęczała obok Phila Chaffitza i bełkotała coś do krótkofalówki. Phil rzeczywiście wyglądał na martwego.

Pstryk – i oto hol przed windą. Drzwi do windy właśnie zaczynały się zamykać. Kabina takiej wielkości jak te do przewozu pacjentów w szpitalach była wyładowana podopiecznymi. Przeważnie nagimi. Czyli to warzywka z Oddziału A. Gdyby Stackhouse zdołał ich tam zatrzymać... uwięzić w windzie...

Pstryk – i przez irytującą warstwę kurzu i brudu zobaczył kilkanaścioro innych dzieci na poziomie E, które kręciły się przed drzwiami windy w oczekiwaniu, aż te się otworzą i wyplują resztę małych buntowników. Znajdowały się przy wylocie tunelu do Przedniej Połowy. Niedobrze.

Szef ochrony podniósł słuchawkę telefonu stacjonarnego i usłyszał w niej tylko ciszę. Fellowes się rozłączył. Przeklinając stracony czas, Stackhouse zadzwonił do niego.

– Możesz wyłączyć zasilanie windy w Tylnej Połowie? Zatrzymać kabinę między piętrami?

– Nie wiem – odpowiedział Fellowes. – Może. Coś na ten temat powinno być w książeczce procedur awaryjnych. Zaraz spr...

Ale było już za późno. Rozsunęły się drzwi windy na poziomie E i uciekinierzy z Warzywniaka wyleźli na zewnątrz, rozglądając się po wyłożonym płytkami holu, jakby było tam co oglądać. To nie wyglądało

dobrze, Stackhouse zobaczył jednak coś jeszcze gorszego. Heckle i Jeckle mogli pozbierać i spalić dziesiątki pomarańczowych kart z Tyłnej Połowy, lecz nic by to nie dało. Jedno z dzieci – ten pokurcz, który pomógł pokojówce zaaranżować ucieczkę Ellisa – trzymało bowiem jedną taką w ręce. Pozwalała otworzyć drzwi do tunelu, a także te po drugiej stronie, do poziomu E w Przedniej Połowie. Jeżeli dzieci dostaną się do Przedniej Połowy, może się zdarzyć wszystko.

Na moment, który ciągnął się w nieskończoność, Stackhouse znieruchomiał. Fellowes skrzeczał mu do ucha, ale jego głos dobiegał z oddali. Bo ten mały srajdek rzeczywiście użył pomarańczowej karty i wprowadził swą wesołą gromadkę do tunelu. Po dwustumetrowym marszu dotrą do Przedniej Połowy. Za ostatnim z uciekinierów zamknęły się drzwi i hol windy na dolnym poziomie pozostał pusty. Stackhouse nacisnął klawisz komputera i ujrzał na ekranie dzieci idące wyłożonym płytkami tunelem.

Do gabinetu wpadł doktor Hendricks, stary dobry Donkey Kong z powiewającymi połami koszuli, niedopiętym rozporkiem i zaczerwienionymi wytrzeszczonymi oczami.

– Co się dzieje? Co...

I jakby tego szaleństwa było jeszcze za mało, właśnie w tym momencie zaczął terkotać kanciasty telefon. Stackhouse uniósł rękę, by uciszyć Hendricksa. Aparat wciąż domagał się odebrania.

– Andy. Są w tunelu. Zbliżają się i mają kartę. Musimy ich zatrzymać. Masz jakiś pomysł?

Spodziewał się tylko kolejnego wybuchu paniki, lecz Fellowes go zaskoczył.

– Chyba mógłbym wyłączyć zamki.

– Co?

– Nie dezaktywuję kart, ale mogę unieruchomić zamki. Szyfry są generowane komputerowo, więc...

– Chcesz powiedzieć, że możesz ich zamknąć w tunelu?

– No tak.

– Zrób to! Natychmiast!

– O co chodzi? – zapytał Hendricks. – Jezu, już miałem iść, a ten alarm...

– Zamknij się – rzucił Stackhouse. – Ale zostań tutaj. Możesz mi być potrzebny.

Kanciasty telefon nadal hałasował. Nie odrywając wzroku od tunelu i maszerujących debili, Stackhouse odebrał. Teraz trzymał po jednej słuchawce przy każdym uchu, jak bohater starej slapstickowej komedii.

– Co? Co?!

– Jesteśmy na miejscu i chłopiec też tu jest – powiedziała pani Sigsby. Jakość połączenia była tak dobra, jakby kobieta dzwoniła z sąsiedniego pokoju. – Spodziewam się, że wkrótce będzie w naszych rękach. – Zawiesiła głos. – Albo będzie martwy.

– Brawo, Julio, tylko że mamy tutaj problem. Doszło do...

– O cokolwiek chodzi, uporaj się z tym. Wkraczamy do akcji natychmiast. Zadzwoń, wyjeżdżając z miasta.

Rozłączyła się. Stackhouse się tym nie przejął, bo jeśli Fellowesowi nie udadzą się czary w komputerze, może Julia nie będzie miała do czego wracać.

– Andy! Jesteś tam jeszcze?

– Jestem.

– Udało ci się?

Stackhouse nagle nabrał straszliwej pewności, że Fellowes oznajmi, że ich stary system komputerowy wybrał sobie właśnie ten moment, żeby się zawiesić.

– Tak. To znaczy prawie na pewno. Mam na ekranie komunikat POMARAŃCZOWE KARTY NIEAKTYWNE WPROWADŹ NOWY KOD AUTORYZACYJNY.

„Pr prawie na pewno” w ustach Fellowesa za cholerę nie uspokoiło Stackhouse’a. Szef ochrony pochylił się w fotelu, splótł palce i obserwował ekran komputera. Dołączył do niego Hendricks, patrzył mu teraz przez ramię.

– O Boże, co oni tam robią?

– Domyślam się, że idą po nas – odpowiedział Stackhouse. – Zaraz się przekonamy, czy im się uda.

Parada potencjalnych uciekinierów opuściła kadr. Stackhouse nacisnął klawisz przełączający kamery, na moment zobaczył Corinne Rawson trzymającą głowę Phila na kolanach, a potem dotarł do ujęcia, o które mu chodziło. Obraz przedstawiał drzwi z tunelu do poziomu F po stronie Przedniej Połowy. Dzieci właśnie tam doszły.

– Chwila prawdy – rzucił.

Zaciskał pięści tak mocno, że miał ślady na dłoniach.

Dixon uniósł pomarańczową kartę i przyłożył ją do czytnika. Poruszył gałkę, ale nic się nie wydarzyło. Trevor Stackhouse wreszcie się odprężył. Obok niego Hendricks głęboko odetchnął, aż buchnęło bourbonem. Picie na służbie było również *verboden* jak noszenie telefonu komórkowego, ale Stackhouse nie zamierzał sobie teraz zawracać tym głowy.

Muchy w słoiku, pomyślał. Tylko tym teraz jesteście, dziewczęta i chłopcy. A jeśli chodzi o to, co teraz się z wami stanie...

To na szczęście nie był jego problem. Ich dalszy los zależał od pani Sigsby, gdy już się upora z komplikacją w Karolinie Południowej.

– Właśnie dlatego tyle ci płacą, Julio.

Osunął się w fotelu i patrzył, jak gromada dzieci – teraz prowadzona przez tego gówniarza Wilholma – cofa się, żeby spróbować otworzyć te drzwi, przez które weszli. Bez skutku. Wilholm odchylił głowę. Otworzył usta. Stackhouse żałował, że nie ma dźwięku, bo chciałby usłyszeć, jak chłopak wrzeszczy z rozpacz.

– Opanowaliśmy problem – zwrócił się do Hendricksa.

– Hm... – mruknął tamten.

Stackhouse obejrzał się na niego.

– Co to ma znaczyć?

– Może nie do końca.

28

Tim położył Luke'owi rękę na ramieniu.

– Jeśli czujesz się już na siłach, naprawdę powinniśmy wrócić i to wszystko wyjaśnić. Damy ci tej coli i...

– Zaraz.

Luke przypatrywał się parze, która szła przez ulicę, trzymając się za ręce. Mężczyzna i kobieta nie zauważyli trójki stojącej u wylotu zaułka Sierotki Annie; ich uwaga koncentrowała się na budynku biura szeryfa.

– Zjechali z autostrady i zabłądzili – powiedziała Wendy. – Założę się o wszystko. Trafiają nam się tacy po parę razy w tygodniu. Wracamy już?

Luke w ogóle jej nie słuchał. Wciąż wyczuwał pozostałe dzieci, które teraz wydawały się zrozpaczone, ale zajmowały miejsce gdzieś w głębi jego umysłu, niczym głosy przebijające się przez szum wentylatora z sąsiedniego pokoju. Ta kobieta... ta w kwiecistej sukience...

Coś się przewraca i mnie budzi. To na pewno puchar, który wygraliśmy na Północno-Wschodnim Turnieju Debat, bo jest największy i robi straszny hałas. Ktoś się nade mną pochyla. Mówię „Mamo”, bo chociaż wiem, że to nie ona, jest kobietą, więc „Mama”, to pierwsze słowo, jakie pojawia się w moim umyśle ciągle pogrążonym we śnie. A ona mówi...

– Jasne – powiedział Luke. – Co tylko chcesz.

– Świetnie! – ucieszyła się Wendy. – To teraz tylko...

– Nie, to ona tak powiedziała. – Wskazał palcem. Para dotarła na chodnik przed budynkiem biura szeryfa. Już nie trzymała się za ręce. Luke w panice spojrzał na Tima szeroko otwartymi oczami. – To jedna z tych, którzy mnie porwali! Drugi raz widziałem ją w Instytucie! W pokoju socjalnym! Oni tu są! Mówiłem wam, że przyjdą, i już tu są!

Luke odwrócił się i popędził do drzwi, których po tej stronie nie zamykano na klucz, żeby Annie późną nocą mogła wejść do środka, gdyby miała ochotę.

– Co... – zaczęła Wendy, ale Tim nie pozwolił jej skończyć.

Pobiegł za chłopcem z pociągu, a w głowie miał myśl, że może mały jednak miał rację co do Norberta Hollistera.

29

– No i co? – Szept Sierotki Annie był nieomal za ostry, by wciąż nazywać go szeptem. – Czy teraz pan Corbett Denton mi wierzy?

Dobosz z początku nie odpowiedział, ponieważ próbował przyswoić to, co widział: trzy vany zaparkowane jeden obok drugiego, a za nimi gromadka kobiet i mężczyzn. Było ich chyba dziewięć osób, dość, żeby skompletować drużynę baseballową. No i Annie miała rację – byli uzbrojeni. Nadszedł już zmierzch, ale w lecie jeszcze długo jest jasno, a poza tym zapaliły się latarnie. Dobosz widział broń krótką w kaburach oraz dwie sztuki broni długiej, chyba HK. Narzędzia do zabijania ludzi. Baseballiści zgromadzili się blisko frontu starego kina, lecz od strony chodnika prawie zupełnie zasłaniała ich ceglana ściana boczna. Wyraźnie na coś czekali.

– Mają zwiadowców! – syknęła Annie. – Widziałeś, jak przechodzili przez ulicę? Idą do biura szeryfa, żeby sprawdzić, ilu tam jest ludzi! Pójdiesz teraz po tę swoją cholerną broń, czy mam zrobić to sama?

Dobosz odwrócił się i po raz pierwszy od dwudziestu lat, może nawet trzydziestu, zerwał się pędem. Wbiegł po schodach do mieszkania nad swoim zakładem i przystanął przed drzwiami na dostatecznie długo, żeby zrobić trzy albo cztery głębokie wdechy. A także zastanowić się nad tym, czy jego serce wytrzyma to obciążenie, czy może po prostu eksploduje.

Sztucer kalibru .30-06, z którego Dobosz zamierzał się zastrzelić w którąś z tych pięknych południowokarolińskich nocy (może już by to zrobił, gdyby raz po raz nie ucinał sobie ciekawych pogawędek z nowym nocnym strażnikiem miasteczka), stał w szafie i był nabity. Podobnie jak

pistolet samopowtarzalny kalibru .45 i rewolwer kalibru .38 na górnej półce.

Corbett Denton wziął wszystkie trzy sztuki broni i zbiegł z powrotem po schodach. Dyszał, pocił się i pewnie cuchnął jak wieprz w saunie, ale po raz pierwszy od lat naprawdę czuł, że żyje. Nasłuchiwał odgłosów strzelaniny, na razie jednak nic się nie działo.

Może to gliniarze, pomyślał, lecz wydawało się to mało prawdopodobne. Gliniarze po prostu by tam weszli, wylegitymowali się i oznajmili, o co im chodzi. Poza tym przyjechaliby czarnymi SUV-ami: chevroletami suburbanami albo cadillacami escalade'ami.

Tak przynajmniej robili w telewizji.

30

Nick Wilholm poprowadził obdartą gromadę zagubionych dziewcząt i chłopców z powrotem pod zamknięte drzwi po stronie Przedniej Połowy. Niektórzy mieszkańcy Oddziału A poszli za nim, inni kręcili się bez celu. Pete Littlejohn znowu zaczął bić się w czubek głowy i wołać „Ja-JA-ja-JA-ja-JA!”. W tunelu było echo, więc jego skandowanie nie tylko irytowało, ale też wręcz doprowadzało do szału.

– Weźmy się za ręce – powiedział Nick. – Wszyscy. – Ruchem brody wskazał snujące się warzywka i dodał: *To ich chyba ściągnie.*

Jak owady do lampy – pomyślała Kalisha. Nie było to zbyt miłe, prawda jednak rzadko taka jest.

Przyszli. W miarę jak każde kolejne dziecko dołączało do kręgu, buczenie stawało się coraz głośniejsze. Ściany tunelu spowodowały, że krąg musiał przybrać raczej kształt kapsuły, ale to nic. Była tam moc.

Kalisha rozumiała, o czym myśli Nicky, nie tylko dlatego, że to odbierała – po prostu nie pozostał im już żaden inny ruch.

Silniejsi razem – pomyślała, a potem głośno powiedziała do Avery'ego: – Aviszon, rozwal ten zamek.

Buczenie nasiliło się tak bardzo, że zmieniło się w ryk sprzężenia zwrotnego. Gdyby którekolwiek z dzieci wciąż jeszcze miało ból głowy, to uciekłyby on w popłochu. Kalishy znowu towarzyszyło to poczucie cudownej siły. Pojawiało się w wieczory z fajerwerkiem, tylko że wtedy było brudne. Teraz było czyste, bo chodziło o nich. Dzieci z Oddziału A milczały, lecz się uśmiechały. One też to czuły. I podobało im się. Kalisha domyślała się, że to najbliższa myśleniu rzecz, jaka je kiedykolwiek spotka.

Od strony drzwi dobiegło ciche skrzypienie. Trochę opadły we framudze i to było wszystko. Avery stał na palcach, wykrzywiając w skupieniu drobną twarzyczkę. Teraz osunął się i wypuścił powietrze.

George: *Nic?*

Avery: *Nic. Myślę, że gdyby drzwi były po prostu zamknięte, mogłoby się nam udać, ale to jest tak, jakby zamka w ogóle nie było.*

– Zdechł – powiedziała Iris. – Zdechł, zdechł, co za pech, to nie grzech, zamek zdechł.

– Jakoś te zamki zamrozili – stwierdził Nicky. *I nie przebijemy się, prawda?*

Avery: *Nie, lita stal.*

– Gdzie jest Superman, kiedy go potrzeba? – mruknął George.

Przesunął dłońmi po policzkach, układając usta w ponury uśmiech.

Helen usiadła, zakryła twarz i zaczęła płakać.

– Do czego my się nadajemy?

Po chwili to powtórzyła, tym razem jako mentalne echo: *Do czego my się nadajemy?*

Nicky spojrzał na Kaliszę. *Jakieś pomysły?*

Nie.

Odwrócił się do Avery'ego. *A ty?*

Avery pokręcił głową.

31

– Co to znaczy „nie do końca”? – zapytał Stackhouse.

Zamiast odpowiedzieć, Donkey Kong przebiegł przez pokój do interkomu na biurku. Obudowę urządzenia pokrywała gruba warstwa kurzu. Stackhouse nigdy go nie użył – przecież nie ogłaszał żadnych potańcówek ani quizów. Doktor Hendricks pochylił się, by obejrzeć prosty panel kontrolny, a później przestawił przełącznik, tak że zapaliła się zielona lampka gotowości.

– Co to znaczy...

Tym razem to Hendricks kazał się zamknąć Stackhouse'owi, a ten, zamiast się zdenerwować, poczuł swoiste uznanie. Cokolwiek kombinował pan doktor, chodziło o coś ważnego.

Hendricks chwycił mikrofon, po czym się zawahał.

– Czy możemy mieć pewność, że zbiegłe dzieci nie usłyszą tego, co powiem? Lepiej nie podsuwać im pomysłów.

– W tunelu nie ma głośników – odparł Stackhouse z nadzieją, że się nie myli. – A Tylna Połowa chyba ma własny system interkomów. Co zamierzasz?

Doktor popatrzył na niego jak na idiotę.

– To, że uwięziliśmy ich ciała, nie oznacza, że umysły też.

O cholera, pomyślał Stackhouse. Zapomniałem, dlaczego te dzieci tutaj są.

– No dobrze, jak to... Nieważne, już widzę. – Hendricks wcisnął guzik z boku mikrofonu, odchrząknął i zaczął mówić: – Uwaga, uwaga. Proszę cały personel o uwagę. Mówi doktor Hendricks. – Przeczesał dłonią rzadkie włosy, przez co jego szalona fryzura stała się jeszcze bardziej szalona. – Z Tylnej Połowy uciekły dzieci, ale nie ma powodu do obaw. Powtarzam, nie ma powodu do obaw. Są uwięzione w tunelu dostępowym między Tylną a Przednią Połową. Mogą jednak spróbować na was wpłynąć, tak jak... – Zawiesił głos i oblizał usta. – Tak jak wpływają na niektórych podczas wykonywania pracy. Mogą próbować was zmusić, żebyście zrobili sobie krzywdę. Albo... cóż... obrócić was przeciwko sobie.

Chryste, pomyślał Stackhouse, to ci dopiero wesoła myśl.

– Posłuchajcie uważnie – ciągnął Hendricks. – Taka mentalna infiltracja może im się udać tylko pod warunkiem, że cel niczego nie podejrzewa. Jeśli coś poczujecie... jeśli rozpoznacie myśli, które nie są wasze... zachowajcie spokój i oprzyjcie się im. Odpędźcie je. Uda się wam to z łatwością. Czasami pomaga mówienie na głos. Mówcie: „Nie słucham cię”.

Już chciał odłożyć mikrofon, ale wziął go szef ochrony.

– Tu mówi Stackhouse. Do personelu Przedniej Połowy: wszystkie dzieci mają natychmiast wrócić do swoich pokoi. Jeśli będą się opierać, użyjcie paralizatorów.

Wyłączył interkom i spojrzał na Hendricksa.

– Może tym małym chujkom w tunelu nawet nie przyjdzie to do głowy. W końcu są tylko dziećmi.

– Och, przyjdzie na pewno – odparł Hendricks. – Bądź co bądź, mają wprawę.

32

Tim wyprzedził Luke'a, kiedy chłopiec otwierał drzwi od strony aresztu.

– Luke, zostań tutaj. Wendy, idziesz ze mną.

– Chyba naprawdę nie myślisz...

– Nie wiem, co myślę. Nie wyciągaj broni, ale miej rozpiętą kaburę.

Biegając krótkim przejściem między czterema pustymi celami, Tim i Wendy usłyszeli męski głos. Brzmiał dosyć przyjemnie. Wręcz sympatycznie.

– Słyszeliśmy z żoną, że w Beaufort są jakieś ciekawe stare budynki, i postanowiliśmy pojechać na skrót, ale nasz GPS trochę dał ciała.

– Kazałam mu się zatrzymać i zapytać o drogę – powiedziała kobieta. Kiedy Tim wszedł do pomieszczenia, zobaczył, że spogląda na męża, zakładając, że blondyn rzeczywiście nim był, z mieszanką rozbawienia i irytacji. – Nie chciał się zgodzić. Mężczyźni zawsze myślą, że wiedzą, dokąd jadą, prawda?

– Proszę posłuchać, jesteśmy teraz trochę zajęci – odparł szeryf John. – I nie mam czasu...

– To ona! – krzyknął Luke zza Tima i Wendy, aż oboje podskoczyli. Pozostali funkcjonariusze obejrżeli się w jego kierunku. Chłopiec przepchnął się obok Wendy z taką siłą, że aż zatoczyła się na ścianę. – To ona spryskała mi czymś twarz, żeby mnie odurzyć! Ty suko, zabiłaś moich rodziców!

Chciał rzucić się biegiem w jej stronę, lecz Tim złapał go za tył koszulki i szarpnął do siebie. Blondyn i kobieta w kwiecistej sukience wyglądali na zaskoczonych i zdezorientowanych. Innymi słowy zupełnie normalnie. Tim miał jednak wrażenie, że na twarzy kobiety przez moment widział coś jeszcze: cień wskazujący na to, że mogła znać Luke'a.

– Chyba zaszła jakaś pomyłka – odezwała się kobieta. Uśmiechnęła się skonsternowana. – Kim jest ten chłopiec? Czy on oszalał?

Chociaż Tim był tu tylko nocnym strażnikiem i miał nim pozostać przez kolejne pięć miesięcy, bez zastanowienia wszedł w tryb policyjny, zupełnie jak wtedy, gdy tamte dzieciaki napadły na Zoney's i postrzeliły Absimila Dobirę.

– Poproszę państwa o dokumenty.

– To chyba nie będzie konieczne, prawda? – odparła kobieta. – Nie wiem, z kim nas pomylił ten chłopiec, ale zabłądził, a kiedy byłam mała, mama zawsze mi powtarzała: „Jeśli się gdzieś zgubisz, spytaj policjanta”.

Szeryf John wstał.

– Mhm, mhm, może i tak, ale w takim razie chętnie pokażą mi państwo prawa jazdy, prawda?

– Oczywiście – zgodził się mężczyzna. – Wyjmę tylko portfel.

Kobieta z rozdrażnioną miną już sięgała do torebki.

– Uważajcie! – krzyknął Luke. – Oni mają broń!

Tag Faraday i George Burkett wyglądali na oszołomionych, Frank Potter i Bill Wicklow – na zdezorientowanych.

– Zaraz, moment! – rzucił szeryf John. – Ręce na widoku!

Kobieta i mężczyzna nie zatrzymali się. Dłoń Michelle Robertson wysunęła się z torebki, ale nie z prawem jazdy, lecz z przydzielonym jej sig sauerem nightmare micro. Denny Williams nie sięgnął po portfel, ale za plecy, po glocka wetkniętego za pasek. Szeryf i zastępca Faraday również sięgali po służbową broń, lecz byli wolni, bardzo wolni.

W przeciwieństwie do Tima. Ten wyciągnął pistolet Wendy z jej kabury i wycelował go oburącz.

– Rzućcie broń! Rzućcie!

Nie rzucili. Gdy Robertson wymierzyła w Luke'a, Tim oddał do niej jeden strzał, który cisnął ją na duże podwójne drzwi biura szeryfa z taką siłą, że matowe szkło nadpękło.

Williams przyklęknął na jedno kolano i wycelował do Tima, a on zdążył tylko pomyśleć: Gość jest zawodowcem, a ja nie żyję. Ale pistoletem mężczyzny szarpnęło do góry, jakby ktoś pociągnął za niewidzialny sznurek, i kula przeznaczona dla Tima trafiła w sufit. Szeryf John kopnął blondyna w skroń, powalając go na podłogę. Billy Wicklow nadepnął mu na nadgarstek.

– Puść to, skurwysynu, natychmiast to...

Właśnie wtedy pani Sigsby, która zrozumiała, że sprawy źle się mają, poleciała Louisowi Grantowi i Tomowi Jonesowi otworzyć ogień z ciężkiej broni. Williams i Robertson nie byli ważni.

Ważny był chłopak.

33

Dwa karabinki HK37 wypełniły spokojny dotąd wieczór w DuPray grzmotem. Grant i Jones puścili serię po ceglanym froncie budynku biura szeryfa, wzbijając chmurki różowoczerwonego pyłu, tłukąc szyby w oknach i drzwiach. Stali na chodniku; reszta zespołu złotego rozlokowała się za nimi na jezdni. Jedynym wyjątkiem był doktor Evans, stojący z boku i zakrywający uszy.

– Tak jest! – zawołała Winona Briggs. Przeskakiwała z nogi na nogę, jakby potrzebowała iść do toalety. – Zatłuc ich!

– Naprzód! – krzyknęła pani Sigsby. – Wszyscy naprzód! Bierzcie chłopca albo go zabijcie. Bierzcie albo...

A potem dobiegło zza ich pleców:

– Nigdzie nie pójdziecie, paniusiu. Przysięgam na Pana Jezusa, że jak tylko spróbujecie, to jesteście trupy. Wy dwaj tam z przodu, rzucić pukawki, i to szybko.

Louis Grant i Tom Jones odwrócili się, lecz nie odrzucili karabinków.

– Raz-dwa, chłopcy, albo już po was – powiedziała Annie. – To nie żarty. Przyjechaliście na Południe.

Mężczyźni spojrzeli po sobie, a potem ostrożnie odłożyli broń na chodnik.

Pani Sigsby zobaczyła pod obwisłym szyldem kina Brylant dwoje przedziwnych sprawców tej zasadzki: grubego łysego mężczyznę w górze od piżamy oraz kobietę o rozwichrzonej fryzurze, ubraną chyba w meksykańskie poncho. Mężczyzna miał sztucera. Kobieta w ponchu trzymała w jednej ręce pistolet samopowtarzalny, a w drugiej rewolwer.

– A teraz niech reszta robi to samo – nakazał Dobosz Denton. – Jesteście otoczeni.

Pani Sigsby spojrzała na tych dwoje kmiotków przed opuszczonym kinem i w jej głowie pojawiła się zarazem prosta i dojmująca myśl: Czy to się nigdy nie skończy?

Odgłos wystrzału z posterunku szeryfa, krótka przerwa, potem kolejny. Kiedy kmiotki spojrzały w tamtym kierunku, Grant i Jones schylili się po broń.

– Ani mi się ważcie! – krzyknęła kobieta w ponchu.

Robin Lecks, która nie tak dawno temu zastrzeliła ojca Luke'a przez poduszkę, wykorzystała tę krótką chwilę, żeby dobyć sig sauera micro. Pozostali członkowie zespołu złotego padli na ziemię, żeby dać Grantowi i Jonesowi pole do strzału. Takiej reakcji ich uczono. Pani Sigsby stała w miejscu, jakby gniew na tę niespodziewaną trudność miał ją ochronić.

34

Kiedy rozpoczynała się konfrontacja w Karolinie Południowej, Kalisha i jej niepocieszeni przyjaciele siedzieli zgarbieni przy drzwiach do Przedniej Połowy. Drzwi nie chciały się otworzyć, ponieważ Iris miała rację: zamek zdechł.

Nicky: *Może jeszcze da się coś zrobić. Załatwmy personel w Przedniej Połowie, tak jak załatwiliśmy czerwonych opiekunów.*

Avery kręcił głową. Mniej przypominał małego chłopca, a bardziej znużonego starca.

Próbowałem. Sięgnąłem do Gladys, bo jej nienawidzę. Jej i tego jej fałszywego uśmiechu. Powiedziała, że nie będzie słuchać, i mnie odepchnęła.

Kalisha spojrzała na dzieci z Oddziału A, które znowu się rozeszły, zupełnie jakby miały dokąd iść. Jedna z dziewcząt robiła gwiazdy, chłopiec w brudnych spodenkach i porwanym T-shircie lekko uderzał głową o ścianę, Pete Littlejohn nadal powtarzał „Ja-ja”. Wszystkie jednak przyszyłyby na wezwanie i miały w sobie mnóstwo mocy. Dziewczyna wzięła Avery’ego za rękę.

– Wszyscy razem...

– Nie – powiedział chłopiec. *Może spravimy, że będzie im trochę dziwnie, zakręci im się w głowie i zrobi bardzo niedobrze...* – Ale nic więcej.

Kalisha: *Dlaczego? Skoro mogliśmy zabić tego faceta od bomb w Afganistanie...*

Avery: *Bo facet od bomb o niczym nie wiedział. Kaznodzieja, ten Westin, też nie wie. Kiedy wiedzą...*

George: *...mogą nas odeprzeć.*

Avery przytaknął.

– To co możemy zrobić? – zapytała Helen. – Cokolwiek?

Avery pokręcił głową.

Nie wiem.

– Jest jedna rzecz – rzuciła Kalisha. – My tu utkwiliśmy, ale znamy kogoś, kto jest na zewnątrz. Tylko że będą nam potrzebni wszyscy. – Ruchem głowy wskazała błakających się zbiegów z Oddziału A. – Wezwijmy ich.

– Sam nie wiem, Sha – powiedział Avery. – Jestem już zmęczony.

– Jeszcze tylko to – namawiała.

Avery westchnął i wyciągnął ręce. Kalisha, Nicky, George, Helen i Katie złączyli się. Po chwili doszła też Iris. Pozostali znowu zaczęli sunąć w ich stronę. Ponownie utworzyli kapsułkowy kształt i buczenie się nasiliło. W Przedniej Połowie opiekunowie i technicy poczuli to i zaczęli się bać, ale nie byli adresatami tej mocy. Dwa tysiące trzysta kilometrów dalej Tim właśnie wpakował Michelle Robertson kulkę między piersi, Grant i Jones podnosili karabinki, żeby pokryć ogniem front budynku biura szeryfa, Billy Wicklow przydeptywał rękę Denny’ego Williamsa, a szeryf John stał obok niego.

Dzieci z Instytutu zawołały do Luke’a.

Luke wcale nie myślał o sięgnięciu umysłem i poderwaniu lufy pistoletu blondyna – po prostu to zrobił. Światła Stasi wróciły, na moment przesłaniając wszystko. Gdy zaczęły gasnąć, zobaczył, że jeden z zastępców szeryfa stoi na nadgarstku Denny’ego, usiłując zmusić go do wypuszczenia broni. Blondyn wykrzywił usta w grymasie bólu, z boku twarzy płynęła mu krew, ale mocno trzymał pistolet. Szeryf zrobił zamach nogą, chyba chcąc ponownie kopnąć go w głowę.

Chłopiec zobaczył to wszystko, potem jednak Światła Stasi wróciły, jaśniejsze niż kiedykolwiek, a głosy przyjaciół uderzyły go niczym młot w sam środek głowy. Zatoczył się do tyłu przez drzwi do aresztu, unosząc dłonie jak człowiek osłaniający się przed ciosem, i potknął się o własne nogi. Wylądował na pupie w tej samej chwili, kiedy Grant i Jones otworzyli ogień z broni automatycznej.

Widział, że Tim rzuca się na Wendy, by powalić ją na podłogę, i osłania ją własnym ciałem. Widział, jak kule przeszywają szeryfa i jego zastępcę, który deptał rękę blondyna. Obaj runęli na podłogę. Fruwało szkło. Ktoś krzyczał. Luke’owi wydawało się, że to Wendy. Z zewnątrz do jego uszu dobiegł głos dziwnie przypominający głos pani Sigsby, mówiący coś, co brzmiało jak „Wszyscy naprzód”.

Dla Luke’a, oszołomionego podwójną dawką Świateł Stasi i połączonymi głosami przyjaciół, świat jakby zwolnił. Chłopiec zobaczył, że jeden z pozostałych zastępców szeryfa – ranny, krew spływała mu po ramieniu – okręcił się w kierunku zniszczonych głównych drzwi, zapewne chcąc sprawdzić, kto strzela. Zdawał się poruszać bardzo powoli. Blondyn właśnie podnosił się na kolana, również bardzo wolno. To było jak oglądanie podwodnego baletu. Blondyn strzelił zastępcy w plecy i właśnie obracał się w stronę Luke’a. Teraz już szybciej, bo świat znowu przyspieszał. Zanim jednak zdążył pociągnąć za spust, rudowłosa zastępca szeryfa pochylił się, prawie skłonił, i strzelił mu prosto w skroń. Blondyn poleciał w bok i wylądował na kobiecie, która podawała się za jego żonę.

Jakaś kobieta na zewnątrz – nie ta, która brzmiała jak pani Sigsby, tylko inna, z południowym akcentem – krzyknęła:

– Ani mi się waźcie!

Znowu rozległy się strzały, po czym tamta pierwsza zawołała:

– Chłopiec! Musimy dopaść chłopca!

To ona, pomyślał Luke. Nie wiem, jak to możliwe, ale to ona. Tam jest pani Sigsby.

Robin Lecks dobrze strzelała, ale zmierzch gęstniał, a odległość dla pistoletu tak małego jak sig sauer micro była duża. Jej kula trafiła Dobosza Dentona wysoko w ramię, zamiast w głowę. Impet pchnął go za zabita deskami kasę kina, a dwa następne pociski chybiły. Sierotka Annie nie drgnęła. Tak wśród trzciny Georgii wychował ją ojciec, który mówił: „Masz się nie cofać, mała, choćby nie wiem co”. Jean Ledoux był świetnym strzelcem, zarówno na trzeźwo, jak i po pijaku, i dobrze ją nauczył. Otworzyła ogień z obu sztuk broni krótkiej Dobosza, zupełnie bez namysłu kompensując silniejszy odrzut czterdziestki i półki. Powaliła jednego z mężczyzn z karabinkami (to był Tony Fizzale, który miał już nigdy nie wziąć do ręki paralizatora), nie zważając na trzy czy cztery kule, które śmignęły obok niej, nawet na tę, która zalotnie otarła się o brzeg jej poncha.

Dobosz otrząsnął się i wycelował w kobietę, która go postrzeliła. Robin klękała na jedno kolano pośrodku ulicy i przeklinała zaciętego siga. Denton przyłożył sztucer do niekrwawiącego ramienia i do końca ją powalił.

– Przestańcie strzelać! – wrzeszczała pani Sigsby. – Musimy dopaść chłopca! Musimy być pewni! Tom Jones! Alice Green! Louis Grant! Zaczekajcie na mnie! Josh Gottfried! Winona Briggs! Trzymać szyk!

Dobosz i Annie wymienili spojrzenia.

– Strzelamy dalej czy nie? – zapytała Annie.

– Chuj wie – odparł Dobosz.

Tom Jones i Alice Green oskrzydłali sponiewierane drzwi biura szeryfa. Josh Gottfried i Winona Briggs szli tyłem, oskrzydając panią Sigsby i celując do niespodziewanych napastników, którzy wzięli ich przez zaskoczenie. Doktor James Evans, któremu nie przydzielono żadnej pozycji, przydzielił ją sobie sam. Minął panią Sigsby, po czym zbliżył się do Dobosza i Annie z rękami w górze oraz pojednawczym uśmiechem na ustach.

– Wracaj tu, głupcze! – warknęła pani Sigsby.

Zlekceważył ją.

– Nie jestem w to zamieszany – powiedział, zwracając się do grubasa w górze od piżamy, który z dwójki sprawców zasadzki sprawiał wrażenie bardziej poczytalnego. – Nigdy nie chciałem w tym uczestniczyć, więc chyba po prostu...

– Siadaj pan – rzuciła Annie i postrzeliła go w stopę.

Była na tyle troskliwa, że użyła w tym celu trzydziestkiósemki, powodującej mniejsze obrażenia. Przynajmniej teoretycznie.

Została tylko kobieta w czerwonym kostiumie ze spodniami, ta, która tu dowodziła. Gdyby znowu wybuchła strzelanina, pewnie krzyżowy ogień rozerwałby ją na strzępy, lecz nie okazywała strachu, a jedynie coś w rodzaju koncentracji wkurzonego człowieka.

– Wejść teraz do biura szeryfa – zwróciła się do Dobosza i Sierotki Annie. – Nie ma potrzeby kontynuować tego nonsensu. Stójcie, jak stoicie, a nic się wam nie stanie. Jeżeli otworzycie ogień, Josh i Winona was zlikwidują. Zrozumiano?

Nie czekała na odpowiedź, po prostu odwróciła się i ruszyła w kierunku pozostałych jeszcze członków swojego oddziału, stukając niskimi obcasami po asfalcie.

– Dobosz? – odezwała się Annie. – Co robimy?

– Może nie musimy robić nic. Popatrz w lewo. Nie obracaj głowy, rusz tylko oczami.

Annie posłuchała i zobaczyła, że chodnikiem gna jeden z braci Dobirów. Trzymał pistolet. Później miał wyjaśnić policji stanowej, że chociaż są z bratem spokojnymi ludźmi, po napadzie uznali, że rozsądnie będzie trzymać w sklepie broń.

– A teraz w prawo. Też nie ruszaj głową.

Z przeciwnej strony zbliżali się wdowa Goolsby i pan Bilson, ojciec bliźniaków Bilsonów. Addie Goolsby miała na sobie szlafrok i kapcie. Richard Bilson był ubrany w madrasowe szorty w kratę i czerwoną koszulkę drużyny Alabama Crimson Tide. Oboje trzymali sztucery myśliwskie. Grupa przed posterunkiem nie widziała ich, skupiona na załatwieniu sprawy, z którą przybyła.

Przyjechaliście na Południe – powiedziała wcześniej Annie tym uzbrojonym intruzom. Czują, że zaraz się przekonają, jak prawdziwe były to słowa.

– Tom i Alice – rzuciła pani Sigsby. – Wchodźcie. Koniecznie dorwicie chłopca.

Weszli.

37

Tim pomógł Wendy wstać. Wyglądała na oszołomioną, nie bardzo wiedziała, gdzie jest. W jej włosach utknął strzępek papieru z niszczarki. Strzelanina na dworze ucichła, przynajmniej chwilowo. Zastąpiła ją

rozmowa, ale Timowi dzwoniło w uszach i nie rozumiał słów. Zresztą to bez znaczenia. Tam, na zewnątrz, zawierali pokój, to dobrze. Rozsądnie jednak przygotować się na dalszą wojnę.

– Wendy, wszystko w porządku?

– Oni... Tim, oni zabili szeryfa Johna! I ilu innych?

Tim nią potrząsnął.

– Czy z tobą wszystko w porządku?

Kiwnęła głową.

– T-tak. Chyba t...

– Wyprowadź Luke'a tyłem.

Wendy wyciągnęła rękę w stronę chłopca. Uchylił się i pobiegł w kierunku biurka szeryfa. Tag Faraday spróbował go chwycić za ramię, ale jemu również Luke się wywinął. Laptop leżał na boku, bo otarła się o niego kula, ale na ekranie, co prawda popękany, wciąż wyświetlał się pulpit, a pomarańczowa lampka pendrive'a miarowo migała. Luke'owi także dzwoniło w uszach, teraz jednak znajdował się blisko drzwi i usłyszał, jak pani Sigsby mówi: „Koniecznie dorwijcie chłopca”.

O ty suko, pomyślał. Ty zawzięta suko.

Złapał laptopa i padł na kolana, przyciskając komputer do piersi, kiedy Alice Green i Tom Jones weszli przez roztrzaskane podwójne drzwi. Tag podniósł pistolet, lecz dostał serią z HK, zanim zdążył oddać strzał. Kule rozszarpały tył jego mundurowej koszuli. Glock wypadł mu z ręki i poleciał po podłodze. Frank Potter, jedyny zastępca szeryfa, który został jeszcze na placu boju, nawet się nie bronił. Stał z wyrazem szoku i niedowierzania na twarzy. Alice Green strzeliła mu raz w głowę, a potem dała nurka, kiedy za nimi na ulicy znowu wybuchła kanonada. Rozległy się krzyki, ktoś wrzasnął z bólu.

Strzelanina i wrzask na moment zdekoncentrowały mężczyznę z karabinkiem HK. Jones obrócił się w stronę dźwięków i wtedy Tim strzelił do niego dwa razy – trafił raz w kark, a raz w głowę. Alice Green wyprostowała się, ruszyła naprzód i z zawziętością na twarzy przestąpiła nad Jonesem. W tym momencie Tim zobaczył drugą kobietę wkraczającą za nią do budynku. Starszą, ubraną w czerwony kostium ze spodniami i również z bronią w ręku. Chryste Panie, pomyślał, ilu ich jest? Przysłali całą armię po jednego małego chłopca?

– Alice, on jest za biurkiem – odezwała się starsza kobieta. Biorąc pod uwagę rzeź dokoła, jej głos był upiornie spokojny. – Widzę wystający bandaż na jego uchu. Wyciągnij go i zastrzel.

Kobieta o imieniu Alice obesza biurko. Tim nie zawracał sobie głowy wołaniem, żeby się zatrzymała – na takie rzeczy było już za późno – tylko pociągnął za spust glocka Wendy. Broń jedynie pstryknęła, chociaż w magazynku powinien być jeszcze co najmniej jeden nabój, a pewnie nawet dwa. Nawet w tym dramatycznym momencie rozumiał przyczynę: Wendy nie do końca uzupełniła magazynek po ostatnim ćwiczeniu na strzelnicy w Dunning. Takie rzeczy nie miały dla niej zbyt wysokiego priorytetu. Zdążyło mu nawet przemknąć przez głowę – tak jak w pierwszych dniach pobytu w DuPray – że Wendy nigdy nie nadawała się na policjantkę.

Powinna była zostać w dyspozytorni, pomyślał, ale teraz już za późno. Chyba wszyscy zginiemy.

Luke wstał zza biurka, trzymając oburącz laptopa. Zamachnął się nim i uderzył Alice Green prosto w twarz. Popękany ekran się rozprysł. Green zatoczyła się do tyłu prosto na kobietę w czerwonym kostiumie; krwawiła z nosa i ust. Potem znowu podniosła pistolet.

– Rzuć to, rzuć to, rzuć to! – wrzasnęła Wendy.

Zdążyła podnieść glocka Taga Faradaya.

Green nie zwracała na nią uwagi. Celowała do Luke'a, który zamiast się chować, z gniazdka laptopa wyciągał pendrive'a Maureen. Wendy strzeliła trzy razy, mrużąc oczy i krzycząc przeszywająco przy każdym pociągnięciu za spust. Pierwsza kula trafiła Alice Green tuż powyżej nasady nosa. Druga przeszła przez jedną z dziur w drzwiach, gdzie jeszcze sto pięćdziesiąt sekund wcześniej była matowa szyba.

Trzecia trafiła Julię Sigsby w nogę; ta osunęła się na podłogę z wyrazem niedowierzania na twarzy, a broń wypadła jej z ręki.

– Postrzeliłaś mnie. Dlaczego mnie postrzeliłaś?

– Głupia jesteś? Jak myślisz? – odpowiedziała Wendy. Gdy podchodziła do kobiety siedzącej pod ścianą, pod jej butami chrzęściło potłuczone szkło. Powietrze cuchnęło prochem i całe biuro szeryfa, niegdyś uporządkowane, a teraz pogrążone w chaosie, było wypełnione pełzającym siwym dymem. – Kazałaś im zastrzelić chłopaka.

Pani Sigsby rzuciła jej uśmiech typowy dla ludzi zmuszonych przestawać z głupcami.

– Nie rozumiesz. No bo jak? On należy do mnie. Jest własnością.

– Już nie – powiedział Tim.

Luke przyklęknął obok pani Sigsby. Policzki miał ochlapane krwią, w brwi tkwił odłamek szkła.

– Komu zostawiła pani kierowanie Instytutem? Stackhouse'owi?
Właśnie jemu?

Tylko na niego spojrziała.

– Stackhouse'owi?!

Nic.

Do środka wszedł Dobosz Denton i rozejrzał się. Górę od piżamy miał z jednej strony przesiąkniętą krwią, mimo to wydawał się nadzwyczaj przytomny. Gutaale Dobira zaglądał mu przez ramię, szeroko otwierając oczy.

– Jasna cholera – odezwał się Dobosz. – Prawdziwa masakra.

– Musiałem zastrzelić człowieka – powiedział Gutaale. – Pani Goolsby strzelała do kobiety, która chciała strzelić do niej. To zdecydowanie było w samoobronie.

– Ilu jest na zewnątrz? – zapytał Tim. – Wszyscy unieszkodliwieni czy jeszcze ktoś czynny?

Annie odepchnęła na bok Gutaalego Dobirę i stanęła obok Dobosza. W tym swoim ponchu, z dymiącą bronią w każdej ręce, wyglądała jak postać ze spaghetti westernu. Tim wcale się nie zdziwił. Był już niezdolny do dziwienia się.

– Sądzę, że wszyscy ludzie z vanów zostali zneutralizowani – odparła Annie. – Dwoje rannych, jeden z kulą w stopie, a drugi poważnie. To ten, do którego strzelił Dobira. Reszta sukinsynów chyba poginęła tutaj. – Rozejrzała się po pomieszczeniu. – Chryste, w biurze szeryfa w ogóle ktoś został?

Wendy, pomyślał Tim, ale tego nie powiedział. Teraz to chyba ona będzie pełnić obowiązki szeryfa. Albo może Ronnie Gibson, kiedy wróci z urlopu. Pewnie Ronnie. Wendy nie zechce tej pracy.

Addie Goolsby i Richard Bilson stali teraz razem z Gutaalem za Annie i Doboszem. Bilson z trwogą rozejrzał się po sali – podziurawione kulami ściany, kałuże krwi na podłodze, rozrzucone ciała – i zakrył dłonią usta.

Addie była ulepiona z twardszej gliny.

– Doktor już idzie. Na ulicę wyległo pół miasta, w większości z bronią. Ta kobieta, do której strzeliłam, pewnie nie żyje, ale to było tak, jak mówił pan Dobira: po prostu samoobrona. Co tu się stało? I kto to jest? – Wskazała chudego chłopca z zabandażowanym uchem.

Luke na nią nie zważał. Koncentrował się na kobiecie w czerwonym kostiumie.

– Na pewno Stackhouse'owi. Oczywiście. Muszę się z nim skontaktować. Jak mogę to zrobić?

Pani Sigsby tylko na niego patrzyła. Tim przyklęknął obok Luke'a. W oczach kobiety widział ból, niedowierzanie i nienawiść. Nie był pewien, które z tych uczuć dominuje, ale gdyby musiał zgadywać, powiedziałaby, że nienawiść. Ona zawsze jest najsilniejsza, przynajmniej na krótką metę.

– Luke...

Chłopiec nie słuchał. Cała jego uwaga skupiona była na rannej kobiecie.

– Pani Sigsby, muszę się z nim skontaktować. On więzi moich przyjaciół.

– Oni nie są więźniami, oni są własnością!

Dołączyła do nich Wendy.

– Chyba w szkole przegapiła pani lekcję o tym, jak Lincoln uwolnił niewolników.

– Przyjeżdżacie do naszego miasta, strzelacie do ludzi – odezwała się Annie. – Dostaliście nauczkę, co?

– Annie, cśś – upomniała ją Wendy.

– Muszę się z nim skontaktować. Muszę się z nim dogadać. Niech mi pani powie, jak mam to zrobić.

Sigsby nie odpowiedziała, więc Luke wsadził kciuk w dziurę po kuli w jej czerwonych spodniach. Kobieta zawyła.

– Nie! Błagam, to BOLI!

– Porażenie paralizatorem boli! – krzyknął Luke. Odłamki szkła zaszurały po podłodze, tworząc małe strużki. Annie patrzyła zafascynowana. – Zastrzyki bolą! Podtapianie boli! A rozrywanie umysłu? – Znowu wcisnął kciuk w ranę po kuli. Drzwi do aresztu zatrzasnęły się, aż wszyscy podskoczyli. – Niszczenie umysłu? To boli najbardziej ze wszystkiego!

– Każcie mu przestać! – wrzasnęła pani Sigsby. – Niech on przestanie mi robić krzywdę!

Wendy pochyliła się, by odciągnąć Luke'a. Tim pokręcił głową i złapał ją za ramię.

– Nie.

– To ten spisek – szepnęła Annie do Dobosza. Oczywiście miała wielkie. – Ta kobieta pracuje w spisku. I oni wszyscy też! Od początku wiedziałam, mówiłam, ale nikt mi nie wierzył!

Dzwonienie w uszach Tima zaczynało słabnąć. Nie słyszał syren, co go nie dziwiło. Stanowi pewnie nawet nie wiedzieli, że w DuPray doszło do strzelaniny, przynajmniej na razie. A gdyby ktoś zadzwonił pod 911, dodzwoniłby się nie do patrolu drogowego Karoliny Południowej, tylko do

szeryfa hrabstwa Fairlee – czyli prosto w ten kocioł. Tim zerknął na zegarek i z niedowierzaniem stwierdził, że cały świat był poukładany jeszcze pięć minut temu. Góra sześć.

– Pani Sigsby, prawda? – zapytał, klękając obok Luke’a. Kobieta w czerwonym kostiumie milczała. – Ma pani teraz nie lada kłopoty. Radzę, żeby powiedziała pani Luke’owi to, o co pyta.

– Musi się mną zająć lekarz.

Tim pokręcił głową.

– Musi pani zacząć gadać. Wtedy pomyślimy o lekarzu.

– Luke mówił prawdę – odezwała się Wendy właściwie do nikogo konkretnego. – O wszystkim.

– Przecież właśnie to wam powiedziałam – niemal zaskrzeczała Annie.

Do pomieszczenia precyzyjnie się doktor Roper.

– Święty Jezu w dzień Zmartwychwstania! – jęknął. – Kto tu jeszcze żyje? Czy ta kobieta jest poważnie ranna? Czy to był atak terrorystyczny?

– Oni mnie torturują – oznajmiła pani Sigsby. – Jeśli jest pan lekarzem, na co wskazywałaby ta czarna torba, ma pan obowiązek zmusić ich, żeby przestali.

– Doktorze – odezwał się Tim – chłopiec, którego pan wcześniej opatrywał, uciekł właśnie przed tą kobietą i grupą pościgową, którą tu sprowadziła. Nie wiem, ilu martwych jest na zewnątrz, ale tutaj straciliśmy pięć osób, w tym szeryfa, i to wszystko z jej rozkazu.

– O tym pomyślimy później – rzucił Roper. – Teraz muszę się nią zająć. Ona krwawi. Niech ktoś wezwie karetkę, do cholery.

Pani Sigsby spojrzała na Luke’a, obnażyła zęby w uśmiechu, który mówił „Wygrałam”, a potem znowu popatrzyła na lekarza.

– Dziękuję, panie doktorze. Dziękuję.

– Baba ma werwę – powiedziała Annie nie bez uznania. – Tamten gość, co go postrzeliłam w stopę, chyba już mniej. Na pana miejscu poszłabym do niego. Myślę, że sprzedałby w niewolę własną babkę za zastrzyk morfiny.

Przerażona pani Sigsby szeroko otworzyła oczy.

– Zostawcie go w spokoju. Zabraniam wam z nim rozmawiać.

Tim się podniósł.

– Możesz sobie zabraniać, paniusiu. Nie wiem, dla kogo pani pracuje, ale myślę, że już nigdy więcej nie porwie pani żadnego dziecka. Wendy, chodź ze mną.

W całym miasteczku w domach paliły się światła, a na głównej ulicy roiło się od ludzi. Ciała zabitych przykrywano tym, co było pod ręką. Ktoś wziął z zaułka śpiwór Sierotki Annie i zasłonił nim zwłoki Robin Lecks.

O doktorze Evansie całkiem zapomniano. Spokojnie mógłby dokuśtykać do któregoś z zaparkowanych vanów i uciec, ale nawet nie próbował. Tim, Wendy i Luke zastali go siedzącego na krawężniku przed kinem Brylant. Jego policzki lśniły od łez. Udało mu się ściągnąć but i teraz przyglądał się zakrwawionej skarpetce zakrywającej, jak się wydawało, poważnie zdeformowaną stopę. Na ile w grę wchodziło uszkodzenie kości, a na ile opuchlizna, która w końcu zejdzie, tego Tim nie wiedział i nie obchodziło go to.

– Jak się pan nazywa? – zapytał Tim.

– Nieważne, jak się nazywam. Chcę adwokata. I lekarza. Postrzeliła mnie jakaś kobieta. Trzeba ją aresztować.

– Nazywa się James Evans – powiedział Luke. – I sam jest lekarzem. Zupełnie jak Josef Mengele.

Evans jakby dopiero teraz zauważył chłopca. Wycelował w niego drżący palec.

– To wszystko twoja wina.

Luke rzucił się na niego, ale tym razem Tim go przytrzymał i delikatnie, lecz stanowczo popchnął w stronę Wendy, która chwyciła go za ramiona.

Tim przykucnął, by spojrzeć blademu, przerażonemu mężczyźnie prosto w oczy.

– Niech mnie pan posłucha, doktorze Evans. I to z uwagą. Pan i pańscy koledzy wjechaliście sobie do tego miasta, żeby porwać chłopca, i zabiliście pięć osób. Samych stróżów prawa. Może pan o tym nie wie, ale w Karolinie Południowej mają karę śmierci, a jeśli pan myśli, że nie sięgną po nią, i to szybko, za zabicie szeryfa i jego zastępców...

– Nie miałem z tym nic wspólnego! – zaskrzeczał Evans. – Przywieziono mnie tutaj wbrew woli! Ja...

– Zamknij się! – przerwała mu Wendy. Wciąż trzymała w ręce glocka zabitego Taga Faradaya i teraz wycelowała broń w nadal obutą stopę Evansa. – Ci ludzie byli moimi przyjaciółmi. Jeśli myślisz, że odczytam ci prawa i tak dalej, to chyba oszalałeś. A jeżeli nie powiesz Luke'owi tego, co ci każe, wpakuję ci kulkę w drugą...

– Dobrze! Dobrze! Tak! – Evans zgiął się i zasłonił zdrową stopę ochronnym gestem, tak że Timowi prawie zrobiło się go żal. Prawie. – O co chodzi? Co chcesz wiedzieć?

– Muszę porozmawiać ze Stackhouse'em – powiedział Luke. – Jak mogę to zrobić?

– Jej telefon. Ona ma specjalny telefon. Dzwoniła do niego, zanim rozpoczęli... no, wiecie... próbę wydobywania. Widziałem, jak chowa go do kieszeni.

– Pójdę po niego – zaoferowała się Wendy.

– Nie idź tylko po telefon – rzucił Luke. – Idź po nią.

– Luke... ona została postrzelona.

– Może być nam potrzebna. – Spojrzenie chłopca było lodowate.

– Dlaczego?

Bo teraz zaczęły się szachy, pomyślał, a w szachach człowiek nigdy nie żyje bieżącym posunięciem ani nawet tym następnym. Trzy ruchy do przodu, taka jest zasada. I do każdego z nich po trzy zapasowe rozwiązania, w zależności od tego, co zrobi przeciwnik.

Wendy spojrzała na Tima; ten kiwnął głową.

– Przeprowadź ją. Jeśli trzeba, skuj kajdankami. W końcu ty tu stanowisz prawo.

– Jezu, co za myśl – powiedziała i poszła.

Teraz Tim wreszcie usłyszał syrenę. Może nawet dwie. Wciąż jednak były daleko.

Luke złapał go za nadgarstki. Wydawał się w pełni skupiony, w pełni świadomy, a przy tym śmiertelnie zmęczony.

– Nie mogę tu teraz utknąć. Oni mają moich przyjaciół, którzy są uwięzieni, i nikt poza mną im nie pomoże.

– Uwięzieni w tym Instytucie.

– Tak. Teraz mi wierzysz, prawda?

– Trudno nie wierzyć po tym, co zobaczyłem na pendrivie i co się tutaj wydarzyło. Właśnie, masz jeszcze pendrive'a?

Luke poklepał się po kieszeni.

– Pani Sigsby i ludzie, którzy z nią pracują, chcą zrobić twoim przyjaciołom coś takiego, że skończą jak te dzieci na filmie?

– Już to robili, ale moi przyjaciele uciekli. Głównie dzięki Avery'emu, który trafił tam dlatego, że pomógł mi się wydostać. To się chyba nazywa ironia losu. Ale teraz chyba znowu zostali uwięzieni. Boję się, że Stackhouse ich zabije, jeżeli się z nim nie dogadam.

Właśnie wracała Wendy. Niosła jakieś kanciaste urządzenie, które pewnie było telefonem. Na wierzchu dłoni, w której je trzymała, znajdowały się trzy krwawiące zadrapania.

– Nie chciała oddać. Jest zaskakująco silna, chociaż dostała kulkę. – Wendy podała aparat Timowi, a potem obejrzała się przez ramię.

Sierotka Annie i Dobosz Denton podtrzymywali panią Sigsby, prowadząc ją przez ulicę. Choć była blada i zboląła, opierała im się, jak tylko mogła. Za nimi ciągnęło się ze czterdziestu mieszkańców DuPray z doktorem Roperem na czele.

– Timmy, oto ona – oznajmiła Sierotka Annie. Ciężko dyszała, a na policzku i skroni miała czerwony ślad dłoni po uderzeniu pani Sigsby, sprawiała jednak wrażenie zupełnie opanowanej. – Co mamy z nią zrobić? Powieszenie pewnie odpada, ale to byłaby całkiem przyjemna perspektywa.

Doktor Roper odstawił czarną torbę, chwycił Annie za poncho i odciągnął na bok, żeby stanąć przed Timem.

– Co wy, na Boga, zamierzacie? Tej kobiety nie można nigdzie przewieźć! Zabijecie ją!

– Chyba tak prędko nie kipnie, doktoru – stwierdził Dobosz. – Tak mnie strzeliła w pysk, że mało mi nosa nie złamała. – Potem się roześmiał. Tim chyba jeszcze nigdy nie słyszał, jak ten człowiek się śmieje.

Wendy zignorowała i Dobosza, i lekarza.

– Tim, jeżeli chcemy gdzieś jechać, to szybko, zanim przyjedzie policja stanowa.

– Błagam. – Luke popatrzył najpierw na Tima, a potem na doktora Ropera. – Moi przyjaciele zginą, jeśli czegoś nie zrobimy, wiem to na pewno. A z nimi są jeszcze inni, których personel nazywa warzywkami.

– Chcę do szpitala – odezwała się pani Sigsby. – Straciłam dużo krwi. I chcę się zobaczyć z adwokatem.

– Zamknij jadaczkę albo ja ci ją zamknę – rzuciła Annie. Spojrzała na Tima. – Wcale nie jest z nią tak źle, jak udaje. Krwawienie już ustało.

Tim nie odpowiedział od razu. Myślał o tamtym dniu, wcale nie tak odległym, kiedy wstąpił do centrum handlowego Westfield w Sarasocie po buty, nic więcej, a pewna kobieta podbiegła do niego, ponieważ był w mundurze. Powiedziała, że pod kinem jakiś chłopak wymachuje bronią, więc poszedł to sprawdzić i stanął wobec decyzji, która zmieniła jego życie. Która właściwie sprawiła, że trafił tutaj. Teraz musiał podjąć kolejną.

– Niech pan ją zabandażuje, doktorze. Myślę, że Wendy, Luke i ja zabierzemy tych dwoje na małą przejażdżkę i spróbujemy wszystko wyprostować.

– I niech jej pan da coś przeciwbólowego – dodała Wendy.

Tim pokręcił głową.

– Niech pan da mnie. Sam zdecyduję, kiedy to dostanie.

Doktor Roper patrzył na Tima – i na Wendy, na nią także – jakby widział ich po raz pierwszy w życiu.

– To nie w porządku.

– Nie, doktorze. – Tym razem odezwała się Annie, zaskakująco łagodnie. Wzięła Ropera za ramię i obróciła w kierunku przykrytych zwłok leżących na jezdni oraz biura szeryfa z potłuczonymi szybami w oknach i drzwiach. – Nie w porządku jest to.

Przez chwilę lekarz stał nieruchomo, patrzył na ciała i zdemolowany budynek. Potem podjął decyzję.

– Obejrzę, jakie ma obrażenia. Jeśli ciągle obficie krwawi albo ma strzaskaną kość udową, nie pozwolę wam jej nigdzie zabrać.

Pozwolisz, pomyślał Tim. Bo nie dasz rady nas powstrzymać.

Roper przyklęknął, otworzył torbę i wyjął z niej parę nożyczek chirurgicznych.

– Nie – odezwała się pani Sigsby, odsuwając się od Dobosza. Ten natychmiast znowu ją chwycił, ale Tim z zaciekawieniem zauważył, że zanim zdążył to zrobić, kobieta przerzuciła ciężar ciała na ranną nogę. Roper też to widział. Miał już swoje lata, lecz niewiele uchodziło jego uwagi. – Nie będziecie robić mi zabiegów chirurgicznych na ulicy!

– Jedyna rzecz, na której chcę przeprowadzić zabieg, to pani nogawka – powiedział Roper. – Chyba że nie przestanie się pani szarpać. Bo wtedy nie gwarantuję, co się stanie.

– Nie! Zabraniam panu mnie...

Annie chwyciła ją za kark.

– Kobieto, nie chcę więcej słyszeć, że czegoś komuś zabraniasz. Nie ruszaj się, inaczej noga będzie twoim najmniejszym zmartwieniem.

– Zabieraj łapska!

– Tylko jeśli nie będziesz się szarpać. Inaczej skręcę ci ten chuderlawy kark.

– Radzę słuchać Annie – odezwała się Addie Goolsby. – Kiedy ma ten swój napad, robi się szalona.

Pani Sigsby przestała się wyrywać, może nie tylko ze strachu przed uduszeniem, ale też z wyczerpania. Roper starannie rozciął jej spodnie pięć centymetrów nad raną. Nogawka rozsunęła się wokół kostki, odsłaniając białą skórę, siatkę żyłaków oraz coś, co przypominało raczej rozcięcie nożem niż dziurę po kuli.

– No, moja droga – doktor odetchnął z ulgą – nie jest źle. To gorsze niż otarcie, ale tylko trochę. Ma pani szczęście. Rana już się zasklepia.

– Jestem ciężko ranna! – wrzasnęła pani Sigsby.

– Dopiero będziesz, jak się nie zamkniesz – zagroził jej Dobosz.

Lekarz zdezynfekował uraz, owinął bandażem i zabezpieczył zapinką. Kiedy kończył, przypatrywało mu się już chyba całe DuPray – a przynajmniej wszyscy, którzy mieszkali w samym miasteczku. Tymczasem Tim obejrzał telefon kobiety. Naciśnięcie guzika z boku obudowy spowodowało rozświetlenie ekranu i przywołało napis POZIOM BATERII 75%.

Tim ponownie uśpił aparat i podał go Luke'owi.

– Na razie ty go miej przy sobie.

Kiedy chłopiec schował telefon do tej samej kieszeni, w której miał pendrive'a, ktoś pociągnął go za nogawkę spodni. To był Evans.

– Musisz być ostrożny, młody Luke'u. To znaczy jeśli nie chcesz być potem odpowiedzialny.

– Odpowiedzialny za co? – zapytała Wendy.

– Za koniec świata, panienko. Za koniec świata.

– Zamknij się, głupcze – parsknęła pani Sigsby.

Tim przyglądał jej się przez chwilę. Potem zwrócił się do lekarza:

– Nie za bardzo wiem, z czym tu mamy do czynienia, ale to na pewno coś niezwykłego. Musimy spędzić z tymi dwojgiem trochę czasu. Kiedy przyjadą stanowi, proszę im powiedzieć, że wrócimy za godzinę. Góra dwie. Wtedy spróbujemy przeprowadzić coś w rodzaju normalnej procedury policyjnej.

Wątpił, że będzie w stanie dotrzymać tej obietnicy. Pomyślał, że jego pobyt w DuPray niemal na pewno dobiegł końca, i było mu żal.

Myślał, że mógłby tutaj zamieszkać. Możliwe, że z Wendy.

39

Gladys Hickson stała przed Stackhouse'em w pozycji „spocznij”, z rozstawionymi stopami i dłońmi złączonymi za plecami. Po fałszywym uśmiechu, który poznało (i znienawidziło) każde dziecko w Instytucie, nie było ani śladu.

– Czy pojmujesz aktualną sytuację, Gladys?

– Tak, proszę pana. Mieszkańcy Tylnej Połowy są w tunelu dostępowym.

– Zgadza się. Nie mogą się stamtąd wydostać, ale i my w tej chwili nie możemy dostać się do środka. Jak rozumiem, próbowały... nazwijmy to „majstrować w głowach niektórych pracowników przy użyciu zdolności parapsychicznych”?

– Tak, proszę pana. To nie działa.

– Ale jest nieprzyjemne.

– Tak, proszę pana, trochę. Jest takie jakby... buczenie. Rozpraszające. Tu, w budynku administracyjnym, tego nie ma, przynajmniej na razie, ale w Przedniej Połowie wszyscy to czują.

To ma sens, pomyślał Stackhouse. Przednia Połowa znajduje się bliżej tunelu. Można powiedzieć, że dokładnie nad nim.

– To się chyba nasila, proszę pana.

Może podpowiadała jej to tylko wyobraźnia. Stackhouse miał nadzieję, że tak – a Donkey Kong słusznie obstawał przy tym, że Dixon i jego koledzy nie mogą wpływać na przygotowane umysły, nawet jeśli swoją niezaprzeczną moc dołożą warzywka – ale jak mawiał jego dziadek, na wyścigach nadzieją nie wygrasz.

Gladys, być może skrępowana milczeniem Stackhouse’a, mówiła dalej:

– Wiemy jednak, co kombinują, proszę pana, i to nie problem. Trzymamy ich za kudły.

– Zgrabnie to ujęłaś, Gladys. Pomówmy teraz o tym, dlaczego cię wezwałem. O ile mi wiadomo, w młodości studiowałaś na Uniwersytecie Massachusetts.

– Zgadza się, proszę pana, ale tylko przez trzy semestry. To nie było dla mnie, więc rzuciłam studia i wstąpiłam do marines.

Stackhouse pokiwał głową. Nie musiał jej zawstydząć, mówiąc o tym, co wyczytał w papierach: Gladys dobrze szło na pierwszym roku, ale na drugim narobiła sobie dużych kłopotów. W studenckiej knajpie niedaleko kampusu uderzyła kuflem po piwie zalecającą się do jej chłopaka dziewczynę i pozbawiła ją przytomności. Poproszono ją o opuszczenie nie tylko lokalu, ale też uczelni. Nie był to zresztą pierwszy przypadek, kiedy straciła panowanie nad sobą. Nic dziwnego, że wybrała marines.

– Jak rozumiem, studiowałaś chemię.

– Niezupełnie, proszę pana. Nie zdążyłam wybrać specjalizacji, zanim mnie... zanim postanowiłam rzucić studia.

– Ale taki miałaś zamiar.

– No... tak, proszę pana. Wtedy.

– Gladys, założmy, że potrzebne byłoby – sięgnął po niesprawiedliwie zdyskredytowane wyrażenie – ostateczne rozwiązanie kwestii tych

podopiecznych w tunelu. Nie mówię, że tak będzie, absolutnie tego nie mówię, ale założmy, że tak.

– Pyta mnie pan, czy można ich jakoś otruć?

– Wyobraźmy sobie, że pytam.

Gladys uśmiechnęła się i ten uśmiech był absolutnie szczery. Może był nawet uśmiechem ulgi. Gdyby pozbyć się dzieci, ustałoby to irytujące buczenie.

– Nic prostszego, proszę pana, pod warunkiem że tunel jest podłączony do systemu HVAC, a na pewno jest.

– HVAC?

– Chodzi o ogrzewanie, wentylację i klimatyzację. Potrzebny jest wybielacz i środek do czyszczenia ubikacji. U sprzątaczek musi być dużo jednego i drugiego. Po zmieszaniu otrzymujemy chlor gazowy. Postawi się parę wiader pod wlotem instalacji HVAC, która dochodzi do tunelu, przykryje brezentem, żeby dobrze ciągnęło, i gotowe. – Zawiesiła głos i zastanowiła się. – Oczywiście wcześniej dobrze byłoby wyprowadzić cały personel z Tylnej Połowy. Niewykluczone, że cała tamta część Instytutu ma wspólny wlot. Nie jestem pewna. Jeśli pan chce, mogę rzucić okiem na plany wentylacji...

– To nie będzie potrzebne. Ale razem z woźnym Fredem Clarkiem moglibyście przygotować... no... właściwe składniki. Tylko na wszelki wypadek, sama rozumiesz.

– Tak, proszę pana, oczywiście. – Gladys chyba rwała się do dzieła. – Czy mogę zapytać, gdzie jest pani Sigsby? Jej gabinet jest pusty, a Rosalind mówiła, że jeśli mnie to interesuje, mam zapytać pana.

– Sprawy pani Sigsby to nie twój interes, Gladys. – A ponieważ kobieta wyraźnie chciała pozostać w trybie wojskowym, Stackhouse dodał: – Odmaszerować.

Gladys wyszła, żeby poszukać woźnego Freda i pójść po składniki, które pozwoliłyby zlikwidować zarówno dzieci, jak i buczenie, które opanowało Przednią Połowę.

Stackhouse rozparł się w fotelu i rozmyślał nad tym, czy tak radykalny krok okaże się niezbędny. Sądził, że to możliwe. I czy rzeczywiście byłby on taki radykalny, jeśli wziąć pod uwagę, co tutaj robiono przez ostatnie siedemdziesiąt lat? Bądź co bądź, w tej branży śmierć była nieunikniona, a czasem zła sytuacja wymaga nowego otwarcia.

To nowe otwarcie zależało od pani Sigsby. Jej wyprawa do Karoliny Południowej była dość nieprzemyślana, ale nieraz to właśnie takie plany okazują się skuteczne. Stackhouse przypomniał sobie coś, co powiedział

Mike Tyson: „Kiedy padają pierwsze ciosy, strategia ląduje w śmietniku”. W każdym razie on miał gotowy plan odwrotu. Już od lat. Odłożył pieniądze, miał fałszywe paszporty (aż trzy), obmyślił podróż, wybrał punkt docelowy. Zamierzał tu jednak wytrwać jak najdłużej, częściowo z lojalności wobec Julii, ale przede wszystkim dlatego, że wierzył w to, co robili. Dbanie o bezpieczeństwo świata w celu zaprowadzenia demokracji to kwestia drugorzędna. Najważniejsze było bezpieczeństwo samo w sobie.

Na razie nie ma powodów do ucieczki, mówił sobie. Stolik się chwieje, lecz jeszcze się nie wywrócił. Najlepiej poczekać. Przekonać się, kto zostanie na placu boju, kiedy ciosy ustaną.

Czekał, aż kanciasty telefon ostro zaterkocze. Kiedy Julia powiadomi go o rezultacie akcji na Południu, Stackhouse postanowi, co robić. A jeśli telefon nie zadzwoni w ogóle, to również będzie jakaś odpowiedź.

40

Przy skrzyżowaniu drogi krajowej numer 17 z drogą stanową numer 92 stał smutny opuszczony salon piękności. Tim zaparkował, po czym obszedł vana od strony pasażera, gdzie siedziała pani Sigsby. Otworzył najpierw jej drzwi, a potem te przesuwne. Luke i Wendy siedzieli z obu stron doktora Evansa, który wpatrywał się posepnie w swoją zdeformowaną stopę. Wendy trzymała glocka Taga Faradaya. Luke miał telefon pani Sigsby.

– Luke, ze mną. Wendy, zostań, proszę, na swoim miejscu.

Luke wysiadł. Tim poprosił o telefon, a gdy chłopiec mu go dał, wybudził urządzenie i pochylił się w drzwiach pasażera.

– Jak działa to maleństwo?

Pani Sigsby milczała; patrzyła przed siebie na zabity deskami budynek z wyblakłym szyldem *Hairport 2000*. Cykały świerszcze, a od strony DuPray słychać było syreny. Tim ocenił, że są już bliżej, ale jeszcze nie w miasteczku. Będą tam wkrótce.

Westchnął.

– Niech pani nie komplikuje sprawy. Luke mówi, że jest szansa na dogadanie się, a to jest mądry dzieciak.

– Za mądry, żeby mu to wyszło na dobre – odezwała się i zacisnęła usta.

Nadal patrzyła przez przednią szybę, krzyżując ramiona na niewielkim biuście.

– Zważywszy na pani sytuację, milczenie raczej też nie wyjdzie pani na dobre. Kiedy proszę, żeby nie komplikowała pani sprawy, mam na myśli to, że wolałbym nie robić pani krzywdy. Jak na osobę, która krzywdziła dzieci...

– Krzywdziła i zabijała – wtrącił Luke. – Zabijała też innych ludzi.

– Jak na osobę, która robiła takie rzeczy, pani chyba bardzo nie lubi bólu. Więc proszę się nie bawić w tajemnice i powiedzieć, jak to działa.

– Telefon jest uruchamiany głosem – stwierdził Luke. – Prawda?

Sigsby spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Przecież ty jesteś TK, nie TP. I to niezbyt silny.

– Dużo się zmieniło. Dzięki Światłom Stasi. Niech pani uruchomi telefon.

– Dogadanie się? – parsknęła kobieta ze śmiechem. – Co mi po jakimś układzie? I tak już nie żyję, choćby nie wiem co. Zawiodłam.

Tim nachylił się do przesuwanych drzwi.

– Wendy, daj mi pistolet.

Spełniła prośbę bez dyskusji.

Przyłożył lufę służbowej broni zastępcy Faradaya do tej nogawki pani Sigsby, która jeszcze pozostała.

– Proszę pani, to jest glock. Jeśli pociągnę za spust, już nigdy nie będzie pani chodzić.

– Umrze od wstrząsu i z utraty krwi! – zapiał doktor Evans.

– Naprawdę pan myśli, że mnie to obchodzi? – odparł Tim. – W mieście jest pięciu zabitych i ona za to odpowiada. Dość tego, proszę pani. To już ostatnia szansa. Może straci pani przytomność od razu, ale myślę, że raczej dopiero po jakimś czasie. A zanim to się stanie, poczuje pani taki ból, że ranka po kuli w drugiej nodze to przy nim całus na dobranoc.

Wciąż milczała.

– Tim, nie rób tego – powiedziała Wendy. – Nie możesz tego zrobić z zimną krwią.

– Mogę. – Nie był pewien, czy to prawda. Wiedział natomiast, że wolałby się o tym nie przekonywać. – Niech mi pani pomoże. Niech pani pomoże sobie.

Nic. A czas mijał. Annie nie powie policji stanowej, w którą stronę pojechali. Dobosz i Addie Goolsby też nie. Ale może zrobi to doktor Roper. A tym bardziej Norbert Hollister, który podczas strzelaniny na Main Street przezornie się nie pojawił.

– Dobrze. Jest pani morderczynią i wredną suką, mimo to jest mi przykro, że muszę to zrobić. Nie odliczę do trzech.

Luke zasłonił uszy w oczekiwaniu na wystrzał i to ją przekonało.

– Nie! – Wyciągnęła rękę. – Proszę mi dać telefon.

– Nic z tych rzeczy.

– To niech mi go pan trzyma przy ustach.

Tim tak zrobił. Pani Sigsby coś wymamrotała i telefon przemówił:

„Aktywacja odrzucona. Pozostały dwie próby”.

– Stać panią na więcej – stwierdził Tim.

Pani Sigsby odchrząknęła i tym razem odezwała się niemal zwyczajnym tonem:

– Sigsby jeden. Kansas City Chiefs.

Pojawił się dokładnie taki sam ekran jak w iPhonie Tima. Tim wybrał ikonę telefonu, a następnie zakładkę OSTATNIE. Na samej górze listy znajdowało się nazwisko Stackhouse.

Tim podał aparat Luke’owi.

– Ty zadzwoń. Chcę, żeby usłyszał twój głos. A potem oddaj mi telefon.

– Bo jesteś dorosły, więc cię posłucha.

– Obyś miał rację.

41

Niemal godzinę od chwili, kiedy Julia skontaktowała się po raz ostatni – ta przerwa była zdecydowania za długa – kanciasty telefon szefa ochrony Instytutu zaświecił się i zaczął brzęczeć. Stackhouse natychmiast go chwycił.

– Masz go, Julio?

Dźwięk głosu, który mu odpowiedział, był takim zaskoczeniem, że nieomal upuścił aparat.

– Nie – powiedział Luke Ellis. – Wszystko się panu pomieszało. – W tonie tego małego gnojka Stackhouse słyszał wyraźną satysfakcję. – To my mamy ją.

– Co... co...

W pierwszej chwili Stackhouse nic więcej nie umiał powiedzieć. Nie podobało mu się to „my”. Uspokajała go myśl o trzech paszportach zamkniętych w sejfie w gabinecie i starannie przemyślanym planie odwrotu, który się z nimi wiązał.

– Nie nadaża pan? – zapytał Luke. – Może trzeba pana zanurzyć w zbiorniku. To cudownie pomaga na zdolności umysłowe. Jestem tego żywym dowodem. Avery na pewno też.

Stackhouse poczuł przemożną chęć, żeby natychmiast przerwać rozmowę, a potem po prostu zabrać paszporty i szybko, po cichu się stąd zmyć. Powstrzymało go tylko to, że chłopak w ogóle zadzwonił. To oznaczało, że miał coś do powiedzenia. A może – do zaoferowania.

– Luke, gdzie jest pani Sigsby?

– Tutaj. Odblokowała nam swój telefon. Prawda, że to bardzo miło z jej strony?

„Nam”. Kolejny zły zaimbek. Niebezpieczny zaimbek.

– Zaszło nieporozumienie – powiedział Stackhouse. – Jeśli jesteśmy w stanie wszystko wyprostować, koniecznie musimy to zrobić. Stawka jest wyższa, niż sobie wyobrażasz.

– Może jesteśmy – zgodził się Luke. – Dobrze by było.

– Doskonale! Daj mi na minutkę panią Sigsby, żebym wiedział, że nic jej nie jest...

– Może zamiast tego porozmawia pan z moim przyjacielem? Ma na imię Tim.

Stackhouse czekał, pot spływał mu po policzkach. Patrzył na ekran komputera. Dzieci w tunelu, które rozpoczęły rewoltę – Dixon i jego koledzy – chyba spały. W przeciwieństwie do warzywek. One łąziły bez celu, bełkotały, a raz po raz wpadały na siebie jak samochodziki w wesołym miasteczku. Jedno miało w ręce kredkę i coś pisało na ścianie. Stackhouse był zdziwiony. Nie sądził, że któreś wciąż jest do tego zdolne. Może tylko tak bazgrze. Cholerna kamera miała za słabą rozdzielczość, żeby to odczytać. Pieprzony złom.

– Pan Stackhouse?

– Tak. Z kim rozmawiam?

– Z Timem. Na razie wystarczy panu wiedzieć tylko tyle.

– Chcę porozmawiać z panią Sigsby.

– Niech pani coś powie, tylko szybko – rzucił mężczyzna, który przedstawił się jako Tim.

– Trevorze, jestem tutaj – odezwała się Julia. – Przepraszam. Nie wyszło.

– Jak...

– Nieważne jak, panie Stackhouse – powiedział tamten. – I niech się pan nie przejmuj królową suką. Musimy się dogadać, i to szybko. Umie się pan zamknąć i posłuchać?

– Tak. – Stackhouse położył przed sobą notes. Na papier kapały krople potu. Otarł czoło rękawem, otworzył na nowej stronie i wziął długopis. – Proszę mówić.

– Z tego waszego Instytutu, w którym go przetrzymywaliście, Luke wyniósł pendrive'a, który przygotowała niejaka Maureen Alvorson. Opowiedziała fantastyczną historię, w którą trudno byłoby uwierzyć, gdyby nie to, że nakręciła film z miejsca, które nazywacie Oddziałem A albo Warzywniakiem. Na razie pan nadaża?

– Tak.

– Luke mówi, że przetrzymuje pan jako zakładników kilkoro jego przyjaciół razem z grupą dzieci z Oddziału A.

Aż dotąd Stackhouse nie myślał o nich jako o zakładnikach, ale uznał, że z punktu widzenia Ellisa...

– Powiedzmy, Tim, że tak jest.

– Dobrze, powiedzmy. I teraz dochodzimy do ważnych spraw. W tym momencie historię Luke'a i zawartość pendrive'a znają tylko dwie osoby: ja i moja przyjaciółka Wendy, która jest tu z nami. Film widzieli też inni ludzie, policjanci, ale dzięki królowej suce i jej oddziałowi wszyscy nie żyją. Większość jej ludzi też zginęła.

– To niemożliwe! – zawołał Stackhouse.

Myśl, że banda prowincjonalnych gliniarzy mogłaby zlikwidować połączone siły zespołu opalowego i rubinowego, była niedorzeczna.

– Szefowa była trochę nadgorliwa, mój przyjacielu, i w efekcie jej ludzi spotkało zaskoczenie. Ale nie popadajmy w dygresje, dobrze? Mam pendrive'a. Mam też waszą panią Sigsby i doktora Jamesa Evansa. Oboje są ranni, ale jeśli wyjdą z tego żywi, to się wyliżą. Pan ma dzieci. Wymienimy się?

Stackhouse oniemiał.

– Panie Stackhouse? Chcę usłyszeć odpowiedź.

– To zależałoby od tego, czy istnienie tej placówki może pozostać tajemnicą. Bez takiej gwarancji żaden układ nie ma sensu.

Chwila ciszy, a potem w słuchawce znowu był Tim.

– Luke mówi, że to się może udać. Na razie ustalmy, dokąd mam się wybrać. Jakim cudem wasza piracka załoga dotarła tu z Maine tak szybko?

Stackhouse powiedział mu, że niedaleko Alcolu czeka challenger – właściwie nie miał wyboru.

– Kiedy dotrzecie do miasteczka Beaufort, pani Sigsby powie, dokąd jechać. A teraz muszę jeszcze raz porozmawiać z Ellisem.

– Czy to naprawdę konieczne?

– Wręcz niezbędne.

Przez moment była cisza, a później na linii odezwał się chłopiec.

– Czego pan chce?

– Zakładam, że nawiązałeś kontakt z przyjaciółmi – powiedział Stackhouse. – Pewnie zwłaszcza z jednym, panem Dixonem. Nie musisz potwierdzać ani zaprzeczać, rozumiem, że czas nagli. Jeśli nie wiesz dokładnie, gdzie teraz są...

– W tunelu między Przednią a Tylną Połową.

To było niepokojące. Mimo to Stackhouse nie odpuszczał.

– Zgadza się. Jeśli dojdziemy do porozumienia, może wyjdą i jeszcze kiedyś zobaczą słońce. Jeśli nie, napełnię ten tunel chlorem gazowym, a wtedy umrą powoli i w męczarniach. Ja tego nie zobaczę, dwie minuty po wydaniu polecenia już mnie tu nie będzie. Mówię ci o tym, bo jestem przekonany, że twój nowy przyjaciel Tim chce ci oszczędzić udziału w naszych ustaleniach. To nie wchodzi w grę. Rozumiesz?

Nastąpiła chwila ciszy, a potem Luke powiedział:

– Tak. Rozumiem. Przyjadę z nim.

– Dobrze. Przynajmniej na razie. To wszystko?

– Jeszcze nie. Czy w samolocie ten aparat będzie działał?

Stackhouse usłyszał cichy głos pani Sigsby, która poinformowała, że tak.

– Niech się pan nie oddala od telefonu – powiedział Luke. – Będziemy musieli jeszcze porozmawiać. I niech pan przestanie myśleć o ucieczce. Bo i tak się dowiem. Jest z nami policjantka, a jeśli poproszę, żeby skontaktowała się z Departamentem Bezpieczeństwa Krajowego, zrobi to. Pana zdjęcie trafi na każde lotnisko w kraju i wszystkie fałszywe dokumenty świata na nic się panu nie przydadzą. Będzie pan jak zajac w szczerym polu. Rozumie mnie pan?

Stackhouse'owi po raz drugi zabrakło słów.

– Rozumie pan?

– Tak.

– Dobrze. Skontaktujemy się, żeby ustalić szczegóły.

Po tych słowach chłopiec się rozłączył. Stackhouse ostrożnie odłożył telefon na biurko. Zauważył, że trochę drży mu ręka. Częściowo ze strachu, ale głównie z wściekłości. „Skontaktujemy się”! Zupełnie jakby gówniarz był jakimś wielkim prezesem z Doliny Krzemowej, a Stackhouse gryzipiórkiem na jego usługach.

To się jeszcze okaże, pomyślał. Jeszcze się okaże.

Luke oddał telefon Timowi, jakby pozbywał się go z radością.

– Skąd wiesz, że ma fałszywe dokumenty? – zapytała Wendy. – Wyczytałeś to w jego myślach?

– Nie – odparł chłopiec. – Blefowałem. Ale na pewno ma ich dużo: paszportów, praw jazdy, aktów urodzenia. Pewnie ma je większość z nich. Może nie opiekunowie, technicy i personel stołówki, ale osoby na szczycie. Są jak Eichmann albo Walter Rauff, facet, który wymyślił ruchome komory gazowe. – Luke spojrział na panią Sigsby. – Rauff świetnie by się odnalazł wśród pani ludzi, prawda?

– Trevor może ma fałszywe dokumenty – powiedziała dyrektorka Instytutu. – Ja nie.

I chociaż Luke nie był w stanie dostać się do jej umysłu – zamknęła go przed nim – wiedział, że Sigsby mówi prawdę. Istniało słowo na określenie ludzi takich jak ona, a mianowicie „zelota”. Eichmann, Mengele i Rauff uciekli, jak przystało na oportunistycznych tchórzy, ale ich Führer zelota został i popełnił samobójstwo. Luke był przekonany, że gdyby przyszło co do czego, ta kobieta postąpiłaby tak samo. Pod warunkiem że byłoby to relatywnie bezbolesne.

Wsiadł do vana, omijając ranną stopę Evansa.

– Pan Stackhouse myśli, że jadę do niego, ale to nieprawda.

– Nie? – spytał Tim.

– Nie. Jadę po niego.

Światła Stasi rozbłysły przed oczami Luke’a w gęstniejącym mroku, a przesuwne drzwi vana same się zamknęły.

DUŽY TELEFON

1

W drodze do Beaufort w vanie przez większość czasu panowała cisza. Doktor Evans raz spróbował zainicjować rozmowę, ponownie oznajmiając, że jest w tym wszystkim niewinny. Tim dał mu wybór: albo się zamknąć i dostać parę tabletek oxycontin doktora Ropera, albo dalej gadać i znosić ból w stopie. Evans wybrał milczenie i proszki. W brązowym słoiczku zostało ich jeszcze kilka. Tim dał jeden pani Sigsby, a ta połknęła go na sucho, nie powiedziawszy nawet „Dziękuję”.

Timowi zależało na ciszy ze względu na Luke’a, który był teraz mózgiem operacji. Większość ludzi na pewno uznałaby, że oszalał, skoro powierza dwunastolatkowi obmyślenie strategii, która pozwoli uratować dzieci z tunelu, tak by przy okazji sami nie zginęli, ale Tim zauważył, że Wendy również milczy. Oboje wiedzieli, co Luke zrobił, żeby się tu dostać, widzieli go już w akcji i rozumieli.

Co konkretnie rozumieli? To, że chłopak był nie tylko prawdziwym twardzielem, lecz także autentycznym geniuszem. Ci zbóje z Instytutu porwali go ze względu na talent, który (przynajmniej przed wzmocnieniem) był niewiele lepszy od cyrkowych sztuczek. Błyskotliwość Luke’a uważali ledwie za dodatek do tego, na czym naprawdę im zależało, byli więc jak kłusownicy skłonni zamordować pięciotonowego słonia dla czterdziestu kilogramów kości słoniowej.

Tim wątpił, czy Evans potrafiłby dostrzec ironię losu, ale Sigsby owszem... oczywiście pod warunkiem, że dopuściłaby do siebie tę myśl: Tajną operację trwającą od dziesięcioleci zniweczyło właśnie to, co uznali za niepotrzebne – nadzwyczajny intelekt tego dziecka.

2

Okolo godziny dziewiątej, tuż po wjeździe do Beaufort, Luke kazał Timowi znaleźć motel.

– Ale nie zatrzymuj się z przodu. Zajedź od tyłu.

Przy Boundary Street znajdował się motel sieci Econo Lodge z tylnym parkingiem w cieniu magnolii. Tim stanął pod płotem i zgasił silnik.

– Tu nas zostawisz, policjantko Wendy – powiedział Luke.

– Tim? O czym on mówi? – spytała kobieta.
– O wynajęciu pokoju. I ma rację. Ty zostajesz, my jedziemy.
– Wróć do nas, jak dostaniesz klucz – poprosił chłopiec. – I przynieś trochę papieru. Masz długopis?

– Oczywiście, i swój notes. – Postukała w kieszeń spodni od munduru. – Ale...

– Kiedy wrócisz, wyjaśnię, ile się da. Wszystko sprowadza się do tego, że jesteś naszą polisą ubezpieczeniową.

Pani Sigsby odezwała się do Tima po raz pierwszy od postoju pod opuszczonym salonem piękności:

– Ten chłopiec oszalał pod wpływem swoich przeżyć i wy też będziecie szaleni, jeśli go posłuchacie. Najlepsze, co możecie zrobić we trójkę, to zostawić mnie tutaj z doktorem Evansem i uciekać.

– To by oznaczało skazanie moich przyjaciół na śmierć – powiedział Luke.

Uśmiechnęła się.

– Doprawdy, Luke, zastanów się. Co oni dla ciebie kiedykolwiek zrobili?

– Nie zrozumiałaby pani tego, nawet za milion lat.

– Idź, Wendy – poprosił Tim. Wziął ją za rękę i ścisnął. – Wynajmij pokój i wróć.

Wendy spojrzała na niego z powątpiewaniem, ale oddała mu glocka, wysiadła z vana i ruszyła do recepcji.

– Chcę podkreślić – odezwał się doktor Evans – że jestem tu wbrew...

– ...woli, wiemy – uciał Tim. – Już do nas dotarło. A teraz proszę się zamknąć.

– Możemy wysiąść? – spytał Luke. – Chcę z tobą porozmawiać bez... – Ruchem głowy wskazał panią Sigsby.

– Jasne, możemy.

Tim otworzył drzwi od strony pasażera oraz te przesuwne, a potem stanął pod płotem oddzielającym motel od nieczynnego salonu samochodowego po sąsiedzku. Luke do niego dołączył. Z tego punktu Tim miał na oku oboje pasażerów wbrew woli i mógłby ich zatrzymać, gdyby próbowali uciec. Uważał to jednak za mało prawdopodobne, zważywszy, że jedno było ranne w łydkę, a drugie w stopę.

– O co chodzi? – zapytał.

– Grywasz w szachy?

– Znam zasady, ale nigdy nie byłem zbyt dobry.

– A ja owszem. – Luke mówił cicho. – I teraz gram z nim. Ze Stackhouse'em. Rozumiesz?

– Chyba tak.

– Próbuję myśleć trzy posunięcia do przodu i przewidywać reakcje na jego posunięcia.

Tim pokiwał głową.

– W szachach czas nie gra roli, chyba że gra się w szachy szybkie. A teraz właśnie tak jest. Musimy dostać się stąd na pas startowy, gdzie czeka samolot. Potem w okolice Presque Isle, gdzie ma swoją bazę. A stamtąd do Instytutu. Nie wyobrażam sobie, żebyśmy zdążyli przed drugą nad ranem. Też ci się tak wydaje?

Tim przeliczył w myślach i przytaknął.

– Może nawet później, ale przyjmijmy drugą.

– To daje nie tylko moim przyjaciółom pięć godzin, żeby zrobili coś we własnym zakresie, ale także Stackhouse'owi na przemyślenie sytuacji i zmianę zdania. Na zagazowanie tych dzieci i ucieczkę. Powiedziałem mu, że jego zdjęcie trafi na każde lotnisko, i chyba to kupił, bo jego fotografie na pewno są dostępne gdzieś w internecie. Wielu pracowników Instytutu to byli wojskowi. On pewnie też.

– Może nawet jego zdjęcie jest w telefonie królowej suki – wtrącił Tim.

Luke kiwnął głową, choć nie posądzał pani Sigsby o robienie pamiątkowych fotek. Chciał działać dalej.

– Ale może Stackhouse postanowi uciec do Kanady na piechotę. Na pewno zaplanował co najmniej jedną alternatywną trasę ewakuacji: jakąś opuszczoną leśną drogę albo brzeg strumyka. To jeden z tych potencjalnych przyszłych ruchów, które muszę uwzględnić. Tylko...

– Tylko że co?

Chłopiec nasadą dłoni potarł policzek w dziwnie dorosłym geście zmęczenia i niezdecydowania.

– Potrzebuję twojej opinii. Wydaje mi się, że to, co mówię, ma sens, ale wciąż jestem tylko dzieckiem. Nie mam pewności. Ty jesteś dorosły i należysz do dobrych ludzi.

Tima wzruszyły te słowa. Zerknął w kierunku frontu motelu, gdzie ciągle jeszcze nie pojawiła się Wendy.

– Powiedz, o czym myślisz.

– Że wszystko mu spieprzyłem. Spieprzyłem mu cały świat. Myślę, że może zostać w Instytucie tylko po to, żeby mnie zabić. Zrobi z moich przyjaciół przynętę, by mieć pewność, że przyjadę. Czy twoim zdaniem brzmi to sensownie? Powiedz prawdę.

– Tak – odparł Tim. – Nie możemy mieć pewności, ale zemsta to silny czynnik motywujący, więc nie on pierwszy poświęciłby dla niej własny interes. Poza tym wyobrażam sobie jeszcze jeden powód, żeby nie ruszył się z miejsca.

– Jaki? – Luke bacznie mu się przypatrywał. Tymczasem zza budynku wyszła Wendy Gullickson z kartą w dłoni.

Tim ruchem głowy wskazał otwarte drzwi vana, a potem nachylił się do Luke'a.

– Sigsby jest tu szefową, no nie? Ten Stackhouse jest tylko jej podwładnym, prawda?

– Tak.

– No to kto jest jej szefem? – zapytał mężczyzna z lekkim uśmiechem. – Zastanawiałeś się nad tym?

Luke szerzej otworzył oczy i lekko rozchylił usta. Zrozumiał. I uśmiechnął się.

3

Dwudziesta pierwsza piętnaście.

W Instytucie panowała cisza. Podopieczni przebywający aktualnie w Przedniej Połowie spali, w czym pomagały środki uspokajające rozdane przez Joego i Hadada. W tunelu dostępowym pięcioro dzieci, które wszczęły bunt, również spało, choć zapewne niezbyt głęboko – Stackhouse miał nadzieję, że cudownie napierdala je łeb. Nie spały tylko warzywka, łąziły po tunelu, zupełnie jakby miały dokąd. Czasami chodziły po okręgu, jak gdyby bawiły się w kółko graniaste.

Stackhouse wrócił do gabinetu pani Sigsby i otrzymanym od niej duplikatem klucza otworzył dolną szufladę jej biurka. Teraz trzymał w ręce specjalny kanciasty aparat, który nazywali Zielonym Telefonem, a czasem – Telefonem Zero. Przypomniało mu się coś, co powiedziała Julia na temat tego urządzenia z trzema przyciskami. To było w wiosce, w zeszłym roku, kiedy Heckle i Jeckle wciąż jeszcze mieli mniej więcej po kolei w głowie. Dzieci z Tylnej Połowy właśnie załatwiły saudyjskiego łącznika, który przekazywał pieniądze komórkom terrorystycznym w Europie, i wyglądało to na zupełny wypadek. Życie było przyjemne. Julia zaprosiła Stackhouse'a na kolację, żeby uczcić sukces. Przed posiłkiem wypili na spółkę jedną butelkę wina, a drugą w trakcie i po jego zakończeniu. To jej trochę rozwiązało język.

– Nie cierpię raportować przez Telefon Zero. Ten sepleniący człowiek... Zawsze wyobrażam go sobie jako albinosa. Nie wiem czemu. Może w dzieciństwie widziałam kogoś takiego w komiksie. Złoczyńcę albinosa z rentgenem w oczach.

Stackhouse pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Gdzie on jest? I kim on jest?

– Nie wiem i nie chcę wiedzieć. Dzwonię, zdaję raport, a potem idę pod prysznic. Wyobrażam sobie tylko jedną rzecz gorszą od dzwonienia przez Telefon Zero: odebranie go, kiedy zadzwoni.

Teraz Stackhouse patrzył na Telefon Zero z czymś w rodzaju przesądnego lęku, jakby sama myśl o takiej rozmowie miała sprawić, że aparat zadzwoni mu w...

– Nie – powiedział. Do pustego pokoju. Do milczącego telefonu. Przynajmniej na razie milczącego. – Nie ma w tym nic przesądnego. Zadzwoń. To logiczne.

Oczywiście. Bo ludzie po drugiej stronie tego telefonu – sepleniący mężczyzna oraz większa organizacja, której był częścią – dowiedzą się o spektakularnej wtopie w małym miasteczku w Karolinie Południowej. Naturalnie, że tak. Może nawet już o niej wiedzieli. Jeśli wiedzieli o Hollisterze, współpracowniku mieszkającym właśnie w DuPray, to być może skontaktowali się z nim po wszystkie pikantne szczegóły.

A jednak Telefon Zero nie dzwonił. Czy to oznaczało, że wciąż nie wiedzieli, czy że dawali mu czas na poukładanie sytuacji?

Stackhouse powiedział mężczyźnie o imieniu Tim, że wszelkie układy zależą od tego, czy istnienie Instytutu pozostanie tajemnicą. Nie był takim głupcem, by wierzyć, że placówka może działać dalej, przynajmniej nie tutaj, w lasach Maine, ale jeśli w gazetach na całym świecie nie pojawi się wiadomość, że maltretowano i mordowano tu dzieci o zdolnościach parapsychicznych... i dlaczego tak robiono... to już będzie coś. Może nawet dostanie nagrodę za perfekcyjne zatuszowanie sprawy, choć wystarczy mu, jeśli ujdzie z życiem.

Według tego Tima o wszystkim wiedziały tylko trzy osoby. Pozostali ludzie, którzy poznali zawartość pendrive'a, nie żyli. Nawet jeśli część członków niefortunnego zespołu złotego nie zginęła, to oni nie widzieli filmu, a w pozostałych kwestiach zachowują milczenie.

Ściągnąć tutaj Luke'a Ellisa i jego współników, pomyślał Stackhouse. To po pierwsze. Mogą tu dotrzeć już koło drugiej. Nawet do pierwszej trzydzięci zdążę zaplanować zasadzkę. W tej chwili do dyspozycji miał tylko techników i mięśniaków, ale część z nich – na przykład Grek Zeke –

to twardziele. Dorwać pendrive'a i dorwać tamtych. Wtedy, jeśli sepleniący mężczyzna zadzwoni – a zadzwoni na pewno – żeby zapytać, czy radzę sobie z sytuacją, będę mógł powiedzieć...

– Będę mógł powiedzieć, że już sobie z nią poradziłem.

Stackhouse położył Telefon Zero na biurku pani Sigsby i wysłał mu mentalną wiadomość: Nie dzwoń. Nie waż się dzwonić przed trzecią rano. A najlepiej przed czwartą albo piątą.

– Daj mi dość cza...

Telefon zadzwonił, a on krzyknął z zaskoczenia. Potem parsknął śmiechem, choć serce nadal biło mu zdecydowanie za szybko. To nie był Telefon Zero, tylko jego własny kanciasty aparat.

– Halo? Rozmawiam z Timem czy z Lukiem?

– Z Lukiem. Proszę mnie posłuchać, powiem panu, jak to będzie wyglądało.

4

Kalisha była zagubiona w bardzo dużym domu i nie miała pojęcia, jak się z niego wydostać, bo nie wiedziała, jak znalazła się w środku. Przebywała w korytarzu przypominającym ten z Przedniej Połowy, przy którym mieszkała przez jakiś czas, zanim ją stamtąd zabrano, by splądrować jej mózg. Tylko że tutaj były komody, lustro, wieszaki oraz coś, co przypominało stopę słonia pełną parasoli. Był również niski stolik z telefonem, zupełnie takim samym jak w kuchni w jej domu, i ten telefon właśnie dzwonił. Podniosła słuchawkę, a ponieważ nie mogła odezwać się tak, jak ją uczono, odkąd skończyła cztery lata („Dom rodziny Bensonów”), powiedziała po prostu „Halo”.

– *Hola? Me escuchas?* – To był głos dziewczynki, niewyraźny i przerywany zakłóceniami, ledwo słyszalny.

Kalisha wiedziała, co znaczy *hola*, bo w gimnazjum przez rok uczyła się hiszpańskiego, ale jej skromne słownictwo nie obejmowało *escuchas*. Mimo to wiedziała, co mówi dziewczynka, i zrozumiała, że to sen.

– Aha, tak, słyszę cię. Gdzie jesteś? Kim jesteś?

Dziewczynki jednak już nie było.

Odłożyła więc słuchawkę i szła dalej korytarzem. Zajrzała do pomieszczenia przypominającego bawialnię ze starego filmu, a potem do sali balowej. Posadzka składała się z czarnych i białych kwadratów, przez co skojarzyła się jej z tym, jak Luke i Nick grali w szachy na placu zabaw.

Zaczął dzwonić kolejny telefon. Pobiegła szybciej i weszła do nowocześniejszej kuchni. Lodówka była obwieszona rysunkami i magnesami, była na niej również naklejka na zderzak BERKOWITZ NA PREZYDENTA! Berkowitz stał się celem (no, właściwie to jego kierowca, ale w sumie jeden pies), zanim Kalisha trafiła do Tylnej Połowy, a mimo to wiedziała, że znajduje się w jego kuchni. Telefon wisiał na ścianie. Był większy od tamtego na stoliku, a już na pewno od tego w kuchni Bensonów – wydawał się prawie karykaturalny. Ale dzwonił, więc go odebrała.

– Halo? *Hola?* Nazywam się... *me llamo...* Kalisha.

Ale to nie była tamta hiszpańska dziewczynka. Dzwonił chłopiec.

– *Bonjour, vous m’entendez?*

Francuski. *Bonjour* to po francusku. Inny język, to samo pytanie, i tym razem połączenie było lepsze. Niewiele lepsze, ale jednak.

– Tak, li-li, słyszę cię! Gdzie jesteś...

Lecz chłopca już nie było, a teraz dzwonił następny telefon. Kalisha przebiegła przez spiżarnię i wpadła do pomieszczenia o słomianych ścianach i podłożu z ubitej ziemi przykrytej barwną plecioną matą. To był ostatni przystanek zbiegłego afrykańskiego watażki, Badu Bokassy, któremu jedna z kochanek wbiła nóż w szyję. Tylko że tak naprawdę zabiła go gromada dzieci znajdujących się tysiące kilometrów dalej. Doktor Hendricks pomachał czarodziejską różdżką – którą był akurat tani fajerwerk na Święto Niepodległości – i pan Bokassa padł martwy. Telefon na macie był jeszcze większy, prawie wielkości lampy stołowej. Kalisha podniosła słuchawkę, która okazała się ciężka.

Jeszcze jedna dziewczynka, tym razem bardzo wyraźnie słyszalna. Wyglądało na to, że połączenie jest tym lepsze, im większy telefon.

– *Zdravo, čuješ li me?*

– Tak, słyszę cię dobrze, co to za miejsce?

Głos zniknął i zaczął dzwonić kolejny telefon. Znajdował się w sypialni z żyrandolem i był wielkości podnóżka. Słuchawkę Kalisha musiała podnieść oburącz.

– *Hallo, hoor je me?*

– Tak! Jasne! Oczywiście! Powiedz coś!

Nie powiedział. Nie było sygnału. Po prostu cisza.

Następny telefon był na werandzie z ogromnym szklanym dachem i miał rozmiary stolika, na którym stał. Od jego dzwonięcia bolały uszy. To było zupełnie tak, jakby słuchała telefonu przepuszczonego przez wzmacniacz na koncercie rockowym. Kalisha podbiegła do niego

z wyciągniętymi rękami, z dłońmi zwróconymi wnętrzem do góry, i straciła słuchawkę z bazy, nie dlatego, że spodziewała się objawienia, ale żeby uciszyć aparat, zanim pękną jej bębni.

– *Ciao!* – huknął głos chłopca. – *Mi senti? MI SENTI?*

I to ją obudziło.

5

Była ze swoimi kolegami – Averym, Nickym, George'em i Helen. Oni dalej spali, ale niespokojnie. George i Helen jęczeli. Nicky coś mamrotał, wyciągał ręce przed siebie i Kalishy przypomniało się, jak biegła do dużego telefonu, żeby przestał dzwonić. Avery rzucał się i stękał słowa, które już słyszała: *Hoor je me? Hoor je me?*

Śnili to samo co ona, a biorąc pod uwagę, czym teraz byli – czym ich uczynił Instytut – uznała, że to zupełnie sensowne. Generowali grupową moc, zarówno telepatyczną, jak i telekinetyczną, więc dlaczego nie mieliby dzielić tego samego snu? Pozostawało tylko pytanie, kto go zapoczątkował. Domyślała się, że Avery, bo był najsilniejszy.

Rój pszczół, pomyślała. Tym teraz jesteśmy. Rojem telepatycznych pszczół.

Podniosła się i rozejrzała. Wciąż byli uwięzieni w tunelu dostępowym, to nie uległo zmianie, lecz poziom ich grupowej mocy chyba się zmienił. Może to dlatego dzieci z Oddziału A nie zasnęły, choć musiało już być dość późno. Kalisha zawsze miała dobre poczucie czasu i sądziła, że jest już co najmniej wpół do dziesiątej, a może trochę później.

Buczenie było głośniejsze niż kiedykolwiek, a teraz przybrało miarowy rytm: *mmm-MMM-mmm-MMM*. Z zainteresowaniem (ale bez zdziwienia) zauważyła, że jarzeniówki pod sufitem dostosowały się do tego rytmu – rozświectły się, potem trochę przygasały i znowu się rozświectły.

TK, które widać, pomyślała. Nie żeby nam to coś dało.

Przybiegł do niej Pete Littlejohn, ten chłopiec, który bił się po głowie, wołając „Ja-JA-ja-JA!”. W Przedniej Połowie był trochę uroczy, a trochę wkurzający, jak młodszy brat, który wszędzie za tobą łązi i próbuje podsłuchiwać, kiedy zwierzacie się z koleżankami z sekretów. Teraz trudno się patrzyło na jego mokre, obwisłe usta i puste oczy.

– *Me escuchas?* – powiedział. – *Hörst du mich?*

– Tobie też się to śniło.

Pete nie zwracał na nią uwagi. Odwrócił się w kierunku wałęsających się kolegów; mówił coś, co brzmiało jak „małzi”. Bóg raczył wiedzieć,

w jakim to języku, ale Kalisha była przekonana, że znaczy to samo.

– Słyszę cię – powiedziała do nikogo. – Ale czego chcesz?

Mniej więcej w połowie drogi do zamkniętych drzwi do Tylnej Połowy na ścianie znajdował się jakiś napis kredką woskową. Kalisha podeszła tam, żeby mu się przyjrzeć, omijając po drodze kilkoro dzieci z Oddziału A. Duże fioletowe litery układały się w słowa: ZADZWOŃ NA DURZY TELEFON. ODBIEŻ DURZY TELEFON. A więc warzywkom też się to śniło, tylko że na jawie. Może po prawie zupełnym wyczyszczeniu mózgów śniły cały czas. Co za straszna myśl: śnić i śnić, i śnić, i nigdy nie odnaleźć prawdziwego świata.

– Ty też, co?

To był Nick. Oczy miał podpuchnięte od snu, włosy mu sterczały. To było na swój sposób urocze. Kalisha uniosła brwi.

– Ten sen – powiedział. – Duży dom, coraz większe telefony. Trochę jak w 500 Hats of Bartholomew Cubbins.

– W czym?

– Takiej książce Doktora Seussa. Bartholomew próbuje zdjąć kapelusz przed królem, ale pod spodem za każdym razem jest coraz większy i ozdobniejszy.

– Nie czytałam, ale tak, to ten sen. Chyba pochodzi od Avery’ego. – Kalisha wskazała chłopca, który wciąż spał snem kompletnie wyczerpanego człowieka. – A przynajmniej od niego się zaczął.

– Nie wiem, czy on go zaczął, czy go odbiera, wzmacnia i przekazuje dalej. Nie jestem pewien, czy to ma znaczenie. – Nick przeczytał wiadomość na ścianie, a potem się obejrzał. – Warzywka są dzisiaj niespokojne.

Kalisha skrzywiła się.

– Nie nazywaj ich tak. Tookreślenie na niewolników. Zupełnie jakbyś o mnie mówił „czarnuch”.

– Dobrze – odparł Nick. – Upośledzeni umysłowo są dzisiaj niespokojni. Lepiej?

– Tak. – Zdobyła się na uśmiech.

– Jak u ciebie z głową, Sha?

– Lepiej. Nawet całkiem dobrze. A u ciebie?

– Też.

– I u mnie też – odezwał się George, który właśnie do nich dołączył. – Dzięki za troskę. Mielście ten sen? Coraz większe telefony i „Cześć, słyszysz mnie”?

– Tak – potwierdził Nick.

– Zanim się obudziłem, ostatni telefon był większy ode mnie. A buczenie jest teraz silniejsze. – Potem George dodał tym samym swobodnym tonem: – Jak myślicie, kiedy w końcu postanowią nas zagazować? Dziwię się, że jeszcze tego nie zrobili.

6

Dwudziesta pierwsza czterdzieści pięć na parkingu motelu Econo Lodge w Beaufort w Karolinie Południowej.

– Słucham – powiedział Stackhouse. – Jeśli pozwolisz mi sobie pomóc, może wspólnie się z tym uporamy. Powinniśmy to przedyskutować.

– Nie powinniśmy. Pan ma tylko słuchać. I robić notatki, bo nie chcę się powtarzać.

– Czy twój przyjaciel Tim ciągle jest z t...

– Chcesz tego pendrive'a czy nie? Bo jak nie, to gadaj sobie dalej. Ale jeśli tak, to stul, kurwa, ryj.

Tim położył Luke'owi rękę na ramieniu. Na przednim siedzeniu wana pani Sigsby smutno kręciła głową. Luke nie musiał czytać jej w myślach, żeby wiedzieć, co teraz myśli: Chłopiec próbuje zgrywać mężczyznę.

Stackhouse westchnął.

– Mów. Mam kartkę i długopis.

– Punkt pierwszy. Policjantka Wendy nie ma pendrive'a, bo bierzemy go ze sobą, ale zna nazwiska moich przyjaciół: Kalishy, Avery'ego, Nicky'ego, Helen i kilkorga innych. Wie, skąd pochodzą. Jeśli ich rodzice nie żyją tak samo jak moi, to wystarczy do wszczęcia śledztwa, nawet bez pendrive'a. Nie będzie musiała nic mówić o zdolnościach paranormalnych i całej reszcie waszych zasranych zbrodni. Znajdą Instytut. Stackhouse, nawet jeśli uciekniesz, twoi szefowie cię dorwą. To my jesteśmy twoją największą szansą na przeżycie. Rozumiesz?

– Daruj sobie tę autoreklamę. Jak ma na nazwisko policjantka Wendy?

Tim, który nachylał się do słuchawki, żeby słyszeć obu uczestników rozmowy, pokręcił głową. Ta wskazówka nie była Luke'owi potrzebna.

– To bez znaczenia. Punkt drugi. Skontaktuj się z pilotami samolotu, którym przyleciała tutaj ta twoja banda. Każ im się zamknąć w kabinie, jak tylko zobaczą, że nadjeżdżamy.

Tim wyszeptał trzy słowa. Luke kiwnął głową.

– Ale najpierw niech opuszczą schodki.

– Skąd będą wiedzieć, że to wy?

– Bo przyjedziemy jednym z vanów twoich najętych zabójców.

Luke przekazał tę informację Stackhouse'owi z przyjemnością, żeby dać mu dobitnie do zrozumienia: pani Sigsby spróbowała, ale nawaliła.

– My nie oglądamy pilotów, a oni nas. Lądujemy tam, skąd wystartowali, a oni siedzą w kabinie. Do tej pory jasne?

– Tak.

– Punkt trzeci. Ma na nas czekać van, dziewięcioosobowy, taki sam, jakim wyjechaliśmy z DuPray.

– Nie mamy...

– Gówno prawda, w tym swoim miasteczku macie park samochodowy. Widziałem. Będzie pan ze mną współpracował, czy mam na panu postawić krzyżyk?

Luke mocno się pocił i to nie tylko dlatego, że noc była wilgotna. Cieszył się, że Tim trzyma rękę na jego ramieniu, a Wendy przygląda mu się z troską. Dobrze czuł się z tym, że wreszcie nie jest sam. Aż dotąd naprawdę nie zdawał sobie sprawy, jaki to ciężar.

Stackhouse westchnął jak człowiek niesprawiedliwie czymś obciążony.

– Mów dalej.

– Punkt czwarty. Zorganizuje pan autobus.

– Autobus? Czy ty mówisz poważnie?

Luke postanowił zlekceważyć to wejście w słowo, uznał bowiem taką reakcję za zrozumiałą. W każdym razie Tim i Wendy wyglądali na oszołomionych.

– Na pewno masz przyjaciół wszędzie, również na posterunku policji w Dennison River Bend. Może nawet wszyscy są tam twoimi kumplami. Teraz jest lato, więc dzieci wyjechały na wakacje, a autobusy stoją na miejskim parkingu, tam gdzie pługi, wywrotki i cała reszta. Niech jeden z twoich policyjnych kolegów otworzy budynek, w którym trzymają kluczyki. Na pewno są na tablicy, starannie ponumerowane. Niech włoży kluczyk do stacyjki autobusu na co najmniej czterdzieści osób. Jeden z waszych techników albo opiekunów pojedzie nim do Instytutu i zostawi autobus pod masztem przed budynkiem administracji, z kluczykami w stacyjce. Rozumiesz?

– Tak.

Rzeczowe potwierdzenie. Teraz już bez protestów i przerywania, a Luke nie potrzebował dorosłego rozumienia psychologii czy ludzkich motywacji, żeby pojąć dlaczego. Stackhouse na pewno myślał, że to nedorzeczny plan dziecka, niewiele więcej niż pobożne życzenia. To samo przekonanie chłopiec widział na twarzach Tima i Wendy. Pani

Sigsby, znajdującą się w zasięgu wzroku, miała taką minę, jakby z trudem zachowywała powagę.

– To prosta wymiana. Ty bierzesz pendrive’a, ja biorę dzieci. Te z Tyłnej Połowy i z Przedniej też. Mają być gotowe do wycieczki jutro o drugiej nad ranem. Policjantka Wendy nie puści pary z ust. Taki mamy układ. Aha, w bonusie dostaniesz swoją pieprzoną szefową i swojego pieprzonego doktora.

– Czy mogę zadać pytanie, Luke? Czy mi wolno?

– Proszę bardzo.

Luke nawet się domyślał, o jakie pytanie chodzi. Na nie akurat chciał odpowiedzieć.

– Kiedy już wciśniesz od trzydzieściorga pięciorga do czterdzieściorga dzieci do dużego żółtego autobusu szkolnego z napisem DENNISON RIVER BEND, dokąd zamierzasz je zabrać? Nie zapominaj o tym, że większość z nich straciła mózgi.

– Do Disneylandu – odparł Luke. Tim podniósł rękę do czoła, jakby dostał nagłego bólu głowy. – Będziemy w stałym kontakcie z policjantką Wendy. Przed startem. Po lądowaniu. Jak dojedziemy do Instytutu. I kiedy stamtąd wyjedziemy. Jeśli do niej nie zadzwonimy, ona zacznie dzwonić do innych. Najpierw do policji stanowej w Maine, potem do FBI i Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego. Zrozumiano?

– Tak.

– To dobrze. Ostatnia sprawa. Kiedy przyjedziemy, ty masz tam być. Z rozpostartymi ramionami. Z jedną ręką na masce autobusu, a drugą na maszcie. Jak już dzieci znajdą się w autobusie, a mój przyjaciel Tim usiądzie za kierownicą, wręczę ci pendrive’a Maureen, a potem sam wsiądę. Czy to jasne?

– Tak.

Zdecydowanym tonem. Żeby nie zabrzmieć jak człowiek, który właśnie wygrał na ruletce.

Stackhouse rozumie, że z Wendy może być problem, pomyślał Luke, bo ona zna nazwiska części zaginionych dzieci, ale szef ochrony Instytutu myśli, że to problem, który da się rozwikłać. Pendrive to już grubsza sprawa, trudniej go zbyć jako fake newsa. Daję mu go praktycznie na srebrnej tacy. Jak może mi odmówić? Odpowiedź: nie może.

– Luke... – zaczął Tim.

Chłopiec pokręcił głową: nie teraz, nie, kiedy myślę.

On wie, że sytuacja wciąż jest kiepska, ale widzi promyk światła. Tim, dzięki Bogu, przypomniał mi o tym, o czym sam powinienem był

pamiętać: że to się nie kończy na Sigsby i Stackhousie. Oni mają swoich szefów, ludzi, przed którymi odpowiadają. Kiedy wywali szambo, Stackhouse powie im, że mogło być dużo gorzej, że właściwie i tak powinni mu dziękować za uratowanie sytuacji.

– Zadzwonisz do mnie, zanim wystartujecie? – zapytał szef ochrony Instytutu.

– Nie. Ufam, że wszystko zaaranżujesz. – Przy czym zaufanie nie było bynajmniej pierwszą rzeczą, jaka przychodziła Luke’owi do głowy, gdy myślał o tym człowieku. – Następnym razem porozmawiamy osobiście, w Instytucie. Van przy lądowisku. Autobus pod masztem. Jeśli cokolwiek spieprzysz, policjantka Wendy zacznie wydzwaniać i opowiadać. Do widzenia.

Zakończył rozmowę i uszło z niego powietrze.

7

Tim wręczył Wendy glocka i wskazał dwoje więźniów. Kiwnęła głową. Kiedy stanęła na straży, wziął Luke’a na stronę. Zatrzymali się pod płotem, w plamie cienia rzucanego przez magnolię.

– Luke, to się nie może udać. Jeżeli tam polecimy, to przy lądowisku może będzie czekał van, ale jeśli ten Instytut naprawdę jest taki, jak mówisz, na miejscu napadną nas i zabiją. Twoich przyjaciół i resztę dzieci też. Wtedy zostanie tylko Wendy, będzie się starała, ale minie wiele dni, zanim ktoś tam przyjedzie. Dobrze wiem, jak działają stróże prawa, kiedy chodzi o cokolwiek poza zwykłym protokołem. Nawet jeśli znajdą Instytut, zastaną tylko ciała. A może nie będzie nawet ich. Mówiłeś, że jest tam system pozbywania się... – Tim nie bardzo wiedział, jak to ująć – zużytych dzieci.

– Ja to wszystko wiem – odparł Luke. – Nie chodzi o nas, ale o nie. O dzieci. Po prostu chcę im zapewnić trochę czasu. Tam się coś dzieje. I nie tylko tam.

– Nie rozumiem.

– Jestem teraz silniejszy, a znajdujemy się ponad półtora tysiąca kilometrów od Instytutu. Należę do instytutowych dzieci, ale nie chodzi już tylko o nie. Inaczej nigdy w życiu nie udałooby mi się poderwać myślami pistoletu tamtego człowieka. Wychodziło mi co najwyżej z tackami po pizzy, pamiętasz?

– Luke, ja po prostu nie...

Chłopiec skoncentrował się. Przez moment miał wizję dzwoniącego telefonu w holu domu rodzinnego i wiedział, że gdyby go odebrał, ktoś zapytałby: „Czy mnie słyszysz?”. Potem ten obraz zastąpiły kolorowe kropki i odległe buczenie. Kropki były raczej ciemne niż jasne, i bardzo dobrze. Luke chciał to pokazać Timowi, nie chciał jednak zrobić mu krzywdy... a zrobienie mu krzywdy byłoby takie łatwe.

Tim zachwiał się do przodu i wpadł na ogrodzenie, jakby popchnięty niewidzialnymi dłońmi. W ostatniej chwili zdążył unieść ręce, żeby nie uderzyć w siatkę twarzą.

– Tim?! – zawołała Wendy.

– Nic mi nie jest – powiedział. – Miej ich na oku. – Spojrzał na Luke’a. – Ty to zrobiłeś?

– To nie pochodziło ode mnie, tylko przeze mnie przeszło – sprecyzował Luke. Mieli teraz czas (przynajmniej trochę) i był ciekaw, więc zapytał: – Jakie to było uczucie?

– Jak silny podmuch wiatru.

– No jasne, że był silny. Bo razem jesteśmy silniejsi. Tak mówi Avery.

– To ten mały.

– Tak. Najsilniejszy, jakiego tam mieli od dawna. Może od lat. Nie wiem dokładnie, co się stało, ale domyślam się, że wsadzili go do zbiornika zanurzeniowego i tam otarł się o śmierć, bo to doświadczenie wzmacnia Światła Stasi, a oni nie podali mu zastrzyków ograniczających.

– Nie nadążam.

Luke jakby Tima nie słyszał.

– Założę się, że to była kara za to, że pomógł mi uciec. – Przechylił głowę w kierunku vana. – Pani Sigsby pewnie coś wie. Może sama wpadła na ten pomysł. W każdym razie to się na nich zemściło. Na pewno tak było, bo wybuchł bunt. Dzieci z Oddziału A mają prawdziwą moc. Avery ją uwolnił.

– Tylko że jest jej za mało, żeby mogły uwolnić się stamtąd, gdzie są uwięzione.

– Na razie tak – zgodził się Luke. – Myślę jednak, że się uwolnią.

– Dlaczego? Jak?

– Dałeś mi do myślenia, kiedy powiedziałaś, że pani Sigsby i Stackhouse też mają swoich szefów. Powinienem być sam to wykombinować, ale nie sięgnąłem myślą tak daleko. Pewnie dlatego, że dla dzieci jedynymi szefami są rodzice i nauczyciele. Skoro szefów jest więcej, to czemu nie miałyby być więcej Instytutów?

Na parking wjechał jakiś samochód, minął ich, po czym zniknął, migocząc czerwienią tylnych świateł. Kiedy odjechał, Luke mówił dalej:

– Może ten w Maine jest jedyny w Ameryce, a może na Zachodnim Wybrzeżu jest drugi. Wiesz, żeby wziąć kraj w dwa ognie. Ale kolejny może być w Wielkiej Brytanii... i w Rosji... w Indiach... Chinach... Niemczech... Korei. To logiczne, jeśli się nad tym zastanowić.

– Wyścig umysłów zamiast wyścigu zbrojeń – powiedział Tim. – O tym mówisz?

– To raczej nie jest wyścig. Sądzę, że wszystkie Instytuty współpracują. Nie wiem tego na pewno, po prostu tak czuję. Mają wspólny cel. W sumie nawet dość dobry: zabić kilkoro dzieci i w ten sposób nie dopuścić do tego, żeby pozabijała się cała ludzkość. Taki kompromis. Bóg raczy wiedzieć, ile to już trwa, ale do tej pory nigdy nie było buntu. Zapoczątkowali go Avery i inni moi przyjaciele, może się jednak rozprzestrzenić. Możliwe, że już się to dzieje.

Tim Jamieson nie był historykiem ani badaczem nauk społecznych, lecz śledził aktualności i pomyślał, że Luke może mieć rację. Bunt – albo rewolucja, żeby posłużyć się mniej pejoratywnym określeniem – jest jak wirus, zwłaszcza w Erze Informacji. Rzeczywiście może się rozprzestrzeniać.

– Moc, którą ma każde z nas i dla której porwano nas do Instytutu, jest niewielka. Potężniejsza jest ta, którą mamy wszyscy razem. Szczególnie dzieci z Oddziału A. Odkąd postradały zmysły, mają tylko ją. Ale jeśli istnieje więcej Instytutów, jeśli tam wiedzą, co się dzieje w naszym, i jeśli dadzą radę połączyć siły...

Luke pokręcił głową. Znowu myślał o telefonie w holu rodzinnego domu, tylko że teraz ten telefon urósł do gigantycznych rozmiarów.

– Gdyby tak się stało, to byłaby wielka sprawa, naprawdę wielka. Właśnie dlatego potrzebujemy czasu. Jeśli Stackhouse myśli, że jestem idiotą tak bardzo skorym do ratowania przyjaciół, że przystanę na idiotyczny układ, to bardzo dobrze.

Tim ciągle czuł tamten widmowy podmuch wiatru, który pchnął go na ogrodzenie.

– Wcale tam nie jedziemy, żeby ich uratować, prawda?

Luke spojrział na niego trzeźwo. Z brudną, posiniaczoną twarzą i zabandażowanym uchem wyglądał jak najniewinniejsze dziecko świata. Potem się uśmiechnął i przez chwilę w ogóle nie wyglądał niewinnie.

– Nie. Jedziemy pozbierać to, co zostanie.

Kalisha Benson, Avery Dixon, George Iles, Nicholas Wilholm, Helen Simms.

Pięcioro dzieci siedzących na końcu tunelu dostępowego, obok zamkniętych drzwi, które wychodziły (choć nie można było przez nie wyjść) na poziom F w Przedniej Połowie. Przez jakiś czas towarzyszyli im Katie Givens i Hal Leonard, teraz jednak dołączyli do dzieci z Oddziału A; chodzili z nimi, kiedy one chodziły, brali się za ręce, kiedy postanawiały ponownie utworzyć krąg. Len też, a w Iris Kalisha pokładała coraz mniejsze nadzieje, choć ona na razie tylko patrzyła, jak dzieci z Oddziału A krążą w kółeczku, rozdzielają się i potem znowu łączą. Helen do nich wróciła – była tutaj na sto procent. Dla Iris mogło być już za późno. Tak jak dla Jimmy’ego Culluma i Donny Gibson, których Kalisha знаła z Przedniej Połowy – dzięki ospie wietrznej spędziła tam dużo więcej czasu niż większość podopiecznych. Dzieci z Oddziału A napawały ją smutkiem, ale z Iris było jeszcze gorzej. Możliwość, że jest nieodwracalnie zjebana... ta myśl była...

– Straszna – odezwał się Nicky.

Kalisha spojrzała na niego trochę z wyrzutem.

– Jesteś w mojej głowie?

– Tak, ale nie grzebię ci w mentalnej szufladzie z bielizną – odparł Nicky, a ona parsknęła.

– Teraz wszyscy jesteśmy w swoich głowach – powiedział George. Kciukiem wskazał Helen. – Naprawdę myślicie, że chciałem wiedzieć, że na jakiejś piżama party u koleżanki śmiała się tak bardzo, że aż się zsikała? To się dopiero nazywa nadmiar informacji.

– Lepsze to niż się dowiedzieć, że boisz się łuszczycy na swoim... – zaczęła Helen, lecz Kalisha kazała jej się przymknąć.

– Jak myślicie, która godzina? – zapytał George.

Kalisha zerknęła na pusty nadgarstek.

– Wpół do komina.

– Myślę, że koło jedenastej – ocenił Nicky.

– Powiedzieć wam coś śmiesznego? – zapytała Helen. – Zawsze nie cierpiałam buczenia. Wiedziałam, że wyżera mi mózg.

– Wszyscy to wiedzieliśmy – odparł George.

– A teraz nawet je lubię.

– Bo to jest moc – powiedział Nicky. – Ich moc, dopóki jej nie odzyskaliśmy.

– Fala nośna – dodał George. – A teraz buczenie jest jednostajne. Jakby czekało na transmisję.

Halo, słyszycie mnie? – pomyślała Kalisha i dreszcz, który ją przeszedł w tym momencie, nie był tak do końca nieprzyjemny.

Kilkoro dzieci z Oddziału A wzięło się za ręce. Iris do nich dołączyła. Buczenie nasiliło się, tak jak migotanie światełek pod sufitem. Potem dzieci rozerwały krąg i buczenie wróciło do wcześniejszej niskiej intensywności.

– Jest w powietrzu – odezwała się Kalisha.

Nikt nie musiał pytać, kogo ma na myśli.

– Chciałabym znowu polecieć – odezwała się smutno Helen. – Strasznie bym chciała.

– Sha, myślisz, że na niego zaczekają? – zapytał Nicky. – Czy od razu puszczą gaz? Jak czujesz?

– Od kiedy to ja tu jestem profesorem Xavierem? – Dziewczyna szturchnęła Avery’ego w bok... ale łagodnie. – Pobudka, Aviszon. Czujesz zapach kawy?

– Ja nie śpię – odparł chłopiec, niezbyt zgodnie z prawdą, ponieważ przysypiał, ciesząc się buczeniem. Myślał o telefonach, które robiły się coraz większe, tak jak kapelusze Bartholomew Cubbinsa stopniowo rosły i stawały się wymyślniejsze. – Zaczekają. Muszą, bo jeśli coś nam się stanie, Luke się zorientuje. A my zaczekamy, aż tu przyjedzie.

– I co wtedy? – zapytała Kalisha.

– Użyjemy telefonu. Tego dużego. Wszyscy razem.

– Jak duży jest ten telefon? – spytał niespokojnie George. – Bo ostatni, który widziałem, był zajebiście wielki. Prawie taki jak ja.

Avery tylko pokręcił głową. Opadły mu powieki. W gruncie rzeczy wciąż był przecież małym chłopcem, który już dawno powinien leżeć w łóżku.

Dzieci z Oddziału A – trudno było o nich myśleć inaczej niż „warzywka”, nawet Kalishy – wciąż trzymały się za ręce. Jarzeniówki zapłonęły jaśniej, jedna się nawet przepaliła. Buczenie było teraz głębsze i mocniejsze. Czuli je w Przedniej Połowie, Kalisha była tego pewna – Joe i Hadad, Chad i Dave, Priscilla i ten podły Zeke. Pozostali też. Czy się go bali? Może trochę, ale...

Ale wierzą, że jesteśmy w pułapce, pomyślała. Że ciągle są bezpieczni. Że bunt został opanowany. Niech sobie wierzą.

Gdzieś tam był duży telefon – największy, z wyjściami w wielu pokojach. Wiedziała, że jeśli na ten telefon zadzwonią (a właściwie to nie

jeśli, tylko kiedy zadzwonią, bo nie było wyboru), moc w tunelu, w którym są uwięzieni, przewyższy moc każdej bomby, jaka kiedykolwiek wybuchła na ziemi albo pod jej powierzchnią. Buczenie, które na razie było tylko falą nośną, mogło się zmienić w wibrację o sile zdolnej burzyć budynki, a może nawet niszczyć całe miasta. Kalisha nie wiedziała tego z pewnością, sądziła jednak, że to możliwe. Ile dzieci, w których głowach została już tylko ta moc, powód ich porwania, czekało, aż ktoś zadzwoni na duży telefon? Sto? Pięćset? Może nawet więcej, jeśli Instytuty istniały na całym świecie.

– Nicky?

– Co? – On też przysnął i wydawał się teraz poirytowany.

– Może damy radę to włączyć – powiedziała Kalisha i nie musiała precyzować, jakie „to” ma na myśli. – Ale wtedy... Czy uda nam się to wyłączyć z powrotem?

Nicky zastanowił się i po chwili się uśmiechnął.

– Nie wiem. Ale po tym, co nam zrobili... szczerze mówiąc, moja droga, mam to gdzieś.

9

Kwadrans po jedenastej.

Stackhouse wrócił do gabinetu pani Sigsby. Na biurku stał – wciąż milczący – Telefon Zero. Za czterdzieści pięć minut miał dobiec końca ostatni dzień zwykłej działalności Instytutu. Jutro to miejsce opustoszeje, niezależnie od tego, jak zakończy się sprawa z Lukiem Ellisem. Mimo tej całej Wendy, którą Luke i jego przyjaciel Tim zostawili na Południu, istniała szansa na utrzymanie w tajemnicy programu jako takiego, ten konkretny obiekt został jednak spalony. Tej nocy liczyło się to, żeby odzyskać pendrive'a i żeby Luke Ellis zginął. Dobrze byłoby uratować panią Sigsby, ale to całkowicie opcjonalne.

W gruncie rzeczy ucieczka z Instytutu już się rozpoczęła. Stąd, gdzie siedział, Stackhouse miał widok na drogę prowadzącą najpierw do Dennison River Bend, a potem do reszty kraju... nie wspominając już o Kanadzie i Meksyku w przypadku osób z paszportami. Stackhouse wezwał do siebie Zeke'a, Chada, kucharza Douga (dwadzieścia lat pracy w Halliburton) i doktor Felicję Richardson, która przyszła do Instytutu z Hawk Security Group. To byli ludzie, którym ufał.

Jeśli chodzi o pozostałych... Między drzewami widział migotanie świateł ich odjeżdżających samochodów. Na razie Instytut opuściło tylko

dwanaście osób, ale będzie ich więcej. Wkrótce Przednia Połowa całkiem opustoszeje z wyjątkiem nielicznych dzieci, które tam teraz mieszkają. Może nawet już opustoszała. Ale Zeke, Chad, Doug i doktor Richardson zostaną – to lojaliści. No i Gladys Hickson. Ona także zostanie, być może nawet po tym, jak odejdzie cała reszta. Gladys nie była po prostu zawzięta; Stackhouse nabierał coraz mocniejszego przekonania, że to kompletna psycholka.

Sam jestem psycholem, skoro tu zostałem, pomyślał. Ale ten gówniarz ma rację: dorwaliby mnie. A poza tym sam się łąduje w pułapkę. Chyba że...

– Chyba że ze mną pogrywa – wymamrotał Stackhouse.

Do gabinetu wetknęła głowę Rosalind, asystentka pani Sigsby. Przez ostatnie trudne dwanaście godzin popsuł się jej zwykle perfekcyjny makijaż, a zazwyczaj idealnie ułożone siwe włosy sterczały na bokach.

– Proszę pana...

– Tak, Rosalind?

Kobieta wyglądała na zaniepokojoną.

– Zdaje się, że wyjechał doktor Hendricks. Chyba dziesięć minut temu widziałam jego samochód.

– Nie jestem zaskoczony. Ty też powinnaś już jechać, Rosalind. Wracaj do domu. – Uśmiechnął się. Dziwnie uśmiechać się w taką noc, ale to była przyjemna dziwność. – Właśnie sobie uświadomiłem, że znam cię, odkąd tu jestem, i dużo już wody upłynęło, a nie wiem, gdzie jest twój dom.

– W Missouli – powiedziała Rosalind. Sama wydawała się zdziwiona. – To jest w Montanie. Przynajmniej wydaje mi się, że stamtąd pochodzę. Mam dom w Missouri, ale nie byłam w nim chyba z pięć lat. Płacę tylko podatek, kiedy przychodzi termin. Gdy mam czas wolny, spędzam go w wiosce. Na urlop jeżdżę do Bostonu. Lubię Red Soxów i Bruinsów, i kino studyjne w Cambridge. Ale zawsze nie mogę się doczekać, aż wrócę tutaj.

Stackhouse uświadomił sobie, że przez cały ten czas, czyli piętnaście lat, Rosalind nie powiedziała do niego tyle co teraz. Wierna posługaczka pani Sigsby była tu już wtedy, gdy Stackhouse zakończył służbę śledczego w odpowiedniku biura JAG w wojskach lądowych, i pozostała do dziś, praktycznie się nie zmieniając. Mogła mieć sześćdziesiąt pięć lat albo dobrze się trzymać po siedemdziesiątce.

– Proszę pana, czy pan słyszy to buczenie?

– Słyszę.

– To transformator albo coś takiego? Nie słyszałam tego wcześniej.

– Transformator. Tak, chyba można to tak nazwać.

– Bardzo irytujące. – Potarła uszy, jeszcze bardziej mierzwiąc sobie fryzurę. – To pewnie robią te dzieci. Czy Julia... pani Sigsby wróci? Wróci, prawda?

Stackhouse zdał sobie sprawę (raczej z rozbawieniem niż z irytacją), że buczenie buczeniem, ale Rosalind, zawsze taka porządna i nierzucająca się w oczy, dobrze nadstawiała ucha.

– Owszem, tak sędzę.

– W takim razie chciałabym zostać. Wie pan, ja dobrze strzelam. Na strzelnicę w Bend chodzę przynajmniej raz w miesiącu, a czasami dwa. W klubie mam odpowiednik wojskowej odznaki strzeleckiej, a w zeszłym roku wygrałam konkurs strzelania z broni krótkiej.

Cicha asystentka Julii nie tylko była doskonałą stenografką, ale też miała wojskową odznakę strzelecką... a w każdym razie jej odpowiednik, jak powiedziała. Zaskoczeniem nie było końca.

– Z czego strzelasz, Rosalind?

– Ze smith and wessona czterdziestki piątki.

– Odrzut ci nie przeszkadza?

– Z odpowiednim wsparciem nadgarstka radzę sobie z nim bardzo dobrze. Proszę pana, jeśli zamierza pan uwolnić panią Sigsby z rąk porywaczy, bardzo chciałabym uczestniczyć w tej operacji.

– W porządku – powiedział Stackhouse. – Przyjmuję propozycję. Przyda mi się każda pomoc.

Musiał jednak uważać, jak ją wykorzysta, ponieważ uratowanie Julii mogło się okazać niemożliwe. W tym momencie można ją było spisać na straty. Ważny był pendrive. I ten pieprzony przemądrzały chłopak.

– Dziękuję. Nie zawiodę pana.

– Jestem tego pewien, Rosalind. Powiem ci, jak moim zdaniem wszystko się rozegra, najpierw jednak mam pytanie.

– Tak?

– Wiem, że dżentelmen nie powinien o to pytać, a dama odpowiadać, ale ile masz lat?

– Siedemdziesiąt osiem, proszę pana.

Odpowiedziała bardzo szybko, nie przerywając kontaktu wzrokowego, lecz to było kłamstwo. Tak naprawdę Rosalind Dawson miała osiemdziesiąt jeden lat.

Samolot Challenger z numerem 940NF na ogonie i napisem MAINE PAPER INDUSTRIES na kadłubie z jednostajnym szumem sunął na północ w kierunku Maine na wysokości dwunastu tysięcy metrów. Z lekką pomocą prądu strumieniowego jego prędkość wahała się między ośmiuset czterdziestoma a ośmiuset dziewięćdziesięcioma kilometrami na godzinę.

Ich przybycie do Alcolu oraz start przebiegły bez zakłóceń, głównie dlatego, że pani Sigsby dysponowała przepustką VIP firmy obsługi naziemnej Regal Air i bardzo chętnie z niej skorzystała do otwarcia bramy. Wietrzyła szansę – wciąż niewielką, ale istniejącą – że wyjdzie z tego z życiem. Challenger stał samotnie, w pełnej okazałości, z opuszczonymi schodkami. Tim sam je podniósł, zatrzasnął drzwi samolotu, a potem rękojeścią glocka, który należał do zabitego zastępcy szeryfa, zabębnił w te do kabiny pilotów.

– Jesteśmy już wszyscy. Jeśli macie zielone światło, to ruszamy.

Z drugiej strony drzwi nie padła żadna odpowiedź, lecz silniki zaczęły pracować głośniej. Po dwóch minutach wzbili się w powietrze. Teraz, według monitora umieszczonego na ścianie działowej, znajdowali się gdzieś nad Wirginią Zachodnią, a DuPray zostało z tyłu. Tim nie spodziewał się, że opuści to miasteczko tak szybko, a już na pewno nie że w tak katastrofalnych okolicznościach.

Evans drzemał, Luke spał jak zabity. Tylko pani Sigsby wciąż była przytomna, siedziała prosto, ze wzrokiem wbitym w twarz Tima. Te jej szeroko otwarte oczy bez wyrazu miały w sobie coś gadziego. Ostatni proszek przeciwbólowy od doktora Ropera pomógłby jej zasnąć, lecz odmówiła przyjęcia go, chociaż ból musiał jej mocno dokuczać. Uniknęła poważnej rany postrzałowej, jednak nawet takie draśnięcie nieźle bolało.

– Masz doświadczenie stróża prawa, jak sądzę – odezwała się. – Można to poznać po twoim zachowaniu i po tym, jak zareagowałeś: szybko i pewnie.

Tim milczał, tylko na nią patrzył; glocka położył obok siebie na siedzeniu. Użycie broni na wysokości dwunastu kilometrów byłoby fatalnym pomysłem, a zresztą czemu miałyby to robić, nawet gdyby lecieli niżej? Wiózł tę sukę dokładnie tam, gdzie chciała się znaleźć.

– Nie rozumiem, dlaczego przystałeś na ten plan. – Ruchem głowy wskazała na Luke'a, który z brudną twarzą i zabandażowanym uchem wyglądał na dużo mniej niż dwanaście lat. – Oboje wiemy, że on chce uratować swoich przyjaciół, i chyba oboje zdajemy sobie sprawę z tego, że to niemądry pomysł. Wręcz idiotyczny. A jednak się zgodziłeś. Dlaczego, Tim?

Nadal milczał.

– To dla mnie wielka tajemnica, dlaczego w ogóle wmieszałeś się w tę sprawę. Pomóż mi to zrozumieć.

Nie miał takiego zamiaru. Jedną z pierwszych rzeczy, jakich nauczył go mentor podczas czteromiesięcznej służby próbnej, brzmiała następująco: to ty przepytujesz sprawcę. Nigdy nie możesz pozwolić, żeby sprawca przepytował ciebie.

Nawet gdyby Tim był skłonny rozmawiać, nie wiedział, co mógłby jej odpowiedzieć, tak by zabrzmiało to choć trochę racjonalnie. Czy mógłby zdradzić, że jego obecność w tym supernowoczesnym samolocie, jakie zwykle oglądają od środka tylko bogacze, jest dziełem przypadku? Że pewnego razu, lecąc do Nowego Jorku dużo zwyczajniejszą maszyną, nagle wstał i zgodził się oddać swoje miejsce w zamian za gotówkę i voucher do hotelu? Że wszystko – jazda autostopem na północ, korek na autostradzie I-95, marsz do DuPray, posada nocnego strażnika – wynikało z tej jednej decyzji podjętej pod wpływem impulsu? A może stwierdziłby, że to przeznaczenie? Że przeprowadził się do DuPray dzięki ruchowi jakiegoś kosmicznego szachisty, aby uratować śpiącego chłopca przed ludźmi, którzy go porwali i chcieli wykorzystywać jego nadzwyczajny umysł, aż całkiem się zużyje? A jeśli tak, to kim w tej partii byli szeryf John, Tag Faraday, George Burkett, Frank Potter i Bill Wicklow? Tylko pionkami, które należało poświęcić w wielkiej rozgrywce? A jaką figurą był on sam? Miło było wierzyć, że skoczkiem, ale pewnie tylko kolejnym pionem.

– Na pewno nie chce pani tego proszka? – zapytał.

– Nie zamierzasz odpowiedzieć na moje pytanie, prawda?

– Nie, proszę pani, nie zamierzam.

Tim odwrócił głowę, by spojrzeć na bezmiar ciemności i kilka świateł w dole, które były jak świetliki na dnie studni.

11

Północ.

Kanciasty telefon rozkrzyczał się chrapliwie. Stackhouse odebrał. Głos w słuchawce należał do niejakiego Rona Churcha, jednego z opiekunów, którzy nie byli na służbie. Mężczyzna zameldował, że van zgodnie z instrukcją czeka na lotnisku. Techniczka Denise Allgood, również nie na służbie (choć teraz teoretycznie na służbie byli wszyscy), jechała za Churchem instytucyjnym sedanem. Według planu po zostawieniu auta na

pasie startowym Ron powinien wrócić tutaj razem z nią. Tych dwoje miało jednak romans, o którym Stackhouse wiedział. Wiedza o różnych rzeczach to przecież jego służbowy obowiązek. Był przekonany, że po dostarczeniu samochodu Ron i Denise odjadą dokądkolwiek, byle nie zostać tutaj. To nic. Chociaż kolejne ucieczki były smutne, może to i lepiej. Pora podsumować tę operację. Na jej ostatni akt zostanie wystarczająco dużo ludzi, i tylko to się liczyło.

Luke i jego przyjaciel Tim zginą – co do tego Stackhouse nie miał wątpliwości. Albo to zadowoli sepleniącego mężczyznę w słuchawce Telefonu Zero, albo nie. Na to już nie miał wpływu i czuł z tego powodu ulgę. Chyba od czasu służby w Iraku i Afganistanie nosił w sobie nutkę fatalizmu, niczym uśpiony wirus, tylko po prostu do tej pory jej nie rozpoznał. Zrobi, co może, tak jak każdy człowiek na jego miejscu. Psy szczekają, karawana jedzie dalej.

Rozległo się pukanie i do gabinetu zajrzała Rosalind. Zrobiła coś z włosami, co wyszło jej na dobre. Mniej przekonany Stackhouse był do kabury, którą miała teraz pod pachą. Całość wyglądała surrealistycznie, trochę jak pies w urodzinowej czapeczce.

– Proszę pana, przyszła Gladys.

– Wpuść ją.

Gladys weszła. Pod jej brodą dyndała maska tlenowa. Kobieta miała zaczerwienione oczy, ale Stackhouse wątpił, żeby płakała, więc podrażnienie musiała wywołać szykowana przez nią piekielna mikstura.

– Wszystko gotowe. Jeszcze tylko muszę dodać środek do czyszczenia ubikacji. Kiedy pan da sygnał, zagazujemy ich. – Krótco, energicznie pokręciła głową. – Nie mogę się doczekać. To buczenie doprowadza mnie do szału.

Chyba niewiele ci już brakuje, pomyślał Stackhouse, ale co do buczenia miała rację. Problem polegał na tym, że nie można się było do niego przyzwyczaić. Gdy tylko człowiek myślał, że już chyba przywyknie, stawało się głośniejsze – nie do końca w uszach, lecz w głowie. A potem nagle wracało do wcześniejszego, nieco znośniejszego, poziomu.

– Rozmawiałam z Felicią – poinformowała go Gladys. – To znaczy z doktor Richardson. Oglądała ich na monitorze. Mówi, że buczenie się nasila, kiedy biorą się za ręce, a słabnie, kiedy puszcza ją.

Stackhouse sam to zdążył stwierdzić. Jak to mówią, nie potrzeba było geniusza.

– Czy to już będzie niedługo, proszę pana?

Zerknął na zegarek.

– Myślę, że za jakieś trzy godziny. Urządzenia HVAC są na dachu, zgadza się?

– Tak.

– Gladys, kiedy nadejdzie pora, być może uda mi się z tobą skontaktować, a być może nie. Sprawy pewnie potoczą się szybko. Jeśli usłyszysz strzały przed budynkiem administracji, wypuść gaz niezależnie od tego, czy się odezwę. Potem biegnij. Nie wchodź do środka, tylko wracaj po dachu do wschodniego skrzydła Przedniej Połowy. Rozumiesz?

– Tak jest!

Rzuciła mu promienny uśmiech. Ten, którego nienawidziły wszystkie dzieci.

12

Dwunasta trzydzieści.

Kalisha przyglądała się dzieciom z Oddziału A i myślała o Orkiestrze Marszowej Stanu Ohio. Jej tata uwielbiał drużynę futbolową Buckeyes, więc oglądała z nim mecze – żeby być blisko niego – ale tak naprawdę interesowały ją tylko występy w połowie meczu, kiedy na boisko wchodziła orkiestra („Duuuma Buckeyesów!”, jak zawsze zapowiadał ją spiker), która grając na instrumentach, jednocześnie tworzyła układy widoczne tylko z góry: wszystko od symbolu „S” na piersi Supermana do fantastycznego dinozaura z Parku jurajskiego, który chodził, kiwając gadzim łbem.

Dzieci z Oddziału A wprawdzie nie miały instrumentów muzycznych, a kiedy brały się za ręce, zawsze tworzyły tylko jednakowy krąg – nieregularny, bo tunel dostępowy był wąski – miały jednak w sobie tę samą... było na to takie słowo...

– Synchroniczność – powiedział Nicky.

Kalisha rozejrzała się zaskoczona. Uśmiechnął się do niej i odgarnął włosy, żeby mogła się lepiej przyjrzeć jego oczom, które, nie ma co ukrywać, były dość fascynujące.

– Trudne słowo nawet jak na białego chłopaka.

– Znam je od Luke’a.

– Słyszysz go? Jesteś z nim w kontakcie?

– Tak jakby. Od czasu do czasu. Trudno powiedzieć, które myśli są moje, a które jego. Było łatwiej, kiedy spałem. Teraz te moje przeszkadzają.

– Coś jakby zakłócenia?

Nicky wzruszył ramionami.

– Może i tak. Ale jeśli otworzysz swój umysł, ty też na pewno go usłyszysz. Słyszać lepiej, kiedy oni tworzą ten swój krąg. – Ruchem głowy wskazał dzieci z Oddziału A, które teraz znów błędziły bez celu. Jimmy i Donna szli razem, machając złączonymi dłońmi. – Spróbujesz?

Kalisha starała się nie myśleć. Z początku było to zaskakująco trudne, lecz kiedy wsłuchiwała się w buczenie, stało się łatwiejsze. Buczenie było jak płyn do ust, tylko że dla umysłu.

– Co cię rozśmieszyło, K?

– Nic.

– A, łapię – powiedział Nicky. – Płyn do umysłu. Niezłe.

– Odbieram coś, ale niewiele. Może śpi.

– Pewnie tak. Myślę jednak, że niedługo się obudzi. Bo my nie śpimy.

– Synchroniczność – powiedziała Kalisha. – Czaderskie słowo. I dokładnie w jego stylu. Pamiętasz te żetony do automatów, które nam dawali? Luke mówił na to „honorarium”. Następne czaderskie słowo.

– Luke jest wyjątkowy, bo jest taki mądry. – Nicky spojrział na Avery’ego, który opierał się o Helen i oboje głęboko spali. – A Aviszon jest wyjątkowy po prostu dlatego, że... no...

– Że jest Averym.

– Właśnie. – Chłopak uśmiechnął się szeroko. – A ci idioci jeszcze go podrasowali, bo nie założyli mu regulatora na silnik. – Uśmiech Nicky’ego, nie ma co ukrywać, był równie fascynujący jak jego oczy. – Wiesz, to właśnie oni dwaj sprawili, że tu jesteśmy. Luke to czekolada, a Avery to masło orzechowe. Każdy osobno nie spowodowałby żadnej zmiany, ale razem są czekoladką z masłem orzechowym Reese’s, która rozsadzi tę budę.

Kalisha się roześmiała. To było głupie porównanie, a jednocześnie całkiem trafne. Przynajmniej taką miała nadzieję.

– Tylko że ciągle jesteśmy tu uwięzieni. Jak szczury w zatkanej rurze.

Jego niebieskie oczy patrzyły w jej brązowe.

– Już niedługo, dobrze o tym wiesz.

– Umrzemy, prawda? – zapytała. – Albo nas zagazują, albo... – Kiwnęła głową w stronę dzieci z Oddziału A, które znowu krążyły w kółko. Buczenie się nasiliło. Jarzeniówki pod sufitem zaświeciły jaśniej. – Albo to się stanie wtedy, kiedy oni odpalą. I pozostali, gdziekolwiek są.

Telefon – pomyślała do Nicky’ego. – Duży telefon.

– Pewnie tak – zgodził się chłopak. – Luke mówi, że zwalimy im to na głowy jak Samson świątynię na głowy Filistynów. Nie znam tej historii,

w mojej rodzinie nikt nie zawracał sobie głowy Biblią, ale łąpię koncepcję.

Kalisha знаła tę historię i zadrżała. Znowu spojrzała na Avery'ego i przypomniały jej się inne słowa z Biblii: „Małe dziecię rządzić ich będzie”.

– Mogę ci coś powiedzieć? – zapytała. – Pewnie będziesz się śmiać, ale mam to gdzieś.

– Dawaj.

– Chcę, żebyś mnie pocałował.

– To nie będzie trudne zadanie – odparł Nicky. Uśmiechnął się.

Nachyliła się do niego. On nachylił się do niej. Pocałowali się wśród buczenia.

Przyjemnie, pomyślała Kalisha. Tak właśnie myślałam, że będzie przyjemnie, i jest.

Myśl Nicky'ego pojawiła się natychmiast, niesiona buczeniem: Spróbujmy drugi raz. Zobaczymy, czy będzie dwa razy przyjemniej.

13

Pierwsza pięćdziesiąt.

Challenger wylądował na pasie startowym prywatnego lądowiska należącego do fasadowej spółki Maine Paper Industries. Podkołował do małego budynku pogrążonego w ciemności. Gdy się zbliżył, zapaliły się trzy aktywowane fotokomórką reflektory na dachu, oświetlając graniastą jednostkę zasilania naziemnego i hydrauliczną ładownicę do kontenerów. Oczekującym pojazdem nie był van dla mamusiek, ale dziewięcioosobowy chevrolet suburban, czarny, z przyciemnianymi szybami. Sierotka Annie byłaby zachwycona.

Challenger podkołował blisko suburba i zgasił silniki. Przez moment Tim nie był pewien, czy rzeczywiście zostały wyłączone, ponieważ słyszał ciche buczenie.

– To nie samolot – powiedział Luke. – To dzieci. Im bliżej, tym będzie się bardziej nasilać.

Tim przeszedł na przód kabiny, obrócił dużą czerwoną dźwignię otwierającą drzwi samolotu i rozłożył schodki. Zeszli na płytę lotniska niespełna półtora metra od drzwi suburba na stronie kierowcy.

– W porządku – rzucił, wróciwszy do pozostałych. – Jesteśmy na miejscu. Ale zanim wyjdziemy, mam coś dla pani, pani Sigsby.

Na stoliku w salonowej części samolotu Tim znalazł spory zapas lśniących folderów zachwalających przeróżne cuda zupełnie fałszywej

firmy Maine Paper Industries oraz sześć reklamowych czapeczek. Jedną z nich wręczył kobiecie, a drugą wziął sam.

– Proszę to włożyć. Mocno naciągnąć. Ma pani krótkie włosy, więc bez problemu zmieszczą się pod czapką.

Pani Sigsby z niesmakiem spojrzała na czapeczkę.

– Dlaczego?

– Pani wysiada pierwsza. Jeśli jacyś ludzie zamierzają nas tu zaatakować, ściągnie pani ich ogień.

– Dlaczego mieliby być tutaj, skoro my jedziemy tam?

– Zgadza się, że to mało prawdopodobne, więc tym bardziej nie powinna pani mieć nic przeciwko temu. – Tim sam założył czapkę, tylko że daszkiem do tyłu, tak że regulowany pasek przecinał mu czoło. Luke pomyślał, że mężczyzna ma za dużo lat, żeby nosić ją w ten sposób, to dobre dla dzieci, ale się nie odezwał. Przyszło mu do głowy, że w ten sposób Tim dodaje sobie otuchy. – Evans, pan idzie zaraz za nią.

– Nie – zaprotestował lekarz. – Nie opuszczę tego samolotu. Nie wiem, czy dałbym radę, nawet gdybym chciał. Za bardzo boli mnie stopa. Nie mogę jej obciążać.

Tim zastanowił się, a potem spojrzał na Luke'a.

– Co myślisz?

– Mówi prawdę – odparł chłopiec. – Musiałby zeskakiwać po stopniach, a są strome. Mógłby spaść.

– W ogóle nie powinno mnie tu być – rzucił doktor Evans. Z jego oka spłynęła duża łza. – Jestem człowiekiem medycyny!

– Jesteś potworem medycyny – sprostował Luke. – Patrzyłeś, jak dzieci prawie się topią; myślały, że topią się naprawdę, a ty robiłeś notatki. Niektóre umarły wskutek reakcji na zastrzyki podawane przez ciebie i Hendricksa. A te, które przeżyły, tak naprawdę wcale nie żyją, prawda? Wiesz co? Mam ochotę nadepnąć ci na tę stopę. Wwiercić ci w nią piętę.

– Nie! – pisnął Evans. Skulił się w fotelu i zasłonił opuchniętą stopę tą zdrową.

– Luke – odezwał się Tim.

– Nie martw się – uspokoił go chłopiec. – Mam ochotę, ale tego nie zrobię. Bo wtedy byłbym taki sam jak on. – Spojrzał na panią Sigsby. – Ty nie masz wyboru. Wstawaj i schodź z tych schodów.

Dyrektorka Instytutu naciągnęła na głowę czapeczkę Maine Paper Industries i podniosła się z fotela z taką godnością, do jakiej była zdolna. Luke ruszył jej śladem, ale Tim go zatrzymał.

– Idziesz za mną. Bo to ty jesteś ważny.

Chłopiec nie polemizował.

Pani Sigsby stanęła na szczycie schodków samolotu i uniosła ręce nad głową.

– To ja, Sigsby! Jeśli ktoś tam jest, nie strzelać!

Luke wyraźnie wychwycił myśl Tima: Wcale nie jest taka pewna, jak twierdziła.

Nie padła żadna odpowiedź. Z zewnątrz dobiegało wyłącznie cykanie świerszczy, a wewnątrz słychać było tylko buczenie. Pani Sigsby powoli zeszła po stopniach, przytrzymując się poręczy i oszczędzając ranną nogę.

Tim zastukał w drzwi kokpitu ręką glocka.

– Dziękujemy, panowie. To był dobry lot. Na pokładzie został wam jeszcze jeden pasażer. Zabierzcie go, dokąd chcecie.

– Zabierzcie go do piekła – dorzucił Luke. – Bilet w jedną stronę.

Tim ruszył po schodach, wyczekując strzału – nie przewidział, że Sigsby głośno się przedstawi. Oczywiście powinien był się tego spodziewać. W każdym razie żaden strzał nie padł.

– Miejsce pasażera z przodu – zwrócił się Tim do pani Sigsby. – Luke, ty siadasz za nią. Ja mam broń, ale ty jesteś moim wsparciem. Jeżeli spróbuje się na mnie rzucić, zrób te swoje mentalne czary-mary. Dobrze?

– Tak – zgodził się Luke i wsiadł z tyłu.

Pani Sigsby zajęła miejsce obok kierowcy i zapięła pasy. Kiedy wyciągnęła rękę, żeby zamknąć drzwi, Tim pokręcił głową.

– Jeszcze nie.

Trzymając jedną ręką otwarte drzwi auta, zadzwonił do Wendy, czekającej bezpiecznie w pokoju w Econo Lodge w Beaufort.

– Orzeł wylądował.

– Nic wam nie jest? – Połączenie było tak dobre, jakby Wendy stała tuż obok.

Tim żałował, że nie stoi, a potem przypomniał sobie, dokąd jadą.

– Na razie wszystko w porządku. Bądź w pogotowiu. Zadzwonię, jak będzie po wszystkim.

Pod warunkiem że będę mógł, pomyślał.

Obszedł samochód i usiadł za kierownicą. Kluczyki leżały w uchwycie na kubki. Skinął głową do pani Sigsby.

– Teraz może pani zamknąć drzwi.

Zrobiła to, spojrzała na niego z pogardą i powiedziała głośno to, co myślał Luke:

– Panie Jamieson, w czapce tyłem do przodu wygląda pan nadzwyczaj głupio.

– Cóż mogę powiedzieć, jestem fanem Eminema. A teraz proszę się zamknąć.

14

W ciemnym budynku przylotów Maine Paper Industries pod oknami klęczał pewien mężczyzna obserwujący, jak światła suburbana zapalają się, a potem pojazd toczy się w kierunku otwartej bramy. Irwin Mollison, robotnik z Dennison River Bend, obecnie bez pracy, był jednym z wielu tutejszych informatorów Instytutu. Stackhouse mógłby polecić Ronowi Churchowi, żeby tam został, ale wiedział z doświadczenia, że wydawanie rozkazów człowiekowi, który może ich nie posłuchać, to niedobry pomysł. Lepiej posłużyć się frajerem chcącym po prostu zarobić parę dolców.

Mollison zadzwonił pod numer z góry wprowadzony do jego komórki.

– Jadą – oznajmił. – Mężczyzna, kobieta i chłopiec. Kobieta ma czapkę na głowie, twarzy nie widziałem, ale stanęła w drzwiach samolotu i głośno krzyknęła, jak się nazywa. Sigsby. Mężczyzna też ma czapkę, tylko że przodem do tyłu. Chłopiec to ten, którego szukacie. Bandaż na uchu i cholernie duży siniak na boku twarzy.

– To dobrze – powiedział Stackhouse.

Zdażył już odebrać telefon od drugiego pilota challenger, który poinformował, że doktor Evans został w samolocie. To nie problem.

Jak dotąd wszystko dobrze... a przynajmniej na tyle dobrze, na ile pozwalały okoliczności. Autobus stał zaparkowany pod masztem zgodnie z żądaniem. Stackhouse zamierzał umieścić kucharza Douga i opiekuna Chada między drzewami za budynkiem administracji, tam gdzie zaczynał się podjazd Instytutu. Zeke Ionidis i Felicia Richardson zajmą stanowiska na dachu budynku administracji, schowani za gzymsem aż do rozpoczęcia strzelaniny. Gladys zacznie pompować truciznę do systemu HVAC, a potem dołączy do Zeke'a i Felicii. Z tych dwóch punktów nadjeżdżającego suburbana będzie można wziąć w klasyczny krzyżowy ogień – a przynajmniej takie było założenie. Stojąc obok masztu z ręką na masce autobusu, Stackhouse znajdzie się co najmniej trzydzieści metrów od przecinających powietrze pocisków. Wiedział, że istnieje ryzyko oberwania zbląkaną kulą, ale je akceptował.

Rosalind planował wysłać do pilnowania drzwi tunelu dostępowego na poziomie F. Chciał zadbać o to, by nie miała szans się zorientować, że jej ukochana wieloletnia szefowa również jest pod ostrzałem, chodziło jednak o coś jeszcze. Rozumiał, że ciągle buczenie to moc. Może jeszcze

niewystarczająca do sforsowania drzwi, ale może owszem. Być może te dzieci tylko czekały na przybycie Ellisa, żeby zaatakować od tyłu i rozpętać piekło, jakie już rozpętały w Tylnej Połowie. Warzywkom brakowało rozumu, by coś takiego zaplanować, ale byli z nimi inni. Jeśli rzeczywiście, to będzie na nich czekała Rosalind ze swoim smith & wessonem .45, a pierwsi, którzy pojawią się w drzwiach, srogo tego pożałują. Stackhouse mógł tylko mieć nadzieję, że szarżę będzie dowodził ten po dwakroć przeklęty Wilholm.

Czy jestem na to gotowy? – zapytał sam siebie i odpowiedź chyba brzmiała: tak. Bardziej gotowy nie będzie. Zresztą przecież wszystko mogło się jeszcze dobrze skończyć. Bądź co bądź, na zewnątrz mieli do czynienia tylko z Ellisem. Tylko z chłopcem i jakimś pomyłonym bohaterem, którego zgarnął po drodze. Za półtorej godziny będzie już po całym burdelu.

15

Trzecia. Buczenie było teraz głośniejsze.

– Zatrzymaj się – powiedział Luke. – Skręć tutaj.

Wskazywał drogę gruntową osłoniętą przez wielkie stare sosny. Jej wlot był prawie niewidoczny.

– Czy to tędy uciekłeś? – zapytał Tim.

– Boże, nie. Złapałiby mnie.

– Więc skąd...

– Ona wie – odparł Luke. – A ponieważ ona wie, to ja też.

Tim odwrócił się do pani Sigsby.

– Czy tam jest brama?

– Proszę zapytać jego. – Niemal wypluła te słowa.

– Nie ma bramy – poinformował Luke. – Tylko duża tablica z napisem Placówka eksperymentalna Maine Paper Industries i Wstęp wzbroniony.

Tim nie mógł się nie uśmiechnąć na widok absolutnej bezradności na twarzy pani Sigsby.

– Chłopak powinien być gliniarzem, nie sądzi pani? Przejrzałyby każde alibi.

– Nie róbcie tego – powiedziała kobieta. – Przez was wszyscy troje zginiemy. Stackhouse nie cofnie się przed niczym. – Spojrzała przez ramię na Luke'a. – Umiesz czytać w myślach, wiesz, że mówię prawdę, więc mu to wyjaśnij.

Luke milczał.

– Ile jest stąd do tego waszego Instytutu? – zapytał Tim.

– Piętnaście kilometrów – odparła pani Sigsby. – Może trochę więcej. – Najwidoczniej uznała, że gra na zwłokę nie ma sensu.

Tim skręcił w drogę gruntową. Kiedy już minął duże drzewa (ich gałęzie otarły się o dach i boki samochodu), okazała się równa i dobrze utrzymana. W górze księżyc w trzeciej kwadrze przeświecał między drzewami, nadając ziemi kolor kości. Tim zgasił światła suburba i jechał dalej.

16

Trzecia dwadzieścia.

Avery Dixon zimną ręką złapał za nadgarstek Kalishę, która drzemała na ramieniu Nicky'ego. Podniosła głowę.

– Aviszon?

Obudź ich. Helen, George'a i Nicky'ego. Obudź ich.

– Co...

Obudź ich, jeśli chcesz żyć. To *stanie* się niedługo.

Nick Wilholm już nie spał.

– Czy my w ogóle możemy przeżyć? – zapytał. – Myślisz, że to możliwe?

– Słyszę was tam! – Głos Rosalind, dochodzący z drugiej strony drzwi, był tylko trochę stłumiony. – O czym rozmawiacie? I dlaczego buczycie?

Kalisha potrząsnęła George'em i Helen, żeby się obudzili. Znowu widziała kolorowe kropki. Były blade, ale były. Latały po tunelu jak dzieci na zjeżdżalni i to w sumie było logiczne, bo w pewnym sensie były dziećmi, prawda? Albo ich pozostałością. Były myślami, które stały się widoczne, które teraz krążyły, tańczyły i wirowały, przenikając błakające się dzieci z Oddziału A. I czy aby te dzieci nie wyglądały trochę żwawiej? Jakby były trochę bardziej obecne? Kalishy tak się wydawało, ale może podpowiadała jej to tylko wyobraźnia. Tyle pobożnych życzeń... W Instytucie człowiek przyzwyczajał się do pobożnych życzeń. Żył nimi.

– Ja mam pistolet!

– Ja też, paniusiu! – odparł George, łapiąc się za krocze. Potem odwrócił się do Avery'ego: Co nam powie Szef Bobas?

Avery popatrzył na nich, na każdego po kolei, i Kalisha zorientowała się, że on płacze. Na ten widok skręciło ją w żołądku, jakby zjadła coś zepsutego i zaraz miała zwymiotować.

Kiedy to się stanie, musicie biec szybko.

Helen: Kiedy co się stanie, Avery?

Kiedy porozmawiam przez duży telefon.

Nicky: Z kim porozmawiasz?

Z innymi dziećmi. Z tymi odległymi.

Kalisha ruchem głowy wskazała na drzwi. Ta kobieta ma broń.

Avery: To ostatnia rzecz, jaką musicie się martwić. Po prostu idźcie. Wy wszyscy.

– My – powiedział Nicky. – My, Avery. My wszyscy.

Ale Avery kręcił głową. Kalisha próbowała dotrzeć do jego umysłu, próbowała odkryć, co tam się dzieje, co on wie, ale słyszała tylko trzy słowa powtarzane w kółko.

Jesteście moimi przyjaciółmi. Jesteście moimi przyjaciółmi. Jesteście moimi przyjaciółmi.

17

– Są jego przyjaciółmi, ale nie może iść z nimi – powiedział Luke.

– Kto nie może iść z kim? – zapytał Tim. – O czym ty mówisz?

– O Averym. Musi zostać. To on musi zadzwonić przez duży telefon.

– Nic z tego nie rozumiem.

– Chcę ich, ale jego też! – krzyknął chłopiec. – Chcę ich wszystkich! To nie fair!

– Oszalał – odezwała się pani Sigsby. – Na pewno zdaje pan sobie sprawę, że t...

– Przymknij się – przerwał jej Tim. – Ostatni raz ci mówię.

Popatrzyła na niego, cała czerwona na twarzy, i zamilkła.

Tim powoli przejechał przez wzniesienie i zatrzymał auto. Przed nimi droga się rozszerzała. Między drzewami widział światła i ciemną sylwetkę budynku.

– Chyba jesteśmy na miejscu – powiedział. – Luke, nie wiem, co się dzieje z twoimi przyjaciółmi, ale nie mamy już na to wpływu. Musisz wziąć się w garść. Dasz radę?

– Tak. – Chłopiec był zachrypnięty. Odchrząknął i spróbował raz jeszcze. – Tak. Dobrze.

Tim wysiadł, podszedł do drzwi pasażera i otworzył je.

– Co teraz? – zapytała pani Sigsby.

Jej ton był zrzedliwy i niecierpliwy, ale nawet w skąpym świetle Tim widział, że kobieta się boi. I słusznie.

– Wsiadaj. Przez resztę drogi ty prowadzisz. Ja usiądę z tyłu z Lukiem, a jeśli spróbujesz jakichś numerów, na przykład wjedziesz samochodem

w drzewo, zanim dotrzemy do tamtych świateł, wpakuję ci przez fotel kulkę prosto w kręgosłup.

– Nie. Nie!

– Tak. Jeśli Luke mówi prawdę o tym, co tu robiłaś z dziećmi, nabiłaś niezły rachunek. Pora go spłacić. Wyłaż, siadaj za kierownicę i jedź. Powoli, piętnaście na godzinę. – Zawiesił głos. – I obróć czapkę tyłem do przodu.

18

Andy Fellowes zadzwonił z centrum komputerowo-monitoringowego. Miał piskliwy, podniecony ton.

– Proszę pana, przyjechali! Zatrzymali się ze sto metrów od miejsca, w którym droga przechodzi w podjazd! Mają zgaszone reflektory, ale księżyc i front budynku dają dość światła, żeby ich widzieć. Mogę dać ich na monitor, żeby pan potwierdził, że...

– To nie będzie konieczne.

Stackhouse rzucił kanciasty aparat na biurko, po raz ostatni zerknął na Telefon Zero – dzięki Bogu ciągle milczał – i ruszył do drzwi. W kieszeni miał krótkofalówkę nastawioną na duże wzmocnienie i połączoną ze słuchawką w uchu. Wszyscy jego ludzie byli na tym samym kanale.

– Zeke?

– Jestem, szefie. Razem z panią doktor.

– Doug? Chad?

– Na posterunku. – To był Doug, kucharz. Ten sam, który w lepszych czasach nieraz siadywał z dziećmi przy kolacji i bawił maluchy sztuczkami magicznymi. – Widzimy ich samochód. Czarny, dziewięćosobowy. Suburban albo tahoe, zgadza się?

– Tak. Gladys?

– Na dachu, proszę pana. Wszystko gotowe. Muszę tylko zmieszać składniki.

– Zacznij, jeśli padną strzały.

Przy czym teraz to już nie było „jeśli”, lecz „kiedy” – za trzy, może cztery minuty. Albo wcześniej.

– Tak jest.

– Rosalind?

– Na miejscu. Tu, na dole, buczenie jest bardzo głośne. One chyba coś knują.

Stackhouse był pewien, że knują, ale już niedługo. Wkrótce będą zbyt zajęte duszeniem się.

– Gladys, pozostań na posterunku. Zanim się obejrzysz, będziesz znowu na Fenway Park na meczu Red Soxów.

– Pójdzie pan ze mną?

– Tylko pod warunkiem, że będę mógł kibicować Yankees.

Wyszedł na dwór. Po gorącym dniu nocne powietrze było przyjemnie chłodne. Poczul przypływ ciepłych uczuć do swojego zespołu. Do tych, którzy przy nim wytrwali. Zostaną nagrodzeni bez względu na wszystko, jeśli tylko będzie miał coś do powiedzenia. To ciężka służba, a oni zostali, by ją pełnić. Mężczyzna za kierownicą suburbana błędził. Nie rozumiał, nie mógł rozumieć, że od tego, co tu robili, zależy życie wszystkich, których kiedykolwiek kochał – ale to już przeszłość. Teraz zbłąkany bohater mógł tylko umrzeć.

Stackhouse podszedł do szkolnego autobusu zaparkowanego przy maszcie i po raz ostatni odezwał się do swoich żołnierzy:

– Strzelcy, macie się skupić na kierowcy, dobrze? Tym w czapce założonej tył na przód. Następnie macie zorać samochód seriami po całej długości. Celujcie wysoko, w okna, wybijcie ciemne szyby, a potem trafiajcie w głowy. Potwierdzić.

Potwierdzili.

– Zaczynajcie strzelać, kiedy podniosę rękę. Powtarzam: kiedy podniosę rękę.

Stackhouse stanął przed autobusem. Położył prawą dłoń na zimnej, mokrej od rosy masce. Lewą chwycił za maszt. Potem czekał.

19

– Ruszaj – powiedział Tim.

Był na podłodze za fotelem kierowcy. Luke znajdował się pod nim.

– Proszę, nie każcie mi tego robić – nalegała pani Sigsby. – Gdybyście tylko pozwolili mi powiedzieć, dlaczego to miejsce jest takie ważne...

– Ruszaj.

Ruszyła. Światła były coraz bliżej. Widziała już autobus, maszt i stojącego między nimi Trevora.

20

Już czas – powiedział Avery.

Myślał, że będzie się bał, bo bał się ciągle, odkąd obudził się w pokoju, który wyglądał jak jego pokój, ale nim nie był, a potem Harry Cross go przewrócił i wtedy Avery zaczął się bać jak nigdy w życiu. Teraz jednak się nie bał. Teraz czuł euforię. Była taka piosenka, którą jego mama zawsze puszczała z wieży przy sprzątanii, a teraz przypomniała mu się jedna linijka: „Wolny będę już”.

Podszedł do dzieci z Oddziału A, które zaczęły już krążyć. Kalisha, Nicky, George i Helen ruszyli za nim. Avery wyciągnął ręce. Kalisha wzięła go za jedną dłoń, a Iris – biedna Iris, którą może udałoby się uratować, gdyby to się stało dzień wcześniej – za drugą.

Kobieta stojąca na straży po drugiej stronie drzwi coś krzyknęła, jakieś pytanie, ale utonęło ono wśród narastającego buczenia. Pojawiły się kropki, teraz już nie blade, ale jasne i coraz jaśniejsze. Światła Stasi wypełniły środek kręgu, wirowały i unosiły się jak paski na słupku barberskim, wypływały z jakiegoś głębokiego źródła mocy, wracały tam, a potem przybywały z powrotem, odświeżone i mocniejsze niż kiedykolwiek.

ZAMKNIJCIE OCZY.

To już nie była myśl, ale MYŚL, niesiona buczeniem.

Avery spojrzał, by upewnić się, że wszyscy to zrobili, a potem sam zamknął oczy. Spodziewał się zobaczyć swój pokój w domu rodzinnym albo może ogródek z huśtawką i nadmuchiwany basenem, który tata zawsze rozstawiał w Dzień Pamięci pod koniec maja, ale tak się nie stało. Tym, co zobaczył pod powiekami – co zobaczyli wszyscy – był plac zabaw w Instytucie. I może to wcale nie powinno go dziwić. To prawda, że właśnie tam został przewrócony i rozplakał się, co źle rozpoczęło ostatnie trzy tygodnie jego życia, ale potem poznał przyjaciół, i to dobrych. W domu nie miał przyjaciół. W szkole wszyscy mieli go za dziwaka, nabijali się nawet z jego imienia, podbiegali do niego i krzyczeli mu w twarz: „Ej, Avery, nie ze mną te numery”. Tutaj nikt się tak nie zachowywał, bo wszystkich łączył wspólny los. Tutaj przyjaciele się o niego troszczyli, traktowali go jak normalnego człowieka, a teraz on zatroszczy się o nich. O Kalishę, Nicky’ego, George’a i Helen – zatroszczy się o nich wszystkich.

A przede wszystkim o Luke’a. Jeśli zdoła.

Z zamkniętymi oczami zobaczył duży telefon.

Stał obok trampoliny, przed płytkim rowem, przez który Luke przeczołgał się pod ogrodzeniem, staroświecki telefon, wysoki na co najmniej pięć metrów i czarny niczym śmierć. Avery, jego przyjaciele

i dzieci z Oddziału A stali wokół niego w kręgu. Światła Stasi wirowały, jaśniejsze niż kiedykolwiek, raz kręciły się po jego tarczy, raz wesoło ślizgały po gigantycznej bakelitowej słuchawce.

Kalisha, JUŻ. Na plac zabaw!

Nie było sprzeciwu. Dłoń dziewczyny wyslizgnęła się z dłoni Avery'ego, ale zanim przerwaniu kręgu zdążyło zakłócić moc i zburzyć wizję, rękę chłopca złapał George. Buczenie było teraz wszędzie, na pewno było je słyhać w tych wszystkich odległych miejscach, w których inne dzieci takie jak oni stały w takich samych kręgach. Słyszały to buczenie, tak jak słyszał je każdy cel, który zabili; właśnie po to zostali sprowadzeni do poszczególnych Instytutów. I tak samo jak te cele dzieci będą mu posłuszne. Różnica polegała na tym, że one robią to świadomie i z chęcią. Rewolta nie odbywała się tylko tu – rewolta była globalna.

George, JUŻ. Na plac zabaw!

Dłoń George'a wysunęła się, zastąpiona dłonią Nicky'ego. Nicky'ego, który stanął w obronie Avery'ego, kiedy przewrócił go Harry. Nicky'ego, który mówił na niego Aviszon, jakby to było wyjątkowe imię zarezerwowane tylko dla przyjaciół. Avery ścisnął jego dłoń i poczuł, że Nicky odpowiada tym samym. Nicky, który się nie ugiął i nie przyjmował zasranych żetonów.

Nicky, JUŻ. Na plac zabaw!

Nicky zniknął. Teraz dłoń Avery'ego ścisnęła Helen. Helen z blednącą punkową fryzurą, Helen, która nauczyła go robić przewroty na trampolinie i asekurowała go, „żeby nie spadł i nie rozbił sobie głupiego łba”.

Helen, JUŻ. Na plac zabaw!

Odeszła, ostatnia z jego tutejszych przyjaciół, ale zastąpiła ją Katie i nadszedł czas.

Na dworze – ciche strzały.

Błagam, niech nie będzie za późno!

To była jego ostatnia świadoma myśl jako osoby, jako Avery'ego. Potem dołączył do buczenia i do świateł.

Nadszedł czas na rozmowę zamiejscową.

21

Między ostatnimi drzewami Stackhouse widział, jak chevrolet suburban toczy się naprzód. Blask świateł budynku administracji prześlizgiwał się po chromowanej karoserii. Samochód jechał bardzo

wolno, ale się zbliżał. Mężczyźnie przyszło do głowy (za późno, żeby cokolwiek na to poradzić, ale przecież zawsze tak jest), że chłopiec może już nie mieć pendrive'a, że mógł go jednak zostawić tej policjantce Wendy. Albo ukryć gdzieś po drodze między lądowiskiem a Instytutem i jeśli coś pójdzie nie tak, zbłąkany bohater zadzwoni do kobiety i powie, gdzie go szukać.

Ale czy mogłem temu zapobiec? – pomyślał Stackhouse. Nie. Teraz jest tylko to.

Suburban pojawił się u wlotu podjazdu. Szef ochrony Instytutu wciąż stał między autobusem a słupem, z rękami rozpostartymi jak Chrystus na krzyżu. Buczenie było już prawie ogłuszające i Stackhouse zastanawiał się, czy Rosalind trwa na swoim posterunku, czy też została zmuszona do ucieczki. Pomyślał o Gladys i miał nadzieję, że jest gotowa do wiania mikstury.

Zmrużył oczy, wpatrując się w kształt za kierownicą suburbana. Trudno było zobaczyć zbyt wiele i wiedział, że przez przyciemnione tylne szyby Doug i Chad też gówno zobaczą, dopóki ich nie potłuką, ale ta przednia była z jasnego szkła, a kiedy auto zmniejszyło dystans do dwudziestu metrów – nieco bardziej, niżby chciał – zobaczył przecinający czoło kierowcy regulowany pasek obróconej czapki i puścił maszt. Wtedy kierowca zaczął gorączkowo kręcić głową. Jedną ręką puścił kierownicę i przycisnął do szyby dłoń rozczapierzoną niczym rozgwiazda w geście STOP i w tym momencie Stackhouse zrozumiał, że dał się nabrać. Sztuczka była równie prosta jak ucieczka dziecka pod ogrodzeniem i tak samo skuteczna.

To nie zbłąkany bohater siedział za kierownicą. Ale pani Sigsby.

Suburban znów się zatrzymał, a potem zaczął się cofać.

– Przykro mi, Julio, nic na to nie poradzę – powiedział Stackhouse i podniósł rękę.

Huknęły strzały z budynku administracji i spomiędzy drzew. Na tyłach Przedniej Połowy Gladys Hickson zdjęła pokrywki dwóch dużych kubłów z wybielaczem, które stały pod skrzynką HVAC zapewniającą Tylnej Połowie i tunelowi dostępowemu chłodzenie i ogrzewanie. Wstrzymała oddech, wlała do tych kubłów zawartość butelek ze środkiem do czyszczenia ubikacji, szybko zamieszała kijem od mopa, nakryła kubły oraz skrzynkę plandeką, a potem z piekącymi oczami popędziła sprintem w kierunku wschodniego skrzydła Przedniej Połowy. Biegając, zorientowała się, że dach rusza się pod jej stopami.

– Nie, Trevorze, nie! – wrzeszczała pani Sigsby.

Energicznie kręciła głową. Leżący za nią Tim widział, jak kobieta podnosi jedną rękę i przyciska ją do szyby. Drugą wrzuciła wsteczny bieg.

Samochód ledwo zdążył ruszyć, kiedy zaczęły się strzały, niektóre z prawej, z lasu, a niektóre z przodu i – Tim był tego właściwie pewien – z góry. W przedniej szybie suburbana pojawiły się dziury. Zrobiła się mętna i ugięła się do wewnątrz. Pani Sigsby zmieniła się w kukielkę, która szarpała się, podskakiwała i cicho krzyczała, trafiana kolejnymi kulami.

– Luke, leż spokojnie! – krzyknął Tim, kiedy chłopiec zaczął się pod nim wiercić. – Leż spokojnie!

Pociski przebiły tylne szyby pojazdu. Na plecy mężczyzny sypały się odłamki szkła. Po tylnej stronie siedzenia kierowcy spływała krew. Mimo równego buczenia, które zdawało się dochodzić zewsząd, Tim słyszał, jak kule przelatują tuż nad nim, każda z niskim gwizdem.

Zabrzęczały pociski przebijające metal. Otworzyła się maska samochodu. Tim cały czas myślał o ostatniej scenie starego filmu gangsterskiego, w której Bonnie Parker i Clyde Barrow tańczą taniec śmierci, kiedy kule szatkują samochód i ich samych. Cokolwiek zamierzał Luke, plan katastrofalnie zawiódł. Pani Sigsby nie żyła, Tim widział jej krew rozprysniętą na resztkach przedniej szyby. Oni będą następni.

A potem: wrzaski z przodu i krzyki z prawej. Prawy bok suburbana przebiły dwie kolejne kule; jedna z nich dosłownie otarła się o kołnierzyk koszuli Tima. To były dwie ostatnie. Teraz słyszał potężny, chrobotliwy ryk.

– Muszę wstać – wydyszał Luke. – Nie mogę oddychać.

Tim zszedł z chłopca i wyjrzał między przednimi siedzeniami. Wiedział, że lada chwila ktoś może odstrzelić mu głowę, ale musiał zobaczyć, co się dzieje. Luke podniósł się obok niego. Tim już chciał mu powiedzieć, żeby kładł się z powrotem, ale słowa ugrzęzły mu w gardle.

To niemożliwe, pomyślał. To nie może być prawda.

Ale była.

Avery i reszta stali wokół dużego telefonu. Trudno było cokolwiek zobaczyć z powodu Świąteł Stasi, takich jasnych i takich pięknych.

Fajerwerk – pomyślał Avery. – Teraz zrobimy fajerwerk.

Powstał z zespolonych świateł, wysoki na trzy metry, buchający światłością na wszystkie strony. Początkowo kołysał się na boki, ale potem grupowy umysł zapanował nad nim mocniej. Fajerwerk opadł na olbrzymią słuchawkę telefonu i stracił ją z olbrzymiej bazy. Podobny do hantli kształt wylądował skosem na linarium. Ze słuchawki popłynęły głosy w różnych językach, wszystkie zadające te same pytania: Halo, czy mnie słyszysz? Halo, jesteś tam?

TAK – odpowiedziały dzieci z Instytutu jednym głosem. – TAK, SŁYSZYMY WAS! ZRÓBCIE TO TERAZ!

Krąg dzieci w hiszpańskim parku narodowym Sierra Nevada usłyszał. Krąg bośniackich dzieci uwięzionych w Alpach Dynarskich usłyszał. Na wyspie Pampus u wejścia do portu w Amsterdamie krąg holenderskich dzieci usłyszał. Krąg niemieckich dzieci usłyszał w górskich lasach Bawarii.

W Pietrapertosie na Sycylii.

W Namwon w Korei Południowej.

Dziesięć kilometrów za syberyjskim widmowym miastem Czerski.

Usłyszały, odpowiedziały, stały się jednością.

24

Kalisha i reszta dotarli do zamkniętych drzwi, które dzieliły ich od Przedniej Połowy. Teraz wyraźnie słyszeli strzały, bo buczenie nagle ustało, jakby ktoś wyciągnął wtyczkę.

Oj, ono się wcale nie skończyło, pomyślała Kalisha. Tyle że teraz nie jest przeznaczone dla nas.

Jęk zaczął się w ścianach, to był niemal ludzki dźwięk, a potem stalowe drzwi między tunelem a poziomem F Przedniej Połowy wystrzeliły na zewnątrz, prosto w Rosalind Dawson, zabijając ją na miejscu, i wylądowały aż za windą, powykręcane w tych miejscach, gdzie wcześniej znajdowały się ciężkie zawiasy. Druciane kratki osłaniające świetlówki pod sufitem falowały, rzucając wkoło szalone podwodne cienie.

Jęk stawał się coraz głośniejszy, dobiegał zewsząd. Zupełnie jakby budynek chciał rozerwać sam siebie. W samochodzie Tim myślał o Bonnie i Clydzie; teraz Kalisha myślała o opowiadaniu Edgara Allana Poeo o zagładzie domu Usherów.

Chodźcie – pomyślała do pozostałych. – Szybko!

Przebiegli obok wyrwanych drzwi, pod którymi leżała rozerwana kobieta w rozrastającej się kałuży krwi.

George: A winda? Minęliśmy ją!

Nicky: Oszalałeś? Nie wiem, co się dzieje, ale nie wsiądę do żadnej cholernej windy.

Helen: Czy to trzęsienie ziemi?

– Nie – powiedziała Kalisha. Trzęsienie umysłu. Nie wiem, jak... – Jak to robią, ale to jest... – Odetchnęła i poczuła na języku ostry smak. Aż się zakrztusiła. – To jest właśnie to.

Helen: Coś nie tak z powietrzem.

– To chyba jakaś trucizna – powiedział Nicky. Ci skurwiele nigdy się nie poddają.

Kalisha pchnęła drzwi z napisem SCHODY i ruszyli pod górę. Teraz kasłali już wszyscy. Między poziomami D i C stopnie zaczęły im się trząść pod nogami. Po ścianach rozbiegały się zygzaki pęknięć. Poszły jarzeniówki i włączyło się awaryjne oświetlenie, rzucające płaski żółty blask. Kalisha zatrzymała się, zgięła wpool targana torsjami, a potem ruszyła dalej.

George: Co z Averym i resztą dzieci, które zostały na dole? Poduszają się!

Nicky: A Luke? Czy on tu jest? Żyje?

Tego Kalisha nie wiedziała. Wiedziała tylko tyle, że muszą się stąd wydostać, zanim się uduszą. Albo zanim zostaną zgnieceni, jeśli Instytut imploduje.

Budynkiem wstrząsnął kolosalny dreszcz i schody przechyliły się w prawo. Dziewczyna wyobraziła sobie, w jakiej znaleźliby się sytuacji, gdyby jednak pojechali windą, i natychmiast odsunęła tę myśl.

Poziom B. Kalisha ciężko dyszała, ale tutaj powietrze było lepsze, więc mogła biec nieco szybciej. Całe szczęście, że nie wkręciła się w papierosy z automatu, przynajmniej tyle dobrego. Jęk w murach zmienił się w niski krzyk. Dziewczyna słyszała huk pustego metalu i domyślała się, że pękają rury i szachty elektryczne.

Pękało wszystko. Kalishy przypomniało się, że kiedyś widziała taki film na YouTube, potworne widowisko, od którego nie potrafiła odwrócić wzroku: dentysta wyrywał komuś ząb za pomocą szczypiec. Ząb się kiwał, wokół niego wypływała krew, ale nie chciał opuścić dziąsła, w końcu jednak wychodził z dyndającymi korzeniami. To było właśnie coś takiego.

Kalisha dotarła do drzwi na parterze; były przekrzywione, surrealistyczne, pijane. Pchnęła, lecz się nie otwierały. Dołączył do niej Nicky i pchnęli razem. Bez skutku. Podłoga pod nimi podniosła się, po

czym z hukiem opadła. Obluzował się kawałek sufitu, runął na schody i zjechał po stopniach, krusząc się po drodze.

– Jak się stąd nie wydostaniemy, to nas zgniecie! – krzyknęła Kalisha.

Nicky: George. Helen.

Wyciągnął rękę. Klatka schodowa była wąska, ale we czwórkę jakoś udało im się ścisnąć pod drzwiami, biodro w biodro i ramię w ramię. Włosy George'a wchodziły Kalishy w oczy. Cuchnący strachem oddech Helen buchał jej w twarz. Po omacku złapali się za ręce. Pojawiły się kropki i drzwi otworzyły się ze zgrzytem, odrywając z góry kawałek ościeżnicy. Po drugiej stronie znajdował się korytarz mieszkalny, teraz pijacko przekrzywiony. Kalisha pierwsza uciekła przez nierówne wejście – wystrzeliła jak korek od szampana. Wylądowała na kolanach i rozcięła sobie dłoń o lampę, która spadła z sufitu, sypiąc wszędzie kawałki szkła i metalu. Na jednej ze ścian wciąż wisiał krzywo plakat z trojgiem dzieci biegnących po łące, ten, który oznajmiał, że to kolejny dzień w raj.

Kalisha dźwignęła się na nogi, rozejrzała i zobaczyła, że pozostali robią to samo. Razem pobiegli w kierunku świetlicy, obok pokoi, w których już nigdy nie miały zamieszkać wykradzione dzieci. Drzwi do tych pokoi gwałtownie otwierały się i zatrzaśkiwały, co brzmiało tak, jakby szaleńcy bili brawo. W stołówce przewróciło się kilka automatów, z których wyleciały przekąski. Z potłuczonych małek bił w powietrze cierpki zapach alkoholu. Drzwi na plac zabaw były wykręcone i zamknięte na amen, brakowało jednak szyb, więc do wnętrza wpadało cudowne świeże powietrze niesione wiatrem późnego lata. Kalisha dopadła do drzwi i znieruchomiała. Na moment zupełnie zapomniała o budynku, który rozpadał się wkoło.

W pierwszej chwili pomyślała, że reszta dzieciaków jednak się wydostała, może drugimi drzwiami tunelu dostępowego, ponieważ byli tam Avery, Iris, Hal, Len, Jimmy, Donna i wszyscy pozostali z Oddziału A. Potem zrozumiała, że tak naprawdę wcale ich nie widzi. To były projekcje. Awatary. Tak samo jak olbrzymi telefon, który okrążali. Teoretycznie powinien zmiążdżyć trampolinę i siatkę do badmintonu, ale wciąż były całe. Kalisha widziała siatkowe ogrodzenie nie tylko za telefonem, ale także przez niego.

A potem i dzieci, i telefon zniknęły. Dziewczyna zorientowała się, że podłoga znowu się podnosi, lecz tym razem nie opada. Między świetlicą a skrajem placu zabaw widać było coraz większą szparę. Na razie miała tylko dwadzieścia centymetrów, jednak rosła. Żeby się wydostać, Kalisha musiała dać małego susa, jak z drugiego stopnia schodów.

– Chodźcie! – zawołała do pozostałych. – Szybko! Póki jeszcze można!

25

Stackhouse usłyszał wrzaski dobiegające z dachu budynku administracji; nie dochodziły już stamtąd strzały. Obrócił się i zobaczył coś, w co w pierwszej chwili nie mógł uwierzyć. Przednia Połowa się wznosiła. Na dachu na tle księżycy chwiała się jakaś sylwetka, rozkładająca ramiona dla zachowania równowagi. Na pewno Gladys.

To nie może być prawda, pomyślał.

Ale była. Przednia Połowa wzniosła się wyżej, rozstawała się z ziemią przy akompaniamencie chrzęstu i trzasku. Przesłoniła księżyc, a potem przechyliła się do przodu niczym dziób olbrzymiego, niezdarnego śmigłowca. Gladys pofrunęła. Stackhouse usłyszał jej wrzask, kiedy znikła wśród cieni. Na budynku administracyjnym Zeke i doktor Richardson upuścili broń i kulili się pod gzymsem, patrząc w górę na coś rodem ze snu: gmach powoli pnący się ku niebu, gubiący szkło i kawałki cegieł. Pociągnął za sobą większość ogrodzenia placu zabaw. Ze splątanego podbrzusza budynku lała się woda z popękanych rur.

Przez rozbite drzwi świetlicy zachodniego skrzydła wypadł na podwórko automat z papierosami. Zmiażdżyłby George'a Ilesa, który z rozdziawionymi ustami gapił się na spód Przedniej Połowy, gdyby Nicky w porę go nie odciągnął.

Kucharz Doug i opiekun Chad wybiegli spomiędzy drzew z zadartymi głowami, otwartymi ustami i z bronią luźno wiszącą w rękach. Być może założyli, że ci, którzy jechali podziurawionym kulami chevroletem suburbanem, już nie żyją, ale raczej po prostu, zdziwieni i przerażeni, zapomnieli o tym.

Teraz dół Przedniej Połowy znajdował się nad dachem budynku administracji. Gmach sunął z majestatyczną, ociężałą gracją osiemnastowiecznego okrętu Królewskiej Marynarki Wojennej żeglującego przy lekkim wietrze. Izolacja i kable, niektóre nadal iskrzące, dyndały niczym pęknięte pepowiny. Wystający kawałek rury zerwał osłonę wentylacji. Grek Zeke i doktor Felicia Richardson zobaczyli, że się zbliża, i pobiegli w stronę wjazdu, przez który wyszli na dach. Zeke zdążył; doktor Richardson nie. Osłoniła głowę ramionami w ochronnym geście zarazem odruchowym i żalonym.

To właśnie wtedy tunel dostępowy – osłabiony przez lata zaniedbań oraz kataklizm lewitacji Przedniej Połowy – zawalił się, zgniatając dzieci,

które i tak już umierały od zatrucia chlorem i mentalnego przeciążenia. Utrzymały krąg do samego końca, a kiedy sufit opadał, Avery Dixon miał jeszcze jedną myśl, wyraźną i spokojną: Cudownie było mieć przyjaciół.

26

Tim nie pamiętał, kiedy wysiadł z suburba. Całkowicie zaprzętała go próba przyswojenia tego, co widzi: ogromny gmach sunął w powietrzu ponad mniejszym budynkiem, przysłaniając go. Tim widział, jak na dachu tego drugiego jakaś postać osłania głowę rękami. Potem gdzieś zza tej niesamowitej iluzji godnej Davida Copperfielda dobiegł stłumiony łoskot, wzbiła się wielka chmura kurzu... i lewitujący gmach runął jak kamień.

Ziemią wstrząsnął potężny huk i Tim zachwiał się na nogach. Nie było szans, żeby mniejszy budynek – zapewne biurowy – zniósł taki ciężar. Ekspłodował na wszystkie strony drewnem, betonem i szkłem. W górę buchnęło jeszcze więcej kurzu, dosyć, by przesłonić księżyc. Włączył się autoalarm autobusu (kto by pomyślał, że autobusy też mają alarmy): ŁUU-ŁUU-ŁUU. Osoba, która stała na dachu, oczywiście nie żyła, a ze wszystkich znajdujących się w środku została tylko marmolada.

– Tim! – Luke złapał go za ramię. – Tim!

Wskazał na dwóch ludzi, którzy wyszli spomiędzy drzew. Jeden wciąż gapił się na ruiny, ale drugi właśnie unosił duży pistolet. Bardzo powoli, jak we śnie.

Tim również podniósł swój, znacznie szybciej.

– Nie rób tego. Rzućcie broń.

Spojrzeli na niego oszołomieni i wykonali polecenie.

– A teraz podejdźcie do masztu.

– Już po wszystkim? – zapytał jeden z mężczyzn. – Proszę, powiedzcie, że już po wszystkim.

– Chyba tak – odparł Luke. – Zróbcie, co mówi mój przyjaciel.

Brnęli wśród bałwanów kurzu w kierunku masztu i autobusu. Luke podniósł ich pistolety, przeszło mu przez głowę, żeby je wrzucić do suburba, lecz uświadomił sobie, że przecież nigdzie już nie pojedzie tym podziurawionym przez kule, ochlapanym krwią wozem. Jeden pistolet zatrzymał dla siebie. Drugi wyrzucił do lasu.

27

Stackhouse przez moment patrzył, jak Chad i kucharz Doug idą w jego kierunku, a potem obrócił się, żeby spojrzeć na ruinę swego życia.

Ale kto to mógł wiedzieć? – pomyślał. Kto by przewidział, że mają dostęp do mocy tak wielkiej, że była zdolna doprowadzić do lewitacji budynku? Nie pani Sigsby, nie Evans, nie Heckle i Jeckle, nie Donkey Kong – gdziekolwiek dzisiaj jest – i z całą pewnością nie ja. Myśleliśmy, że mamy do czynienia z wysokim napięciem, a tymczasem uzyskaliśmy dostęp zaledwie do bardzo słabego prądu. To my wyszliśmy na głupków.

Ktoś postukał go w ramię. Stackhouse obrócił się, by spojrzeć na zbląkanego bohatera. Był on barczysty (jak przystało na prawdziwego bohatera), ale na nosie miał okulary, co nie pasowało do stereotypu.

Oczywiście jest jeszcze Clark Kent, pomyślał Stackhouse.

– Masz broń? – zapytał mężczyzna o imieniu Tim.

Stackhouse pokręcił głową i wykonał anemiczny gest ręką.

– To była ich rola.

– Wy trzech jesteście ostatni?

– Nie wiem. – Stackhouse nigdy w życiu nie czuł się tak zmęczony. To pewnie efekt szoku. Oraz widoku budynku, który wzniósł się w nocne niebo i przesłonił księżyc. – Może żyje jeszcze część personelu Tyłnej Połowy. I tamtejsi lekarze, Hallas i James. Ale dzieci w Przedniej Połowie... Nie wyobrażam sobie, żeby ktokolwiek mógł przeżyć coś takiego. – Wskazał ruiny gestem ręki ciężkiej jak z ołowiu.

– A pozostałe? – zapytał Tim. – Co z pozostałymi dziećmi? Czy nie były w tym drugim budynku?

– Były w tunelu dostępowym – powiedział Luke. – On próbował je zagazować, ale wcześniej tunel się zawalił. Runął, kiedy podniosła się Przednia Połowa.

Stackhouse chciał zaprzeczyć, tylko że na co by się to zdało, skoro ten Ellis potrafił czytać w myślach? Poza tym był taki zmęczony. Kompletnie wyczerpany.

– Twoi przyjaciele też? – spytał Tim.

Luke otworzył usta, by powiedzieć, że nie jest pewien, ale chyba tak. Potem gwałtownie obrócił głowę, jakby ktoś go zawołał. Jeśli tak, to wezwanie rozległo się w jego głowie, bo Tim usłyszał głos dopiero po kilku sekundach.

Luke!

Przez zaśmiecony trawnik biegła dziewczyna, omijając gruzy, które eksplodowały do zewnątrz, tworząc swoistą aureolę. Za nią podążało troje innych dzieci: dwóch chłopców i jedna dziewczyna.

Lukey!

Luke podbiegł do dziewczyny na przedzie i wziął ją w ramiona. Pozostała trójka dołączyła do nich i gdy wszyscy się objęli, Tim znowu usłyszał buczenie, lecz teraz cichsze. Część gruzów drgnęła, kawałki drewna i kamienia uniosły się w powietrze, a potem znowu spadły. I czyżby w jego głowie zaszumiała mieszanka ich splątanych głosów? Może to tylko wyobraźnia, ale...

– Oni ciągle produkują energię – powiedział Stackhouse. Mówił to beznamienne, jakby dla zabicia czasu. – Słyszę ich. Pan też – zwrócił się do Tima. – Radzę uważać. Efekt się kumuluje. Od tego Hallas i James zmienili się w Heckle'a i Jeckle'a. – Parsknął urwanym śmiechem. – Dwie kreskówkowe sroki z dyplomami drogich uczelni medycznych.

Tim zignorował go i pozwolił, żeby dzieci cieszyły się spotkaniem – któż, na Boga, zasługiwał na to bardziej niż one? Cały czas miał na oku trzech pozostałych przy życiu mężczyzn z Instytutu. Chociaż ci wcale nie wyglądali, jakby chcieli sprawiać kłopoty.

– Co ja mam z wami zrobić, gnoje? – zapytał, choć tak naprawdę wcale nie mówił do nich, tylko głośno myślał.

– Proszę, nie zabijaj nas – powiedział Doug. Wskazał grupkę, która ciągle trwała w uścisku. – Karmiłem tych małych. Utrzymywałem ich przy życiu.

– Jeżeli sam chcesz pozostać przy życiu, to na twoim miejscu nie próbowałbym usprawiedliwiać niczego, co tutaj robiłeś – odparł Tim. – Najrozsądniej będzie się zamknąć. – Skupił uwagę na Stackhousie. – Wygląda na to, że autobus jednak nie będzie nam potrzebny, bo zabiliście większość dzieci...

– My wcale...

– Głuchy jesteś? Powiedziałem: zamknij ryj.

Stackhouse zobaczył, jak temu człowiekowi patrzy z oczu. To wcale nie wyglądało na bohaterstwo, zbłąkane czy jakiegokolwiek inne. Wyglądało na żądę mordy. Zamknął się.

– Musimy stąd jakoś wyjechać – rzucił Tim. – A naprawdę nie mam ochoty prowadzić was trzech wesołych rycerzyków przez las do tej wioski, którą tu według Luke'a macie. Za nami długi, męczący dzień. Jakies pomysły?

Stackhouse jakby go nie słyszał. Patrzył na pozostałości Przedniej Połowy i rozgniecionej przez nią budynku administracji.

– To wszystko – powiedział w zadziwieniu. – To wszystko z powodu jednego uciekiniera.

Tim lekko kopnął go w kostkę.

– Słuchaj, co do ciebie mówię, zasrańcu. Jak mam stąd wywieźć te dzieci?

Stackhouse nie odpowiedział, podobnie jak mężczyzna, który rzekomo je karmił. Odezwał się za to ten drugi, który w szpitalnej bluzie przypominał salowego.

– Czy gdybym miał pomysł, toby mnie pan puścił?

– Jak się nazywasz?

– Chad, proszę pana. Chad Greenlee.

– No cóż, Chad, to by zależało od tego pomysłu.

28

Ostatnie pozostałe przy życiu dzieci z Instytutu ścisły się, ścisły i ścisły. Luke miał wrażenie, że mógłby tak obejmować przyjaciół już wiecznie i czuć, jak oni obejmują jego, ponieważ do tej pory myślał, że już ich więcej nie zobaczy. Przez chwilę wszystko, co im było potrzebne, znajdowało się w tym ciasnym kręgu, który utworzyli na zaśmieconym trawniku. Potrzebowali tylko siebie nawzajem. Świat i wszelkie jego problemy mogły iść się pieprzyć.

Avery?

Kalisha: Już go nie ma. Tunel się na nich zawalił.

Nicky: Luke, tak jest lepiej. On nie byłby już taki jak dawniej. Nie byłby sobą. To, co zrobił, co oni razem zrobili... musiało go wydrążyć tak jak pozostałych.

Co z dziećmi z Przedniej Połowy? Czy któreś z nich żyje? Bo jeśli tak, musimy...

Odpowiedziała mu Kalisha, kręcąc głową i przesyłając nie słowa, ale obraz: zmarłego Harry'ego Crossa z Selmy w Alabamie. Tego chłopca, który umarł w stołówce.

Luke chwycił ją za ramiona. Wszyscy? Chcesz powiedzieć, że wszyscy umarli na padaczkę, jeszcze zanim to runęło?

Wskazał na gruzy Przedniej Połowy.

– Chyba kiedy się podniosło – powiedział Nicky. – Kiedy Avery odebrał duży telefon.

Gdy stało się jasne, że Luke nie do końca rozumie, Nicky dodał: Kiedy dołączyły się inne dzieci.

– Te z daleka – dodał George. – Z innych Instytutów. Dzieci z Przedniej Połowy były po prostu zbyt... Nie wiem, jak to powiedzieć.

– Zbyt wrażliwe – odpowiedział Luke. – To masz na myśli. Były wrażliwe. To było coś takiego jak jeden z tych parszywych zastrzyków, prawda? Takich najgorszych.

Kiwnęli głowami.

– Na pewno umarli, widząc kropki – szepnęła Helen. – Coś straszego.

Odpowiedzią Luke’a było dziecinne wyparcie, które dorośli kwitują cynicznym uśmiechem, w pełni potrafią je zrozumieć tylko inne dzieci: To nie fair! Nie fair!

Tak – zgodzili się. – Nie fair.

Rozłączyli się. Luke popatrzył na nich kolejno w pełnym pyłu świetle księżycy: Helen, George, Nicky... i Kalisha. Pamiętał ten dzień, w którym ją poznał, udającą, że pali cukierkowego papierosa.

George: Co teraz, Lukey?

– Tim będzie wiedział – odparł Luke i mógł tylko mieć nadzieję, że to prawda.

29

Chad szedł przodem obok zniszczonych budynków. Stackhouse i kucharz Doug wlekli się za nim ze spuszczoneymi głowami. Następny szedł Tim z pistoletem w ręce. Za Timem maszerowali Luke i jego przyjaciele. Świerszcze, które milczały, odkąd zaczęło się zniszczenie, teraz znowu zaczynały się odzywać.

Opiekun przystanął na skraju asfaltowej drogi, przy której zaparkowano jeden za drugim sześć samochodów osobowych i kilka półciężarówek. Wśród nich była średniej wielkości furgonetka Toyoty z napisem MAINE PAPER INDUSTRIES na boku. Doug wskazał właśnie ją.

– Może ta, proszę pana? Nadałaby się?

Tim uznał, że tak, przynajmniej na początek.

– A kluczyki?

– Tych aut używają wszyscy, więc kluczyki są zawsze za osłoną przeciwsłoneczną.

– Luke, możesz to sprawdzić? – poprosił Tim.

Luke ruszył do furgonetki; reszta dzieci poszła razem z nim, jakby nie mogły znieść rozłąki nawet na chwilę. Chłopiec otworzył drzwi od strony kierowcy i opuścił osłonę. Coś spadło mu na rękę. Pokazał kluczyki.

– Dobrze – powiedział Tim. – Teraz otwórzcie tył. Jeśli coś tam jest, opróżnijcie.

Tym zadaniem zajęli się we dwóch: ten duży, Nick, i ten mniejszy, George. Wyrzucili z furgonetki motyki, grabie, skrzynię z narzędziami oraz kilka worków nawozu. Tymczasem szef ochrony Instytutu usiadł na trawie i oparł głowę o kolana. To był dojmujący wyraz porażki, ale Timowi nie zrobiło się żal tego człowieka. Postukał Stackhouse'a w ramię.

– Jedziemy stąd.

Tamten nie podniósł głowy.

– Dokąd? Wydaje mi się, że chłopak mówił coś o Disneylandzie. – Parsknął wyjątkowo ponurym śmiechem.

– Nie twoja sprawa. Ja natomiast jestem ciekaw: gdzie ty się podziejesz?

Stackhouse nie odpowiedział.

30

Z tyłu furgonetki nie było siedzeń, więc dzieci na zmianę siedziały z przodu, zaczynając od Kalishy. Luke ścisnął się na metalowej podłodze między nią a Timem, Nickym i George'em, natomiast Helen przycupnęła przy tylnych drzwiach i patrzyła przez dwa zakurzone małe okienka na świat, którego już nigdy więcej nie spodziewali się zobaczyć.

Luke: Kalisha, dlaczego płaczesz?

Powiedziała mu, a potem powtórzyła na głos ze względu na Tima:

– Bo to wszystko takie piękne. Jest piękne nawet po ciemku. Szkoda tylko, że Avery tego nie widzi.

31

Świt wciąż jeszcze był tylko niejasną zapowiedzią na wschodnim horyzoncie, kiedy Tim skręcił na południe w drogę numer 77. Chłopak o imieniu Nicky zajął miejsce Kalishy na przednim siedzeniu. Luke poszedł z nią na tył auta i teraz cała czwórka siedziała tam zbита w kupce jak szczeniaki i głęboko spała. Nicky najwyraźniej też, choć uderzał głową o szybę na każdym wyboju... a było ich sporo.

Tuż po minięciu tablicy informującej, że do Millinocket zostało osiemdziesiąt kilometrów, Tim zerknął na komórkę i zobaczył, że ma dwie kreski zasięgu i dziewięć procent baterii. Zadzwonął do Wendy. Odebrała po pierwszym sygnale i chciała wiedzieć, czy nic mu nie jest. Powiedział, że nic. Potem zapytała, czy Luke'owi też.

– Też. Śpi. Wiozę jeszcze czworo dzieci. Były inne, nie wiem ile, chyba sporo, ale nie żyją.

– Nie żyją? Chryste, co się stało?

– Teraz nie mogę ci powiedzieć. Powiem, kiedy będę mógł, i może nawet mi uwierzysz, w tej chwili jednak jestem na zadupiu, mam w portfelu trzydzieści dolców i nie śmiem użyć karty kredytowej. Tam, skąd jedziemy, został niezły syf, więc nie mogę ryzykować żadnych śladów. Do tego jestem diabelnie zmęczony. Samochód na szczęście ma jeszcze pół baku, ale ja sam jadę na oparach. Strasznie zrzędzę, nie?

– Co... ty... czy coś...

– Uciekasz mi, Wendy. Jeśli mnie słyszysz, oddzwonię. Kocham cię.

Nie wiedział, czy usłyszała to ostatnie zdanie, a jeśli tak, jak je odebrała. Nigdy wcześniej jej tego nie mówił. Wyłączył telefon i położył go w schowku między siedzeniami, razem z pistoletem Taga Faradaya. Wszystko, co wydarzyło się w DuPray, wydawało mu się teraz bardzo odległe, jakby działo się w życiu, które przeżył ktoś inny. Teraz liczyły się tylko te dzieci i to, co z nimi pocznie.

No i jeszcze: kto może ich ścigać.

– Ej, Tim.

Obejrzał się na Nicky'ego.

– Myślałem, że śpisz.

– Nie, tylko myślę. Mogę ci coś powiedzieć?

– Jasne. Mów do mnie dużo. Żebym nie zasnął.

– Chciałem ci tylko podziękować. Nie powiem, że przywróciłeś mi wiarę w ludzkość, ale przyjechać tutaj z Lukeyem... do tego trzeba mieć jaja.

– Słuchaj, młody, czy ty mi czytasz w myślach?

Nick pokręcił głową.

– Teraz nie jestem w stanie. W tej chwili chyba nie dałbym nawet rady poruszyć papierków na podłodze tego rzęcha, a to była moja specjalność. Gdybym był połączony z nimi – chłopak przechylił głowę w kierunku dzieci śpiących z tyłu furgonetki – byłoby inaczej. Przynajmniej przez chwilę.

– Myślisz, że wrócisz do tego, co było? Odzyskasz dawne umiejętności?

– Nie wiem. Ale to dla mnie właściwie bez znaczenia. Nigdy go nie miało. Dla mnie liczyły się futbol i hokej uliczny. – Nicky zerknął na Tima.

– Kurde, ty pod oczami nie masz worów, tylko całe walizy.

– Przydałoby mi się trochę snu – zgodził się Tim. Owszem, tak ze dwanaście godzin. Przypomniął sobie rozsypujący się motel Norberta

Hollistera, gdzie telewizor nie działał i biegały karaluchy. – Pewnie znalazłyby się jakieś niezależne motele, gdzie nikt nie zadaje pytań, jeśli wyłożysz gotówkę, obawiam się jednak, że właśnie z gotówką mamy problem.

Nicky uśmiechnął się i Tim zobaczył przystojnego młodego człowieka, którym ten chłopak będzie za parę lat, jeżeli Bóg pozwoli.

– Myślę, że z tą gotówką ja i moi przyjaciele możemy ci pomóc. Pewności nie mam, ale raczej tak. Masz dość paliwa, żeby dojechać do najbliższego miasta?

– Tak.

– Tam się zatrzymaj – poinstruował Nicky, a potem znowu oparł głowę o szybę.

32

Tego dnia, wkrótce po otwarciu placówki banku Seaman's Trust w Millinocket o godzinie dziewiątej, kasjerka Sandra Robichaux zawołała kierownika, który przyszedł ze swojego gabinetu.

– Mamy problem – powiedziała. – Niech pan popatrzy.

Usiadła przed nagraniem z bankomatu. Brian Stearns usiadł obok niej. Między transakcjami kamera była uśpiona, co w Millinocket, małym miasteczku na północy Maine, zwykle oznaczało, że przesypiała całą noc, a potem budziła się na pierwszych klientów około szóstej rano. Zegar na nagraniu pokazywał godzinę 5.18. Stearns patrzył, jak do bankomatu podchodzi pięć osób. Cztery z nich miały koszulki naciągnięte na twarze i nosy, zupełnie jak bandyci w starych westernach chustki. Piąta mocno nasunęła na oczy czapczkę z napisem MAINE PAPER INDUSTRIES.

– Wyglądają jak dzieci!

Sandra pokiwała głową.

– Albo karły, ale to raczej mało prawdopodobne. Proszę patrzeć teraz.

Dzieci wzięły się za ręce i utworzyły krąg. Przez ekran przeleciało kilka pasków szumów, jak przy chwilowych zakłóceniach elektrycznych. Potem z otworu bankomatu zaczęły się sypać pieniądze. To był zupełnie taki widok, jak wtedy, gdy automat w kasynie wypłaca wygraną.

– Co u diabła?

Sandra pokręciła głową.

– Nie wiem, co u diabła, ale wzięli ponad dwa tysiące dolarów, a ten bankomat nikomu nie powinien wypłacić więcej niż osiemset. Tak jest

ustawiony. Chyba powinniśmy z tą sprawą do kogoś zadzwonić, ale nie wiem do kogo.

Stearns nie odpowiedział. Patrzył tylko zafascynowany, jak mali bandyci – wyglądali najwyżej na gimnazjalistów – zabierają pieniądze.

Potem już ich nie było.

SEPLENIĄCY MĘŻCZYZNA

W chłodny październikowy poranek mniej więcej trzy miesiące później Tim Jamieson powoli szedł podjazdem miejsca znanego jako Catawba Hill Farm w Karolinie Południowej do drogi stanowej numer 12-A. Spacer trochę trwał, bo podjazd miał prawie kilometr długości. Tim lubił żartem mawiać do Wendy, że gdyby był choć trochę dłuższy, nazwano by go drogą stanową numer 12-B. Mężczyzna miał na sobie sprane dżinsy, brudne buty robocze Georgia Giant oraz bluzę tak dużą, że sięgała mu do połowy uda. Była prezentem od Luke'a, zamówionym przez internet. Na piersi widniało jedno słowo wypisane złotymi literami: AVISZON. Tim nigdy nie poznał Avery'ego Dixona, ale chętnie nosił tę bluzę. Miał mocno opaloną twarz. Catawba już od dziesięciu lat nie była prawdziwą farmą, ale za stodołą wciąż znajdowało się pół hektara ogrodu, a właśnie trwał czas zbiorów.

Tim dotarł do skrzynki, otworzył ją, zaczął wygrzebywać zwyczajowe śmiecie (w dzisiejszych czasach chyba nikt już nie dostawał prawdziwej poczty) i po chwili znieruchomiał. Żołądek, któremu w trakcie tego spaceru nic nie dolegało, nagle jakby się skurczył. Nadszedł jakiś samochód, zwolnił i zatrzymał się na poboczu. Nie miał w sobie nic szczególnego, ot, chevrolet malibu umazany czerwonym kurzem, z obowiązkową paletą owadów rozmazanych na osłonie chłodnicy. Nie był to nikt z sąsiadów, bo Tim znał wszystkie ich pojazdy, ale może jakiś akwizytor albo ktoś, kto się zgubił i chciał spytać o drogę. Tylko że nie. Tim nie miał pojęcia, kim był ten człowiek za kierownicą, wiedział tylko, że na niego czekał. I oto się pojawił.

Tim zamknął skrzynkę i jedną ręką sięgnął za plecy, jakby chciał szarpnąć za pasek. Pasek był na swoim miejscu, podobnie jak pistolet, glock należący niegdyś do rudowłosego zastępcy szeryfa, Taggarta Faradaya.

Przybysz wyłączył silnik i wysiadł. Miał na sobie dżinsy dużo nowsze niż te Tima – wciąż ze sklepowymi zagięciami – oraz białą koszulę zapiętą pod samą szyję. Jego twarz była zarazem przystojna i nijaka, co wydawało się niemożliwą sprzecznością, dopóki nie zobaczyło się takiego faceta. Miał niebieskie oczy i blond włosy w nordyckim, niemal białym odcieniu.

W gruncie rzeczy właściwie wyglądał tak, jak wyobrażała go sobie nieżyjąca Julia Sigsby. Powiedział Timowi „Dzień dobry”, a ten odwzajemnił pozdrowienie, cały czas z ręką za plecami.

– Pan Tim Jamieson. – Przybysz wyciągnął dłoń.

Tim spojrzął na nią, ale jej nie uścisnął.

– Owszem. Z kim mam przyjemność?

Blondyn się uśmiechnął.

– Powiedzmy, że nazywam się William Smith. Tak mam napisane w prawie jazdy. – „Smith” wymówił jak trzeba, ale „napisane” zabrzmiało jak „napifane”. Sepleniał, choć nieznacznie. – Proszę mi mówić Bill.

– Co mogę dla pana zrobić, panie Smith?

Mężczyzna przedstawiający się jako Bill Smith – nazwisko równie nijakie jak jego auto – zmrużył oczy w porannym słońcu i uśmiechnął się lekko, jakby rozważał kilka różnych odpowiedzi na to pytanie, a każda z nich była przyjemna. Potem znowu spojrzął na Tima. Uśmiech pozostał na jego ustach, ale oczy już się nie uśmiechały.

– Moglibyśmy długo czaić się wokół tematu, ale przed panem na pewno pracowity dzień, więc nie zajmę więcej czasu niż to konieczne. Na początek zapewnię, że nie zamierzam sprawiać panu kłopotów, więc jeśli tam z tyłu ma pan pistolet, a nie po prostu swędzą pana plecy, może go pan zostawić za paskiem. Chyba się zgodzimy, że w tej części świata było już dość strzelania jak na jeden rok.

Tim chciał zapytać, jak pan Smith go znalazł, ale po co? To nie mogło być trudne. Catawba Farm należała do Harry’ego i Rity Gullicksonów, którzy obecnie mieszkali na Florydzie. Ich córka opiekowała się starym domostwem przez ostatnie trzy lata. No bo kto, jak nie zastępczyni szeryfa?

Cóż, dawniej rzeczywiście była zastępczynią szeryfa i hrabstwo nadal jej płaciło, ale obecnie trudno było określić zakres jej uprawnień. Obowiązki szeryfa hrabstwa Fairlee pełniła teraz Ronnie Gibson, nieobecna w noc najazdu bandy pani Sigsby, nikt jednak nie wiedział, na jak długo. Mówiło się o przeniesieniu biura szeryfa do sąsiedniego miasteczka Dunning. Zresztą Wendy nigdy nie nadawała się na funkcjonariuszkę pracującą w terenie.

– Gdzie policjantka Wendy? – zapytał Smith. – Czyżby w domu?

– Gdzie Stackhouse? – zripostował Tim. – O policjantce Wendy musiał pan usłyszeć od niego, bo Sigsby nie żyje.

Smith wzruszył ramionami, wsunął dłonie do tylnych kieszeni nowych dżinsów, zakołysał się na piętach i rozejrzał.

– Kurczę, przyjemnie tutaj, no nie? – W jego ustach „przyjemnie” zabrzmiało jak „pfyjemnie”, ale seplenił bardzo nieznacznie, prawie wcale.

Tim postanowił nie drążyć kwestii Stackhouse’a. Wyraźnie widział, że niczego się nie dowie, a poza tym Stackhouse to już przeszłość. Mógł być teraz w Brazylii, mógł być w Argentynie albo w Australii, mógł nie żyć. Timowi nie robiło to żadnej różnicy. A sepleniący mężczyzna miał rację: czajenie się wokół tematu nie miało sensu.

– Zastępczyni Gullickson jest w Columbii na zamkniętym przesłuchaniu na temat strzelaniny, do której doszło tego lata.

– Zakładam, że ma historyjkę, w którą komisja uwierzy.

Tim nie uznał za zasadne potwierdzić tych przypuszczeń.

– Weźmie również udział w kilku spotkaniach, na których będzie dyskutowana przyszłość służb porządku publicznego w hrabstwie Fairlee, ponieważ większość funkcjonariuszy wymordowały pańskie zbiry.

Smith rozłożył ręce.

– Ani ja, ani osoby, z którymi pracuję, nie mieliśmy z tym nic wspólnego. Pani Sigsby działała całkowicie na własną rękę.

Może to prawda, a jednocześnie nieprawda – mógłby powiedzieć Tim. Sigsby działała, bo bała się pana i osób, z którymi pan pracuje.

– Rozumiem, że George’a Ilesa i Helen Simms już tu nie ma. – „Simms” zabrzmiało jak „Simmf”. – Młody pan Iles pojechał do wujka w Kalifornii, a panna Simms do dziadków w Delaware.

Tim nie wiedział, skąd sepleniący mężczyzna czerpie informacje – Norberta Hollistera dawno już tu nie było, motel DuPray stał zamknięty, a przed wejściem sterczała tabliczka NA SPRZEDAŻ, która miała tam zapewne pozostać na długo – ale były dobre. Tim nie oczekiwał, że pozostanie niezauważony, bo to byłoby z jego strony naiwne, nie podobał mu się jednak zakres wiedzy pana Smitha na temat dzieci.

– To oznacza, że Nicholas Wilholm i Kalisha Benson nadal są tutaj. I Luke Ellis, oczywiście. – Uśmiech znowu się pojawił, teraz już chłodniejszy. – Autor całego naszego nieszczęścia.

– Czego pan chce, panie Smith?

– Właściwie to chcę bardzo niewiele. Dojdziemy do tego. Tymczasem niech mi będzie wolno panu pogratulować. Nie tylko odwagi, która była oczywista tamtej nocy, gdy w zasadzie w pojedynkę przypuścił pan szturm na Instytut, ale też ostrożności, jaką wykazaliście się później z policjantką Wendy. Wysyłaliście te dzieciaki pojedynczo. Najpierw Ilesa, mniej więcej miesiąc po powrocie do Karoliny Południowej. Simms dwa

tygodnie później. Oboje uzbrojonych w historię o tym, że ich porwano z niewiadomego powodu, przetrzymywano przez nieokreślony czas w nieznanym miejscu, a potem wypuszczono... również nie wiadomo dlaczego. Udało wam się to, panu i policjantce Wendy, mimo że sami musieliście być pod obserwacją.

– Skąd pan to wszystko wie?

Tym razem to sepleniący mężczyzna nie odpowiedział, lecz Tim się tym nie przejął. Domyślał się, że przynajmniej część informacji pochodzi bezpośrednio z gazet i internetu. Powrót porwanych dzieci to zawsze głośna wiadomość.

– Kiedy wyjadą Wilholm i Benson?

Tim zastanowił się i postanowił odpowiedzieć:

– Nicky wyjeżdża w ten piątek. Do wujostwa w Nevadzie. Jest tam już jego brat. Nick nie jest zachwycony tą perspektywą, ale wie, że nie może tu zostać. Kalisha pomieszka tutaj jeszcze z tydzień albo dwa. Ma w Houston dwanaście lat starszą siostrę. Bardzo chce nawiązać z nią kontakt. – Zarazem była i nie była to prawda. Kalisha, tak jak pozostali, cierpiała na zespół stresu pourazowego.

– Ich historie też się oprą policyjnej analizie?

– Tak. Są proste, a dzieci oczywiście się boją, co by było, gdyby powiedziały prawdę. – Tim na chwilę zawiesił głos. – Choć i tak by im nie uwierzono.

– A młody pan Ellis? Co z nim?

– Luke zostanie ze mną. Nie ma bliskiej rodziny i nie ma się gdzie podziąć. Wrócił już do nauki, to go uspokaja. Chłopak jest w żałobie, panie Smith. W żałobie po rodzicach, po przyjaciółach. – Tim zawiesił głos i wbił wzrok w blondyna. – I chyba także po dzieciństwie, które pańscy ludzie mu ukradli.

Zaczekał, aż Smith odpowie. Ten milczał, więc Tim mówił dalej:

– W końcu, jeśli uda nam się wymyślić odpowiednio niepodważalną historię, wróci do tego, co zostawił: zacznie jednocześnie studia w Emerson College i MIT. To bardzo bystry chłopiec. – O czym pan doskonale wie. Tego nie trzeba było dodawać. – Panie Smith... czy pana to w ogóle obchodzi?

– Niespecjalnie – odparł blondyn. Wyjął paczkę papierosów American Spirit z kieszeni na piersi. – Pali pan?

Tim pokręcił głową.

– Ja też rzadko, ale zacząłem terapię logopedyczną i nagradzam się papierosem, kiedy podczas rozmowy uda mi się zapanować nad

seplenieniem. Zwłaszcza podczas tak długiej i wyczerpującej jak ta, którą właśnie prowadzimy. Czy zauważył pan, że seplenię?

– Bardzo nieznacznie.

Pan Smith kiwnął głową, chyba zadowolony, i zapalił papierosa. W chłodnym porannym powietrzu zapach był słodki i wonny. Jakby wręcz stworzony dla krainy tytoniu, którą ta okolica ciągle była... choć Catawba Farm od lat osiemdziesiątych już nie.

– Oby miał pan rację, że będą trzymać buzie na kłódkę, jak to się mówi. Jeśli którekolwiek zacznie gadać, cała piątka poniesie konsekwencje. Bez względu na tego pendrive'a, którym rzekomo dysponujecie. Nie wszyscy moi... ludzie... wierzą w jego istnienie.

Tim uśmiechnął się, nie odsłaniając zębów.

– Sprawdzenie tego byłoby ze strony pańskich... ludzi... nierozważne.

– Powiedzmy, że uznaję pański argument. Mimo wszystko rozprowadanie przez dzieci o przygodach w lasach Maine to bardzo kiepski pomysł. Jeśli ma pan kontakt z panem Ilesem i panną Simms, może warto im to przekazać. Chyba że Wilholm, Benson i Ellis są w stanie skontaktować się z nimi w inny sposób.

– Chodzi panu o telepatię? Nie liczyłbym na nią. Wraca do stanu sprzed porwania przez pańskich ludzi. To samo z telekinezą. – Tim mówił Smithowi to, co usłyszał od dzieci, ale nie był do końca pewien, czy im wierzy. Z całą pewnością wiedział tylko, że tamto okropne buczenie już nigdy nie wróciło. – Jak zatuszowaliście tę sprawę, panie Smith? Jestem ciekaw.

– I taki pan pozostanie – odparł blondyn. – Powiem panu natomiast, że naszej uwagi wymagał nie tylko obiekt w Maine. W innych częściach świata istniało dwadzieścia kolejnych Instytutów, a teraz nie działa żaden z nich. Dwa znajdujące się w krajach, gdzie dzieciom praktycznie od urodzenia wpaja się posłuszeństwo, wytrzymały jeszcze półtora miesiąca, a potem doszło tam do zbiorowych samobójstw. – Ostatnie słowo zabrzmiało jak „famobójft”.

Do zbiorowych samobójstw czy zbiorowych mordów? – zastanawiał się Tim, ale nie zamierzał poruszać tego tematu. Im szybciej pozbędzie się tego człowieka, tym lepiej.

– Ellis, z pańską pomocą, i to wydatną, doprowadził nas do ruiny. Z pewnością brzmi to melodramatycznie, ale to prawda.

– Myśli pan, że się tym przejmuję? Zabijaliście dzieci. Jeśli piekło istnieje, traficie tam.

– A tymczasem pan, panie Jamieson, z pewnością wierzy, że trafi do nieba, o ile ono istnieje. Kto wie, może ma pan rację. Przecież Bóg nie odprawiłby człowieka, który ruszył na ratunek bezbronnym dzieciom. Jeśli mogę posłużyć się frazą Chrystusa na krzyżu, będzie panu wybaczone, bo nie wiedział pan, co czyni. – Mężczyzna odrzucił papierosa. – Ale ja to panu powiem. Właśnie w tym celu przyjechałem, za zgodą moich współpracowników. Przez pana i Ellisa świat trzeba teraz obserwować jak samobójcę. – Tym razem ten ostatni wyraz został wypowiedziany prawidłowo.

Tim nic nie mówił, tylko czekał.

– Pierwszy Instytut, co prawda pod inną nazwą, powstał w hitlerowskich Niemczech.

– Jakoś mnie to nie dziwi.

– Niech pan tak łatwo nie feruje wyroków. Naziści odkryli rozszczepienie atomu przed Amerykanami. Stworzyli antybiotyki, z których korzystamy do dziś. W gruncie rzeczy wynaleźli współczesną technikę raketową. A pewni niemieccy naukowcy przy entuzjastycznym wsparciu Hitlera prowadzili eksperymenty dotyczące postrzegania pozazmysłowego. Niemal przypadkiem odkryli, że grupy uzdolnionych dzieci potrafią sprawić, by niektórzy kłopotliwi ludzie... przeszkody na drodze postępu, można powiedzieć... przestali być kłopotliwi. Do czterdziestego czwartego roku te dzieci były już zużyte, bo nie istniała żadna sprawdzona naukowa metoda na znalezienie nowych, kiedy już tamte stały się, jak to określano w Instytucie, warzywkami. Najlepszy test na uśpione zdolności parapsychiczne odkryto dopiero później. Wie pan, co to za test?

– BDNF. Neurotroficzny czynnik pochodzenia mózgowego. Luke mówił, że właśnie po nim to poznajecie.

– Tak, to naprawdę bystry chłopiec. Bardzo bystry. Wszyscy zaangażowani w sprawę żałują, że nie zostawili go w spokoju. Nie miał nawet zbyt wysokiego BDNF.

– Wyobrażam sobie, że Luke też by wolał, żebyście zostawili go w spokoju. I jego rodziców. A teraz może niech już pan mówi, co ma do powiedzenia.

– W porządku. I przed zakończeniem, i po zakończeniu drugiej wojny światowej odbyło się kilka konferencji. Jeśli cokolwiek pan pamięta z historii dwudziestego wieku, to o niektórych pan wie.

– Wiem o Jałcie – odparł Tim. – Roosevelt, Churchill i Stalin spotkali się, żeby w zasadzie pokroić świat.

– Tak, to ta słynna konferencja, ale najważniejsze spotkanie miało miejsce w Rio de Janeiro i nie uczestniczył w nim żaden rząd... chyba że grupę, która się tam spotkała, oraz jej następców na przestrzeni lat uznać za swoisty gabinet cieni. Oni, czyli my, wiedzieli o niemieckich dzieciach i postanowili dowiedzieć się jeszcze więcej. Do tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku poznaliśmy przydatność BDNF. Jeden po drugim utworzono Instytuty w odosobnionych miejscach. Doskonalono techniki. Funkcjonują od ponad siedemdziesięciu lat i wedle naszej rachuby ponad pięćset razy uratowały świat od zagłady nuklearnej.

– To niedorzeczne – stwierdził ostro Tim. – To żart.

– Bynajmniej. Dam panu jeden przykład. Kiedy zbuntowały się dzieci z Instytutu w Maine i ten bunt rozprzestrzenił się niczym wirus na wszystkie pozostałe Instytuty, właśnie rozpoczęto pracę nad spowodowaniem samobójstwa kaznodziei Paula Westina. Dzięki Luke’owi Ellisowi ten człowiek nadal żyje. Za dziesięć lat będzie bliskim współnikiem pewnego chrześcijańskiego jegomościa, który zostanie amerykańskim sekretarzem obrony. Westin przekona go, że wojna jest nieunikniona, sekretarz przekona o tym prezydenta, co ostatecznie doprowadzi do wyprzedzającego ataku jądrowego. Wystrzelą tylko jeden pocisk, ale może on uruchomić efekt domina. Tego już nasze przewidywania nie obejmują.

– Nie możecie wiedzieć takich rzeczy.

– A jak pan myśli, panie Jamieson, jak wybieraliśmy cele? Losowaliśmy z kapelusza?

Tim zmarszczył czoło. Nigdy się nad tym nie zastanawiał.

– Pewnie dzięki telepatii – odezwał się w końcu.

Pan Smith miał minę cierpliwego nauczyciela obcującego z opornym uczniem.

– TK potrafią przesuwać przedmioty, a TP czytać w myślach, ale ani jedni, ani drudzy nie są w stanie przewidywać przyszłości. – Znowu wyjął papierosy. – Na pewno się pan nie skusi?

Tim pokręcił głową. Smith zapalił.

– Dzieci takie jak Luke Ellis i Kalisha Benson są rzadkie, istnieją jednak ludzie jeszcze rzadsi. Cenniejsi od najcenniejszego kruszcu. I wie pan, co w nich najlepsze? Że ich talent nie zanika z wiekiem i nie niszczy umysłu tych osób.

Tim kątem oka dostrzegł jakiś ruch i obrócił się. Podjazdem nadszedł Luke. Nieco wyżej na wzgórzu stała Annie Ledoux ze strzelbą złamaną na ramieniu. Z jednej strony miała Kalishę, a z drugiej Nicky’ego. Smith na

razie jeszcze ich nie widział – spoglądał w mglistą dal w kierunku miasteczka DuPray i połyskujących torów kolejowych, które przez nie przebiegały.

Annie spędzała teraz na Catawbie dużo czasu. Te dzieci ją fascynowały, a przy tym chyba lubiły jej towarzystwo. Tim skierował dłoń w jej kierunku, a potem zrobił taki ruch, jakby mówił: „Trzymaj pozycję”. Annie kiwnęła głową, nie ruszyła się z miejsca i patrzyła. Smith wciąż podziwiał widok, który rzeczywiście był piękny.

– Powiedzmy, że istnieje inny Instytut, bardzo mały, bardzo wyjątkowy, gdzie wszystko jest nowoczesne i najwyższej klasy. Żadnych przestarzałych komputerów, żadnej sypiącej się infrastruktury. Całkowicie bezpieczna lokalizacja. Pozostałe Instytuty znajdowały się na terytorium, które postrzegaliśmy jako wrogie, ale nie ten. Tam nie ma paralizatorów, zastrzyków, kar. Żeby podopiecznym tego wyjątkowego Instytutu pomóc się otworzyć na głębsze zdolności, nie trzeba ich narażać na ocierające się o śmierć doświadczenia w stylu zbiornika zanurzeniowego. Powiedzmy, że mieści się on w Szwajcarii. Możliwe, że wcale nie, ale to pasuje. W każdym razie jest na neutralnym gruncie, bo na jego utrzymaniu i płynnym funkcjonowaniu zależy wielu państwom. Bardzo wielu. W tej chwili w owym miejscu przebywa sześcioro nadzwyczajnych gości. Nie są już dziećmi. W przeciwieństwie do TP i TK z różnych Instytutów ich zdolności nie zanikają pod koniec wieku nastoletniego ani po dwudziestce. Z tych osób dwie są dość stare. Ich szczególne talenty nie są skorelowane z poziomem BDNF. To je czyni wyjątkowymi, a przez to trudnymi do znalezienia. Bez przerwy szukamy kogoś na ich miejsce, ale obecnie zawiesiliśmy poszukiwania, bo to już w zasadzie nie ma sensu.

– Co to za ludzie?

– Prekognici – powiedział Luke.

Smith obrócił się zaskoczony.

– Ojej, dzień dobry, Luke. – Uśmiechnął się, lecz jednocześnie cofnął o krok. Czyżby się bał? Tim miał wrażenie, że tak. – Prekognici, dokładnie tak.

– O czym wy, u diabła, mówicie? – zapytał Tim.

– O prekognicji – odparł Luke. – Zdolności zaglądania w przyszłość.

– Żartujecie, prawda?

– Ja nie żartuję i on też nie – powiedział Smith. – Posługując się przestarzałą zimnowojenną terminologią, można by powiedzieć, że te sześć osób to nasz system wczesnego ostrzegania. A jeśli wolicie coś

bardziej aktualnego, ci ludzie to nasze drony, które wylatują w przyszłość, żeby rozpoznać największe punkty zapalne. Koncentrujemy się na powstrzymaniu tylko poważnych wydarzeń. Świat przetrwał dzięki naszej aktywnej działalności. Zmarły przy tym tysiące dzieci, ale udało się uratować miliardy. – Smith odwrócił się do Luke’a z uśmiechem. – Oczywiście ty to zrozumiałeś, bo łatwo to wydedukować. O ile mi wiadomo, przy okazji jesteś małym geniuszem matematyki, więc na pewno dostrzegasz pozytywny stosunek kosztów do korzyści. Może ci się nie podoba, ale go doceniasz.

Annie i jej dwoje młodych podopiecznych znów ruszyło w dół wzgórza, tym razem jednak Tim nie dał im już znaku, żeby zawrócili. Był zbyt oszołomiony tym, co właśnie usłyszał.

– Mogę łyknąć telepatię, mogę łyknąć telekinezę, ale prekognicja? To nie nauka, to pierdoły z festynu!

– Zapewniam, że nie – odparł Smith. – Nasi prekognicji znajdowali cele. Nasi TK i TP, działający w grupach dla zwiększenia efektu, je eliminowali.

– Tim, prekognicja istnieje – wtrącił cicho Luke. – Jeszcze zanim uciekłem z Instytutu, wiedziałem, że musi chodzić właśnie o nią. Avery też na pewno to wiedział. Nic innego nie miało sensu. Czytam o niej, odkąd tu trafiłem, wszystko, co mogę znaleźć. Statystyki są praktycznie niepodważalne.

Do Luke’a dołączyli Kalisha i Nicky. Patrzyli z zaciekawieniem na blondyna, który przedstawił się jako Bill Smith, ale żadne się nie odezwało. Za nimi stanęła Annie. Chociaż dzień był ciepły, miała na sobie swoje poncho i jeszcze bardziej niż kiedykolwiek przypominała meksykańskiego rewolwerowca. Jej spojrzenie było jasne i czujne. Dzieci ją zmieniły. Tim nie sądził, by chodziło tutaj o ich moc, która na dłuższą metę powodowała coś wręcz przeciwnego niż poprawa. Przypuszczał, że to po prostu zasługa ich towarzystwa albo może tego, że akceptują Annie dokładnie taką, jaka jest. Cieszył się z jej przemiany bez względu na przyczynę.

– Widzi pan? – powiedział Smith. – Lokalny geniusz potwierdził. Nasi prekognicji, których teraz jest sześcioro, przez jakiś czas było ośmioro, a kiedyś, w latach siedemdziesiątych, tylko czworo i był to przerażający czas, stale poszukują konkretnych osób, które nazywamy zawiasami. Osiami, na których mogą się poruszać drzwi do wyginięcia ludzkości. Zawiasy nie są narzędziami zniszczenia, ale jego nośnikami. Westin był właśnie takim zawiasem. Po ich odkryciu weryfikujemy je, sprawdzamy ich pochodzenie, obserwujemy je, filmujemy. W końcu oddajemy

dzieciom z różnych Instytutów, które eliminują te cele w taki czy inny sposób.

Tim kręcił głową.

– Nie wierzę.

– Jak powiedział Luke, statystyka...

– Statystyką można udowodnić wszystko. Nikt nie potrafi przewidywać przyszłości. Jeśli pan i pańscy współpracownicy naprawdę w to wierzyacie, to nie jesteście organizacją, tylko sektą.

– Miałam ciocię, która umiała przewidywać przyszłość – odezwała się nagle Annie. – Pewnego dnia, kiedy jej chłopcy chcieli iść na potańcówkę, nie puściła ich i właśnie wtedy był wybuch propanu. Dwadzieścia osób spaliło się jak myszy w kominie, ale jej synowie byli bezpieczni w domu. – Zamilkła, a potem dodała: – No i jeszcze wiedziała, że wybiorą Trumana na prezydenta, a wszyscy myśleli, że pieprzy.

– Trumpa też przewidziała? – zapytała Kalisha.

– O, dawno już nie żyła, kiedy pojawił się ten wielkomijski jełop – odparła Annie, a gdy dziewczyna uniosła dłoń, przybiła jej piątkę.

Smith zignorował, że mu przerwano.

– Świat wciąż istnieje, Tim. To nie szyderstwo, to fakt. Siedemdziesiąt lat po tym, jak bomby atomowe zmiotły z powierzchni ziemi Hiroszimę i Nagasaki, świat wciąż istnieje, mimo że wiele państw dysponuje bronią jądrową, mimo że prymitywne ludzkie emocje wciąż biorą górę nad racjonalnym myśleniem, a udające religię zabobony wciąż nadają kierunek ludzkiej polityce. Dlaczego? Bo my go chroniliśmy, a teraz ta ochrona nie istnieje. Właśnie tego dokonał Luke Ellis, a pan w tym uczestniczył.

Tim spojrzał na Luke'a.

– Kupujesz to?

– Nie – odparł chłopiec. – I on też nie, przynajmniej nie do końca.

Tim co prawda o tym nie wiedział, ale Luke myślał o tamtej dziewczynie, która zapytała go na egzaminie SAT o zadanie z matematyki, w którym Aaron miał zapłacić za pokój. Udzieliła złej odpowiedzi i tutaj chodziło o to samo, tyle że na znacznie większą skalę: o złą odpowiedź wywiedzioną z błędnego równania.

– Na pewno chciałbyś w to wierzyć – powiedział Smith.

– Annie ma rację – rzucił Luke. – Naprawdę istnieją osoby, które mają prekognicyjne przebłyski, i możliwe, że jej ciotka była jedną z nich. Wbrew temu, co mówi ten facet i może nawet w co wierzy, wcale nie zdarzają się tak rzadko. Może nawet parę razy sam miałeś takie

przebłyski, Tim, tylko że pewnie nazywałeś je inaczej. Na przykład instynktem.

– Albo przeczuciem – dodał Nicky. – W serialach policjanci ciągle mają przeczucia.

– Seriale w telewizji to nie jest prawdziwe życie – zauważył Tim, lecz myślał teraz o pewnym wydarzeniu z przeszłości: o nagłej decyzji, by bez wyraźnego powodu wysiąść z samolotu i ruszyć na północ autostopem.

– A szkoda – wtrąciła Kalisha. – Uwielbiam Riverdale.

– Gdy ktoś opowiada o tych rzeczach, stale pojawia się słowo „przebłysk” – powiedział Luke. – Bo chyba właśnie tak to wygląda: jak błyskawica. Wierzę w takie zjawisko i w to, że niektórzy ludzie nauczyli się nad nim panować.

Smith uniósł ręce w geście „A nie mówiłem?”.

– Mówimy dokładnie o tym samym.

Tylko że zamiast „tym samym” powiedział „tym famym”. Znowu zaczynał seplenić. To bardzo zaciekało Tima.

– Ale jedno przemilczał – stwierdził Luke. – Pewnie dlatego, że nie lubi tego przyznawać przed samym sobą. Nikt z nich nie lubi. Tak jak nasi generałowie nie lubili przyznawać, że nie da się wygrać wojny w Wietnamie, po tym, jak to już było oczywiste.

– Nie mam pojęcia, o co ci chodzi – powiedział Smith.

– Masz – prychnęła Kalisha.

– Ma – potwierdził Nicky.

– Lepiej się pan przyznaj – włączyła się Sierotka Annie. – Te dzieciaczki czytają ci w myślach. Łaskocze, nie?

Luke zwrócił się do Tima:

– Kiedy już byłem pewien, że za tym wszystkim stoi prekognicja, i miałem dostęp do prawdziwego komputera...

– Chodzi mu o taki, do którego nie były potrzebne żetony – wyjaśniła Kalisha.

Luke szturchnął ją w zebro.

– Przymknij się na chwilę, dobra?

Nicky uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Uważaj, Sha, Lukey się wkurzył.

Dziewczyna się zaśmiała. Smith nie. Wraz z przybyciem Luke’a i jego przyjaciół stracił kontrolę nad tą rozmową, a po jego minie – zaciśnięte usta, ściągnięte brwi – dawało się poznać, że do tego nie przywykł.

– Kiedy już miałem dostęp do prawdziwego komputera – powtórzył Luke – zastosowałem rozkład zero-jedynkowy. Wie pan, co to takiego,

panie Smith?

Blondyn pokręcił głową.

– Właśnie że wie – stwierdziła Kalisha; jej oczy się śmiały.

– Dokładnie – zgodził się Nicky. – I to mu się nie podoba. Nie pasuje mu ten rozkład, cokolwiek to jest.

– Rozkład zero-jedynkowy jest precyzyjnym sposobem wyrażenia prawdopodobieństwa. Zasadniczo chodzi o to, że pewne zdarzenia empiryczne, jak choćby rzut monetą czy wynik meczu futbolowego, mają tylko dwa możliwe rezultaty. Ich prawdopodobieństwa oznaczamy jako p dla wyniku pozytywnego i q dla wyniku negatywnego. Nie będę was zanudzał szczegółami, ale w rezultacie dostajemy wartość logiczną pozwalającą wyraźnie odróżnić zdarzenia losowe od nielosowych.

– Właśnie, nie zanudzaj nas taką łatwizną, tylko przejdź do sedna – powiedział Nicky.

– Rzuty monetą są losowe. Wyniki meczów wydają się losowe, jeśli spojrzeć na niewielką próbę, ale przy większej staje się jasne, że takie nie są, bo w grę wchodzi inne czynniki. Wtedy mamy do czynienia z prawdopodobieństwem, a jeśli prawdopodobieństwo A jest większe niż prawdopodobieństwo B, najczęściej wydarzy się A. Wiecie o tym, jeśli kiedykolwiek obstawialiście zawody sportowe, prawda?

– Jasne – rzucił Tim. – Notowania bukmacherów i przewidywane rozkłady punktów można znaleźć w gazetach.

Luke kiwnął głową.

– To właściwie bardzo proste, a jeśli potraktować statystykę prekognicji rozkładem zero-jedynkowym, wyłania się ciekawa prawidłowość. Annie, ile czasu minęło między olśnieniem twojej ciotki, żeby zatrzymać synów w domu, a pożarem?

– To było tej samej nocy.

Chłopiec miał zadowoloną minę.

– I dlatego to jest idealny przykład. Moje obliczenia wykazały, że przebłyski prekognicji... albo wizje, jeśli wolicie to słowo... najtrafniejsze są wtedy, gdy dotyczą wydarzeń oddalonych zaledwie o kilka godzin. W miarę wydłużania się dystansu między przepowiednią a zdarzeniem prawdopodobieństwo sprawdzenia się przepowiedni maleje. Kiedy dystans mierzy się w tygodniach, prawdopodobieństwo w zasadzie idzie w diabły i p zrównuje się z q . – Luke odwrócił się do blondyna. – Pan to wie i ludzie, z którymi pan pracuje, też. Wiedzą to od lat. Od dziesięcioleci. Nie może być inaczej. Rozkład zero-jedynkowy potrafi zastosować każdy kujon z komputerem. To mogło nie być oczywiste, kiedy zaczynaliście

projekt na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych, ale w latach osiemdziesiątych musieliście wiedzieć. A pewnie już w sześćdziesiątych.

Smith pokręcił głową.

– Bardzo bystry z ciebie chłopak, Luke, ale jesteś jeszcze dzieckiem, a dzieci mają skłonność do myślenia magicznego: naginają prawdę, żeby pasowała do ich pragnień. Myślisz, że nie przeprowadziliśmy takich testów, żeby udowodnić zdolności prekognicyjne naszej grupy? – Coraz bardziej seplenił. – Przeprowadzamy nowe testy za każdym razem, gdy dodajemy nowego prekognitę. Zlecamy im przewidywanie serii przypadkowych zdarzeń, takich jak opóźnienia określonych samolotów... głośnych wydarzeń, na przykład śmierci Toma Petty’ego czy wyniku referendum w sprawie Brexitu... a nawet przejazdu pojazdów przez konkretne skrzyżowania. Dysponujemy listą odnotowanych sukcesów sięgającą prawie trzy czwarte wieku wstecz!

„Tfy tfarte wieku”.

– Ale wasze testy zawsze koncentrują się na wydarzeniach, które będą miały miejsce wkrótce – powiedziała Kalisha. – Niech pan nawet nie próbuje zaprzeczać, w pana głowie świeci to jasno jak neon. No i jest logiczne. Na co komu test, który można zweryfikować dopiero za pięć czy dziesięć lat?

Wzięła Nicky’ego za rękę. Luke zrobił krok do tyłu i chwycił dłoń Kalishy. Teraz Tim znowu usłyszał buczenie. Było ciche, ale było.

– Kongresmen Berkowitz w dniu śmierci był dokładnie tam, gdzie przewidzieli prekognicy – oznajmił Smith. – A przepowiednia pochodziła sprzed roku.

– Dobrze – zgodził się Luke. – Tylko że braliście na cel ludzi, takich jak na przykład Paul Westin, na podstawie przewidywań tego, co stanie się za dziesięć, dwadzieścia, a nawet dwadzieścia pięć lat. Wiecie, że są niepewne, wiecie, że tych ludzi i związane z nimi zdarzenia może popchnąć w zupełnie inną stronę cokolwiek, nawet coś tak trywialnego jak nieodebrane połączenie telefoniczne, a mimo wszystko dalej to robicie.

– Powiedzmy, że twój argument jest słuszny – odrzekł Smith. – Ale czy nie sądzisz, że lepiej dmuchać na zimne? – „Fłuszny”. „Nie fądzisz”. – Pomyśl o przepowiedniach, które się sprawdziły, a potem o możliwych konsekwencjach bezczynności.

Annie była o rundę, a może nawet dwie rundy do tyłu.

– Jak możecie być pewni, że przepowiednie się sprawdzą, skoro zabijacie ludzi, których dotyczą? Tego nie rozumiem.

– On też nie – powiedział Luke. – Nie zniósłby jednak myśli, że dokonali tylu mordów bez wyraźnego powodu. Nikt z nich by jej nie zniósł.

– Musieliśmy zniszczyć wioskę, żeby ją uratować – odezwał się Tim. – Czy ktoś nie powiedział tak na temat Wietnamu?

– Jeśli sugerujecie, że prekognici cały czas nas nabierali, że zmyślali to wszystko...

– A ma pan pewność, że nie? – zapytał Luke. – Może nawet nieświadomie, ale... Całkiem dobrze tam sobie żyją, prawda? Przytulnie. Nie to co my w Instytucie. I może nawet w danej chwili ich przepowiednie są autentyczne. Ale nie uwzględniają wszystkich czynników losowych.

– Ani Boga – wtrąciła nagle Kalisha.

Smith – który bawił się w Boga od Bóg wie kiedy – uśmiechnął się sarkastycznie.

– Rozumie pan, co mam na myśli – powiedział Luke. – Wiem, że tak. Jest za dużo zmiennych.

Blondyn przez chwilę milczał, patrząc na krajobraz.

– Tak – przyznał w końcu. – Mamy matematyków i owszem, w raportach i dyskusjach pojawia się kwestia rozkładu zero-jedynkowego. Od lat. Dlatego założmy, że masz rację. Założmy, że nasza sieć Instytutów nie uratowała świata przed zagładą nuklearną pięćset razy. Może tylko pięćdziesiąt? Albo pięć? Czy mimo to nie było warto?

– Nie – odparł bardzo cicho Tim.

Smith spojrział na niego jak na szaleńca.

– Nie?! Mówi pan, że nie?

– Ludzie poczytalni nie poświęcają dzieci na ołtarzu prawdopodobieństwa. To nie nauka, tylko przesady. A teraz powinien pan już stąd iść.

– Odbudujemy nasze placówki – oświadczył Smith. – Oczywiście pod warunkiem, że zdążymy, skoro świat pędzi w przepaść jak dziecięcy samochód, którym nikt nie steruje. To również chciałem wam powiedzieć, a także was ostrzec. Żadnych wywiadów. Żadnych artykułów. Żadnych wpisów na Facebooku czy Twitterze. Większość ludzi oczywiście wyśmieje takie historie, ale my potraktujemy je bardzo poważnie. Jeśli zależy wam na przeżyciu, siedźcie cicho.

Buczenie się nasilało, a kiedy Smith wyjął z kieszeni paczkę papierosów American Spirit, drżała mu ręka. Człowiek, który wysiadł z nierzucającego się w oczy chevroleta, był władczy i pewny siebie. Przywykły do wydawania rozkazów, wykonywanych natychmiast. Ten,

który stał tutaj teraz, mocno sepleniący, z plamami potu pod pachami koszuli, nie był tym samym człowiekiem.

– Lepiej się zbieraj, synku – poradziła mu Annie bardzo łagodnie. Może wręcz życzliwie.

Paczka papierosów wypadła Smithowi z ręki. Kiedy schylił się, by ją podnieść, odfrunęła, chociaż nie było wiatru.

– Palenie jest niezdrowe – rzucił Luke. – Nie potrzeba prekognity, żeby przewidzieć, co się stanie, jak go pan nie rzuci.

Włączyły się wycieraczki chevroleta. Zapaliły się światła.

– Na twoim miejscu bym stąd odjechał – poradził mu Tim. – Dopóki jeszcze możesz. Jesteś wkurzony tym, jak się wszystko ułożyło, rozumiem to, ale nie masz pojęcia, jak wkurzone są te dzieci. One były w epicentrum.

Smith podszedł do samochodu i otworzył drzwi. Potem wycelował palec w Luke'a.

– Wierzysz w to, w co chcesz wierzyć – powiedział. – Jak my wszyscy, młody panie Ellis. Z czasem sam się przekonasz. Ku swojej rozpacz.

Gdy odjeżdżał, tylne koła auta wznieciły tuman kurzu, który poniósł się w stronę Tima i pozostałych... Potem Smith skrzył, jakby odepchnięty podmuchem wiatru, którego żadne z nich nie poczuło.

Luke uśmiechnął się, myśląc, że George nie mógł zrobić tego lepiej.

– Może trzeba się było go pozbyć – stwierdziła rzeczowo Annie. – Na drugim końcu ogrodu jest kupa miejsca na zakopanie ciała.

Luke westchnął i pokręcił głową.

– Są jeszcze inni. On tylko stoi w pierwszym szeregu.

– Poza tym wtedy bylibyśmy tacy jak oni – dodała Kalisha.

– Mimo to... – mruknął Nicky rozmarzonym tonem.

Nie powiedział nic więcej, ale Tim nie musiał być jasnowidzem, żeby odczytać resztę jego myśli: Fajnie by było.

2

Tim spodziewał się, że Wendy wróci z Columbii na kolację, zadzwoniła jednak z wiadomością, że musi zostać na noc. Nazajutrz rano miało się odbyć kolejne spotkanie poświęcone przyszłości służb porządku publicznego w hrabstwie Fairlee.

– Chryste, czy to się nigdy nie skończy? – zapytał.

– Jestem pewna, że to spotkanie będzie już ostatnie. Wiesz, sytuacja jest skomplikowana, a biurokracja jeszcze pogarsza sprawę. U was wszystko w porządku?

– Wszystko dobrze – odparł i miał nadzieję, że to prawda.

Na kolację ugotował wielki gar spaghetti. Luke zrobił sos bolognese, a Kalisha i Nicky współpracowali przy sałatce. Annie zniknęła, jak to często miała w zwyczaju.

Zjedli dobry posiłek. Miło rozmawiali, było sporo śmiechu. Potem, gdy Tim wyjął z lodówki gotowe ciasto firmy Pepperidge Farm i niósł je wysoko niczym kelner w komedii, zobaczył, że Kalisha płacze. Nick i Luke obejmowali ją ramieniem, ale nie wypowiadali żadnych słów pocieszenia (a przynajmniej żadnych, które Tim słyszał). Sprawiali wrażenie zamyślonych, zapatrzonych w głąb siebie. Byli z nią, ale może nie do końca, może pochłaniały ich własne zmartwienia.

Tim odstawił ciasto.

– O co chodzi, K? Oni na pewno wiedzą, ale ja nie. Weź mi trochę pomóż.

– A jeśli on ma rację? Jeśli ten człowiek ma rację, a Luke się myli? Jeśli świat skończy się za trzy lata... albo trzy miesiące... bo już go nie chronimy?

– Nie myślę się – powiedział Luke. – Oni mają swoich matematyków, ale ja jestem lepszy. To nie przechwałki, jeśli mówi się prawdę. A to, co o mnie powiedział... O myśleniu magicznym... Ich to też dotyczy. Nie dopuszczają myśli, że mogą się mylić.

– Nie jesteś pewien! – zawołała Kalisha. – Słyszę to w twojej głowie, Lukey, ciągle nie jesteś pewien!

Nie zaprzeczył. Patrzył tylko w swój talerz. Kalisha podniosła wzrok na Tima.

– A jeśli oni będą mieli rację tylko raz? Wtedy to my będziemy odpowiedzialni!

Tim się zawahał. Nie chciał myśleć, że słowa, które zaraz wypowie, mogą mieć ogromny wpływ na to, jak ta dziewczyna przeżyje resztę życia, za żadne skarby nie chciał wziąć na siebie odpowiedzialności, obawiał się jednak, że ta odpowiedzialność i tak na nim ciąży. Chłopcy również słuchali. Słuchali i czekali. Tim nie miał mocy parapsychicznych, jego jedyna moc polegała na tym, że był dorosły. Dzieci oczekiwały od niego zapewnienia, że pod łóżkiem nie ma potwora.

– Nie jesteście odpowiedzialni. Żadne z was. Ten człowiek nie przyjechał tutaj, żeby was ostrzec, ale żeby zatruć wam życie. Nie pozwólcie mu na to. Niech żadne z was mu na to nie pozwoli. Jako gatunek jesteśmy stworzeni przede wszystkim do jednej rzeczy i wy to zrobiliście. – Wyciągnął ramiona i otarł łzy z policzków Kalishy. –

Przetrwaliście. Wykorzystaliście swoją miłość i swój rozum i przetrwaliście. A teraz zjedzmy trochę ciasta.

3

Nastał piątek i przyszła pora odjazdu Nicka.

Tim i Wendy stali wraz z Lukiem i patrzyli, jak Nicky i Kalisha objęci schodzą podjazdem. Wendy miała zawieźć chłopaka na przystanek autobusowy w Brunswicku, ale cała trójka rozumiała, że tych dwoje potrzebuje najpierw trochę czasu sam na sam i że na to zasługuje. Żeby się pożegnać.

– Powtórzmy to sobie – powiedział Tim godzinę wcześniej, po lunchu, którego Nicky i Kalisha prawie nie tknęli.

Tim wyszedł z Nickym na taras za domem, a Luke i Kalisha zostali, by pozmywać nieliczne naczynia.

– Nie musimy – odparł chłopak. – Wszystko pamiętam, stary. Naprawdę.

– Ale i tak powtórzmy, bo to ważne. Brunswick do Chicago, tak?

– Tak. Autobus odjeżdża dzisiaj o dziewiętnastej piętnaście.

– Z kim masz rozmawiać w autobusie?

– Z nikim. Mam nie zwracać na siebie uwagi.

– A kiedy dojedziesz na miejsce?

– Zadzwoń do wujka Freda z Navy Pier. Bo to tam wyrzucili mnie porywacze. W tym samym miejscu co George’a i Helen.

– Ale o tym nie wiesz.

– Nie, nie wiem.

– Znasz George’a i Helen?

– W życiu o nich nie słyszałem.

– A kim są ludzie, którzy cię porwali?

– Nie wiem.

– Czego chcieli?

– Nie wiem. To tajemnicza sprawa. Nie molestowali mnie, nie zadawali pytań, nie słyszałem żadnych innych dzieci, gównem wiem. Kiedy będzie mnie przesłuchiwać policja, nie dodam ani słowa.

– Prawidłowo.

– W końcu policjanci się poddadzą, a wtedy wyjadę do Nevady i będę żył długo i szczęśliwie z ciotką, wujkiem i Bobbym. – Bobby był bratem Nicka, który w noc porwania nocował u kolegi.

– A kiedy się dowiesz, że twoi rodzice nie żyją?

– To będzie dla mnie nowość. I nie martw się, rozplączę się. To nie będzie trudne. I nie będę udawał. Możesz mi wierzyć. Skończyliśmy już?

– Prawie. Najpierw trochę rozluźnij pięści. Te na końcu rąk i te w głowie. Daj temu „długo i szczęśliwie” szansę.

– To nie jest proste, stary. – W oczach Nicky’ego zamigotały łzy. – To, kurwa, nie jest proste.

– Wiem – powiedział Tim i zaryzykował próbę objęcia chłopaka.

Nick mu na to pozwolił, z początku biernie, ale potem sam go ścisnął. Mocno. Tim uznał, że to dobry początek i że chłopak poradzi sobie bez względu na to, iloma pytaniami zarzucą go policjanci i ile razy mu powiedzą, że to się nie klei.

Jeśli chodzi o dodawanie różnych rzeczy od siebie, martwił się natomiast o George’a Ilesa. Ten dzieciak był urodzonym gadułą ze skłonnością do ubarwiania. Tim sądził jednak – miał taką nadzieję – że udało mu się w końcu przemówić George’owi do rozsądku: to, czego nie wiesz, daje ci bezpieczeństwo. To, co dodasz od siebie, może ci zaszkodzić.

Teraz Nick i Kalisha przytulali się obok skrzynki pocztowej u stóp podjazdu, gdzie wcześniej sepleniący pan Smith rzucał oskarżenia mające zaszczepić poczucie winy w dzieciach, które chciały tylko przeżyć.

– On ją naprawdę kocha – powiedział Luke.

Owszem, pomyślał Tim. I ty też.

Luke nie był jednak pierwszym chłopcem, który okazał się piątym kołem u wozu w trójkącie miłosnym, ani też ostatnim. Zresztą czy „trójkąt miłosny” to właściwe słowo? Luke był co prawda geniuszem, ale miał dopiero dwanaście lat. Jego uczucie do Kalishy minie jak gorączka, choć mówienie mu o tym w tej chwili byłoby bez sensu. Zapamięta ją jednak, tak jak Tim pamiętał dziewczynę, za którą szalał jako dwunastolatek (ona miała wtedy szesnaście lat i wyprzedzała go o lata świetlne). Tak samo jak Kalisha zapamięta Nicky’ego, tego przystojniaka, który walczył.

– Ona ciebie też kocha – odezwała się łagodnie Wendy i lekko ścisnęła opalony kark Luke’a.

– Nie w ten sam sposób – odparł chłopiec ponuro, lecz potem się uśmiechnął. – Ale co tam, życie toczy się dalej.

– Lepiej idź po samochód – zwrócił się Tim do Wendy. – Autobus nie będzie czekał.

Przyprowadziła auto. Luke zjechał z nią do skrzynki pocztowej i stanął obok Kalishy. Oboje machali za oddalającym się samochodem. Z okna wysunęła się dłoń Nicky’ego i odmachnęła. Potem zniknęli. W prawej przedniej kieszeni – tej, do której najtrudniej byłoby się dostać

złodziejowi na przystanku – Nick miał siedemdziesiąt dolarów w gotówce i kartę telefoniczną. W bucie miał klucz.

Luke i Kalisha razem wrócili podjazdem. W połowie drogi dziewczyna zakryła twarz dłońmi i rozplakała się. Tim ruszył z góry w jej stronę, lecz zaraz się zreflektował. To zadanie dla Luke'a. I chłopak wywiązał się z niego, obejmując ją. Ponieważ Kalisha była wyższa, zamiast na ramieniu oparła głowę na jego głowie.

Tim usłyszał buczenie, które teraz było zaledwie cichym szeptem. Rozmawiali, ale on nie słyszał ich słów i to mu nie przeszkadzało. Nie dla niego były przeznaczone.

4

Dwa tygodnie później przyszła kolej na Kalishę. Nie wybierała się na przystanek autobusowy w Brunswicku, ale w Greenville. Miała przyjechać do Chicago nazajutrz wieczorem i z Navy Pier zadzwonić do siostry w Houston. Wendy dała jej w prezencie małą torebkę z koralikami. W środku było siedemdziesiąt dolarów i karta telefoniczna. Klucz, identyczny jak ten Nicky'ego, znajdował się w jednym z jej sneakersów. Pieniądze i karta mogły zostać ukradzione; klucz – nigdy.

Dziewczyna mocno uściskała Tima.

– To nie wystarczy jako podziękowanie za to, co zrobiłeś, ale nic więcej nie mam.

– Wystarczy – odparł Tim.

– Mam nadzieję, że świat się przez nas nie skończy.

– Sha, powtarzam ci po raz ostatni: jeżeli ktoś wciśnie duży czerwony guzik, nie będziesz to ty.

Kalisha uśmiechnęła się blado.

– Kiedy na samym końcu byliśmy wszyscy razem, mieliśmy duży czerwony guzik większy niż wszystkie duże czerwone guziki tego świata. Naciśnięcie go było wspaniałym uczuciem. I to mnie prześladuje. Że było takie wspaniałe.

– Ale już po wszystkim.

– Tak. To wszystko się kończy, i całe szczęście. Nikt nie powinien posiadać takiej mocy, zwłaszcza dzieci.

Tim pomyślał, że niektórzy ludzie z dostępem do dużego czerwonego guzika są dziećmi, jeśli nie ciałem, to na pewno umysłem, ale tego nie powiedział. Kalisha stawiała czoło nieznannej, niepewnej przyszłości, co samo w sobie było wystarczająco straszne.

Dziewczyna odwróciła się do Luke'a i sięgnęła do swojej nowej torebki.

– Mam coś dla ciebie. Nie zauważyłam, że było w mojej kieszeni, kiedy wyjeżdżaliśmy z Instytutu. Chcę, żebyś to zatrzymał.

Wręczyła mu pomięte pudełko papierosów. Na opakowaniu był kowboj wywijający lassem. Powyżej znajdowała się nazwa marki: CUKIERKOWE PAPIEROSY ROUND-UP. Poniżej hasło: PAL ZUPEŁNIE JAK TATUŚ!

– Zostało już tylko parę – zaznaczyła. – Połamane i pewnie bez smaku, ale...

Luke się rozplakał. Tym razem to ona go objęła.

– Skarbie, nie płacz – powiedziała. – Proszę, nie. Chcesz mi złamać serce?

5

Kiedy Kalisha i Wendy odjechały, Tim zaproponował Luke'owi partię szachów. Chłopiec pokręcił głową.

– Chyba po prostu pójdę na trochę za dom i posiedzę pod tym dużym drzewem. Czuję się pusty w środku. Jeszcze nigdy nie czułem się taki pusty.

Tim pokiwał głową.

– Ta pustka się wypełni. Możesz mi wierzyć.

– Pewnie będzie musiała. Tim, myślisz, że któreś z nich będzie zmuszone użyć klucza?

– Nie.

Klucze otwierały skrytkę w banku w Charlestonie. W środku znajdowało się to, co Luke dostał od Maureen Alvorson. Gdyby jednemu z dzieci, które już opuściły Catawba Farm, coś się stało – lub też Luke'owi, Wendy czy Timowi – ktoś z nich pojechałby do Charlestonu i otworzył skrytkę. Może nawet pojechaliby wszyscy, jeśli więź, która powstała w Instytucie, wciąż istniała.

– Czy w to, co jest na pendrivie, ktokolwiek by uwierzył?

– Annie na pewno – odrzekł Tim z uśmiechem. – Ona wierzy w duchy, UFO, przejęcia ciała, co tylko chcesz.

Luke nie odwzajemnił uśmiechu.

– Tak, ale ona jest trochę... no wiesz, nie tego. Chociaż ostatnio jej się poprawiło, odkąd często się widuje z panem Dentonem.

Tim uniósł brwi.

– Z Doboszem? Chcesz mi powiedzieć, że ze sobą chodzą?

– Chyba tak, o ile wciąż tak się mówi, kiedy ludzie, którzy to robią, są starzy.

– Wyczytałeś to w jej umyśle?

Luke lekko się uśmiechnął.

– Nie. Teraz znowu jestem na poziomie przesuwania tacek po pizzy i przewracania kartek w książkach. Sama mi powiedziała. – Zastanowił się chwilę. – No i chyba nie będzie zła, że ci powtórzyłem. Nie zobowiązała mnie do milczenia ani nic w tym stylu.

– Niech mnie! A jeśli chodzi o pendrive’a... Kojarzysz, jak to jest, że można pociągnąć za jedną luźną nitkę i spruć cały sweter? Myślę, że ten pendrive mógłby tak zadziałać. Na filmie są dzieci, które ktoś by rozpoznał. Nawet dużo. Rozpoczęłoby się śledztwo i wszelkie nadzieje organizacji sepleniącego na odbudowanie programu poszłyby się kochać.

– Oni chyba i tak nie dadzą rady. Smith pewnie na to liczy, ale to kolejny przykład myślenia magicznego. Od lat pięćdziesiątych świat bardzo się zmienił. Słuchaj, ja już... – Luke niejasnym gestem wskazał w stronę domu i ogrodu.

– Jasne, leć.

Chłopiec zaczął nie tyle iść, ile człapać ze spuszczoną głową.

Tim już go prawie puścił, a potem zmienił zdanie. Dogonił chłopca i złapał go za ramię. Gdy Luke się odwrócił, Tim go przytulił. Wcześniej przytulał Nicky’ego – do diabła, przytulał ich wszystkich, czasami po tym, jak budzili się z koszmarów – ale teraz znaczyło to coś więcej. Teraz znaczyło to wszystko. Chciał powiedzieć Luke’owi, że jest odważny, że być może jest najodważniejszym dzieciakiem, jaki kiedykolwiek istniał poza kartami książek przygodowych dla chłopców. Chciał mu powiedzieć, że jest silny, porządny i że rodzice byliby z niego dumni. Chciał mu powiedzieć, że go kocha. Ale nie padły żadne słowa i chyba nie były potrzebne. Telepatia też nie.

Czasami przytulenie kogoś jest jak telepatia.

6

Za domem, między tarasem a ogrodem, rósł piękny stary dąb błotny. Luke Ellis – niegdyś z Minneapolis w Minnesocie, niegdyś kochany przez Herba i Eileen Ellisów, niegdyś przyjaciel Maureen Alvorson, Kalishy Benson, Nicka Wilholma, George’a Ilesa – usiadł w jego cieniu. Podciągnął kolana, objął je ramionami i patrzył w stronę pagórków, które zastępczyni szeryfa Wendy nazywała Wzgórzami Rollercoasterowymi.

Niegdyś byłem również przyjacielem Avery'ego, pomyślał. Tak naprawdę to on wszystkich wyciągnął. Jeśli ktoś był tutaj bohaterem, to nie ja, tylko Aviszon.

Luke wyjął z kieszeni pomięte pudełko papierosów i wyłowił jeden z kawałków. Przypomniawszy sobie, jak po raz pierwszy zobaczył Kaliszę, siedzącą na podłodze z jednym z takich papierosów w ustach. „Chcesz jednego? – zapytała wtedy. – Może cukier trochę ukoji twój umysł. Mnie zawsze pomaga”.

– Jak myślisz, Aviszon? Ukoji mój umysł?

Luke rozkruszył w ustach kawałek cukierka. Rzeczywiście zrobiło mu się nieco lepiej, chociaż sam nie wiedział dlaczego. Z całą pewnością nie miało to naukowego uzasadnienia. Zajrzał do paczki i zobaczył, że zostały jeszcze ze trzy kawałki. Mógłby je zjeść teraz, ale chyba lepiej poczekać.

Lepiej zostawić coś na później.

23 września 2018

OD AUTORA

Jeśli pozwolisz, Wierny Czytelniku, napiszę kilka słów o Russie Dorze.

Poznałem go ponad czterdzieści lat temu – grubo ponad – w mieście Bridgton w Maine, gdzie był jedynym asystentem medycznym w ośrodku, w którym pracowało trzech lekarzy. Zajmował się większością pomniejszych problemów zdrowotnych mojej rodziny, od grypy żołądkowej po infekcje uszne dzieci. W przypadku gorączki miał w zanadrzu standardowy dowcip, że należy pić czyste płyny: „tylko gin i wódkę”. Zapytał mnie o zawód, a ja powiedziałem, że piszę powieści i opowiadania, głównie takie straszne, o zjawiskach parapsychicznych, wampirach i różnych innych monstrach.

„Przykro mi, nie czytuję takich rzeczy” – powiedział, a wtedy jeszcze żaden z nas nie miał pojęcia, że kiedyś Russ będzie czytał wszystko, co napiszę, zwykle w formie maszynopisu, nieraz kiedy jeszcze pracowałem nad tekstem. Oprócz mojej żony tylko on oglądał moje utwory, zanim były w pełni ubrane i gotowe na zbliżenie.

Zacząłem mu zadawać pytania, początkowo o sprawy medyczne. To właśnie od Russa dowiedziałem się, że grypa zmienia się z roku na rok, przez co każda nowa szczepionka staje się bezużyteczna (to było na potrzeby Bastionu). Dał mi listę ćwiczeń stosowanych wobec pacjentów w śpiączce, żeby nie doszło do zaniku mięśni (to na potrzeby Martwej strefy). Cierpliwie tłumaczył, w jaki sposób zwierzęta zarażają się wścieklizną i jak ta choroba postępuje (to do Cujo).

Zakres jego kompetencji stopniowo się rozszerzał, a gdy Russ zrezygnował z pracy w medycynie, został moim researcherem na pełen etat. Na potrzeby Dallas '63 – książki, której dosłownie nie napisałbym bez niego – razem odwiedziliśmy Tekszańską Składnicę Podręczników i podczas gdy ja chłonałem nastrój tego miejsca (szukałem duchów... i je znajdowałem), on robił zdjęcia i pomiary. Gdy udaliśmy się do kina Texas, w którym schwytano Oswalda, to właśnie Russ zapytał, co grali tamtego dnia (był to podwójny seans Cry of Battle i War is Hell).

Do Pod kopułą zebrał całe tony informacji na temat mikroekosystemów takich jak ten, który próbowałem stworzyć, poczynając od wydajności generatorów prądu aż po odpowiedź na pytanie, na jak długo wystarcząby zapasy żywności; najbardziej dumny był jednak wtedy, gdy mnie spytał, czy może wymyślić źródło tlenu dla moich bohaterów – coś w rodzaju zbiorników do nurkowania – wystarczające na jakieś pięć minut. Potrzebowaliśmy go do kulminacji powieści, a ja byłem w kropce. Russ również, dopóki pewnego dnia nie utknął w korku i nie przyjrzał się uważnie samochodom dokoła.

„Opony – powiedział. – W oponach jest powietrze. Na pewno śmierdzące i o paskudnym zapachu, ale dałoby się nim oddychać”. I tak oto, Drogi Czytelniku, stanęło na oponach.

Cała książka, którą właśnie przeczytałeś, nosi odciski palców Russa, od badania BDNF u noworodków (owszem, to autentyk, tylko trochę fabularyzowany) aż po metodę uzyskania trującego gazu z powszechnie dostępnych produktów (dzieci, nie próbujcie tego w domu). Zweryfikował każde zdanie i każdy fakt, wspierając mnie w drodze do tego, co zawsze było moim celem: by uczynić niemożliwe prawdopodobnym. Był olbrzymim, jasnowłosym, barczystym mężczyzną, który lubił żarty, piwo i puszczanie fajerwerków na Święto Niepodległości. Wychował dwie wspaniałe córki i był przy żonie w trakcie długiej śmiertelnej choroby. Pracowaliśmy razem, ale był również moim przyjacielem. Byliśmy simpatico. Ani razu się nie pokłóciliśmy.

Russ zmarł na niewydolność nerek jesienią 2018 roku i cholernie za nim tęsknię. Jasne, zawsze wtedy, kiedy potrzebuję informacji (ostatnio na temat wind i iPhone'ów pierwszej generacji), ale znacznie bardziej, gdy zapomnę, że już go nie ma, i myślę sobie: Hm, powinienem zadzwonić do Russa albo wysłać mu maila z pytaniem, co u niego. Tę książkę zadedykowałem moim wnukom, ponieważ opowiada głównie o dzieciach, ale to właśnie o Russie myślę, kiedy kończę nad nią pracować. Strasznie trudno się żegnać ze starymi przyjaciółmi.

Brakuje mi ciebie, chłopie.

Zanim skończę, Wierny Czytelniku, powinienem podziękować tym co zwykle: mojemu agentowi Chuckowi Verrillowi, Chrisowi Lottowski, który zajmuje się prawami do wydań zagranicznych i znalazł kilkanaście różnych sposobów na powiedzenie „Czy mnie słyszysz?”, Randowi Holstenowi, który załatwia kontrakty filmowe (ostatnio dużo ich było), oraz Katie Monaghan, odpowiedzialnej w Scribnerze za promocję. Olbrzymie podziękowania należą się Nan Graham, która zredagowała tę

książkę pełną ruchomych elementów, równoległych linii czasowych i dziesiątek postaci. Uczyniła tę powieść lepszą. Muszę również podziękować Marshy DeFilippo, Julie Eugley i Barbarze MacIntyre, które odbierają telefony, umawiają spotkania i którym codziennie zawdzięczam niezbędne godziny na pisanie.

Wreszcie dziękuję moim dzieciom – Naomi, Joemu i Owenowi – oraz mojej żonie. Jeśli mogę pożyczyć sformułowanie od George’a R.R. Martina, ona jest moim słońcem i gwiazdami.

17 lutego 2019

PRZYPISY

[1] Na podstawie *Rymów o sędziwym marynarzu* Samuela Taylora Coleridge'a w przekładzie Stanisława Kryńskiego.